



MAEVE HARAN

MIEĆ
WSZYSTKO

*Każda kobieta
kiedyś była bohaterką
tej historii.*

Penny Vincenzi

MARGINESY



MAEVE HARAN
MIEĆ WSZYSTKO

Przełożyła Agnieszka Sobolewska



WYDAWNICTWO MARGINESY

Spis treści

Karta redakcyjna Wstęp Rozdział 1 Rozdział 2 Rozdział 3 Rozdział 4 Rozdział 5
Rozdział 6 Rozdział 7 Rozdział 8 Rozdział 9 Rozdział 10 Rozdział 11 Rozdział 12
Rozdział 13 Rozdział 14 Rozdział 15 Rozdział 16 Rozdział 17 Rozdział 18
Rozdział 19 Rozdział 20 Rozdział 21 Rozdział 22 Rozdział 23 Rozdział 24
Rozdział 25 Rozdział 26 Rozdział 27 Rozdział 28 Rozdział 29 Rozdział 30
Rozdział 31 Rozdział 32 Rozdział 33 Rozdział 34 Rozdział 35 Rozdział 36
Przypisy

Tytuł oryginału: HAVING IT ALL Przekład: AGNIESZKA SOBOLEWSKA
Redaktor prowadzący: MONIKA MIELKE Redakcja: KRYSTIAN GAIK Korekta:
ANNA ZABOROWSKA, JADWIGA PILLER Projekt okładki i stron tytułowych:
ANNA POL Łamanie: Avanti / PIOTR TRZEBIECKI Zdjęcia na okładce: ©
Elisabeth Ansley / Trevillion Images, © Karma3 / Shutterstock *Having It All*
Copyright © Maeve Haran 1991
Copyright © for the translation by Agnieszka Sobolewska
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa
2016 Warszawa 2016
Wydanie pierwsze ISBN 978-83-65282-45-3 Wydawnictwo Marginesy
ul. Forteczna 1a
01-540 Warszawa
tel. (+48) 22 839 91 27
e-mail: redakcja@marginesy.com.pl Konwersja: eLitera s.c.

Wstęp

Dwadzieścia lat temu napisałam *Mieć wszystko*, historię Liz Ward, która próbuje pogodzić zawrotną karierę w telewizji z wychowywaniem dwojga dzieci i po drodze napotyka przeszkody. Powieść wywołała ogromne poruszenie nie tylko w Wielkiej Brytanii, ale na całym świecie. Mnóstwo ludzi było gotowych kłócić się zażarcie w studiach telewizyjnych, radiu i niezliczonych artykułach w prasie o to, czy można, czy też nie można mieć wszystkiego.

Wznowienie tej książki będzie fascynującą okazją, aby sprawdzić, czy dla nowego pokolenia czytelniczek sytuacja się zmieniła, czy też nadal pokutuje przekonanie, że to kobiety – mimo pracy zawodowej – są odpowiedzialne za każdą wizytę dziecka u dentysty, przygotowanie kostiumu na występ w jasełkach czy zwolnienie z powodu ospy wietrznej.

Starłam się, żeby *Mieć wszystko* było książką zabawną, realistyczną i wzruszającą. Mam szczerą nadzieję, że obecne pokolenie przeczyta ją z równym zainteresowaniem i będzie się o nią spierać z równym zapałem co poprzednie.

Maeve Haran

Londyn, 2014

Rozdział 1

Liz Ward, ambitną menedżerkę Metro Television, wulkan energii i kreatywności, obudził niespodziewany dotyk dłoni, która wsunęła się pod bluzę jej jedwabnej piżamy i zaczęła pieścić jej lewą pierś.

Przez dziesięć sekund Liz nie otwierała oczu, poddając się przyjemnemu uczuciu podniecenia. Kiedy druga dłoń wkradła się do spodni od piżamy, Liz w odpowiedzi wygięła plecy w łuk, odwróciła głowę na bok i naraz w jej polu widzenia znalazło się radio z budzikiem.

– Rany boskie! Dziesięć po ósmej! – krzyknęła, bezceremonialnie odpychając dłonie Davida, i wyskoczyła z łóżka. – Mam zebranie z Conradem o dziewiątej piętnaście!

Cisnęła piżamę na podłogę i rzuciła się do łazienki. Na podeście zatrzymała się i nasłuchiwała. Cisza. To zawsze zły znak. Co, do diabła, kombinują Jamie i Daisy?

Lekko spanikowana otworzyła drzwi do pokoju córki. Jamie siedział obok Daisy na jej łóżeczku w swoim nowym stroju Batmana, założonym tył na przód, i usiłował obwiązać peleryną od tegoż kostiumu protestującą młodszą siostrę. Na podłodze leżała porozrzucana cała zawartość szuflady Daisy z rajstopami.

Jamie spojrzał na nią z miną winowajcy.

– Były nam potrzebne. Musi mieć rajtuzy, jeśli ma być Robinem. No nie, Daisy?

– Ja Robin – przyświadczyła zapytana.

Liz zdusiła w sobie chęć wrzaśnięcia na syna, że jest już piętnaście po ósmej i spóźni się do szkoły. W końcu pretensje mogła mieć wyłącznie do siebie, skoro świntuszyła z Davidem. Pocałowała więc chłopca, pełna poczucia winy, i pobiegła z powrotem do sypialni. Wyciągnęła z szafy swój kostium, modląc się, żeby nie był upstrzony okruszkami wafelków zbożowych Weetabix, pozostawionymi przez lepkie paluszki Daisy. Kobiety pracujące w Metro TV, od wampa szefującego działowi rozrywki aż po panią sprzątającą wychodki, wyglądały, jakby zeszły prosto z okładki „Vogue’a”, a Liz czuła się przy nich jak kopciuch.

David, razem ze swoją zranioną dumą, schował się pod kołdrą. Zerwała ją z niego bezlitośnie i wręczyła mu przedszkolny dres syna.

– No chodź, tatuśku, ubierzesz Jamiego. Ja przewinę Daisy w łazience.

Znow zerknęła na zegarek. Ósma dwadzieścia pięć. O, mój Boże. Radości pracującej matki.

Kiedy zeszła na dół z Daisy pod jedną pachą i raportem, który miała przeczytać wczoraj wieczorem w łóżku, pod drugą, David był już pograżony w lekturze prasy. Jak zwykle siedział przy stole, nie zwracając uwagi na kłębiący

się wokół niego chaos i jedząc tosta, którego sobie zrobił, chociaż o tosty dla pozostałych domowników – jak zawsze – się nie zatroszczył. Jak John Donne mógł powiedzieć, że żaden człowiek nie jest wyspą? Przy śniadaniu każdy mężczyzna staje się wyspą, odrębną i nieświadomą, na morzu kobiecej krzątaniny.

Wciąż nadąsany po tym, jak go odtrąciła, był tego ranka jeszcze bardziej milczący niż zazwyczaj, z nosem wetkniętym w „Financial Timesa”. Nagle oderwał się od lektury i przesunął gazetę w jej stronę, a raczej przeprowadził ją przez tor przeszkód, manewrując między purée z bananów, płatkami Coco Pops i przewróconymi kubkami niekapkami.

– Spójrz na to. Artykuł o Metro TV. Conrad mówi, że wreszcie mianuje dyrektora programowego. – Podnosząc głos, żeby przekrzyczeć kakofonię wrzasków Daisy, uporczywych żądań Jamiego, by na niego popatrzeć, kiedy wspina się chybotliwie po swoim krześle, oraz dudnienia radia niani nastawionego na New Kids on the Block, David zawołał do niej przez stół: – Może zgłosisz swoją kandydaturę?

– Ja? – Liz wolałaby, żeby jej odpowiedź mniej przypominała okrzyk paniki. Zaczęła pracę w Metro Television jako kierowniczką działu reportażu dopiero kilka tygodni temu, kiedy stacji przyznano koncesję dla telewizji komercyjnej w Londynie, i zamierzała poświęcić te trzy miesiące dzielące ich od rozpoczęcia nadawania na spokojne zaaklimatyzowanie się i przygotowanie pomysłów na wejście na antenę.

– Tak. Ty. Elizabeth Ward. Utalentowana producentka. Autorka zupełnie nowego stylu tworzenia programów. Matka dwójki dzieci. – David się rozkręcał. – Kobieta na tym stanowisku to byłby dla Metra genialny PR. Żadna inna telewizja nie ma dyrektorki programowej. Teraz jest dekada kobiet, na litość boską! A ty jesteś klasyczną współczesną kobietą. Błyskotliwa kariera i dzieci! Byłabyś idealna!

„Nic dziwnego, że jest takim dobrym naczelnym gazety” – pomyślała Liz z czułością. Umiejętność nakłaniania ludzi do robienia rzeczy, których robić nie chcieli, była jego ogromnym atutem. Ale nie znał Conrada Marksa, twardego amerykańskiego dyrektora zarządzającego Metra. Conrad uważał, że kobiety nadają się tylko do jednej rzeczy. Doprowadził swój męski szowinizm do perfekcji jeszcze w ojczystym kraju, gdzie mężczyźni byli mężczyznami, a kobiety chodziły na zakupy. Nigdy nie przekazałby władzy babie.

– Nie znasz Conrada tak dobrze jak ja.

Skrzywiła się, przypominając sobie przedwczorajsze uroczyste otwarcie nowej, stylowej siedziby telewizji Metro. W jakiś sposób Conradowi udało się przekonać księżną Yorku, aby czyniła honory. Fergie pojawiła się w jednej ze swoich katastrofalnych kreacji: wydekoltowanej sukience chłopki, która powinna na zawsze pozostać w okolicach Mont Blanc, gdzie jej miejsce. Conrad

przez większość ceremonii gapił się jej na piersi, a ledwie nieco się oddaliła, powiedział scenicznym szeptem do swojego zastępcy: – Widziałeś cycki księżnej? Królewskie bachory mają szczęście!

Conrad nigdy nie mianowałby kobiety dyrektorem programowym Metra.

– Ale ja jestem taką osobą od dobrych pomysłów, a nie typem twardego menedżera. – Liz usiłowała przełknąć kawę i jednocześnie nie pozwolić Jamiemu wycierać nosa w szkolny mundurek. – Nie mam instynktu zabójcy.

– Nie naciskasz dość mocno, i tyle. – Liz wyraźnie słyszała irytację w jego głosie. Tak bardzo się od niej różnił. Był taki pewny siebie. Miał trzydzieści pięć lat, a już został naczelnym „Daily News”; błękitnooki chłopiec Logana Greene’a, namaszczonego na spadkobiercę całego jego imperium. Czasem ludzie, oceniając Davida po jego chłopięcej urodzie, lekceważyli go. I nieodmiennie tego żalowali.

No, ale David zawsze wiedział, czego chce. Daleko zajść. Wyjechać z Yorkshire, z komunalnego domu swoich rodziców. Odnieść sukces. I to mu się udało. W stopniu przechodzącym jego najśmielsze oczekiwania. Nie potrafił zrozumieć jej niechęci do zrobienia tego samego.

Patrząc na zegarek, wstał od stołu.

– Pamiętaj, jakie mamy czasy, pełne troski, ciepła i chęci dzielenia się. Instynkt zabójcy jest nie na czasie. Wszyscy mamy teraz wsłuchiwać się w kobiecą stronę. Liczy się intuicja. Wrażliwość.

– Gadanie. Spróbuj to powiedzieć Conradowi.

Pochylił się i pocałował ją przekornie.

– Nie. Ty mu to powiedz.

Liz wytarła płatki śniadaniowe z włosów Daisy i, odpychając lepkie rączki, które wyciągały się do jej żakietu, pocałowała jej miękką skórę na karku. Z ociąganiem podała córkę Susie, niani, i spróbowała przekonać Jamiego, żeby puścił jej nogę, bo chciała sprawdzić swoją teczkę. Jamie, jak zwykle, wył, uczepiony jej niczym rzep.

Wychodząc, zerknęła na swoje odbicie w lustrze w przedpokoju. Nieźle się trzymała jak na trzydzieści sześć lat. Mogłaby trochę schudnąć, ale teraz przynajmniej nie miała zmarszczek. Dzięki Bogu, w zeszłym tygodniu się ostrzygła i nowa fryzura, jeśli nawet nie wrzuciła jej w nową dekadę, to przynajmniej wyciągnęła ją z lat siedemdziesiątych. Przydymiony szmaragdowy cień do powiek, na który namówiła ją fryzjerka, nadał jej oczom zmysłowy, orientalny charakter, co całkiem jej się podobało. Mówi się, że brunetki dłużej zachowują urodę. A w każdym razie brunetki tak mówią.

Spoglądając na zegarek, Liz poczuła krótkie, ale znajome ukłucie paniki: była spóźniona na zebranie z Conradem, trzeba oddać odkurzacz do naprawy i właśnie sobie przypomniała, że Susie chciała wziąć dzisiaj samochód. Jak ją nazwał David? Klasyczną kobietą współczesną kobietą. Bardzo zabawne...

Na cotygodniowym zebraniu programowym były, jak zwykle, tylko dwie kobiety: Liz i Claudia Jones, kierowniczka działu rozrywki Metro TV. Po gonitwie przez Londyn i pokonaniu biegiem trzech pięter – okazało się, że winda jest pełna – Liz dotarła do sali posiedzeń zasapana i spięta. Na szczęście Andrew Stone, szef działu wiadomości, też się spóźnił, więc udało jej się wślizgnąć do środka i usiąść, nie zwracając na siebie zbyt wiele uwagi.

W efekcie musiała obejść się bez kawy, za którą zdolna byłaby zabić, ale przynajmniej Claudia nie mogła spojrzeć wymownie na zegar, jak to miała w zwyczaju. Claudia, szykowna, bezdzietna singielka, stawianie pracy na pierwszym miejscu zmieniła w religię.

Zerkając ponad ogromnym stołem w sali posiedzeń na Claudię, Liz nie mogła się zdecydować, co w szefowej rozrywki budzi jej największą antypatię: to, że zawsze wygląda, jakby zeszła z wystawy Harvey Nichols, bezczelne wykorzystywanie swojej kobiecości do uzyskania tego, czego chciała, czy kompletny brak talentu.

Claudia była typem człowieka, który podkrada innym pomysły, a zasługi za nie przypisuje sobie. Uwielbiała być kobietą w męskim świecie i nie życzyła sobie na tym polu dużej konkurencji. Dążyła do ograniczenia liczby potencjalnych rywalek, a Liz miała poważne podejrzenia, że dotyczy to także jej.

Po Metro TV krążyła pogłoska, że kiedy Claudia mówi, Conrad Marks nadstawia uszu. A od czasu do czasu, jak plotkowano, w grę wchodzi także inne części ciała.

– Ładny kostium – pochwaliła Claudia. Liz spojrzała na nią zaskoczona. Życzliwość nie była w stylu Claudii. – To Armani, prawda?

Wszystkie oczy w sali przyglądały się Liz z zainteresowaniem.

Claudia niespodziewanie się uśmiechnęła.

– Szkoda, że tak ci się pobrudził z tyłu.

Liz z przerażeniem spojrzała przez ramię w dół. Na plecach zakietu, na wysokości łopatki, rozbryznięta się połowa zawartości śniadania Daisy. Przypominała teraz jakąś krzykliwą postpunkową biżuterię.

W damskiej ubikacji nie było czym tego wytrzeć. Papier toaletowy rozpadłby się i na czarnym kostiumie zostałyby jego drobinki, a ręcznik na rolce był za krótki i nie dosięgał. W nagłym przebłysku natchnienia sięgnęła do portfela i wydobyła kartę American Express. Nadała się w sam raz.

Kiedy Liz wróciła do sali posiedzeń, zdążył już przyjść Conrad. Wsunęła się na swoje miejsce w nadziei, że szef nie zauważy. Nadzieja okazała się płonna.

– Właśnie mówiłem, Liz – nie zadał sobie nawet trudu, by spojrzeć w jej kierunku – że z pewnością wszyscy się zastanawiacie, kto znalazł się na mojej liście najpoważniejszych kandydatów na stanowisko dyrektora programowego. Są to dwie osoby, obie z wewnątrz firmy. Zakładam, że chcielibyście wiedzieć, kto to

taki? – Rozejrzał się po sali, delektując się niepokojem na twarzach zebranych. – Pierwszym kandydatem jest Andrew Stone. – Na dźwięk nazwiska lubianego, chociaż niezorganizowanego szefa działu wiadomości rozległ się stłumiony pomruk aprobaty. – A druga osoba to... – Conrad uśmiechnął się wilczo, bawiąc się z nimi, z lubością dawkując napięcie – kierownik działu rozrywki Metro TV, Claudia Jones.

Liz czuła się tak, jakby ktoś oblał ją kubłem lodowatej wody, ale dzięki temu umysł miała chłodny i ostry jak brzytwa. Gdyby Claudia dostała tę posadę, byłby to koniec Liz. Nie mogła do tego dopuścić. Musiała stanąć w szranki.

Jak jednak mogłaby to zrobić? Stanowisko dyrektora programowego wymagało pełnego zaangażowania, duszą i ciałem. A ona miała dwoje małych dzieci, które już i tak rzadko widywała. Gdyby kierowała Metro TV, nie widywałaby ich wcale.

Może nie wybiorą Claudii, może Conrad zdecyduje się na Andrew. Zerknęła na szefa wiadomości, roztargnionego i bezpośredniego, który szczerzył się idiotycznie, zbierając swoje papiery. Kiedy się pochylił, zauważyła, że koszulę miał wyprasowaną tylko z przodu, tam, gdzie było widać. Przypomniała sobie, że żona rzuciła go dla jednego z jego byłych kolegów, i Andrew musiał uczyć się domowych obowiązków, nomen omen, „w praniu”.

Spostrzegła, że Claudia patrzy wprost na nią z uśmiechem na ustach. No jasne, musiała wiedzieć, że Liz zostanie pominięta. Dlatego postarała się upokorzyć ją przed wszystkimi zebranymi.

Przyglądając się temu pewnemu sobie, kociemu uśmiechowi, uświadomiła sobie z absolutną, oślepiającą pewnością, że Conrad nie wybierze Andrew. Dyrektorem zostanie Claudia.

Miesiąć temu Liz rzuciła obiecującą karierę w BBC i dołączyła do zespołu Metra po to, by współtworzyć najciekawszą stację telewizyjną w Wielkiej Brytanii. Ambitną. Nową. Ekscytującą. Inną. A jaka byłaby pod kierownictwem Claudii? Tania. Wtórna. Pospolita. Przewidywalna.

Liz siedziała bez ruchu, ogarnięta paniką. Spektakl się skończył, wszyscy zaczęli zbierać swoje papiery i szykować się do wyjścia, wstając od stołu i gratulując Claudii oraz Andrew. Za chwilę miało już być za późno.

Nagle Liz usłyszała swój własny głos, zadziwiająco spokojny i opanowany, który przebił się przez podekscytowane pomruki.

– Ponieważ wyraźnie uważasz, Conradzie, że dobrze byłoby mieć na stanowisku dyrektora programowego kobietę, też chciałabym zgłosić swoją kandydaturę.

Rozdział 2

– Mogę prosić o wyniki sprzedaży z ostatnich dwóch tygodni, Julie?

David starał się to powiedzieć obojętnym tonem. Na razie nikt oprócz niego nie zauważył niewielkiej strużki odpływu czytelników z „Daily News” do konkurencyjnego „Daily World”. Ale jego uwagi to nie uszło i wcale mu się nie podobało. Takie strużki miały w prasie paskudny zwyczaj zmieniania się w potop, jeśli się ich w porę nie wyłapało, więc chciał sprawdzić, kiedy i jak to się zaczęło, zanim na jego biurku przysiądzie Logan i rykiem zacznie się dopytywać, co się, do cholery, dzieje.

Na szczęście, w czasach dzisiejszych „wojen nakładowych” studiowanie danych o sprzedaży graniczyło z obsesją, więc jego prośba prawdopodobnie nie wzbudzi żadnych podejrzeń Julie.

David wziął do ręki egzemplarz „Daily World” i wzniosł oczy do nieba. Nie przeszkadzałoby mu tak bardzo, gdyby tracili czytelników na rzecz „The Sun” – nie, to nieprawda, przeszkadzałoby, oczywiście, że by przeszkadzało, ale przynajmniej „The Sun” był pieprzoną gazetą. Ale nie „Daily World”! „Daily World” to szmata, na wpół pornografia, na wpół fantazja, a wszelkie pozory dziennikarstwa wyrzucono tam przez okno.

Spójrzmy tylko na ten nagłówek na pół pierwszej strony, na litość boską: *PORWAŁO MNIE UFO*. Typowy przykład papki produkowanej masowo przez „Daily World”. Nedorzeczne historie, których nigdy nie sprawdzali, bo wiedzieli, że to bzdury. „Prawdziwe wyznania”. Zrobione teleobiektywem zdjęcia opalającej się Joan Collins albo księżnej Di. I całe strony plotek. Chociaż akurat dziennikarka prowadząca rubrykę plotkarską, Steffi Wilson, były chyba jedyną zaletą tego szmatławca. Wredna z niej małpa, oczywiście, ale przynajmniej dobra w tym, co robi.

David wstał i wrzucił „Daily World” do kosza na śmieci z taką siłą, że ten się przewrócił. Była pora na pierwsze zebranie redakcyjne tego dnia i mieli na nim omawiać materiały z prawdziwego zdarzenia, Bogu dzięki. Ale jak długo to potrwa? Wiedział, co się stanie, jeśli nie uda mu się powstrzymać spadku sprzedaży. Logan będzie chciał, żeby „Daily News” stawiało opór. Używając tej samej broni co „Daily World”.

– Fu, mamó! Wyglądasz zupełnie jak pani Thatcher!

Jamie, golusieńki, stał w drzwiach i lustrował wzrokiem Liz miotającą się wśród stosu odrzuconych na bok ubrań, które zdążyła przymierzyć, usiłując wyglądać odpowiednio w roli Ambitnej Kobiety Pracującej na najważniejszej rozmowie kwalifikacyjnej w życiu.

Od prawie pół godziny przekopywała się przez swoją szafę, żałując, że jest

w niej tyle tragicznych ciuchów: ohydnych nabytków z wyprzedaży, elastycznych spodni rurek, w których miała tyłek jak zawodnik sumo, fioletowych bluz od dressu. Gdyby tylko kupowała odzież w neutralnych kolorach, jak radziły pisma dla kobiet. Wtedy przynajmniej jej modowe porażki by do siebie pasowały.

Szarobrazowy bawełniany kostium wyglądał obiecująco, dopóki nie zauważyła tłustych śladów drobnych rączek wzdłuż brzegu spódnicy. Wielkie nadzieje wiązała z czarną lnianą sukienką typu futerał, ale miała za duży dekolt. Liz trudno byłoby odpowiadać na pytania o ramówkę, zaglądając między własne piersi.

Ostatnią deską ratunku był lniany beżowy kostium w prążki, z żakietem z poduszkami i spódnicą do kolan. Gdyby była za kolano, nawet Liz musiałaby ją odrzucić jako zbyt staroświecką. Nie, kostium wyglądał całkiem niezłe. Zapinając spódnicę, starała się nie myśleć o tym, w co będzie ubrana Claudia.

Wczoraj wieczorem przez dwie godziny gapiała się na pustą kartkę, myśląc: „Co, do cholery, im jutro powiem?”.

A potem ją olśniło. Problemem niezależnej telewizji byli odbiorcy. Przeciętny widz kanałów komercyjnych był stary, niewybredny i niezamożny – taki Alf Garnett^[1] telewizyjnej widowni. BBC sprytnie zgarnęła młodszych, bogatszych widzów – pijących martini i jeżdżących bmw – jednak to właśnie oni byli publicznością, na której zależało reklamodawcom. Musiała wymyślić jakiś sposób, żeby przyciągnąć ich z powrotem.

Kiedy o drugiej w nocy zajrzał do niej David, żeby sprawdzić, czy przyjdzie do łóżka, była tak pochłonięta planowaniem oferty programowej, że spojrzała na niego z oszołomieniem. „Chcę tę pracę! – uświadomiła sobie z nagłym przypływem podniecenia. – Naprawdę chcę ją dostać!”.

Teraz, w zimnym świetle dnia, pewność siebie ją opuszczała. Czy to będzie prezentacja tylko przed Conradem, czy przed całym zarządem? Kiedy dziesięć minut później do drzwi zadzwonił taksówkarz, poczuła niemal ulgę. Zerknęła na Davida, postanawiając go nie budzić, bo wydawał się wyczerpany, i ruszyła na palcach do drzwi.

– Hej – zaprotestował stłumiony głos spod kołdry – czy to nie dzisiaj jest twój wielki dzień? – Zaspany David wystawił głowę z pościeli i uśmiechnął się szeroko. – Nie możesz wyjść bez buziaka na szczęście. Założę się, że Claudia też takiego dostaje. – Łypnął znacząco.

Liz przysiadła na łóżku i potargała mu włosy. Wczoraj wieczorem martwiła się o niego. Milczał i wydawał się czymś zaprzątnięty.

– Wszystko w porządku, kochanie? – Podniosła jego dłoń i ją pocałowała.

W ułamku sekundy przeszło mu przez myśl, żeby powiedzieć o spadającej sprzedaży, ale od razu odrzucił ten pomysł. Byłby egoistycznym gnojkiem. To jej wielka chwila. Potrzebowała jasności umysłu, a nie zamartwiania się problemami,

które mąż powinien umieć rozwiązać sam. Z uśmiechem przyciągnął ją do siebie, żeby pocałować, i w ostatniej chwili zauważył czerwony błyszczyk na jej wargach.

– Co straszny potwór zrobiłby z błyszczkiem? – Pochylił się groźnie w jej stronę.

Odsunęła się ze śmiechem, ale on złapał ją za rękę, nagle poważniejąc.

– Posłuchaj mnie, mała. Jesteś genialna i piękna. Pamiętaj o tym. Zakasujesz Claudię. No, a teraz leć. I nie zapomnij do mnie zadzwonić, żeby dać mi znać, jak poszło.

Grzejąc się w ciepłe jego miłości, poczuła, że wraca jej pewność siebie. Zatrzymała się przy drzwiach i posłała mu całusa, ale on zdążył już zakopać się pod kołdrą i zasnąć. Wciąż uśmiechnięta zbiegła do czekającej taksówki, zapominając o zdenerwowaniu.

Kiedy opadła na miękkie tylne siedzenie, zapytała kierowcę, czy mógłby ściszyć radio. Jeśli przez dwadzieścia minut poczyta w spokoju swoje notatki, będzie gotowa. Ale taksówkarz wziął jej prośbę za zachętę do wesołej pogawędki.

– Ładny dziś dzień, co?

– Bardzo ładny. Czy byłby pan łaskaw...

– Telewizja Metro, tak? Nigdy o takiej nie słyszałem. Co to za jedni?

– Nowa firma. Właśnie zdobyliśmy koncesję po Capital TV. Zaczynamy nadawać za trzy miesiące.

– No i, cholera, bardzo dobrze, bo straszne badziewie puszczają. Wie pani, jaki jest problem z telewizją?

O Boże, będzie jej wykladał swój pogląd na telewizję. Akurat dzisiaj.

– Nigdy jej nie oglądają, to znaczy ludzie z telewizji. Nigdy nie siadają przed telewizorem, żeby naprawdę pooglądać coś w domu, tak jak my, biedaczyska.

– Jeśli nie miałby pan nic przeciwko temu, chciałam... – Liz spróbowała mu przerwać. Nie była w stanie dłużej tego wytrzymać. – Proszę posłuchać, mam coś pilnego do przeczytania. Niestety, naprawdę muszę się do tego zabrać.

Spokojnie, powiedziała sobie w myślach, prędzej czy później będzie musiał zamilknąć. Ale się myliła. Kiedy dojechali do siedziby Metro TV przy Battersea Bridge, Liz była bliska krzyku i miała nerwy w strzępach. Przytrzymując jej drzwi, upiorny taksówkarz dalej perorował na temat kolidujących ze sobą ramówek i braku programów przyrodniczych. Liz wyskoczyła z samochodu tak szybko, że rajstopy zaczepiły się o drzwiczki i się rozdarły.

Kiedy dotarła do biura, było piętnaście po dziewiątej, a ona – w stanie bliskim hysterii. Viv, jej sekretarka, zawsze pierwsza przy biurku na ich piętrze, już nastawiała kawę.

Liz opadła na fotel. Bez słowa pokazała na porwane rajstopy. Innych przy sobie nie miała. Claudia pewnie miałaby zapasową parę w szufladzie, ba! sześć zapasowych par, obok gumowego penisa i pejcza, które niewątpliwie trzymała

w celu zdominowania kolegów. U Liz poniewierały się tylko stara zupka w proszku i jeden ze smoczków Daisy.

Popatrzyła w osłupieniu na swoją sekretarkę. Viv ściągała właśnie jasnobezowe rajstopy Le Spec, doskonale widoczna z każdego punktu biura, w tej chwili na szczęście pustego.

– Proszę. Dobrze, że byłam na solarium. Jesteś w większej potrzebie ode mnie, jak to mówią. Ja mogę zostać dyrektorem programową tylko wtedy, kiedy sobie kupię wideo i pobawię się w telewizję w domu. To twoja wielka szansa.

Viv obciągnęła spódnicę na swoich długich nogach i włożyła z powrotem buty.

– A jeśli chcesz znać zdanie sekretarek, to uważamy, że Conrad ma już potąd Claudii Jones, za bardzo go naciskała w łóżku i poza łóżkiem. Z kolei Andrew Stone jest takim mięczakiem, że chyba nawet Conrad nie dałby mu tej fuchy. Więc naszym zdaniem możesz mieć szansę.

Gołonoga Viv poszła nalać im obu kawy, zostawiając Liz oniemiałą. Skąd, u licha, sekretarki to wszystko wiedziały? Pięć minut później Liz zakręciła się w swoim beżowym kostiumie w prążki i świetnie do niego pasujących rajstopach Le Spec. Czowała, że z każdym łykiem gorącej kawy wraca jej odwaga. Uspokojona, ściskając w rękę kartkę ze starannie przygotowanym wystąpieniem, była wreszcie gotowa udać się na górę do gabinetu Conrada.

W windzie spotkała Andrew Stone'a, który czytał wycinek z gazety i wyglądał na jeszcze bardziej zdenerwowanego niż ona. Biedny Andrew. Należał do mężczyzn, którzy pocili się jak Richard Nixon podczas badania wykrywaczem kłamstw. Wiedziała, że kiedy uścisną sobie ręce, jego dłoń będzie miękka i wilgotna, a oddech będzie mieć lekki zapach curry, chociaż Andrew umył zęby. Nic dziwnego, że żona go rzuciła.

Pochłonięty lekturą artykułu Andrew nagle uświadomił sobie, że są już na czwartym piętrze i że Liz wysiada. Rzucił się do drzwi w momencie, kiedy zaczęły się zamykać. Były jednak od niego szybsze, przycięły go, więc musiał rozewrzeć je siłą, wyglądając przy tym jak Woody Allen grający Clarka Kenta. Teczka upadła mu na podłogę, a notatki i wycinki rozsypały się po całym holu.

– Jezu! – jęknął rozdzierająco. – Miały być poukładane w kolejności!

Słyszając panikę w jego głosie, Liz posłała mu przelotny współczujący uśmiech i pomogła pozbierać porozrzucane papiery.

Kiedy gramolili się na podłodze, drzwi windy otworzyły się ponownie i z kabiny wyszła Claudia. Nagle hol wypełnił się mocnym zapachem perfum Giorgio, tak zuchwałym i niedającym się zignorować, jak ona sama. Cholerna Claudia! Jak ona to robiła, że zawsze udawało jej się zaskoczyć kogoś w głupiej sytuacji?

– Dzień dobry, Lizzie, złotko. Cześć, Andrew. Nie wstawajcie. – Claudia

ominęła ich, niemal wbijając w dłoń Andrew swój dziesięciocentymetrowy obcas. Zaśniły jej przycięte na pazia ciemne włosy, kiedy przeszła koło nich, kołysząc biodrami, ubrana w jaskrawoczerwony dopasowany kostium ze złotymi guzikami. Usta i paznokcie miała pomalowane na identyczny kolor.

„A najgorsze – pomyślała Liz z wściekłością, kiedy pełen zachwytu menedżer działu sprzedaży przytrzymał Claudii drzwi, by mogła przez nie po królewsku przejść w drodze do gabinetu Conrada – najgorsze, że miała puste ręce”. Żadnej teczki. Żadnych kartek. Nawet kalendarzyka. Zamierzała zrobić prezentację zupełnie bez notatek!

Liz podała Andrew ostatnie wycinki i usiłowała nie czuć się załamana. Bo przecież właśnie o to chodziło Claudii. Była z siebie taka dumna, że zmieściła się z notatkami na jednej kartce, a tu jak gdyby nigdy nic wchodzi sobie Claudia i ma całą prezentację w małym palcu. Niech ją zaraza!

„Tylko spokojnie! To ty masz dobre pomysły, nie Claudia, Claudia zna się tylko na bzykaniu się z agentami i masowaniu ego gwiazd. David ma rację. Claudia nie potrafiłaby wymyślić strategii dla telewizji, nawet gdyby zależało od tego jej życie”.

Liz wygładziła lnianą spódnicę, która pogmiotła się podczas zbierania papierów z podłogi, odgarnęła wpadający do oka kosmyk włosów i przytrzymała drzwi Andrew, żeby znów wszystko nie wyleciało mu z rąk.

Przed gabinetem Conrada siedziała Claudia, sączyła czarną kawę z filiżanki, nogi w cienkich czarnych pończochach złożyła skromnie na bok i wyglądała dokładnie jak wyjęta z ilustracji jednego z tych potwornie irytujących artykułów o tym, kto znajdzie się na najwyższych stanowiskach za pięć lat.

Drzwi się otworzyły i w progu stanął Conrad.

– Zapraszamy, Claudio.

Claudia spokojnie odstawiała filiżankę i wstała.

Patrząc na oddalającą się rywalkę, Liz zauważyła, że na jej kostiumie nie ma ani jednego zagniecenia, i poczuła ukłucie wścieklej zazdrości. Gdyby tylko Claudii powinęła się noga, gdyby zapomniała, co powiedzieć, zaproponowała coś idiotycznego, nie zrozumiała, o co chodzi z kosztem krańcowym, przejawiała jakiegokolwiek ludzkie cechy!

Ale Claudia nie była istotą ludzką. Była kosmitką w czerwonym kostiumie, która każdy ruch miała zaprogramowany, przemyślany, zaplanowany. Gdyby zerwać jej tę pełną samozadowolenia maskę, pod skórą prawdopodobnie nie byłoby naczyń krwionośnych i kości, tylko kabelki i terminale.

Kiedy Claudia zamknęła za sobą drzwi, Liz zmówiła w myślach modlitwę. Rzadko się modliła, a Bóg pewnie nie pochwaliłby jej odczuć. Ale i tak uznała, że nic nie zaszkodzi spróbować:

„Boże, jeśli istniejesz... tylko ten jeden raz... proszę... niech Claudia da

ciała!”.

Z uśmiechu Claudii po jej wyjściu z gabinetu Liz wydedukowała, że jej modły nie zostały wysłuchane. Uśmiech ten obwieszczał – wprost, ale subtelnie – że Conrad i zarząd znaleźli już dyrektora programową, więc pozostałe rozmowy zostaną przeprowadzane tylko dla zachowania form.

– Jak poszło? – wyrwało się Liz właściwie wbrew woli.

– Nieźle. Zupełnie nieźle.

Liz wiedziała, że języku Claudii oznacza to: „Może lepiej wycofajcie się teraz, nedorajdy, żeby nie narobić sobie wstydu”. Usiłowała skoncentrować się na powtarzaniu w pamięci, co zamierza powiedzieć.

Nie musiała długo czekać. Drzwi znów się otworzyły i oto już była jej kolej na powolne przypiekanie na ruszcie w ogniu podchwytliwych pytań, którymi zarząd Telewizji Metro miał chłostać jej miękkie ciało.

W gabinecie siedziało ich pięciu, sami mężczyźni, wszyscy – poza Conradem, który był w koszuli i czerwonych szelkach – ubrani w szare mundurki City. Finansiści. Wszyscy mówili, że w dzisiejszych czasach telewizją rządzą księgowi. Najwyższym zaszczytem nie było już zdobycie prestiżowej nagrody, lecz zmieszczenie się w budżecie.

Gdy Conrad wskazał jej miejsce, ponownie uderzyła ją jego charyzma. Był wprawdzie niski, ale wszyscy zawsze wiedzieli, że wchodzi do pokoju, nawet zanim go zobaczyli. Jak gdyby ilość energii w pomieszczeniu nagle gwałtownie wzrastała. Conrad sprawiał wrażenie, jakby w jego zbyt małym ciele upakowano nieskończone miliony atomów i wszystkie chciały wyrwać się na zewnątrz. Wydawało się, że można ogrzać sobie przy nim ręce.

Kiedy jednak Conrad przedstawił ją prezesowi zarządu, sir Derekowi Johnsonowi, oraz dwóm z pozostałych członków, jej wzrok przyciągnął piąty mężczyzna w gabinecie. Był wysoki i emanował szykiem kojarzącym się z człowiekiem z City, ale nie takim jeżdżącym porsche z telefonem samochodowym, lecz takim, który nadal nosi granatowe garnitury w delikatne białe prążki oraz subtelne krawaty i wierzy w dotrzymywanie danego komuś słowa. Liz nie wiedziała, że przetrwali jacyś przedstawiciele tego gatunku.

Mężczyzna wydawał jej się dziwnie znajomy i była tak zajęta gapieniem się na niego, że nie usłyszała nazwisk dwóch facetów w garniturach, których właśnie przedstawił jej Conrad. W końcu doszedł do tego piątego.

– A to nasz najnowszy członek zarządu, jedna z wschodzących gwiazd City, cudowne dziecko finansów i nieustraszony inwestor venture capital, Mark Rowley.

Liz poczuła, że jej szyja pokrywa się czerwonymi plamami, jak zawsze, kiedy się nagle speszyła. Mark Rowley! To nie mógł być ten sam człowiek! Z przerażającą jasnością wróciło do niej wspomnienie wieczoru sprzed szesnastu lat, wraz z każdym jego bolesnym szczegółem.

Poznała Marka Rowleya na przyjęciu, niedługo po tym, jak pierwszy raz spotkała w Oksfordzie Davida. Mark miał dwadzieścia lat, tak jak ona, był absolwentem prywatnej szkoły, który właśnie zaczął pracę w Lloyds, grzecznym, nieśmiałym i zakompleksionym. Nie wydawał się zbyt zainteresowany City, a entuzjazm wzbudzało w nim jedynie jego hobby i pasja – Armia Terytorialna. Był milczący i zasadniczy; zupełne przeciwieństwo Davida, który aż się palił, żeby zostać dziennikarzem i gardził każdym, kto zdecydował się podjąć nielubianą pracę, a już zwłaszcza chłopaczkiem z prywatnej szkoły, czerpiącym frajdę z zabawy w wojsko.

Ale potem Mark zaprosił ją na uroczystą kolację wydawaną dla jego pułku w Goldsmith's Hall, a ona zgodziła się pójść. David był wściekły, kiedy się o tym dowiedział, a jego zazdrość sprawiła jej przyjemność.

Znajomi Marka nieszczególnie przypadli jej do gustu, wydawali się nadęci i zarozumiali, ale Mark wzbudził jej sympatię. To było miłe, że nie krył dumy z jej towarzystwa, ciągle się uśmiechał, zachwycony tym, że trzyma ją pod rękę. Jednocześnie jednak miała poczucie, że w jego niewinności i braku obycia było coś odpychającego; jakby nie umiał się całować. Zastanawiała się, czy w drodze do domu nie zacznie się do niej jakoś niezdarnie przystawiać.

Już po kolacji wyszli na piękny dziedziniec. Znajomi Marka i oficerowie stali na chodniku, rozmawiając; czekali na samochody, którymi mieli odjechać. Kątem oka zauważyła podjeżdżające zdezelowane mini, z którego głośników ryczał Van Morrison. Nie patrząc nawet na dzikie, kręcone włosy ani wyzywające niebieskie oczy, wiedziała, że za kierownicą siedzi David.

W przyпіywie okrucieństwa, którego nadal żałowała, powiedziała Markowi „dobranoc” i wsiadła do samochodu Davida. Wyglądając przez tylną szybę, zobaczyła, jak Mark stoi na chodniku, znajomi wokół niego albo wyglądają na zażenowanych, albo się śmieją, i dostrzegła jego pełne urazy spojrzenie, które nie dawało jej spokoju przez te wszystkie lata.

Oczywiście, całkowicie się zmienił. Nieporadna nieśmiałość już dawno znikła pod warstwami obycia i wystudiowanego wdzięku. Chłopaczka z prywatnej szkoły, który dla rozrywki czołgał się na manewrach po równinie Salisbury, teraz zajmowały wrogie przejęcia. Przez chwilę Liz zastanawiała się, czy to naprawdę ten sam człowiek. W końcu nie dał w żaden sposób do zrozumienia, że ją poznał.

Wtedy Mark popatrzył w jej stronę, przez moment podtrzymał jej spojrzenie, po czym omiół wzrokiem pozostałych. Wciąż niczym nie zdradził, czy ją rozpoznał, ale już wiedziała, że to on. Co więcej, wyczuwała, że mimo pozorów towarzyskiego wyrobienia pamiętał tamten wieczór jeszcze lepiej niż ona. Szybko spuściła oczy, wpatrując się w notatki.

– No to Liz – głos Conrada oderwał ją od wspomnień – może zaserwujesz nam swoją strategię dla Metra?

Liz wlepiła wzrok w szefa i z trudem udało jej się odezwać. Kiedy zaczęła przedstawiać swoje propozycje dotyczące fabuł, dramatów i komedii, swoje plany co do aktualności, publicystyki i filmów dokumentalnych, poczuła, jak jej entuzjazm przebija się przez sztywny, formalny charakter spotkania, a nawet tu i ówdzie dostrzegła dodające otuchy uśmiechy. Mało tego, panowie najwyraźniej naprawdę uważnie słuchali, a ich pytania wskazywały, że traktują ją poważnie. W myślach odetchnęła z ulgą.

– Dobrze, Liz – wtrącił się w końcu Conrad. – Nie ma chyba wątpliwości, że pod względem kreatywności robisz imponujące wrażenie, ale telewizja w dzisiejszych czasach to będzie ciężki kawałek chleba. Niezależna telewizja komercyjna nie ma już monopolu na przychody z reklam. Walczymy na wszystkich frontach: BBC, wideo, a teraz jeszcze telewizja satelitarna zaczyna pożerać spory kawałek tortu. Przetrywamy, jeśli będziemy konkurencyjni. – Zawiesił głos i wiedziała, że szykuje się do zadania najważniejszego pytania. – Powiedz mi, Liz, o jakim budżecie myślałaś? Tak mniej więcej, oczywiście.

Liz rozpaczliwie usiłowała trzymać palce z dala od przycisku „Kasuj” w swojej głowie, będącego efektem nieprzespanych nocy i ciągłego zmęczenia, który czasem się uruchamiał i wymazywał to, co miała powiedzieć w kluczowych momentach. Przecież spodziewała się tego pytania. Spędziła połowę zeszłego wieczoru z kalkulatorem w ręku, by wiedzieć, o czym mówi.

Zawsze miała świadomość, że pomysły na ofertę programową przyjdą jej łatwo. Były jej mocną stroną. Ale pieniądze – to dopiero prawdziwy sprawdzian. Mogłeś być Stevenem Spielbergiem, ale jeśli nie miałeś finansowej biegłości księgowego, byłeś bez szans.

Rozejrzała się po twarzach poważnych panów w garniturach w prążki i uderzyła ją myśl, że tak naprawdę telewizja ich wcale nie interesowała. Obchodził ich tylko zysk, dochód, jaki mogło im przynieść Metro, kiedy już upora się z nużącym zadaniem produkowania programów. Telewizja była dla nich po prostu kolejnym towarem, jak nieruchomości, akcje czy udziały. Spośród nich tylko Conrad pracował wcześniej w tej branży, jeśli można tak nazwać produkowanie teleturniejów, przy których *Dobra cena* była szczytem wyrafinowania.

Wiedziała, że chcą usłyszeć konkretną liczbę, a przynajmniej jakiś przedział. A jednocześnie zdawała sobie doskonale sprawę z tego, że podanie im jakiegokolwiek kwoty byłoby szaleństwem, nieostrożną obietnicą, której gorzko by pożałowała, gdyby dostała tę pracę.

– Wiem, że idą ciężkie czasy, Conradzie, ale związywanie sobie rąk konkretnymi liczbami na tym etapie byłoby głupotą. Powiedzmy tylko, że wysokość budżetu byłaby realistyczna.

Był to unik i wszyscy o tym wiedzieli.

Wyczuła, że to koniec rozmowy. Conrad wstał i powiedział:

– Dziękuję, Liz, to było bardzo pomocne.

Wstała również i uściśniła podane jej dłonie. Mark Rowley wciąż choćby najdrobniejszym gestem nie zdradził, że się znają. Liz zaczęła się zastanawiać, że może jednak to nie ten sam facet.

Andrew uśmiechnął się do niej zyczliwie, kiedy wyszła. Claudia gdzieś znikła, przypuszczalnie pobiegła powiadomić redaktorów rubryk plotkarskich o swoim rychłym sukcesie.

Dopiero w połowie korytarza Liz zorientowała się, że zostawiła torebkę w gabinecie Conrada i przeklęła się w duchu za idiotyczną kobiecą obsesję noszenia jej wszędzie ze sobą.

Nasłuchiwała przez chwilę pod drzwiami, chcąc się upewnić, że nie trafi na jakiś krępujący moment. Zastygła z ręką gotową, by zapukać. Przez cienkie ściany działowe, będące źródłem irytacji wszystkich pracowników Metra – a także, jak powszechnie twierdzono, efektem zatrudnienia przez Conrada najtańszego wykonawcy, od którego wziął łapówkę – dźwięk przenikał doskonale, usłyszała więc, że zebrani w gabinecie dyskutują o jej wystąpieniu. Z zaskoczeniem skonstatowała, że opinie wszystkich były przychylne. Wszystkich, prócz jednej osoby.

Wyważonym, uprzejmym głosem Mark Rowley właśnie oznajmiał, że jego zdaniem Liz wciska im kit.

Liz aż zeszywniała z tłumionej furii. Po tonie jego głosu poznała, że jednak się nie myliła. To był ten sam facet, któremu wtedy, przed laty, dała kosza. I w dodatku był pamiętliwy.

W pierwszym odruchu, zrodzonym z awersji do konfrontacji, chciała machnąć ręką na torebkę i odejść. A potem pomyślała o Davidzie i o tym, jak miałyby mu się wytłumaczyć ze swojej ucieczki.

Bez pukania otworzyła drzwi i wpadła do środka, nie dając im czasu na zmianę tematu.

– Witajcie ponownie, panowie. Najmocniej przepraszam. Zapomniałam tego. – Schyliła się i podniosła torebkę. – Czy mogę dodać jeszcze jedną rzecz? – Powiodła po nich wzrokiem, uważając, żeby mówić przyjemnym, spokojnym tonem. – Nie wciskam kitu. – Uśmiechnęła się. – Oczywiście, to ja tak twierdzę, prawda? Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać, jak jest naprawdę. Mianujcie mnie na to stanowisko.

Sięgnęła do torebki, wyjęła plik kartek z obliczeniami, nad którymi pracowała poprzedniego wieczoru, i wepchnęła go Markowi Rowleyowi do rąk.

– Oto szczegółowo rozpisany budżet, którego potrzebuję, żeby zrobić z Metra najlepszą stację telewizyjną w Londynie. Wszystkie środki wykraczające poza ten budżet zdobędę sama dzięki sponsorom i koprodukcji.

Przy drzwiach odwróciła się i uśmiechnęła.

– Widzicie, panowie? Bez kitu.

W damskiej toalecie Liz spryskała sobie twarz zimną wodą i usiłowała ochłonać. Jakie to miało znaczenie, że zrobiła z siebie idiotkę i złamała wszystkie zasady korporacyjnej etykiety, wchodząc tam z powrotem? Tak czy inaczej, nie nadawała się na dyrektora programowego. Przyznała się do tego przed Davidem i taka była prawda. Przez ostatnie kilka dni dała się ponieść fantazji. Świat krawacıarzy i ich gabinetów należał do ludzi takich jak Claudia, którzy pomiatali innymi, i takich jak Mark, którzy potrafili chować urazę i mścić się po szesnastu latach. I niech go sobie wezmą!

Może pojedzie do domu i zje lunch z Jamiem i Daisy. Potrzebowała odetchnąć świeżym, niewinnym powietrzem; dobrze by jej zrobiło, rozwiało wciąż kipiące w niej złość i oburzenie.

– Kto by chciał być dyrektorem programowym? Jaaaa.... nie! – Sekretarka Liz, głosem wcale niepodobnym do Franka Sinatry z filmu *Wyższe sfery* (który śpiewał, że nie chce być milionerem), próbowała ją pocieszyć, podsuwając przy tym kawę i pączka, na oko dostarczającego cały dzienny przydział kalorii osoby będącej na diecie. Liz uśmiechnęła się z wdzięcznością i podniosła słuchawkę, żeby zadzwonić do domu. A niech to! Włączyła się automatyczna sekretarka i jej własny głos, brzmiący znacznie bardziej snobistycznie niż w rzeczywistości, poprosił o zostawienie wiadomości. Nagrała się, mówiąc Susie, żeby oddzwoniła, jeśli zamierzają jeść lunch w domu.

Pięć minut później rozległ się dzwonek telefonu i Liz rzuciła się odebrać, z nadzieją, że to Susie właśnie wróciła. Jeśli się pośpieszy, może dotrzeć do domu za pół godziny.

Ale to nie była Susie. Dzwonił Conrad z pytaniem, czy mogłaby przyjść na pięć minut na górę, gdyż podjęli decyzję.

Rozdział 3

Kiedy Liz dotarła do gabinetu Conrada, Andrew już czekał na korytarzu, ale, ku jej zdziwieniu, nigdzie nie było widać Claudii. W drzwiach pojawiła się głowa Conrada, który poprosił Andrew, by ten wszedł pierwszy.

Na stoliku przed nią leżał stos ilustrowanych magazynów, pogłębiając wrażenie nieprzyjemnej atmosfery poczekalni u dentysty. Liz przestała czytać czasopisma w dniu, w którym w dziale prasowym WHSmith sięgnęła po „Good Housekeeping” zamiast po „Cosmopolitan”, ale teraz, żeby się za bardzo nie denerwować, zaczęła przeglądać jedno z pisemek.

W połowie fascynującego artykułu o pracujących kobietach, które tną się po rękach, by w ten nieszablonowy sposób znaleźć ujście dla stresu, do Liz dotarła pełna groza jej sytuacji. Nie było najmniejszych szans, żeby mianowali na to stanowisko Andrew. Wezmą Claudię. O ile zaś on może będzie w stanie zmusić się, by zostać i pracować pod jej kierownictwem, to Liz nie zdoła tego zrobić. Prawda była taka, że będzie musiała złożyć rezygnację.

Niecałe pięć minut później otworzyły się drzwi i stanął w nich Conrad, otaczając ramieniem skulone barki Andrew. Wyglądał zupełnie jak Fred Flintstone wystawiający kota na dwór. Tyle że Andrew nie miał w sobie za grosz kociej ikry i przebiegłości. Raz wyproszony, nie będzie się pchał z powrotem do środka.

Conrad rozejrzał się, zdziwiony, najwyraźniej spodziewając się zobaczyć Claudię. Ona jednak ewidentnie wiedziała, że wyniki zostaną podane w odwrotnej kolejności, więc się nie śpieszyła. Spojrzał na zegarek i wzruszył ramionami.

Nadeszła kolej Liz. Wstała, wzięła głęboki wdech i weszła powoli do gabinetu, patrząc prosto przed siebie i unikając wzroku Marka Rowleya. Przez kilka ostatnich minut porządkowała myśli, więc miała już ułożoną w głowie mowę, którą wygłosi, składając wypowiedzenie.

– Proszę, siadaj, Liz. – Conrad, co ją zdumiało, wskazał jej miejsce na kanapie obok siebie, a nie krzesło, które zajmowała podczas rozmowy kwalifikacyjnej. Usiadła, powtarzając w myślach przygotowane wymówienie i obiecując sobie, że kiedy tylko stąd wyjdzie, pogna do domu zobaczyć dzieci.

Nagle poczuła się rozwścieczona kumoterską, koteryjną postawą tych pięciu mężczyzn, tym, że dali tę posadę Claudii, dziewczynie szefa, bo pasowała do image'u twardej, wrednej żony, który ich jednocześnie przerażał i podniecał, a ją, znacznie zdolniejszą, odprawili jako wciskającą kit blagierkę.

Może to będzie kolejny katastrofalny błąd, przez który przylgnie do niej łątka histeryczki albo agresywnej baby, bo tymi dwoma epitetami zazwyczaj zbywano wszelkie kobiece przejawy niesubordynacji, ale miała to gdzieś. Nie wyjdzie, dopóki nie odpłaci im pięknym za nadobne. Z przyjemnością powie im to

i owo o tym, że męskie wartości nie są jedynym ani nawet najlepszym sposobem prowadzenia interesów.

– Conradzie – zaczęła, wysuwając wojowniczo podbródek. – Wiem, co zaraz od ciebie usłyszę. Ale najpierw sama chciałabym powiedzieć dwa słowa.

– Ależ oczywiście. Od dzisiaj wszyscy będziemy musieli cię słuchać.

– Chciałam powiedzieć, że... – Urwała, bo właśnie dotarł do niej sens jego słów. – Masz na myśli...

– Naturalnie. Nie rób takiej zdziwionej miny. Zawsze wiedziałem, że masz prawdziwy talent do tworzenia programu, dlatego cię zatrudniłem, na litość boską. Ale te twoje wyliczenia budżetowe wszystkich nas zaskoczyły. Zwłaszcza Marka. – Wyszczrzył się do Rowleya, który odpowiedział zakłopotanym uśmiechem. – Gratulacje. Chcielibyśmy zaproponować ci stanowisko nowego dyrektora programowego Telewizji Metro.

Kiedy Conrad wyszedł wraz z Liz z gabinetu, Claudia raczyła się wreszcie pojawić i posłała mu leniwy, seksowny uśmiech, którego nie odwzajemnił. Przekazywane sekretarską pocztą pantoflową wieści były prawdziwe, jak to zwykle bywa. Rzeczywiście zaczynał mieć dosyć żądań Claudii. Za pierwszym razem, kiedy zanurkowała pod biurkiem i wzięła jego fiuta do ust, dałby jej wszystko, żeby tylko nie przerywać tego cudownego, zabarwionego ryzykiem uczucia podniecenia.

Ale zaczynała się za bardzo rozpychać. Na przykład ta kandydatura na dyrektor programową. Była zdolną menedżerką, ale pomysły miała beznadziejne. Poza tym, wiedział, co by się działo, gdyby dostała tę posadę. Nie minęłoby pięć minut, a zaczęłaby zbywać każdą jego sugestię jako ingerencję. Niedługo musiałby ją zwolnić. Wtedy pewnie poleciałaby do prasy, krzycząc: „Gwałcą!”. Dobry żart. Byłaby to najbardziej chętna ofiara w historii przestępczości. Mimo wszystko wcale się nie palił, żeby jej powiedzieć o decyzji, którą właśnie podjęli. Wiedział aż nazbyt dobrze, że nie takich wieści się spodziewała. Usiłując stłumić niespodziewany dreszcz paniki, przytrzymał jej drzwi.

– Claudio, pozwolisz na chwilę?

– Nie wierzę, że mi to robisz, Conradzie.

Claudia mówiła do niego tak, jakby pozostali zebrani nie istnieli. Wiedziała, że ostatnio przeciągała strunę, a on delikatnie się wycofywał, ale zakładała, że to dlatego, iż romans z dyrektor programową mógłby być nierozsądny. Widziała, że Conrad dystansuje się od niej i może nawet zakończy ich związek. Ale jakie to miało znaczenie, skoro miała tę posadę w kieszeni?

Niecałe trzy godziny temu byli razem w łóżku. A teraz mówił jej, że właśnie dał to stanowisko, jej stanowisko, Liz Ward. Proszę, oto on, chłodny i oficjalny, z tym swoim fiutem, którego ze sto razy skłaniała językiem do posłuszeństwa, bezpiecznie schowanym w spodniach prążkowanego garnituru, odgrywa rolę

współczującego szefa i spokojnie ją zdradza.

Mignęła jej szalona myśl, żeby go wydać. „Co innego mówiłeś wczoraj w nocy, z głową między moimi udami, kochanie”. Widziała malujący się na jego twarzy niepokój. Usiłował szybko załatwić tę rozmowę, splawić Claudię, wywinąć się z kłopotów, zanim ona zrobi coś, czego przyjdzie mu żałować.

Może miał nadzieję, że ona wyjdzie po cichu, a może nawet złoży rezygnację, jak z pewnością zrobiłaby kochana Lizzie. Ale Claudia nie miała takiego zamiaru. „To kobieta zawsze odchodzi” – takie ostrzeżenie dała jej jedna z koleżanek za pierwszym razem, kiedy wdała się w romans z kimś z tego samego biura. Jednak po pięciu latach to ona nadal tu pracowała, a on wyleciał. Jego żona się dowiedziała i wyrzuciła go z domu. A kiedy Claudia też zamknęła mu drzwi przed nosem, zaczął przesiadywać w barze i w ciągu pół roku został zwolniony.

Następnym razem to Liz odejdzie. A ona, Claudia, zostanie – jako dyrektor programowa. Była tego pewna. Od tej pewności i tłumionej furii zakręciło się jej w głowie, gdy pomyślała o krótkowzroczności tych pięciu głupich, słabych mężczyzn. To nie Liz Ward miała kierować Telewizją Metro, tylko ona.

– Dobrze, Conradzie, jeśli taka jest twoja decyzja. – Claudia wygładziła nieskazitelny czerwony kostium i wstała. – Gratuluję wyboru, panowie. Mam nadzieję, że nowa pani dyrektor spełni panów oczekiwania.

„Do zobaczenia w łóżku, ty gnoju – powiedziała w myślach. – Jeszcze z tobą nie skończyłam, Conrad. Właściwie nawet nie zaczęłam”.

Liz zbiegła trzy piętra po schodach do swojego biura, przekonana, że czeka na nią telefon z informacją, iż to wszystko była pomyłka. Ale wiwaty, które się rozległy, kiedy weszła do środka, mogły oznaczać tylko jedno: wieść już się rozeszła. Naprawdę dostała tę posadę.

Odśpiewano, radośnie i ogłuszająco, *For She's a Jolly Good Fellow*, a do ręki wciśnięto jej, wciąż oszołomionej i niedowierzającej, plastikowy kubeczek z ciepłym szampanem.

Udało się! Naprawdę tego dokonała. Zostanie pierwszą kobietą na stanowisku dyrektora programowego dużej stacji telewizyjnej w Wielkiej Brytanii, a może nawet na całym świecie! I odniesie sukces. Pokaże tym prądkowanym piraniom z zarządu, że nie trzeba być zołą, aby kierować firmą!

Sięgnęła po telefon i zadzwoniła do Davida, ale był na spotkaniu, więc musiała zostawić wiadomość jego sekretarce.

– Czy mogłaby mu pani przekazać, że nowa dyrektor programowa Telewizji Metro chce zaprosić go na kolację?

W głosie dziewczyny w słuchawce słychać było uśmiech, kiedy odparła, że powiadomi Davida.

– A teraz chciałbym wznieść toast. Za najgorętszą parę w mediach. Davida Warda, naczelnego „Daily News”, a pewnego dnia, kto wie, może szefa czegoś

trochę większego... – Logan Greene, magnat prasowy i jeden ze stu najbogatszych ludzi na świecie, podniósł kieliszek, by wypić za zdrowie jej i Davida – ...oraz jego uroczą żonę Elizabeth, świeżo mianowaną dyrektorką programową jednej z tych przyjemnych maszynek do drukowania pieniędzy, Telewizji Metro!

Liz schlebiało, że Logan zorganizował to przyjęcie w Ritzu, aby uczcić jej awans. Wiedziała, że oznacza to oficjalną aprobatę Logana Greene'a i zapewnia Davidowi dalsze pięcie się po korporacyjnej drabinie. Przed dzisiejszym wieczorem Logan zamienił z nią ledwie parę słów, a teraz nagle wznosił za nią toast. To się nazywało władza.

Zatrzymał się przy niej kelner i dolał jej szampana Krug z dobrego rocznika. Spojrzała w górę na ozdobiony girlandami sufit, na rzeźby i złożone meble, i uśmiechnęła się do siebie. Przybyła Liz Ward. Żałowała tylko, że nie ma tu z nią jej trzech przyjaciółek. Od końca studiów czternaście lat temu świętowały razem każdy awans i, Bogu dzięki, wspólnie opłakiwały porażki. A tego wieczoru byłyby zachwycone.

Poczuła, jak David obejmuje ją w talii, szczęśliwy i dumny z jej sukcesu.

– Wiedziałem, że ci się uda! Conrad ma lepszy gust, niż myślałem. – Delikatnie wtulił się w jej szyję. Liz ujęła jego dłoń, przyłożyła ją sobie do policzka. Miała świadomość, że wszyscy na sali na nich patrzą, ale co tam. To była ich chwila i, Bóg jej świadkiem, ciężko na nią zapracowali. Powiodła wzrokiem po pełnych podziwu twarzach i nagle przebiegł ją przyjemny dreszcz podniecenia. A więc to tak odczuwa się sukces. Po raz pierwszy w życiu zdała sobie sprawę, jak mocno to uczucie uderza do głowy. Spojrzała na Davida, głaszcząc w milczeniu jego dłoń. Ale on już na nią nie patrzył. Wbił wzrok w pewnego siebie młodego człowieka rozmawiającego z Loganem w drugim końcu sali.

David odwrócił się gwałtownie i, dość niegrzecznie, zdaniem Liz, wtrącił się w rozmowę osób siedzących obok nich.

– Bert, co tu robi zastępca naczelnego „World News”, na litość boską? Przecież to wróg.

Redaktor działu wiadomości wyraźnie się spieszył.

– Już nie. Logan właśnie go przyjął jako doradcę specjalnego. Nie wiedziałeś?

– Proszę cię, Jamie, daj mi spokój! – Liz słyszała irytację w swoim głosie i poczuła znajomy wyrzut sumienia. Było sobotnie popołudnie, czas przeznaczony dla niego, nie dla niej. – Mama musi to skończyć przed podwieczorkiem. Idź do tatusia, kochanie.

Rozczarowany Jamie odszedł w poszukiwaniu Davida, ściskając w ręczce samolot, który właśnie zrobił z klocków „kolczatek”. Do rozpoczęcia nadawania zostały tylko dwa miesiące i Liz zaczęła łamać złotą zasadę, której dotąd zawsze starała się trzymać: nie przynosić pracy do domu w weekendy.

„To się niedługo skończy” – powiedziała sobie, mając nadzieję, że może w to wierzyć. Zerwała się z krzesła i pobiegła za synem.

– Przepraszam, kochanie. Pokaż mamusi. Czy to ptak, czy to samolot, czy to... Jamieeeee! – Poderwała go z ziemi i pohuściła nim w powietrzu, udając, że lata jak Superman. Dawała mu nagrodę pocieszenia, wynikającą z poczucia winy, wiedząc, że chciał miłości i uwagi. Nie było to dużo, ale musiało wystarczyć. Dopóki nie zaczną nadawać i życie znów stanie się prostsze.

– O której pani dzisiaj wróci?

Liz starała się zignorować nadąsany ton niani, wyjmując z teczki do połowy zjedzone jabłko, które zapobiegliwie włożyła tam Daisy. Poniedziałkowe poranki zawsze były fatalne, poza tym wiedziała, że Susie zaczyna irytować konieczność codziennego zostawiania z dziećmi wieczorem. Gdyby tylko David mógł od czasu do czasu wrócić wcześniej do domu, ale on się upierał, że to nie wchodzi w grę. Musiał być w redakcji, żeby zamknąć numer. Właściwie robiło się coraz gorzej. Zostawał w pracy jeszcze dłużej, a gdy docierał do domu, był tak zmęczony, że miał siłę tylko paść na łóżko. A kiedy ona chciała o tym porozmawiać, za każdym razem ją zbywał.

– Przed ósmą, Susie, obiecuję!

Susie spojrzała na nią sceptycznie.

Liz była świadoma tego, że od kilku tygodni wracała o dziesiątej, jedenastej wieczorem. Ale miała tyle roboty. Nie była przyzwyczajona do zarządzania wielkim budżetem, układania ramówki na całe tygodnie, planowania konferencji prasowej z okazji premiery, nadzorowania prezentacji oferty największym reklamodawcom. Była wykończona. I tęskniła za Jamiem i Daisy bardziej, niż śmiała przyznać. Wiedziała jednak, o jak wysoką stawkę toczy się gra: musiała pokazać nie tylko, że kobieta da radę, ale że robi to po mistrzowsku.

– Będzie łatwiej, jak już zaczniemy nadawać – powiedziała kojąco. – Wszystko się uspokoi i będę mogła wracać wcześniej.

– Tak. – W tonie Susie wyraźnie słyszała dezaprobatę. – Ale to będzie dopiero za dwa miesiące! Poza tym czy potem też nie będzie pani musiała niesamowicie ciężko pracować?

– Wszystko się ułoży, Susie. Po prostu dalej rób swoje, dobrze?

Liz wiedziała, że nie powinna być niegrzeczna, że życie jej i jej dzieci kręciło się wokół tej dziewczyny, ale Susie właśnie podpaliła lont i sprawiła, że w Liz eksplodował jeden z jej najgłębiej skrywanych lęków. Czy sytuacja rzeczywiście się poprawi, kiedy już wejdą na antenę, czy tylko oszukiwała samą siebie?

A, co tam. Wystarczająco dużo rzeczy spędzało jej sen z powiek, nie będzie się jeszcze martwić, czy aby nie obraziła cholerne niani!

– Oczywiście, że będzie łatwiej. – Mówiąc to, Liz próbowała przekonać

także samą siebie. – Będę swoim własnym szefem i będę mogła lepiej zarządzać czasem.

Susie uniosła minimalnie brwi, ale nic nie powiedziała. Lubiła Liz i nie chciała wylecieć z pracy. Dom Wardów był szczęśliwy i ciekawy, widziała też, że David i Liz się kochają i kochają swoje dzieci. A pracowała już u wystarczająco wielu rodzin, by wiedzieć, jakie to rzadkie. Ale ona też kochała Jamiego i Daisy. Na tym właśnie polegał problem. Bo dostrzegała coś, co Liz, zaślepionej swoją nową obsesją na punkcie pracy, wyraźnie umykało: że kiedy oboje, ona i David, tak ciężko pracują, Jamie i Daisy są zaniedbywani.

Od kilku tygodni Susie prawie codziennie sama kładła dzieci spać i chociaż cieszyła się z dodatkowych pieniędzy, które zarabiała, to serce jej pękało, kiedy każdego wieczoru musiała im mówić, że nie, mamusia nie wróci, zanim zasną, i patrzeć, jak miny im się wydłużają. Przyszła pora, żeby zacząć głośno o tym mówić.

Liz usiadła i udawała, że czyta jakiś dokument. Czy Jamie rzeczywiście był nieszczęśliwy? Wiedziała, że w tej chwili zawodzi swoje dzieci. Ale to już nie potrwa długo. Sytuacja musiała się poprawić. To największe wyzwanie jej życia i musiało jej się udać. Wkrótce wszystko znów będzie dobrze. Prawda?

Liz rozejrzała się po sali pełnej dziennikarzy, którzy pragnęli się dowiedzieć, czy Metro TV zaproponuje widzom coś ciekawszego od pośledniej rozrywki i tanich oper mydlanych, które to menu doprowadziło ich poprzedniczkę, Capital TV, do utraty koncesji.

Na razie wszystko szło dobrze. Przedstawiony przez Metro pakiet nowych gwiazd i świeżych programów dziennikarze potraktowali z uprzejmością, co, oczywiście, mogło również znaczyć, że zamierzali go niemiłosiernie zjechać w swoich gazetach. Z prasą nigdy nic nie wiadomo.

Liz wzięła głęboki wdech i postukała widelcem w swój kieliszek wina, aby zwrócić uwagę zebranych. Ćwiczyła przemówienie przez cały dzień, ale jak się przekonała, pracować w telewizji to jedno, a występować – zupełnie co innego.

– Bomba! Byłaś genialna!

Liz uśmiechnęła się blado. Przygotowanie prasowej premiery nowych programów Metra wyssało z niej energię do ostatniej kropli. Teraz, kiedy już było po wszystkim, miała ochotę paść na łóżko i spać przez tydzień, a może nawet przez miesiąc. Conrad chwycił ją za rękę i ciągnął w kierunku swojego gabinetu, żeby uczcić sukces toastem. Jednak ona pragnęła tylko jednej rzeczy na świecie: jak najszybciej wrócić do Jamiego i Daisy.

Była szósta po południu; jeśli się pośpieszy, dotrze do domu akurat tuż przed porą kładzenia dzieci do łóżek. Ignorując pełne dezaprobaty spojrzenie Conrada, zbiegła osiem pięter po schodach na firmowy parking.

Trwały godziny szczytu, a cała sygnalizacja świetlna w Londynie jakby

sprzysięgła się przeciwko niej. Dlaczego nie zadzwoniła i nie poprosiła Susie, żeby jeszcze ich nie kładła? Czując się jak tchórz, uświadomiła sobie, że nie zadzwoniła, bo oznaczałoby to przyznanie dziewczynie racji. Poza tym chciała zrobić im niespodziankę. Ścinając zakręty z piskiem opon i przejeżdżając każde skrzyżowanie na żółtym, zdała sobie sprawę, jak bardzo jest podekscytowana. Już za pięć minut ich przytuli!

Było dziesięć po siódmej, kiedy samochód wreszcie zahamował z piskiem opon przed domem, a Liz wbiegła na górę z walącym sercem, wyobrażając sobie radosne okrzyki dzieci, kiedy ją zobaczą.

Zamiast tego powitała ją niemal upiorna cisza. Z łazienki wyszła Susie z jednym z pajacyków Daisy w dłoni.

– Liz! – Uśmiechnęła się z zakłopotaniem, przypominając sobie słowa, którymi ją pożegnała. – Akurat dzisiaj wieczorem to się pani nie spodziewałam. Jak poszła premiera?

Liz wiedziała, że Susie wyciąga rękę do zgody, ale ostatnią rzeczą, na którą miała ochotę, było wdawanie się z nią w dyskusję o pracy. Zwłaszcza że zależało jej tylko na przytuleniu Daisy i Jamiego i przeczytaniu im bajki na dobranoc

– Dobrze. Gdzie dzieciaki?

Susie spojrzała na nią z lekkim poczuciem winy.

– W łóżkach, niestety. Były skonane, więc położyłam je wcześniej.

Poczuła się, jakby dostała kopniaka w zębra. Tak strasznie chciała je zobaczyć. Podeszła do drzwi Jamiego i uchyliła je na kilka centymetrów. Leżał na plecach na kołdrze, z rozrzuconymi rękami, pogrążony we śnie tak głębokim, jak to tylko możliwe w dzieciństwie. Jego ciemne włosy sterczały niczym miniaturowy irokez.

Przemknęła jej myśl, żeby go obudzić, ale po chwili dotarło do niej, że byłby to egoizm. Zadowolona się więc nieco zbyt energicznym otuleniem go kołdrą, z nadzieją, że i tak się obudzi albo przynajmniej uśmiechnie się do niej przez sen. Ale nic z tego.

Siedząc na brzegu łóżka, pogłaskała go po włosach. Wyglądał na całkiem szczęśliwe dziecko. Może jednak tylko się oszukiwała? Wyszła po cichu z pokoju i postanowiła zrobić sobie dużego drinka. Potrzebowała się napić. Dzięki Bogu jutro zaczynał się weekend i nareszcie oboje, ona i David, będą w domu.

Przez dłuższą chwilę Liz leżała na wpół rozbudzona w wielkim łóżku, patrząc na promienie słońca wlewające się do sypialni przez szczeliny z boku żaluzji, po czym się przeciągnęła. Mieli przed sobą cały dzień razem. Basen, przygodowy plac zabaw, teatr lalek, pizza w parku. Czysta błogość! Co u licha robili całymi dniami w czasach przed dziećmi? Wydawało się jej niemożliwe, że mieli je czym wypełnić. A potem sobie przypomniała. Nastrojowy seks.

Nieśpieszny poranek z czytaniem gazet w łóżku. Szybki wypad do delikatesów po domowy makaron i sos pesto na kolację. Lunch w Julie's. Szperanie po sklepach na Portobello Road w poszukiwaniu antyków.

A co najśmieszniejsze – chociaż wiedziała, że za nic w świecie nie da rady wytłumaczyć tego swoim bezdzietnym przyjaciółkom – z całej tej listy wiało jej teraz nudą! W końcu ile można zjeść wybornych obiadów, do ilu cudownych miejsc pojechać na wakacje, zanim wszystkie zaczną wydawać się takie same? Dzieci są przynajmniej nieprzewidywalne!

Jak na zawołanie do sypialni wpadł Jamie z gołym tyłkiem, w samej górze od piżamy i w jej butach na obcasach. Daisy dołączyła do brata przystrojona w podobnym duchu, z założonym na głowę koszem na śmieci z postaciami z bajki *Tomek i przyjaciele* i piżamą pomazaną flamastrem.

– Gdzie tatuś? – zapytała słabym głosem Liz, chowając głowę pod kołdrę i nagle doceniając myśl o lunchu w Julie's bez dzieci.

– Da da da da da da! – rozległo się fałszywe zawrodozenie z za drzwi. Jamie i Daisy zakryli uszy dłońmi, a do sypialni wszedł tanecznym krokiem David, niosąc tacę ze śniadaniem i gazety.

Oślepiło ją światło poranka, kiedy energicznym szarpnięciem podniósł żaluzje. Rzuciła się na „Daily Mail”, żeby zerknąć na relację z premiery prasowej Metra, ale David był szybszy. Wyciągnął z gazety strony telewizyjne, zgniótł je w kulę i cisnął za okno, wywołując tym euforię Jamiego i Daisy, którzy natychmiast dorwali się do reszty gazet i poszli za jego przykładem, zachwyceni tą nową, dotychczas zabronioną zabawą.

– Hej! – zaprotestowała Liz, wyskakując z łóżka. David popchnął ją z powrotem na pościel.

– Dostajesz dzisiaj zakaz czytania o telewizji. Masz się relaksować. Problem z tobą jest taki, że uważasz telewizję za sprawę życia i śmierci.

Liz uśmiechnęła się i oparła o poduszki.

– A wcale nią nie jest, co?

– Nie, nie jest – potwierdził David.

– Bo jest znacznie ważniejsza!

David rzucił się na Liz, okładając ją wypchaną pierzem poduszką, aż wśród pisków zaczęła błagać o litość, płacząc ze śmiechu.

Nagle poczuła, że dłoń Davida wsuwa się za dekolt jej koszuli nocnej i zaczyna głaskać jej pierś. Mimo obecności Jamiego i Daisy jej sutki zeszytwniały w odpowiedzi i przeszył ją niespodziewany dreszcz pożądania.

– David! – zbesztala go łagodnie. – Nie przy dzieciach!

– Racja – zgodził się David, złącząc z niej. Delikatnym, ale stanowczym gestem wziął syna i córkę za rękę. – Chodźcie z tatą. – Wyprowadził dzieci z sypialni i zeszedł razem po schodach. – Tatuś ma dla was film na wideo.

Kiedy dotarli do salonu, usłyszała jego sceniczny szept:

– Tu macie dwie paczki smarties. Tylko nie mówcie mamie. – Po czym kilkoma susami wbiegł z powrotem na górę.

Uśmiechając się lubieżnie, zamknął drzwi na klucz.

– Na czym to stanęliśmy, pani Ward?

Kiedy wskoczył do łóżka, spostrzegła, że jego członek wychyla się zawadiacko z bokserek i stłumiła chichot.

Szybko jednak przestała się śmiać, bo dłonie Davida znów wsunęły się pod jej koszulę nocną, jedna pieściła jej sutek, druga zagłębiała się łagodnie w gościnną wilgoć między jej nogami. Po kilku sekundach Liz zapomniała o wszystkim. O telewizji. O niani. Nawet o swoich macierzyńskich obowiązkach, gdy oboje przywarli do siebie, kochając się radośnie i namiętnie.

Orgazm był już blisko, brakowało zaledwie sekund, kiedy nagle rozległo się łomotanie do drzwi i krzyk Jamiego:

– Tato! Tato! Kasetą się skończyła!

Liz poczuła, że David wiotczeje jak przekłuty balon.

– Powiedz mi... – Opadł ze śmiechem na jej piersi i przytulił się do niej. – Czyj to był pomysł, żeby mieć dzieci?

– To jaka jest ta twoja nowa szefowa? – Steffi Wilson, odpowiedzialna za rubrykę towarzyską i wywiady z gwiazdami w „Daily World”, zauważyła, że na dźwięk słowa „szefowa” Claudia się wzdrygnęła. – Podobno na premierze prasowej dziennikarska brać na wyścigi oddawała jej pokłony.

Steffi przysunęła się bliżej do swojej starej przyjaciółki Claudii Jones, z którą siedziała w Harry’s Bar, i zamówiła kolejne bellini. Przepyszna mieszanka szampana i soku brzoskwiniowego zawsze przypominała jej wyjazdy do Wenecji na koszt firmy. Oczywiście, odkąd zaczęła pracować w „Daily World”, to się już nie zdarzało. Jej obecnych pryncypałów interesowało wyłącznie to, jak wydymać ludzi tanim kosztem. Ale przynajmniej płacili za to hojne pensje.

Steffi знаła Claudię od piętnastu lat, odkąd chodziły razem do szkoły. Żadne tam Roedean czy Cheltenham Ladies’ College. Były absolwentkami Southend Grammar i to wytworzyło między nimi solidarność, jakiej nie mogłaby im dać żadna ekskluzywna prywatna szkoła. Tylko one dwie przebiły się przez firanki, meblościanki oraz odświeżacze powietrza Airwick Mist i wyrwały się z peryferii w wielki świat.

– Tak. – Claudia starała się nie okazywać złości, nawet przy Steffi. – Podobno.

– No to co poszło nie tak? Myślałam, że masz Jankeskiego Karła pod pantoflem i robota jest twoja.

– Ja też tak myślałam, aż tu ta cholerna Liz Ward odstawia Superwoman, a zarząd gładko połyka haczyk.

– Przykra sprawa. To jaka ona jest? Nigdy wcześniej o niej nie słyszałam. Pewnie to typowa kobieta sukcesu? Ciuchy od projektantów, służbowy merol, osobisty trener, ekskluzywne wakacje w Club Med?

Claudia zaśmiała się ponuro, przypominając sobie jedyny porządny kostium Liz z dziecięcym pawiem na ramieniu.

– Raczej masakra z sieciówki, volvo estate i domek letniskowy w Devon.

Wychyliła swoje bellini i poweselała. Spłynęło na nią olśnienie. Steffi szybko zyskiwała renomę najzłośliwszej jędry w świecie słowa drukowanego.

– Wiesz co, powinnaś zrobić z nią wywiad. „Stephanie Wilson specjalnie dla was, drodzy czytelnicy”. Liz by cię zainteresowała. Widzisz, moim zdaniem w tej najpotężniejszej kobiecie w telewizji drzemie mamuśka z przedmieść, która usiłuje wyrwać się na wolność. Powinna odwozić dzieci do szkoły, a nie kierować stacją telewizyjną. Pytanie tylko, jak długo potrwa, zanim to do niej dotrze.

Widziała, że Steffi jest zaintrygowana. Nienawidziła pracujących matek tak samo jak Claudia. Niedoszła dyrektor programowa przysunęła się jeszcze bliżej do przyjaciółki i rozejrzała pośpiesznie wokół, po czym dodała:

– Może dzięki tobie mogłoby dotrzeć nieco szybciej.

– A wtedy ty wskoczyłabyś na jej miejsce? – Steffi uśmiechnęła się do Claudii znad kieliszka.

– Właśnie.

– A jak twoim zdaniem mam z niej to wszystko wydusić?

– Nie wiem. To ty jesteś dziennikarką. Oskarż ją, że jest złą matką. – Claudia wysączyła ostatnie krople bellini. – A jeszcze lepiej wygrzeb na nią jakieś brudy. Porozmawiaj z jej nianią. Słyszałam, jak narzeka, że niania się na nią wkurza.

Steffi zastanowiła się przez chwilę. To nie był zły pomysł. *Telewizyjna potentatka zaniedbuje dzieci*. A „Daily World” niczego nie lubił bardziej, jak przywalić ludziom z telewizji. Zwłaszcza kiedy traf chciał, że osoba z telewizji, o której mowa, była żoną naczelnego konkurencyjnej gazety.

– No dobra, kochana. – Steffi stuknęła w kieliszek Claudii swoim. – Zobaczą, co da się zrobić.

Rozdział 4

– Trzydzieści... dwadzieścia pięć... dwadzieścia... piętnaście sekund do wejścia na antenę...

Liz, która siedziała w reżyserce studia transmisyjnego i słuchała odliczania asystentki, wstrzymywała oddech. Za piętnaście sekund Telewizja Metro zacznie nadawać swój pierwszy program i niebawem się okaże, ile jest warta ciężka praca, którą wykonała w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Była to najbardziej przerażająca i zarazem najwspanialsza chwila w jej życiu. Mogła ją porównać tylko do jednej rzeczy – porodu. Z tą różnicą, że kiedy rodzisz, nie ogląda tego osiem milionów ludzi. Bogu dzięki.

– Studio, proszę się przygotować – ostrzegł kierownik planu kilku techników, którzy według Liz podchodzili do życia ze zbytnim luzem i jeszcze nie odłożyli gazet.

– Dziesięć sekund do wejścia na antenę. Dziewięć. Osiem. Siedem. Sześć. Pięć sekund. Trzy. Dwa. Jeden. Napisy. No i już, proszę państwa! Jesteśmy na antenie!

Liz oglądała kapitalną czołówkę Metra chyba po raz milionowy i wciąż była nią zachwycona. Niewidoczna na ekranie osoba, reprezentowana przez oko kamery, szła ulicami Londynu, patrząc na high life i półświatek, kulturę i zbrodnie, politykę i imprezowanie, a wszystko to w jednym, niezmontowanym ujęciu. Całe miasto będzie się spierać, jak to zrobili. Stopklatka z tej czołówki znajdzie się jutro na okładce „TV Week”.

Kiedy na koniec wyświetliło się logo stacji – duża czerwona litera M przecięta błyskawicą – które niedługo miało stać się powszechnie znane, Liz opadła na oparcie i zamknęła oczy. Na górze czekał na nią tłum reklamodawców, dziennikarzy i grubych ryb z dyrekcji. Wstała. I wtedy uświadomiła sobie, że wszyscy w studiu i w reżyserce też zerwali się z miejsc. Właśnie dostawała owację na stojąco.

– Robisz furorę, Lizzie! Telefon dzwoni non stop! – syknął Conrad, kiedy tylko weszła do środka.

– Każda gazeta w kraju chce z tobą rozmawiać – wtrąciła Cindy, specjalistka Metra od PR-u. – Kolorowe dodatki i prasa kobieca też. Ho, ho, ale będziesz zajęta!

Liz poczuła się tak, jakby właśnie lekarz powiadomił ją o bardzo poważnej chorobie. Ostatnie kilka dni, kiedy dopieszczali premierowe programy, były koszmarem. Oglądała wstający nad rzeką świt częściej niż jako przedstawicielka złotej młodzieży w Oksfordzie. A już nie była złotą młodzieżą. Była wykończona.

Kiedy jednak elegancko pozowała fotografom na tle rzeki w pośpiesznie

kupionym kostiumie od Arabelli Pollen w kolorze słonecznej żółci, kostiumie, który kosztował więcej, niż zazwyczaj wydawała na ciuchy przez cały rok, wiedziała, że to świetne wieści dla Metra, nawet jeśli sama czuła się jak wyjątkowo sztywne zombie. A gdy Cindy wręczyła jej kieliszek szampana, uśmiechnęła się i zaczęła się dobrze bawić.

Fotografowie pognali z powrotem do swoich redakcji, żeby wydrukować zdjęcia, a ją dopadła Cindy z plikiem papierów ze szczegółami dotyczącymi wywiadów.

– Czujesz się silna jak koń, mam nadzieję? Bo będziesz musiała! Umówiłam cię dzisiaj na cztery wywiady dla ogólnokrajowych dzienników i na dwa czy trzy jutro dla czasopism. Tu masz harmonogram. – Cindy wręczyła jej wydrukowaną kartkę. – „Daily Mail” o drugiej, „Guardian”, oczywiście, o trzeciej trzydzieści, „Today” o piątej. Potem jeszcze ITN chce zamienić z tobą słówko do materiału w wiadomościach. – Dziewczyna zerknęła w notatki i dodała z akcentem zdziwienia: – Aha, i jeszcze ściga cię Steffi Wilson z „Daily World”. – Uśmiechnęła się do Liz, by dodać jej otuchy. – Nie sądziłam, że to jej teren, ale nie odmawia się osobie, która ma cztery miliony czytelników. Znasz Steffi?

– Tylko ze słyszenia. Nie nazywają jej przypadkiem Królową Jadu?

– A i owszem. Chce zostać nową Julie Burchill i jest gotowa iść po trupach do celu. W każdym razie zaproponowała, żeby spotkać się jutro wieczorem, u ciebie w domu, dla dodania kolorytu. Może powinnam przy tym być?

– Nic się nie bój – odparła Liz beztrosko, chociaż wcale się tak nie czuła. – Jestem już dużą dziewczynką.

– Mam nadzieję – powiedziała Cindy denerwująco zaniepokojonym tonem. – Na pewno będziesz musiała nią być. – Wręczając Liz listę planowanych wywiadów, zastanawiała się, czy pani dyrektor widziała artykuł w ostatnim numerze „Press Gazette” o tym, że „Daily World” wypycha „Daily News” z niszy najpopularniejszego tabloidu.

Steffi zerknęła we wsteczne lustro, parkując przed przedszkolem Jamiego. Ustalenie, do której z garstki małych prywatnych placówek para rzutkich medialnych profesjonalistów posłała swoje dziecko, przyszło jej z łatwością. Potem musiała tylko zadzwonić i sprawdzić, czy chłopak rzeczywiście tam chodzi. A teraz wystarczy, żeby wmieszała się w rodzicielski tłumek, jakby odbierała dziecko. Problem w tym, że nie wyglądała jak niania ani jak mamuśka. Prędzej jak krupierka albo może luksusowa burdelmama. Będzie po prostu musiała udawać złą ciotkę jakiegoś bachora. Rola w sam raz dla niej.

Bardzo dobrze, przed wejściem już czekało kilka matek, a jedna z nich wyglądała na pierwszorzędną obiekt zakusów Steffi – osobę, która z pewnością puści nieco farby. Duża, źle ubrana, wyraźnie była zawodową kwoką, przekonaną, że pierwsze dwadzieścia jeden lat życia dziecko powinno spędzić pod skrzydłami

matki. Bez wątpienia nauczyła swoje dzieci czytać, pisać i grać na pianinie sonaty Mozarta, zanim skończyły osiemnaście miesięcy. Dziennikarska intuicja podpowiadała Steffi, że to właśnie taka osoba, która skwapliwie obsmaruje pracującą matkę.

Patrzyła, jak kobieta pochyla się do znajomej i szepcze jej do ucha, wcześniej rozejrzawszy się ukradkiem. „Wredne babsko w sam raz dla mnie – pomyślała Steffi. – Wścibska małpa światowej klasy”.

W tak małym przedszkolu matki na pewno będą wiedziały o wszystkich swoich grzeskach. Uśmiechając się słodko, Steffi przedstawiła się jako ciocia małej Sophie. Musiała być jakaś Sophie w tej bandzie zadzierających nosa bachorów, na litość boską.

Steffi oparła się o ogrodzenie.

– Widziałyście panie mamę Jamiego w dzisiejszych gazetach? Jest szefową tej nowej telewizji. Musi być zaharowana. Taka praca i do tego dwójka dzieci.

Wścibska małpa, która sama porzuciła niezbyt rokującą karierę w reklamie, żeby opiekować się swoją córką Indią-Jane, wyraźnie się zjeżyła.

– Biedne dzieciaczki! Wie pani, ona ich nigdy nie widuje. Jak je odwozi, to nie może się doczekać, żeby wskoczyć z powrotem do tego swojego idiotycznego samochodu. A czy przyszła kiedyś na którąś z przedszkolnych imprez? Nigdy. No, w każdym razie rzadko. – Zrobiła efektowną pauzę i przysunęła się tak blisko, że Steffi miała ochotę się cofnąć, by uciec przed zapachem woreczków na zużyte pieluszki i rzygowin. – Nie była na wieczorze średniowiecznym, na rodzinnym quizie ani na konkursie rzucania kaloszem do celu na rzecz funduszu bibliotecznego dla maluchów. Wiem. Bo to ja to wszystko organizowałam.

– Potworne. – Steffi starała się nadać swojemu głosowi odpowiednio zbulwersowany ton.

– Po co w ogóle chciała mieć dzieci? Bóg raczy wiedzieć. Ale Susie, ich niania, jest wspaniała. Prawdziwa opoka. Chociaż nawet ona ma dosyć. – Zniżyła teatralnie głos i nachyliła się jeszcze bliżej. – Zastanawia się, czy nie odejść. Już nie wytrzyma.

Susie jak najszybciej pchała wózek Daisy i klęła pod nosem. Spóźni się po Jamiego.

Kiedy dotarła do przedszkola, prawie wszystkie dzieci zostały już odebrane. O Boże, to ta straszna Maureen Jakaśtam. Była pogrążona w rozmowie z wypacykowaną kobietą w różowym kostiumie, więc Susie miała nadzieję, że pozostanie niezauważona. Ale było już za późno.

– Susie – zawołała Maureen tubalnym głosem. – Chodź, poznasz cicię Sophie. Jest nowa w tej okolicy i nikogo nie zna.

Steffi odwróciła się do Susie i uśmiechnęła się promiennie.

– No właśnie. Mam opiekować się Sophie przez dwa tygodnie, a czuję się tu

sama jak palec. Może mogłabym postawić ci kawę i podpytać, jak zapoznać się z innymi rodzicami? Bo ty pewnie znasz wszystkich.

Susie zarumieniała się lekko. Sugestia, że stanowi trzon lokalnej społeczności, sprawiła jej przyjemność.

– Widziałam miłą kawiarnię za rogiem – dodała Steffi zachęcająco. – Może mogłybyśmy tam pójść?

Susie chciała się odchudzać, ale nie mogła oprzeć się myśli o cappuccino i tarcie z truskawkami w Le Gourmet. Bywała tam od czasu do czasu z innymi nianiami, ale było tam tak szaleńczo drogo, że przestała chodzić. A ta kobieta proponowała, że będzie stawiać.

– Dobrze – zgodziła się. – Ale najpierw muszę pójść po Jamiego.

Wychowawczynie zwróciła jej ostro uwagę na spóźnienie, a Jamie wybrał sobie akurat ten dzień, żeby zgubić adidasy, więc kiedy wyszła z przedszkola, zła i wytracona z równowagi, nie zarejestrowała faktu, że ciocia Sophie najwyraźniej zapomniała odebrać Sophie.

Dopiero później tego wieczoru, w domu przed telewizorem, Susie uderzyła myśl, że w Przedszkolu Panny Sloane nie ma żadnej Sophie.

Kiedy następnego dnia wieczorem Steffi Wilson zjawiła się u Wardów, Liz była już po czterech wywiadach i czuła się zmęczona i podenerwowana. Nie zdawała sobie wcześniej sprawy, jakie to stresujące – starać się wypaść błyskotliwie, sypiąc tekstami godnymi przytoczenia. I to cztery razy w ciągu jednego dnia. Gorzko żałowała, że zgodziła się, by ta przeklęta baba przeprowadziła z nią wywiad w domu, zwłaszcza zważywszy na jej reputację osoby dymającej swoich rozmówców. Odbierała to tak, jakby taka rozmowa bardziej ingerowała w jej prywatność, jak gdyby pozwalała komuś obcemu zajrzeć do swojej szafy i szperać w szafkach w łazience. Po raz pierwszy zrozumiała, dlaczego tyle gwiazd Metra żądało, by wywiady z nimi robiono wyłącznie w anonimowych pokojach w hotelach. Ale było za późno. Już słyszała dzwonek do drzwi.

Liz uśmiechnęła się cierpko, otwierając gościowi, i miała nadzieję, że dziennikarka nie zauważy jej zdenerwowania.

Steffi obdarzyła Liz, ubraną w markowy kostium, tylko jednym spojrzeniem okraszonym pełnym wyższości uśmieszkiem i uznała, że jej nie cierpi. Claudia mogła sobie podejrzewać, że Liz usycha z tęsknoty za staniem przy garach, ale Steffi widziała to inaczej. Jej zdaniem dyrektor programowa Metra wyglądała jak jeszcze jedna cholerna Superwoman. Boże, wszędzie było ich pełno! Z białą plamą wymiocin na ramieniu eleganckiej garsonki, tym symbolem późnego, czułego macierzyństwa, szły beztrudno przez życie z przekonaniem, że mogą Mieć Wszystko. A kiedy robiło się gorąco, oczekiwały od całego świata taryfy ulgowej.

Steffi na pamięć znała zyciorysy takich kobiet jak Liz. Codziennie trafiały na

jej biurko. „Jako prezeska ICI i matka sześciorga dzieci, Dawn jest zabiegana zarówno w pracy, jak i w domu...”. Bla, bla, bla. Aż się człowiekowi chciało rzygać.

Kiedy Liz poszła po butelkę wina, Steffi rozejrzała się po kuchni. Jej uwagę zwróciła bladożółta zabudowa z rodzinnymi zdjęciami przyklejonymi do każdego wolnego kawałka powierzchni. Dlaczego pracujące matki zawsze atakowały cię zdjęciami swoich cholernych dzieci, jakby to były jakieś trofea? Oto Jimmy, wypchany i powieszony na ścianie, rocznik '83.

Może widywały je tak rzadko, że nie pamiętały, jak wyglądają? Skoro je tak bardzo kochały, to dlaczego się nimi nie opiekowały, do ciężkiej cholery, tylko przekazywały je jakiejś nastolatce pokroju Susie, która prawdopodobnie zmuszała ich pociechy do oglądania telenoweli i zamykała je na klucz w ich pokojach, a sama bzykała się ze swoim chłopakiem?

Gdyby Steffi miała dzieci – niech Bóg broni – natychmiast rzuciłaby pracę. Jej zdaniem naprawdę dobrze można robić tylko jedną rzecz naraz. Na szczęście, nie miała zamiaru się rozmnażać.

Jej wzrok padł na korkową tablicę. Ha! Pyszniło się tam, przypięte pinezkami, dziesięć przykazań pracującej matki: grafik opieki nad dziećmi, listy zakupów, rozkład odwożenia na lekcje muzyki, lekcje tańca, lekcje tenisa. I pewnie jeszcze, Boże dopomóż, na naukę gry na skrzypcach metodą Suzuki i do Akademii Mensy.

Jezu, co za życie! Prawdopodobnie planowała jadłospis na trzy miesiące z góry, rezerwowała sobie spotkania na lunch z dziećmi i wstępnie zapisywała męża na seks w co drugi wtorek.

Rozglądając się wokół, Steffi postanowiła, że z chęcią dołoży tej pracującej mamusce. Najwyższa pora, żeby ktoś je wreszcie obsmarował w prasie, zamiast bić pokłony u ich cholernych stóp. Miała po uszy słuchania, jak wychwalają cuda łączenia macierzyństwa z pracą i wpędzają w kompleksy wszystkie inne biedaczki, które nie kierowały międzynarodową firmą ze swojego pokoju gościnnego. Steffi uśmiechnęła się złośliwie. Pewnie jeszcze dostanie awans, zważywszy na to, czyją żoną jest Liz!

Liz zauważyła, że Steffi przygląda się tablicy korkowej i przeklęła się w duchu. Miała zdjąć te listy. Sprawiały, że jej życie wyglądało jak operacja wojskowa, co akurat było prawdą, ale nie chciała, żeby Steffi Wilson o tym wiedziała. Co Królowa Jadu z „Daily World” z tego zrozumie?

Liz przez chwilę obserwowała ją z fascynacją. Wiedźma z Fleet Street w stanie czystym: trzydzieści kilka lat, pasemka, jarmarczna mahoniowa opalenizna po zbyt wielu sesjach leczenia kaca w solarium w The Sanctuary, makijaż à la Jackie Collins około roku 1968, bransoletek więcej niż hinduska tancerka, na każdym placu wielki pierścień i krwistoczerwone paznokcie. Zapewne

uważała, że dzieci należy topić zaraz po urodzeniu.

Liz miała już do czynienia z babkami jej typu: wredność była dla nich chlebem powszednim. Będzie musiała uważać.

– Będzie ci bardzo przeszkadzało, jak zapalę? – Steffi, nie czekając na odpowiedź, sięgnęła do ogromnej torby od Vuittona i wyjęła paczkę mentolowych papierosów ze złotymi ustnikami oraz przenośną popielniczkę.

Palenie stawało się obecnie tak zagrożonym nałogiem, że bezpieczniej było, zdaniem Steffi, nosić własny sprzęt. Znajoma palaczka dała jej tę popielniczkę z onyxu z pokrywką na przycisk, mówiąc, że dzięki niej ludzie przestają patrzeć na palacza jak na pedofila na wycieczce szkółki niedzielnej za każdym razem, kiedy spyta, gdzie może strzepywać popiół.

Steffi pociągnęła duży łyk zimnego białego wina, które nalała jej Liz, i otworzyła notes. Jeśli na tej fasadzie samozadowolenia były jakieś rysy, zaraz je znajdzie. Lepiej zacząć delikatnie, niech rozmówczyni poczuje się odprężona. Przywalić może jej później.

– A zatem, Liz – posłała jej szeroki, życzliwy uśmiech – jakie to uczucie być najpotężniejszą kobietą w telewizji?

„Dobra – pomyślała Liz – zaczynamy delikatnie. Tylko pamiętaj o przykazaniu PR-owców: «Bycie matką to atut»”.

– Cudowne. To znaczy, to całe gadanie o najpotężniejszej kobiecie w telewizji to tylko szum medialny. Ale praca jest wspaniała. Będę pierwszą kobietą w historii kierującą dużą stacją telewizyjną. – Liz miała nadzieję, że w jej głosie słyhać zapał i entuzjazm, a nie triumf i samozadowolenie. – Dojście do tej pozycji zajęło mi całe lata, ale teraz wreszcie mogę robić programy, w które naprawdę wierzę. A co najlepsze, mój przykład pokazuje, że na takim stanowisku może pracować kobieta, która ma dzieci.

– Ale czy rzeczywiście? – podchwyciła szybko Steffi. Miała nie dotykać tego tematu, dopóki Liz nie będzie bardziej rozluźniona, ale nie mogła się oprzeć, kiedy taka okazja spadała jej z nieba. – Przecież to musi być niesłychanie trudne. Czy posiadanie dzieci nie będzie oznaczać nieustannych kompromisów? Nie boisz się, że będziesz rozmieniać się na drobne? Żyć w ciągłym napięciu?

Czasami Liz czuła się jak stara gumka recepturka, naciągnięta do granic możliwości, tak że mogła w każdej chwili pęknąć, ale nie miała zamiaru mówić o tym Steffi Wilson.

– Nonsens – odparła różnym tonem. – Wszystko sprowadza się do organizacji i przekazywania obowiązków. Mam wspaniałą nianię.

„Wspaniałą nianię, która chce odejść, bo w ogóle nie widzisz swoich dzieci” – pomyślała złośliwie Steffi.

– Ale praca na takim stanowisku musi wymagać pełnego zaangażowania; czy naprawdę jesteś w stanie oddać się jej w stu procentach?

Liz przesunęła palcem po brzegu kieliszka, przypominając sobie irytację Conrada, kiedy wykręciła się z opijania premiery i pognała do domu, by zobaczyć Jamiego i Daisy, a potem swoje gorzkie rozczarowanie, kiedy dowiedziała się, że już poszli spać. „Właśnie na taką historię rzuciłabyś się z pazurami” – pomyślała Liz, kiedy Steffi przyglądała jej się z ciekawością. Tytuł artykułu pewnie brzmiałby: *Cena sukcesu*. Czyżby panna Wilson zwietrzyła krew? Ale przecież ukrywała głęboko swoje rany, z dala od wścibskich spojrzeń hien z Fleet Street?

– W pracy jestem zaangażowana na sto procent, po prostu zamykam drzwi do domu i zapominam o życiu rodzinnym.

Fe, nieładnie, fe – kłamczucha. Kroczyła po grząskim gruncie i nie wiedziała, jak długo jeszcze będzie mogła ciągnąć tę farsę. Trzeba skierować rozmowę na inne tory. Zmienić temat. Napomknąć o seksizmie, żeby Steffi zgubiła trop.

– Kiedy jestem w biurze, przykładam się do roboty i nie marnuję czasu. Umawiam się na lunch tylko wtedy, gdy jest to niezbędne. Żadnych drinków po pracy. To tylko stara etyka macho mówi, że trzeba codziennie zostawać w biurze do dwudziestej drugiej. Mężczyźni tracą tyle czasu na picie i przechwałki, prawda?

Ale Steffi była zbyt cwana, by połknąć haczyk.

– Tak czy inaczej, pewnie rzadko widzisz dzieci. Nie tęsknisz za nimi?

Liz nic nie odpowiedziała. Steffi Wilson pociągnęła kolejny duży łyk wina. Niczego nie udawało jej się wyciągnąć z rozmówczyni. Liz była zbyt ostrożna, zbyt dobrze przygotowana przez PR-owców Metra. Steffi widziała, że wywiad wymyka jej się z rąk, że zamiast miażdżącej krytyki wychodzi z tego przewidywalna sylwetka nudnej kobiety sukcesu, jaką mógłby napisać każdy. Czas przykręcić śrubę. Niania okazała się bardzo pomocna, kiedy Steffi udało się ją przekonać do porzucenia cappuccino na rzecz wina.

– To jak często właściwie je widzisz?

Liz wydało się, że wyczuwa subtelną zmianę w tonie Steffi, ale uznała, że to tylko jej wyobraźnia.

– Spędzamy razem godzinę rano, kiedy dzieci przychodzą do nas do łóżka. To bardzo cenne chwile.

„Jeśli dzieciaki mają szczęście, według twojej cholernej niani” – dodała Steffi w myślach.

– A wieczorem? Kąpiesz je i kładziesz do łóżek?

– Oczywiście. – Liz starała się, żeby nie brzmiało to defensywnie. – Kiedy tylko mogę.

– Czyli jak często?

– Tak jak powiedziałam, kiedy tylko mogę. – odparła. „Do czego ta kobieta zmierza?” – pomyślała.

– Raz w tygodniu? Dwa razy w tygodniu?

Liz zaczęła odczuwać irytację.

– Proszę posłuchać, ten wywiad miał być o...

– ...tobie. – Steffi weszła jej w słowo. – Ten wywiad miał być o tobie. I jest.

A zatem widzisz dzieci przez godzinę rano dwa lub trzy razy w tygodniu. A co z dniami sportu, koncertami w przedszkolu i tego typu wydarzeniami?

– Przychodzę, kiedy tylko mogę.

– Kiedy tylko możesz. – W tonie Steffi słyhać było ledwie wyczuwalną nutę sarkazmu. – Jednak nie dotarłaś ani na wieczór średniowieczny, ani na quiz rodzinny, ani na konkurs rzucania kaloszem do celu na rzecz funduszu bibliotecznego dla maluchów?

Na twarzy Liz odbiło się zaskoczenie. Skąd ta koszmarna baba wiedziała to wszystko?

– Powiedz mi, Liz, czy nie czujesz czasem, że zaniedbujesz swoje dzieci?

Liz wstała, wściekła.

– To oburzające. Oczywiście, że ich nie zaniedbuję!

– Ja słyszałam co innego. A mianowicie, że są dni, kiedy w ogóle cię nie widują.

– Skąd, do diabła, tyle wiesz o mojej rodzinie?

– Z plotek, Liz. Widzisz, plotki to moja specjalność. Nie czujesz się winna, myśląc o tym, że w ogóle nie widzisz swoich dzieci?

Winna! Co ta harpia z czerwonymi szponami wiedziała o poczuciu winy? Dla niej to było tylko słowo. Liz musiała z nim żyć. Poczucie winy. Zżerało ją od miesięcy, kiedy dzień w dzień tkwiła wieczorem w pracy, mozoląc się nad planami programów i tęskniąc za całowaniem pulchnych policzków Daisy i czytaniem Jamiemu bajek na dobranoc.

Liz zaczęła czuć złość. Jakie prawo miała ta wytapetowana krowa, by oskarżać ją, że jest wyrodną matką? Musiała na chwilę stąd wyjść, zanim straci panowanie nad sobą i powie coś, czego będzie żałować.

– Przepraszam na moment – powiedziała Liz lodowato. – Chyba słyszę, że mój syn płacze. – Wściekła pobiegła na górę i wpadła na Susie, która z podestu wpatrywała się w Steffi, pobladała i bliska łez.

– Liz, kim jest ta kobieta?

– Redaktorka rubryki plotkarskiej w „Daily World”. – Liz, dostrzegłszy minę Susie, zaczęła czuć pierwsze przeblęski paniki. – A co?

– O Boże! Pani Liz, tak mi przykro! – Susi wybuchła płaczem. – Mówiła, że jest cicią jednej z koleżanek Jamiego i zaprosiła mnie na kawę.

Liz zrobiło się niedobrze.

– I co jej powiedziałaś?

Ale Susie już płakała.

– W porządku, Susie. Załatwię to. Może lepiej wracaj do swojego pokoju.

Przez pół minuty Liz stała z głową opartą o balustradę i rozważała sytuację. Steffi Wilson zdobyła informacje od Susie i pewnie także od innych matek w przedszkolu. Planowała spuścić Liz tęgie baty, to było oczywiste. Zamierza przedstawić ją jako okrutną matkę, która stawia sukces na pierwszym miejscu, przed dziećmi. Najwyraźniej dobrze się przygotowała. Liz starała się nie panikować i spokojnie ocenić, jakie ma pole manewru.

Mogła wszystkiemu zaprzeczyć, ale Steffi i tak napisałyby swoje. Mogła błagać, żeby nie dawała tego do druku, ale Steffi pewnie po prostu zamieściłaby te błagania w artykule. Mogła zagrozić tej harpii procesem o zniesławienie, ale zawsze uważała takie pozwy za błąd. Reszta prasy tylko powtarzała zarzuty, kiedy sprawa trafiała do sądu, więc dobierali się człowiekowi do tyłka dwa razy.

Przez chwilę Liz nie widziała żadnego wyjścia. Aż nagle doznała olśnienia. Była jeszcze jedna możliwość. Mogła powiedzieć prawdę. Że była już zmęczona udawaniem, iż bycie pracującą matką jest łatwe, miała dość tuszowania rozdarcia, paniki i poczucia winy. To był dziś jej piąty wywiad, a wszystkie poprzednie odpracowała zgodnie z przykazaniami poprawności politycznej: macierzyństwo to nie problem, dzięki niemu wręcz lepiej rozumiała codzienne problemy. Tylko że problem istniał. W ogóle nie widywała swoich dzieci. Ani męża, jeśli już o tym mowa.

Może przyszła pora powiedzieć prawdę. Że kobiety dały się wykiwać. „Mieć wszystko” to mit, kant, groźne kłamstwo. Oczywiście, że możesz robić karierę i wychowywać dzieci. Ale guru feminizmu zapomnieli wspomnieć o jednym drobnym szczególe: ile będzie cię to kosztowało. Steffi prawdopodobnie byłaby zachwycona. W końcu to znacznie lepszy materiał.

Powoli zeszła po schodach i usiadła naprzeciwko Steffi, uzupełniła jej kieliszek i naląła jeszcze jeden sobie. Będzie jej potrzebny.

– Oskarżyłaś mnie przed chwilą, że dręczą mnie wyrzuty sumienia, a ja chciałam zaprzeczyć. – Pociągnęła łyk. Wino i ulga, którą czuła, przyznając wreszcie przed samą sobą, jaką cenę płaci za sukces, uderzały jej do głowy. – Ale oczywiście masz rację. Prawdę mówiąc, zżera mnie poczucie winy.

Steffi próbowała nie pokazywać po sobie, jaka jest podniecona, ale wszystko w niej krzyczało: „To jest to! Twardzielka mięknie!”. Już zwietrzyła dziennikarską bombę. Jej naczelny będzie miał mokro w dżinsach. Zwłaszcza na myśl o tym, jakie to wszystko będzie krępujące dla męża Liz.

Liz milczała przez chwilę, zastanawiając się, co mówić dalej. Kiedy już skoczyła w przepaść, miała tyle do powiedzenia. Słowa wylewały się z niej niepowstrzymanym potokiem, niagarą bólu i poczucia winy.

– Prawda jest taka, że nie kładłam dzieci spać od trzech miesięcy. Jeśli mam szczęście, spędzam z nimi pół godziny rano, a potem trzeba odrywać ręce Jamiego od mojej nogi, żebym mogła pójść do pracy.

Urwała, przypominając sobie twarz Jamiego przyciśniętą do szyby w drzwiach wejściowych, kiedy wychodziła dziś rano. „Za pięć minut mu przejdzie” – powiedziała Susie, a Liz wiedziała, że tak będzie. Ale widok twarzy synka i tak ją prześladował.

Steffi podniosła głowę znad notesu, zaniepokojona, że Liz mogła zmienić zdanie. Ten wywiad to prawdziwy dynamit. Liz jednak ledwie zdawała się dostrzegać, że Steffi siedzi naprzeciwko niej.

– Pracuję po czternaście godzin na dobę i dość często przynoszę pracę do domu. Do tego dochodzą zarwane noce. Tak naprawdę, to czuję się wyczerpana, spanikowana i winna jak cholera. Czasami, kiedy zamykam za sobą drzwi, chce mi się płakać. – Podniosła kieliszek i wypila do dna. – Właściwie to zaczynam się zastanawiać, czy zdecydowanie się na przyjęcie tego stanowiska nie było największym błędem w moim życiu.

Steffi przyglądała się Liz uważnie. Claudia posikałaby się ze szczęścia, gdyby mogła to usłyszeć.

– Co w takim razie zrobisz, jeśli ta praca okaże się zbyt wymagająca, nie do pogodzenia z rodziną? – Steffi była autentycznie ciekawa odpowiedzi.

Liz powiodła palcem po brzegu pustego kieliszka.

– Pewnie będę musiała po prostu z niej zrezygnować.

– A co o tym wszystkim myśli legendarny Conrad Marks?

Steffi wiedziała o Conradzie wszystko. Claudia nie szczędziła jej szczegółów dotyczących jego zwyczajów w łóżku i poza nim.

– Nic nie wie. – Liz przeszył nagły dreszcz niepokoju. – Na razie. – Podobnie jak jej własny mąż, uświadomiła sobie zszokowana.

Steffi zamknęła notes i pośpiesznie dokończyła wino. Podyktuje tekst maszynistkom z telefonu w samochodzie, zanim Liz zdąży pożałować swoich słów i próbować się z nich wycofać.

Liz stała w drzwiach i patrzyła, jak Steffi wsiada do swojego golfa GTI, specjalnie polakierowanego na wściekły róż. Co też najlepszego zrobiła? I co do diabła powie na to Conrad?

Fala ulgi, która ją zalała, kiedy wreszcie wyznała ciążącą jej prawdę, zaczęła odpływać, zostawiając ją z przerażającym uczuciem, że właśnie popełniła skończone kretyństwo. Ale jaki miała wybór? I czy to nie pora, by ktoś wreszcie powiedział to głośno? Dlaczego więc, skoro dzielnie stanęła w obronie pracujących matek, czuła, że została zrobiona w balona?

Rozdział 5

Liz stała przez chwilę w holu, oddychając głęboko. Raz, dwa, trzy... No dobra, więc mu powie... cztery, pięć... może wyjdzie na dobre... sześć, siedem, osiem... w końcu nie mogła udawać w nieskończoność... dziewięć, dziesięć... *che sarà* i tak dalej... tylko spokojnie... kurr... de! Musiała chyba upaść na głowę! I do tego ze wszystkich gazet wybrać akurat „Daily World”!

Usłyszała chrobot klucza w zamku. David. Będzie musiała mu powiedzieć, co właśnie zrobiła. Czy on zrozumie? Był taki zadowolony, że dostała tę pracę. Jak zareaguje, kiedy mu powie, że naraziła to wszystko na szwank?

David wszedł ostrożnie do holu, z butelką szampana pod pachą, omal się nie przewracając o wózek Daisy. Przez chwilę patrzył poirytowany na bałagan w przedpokoju, ale gdy dostrzegł Liz, podszedł do niej i wtulił się w jej szyję.

– Jak się ma moja supergwiazda? Świetnie wypadłaś w *Wiadomościach*. – W jego głosie pobrzmiwała duma. – Podobał mi się zwłaszcza ten kawałek o tym, że obecne czasy należą do kobiet. Sam mógłbym go napisać!

Liz zamknęła oczy. Tylko że wszystko, co mówiła w telewizji, było kłamstwem. Udzieliła dziś czterech wywiadów, w których wychwalała radość płynącą z łączenia macierzyństwa z pracą. I tylko jednego, w którym powiedziała prawdę. Wzięła jego teczkę i odłożyła ją koło lustra.

– Posłuchaj, kochanie, musimy pogadać.

– Pogadamy później. – Pocałował ją w szyję i zaczął rozpinać guziki jej żółtego kostiumu. – Jeszcze nawet nie uczciliśmy twojego sukcesu. – On wyraźnie już zaczął świętować. – Weźmy butelkę na górę.

Widziała, że po raz pierwszy od wielu dni jest rozluźniony. Może seks był właśnie tym, czego oboje potrzebowali. Ostatni raz kochali się dziesięć dni temu. „Poczekajmy, aż będzie po premierze”, mamrotała każdej nocy, padając wyczerpana na łóżko.

Przez chwilę chciała się uprzeć, aby porozmawiali teraz, nie później, ale wiedziała, że takie momenty jak ten są bezcenne. Kiedy tak stała, bijąc się z myślami, w głowie rozbrzmiała jej jedna z małżeńskich rad jej matki: „Seks jest jak olej silnikowy, dzięki niemu małżeństwo działa bez zakłóceń”.

Nigdy nie cierpiała tych matczynych kazań i złotych myśli. „Nigdy nie kładź się spać w gniewie”. „Do tanga trzeba dwojga”. „Ziarnko do ziarnka”. A teraz, co musiała przyznać ze wstydem, sama kierowała się nimi w życiu.

Ciężkim krokiem poszła za Davidem na górę. Kiedy dotarła do sypialni, on był już nagi. Zbliżył się do niej, trzymając w dłoniach dwa kieliszki na wysokich nóżkach. Pijąc szampana, jeszcze raz spróbowała porozmawiać, powiedzieć mu, co zrobiła.

– Nie teraz – wymamrotał, wyjmując jej kieliszek z ręki i odstawiając go na nocny stolik.

Zaczęła zdejmować kostium.

– Nie. Zostań ubrana – zakomenderował. Miał przyspieszony, ciężki oddech. Czują jego podniecenie, teraz już ledwie powstrzymywane, kiedy kładł ją na łożku, niecierpliwym gestem podciągając jej spódnicę. Nagle przewrócił się na plecy, podnosząc ją ze sobą jednym szybkim ruchem, tak że to ona znalazła się na górze, siedząc na nim okrakiem, z zadartą spódnicą owiniętą wokół talii, wciąż ubrana tak, jak podczas wywiadów.

Chyba nigdy nie widziała go aż tak podnieconego. A kiedy patrzyła na niego z wysoka, pomyślała, że wie, co go tak kręci. Jej sukces, świadomość, że David Ward, chłopak z klasy robotniczej, któremu się udało, kocha się ze swoją wpływową żoną. Przez chwilę poczuła się wzruszona jego naiwnością, jego nieskomplikowaną wiarą w owoce sukcesu. Wiedziała, że właśnie to go napędza, że stąd czerpie energię. W tym tkwiło źródło jego siły. Ale martwiła się, że to może go także zaślepić, przesłaniać mu rzeczywistość, fakt, że ich sukces ma swoją cenę, którą to ona płaci. Ona i dzieci.

Spojrzała na przystojną twarz Davida, gdy jego ciałem wstrząsnął dreszcz orgazmu, i zrozumiała, że jeśli nie wyjaśni mu, dlaczego rozmawiała ze Steffi Wilson, powstanie między nimi przepaść. Wiedziała, że musi opowiedzieć mu o swoich wątpliwościach i lękach teraz, zanim przeczyta o nich osobiście w „Daily World”. Powoli położyła się obok niego.

– David – zaczęła stanowczo, głaszcząc go po gładkich plecach – musisz o czymś wiedzieć. To wszystko wcale nie cieszy mnie tak bardzo, jak myślisz. Właściwie mam ostatnio wątpliwości co to tej całej cholernej szopki i właśnie powiedziałam jej o tym w wywiadzie. Ale nie miałam wyboru. David, musisz to zrozumieć. David?

Przysunęła się do niego bliżej i zobaczyła, że ma zamknięte oczy i lekko pochrapuje. Zapadł w głęboki, pełen zadowolenia sen.

– W co ty sobie, kurwa, pogrywasz? – Conrad cisnął jej egzemplarz „Daily World” na biurko z taką siłą, że kawa wylała się z kubka na blat.

Wypisany ogromną czcionką na całą stronę nagłówek krzyczał: *ZA KAŻDYM RAZEM, KIEDY ZAMYKAM DRZWI, PŁACZĘ – MÓWI TELEWIZYJNA POTENTATKA.*

– Co to za bzdety?! – wrzasnął Conrad. Nigdy nie widziała go tak wściekłego, nawet kiedy perorował na swój ulubiony temat dymania związkowców. – Zatrudniłem cię, żebyś była symbolem Metro TV, twardą, agresywną, pewną siebie kobietą, która potrafi przeprowadzić tę firmę przez lata dziewięćdziesiąte, a dostaję jakieś cklive brednie o tym, jak trudno jest ci rozstać się z dziećmi. Bóg raczy wiedzieć, jak to wpłynie na naszą wiarygodność w City. –

Zaczął ją przedrzeźniać: – „Jeśli nie uda mi się połączyć kariery i rodziny, to po prostu będę musiała zrezygnować z pracy”. Co ty sobie, kurwa, myślałaś?!

– Taka jest prawda, Conradzie, to wszystko.

– Kto byłby tak naiwny, żeby mówić prawdę Steffi Wilson? Nie jesteś jakąś małą, naiwną cizią, którą wkręcono, żeby sprzedała swoją historię tabloidom, na litość boską.

– Tak się składa, że moim zdaniem to istotna kwestia.

Nagle przysunął się do niej bliżej.

– To prawda? Te pierdoły o płakaniu na progu?

– Oczywiście, że nie. Powiedziałam jej tylko, że zostawianie dzieci może być czasem trudne.

– No to słuchaj, złotko, jeśli nie wytrzymujesz presji, wracaj do garów.

Liz zaczęła się czuć równie wściekła jak on.

– Nie mam zamiaru wracać do kuchni, Conrad. Nie o to chodzi.

– To o co, kurwa? – Przez chwilę stali i mierzyli się wzrokiem. Conrad rozumiał i szanował złość. Złość była męska.

– O to, że zatrudniłeś kobietę, bo ci tak pasowało. Wiedziałaś, że kobieta na stanowisku dyrektora programowego to dobry PR. Teraz musisz z tym żyć. Jestem kobietą i kocham swoje dzieci. Nie będę udawać, że jest inaczej. Ale nie radzę sobie przez to gorzej w pracy. Możesz mi wierzyć, Conradzie, że to stanowisko będzie sprawnie funkcjonowało. Na moich warunkach.

Conrad odwrócił się i ruszył do wyjścia. Zatrzymał się na chwilę w progu.

– Mam nadzieję, Liz, mam nadzieję. A teraz wracaj do kierowania tą pieprzoną firmą, dobrze? I nie udzielaj już więcej wywiadów.

Trzasnął drzwiami.

Trzydzieści sekund później Viv wsunęła głowę do środka, uśmiechając się ze współczuciem. Zapewne słyszała każde słowo przez te idiotycznie cienkie ściany.

– Dzwonili z „Cosmopolitan”. I z „Elle”, „Daily Mail” oraz „Hello”. Chyba trafiłaś w czuły punkt.

Liz nie miała zamiaru z nikim rozmawiać. Pokazała swoje stanowisko. Teraz chciała o wszystkim zapomnieć i skoncentrować się na robocie.

– Aha, i dzwoniła też ta okropna Steffi Wilson. Powiedziała, że może cię to zainteresuje. Będą jutro ciągnąć ten temat. Dostali taki odzew, że przeznaczą dwie strony na listy czytelników.

Liz ukryła twarz w dłoniach. Podkreślenie tematu było ostatnią rzeczą, na jakiej jej zależało. Conrad dostanie szału.

– Widziałyście wywiad z Liz w dzisiejszym „Daily World”? – Melanie Mason sączyła margaritę i spoglądała nerwowo ponad ramionami swoich dwóch przyjaciółek, sprawdzając, czy ktoś nie podsłuchuje.

To Mel wpadła na pomysł, żeby zaprosić trzy najlepsze przyjaciółki Liz na

świętowanie jej triumfu tutaj, do The Groucho Club. Jako naczelna „Feminy”, biblii kobiety pracującej, Mel lubiła się pokazywać w modnych londyńskich lokalach, chętnie odwiedzanych przez ludzi mediów, a nie było modniejszego miejsca niż Groucho. Ale kiedy wybierała lokal, nie miała pojęcia, że nagle wszyscy zaczną mówić o Liz. Gdyby wiedziała, zaproponowałyby knajpę, w której nie kręciłoby się tyle obmierzłych redaktorek rubryk plotkarskich i innego dziennikarskiego planktonu.

Mel popatrzyła ponad oprawkami ogromnych ciemnych okularów na swoje dwie przyjaciółki. Britt, jak zwykle, wyglądała stylowo aż do przesady, w surowym czarnym kostiumie i subtelnym naszyjniku z kawałków kolorowego szkła. Gdyby go pokazać jakiemuś gangowi ulicznemu, jego członkowie nie mogliby się nadziwić, że ludzie w Londynie płacą za potłuczone szkło wokół szyi, skoro oni z miłą chęcią przystawiliby im je do gardła za darmo.

Britt miała też nową fryzurę, zauważyła Mel. Blond włosy zostały krótko przycięte. Boże, właściwie wyglądała teraz bezbronie. Niesamowite, jak bardzo pozory mogą mylić. Britt była jedyną znaną Mel osobą, która wyglądała jak kobieta i zachowywała się jak mężczyzna.

– Chyba jej rozum odjęło, że coś takiego powiedziała. – Britt pstryknęła palcami na przechodzącą kelnerkę i zamówiła butelkę szampana Lanson. Zaczęła grzebać w torebce od Chanel w poszukiwaniu portfela.

Mel się uśmiechnęła. Britt nigdy nie przepuściła okazji, żeby popisać się swoją złotą kartą American Express.

– Nie musisz jeszcze płacić, Britt – zauważyła.

Britt zarumieniła się, zirytowana. Nie cierpiała popełniać takich towarzyskich gaf, mierzyła ją myśl, że inni mogliby domyślić się jej pochodzenia, mimo szykownych ciuchów i luzackiego stylu. Schowała kartę kredytową. Musi przezwyciężyć ten głupi strach, że nie ma przy sobie dość pieniędzy.

– A ja myślę, że była bardzo odważna. – Obie spojrzały na Ginny, która sączyła virgin mary. Wracala jeszcze dziś samochodem do domu w Sussex.

„Rany boskie, kto pije krwawą mary bez wódki” – pomyślała Mel. Ginny, oczywiście. Nawet na studiach była typem grzecznej uczennicy. Można się było niemal spodziewać, że cię zakapuje za macanki poniżej pasa albo branie pigułek antykoncepcyjnych.

Ginny odgarnęła kosmyk cienkich jasnych włosów i zaczęła nerwowo bawić się kolczykiem. Miejsca takie jak to ją peszyły. Bardzo starannie dobrała dziś garderobę i założyła jedyny kostium, jaki miała w szafie, próbując upodobnić się do kobiety pracującej. Ale kiedy tylko weszła do klubu, poczuła, że nie jest częścią tego świata. Wszystkie kobiety nosiły tu zabójczą czerń i spódnice osiem centymetrów nad kolano, nie do pół łydki, jak ona. Pewnie prędzej by umarły, niż zostały stałymi klientkami Giovanniego, fryzjera artystycznego z East Grinstead.

Recepcjonistka mogłaby jej niemalże wręczyć jeden z tych identyfikatorów, jakie dostaje się na konferencjach: „Ginny Walker, gospodyni domowa”.

– Cześć, dziewczyny. Czekacie na kogoś?

Pogrążone w dyskusji o tym, czy Liz powinna, czy też nie powinna była mówić tego wszystkiego, nie zauważyły, kiedy weszła. Ale wszyscy inni goście klubu – i owszem. Mel widziała, jak trącają się łokciami i szepczą, przesłaniając usta dłonią. Liz stała się celebrytką, czy jej się to podobało, czy nie.

– A oto i ona – rzuciła Mel kpiąco, wręczając jej kieliszek zamówionego przez Britt szampana – płaczliwa telewizyjna potentatka. Co cię zatrzymało? Popłakałaś sobie w talk show u Wogana?

– Daj mi spokój, dobrze, Mel? Już mi się dostało od Conrada.

– Dziwisz się? – Mel przesunęła się na niskiej sofie, żeby zrobić jej miejsce. – Raczej trudno się było spodziewać, że będzie zadowolony, prawda?

– Nie zrobiłam tego dla Conrada – odparła Liz ze znużeniem. Wolalaby, żeby porozmawiały o czymś innym, ale wszędzie, gdzie się ruszyła, wszyscy chcieli mówić tylko o tym.

– A po co to zrobiłaś? – zapytała Britt, starając się mówić niedbałym tonem i mając nadzieję, że nie słyhać w nim urazy. Tak naprawdę była wściekła na przyjaciółkę. Jakie to typowe dla Liz: dorwała pracę, za którą każdy byłby gotów zabić, i nie ceniła jej nawet na tyle, żeby trzymać język za zębami.

Odkąd Britt pamiętała, Liz wszystko przychodziło zbyt łatwo: prywatna szkoła, wakacje za granicą, samochód, nawet David, najinteligentniejszy student na roku. O nic nie musiała walczyć – w przeciwieństwie do Britt. I chociaż to właśnie Liz zaprosiła ją, dziewczynę po państwowym liceum, do ich ekskluzywnej grupki z wyższych sfer na studiach, Britt nigdy tak naprawdę nie rozumiała, dlaczego przyjaciółka to uczyniła. Czuła, że Liz wyświadczyła jej przysługę. A nie cierpiała, kiedy ludzie robili jej przysługi.

Liz gwałtownie ugryzła chipsa.

– Zrobiłam to dla siebie. Miałam dosyć udawania, że to wszystko jest takie łatwe, i tyle. Musisz przez cały dzień podejmować odpowiedzialne decyzje, po tym jak przez całą noc nie spałaś, bo dziecko miało kolkę. Oczekuje się od ciebie, że zamkniesz drzwi domu i ani przez chwilę nie pomyślisz o dzieciach.

Przyjaciółki milczały.

Liz spojrzała na Mel i oskarżycielskim tonem kontynuowała:

– Wiesz, co przeczytałam w twoim cholernym magazynie? Artykuł o powrocie do pracy, w którym radzono, żeby nigdy nie wspominać o swoich dzieciach, bo mężczyźni tego nie robią, i malować paznokcie na czerwono, bo wtedy mniej kojarzysz się z matką!

Mel poczuła się nieswojo.

– Nie sądzisz, że trochę z tym wszystkim przesadzasz? Przecież mnóstwo

matek pracuje. Większość czytelniczek „Feminy” to kobiety pracujące.

– A czy mówicie im prawdę? Ty nie masz dzieci, Mel, a Olivia woli koty, na litość boską. A jednak forsujecie ten image kobiety z „Wall Street Journal” w jednej ręce i dzieckiem w drugiej, która zakasuje zarząd i zdąży do domu na porę kąpieli. Uwierz mi, Mel, to wszystko pic na wodę!

Mel rozejrzała się, zakłopotana, i wzięła łyk margarity, tym razem nie śpiesząc się, żeby stanąć w obronie swojego magazynu. Olivia McEwan, założycielka, a teraz wydawca „Feminy”, właśnie odkryła moc hasła „rodzina” i nagle nie było w piśmie fotografii bez radosnych maluchów oblażących swe mamy ubrane w biznesowe garsonki. Olivia uznała, że dzieci są, jak to mawiali spece od reklamy, „sexy”. Innymi słowy, zwiększają sprzedaż czasopism, jak darmowe samochody czy księżna Di.

Akurat tuż przed wyjściem Mel do Groucho na jej biurku wylądował artykuł o matkach zajmujących kierownicze stanowiska. Żadna z nich nie biadolila tak jak Liz.

– Wydawało mi się, że rozwiązanie jest oczywiste. – Britt dokończyła szampana i postukała palcami w pusty kieliszek. – Jeśli robisz karierę zawodową, nie miej dzieci. Proste.

– Proste dla ciebie – odparowała Liz. Wystudiowana obojętność Britt zaczęła grać jej na nerwach. – Bo nie chcesz ich mieć.

– Na litość boską, Britt – warknęła Mel. – Tak robiło poprzednie pokolenie kobiet. My miałyśmy być inne! Wierzmy, że można mieć wszystko, pamiętasz?

– Może się myliłyśmy. – Britt, znudzona rozmową, pstryknęła palcami na kelnerkę, by ta przyniosła następną butelkę szampana.

– Oczywiście, że nie! To Liz się myli! – Mel odwróciła się z furią do Liz, zapominając, gdzie jest. – I mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, jak bardzo zaszкодziłaś perspektywom innych kobiet tym swoim wybuchem!

Ginny ze zgrozą obserwowała gniewną wymianę zdań między swoimi trzema przyjaciółkami. Była zszokowana goryczą, którą najwyraźniej wywoływał ten temat. Do tej pory się nie wtrącała. W końcu co ona wiedziała o całej tej gimnastyce, jaką było łączenie wychowywania dzieci z karierą?

Zawsze była gospodynią domową „przy mężu”. „Marnowała swój talent”, czego nigdy nie omieszkała jej wytknąć matka, kobieta na stanowisku. „A mogłaś zostać malarką”, brzmiał wciąż powtarzany przez matkę refren. Ale dzieci tak krótko były małe. Ani się obejrzałaś, a już dorosły i się wyprowadziły. Poza tym matka mogła sobie gadać. Sama była zbyt zajęta swoją pracą chirurga, żeby przejmować się Ginny i jej bratem. Swoich dzieci Ginny nie będzie tak wychowywać.

Wbrew sobie Ginny w głębi duszy ucieszyła się, że Liz tak trudno jest łączyć karierę z zajmowaniem się domem. Trochę ją to pocieszało. Oczywiście Liz za nic

nie chciałyby tego zmienić. Nie miała pojęcia, jak to jest być pełnoetatową matką, jak ludzie patrzą na ciebie znudzonym wzrokiem, kiedy im mówisz, czym się zajmujesz, i odwracają się od ciebie na przyjęciach, żeby poszukać kogoś bardziej interesującego. Doprowadzało ją do szału, że macierzyństwo ceniono dziś tak nisko.

Mimo że chciała być matką, i tak miała wrażenie ciągłego niedowartościowania. Uwielbiała troszczyć się o dom, opiekować się Amy i Benem, czuła się szczęśliwa i spełniona, będąc centralnym punktem rodziny, ale jednocześnie nudna i ograniczona w towarzystwie czynnych zawodowo kobiet sukcesu – nawet tych, jej najlepszych przyjaciółek.

GINNY spojrzała na Liz i zapytała:

– To co zrobisz?

– Nie wiem. Naprawdę nie mam pojęcia. Zobaczmy, jak się wszystko ułoży. Może się okaże, że pod fasadą męskiej szowinistycznej świni w Conradzie tkwi Nowy Mężczyzna, który rozumie, że troska i wrażliwość są równie ważne jak bezwzględność i agresja. Kto wie, może się nawet ugnie i pozwoli mi od czasu do czasu widywać dzieci.

– A może nie. – Britt osuszyła kieliszek i wyciągnęła go po dolewkę.

– No dobra, dziewczyny. – Liz wzięła butelkę szampana i naląła wszystkim. – Pamiętajcie, przyszliśmy tu świętować, a nie wyprawiać stypę. To co jemy?

– Dokąd, pani Ward? – Szofer Liz otworzył drzwi Groucho i pomógł Liz oraz Britt wsiąść na tylne siedzenie lśniącego jaguara XJ6.

– Poprosimy do Notting Hill, Jim. Moja przyjaciółka zostawiła tam samochód.

Britt opadła na oparcie i pogładziła dłonią miękką, kremową skórę fotela. Wciągnęła głęboko powietrze. Zapach skórzanej tapicerki w jaguarach zawsze wydawał się bardziej autentyczny niż w innych samochodach. Nie mogła zrozumieć, dlaczego Liz nie jest szczęśliwa, mając to wszystko. Na litość boską, ile kobiet dostawało w pracy służbowego jaguara z kierowcą?

– Boskie auto. Bardzo musiałaś o nie walczyć?

Liz się roześmiała.

– Właściwie to chciałam mitsubishi space wagon, a nie XJ6. Trzeba było widzieć minę Conrada! „Przecież to wózek dla dzieci! Daję ci czarnego jaguara XJ6 z kremową skórzaną tapicerką. Takiego ma dyrektor programowy London Weekend Television. Nie możesz jeździć jakąś landarą jak pierwsza lepsza mamuśka z Surbiton!”.

„Typowe” – pomyślała gorzko Britt. Nie mogła się oprzeć wrażeniu, że pogarda Liz dla owoców sukcesu jest wymierzona w nią. Co w tym złego, że ktoś chciał mieć XJ6? Albo porsche? Albo loft w Docklands? Britt na pewno chciała.

A o ile się nie myliła, mąż Liz miał podobne pragnienia.

Britt spojrzała z ciekawością na przyjaciółkę.

– A co boski David sądzi o twych szczerych wyznaniach, do tego opublikowanych w konkurencyjnej gazecie? Wyobrażam sobie, że w obliczu tych wszystkich plotek o tym chłopaczku z „Daily World”, którego Logan Greene sprowadził, żeby podnieść sprzedaż „Daily News”, David może być ociupinkę wkurzony.

A więc to o to chodziło! To dlatego David był ciągle czymś zaprzątnięty. Na litość boską, dlaczego jej nie powiedział? W dodatku wyzaliła się akurat „Daily World”, który jutro będzie ciągnąć temat. David nigdy jej tego nie wybaczy! Liz cieszyła się, że w samochodzie jest ciemno i Britt nie widzi niepokoju malującego się na jej twarzy.

– Szczerze mówiąc, Britt, to nie wiem. Nigdy tak naprawdę o tym nie rozmawialiśmy.

Britt uniosła elegancko podkreśloną ołówkiem brew. Czyżby idealne małżeństwo miało problemy?

Rozdział 6

– Mamo, gdzie tata? – Mała rączka ciągnęła kołdrę, usiłując odkryć Liz, która zagrzebała się w pościeli niczym kret.

Liz szybko usiadła i spojrzała na radio z budzikiem. Ósma rano. David musiał pójść pobiegać. Znów nie będą mieli czasu, żeby sensownie porozmawiać. Powinna była pogadać z nim wczoraj wieczorem, ale kiedy Jim ją przywiózł, dom był pogrążony w ciemnościach, a David już spał. Wyglądał niemal chłopięco, kiedy sen zmasał z jego twarzy wszystkie troski naczelnego.

Zastanawiała się, czy go nie obudzić, ale wyrwany ze snu był do niczego. Kiedy dzieci były maleńkie, udawało mu się nawet przesypiać ich kolki i ząbkowanie. Wstawał następnego dnia radosny jak skowronek, upierając się, że trzeba było go obudzić. Raz go posłuchała, ale był tak rozdrażniony, że uznała grę za niewartą świeczki. Wczoraj wieczorem doszła do tego samego wniosku. Głowa jej pękała od nadmiaru szampana i babskich rozmów. Postanowiła więc poczekać do rana. Teraz uświadomiła sobie, że popełniła głupi błąd.

Wyskoczyła z łóżka i wyjrzała przez okno. Jaki piękny dzień. Zapowiadało się cudowne lato. Co prawda raczej się nie zanosilo, że będzie mogła się nim cieszyć. Zajrzała do pokoju Daisy, ale widocznie Susie musiała już się nią zająć i zabrać na dół na śniadanie, gdyż pokój był pusty.

– Chodź, Jamie, zdejmijmy piżamę i założymy krótkie spodenki. Jest śliczna pogoda. – Chciała go złapać, ale wywinął się jej, śliski jak węgorz.

Rzuciła się za nim w pogoń, ale zdążył się schować za toaletką, tak że nie mogła go dosięgnąć, i wrzeszczał:

– Nie! Nie chcę!

Poczuła narastającą irytację. Codziennie to samo. Czasami nie mogła uwierzyć, że pięcioletnie dziecko może mieć tyle siły. Przemarsz wojsk przez Falklandy to betka w porównaniu z ubieraniem Jamiego.

– Jamie! Wyłaż! – Przechyliła się przez toaletkę i podniosła go, kopiącego i wrzeszczącego, omal nie nadwerekając sobie kręgosłupa. Usiłując przebrać go z piżamy w szorty, wypróbowała każdą sztuczkę ze swojego repertuaru: przymilanie się, odwracanie uwagi, obiecywanie zakazanych smakołyków. W końcu, jak zwykle, musiała się uciec do brutalnej siły.

Tylko spokojnie, mówiła sobie, nie daj się wytrącić z równowagi. To twoja wina, nie jego. Chłopak w ogóle cię nie widuje. Miała już wszystkiego dosyć, nerwy w strzępach, a było dopiero piętnaście po ósmej. To by było na tyle, jeśli chodzi o wykorzystanie z pożytkiem czasu przeznaczonego dla rodziny.

W końcu zniosła Jamiego na dół, żeby oszczędzić cenne minuty. Z rozdrażnieniem zauważyła leżącą przy drzwiach dużą, brązową kopertę. Musiał

to być scenariusz tego kontrowersyjnego filmu dokumentalnego, który mieli pokazać jutro. Prawnicy dostawali z jego powodu nerwowej wysypki, więc będzie musiała przeczytać tekst w drodze do pracy i rozstrzygnąć, czy mają rację.

Kiedy weszła do kuchni, zobaczyła Davida w dresie, pogrążonego w lekturze „Daily World”.

„Cholera – pomyślała Liz – cholera jasna, psiakrew”.

Podniósł wzrok i stwierdził:

– Wywołałaś niezłe poruszenie.

W jego głosie słyszała gorzki ton.

– Mamusiu! – Jamie pociągnął ją za fałdy garsonki. – Mamo, mogę nadmuchać basen?

– No pewnie. Poproś Susie, żeby ci pomogła. Idź, idź do niej, karmi Daisy na tarasie. – Jamie wybiegł przez drzwi balkonowe w poszukiwaniu niani.

David podniósł głowę znad gazety.

– Od jak dawna to wszystko w tobie wzbierało? – zapytał.

Liz usiadła obok niego.

– Nie wiem. Nawet nie wiedziałam, że się tak czuję, dopóki nie zaczęłam udzielać tego wywiadu. Ta mała wszędzie węszyła i usiłowała wygrzebać, co tylko mogła, żeby udowodnić, jaka ze mnie beznadziejna matka. Kręciła się koło przedszkola Jamiego, na litość boską, i rozmawiała z jakąś beczelną mamusią, która uważa, że powinno się na mnie donieść za zaniedbywanie dzieci. Steffi chciała odsądzić mnie od czci i wiary. Uznałam, że jedynym wyjściem będzie powiedzieć prawdę.

Z jakiegoś powodu nie wspomniała o udziale Susie w tej aferze. Jeszcze nie zdecydowała, co z nią zrobić, a wiedziała, że David od razu by ją zwolnił.

– Więc postanowiłaś wyplakać się na ramieniu Steffi Wilson? – Uraza w jego głosie zabolęła, jakby ktoś przeciągnął Liz brzytwą po obnażonych nerwach. To po części jej wina, że David nie rozumiał. Nigdy nie próbowała wytłumaczyć, że czuje się rozdarta, nawet samej sobie, a co dopiero jemu. Czy mogła mu się dziwić, że jest zły, skoro musiał dowiadywać się o wszystkim z gazety, i to konkurencyjnej?

– Chyba zdajesz sobie sprawę, w jak idiotycznej sytuacji to mnie stawia? – Widziała, że z trudem panuje nad sobą, nie chcąc wybuchnąć przy dzieciach i Susie. – Moja żona ma kryzys wieku średniego, a ja dowiaduję się ostatni. – Rzucił gazetę na stół. – Mogłaś przynajmniej przyjść z tym do nas, zamiast do tego cholernego „Daily World”!

Liz popatrzyła na męża, urażona, że on patrzy na sprawę wyłącznie przez pryzmat tego, komu trafiła się sensacja w postaci Liz Ward otwierającej duszę przed tabloidem. Ostatnio myślał tylko o swojej gazecie.

– Przepraszam, że nie przyszedłam z tym do was. – Słyszała rozgoryczenie

w swoim głosie. – Może kiedy złożę rezygnację, wy dowiecie się pierwsi.

David nie wyczuł ironii.

– Cały Londyn wie, że „Daily World” nas odsadził. Logan ściągnął Micka Normana jako „doradcę specjalnego”, który czeka w pogotowiu, żeby wkroczyć do akcji, jeśli spadek sprzedaży będzie trwał dalej, a ty im podajesz na tacy historię o swoim skrywanym smutku.

– Może cały Londyn o tym wiedział, ale ja nie. Bo mnie nic nie mówiłeś, Davidzie. Jestem twoją żoną i dowiaduję się ostatnia. Może gdybyś mi powiedział, toby do tego wszystkiego nie doszło! – Wiedziała, że to okrutne, ale poczuła gwałtowną, palącą złość. – Tak się zafiksowałeś na tej swojej głupiej wojnie o czytelników, że nic byś nie zauważył, nawet gdybym rzeczywiście miała kryzys wieku średniego!

David zdjął nogi ze stołu i podszedł do niej.

– Przepraszam. Zachowuję się jak egoistyczny gnojek.

– Poza tym to nie jest żaden cholerny kryzys wieku średniego. Po prostu tęsknię za dziećmi, i tyle.

Jak na zawołanie do kuchni wpadł Jamie i ujrzał rodziców, którzy padli sobie w ramiona.

– Mamo... Mamo! Chodź zobaczyć basen!

– Jamie, usiłuję porozmawiać z tatusiem, kochanie. Za chwileczkę wyjdę. – Biedny Jamie, ostatnio ciągle musiał walczyć o jej uwagę. Pogłaskała go czule po głowie.

Patrząc, jak Liz mierzwi synowi włosy, David poczuł wyrzuty sumienia. Tak uroczo razem wyglądali. Jamie był do niej bardzo podobny: ciemne włosy, jasnoniebieskie oczy, długie ręce i nogi, raz był ekstrawertyczny, za chwilę nieśmiały. W Davida wdała się Daisy. Blondwłosa mała Daisy, która wiedziała, czego chce, i nie wahała się po to sięgnąć. Nie był pewien, czy rozumie Liz. Wydawało mu się, że ciągle zmieniała zdanie co do tego, na czym jej zależy.

– Przepraszam, kochanie, ale muszę lecieć. – David objął ich oboje. Żałował, że złościł się na Liz, kochał ją i nie potrafił jej pojąć. – Lepiej porozmawiajmy o tym później.

– Tak – zgodziła się, całując go, ale jednocześnie uświadamiając sobie z bólem, że jej tak naprawdę nie rozumiał. I kiedy niby mieli porozmawiać? Kiedy w ogóle ostatnio znajdowali czas, żeby pogadać o czymkolwiek? Jedno albo drugie zawsze pracowało do późna lub było zagrzebane pod lawiną niekończących się zebrań, spotkań biznesowych i decyzji wymagających podjęcia.

Wzięła Jamiego za rękę i wyszli do ogrodu. Dopiero dziewiąta, a już było gorąco, słońce świeciło na czystym, błękitnym niebie. Anglia znów zaczęła przypominać jakiś zamorski kraj. Efekt cieplarniany. Globalne ocieplenie. Może roztopia pokrywę lodową na biegunach i wywołuje huragany na Karaibach, ale

w Holland Park było dzięki niemu bardzo przyjemnie.

Susie napełniła basen i postawiła go w cieniu jabłoni. Daisy stała obok w samym kapelusiku od słońca. Zadarła nóżkę, próbując samodzielnie wejść do wody. Liz roześmiała się, podniosła ją i pocałowała w drobne, nagie ramiona i miękki karczek. Złapała się na tym, że ostatnio ciągle całuje córkę. Daisy już niedługo przestanie być niemowlakiem. Te małe bransoletki tłuszczu wokół nadgarstków, dołeczki w pośladkach, to wszystko wkrótce zniknie. Lada dzień zmieni się z pulchnego bobasa w szczupłą dziewczynkę.

Liz nie cierpiała karmić piersią. Wiedziała, że niektóre kobiety to uwielbiają, ale jej przychodziło to z trudem. Nie mogła znieść niepewności, czy dzieci się najadły, ciągłego zamartwiania się, że jej organizm nie wytwarza dość pokarmu. Ale ponieważ to takie zdrowe dla dzieci, z zaciśniętymi zębami przetrwała nabrzmiałe piersi i pokaleczone brodawki – nawet gnała z pracy do domu, z mlekiem przesiąkającym przez stanik i plamiącym kostium marki Options kupiony w butik Austin Reed, żeby zdążyć na karmienie o szóstej.

Modliła się o dzień, w którym ten cały uciążliwy, bolesny obowiązek wreszcie się skończy. A potem, kiedy odstawiła dzieci od piersi i zaczęła podawać butelkę, odmierzając równiutko mleko miarką, tak że wiedziała dokładnie, ile zjadły, poczuła niespodziewany smutek, tak silny, że się popłakała. Pewna więc została zerwana. Daisy zaczęła dorastać. Niedługo trzeba będzie jej pierwszy raz obciąć włosy i kupić pierwsze buty. Nie będzie już niemowlakiem.

Ciekawe, jak macierzyństwo zawsze cię dopadało, chwytalo cię w swoją sieć jak pajak muchę, nawet kiedy myślałaś, że ci się upiekło. Kto by pomyślał, że ona, Liz, okaże się jedną z tych kobiet, które wybierają ścieżkę kariery mamuśki? Tak je nazywano w Stanach. Kobiety pracujące drugiego sortu, które – o zgrozo – chciały raz na jakiś czas widywać się z dziećmi. W firmach uważano, że stanowią zbyt duże ryzyko. Wymyślano nawet testy psychologiczne, mające zidentyfikować takie mamuśki, na wypadek gdyby, broń Boże, przypadkowo awansowały na odpowiedzialne stanowiska. Biedny Conrad, pierwszy by się zgłosił po taki test.

Rozejrzała się tęsknie po ogrodzie. Panował tu miły cień, na trawniku tańczyły cętki słońca przeświecającego przez korony drzew. Za płotem na jezdni zaraz zacznie się topić asfalt, psy będą grzebać w śmieciach, a kierowcy przerzucać się wyzwiskami, przebijając się przez strefę działań wojennych, jaką są ulice Londynu.

– Co będziecie dziś robić, Susie?

Niania spojrzała na nią znad ramion Daisy, w które wcierała krem z filtrem przeciwsłonecznym.

– Jest taka ładna pogoda, że chyba po prostu poleniuchujemy tutaj w ogrodzie i zrobimy sobie piknik.

Przez chwilę Liz wyobraziła sobie zakazany świat niań i dzieci, pikników

i nadmuchiwanym basenów, z którego jako pracująca matka była wykluczona. Westchnęła. Pora jechać do biura.

Daisy jak zwykle odwróciła twarz, kiedy Liz schyliła się, żeby ją pocałować, i przywarła mocno do Susie. Jamie, jak miał codziennie w zwyczaju, kiedy czuł, że mama szykuje się do wyjścia, nie chciał puścić jej nogi.

– Nie idź, mamusiu. Zostań. Proszę cię, mamusiu. Zostań!

David wyszedł na taras z kuchni w modnie pomiętym lnianym garniturze. Dzięki temu widać, że to prawdziwy len, protestował za każdym razem, kiedy usiłowała mu go wyprasować. Jamie podbiegł do niego i pociągnął go w kierunku basenu.

– O której dzisiaj wrócisz? – zapytała Liz, idąc za nim i już znając odpowiedź. Musiał być w redakcji, kiedy zamykali numer, zawsze to powtarzał, a potem pójść z zespołem na drinka albo dwa, dołączyć do swoich żołnierzy jak generał na froncie. Jakżeby inaczej.

– Późno, niestety. Logan zwołał wieczorne zebranie. – Omal nie powiedział jej prawdy, że miało to być zebranie kryzysowe w sprawie spadającej sprzedaży, ale uznał, że Liz ma dość własnych problemów.

Liz odwróciła się, zirytowana. Dlaczego to zawsze ona musiała przejmować się tym, by zdążyć wrócić o przyzwoitej porze? Ale nie mogła się złościć długo. Zachwycona widokiem taty Daisy zaczęła na niego chlapać, mocząc mu nowy garnitur.

– Daisy, niegrzeczna dziewczynka! – krzyknął zirytowany David, po chwili jednak, widząc, jak mała twarzą smutnieje i się krzywi, podniósł córkę, wyjmując ją z basenu, i przytulił do piersi, tłustą od kremu i rozchichotaną.

– David, będziesz cały mokry!

Uśmiechnął się szelmowsko.

– To ty ją weź! – krzyknął ze śmiechem i rzucił się w pogoń za Liz po tarasie, z zaśmiewającą się głośno Daisy w ramionach, aż w końcu wkroczyła Susie, kręcąc głową nad tym obłąkańczym, sztubackim zachowaniem, i wyjęła mu córkę z rąk.

Liz wzięła swoją teczkę i ruszyła do drzwi, zastanawiając się, jak to możliwe, że David może tak mocno kochać dzieci, a jednak potrafi o nich zapomnieć w chwili, gdy znajdzie się za progiem domu. To pewnie hormony. Dlaczego on nie czuł się winny, że je zostawia? – zachodziła w głowę po raz setny. Gdyby Logan chciał go wysłać do Nowego Jorku na trzy tygodnie, zgodziłby się bez wahania.

Liz wsiadła do samochodu. Siedzenia były już tak gorące, że aż parzyły. Dlaczego, pytała siebie w duchu, rodzicielstwo zmienia kobiety, na zawsze przeobraża ich perspektywę? David też kochał ich dzieci, wiedziała o tym, ale nie przeszedł takiej rozdzierającej transformacji jak ona. To jedna z tajemnic życia:

kobiety walczyły zębami i pazurami, aby traktowano je tak samo jak mężczyzn. A potem rodziły dzieci i okazywało się, że jednak należą do innego gatunku.

Przypomniała sobie, że kiedy była pierwszy raz w ciąży, zapytała znajomą, jak to jest mieć dziecko. Spodziewała się tego, co zwykle: biadolenia o zarwanych nocach, utracie wolności, kolce. Ale znajoma ku jej zdziwieniu odparła, że to trochę tak, jakby mieć romans. – Nawet sobie nie wyobrażasz tego podniecenia – powiedziała. – Tego niecierpliwego wyczekiwania, kiedy gnasz do domu, wiedząc, że czeka na ciebie twoje dziecko. Jak kochanek.

Ze wszystkich jej koleżanek to właśnie ta miała rację. Nic nie przygotowało Liz na żarliwość i intensywność uczuć, jakimi darzyła Jamiego. Patrząc na niego, kiedy dzień po narodzinach leżał owinięty w delikatny jak pajęczyna szal, stwierdziła, że musi to wynikać z bezinteresowności tej miłości. Gdy zakochujemy się w innym dorosłym, oboje wnosimy do związku spory bagaż: swoją przeszłość, aspiracje, kompleksy. Dziecko nie przynosi ze sobą niczego. Po prostu nas potrzebuje. A miłość, którą czujemy, jest prosta, instynktowna, czysta.

Jednak ku swojemu zdziwieniu, jako dobra kobieta pracująca, dzierżąca wysoko sztandar równouprawnienia, Liz przekonała się, że kiedy przyszła pora wracać do pracy, okazało się to zaskakująco łatwe. Małe dzieci wymagają takiej harówki i są tak absorbujące, że zamknięcie drzwi i zostawienie za sobą świata sterylizatorów do butelek, pieluch i niekończących się rozmów w dziecięcym języku niemal przyniosło jej ulgę. Mogła szczerze powiedzieć, że nie myślała dużo o synu, kiedy już siedziała z powrotem w pracy.

A potem urodziła się Daisy. O ustach jak pączek róży, pulchnych policzkach i okrągłych niebieskich oczach, roześmiana i gaworząca, pogodna jak szczeniaczek. Tym razem Liz poszła na dłuższy urlop. W ciągu długiego, pięknego lata miała dość czasu, by wczuć się w rytm domu i dzieci, by go po raz pierwszy poznać. I nagle już nie było jej tak łatwo zostawić tę część swojego życia za drzwiami i przystroić się w menedżerską mentalność niczym w kostium od Jaegera.

Kiedy skręcali w lewo w Kensington Church Street, zobaczyła idącego szybkim krokiem w stronę metra mężczyznę, który pochylił się i zajrzał do jaguara, dostrzegając szofera oraz siedzącą z tyłu Liz. Niektórym to dobrze, mówiło wyraźnie jego spojrzenie. Miał rację. Liz musi się wziąć w garść i przestać myśleć o niebieskich migdałach. Ile kobiet zarabiałoby osiemdziesiąt tysięcy funtów, na dodatek miało udziały w Metro TV, dzięki którym mogły się porządnie wzbogacić, nieograniczoną możliwością wyjazdów do Nowego Jorku i Los Angeles oraz własnego szofera? A do tego wszystkiego – fascynującą pracę i szacunek towarzyszący byciu jedną z najpotężniejszych kobiet w telewizji. Liz Ward odniosła poważny sukces. Trochę poczucia winy i żalu to raczej niewielka cena za to wszystko, prawda?

Rozdział 7

– No dobrze, proszę wszystkich o uwagę. Jedna rzecz musi być jasna jak słońce. Mamy w Metro TV nowe motto: „Najpierw zysk, potem misja”.

Liz bała się tego zebrania. Conrad zwołał wszystkich kierowników działów, aby powiedzieć im kilka słów prawdy o telewizji. Wszyscy pracowali wcześniej w stacjach komercyjnych albo w BBC, gdzie w większym czy mniejszym stopniu uważano, że misja publiczna telewizji ma znaczenie. Ale Conrad przyszedł z dżungli amerykańskiej produkcji telewizyjnej, gdzie dyrektorzy skakali ze swoich drapaczy chmur, jeśli oglądalność spadła im o jeden punkt, i gdzie walczyło się o każdego widza do ostatniej kropli krwi. Kierunek był tam tylko jeden – w dół, ku niskim gustom.

– A zatem, panie i panowie, do tej pory w nobliwym, dotowanym świecie brytyjskiej telewizji istniały dwa rodzaje programów: programy ambitne oraz nabijające oglądalności. Chciałbym wyraźnie zaznaczyć, że w przyszłości będzie to tylko jeden rodzaj i nie muszę wam, inteligentnym ludziom, tłumaczyć, który. W przyszłości nawet pięknoduchowskie programy artystyczne muszą mieć oglądalność, inaczej możecie o nich zapomnieć.

Liz zapisała sobie, żeby sprawdzić obsadę nowego serialu Metra według prozy Agathy Christie. Pozostawiony samemu sobie reżyser prawdopodobnie zaangażowałby do głównej roli aktorkę z Royal Shakespeare Company, podczas gdy koproducenci chcieli Joan Collins. Liz będzie musiała spróbować ich jakoś pogodzić i dopilnować, żeby znaleźli kogoś i sławnego, i odpowiedniego.

Kiedy podniosła głowę, dostrzegła, że Sam Powell, który zastąpił ją na stanowisku kierownika działu fabuł, posyła jej spojrzenie mówiące: „Chyba nie będziesz spokojnie siedzieć i tego słuchać?”. Ale robienie awantury na zebraniu nie miało sensu, Conrad tylko by się wkurzył i nic by to nie dało. Musiała z nim walczyć przy konkretnych projektach.

– Wiem, że zdaniem szanownych państwa, zdolnych, ambitnych, z wyższym wykształceniem, to, co produkowałem w Stanach, to zwykła chała. Ale była to chała kasowa. A jak ktoś kiedyś zauważył, nikt jeszcze nie splajtował, zbyt nisko oceniając gust widza.

Liz rozejrzała się po zebranych. Oburzenie malujące się na ich twarzach było niemal komiczne. Ale czego się spodziewali po Conradzie, na litość boską? Że będzie nieśmiałym, przyjaźnie usposobionym człowieczkiem, puszczającym Wagnera w czasie największej oglądalności?

– Podsumujmy: nieważne, jak duży niesmak to w was budzi. – Conrad wstał dla podkreślenia wagi swoich słów. – Myślcie o masowej widowni i wysokich słupkach oglądalności. Jeśli macie coś, czego nie ogląda pięć milionów ludzi, to

dajcie sobie z tym spokój.

Liz zaczynała rozumieć, że tęsknota za dziećmi nie będzie jedynym minusem tej pracy. Nad nią stał Conrad, który będzie gonił za oglądalnością i zyskami, a pod nią znajdowali się producenci programów walczący o standardy i jakość. Pośrodku była ona – Liz Ward, najpotężniejsza kobieta w telewizji. W położeniu szynki w kanapce.

– Moja przyjaciółka Liz Ward, nowa szefowa Metro TV, uważa, że my tu w „Femynie” wciskamy kobietom kit, wmawiając im, że mogą mieć wszystko, a tymczasem to mit, ściema i niebezpieczne kłamstwo.

Twarze wszystkich zgromadzonych wokół stołu w sali konferencyjnej redakcji „Feminy” zwróciły się w stronę Mel ze zgrozą i niedowierzaniem, jakby właśnie oświadczyła, że nie ma czegoś takiego jak wielokrotny orgazm albo że mężczyźni lubią prace domowe.

Cały personel „Feminy” tłoczył się przy stole na jednym z niekończących się zebrań, które zdaniem Olivii były niezbędne, by magazyn mógł trzymać rękę na pulsie bieżących problemów. Musieli przychodzić na nie wszyscy, od dyrektor zarządzającej aż do telefonistek. W głębi duszy Mel uważała, że to strata czasu, ale nigdy nie ośmieliłaby się powiedzieć tego Olivii.

– A więc zdaniem twojej przyjaciółki „Femina” wprowadza czytelniczki w błąd. – Głos Olivii był wysoki i ostry, jakby węszyła przewrót pałacowy. Mel była wprawdzie naczelną, ale to Olivia, jako wydawca, miała decydujący głos i chciała, aby wszyscy zebrani o tym wiedzieli. – A ty się z nią zgadzasz?

Co właściwie Mel sądziła na ten temat? Powiodła wzrokiem po ścianach sali posiedzeń: prawie każdy centymetr kwadratowy pokrywały oprawione w ramki okładki kolejnych numerów „Feminy”, począwszy od wczesnych lat osiemdziesiątych, kiedy Olivia założyła pismo.

„Femina” była pierwszym magazynem dla zuchwałych, pewnych siebie młodych kobiet, dla których kariera stanowiła równie niezbędny atrybut co kawalerka czy własna karta Visa. Kobiety, krzyczała „Femina”, też chciały wygrywać. „Uważajcie, chłopaki – ostrzegał pierwszy numer – nic nas teraz nie zatrzyma!”.

Zewsząd wokół uśmiechały się do Mel młode kobiety w czerwonych marynarkach i dopasowanych garniturach, dumnie wymachując najnowszą bronią w wojnie płci – biznesową teczką. A „Femina” stała się ich biblią, dopingując je do wzięcia szturmem męskich bastionów, które tak długo nie pozwalały im sięgnąć po władzę. I naturalnie zakładała, że dla „nowej kobiety” nie ma rzeczy niemożliwych. Mogła mieć wszystko: karierę i rodzinę, sukces i szczęście. Ale jaki wobec tego, co powiedziała Liz, miał być przekaz pisma? Że jednak nie mogła mieć wszystkiego? Że być może będzie musiała wybierać? Cóż za nedorzeczny pomysł. Liz się całkowicie, absolutnie myliła.

Mel wiedziała, że wszyscy czekają na jej odpowiedź.

– Oczywiście, że się z nią nie zgadzam. Gdyby miała rację, toby przekreślało sens całej naszej walki.

– Odetchnęłam z ulgą. – Olivia spojrzała wprost na nią. – Przez chwilę myślałam, że tracisz wiarę.

Mel ogarnęła wściekłość na Olivię. Nie traciła wiary, skądże znowu. Atak Liz tamtego wieczoru dotknął ją do żywego. Bardziej, niż chciała przyznać. „Femina” była jej całym życiem. Akceptowała ją totalnie, żyła według jej zasad. Wierzyła nawet w zamieszczane tu horoskopy, na litość boską! A znając tę starą, grubą ciotę, która je pisała, wymagało to nie lada wysiłku.

– No dobrze. – Wyliftingowana twarz Olivii rozciągnęła się w przeznaczonym dla wiernych uśmiechu. – Przejdźmy do następnej kwestii.

– Chwileczkę – odezwał się głos z drugiego końca stołu – może jednak trochę o tym podyskutujemy? Mogę mówić tylko jako mężczyzna, ale wydaje mi się, że przyjaciółka Mel ma trochę racji.

Mel wychyliła się do przodu, żeby zobaczyć, kto ośmielił się sprzeciwić wyroczni. Nie rozpoznała tego głosu. Przez ścianę ramion i łokci dostrzegła nowego autora, który dopiero zaczął dla nich pisać jako wolny strzelec. Nazywał się chyba Garth Jakiśtam.

Miał około dwudziestu pięciu lat, gęste, lśniące brązowe włosy związane w kucyk, pełne humoru orzechowe oczy i gładką skórę o miodowym odcieniu, wylaniającą się kusząco z rozpiętej pod szyją białej lnianej koszuli. Ciekawe, czy całe ciało ma w takim smakowitym kolorze. Niestety, jeśli dalej będzie tak sobie poczynął, nie zagrzeje tu miejsca na tyle długo, by Mel mogła się o tym przekonać. Znała Olivię. Najmniejsze podejrzenie nielojalności i wylatywał na zbity pysk.

Próbowała pochwycić jego spojrzenie i zasignalizować mu, że właśnie popełnia publiczne samobójstwo, ale nie patrzył na nią. Spokojnie wpatrywał się w Olivię.

– Dlaczego tak się boimy stwierdzić, że może jest w tym trochę prawdy? Przecież to nie znaczy, że „Femina” się myliła, tylko że kobiety zrobiły kolejny krok. Może odkryły to, co mężczyźni wiedzieli od dawna. Że praca to nie święty Graal, raj odzyskany i Club Med w jednym.

– Czyli uważa pan, że kobiety znów chcą być wiecznie w ciąży i stać przy garach? – rzuciła Olivia tonem tak ostrym, że kogo innego poszatkowałby na drobne kawałeczki. Garth go po prostu zignorował.

– Oczywiście, że nie. Ale czy nie sądzicie, że może sprawy zaszły za daleko? Na przykład spójrzcie na siebie. – Wskazał gestem koleżanki przy stole. – Nazywacie siebie kobietami wyzwolonymi, a jesteście bardziej uwiązane od swoich matek. Widziałem, jak przychodzicie wyczerpane do biura po nieprzespanej nocy, a po pracy pędzicie do supermarketu, kiedy każda osoba przy zdrowych

zmysłach siedziałyby na kanapie z kieliszkiem wina.

Patrząc na zgrozę malującą się na wszystkich twarzach, Mel z trudem tłumiała chichot. Może to jego ostatnie wystąpienie w redakcji „Feminy”, ale z pewnością nie mógł narzekać na brak uwagi.

– Przejęłyście ambicję mężczyzn, ale wciąż jesteście obarczone kobiecymi obowiązkami. Czy nie są konieczne jakieś kompromisy? No bo co z zabawą, z przyjemnościami, z dogadzaniem sobie w The Sanctuary, z porządną, zdrową dawką egoizmu od czasu do czasu? Może jeździcie bmw, ale mnie się wydaje, że i tak jesteście wołami roboczymi. Przepraszam, że burzę wam dobre samopoczucie, ale z mojego punktu widzenia łączenie pracy z macierzyństwem wygląda na frajerstwo!

– Czyli zgadza się pan, że „Femina” wprowadza czytelniczki w błąd? – Głos Olivii zadźwięczał jak lód w bardzo wytrawnym martini.

– Prawdę mówiąc, tak.

Głuptas. Sam podawał się Olivii na tacy, z jabłkiem w ustach i cebulą w tyłku. Mel nie mogła na to patrzeć. Nie cierpiała polowań.

– Właściwie – ciągnął niezrażony Garth – może nawet jest to nowy trend, którego nikt jeszcze nie dostrzegł. Może patrzymy na największy nierozwiązany problem obecnych czasów? Mam wrażenie – uśmiechnął się rozbrajająco do grupy milczących kobiet – że wielką siłą „Feminy” zawsze była umiejętność rozpoznania, kiedy zmienić taktykę. Zorientowania się, kiedy słupki bramki zostały przesunięte i stwierdzenia, że to „Femina” je przesunęła. Widzicie, moim zdaniem – Garth posłał Olivii swój najbardziej olśniewający uśmiech – tę właśnie kwestię „Femina” mogłaby przedstawić jako własną wizję.

„Sprytne – pomyślała Mel. – Skusić ją rolę pierwszego propagatora nowej filozofii”. Wstrzymała oddech.

Olivia odwróciła się do niego powoli i posłała mu uśmiech modliszki kontemplującej lunch.

– Przykro mi, panie Brook, ale nie jestem przekonana. Dzisiejsze kobiety nie są zniewolone pracą, tylko wyzwolone dzięki niej. A teraz pora przejść do następnych tematów. Na ten zmarnowaliśmy już wystarczająco dużo czasu.

Przez las barków Mel wymieniła pełne zrozumienia spojrzenie z Garthem. Może nie miał racji, ale i tak był najładniejszym chłopakiem, jakiego widziała od miesięcy.

Britt Williams spojrzała na zegarek i zaklęła. Dwudziesta druga, a ona musiała posiedzieć jeszcze co najmniej godzinę. Problem z prowadzeniem własnej firmy polegał na tym, że jeśli samemu się nie harowało, miało się jak w banku, że nikt inny też nie będzie.

Pomyślała przez chwilę o swoim pustym mieszkaniu. Zazwyczaj myśl o własnej przestrzeni, w której nie było nikogo, kto wyciskałby pastę do zębów ze

środku tubki i rozrzucił wszędzie brudne skarpetki, bardzo jej się podobała. Ale nie dzisiaj. Pewnie to tylko resztki kaca, z którym obudziła się rano, wprawiły ją w ponury nastrój. W końcu, jeśli potrzebowała potwierdzenia, że dokonała właściwego wyboru, zostając singielką i koncentrując się na karierze, dostała je wczoraj wieczorem od Liz. Nie zazdrościła jej ani trochę; przeciwnie, wydawało się jej, że życie Liz sprowadza się do tego, by tylko dawać, dawać i dawać. A gdyby Britt miała wybór, wołałaby brać, brać, brać. Jeśli to znaczyło, że czeka na nią puste mieszkanie, no cóż, może to cena, którą trzeba zapłacić. Bo przecież seks to żaden problem. Na konferencjach i podczas służbowych wyjazdów było łatwo o przygody bez zobowiązań.

Zadrżała lekko na wspomnienie straconego weekendu w Cannes w zeszłym miesiącu, który spędziła z pewnym włoskim producentem filmowym. Przez trzydzieści sześć godzin nie wychodzili z łóżka. Był niesamowitym kochankiem, całymi godzinami doprowadzał ją na skraj ekstazy, zanim w ogóle zaczął myśleć o sobie. Owszem, kiedy wyciągnął amytał sodu, była zszokowana. „No ale – pomyślała – skoro nie chcesz wikłać się w związek, przynajmniej możesz trochę zaszać”. Musiała przyznać, że efekt był niewiarygodny. Kiedy w końcu wstali z łóżka, pocałował ją czule i zapisał sobie jej numer telefonu. Powiedziała sobie, że pewnie nie zadzwoni. Ale i tak przez następne trzy wieczory warowała przy telefonie. Nie zdziwiła się, kiedy producent się nie odezwał. W końcu był to seks bez zobowiązań, tak jak lubiła. Prawda?

Patrząc na całość przez pryzmat zysków przynoszonych przez firmę, było warto. Cztery lata temu wpadła na pomysł założenia studia produkującego filmy korporacyjne. Mieli wtedy problem, żeby uzbierać dwadzieścia tysięcy funtów na pokrycie debetu. Teraz osiągnęli trzy miliony funtów obrotu.

Britt Williams radziła sobie nieźle, dziękuję bardzo. Wróciło do niej wspomnienie rodzinnego miasteczka, opuszczonych kopalni, szarzyzny, braku energii. Strasznie przygnębiające miejsce. Nie było tam nawet sklepu Next. W dzisiejszych czasach! Nie miała pojęcia, jak jej mama i tata mogli tam ciągle mieszkać.

Na myśl o rodzicach ogarnęło ją znajome rozgoryczenie. Mieli takie ciasne poglądy! Myślałby kto, że będą z niej dumni, ale gdzie tam. Wciąż wierzyli w socjalizm i, jak to nazywali, „solidne wartości klasy robotniczej”. Nie chcieli nawet wykupić swojego domu komunalnego, bo uważali to za niemoralne! Tata był tak zajęty pogardzaniem kulturą korporacyjną, że nie dostrzegał nawet pozytywnych zmian, które przyniosło ostatnie dziesięć lat, także ludziom pracy, takim jak on. Bez przerwy perorował o bezrobociu i nierównościach. Za każdym razem, kiedy przyjeżdżała do rodzinnego domu, skakali sobie do oczu. Przestała więc jeździć do rodziców. Nie żeby jej się w ogóle chciało wracać do tej klitki, w której wszystko było stare, tanie i sfatygowane.

Pomyślała o swoim apartamencie na Canary Wharf, przerobionym z magazynu, z zapierającym dech w piersiach widokiem na port. Ojcu strasznie się tam nie podobało. Odwiedził ją kiedyś w drodze na konferencję górników i nie posiadał się z wściekłości, że japiszony przerabiają stare doki na mariny i bary z winem. Nigdy więcej do niej nie przyjechał.

Zebrała papiery. Nagle odechciało jej się pracować. Zamknęła puste biuro i zeszła na podziemny parking. Czeką na nią czerwone porsche carrera, lśniący symbol sukcesu, który dała sobie w prezencie, by uczcić powodzenie w interesach. Pogładziła czule karoserię i pomyślała, że musi być jedyną osobą wśród właścicieli porsche, której ojciec się tego wstydzi.

Mama i tata zapewne byliby szczęśliwsi, gdyby wyszła za jakiegoś miejscowego montera i urodziła trójkę wrzeszczących dzieciaków. No cóż, nie miała takiego zamiaru. Ani teraz, ani nigdy. Małżeństwo jest przereklamowane. Wystarczy spojrzeć na Liz, która wypłakuje się Steffi Wilson w kamizelkę, nawet nie podzieliwszy się swoimi wątpliwościami z Davidem. A myślała, że mówią sobie wszystko. Ten przykład jasno pokazuje, że jest tylko jedna osoba, na której możesz polegać – ty sama.

Chociaż było już późno, złożyła dach i wpuściła do środka letnią noc. Gdy wyjechała przed biuro, usłyszała, jak stały flecista Soho gra *Greensleeves*, angielską piosenkę ludową, na schodach kościoła Świętej Anny, a przy Shaftesbury Avenue saksofonista przytupywał samotnie do taktu, podczas gdy ogromna orkiestra swingowa akompaniowała mu z magnetofonu. W powietrzu unosiły się zapachy miasta, chińskiego żarcia na wynos, pikantnego curry vindaloo, hot dogów. To właśnie ta mieszanka egzotyki i śmiałości, poczucie, że ludzie żyją tu na krawędzi, sprawiały, iż Londyn wydawał jej się taki wyjątkowy, jakby leżał nie pięćset, ale pięćset tysięcy kilometrów od rodzinnego miasta.

Było tak pięknie, że Britt nagle poczuła się samotna. Na chodnikach przed pubami roilo się od ludzi, a każda taka gromada była jak przyjęcie, na które jej nie zaproszono.

Właśnie takiego wieczoru jak ten poznała Davida, na koktajlu na dziedzińcu Christ Church. Byli jedynymi przybyszami z Północy wśród całej bandy absolwentów Eton i ich rozwydrzonych dziewczyn. Nawet nie zostali sobie przedstawieni – coś przyciągnęło ich do siebie, ukradli butelkę szampana i poszli popływać łódką po rzece Cherwell. Dwa następne miesiące były najszcześniejszym okresem podczas jej trzyletnich studiów na Oksfordzie – szczęście prysło w chwili, gdy powiedział jej, że musi się skoncentrować na pracy, ale wiedziała, że to uprzejme danie jej kosza.

Ulice pustoszały, kiedy jechała dalej na wschód. Zaczęła się zastanawiać, jak to wszystko znosi David. Był znacznie bardziej podobny do niej niż do Liz. Nigdy nie potrafiła zrozumieć, dlaczego wybrał Liz, a nie ją.

Biedny David – jeśli plotki były prawdziwe, to chociaż może nie był na wylocie, musiał przynajmniej nieźle się gryźć. Jak sobie radził z tym, że Liz ryzykowała utratę pracy i wywołała tę całą burzę i to w czasie, kiedy on sam był pod taką presją? Liz niewątpliwie była zbyt zajęta Metrem i bachorami, by zauważyć, że David musi się czuć dość niepewnie. Na tym właśnie polegał problem, kiedy próbowano się godzić karierę z dziećmi. Kobieta nie miała wtedy czasu ani energii, żeby myśleć partnerze. David prawdopodobnie potrzebował teraz tyle samo uwagi, co Jamie i Daisy. Z tym że, o ile go znała, nigdy by się do tego nie przyznał.

A przecież go znała, rzecz jasna. W ciągu tych dwóch cudownych miesięcy, zanim spotkał Liz, zdążyła go poznać całkiem nieźle. I czasem wydawało się jej, że już nigdy później się tak dobrze nie bawiła.

Britt wygrzebała kasetę z półeczki, włożyła ją do magnetofonu i pogłośniła. Eric Clapton śpiewał *Wonderful Tonight*. Dostała tę taśmę w prezencie od Davida. Tuż przed tym, jak rzucił ją dla Liz.

Rozdział 8

Liz spojrzała na zegarek po raz drugi w ciągu pół godziny. Kiedy, do cholery, to zebranie wreszcie się skończy? Tylko Conradowi mogło przyjść do głowy zwołanie rutynowego zebrania o wpół do szóstej w piątek.

Na dole w recepcji już pewnie czekała Susie z Jamiem i Daisy w piżamach, a na ulicy stał mercedes Davida, zapakowany po dach prowiantem, turystycznymi łódeczkami dziecięcymi, misiami i kaloszami. Ruszali dzisiaj na sześciotygodniową pielgrzymkę do domku w Sussex, który zostawiła Liz babcia.

David oczywiście jeszcze nie będzie jechał. Postara się to odkładać tak długo, jak tylko się da. Nie cierpiał tych wypraw, nie znosił zaproszeń na niedzielny koktajl do domu jakiegoś nudnego pułkownika i tego, że Liz upierała się, iż niegrzecznie byłoby odmówić.

Ale ona uwielbiała to miejsce. W dzieciństwie często odwiedzała kamienny domek kryty strzechą – wtedy jeszcze mieszkała w nim jej babcia – i miała szczęśliwe wspomnienia spacerów po wapiennych wzgórzach oraz nad oddalonym o pięć kilometrów morzem. Teraz niczego tak nie uwielbiała, jak zrzucić biznesowe ciuchy, wskoczyć w dzinsy i kalosze i kopać w ogródku z Jamiem i Daisy.

W każdym razie w tę niedzielę nudne koktajle im nie groziły. Razem z Mel i Britt szli na lunch do Ginny.

Mel przyglądała się twarzy Gartha, którego głowa leżała obok niej na poduszce, w poszukiwaniu oznak żalu. Zastanawiała się, czy się nie wymknąć, zanim on się obudzi, tak by nie musiała patrzeć, jak otwiera oczy, dostrzeże ją i życzy sobie tylko, aby znikła. Na razie jednak spał spokojnie i wyglądał tak pięknie, że nie mogła się zmusić, by wstać i pojechać na lunch do Ginny. Przyszło jej do głowy, żeby zabrać go ze sobą. Ale na tym delikatnym etapie ich relacji bezlitosne, ciekawskie spojrzenia jej przyjaciółek prawdopodobnie wystarczyłyby, aby zdusić całą rzecz w zarodku.

Nie mogła sobie przypomnieć, jak to się dokładnie stało, że wylądowali w łóżku. Owszem, pamiętała, jak go podwoziła, jak zawzięcie się kłócili w samochodzie i jak mu mówiła, że do spółki z Liz cofnie kobiety o dwadzieścia lat.

– Jeszcze mnie nie przekonałaś. – Uśmiechnął się, sięgając do kierownicy i wrzucając lewy kierunkowskaz. Pokazał, żeby się zatrzymała przed pretensjonalną winiarnią o nazwie Hiccups^[2], pełną bogatych Arabów i sprzedawców samochodów. Szampan był paskudny i oszałamiająco drogi, a oni wypili dwie butelki. Jego argumenty wciąż jej nie przekonywały.

– Ojej – powiedział z udawanym zatroskaniem – ciekawe, co jeszcze

mógłbym zrobić, żeby cię przekonać? – Zignorował jej samochód i zatrzymał taksówkę, po czym, nawet nie pytając jej o zdanie, podał swój adres.

W taksówce czuła się jak zachłanny dzieciak na przyjęciu: wszystko wyglądało tak kusząco, że chciała się na to rzucić. W podnieceniu zapomniwała nawet, że nigdy nie chodziła do domów mężczyzn, zawsze nalegała, by to oni przyszli do niej. Zawsze, kiedy się rozbierała, czuła się tak bezbronna, że potrafiła sobie z tym poradzić, tylko będąc gdzieś, gdzie czuła się bezpieczna, gdzie sama mogła przygotować grunt, dopilnować, by oświetlenie było subtelne i korzystne, a przy łóżku leżało kimono, którym można zakamufłować fałdki tłuszczu, i gdzie na podeście schodów nie wpadnie na żadnych uśmiechających się znacząco współlokatorów.

Ale kiedy tylko przekroczyła próg mieszkania Gartha, zapomniwała o wszystkim, z wyjątkiem tego, jak bardzo go pragnęła.

A Garth okazał się objawieniem.

Jakby instynktownie wiedział, co ją podnieci, nawet nie pytając. „Gdzie on się tego wszystkiego nauczył?” – zastanawiała się, aż przestało ją to obchodzić. Może dziewczyny w dzisiejszych czasach szły za radą „Feminy” i mówiły facetom, czego chcą w seksie. Mel nie mogła otrząsnąć się z oszołomienia. Co prawda, była redaktorką naczelną bibliai nowoczesnej kobiety, ale mężczyznę w łóżku zdarzyło jej się co najwyżej poprosić o zgaszenie światła.

Nagi był tak piękny, jak się spodziewała. Jeśli tacy byli ci „nowi mężczyźni”, żałowała, że zmarnowała tyle czasu na tych starych.

A jednak, kiedy przyglądała się rano jego twarzy na poduszce, uświadomiła sobie, że coś ją martwiło, jakiś drobny szczegół kołatał się z tyłu głowy i nie dawał jej spokoju. Wreszcie do niej dotarło: chodziło o poczucie, że mimo całej radości, jaką czerpali z siebie wzajemnie, pozostał między nimi pewien dystans. Jak gdyby to, co robili, co dawało im tak intensywną przyjemność i satysfakcję, wynikało bardziej z biegłości w technice niż namiętności.

– Cooo zrobił?

Rozglądając się po twarzach pozostałych, Liz starała się, żeby w jej tonie nie było słycać szoku i zdumienia. Przyszli do Ginny na relaksujący lunch, a zamiast tego dostawali powtórkę z Kamasutry, z Mel i jej nowym chłopakiem w rolach głównych.

„Na litość boską, Liz – zbeształa samą siebie – brzmiś jak pruderyjna ciotka”. Pewnie to z zazdrości. Po prostu dlatego, że ona i David byli zbyt wykończeni, by stać ich było na więcej niż pięć minut w pozycji misjonarskiej. A przecież kiedyś kochali się w najróżniejszych miejscach w całym domu: na schodach, na stole w kuchni, a raz nawet – niezapomniana chwila, która do dziś wywoływała uśmiech, kiedy sięgała po żelazko Philipsa z parownikiem – na desce do prasowania. Ale oczywiście to wszystko działo się w czasach prehistorycznych.

Przed dziećmi.

Zaciekawilo ją, jak inni to znoszą. Ginny zerkała nerwowo w stronę dzieci pluskających się w nadmuchiwanym basenie na drugim końcu ogrodu, ale robiły zdecydowanie za dużo hałasu, żeby coś usłyszeć. Gavin uśmiechał się psotnie i spoglądał na żonę. Kiedy Ginny odwróciła się w jego stronę, puścił do niej oko. Najwyraźniej też spędzili upojną noc, sądząc z tej wymiany spojrzeń.

Na twarzy Davida malowała się dezaprobata. Nie lubił Mel. Uważał, że jest gruboskórna i robi dużo szumu wokół siebie. Oczywiście, miał rację, ale to właśnie była kwintesencja Mel.

Britt siedziała nieco z boku, z irytującą miną, która mówiła: „Byłam, widziałam, pamiątkową koszulkę dostałam”. „Pewnie uważa, że jej szwedzkie korzenie czynią z niej autorytet w sprawach seksu” – pomyślała złośliwie Liz.

Jej wzrok na chwilę przykuły nogi Britt. Wystawały z markowych szortów: długie, złociste i niezmiernie wkurzające. Ani jeden włoszek nie szpecił ich opalonej gładkości. „Ciekawe, jak często chodzi na wosk” – zastanawiała się Liz, starannie obciążając letnią sukienkę, by schować własne nogi, które nagle zaczęły jej przypominać oskubanego kurczaka, i mając nadzieję, że nikt, a już zwłaszcza Britt, nie zauważy tego gestu. I skąd ona ma tę opaleniznę? Solarium czy krótka przerwa w łózkowych igraszkach podczas sprośnych weekendów w Acapulco?

Britt zawsze wyjeżdżała do jakiejś słonecznej miejscówki z facetem, o którym już nigdy potem jej przyjaciółki nie słyszały. Lubiła mężczyzn wpływowych, starszych od siebie i najlepiej żonatych. Wtedy mogła liczyć na lepsze prezenty. Kupowali jej bieliznę od Janet Reger oraz drogie zegarki i zapraszali do luksusowych hoteli – takich, w których dają gościom puszyste białe szlafroki, i to na własność (przypuszczalnie nawet nie dlatego, że goście mogliby je ukraść). Jeden z kochanków Britt, co przypominała sobie Liz z uśmiechem, dał jej mieszkanie z oranżerią. Liz, gnieźdząca się wtedy z dwiema współlokatorkami w kawalerce w Earls Court, zastanawiała się, dlaczego ona dostaje żonkile i czekoladki Black Magic, a Britt trzy pokoje z garderobą.

Spojrzała jeszcze raz na nogi Britt. Z drobnymi luksusami w rodzaju solarium i depilacji okolic bikini trzeba było się pożegnać w pierwszej kolejności, kiedy miało się małe dzieci i pracę. Ciekawe, dlaczego bezwłose czujemy się bardziej pewne siebie. Na konferencji prasowej kilka dni temu była przekonana, że ktoś się domyśli, iż pani dyrektor programowa pod swoim nowym drogim kostiumem ma nieogolone pachy. I to nie z wyboru – nie były to feministyczne włochate pachy, które coś obwieszczają światu, ale po prostu pachy nieefektywne, przepracowane i zaniedbane.

Pachy najgorszego sortu.

Mel zaczynała wpadać w nieznośnie triumfujący ton.

– Był wspaniały – westchnęła z rozrzewnieniem, z zamglonymi oczami. –

Co najmniej dwadzieścia trzy centymetry. – Czekwała na okrzyki podziwu. Które nie nastąpiły. – No to dwadzieścia pięć. – Wyciągnęła ręce, zakreślając w powietrzu zarys czegoś w rodzaju balonu w kształcie jamnika albo może wyjątkowo dużej bagietki.

Wszyscy się roześmiali. Znali Mel.

– Przeglądałam kiedyś katalog akcesoriów erotycznych. – Britt prowokacyjnie założyła jedną opaloną nogę na drugą, po czym z powrotem ją zdjęła. – Prezerwatywy mieli w trzech rozmiarach: king size, kolos i super kolos.

Mel zachichotała z tej próżności męskiego ego.

– No to Garth ma super kolosa.

– Myślałem, że rozmiar nie ma znaczenia. – David chciał, żeby nie zabrzmiało to pompatycznie, ale mu się nie udało.

– Nie wierz w to! – zapiszczała Mel. – To mit rozpowszechniany przez facetów z małym ptaszkiem.

David spojrział ciekawie na Britt, zastanawiając się, zgodnie z jej zamierzeniem, po co przeglądała katalog akcesoriów erotycznych. Ku swojemu lekkiemu zażenowaniu w wyobraźni zobaczył w pełni ukształtowany obraz Britt w czarnym lateksowym gorsecie i dziesięciocentymetrowych szpilkach, z nazistowską czapką na krótkich blond włosach i pejczem w dłoni. Odwrócił wzrok, zawstydzony tym, jak bardzo go ten obraz pobudził.

Ginny wstała, żeby zająć się obiadem, a Liz do niej dołączyła, chcąc uciec od dziwnie napiętej atmosfery. Całe to gadanie o seksie działało jej na nerwy. Trzy razy w ciągu jednej nocy! Nawet nie pamiętała, kiedy ostatnio zrobili to z Davidem więcej niż raz – chyba całe lata temu.

Jak inni sobie radzą z podtrzymaniem namiętności w małżeństwie? Słyszała o pewnej parze, która umawiała się na seks raz w tygodniu, niewątpliwie zapisując to sobie w organizatorach, i kładła się do łóżka z talerzem kanapek i butelką wina.

„A załatwiali też opiekunkę do dziecka?” – zastanawiała się leniwie Liz.

Poszła za Ginny do kuchni i po raz kolejny doznała zachwyty. To tu biło serce domu. Pomieszczenie było tak przytulne, że kiedy człowiek wszedł do środka, miał ochotę zostać tu na zawsze, spowity aromatycznym ciepłem.

Prawdziwa kuchnia marzeń. Nie jedna z tych fantazji speców od reklamy, które widywało się w kolorowych dodatkach, a w których stylisty usiłował uzyskać efekt przytulności przez dodanie labradora i pięciu tuzinów suchych róż zawieszonych pod sufitem. W kuchni Ginny był autentyzm: z niebieskiego piecyka Rayburn dolatywały smakowite zapachy, na kredensie stała biało-niebieska porcelana, obok serty gazet na podpałkę leżał koszyk dla psa, a w kącie przycupnęła sfatygowana kanapa przykryta patchworkową narzutą.

We wszystkich zakamarkach zalegały pamiątki z wakacji, wycieczek, wypraw w poszukiwaniu skamielin, romantycznych schadzek, nie tylko

z przeszłości Ginny i jej rodziny, ale też innych, jeśli jej się podobały. Wyglądało to jak wielki gobelin utkany z przeżyć i doznań, który każdego, kto lubił w kuchni ład i kliniczną czystość, doprowadziłby do załamania nerwowego. Liz natomiast zachwycał.

Przestała kręcić się po kuchni i popatrzyła na jedną z haftowanych makatek na ścianie. Ginny je kolekcjonowała, było to jedno z jej hobby. Podobała jej się myśl, że ktoś siedział sobie – może nawet w tej części Sussex – wyszywając złote myśli, które sto lat później wydawały się równie banalne i prawdziwe co zawsze.

Liz nie widziała tej makatki wcześniej, a teraz nagle wydała jej się wzruszająco trafna, jak horoskop, w który wierzysz tylko, jeśli mówi ci to, co chcesz usłyszeć.

Czy drewniany, czy murowany

Z samej miłości dom zbudowany

Pomyślała o swojej kuchni z pełną zabudową, ogromną lodówko-zamrażarką sprowadzoną z Ameryki, gdzie ludzie naprawdę umieli robić hurtowe zakupy, z mikrofalówką i wszystkimi innymi usprawniającymi pracę gadżetami dostępnymi na rynku, z korkową tablicą z grafikiem, listami i instrukcjami. Ale czegoś tam brakowało. Z ostrym ukłuciem zazdrości, której nie czuła ani wobec wyczynów seksualnych Mel, ani pieniędzy Britt, uświadomiła sobie, czego.

Podczas pichcenia sufletów Ginny tworzyła tu miłość.

„Mój dom jest jak hotel – pomyślała wstrząśnięta Liz. – Elegancki, uporządkowany, szykowny hotel. Takie sprawia wrażenie, bo ani mnie, ani Davida nigdy tam nie ma. Mój dom nie ma serca”.

Oczami wyobraźni ujrzała, jak czeka w domu na powrót Jamiego z przedszkola, tak jak Ginny czekała na swoje dzieci. Jak słyszy jego okrzyk: „Cześć, mamoo!”, kiedy syn biegnie do niej i wpada w jej objęcia, z policzkami chłodnymi od zimowego powietrza.

Jak by to było czekać na Davida z obiadem w piekarniku, zamiast odgrzewanego w mikrofalówce dania kupionego w sklepie Marks & Spencer? Czy jemu by się to podobało, czy poczułby się stłamszony miłością, której dodałaby do domowej zapiekanki z wołowiny i cynaderek?

Biorąc do ręki jeden z obrazów Ginny i podziwiając jego misterne piękno, Liz zastanawiała się, jak kiedykolwiek mogła czuć wobec niej litość. Dotąd zawsze uważała, że Ginny marnuje talent na malowanie durnych kwiatków, że pokrywa wszystkie meble szablonami, bo nie może znaleźć wartościowego ujścia dla swoich zdolności. Teraz nie była już tego taka pewna. Może wszystko to były rzeczy drobne i trywialne, ale Ginny miała w życiu tak wiele: ten uroczy dom, obrazy kwiatów, Gavina, dzieci. Ginny była filarem swojej rodziny.

Liz popatrzyła na przyjaciółkę, która mieszała sos do puddingu cytrynowego, a wokół rozchodził się ostry, cierpki zapach tego owocu.

– Wiesz, Ginny, zazdroścę ci.

Ginny z zaskoczenia omal nie upuściła drewnianej łyżki.

– Ty mi zazdrościsz? – W jej głosie dźwięczało zdumienie. – Ale przecież to ty jesteś ta zdolna i ambitna. To ty masz dyplom świetnych studiów, pracę w telewizji, przystojnego męża. Ja jestem tylko kurą domową, a ty...

– Wiem, wiem – przerwała jej Liz. – Jestem cholerną Superwoman, która ma wszystko. Ludzie ciągle mi to powtarzają.

Ginny popatrzyła na nią, zaniepokojona. Nigdy wcześniej nie słyszała w głosie Liz takiej goryczy.

– Wszystko w porządku? – Od miesięcy nie gadała z Liz od serca. – Może przyjadę w przyszłym tygodniu do miasta, pójdziemy coś zjeść i naprawdę porozmawiamy?

Nagle Liz uświadomiła sobie, jak bardzo brakowało jej rozmowy z kimś, kto by ją zrozumiał, kto nie uznałby jej za dziwoląga czy wariatkę, tak jak Mel i Britt. I nawet David.

– Byłoby świetnie. – Liz zanurzyła palec w pysznym sosie. – No dobra. Wezmę się w garść i pójdę zobaczyć, jak się rozwija talk show *Wyznania wyposzczonej redaktor naczelnej*.

– Powiedz wszystkim, że lunch gotowy, dobrze?

Liz wyszła przez drzwi na taras. Z dmuchanego basenu w przeciwnym końcu ogrodu dobiegały okrzyki euforii dzieciaków, ochlapywanych wodą przez Gavina. Mel uśmiechała się rozmarzona do swojego kieliszka, najwyraźniej zastanawiając się, co też jej młody kochanek ma w zanadrzu na dzisiejszy wieczór. Britt, rozłożona na kocu, śmiała się do Davida siedzącego w wiklinowym fotelu.

– Dobra, ferajna, wyłazić. Lunch gotowy – zawołała Liz do Gavina i dzieci.

– Chodź, David. – Britt pociągnęła go za rękę. – Zobaczmy, co pani Mrugalska wyjęła ze swojej spiżarni. – Oboje wybuchli śmiechem.

Porównanie Ginny do uwielbiającej domową krzątanicę Jeżycy z książeczki Beatrix Potter było tak piekielnie trafne, a jednocześnie tak straszliwie okrutne, że Liz aż zerknęła przez ramię, by sprawdzić, czy gospodyni mogła je usłyszeć. Ginny stała na ostatnim schodku. Słyszała na pewno.

Wściekła na tych dwoje Liz przebiegła przez ogród i wyciągnęła Jamiego z basenu.

Nie widziała więc, jak na ułamek sekundy Britt ociera się o wstającego z fotela Davida. Nie zauważyła też wyrazu podniecenia na twarzy męża, kiedy ten zastanawiał się, czy Britt prowokuje go celowo.

Ale Ginny zauważyła.

Rozdział 9

Szlag! Ani jednego miejsca do zaparkowania w promieniu prawie kilometra od stacji metra Waterloo, a Liz już była spóźniona. Miała wyjść po Ginny na dworzec o dwudziestej trzydzięci. Rezerwacja stolika w Mon Plaisir będzie ważna najwyżej pół godziny, więc trzeba będzie gnać, żeby zdążyć. Musiała zaparkować przy rzece i podejść na piechotę.

W chwili, kiedy skręciła do podziemnego przejścia prowadzącego na dworzec, usłyszała słowa: – Nie poratowałaby mnie pani funtem na herbatę? – Irlandczyk, który ją zaczepił, wyglądał, jakby herbata zajmowała raczej odległą pozycję na liście jego ulubionych napojów. „Od kiedy to filiżanka herbaty kosztuje funta? – zastanawiała się Liz, grzebiąc w portmonetce w poszukiwaniu monet. – No chyba że kupuje się ją po drugiej stronie rzeki w Savoyu”.

Nie przeszła dziesięciu metrów, kiedy podszedł do niej drugi mężczyzna, a potem kolejny. Czując narastającą irytację, bo Ginny pewnie zaczynała się martwić, Liz przyspieszyła kroku. Jednak zbiegając do przejścia podziemnego, uświadomiła sobie, że w tej ostatniej dwójce było coś niezwykłego. Nie przypominali starych kloszardów, dobrze znanych w każdym mieście. Byli młodzi. Nie różnili się w zasadzie od innych nastolatków.

Kiedy skręciła za róg, tam gdzie przejście rozszerzało się pod rondem, aż przystanąła ze zdumienia. Widziała Kartonowe Miasto^[3] w telewizji, ale – co było dość absurdalne, zważywszy na to, że kierowała stacją TV – nigdy wcześniej nie oglądała go w rzeczywistości.

Od razu zrozumiała, skąd wzięła się ta nazwa. Chociaż było jeszcze wcześniej, setki bezdomnych, młodych i starych, układały się do snu, budując prowizoryczne schronienia z tekturowych pudeł. Powstawały misterne konstrukcje przypominające małe domki, nakryte kocami służącymi za dach.

Grupka starców i nastolatków przekopywała się przez stertę znoszonych palt, właśnie dowiezionych przez jakąś organizację charytatywną, by zastąpiły koce tym, którzy ich nie mieli. Ktoś rozpalił ognisko pod jednym z betonowych filarów podtrzymujących sklepienie. Bijący od niego blask nie pasował do tego bezdusznego miejsca, kojarzył się raczej z kominkiem w przytulnej edwardiańskiej willi.

Liz nie mogła uwierzyć, że jest w Anglii. Może coś takiego mogłoby się dzieć w Brazylii albo w jakiejś biednej republice bananowej, ale przecież nie w Londynie, niewiele ponad kilometr od Izby Gmin i pałacu Buckingham.

Kiedy pośpiesznie mijała rzędy kartonów, chcąc jak najszybciej dotrzeć do kojących jasnych świateł dworca i sączącej się z głośników muzyki, nagle stanęła jak wryta, zatrzymana najbardziej żalonym widokiem, jaki dane jej było oglądać.

Było to posłanie zrobione z dwóch starych materaców ułożonych jeden na drugim. Jednak w przeciwieństwie do wszystkich innych prowizorycznych łóżek przykrytych sfatygowanymi śpiworami i brudnymi starymi płaszczami, to było perfekcyjnie posłane wytartymi prześcieradłami i kocami, ładnie wsuniętymi pod materac, na wierzchu zaś leżała poduszka, a dokładniej poszewka wypchana gazetami. Obok stało odwrócone do góry dnem kartonowe pudło – zaimprovizowany nocny stolik.

Z całej tej beznadziei, tego spustoszenia, ktoś próbował stworzyć namiastkę domu, swoją przystań, wbrew wszelkim przeciwnościom.

Wchodząc niepewnym krokiem po schodach na dworzec, Liz poczuła, że oczy ją pieką od łez i jedno wiedziała bez cienia wątpliwości: Metro TV będzie musiało coś zrobić, żeby pomóc tym ludziom.

– No, co się dzieje, Lizzie? – Ginny uśmiechnęła się zachęcająco do swojej przyjaciółki ponad restauracyjnym stolikiem. – To, co wtedy mówiłaś, w ogóle do ciebie nie pasowało.

– Wiem. – Liz uśmiechnęła się smutno. – Po prostu wszyscy myślą, że jestem chodzącym ideałem, a tak naprawdę strasznie mi ciężko utrzymać moje życie w kupie. Zawsze chciałam odnieść sukces, a teraz, kiedy mi się udało, wcale nie jestem szczęśliwa. To jakiś obłąd, ale nie jestem w stanie zmieścić w swoim życiu wszystkiego, tak aby jeszcze zostało trochę miejsca dla mnie. Mając pracę, dzieci, usiłując prowadzić dom i od czasu do czasu spotkać się ze znajomymi, jestem cały czas wykończona! Jakoś czuję, że powinnam mieć więcej z życia.

– David ci nie pomaga, teraz, kiedy jesteś taka zajęta?

– No tak. Tak, oczywiście, robi to i owo, ale jest mężczyzną, Ginny, a sama wiesz, jacy oni są! Jedna wizyta w supermarkecie żyje w męskiej pamięci pięć lat i facet od razu zaczyna mówić: „Przecież to ja zawsze robię zakupy!”.

Ginny zachichotała.

– Wiem, o czym mówisz. Ale nie możesz z czegoś zrezygnować, żeby zaoszczędzić trochę czasu?

– Nie wiem. Ciągłe próbuję, ale mam tak dużo roboty. A do tego czuję, że muszę być nie tylko równie dobra, jak byłby na tym stanowisku mężczyzna, ale lepsza!

– Nie wiem, skąd bierzesz energię.

– Ja też nie. Czasem wyobrażam sobie, że zaszywam się w domku na wsi i pozwalam całej reszcie uporządkować to wszystko beze mnie.

– Ale nigdy byś tego nie zrobiła. Jesteś przyzwyczajona do bycia w centrum wydarzeń. Nudziłabyś się jak mops.

– Naprawdę? Naprawdę aż tak? – Liz przez chwilę wyglądała zaskakująco poważnie. – Pewnie masz rację.

Mel przewinęła taśmę w automatycznej sekretarce i jeszcze raz ją

odsluchiwała. Wiedziała, że to na nic, że nie ma tam wiadomości od Gartha, ale coś kazało jej znieść kolejne dwie minuty bezowocnej nadziei. Może jego nagranie ukryło się na samym końcu i je przegapiła.

Nic. Zero. A minął cały tydzień od tej cudownej nocy, którą spędzili razem. Przez ten tydzień podskakiwała na każdy dzwonek telefonu, każdego ranka myła włosy, na wypadek gdyby Garth pojawił się w biurze, i ani razu nie położyła się spać z niezmytym makijażem, tylko codziennie nakładała świeży. Ale telefon nie dzwonił, a Mel miała dziwne przeczucie, że gdyby Garth przyszedł do redakcji „Feminy”, specjalnie wybrałby taki moment, aby uniknąć spotkania z naczelną.

To napięcie ją dobijało. Jeśli nie zadzwoni do jutra, miała zamiar porwać na strzępy majtki firmy Janet Reger, kupione specjalnie z myślą o nim, i wysłać mu je pocztą.

„Mężczyźni i kobiety tak dobrze się rozumieją – pomyślała z wściekłością. – Ja widzę w tym początek trzydziestu szczęśliwych lat razem, dla niego to przygoda na jedną noc”.

W dodatku nie mogła sobie wmawiać, że mógł zgubić numer jej telefonu, nie było jej dane zachowanie nawet tej resztki godności. W końcu on pracował dla „Feminy”, na litość boską! A poza tym i tak zostawiła mu swój numer na sekretarce. Dwa razy. Może, patrząc z perspektywy czasu, nie był to najlepszy pomysł. Z drugiej strony, z optymizmem zrodzonym z faktu, że знаła dziesięć wolnych kobiet przypadających na każdego wolnego mężczyznę, postanowiła dać mu szansę mimo wątpliwości i uznać, że musiał wyjechać z miasta. Jej palec zbliżył się węzowym ruchem w stronę tarczy telefonu, jakby przyciągany jakąś przemożną siłą.

Może lepiej zostawić jeszcze jedną maleńką wiadomość, tak na wszelki wypadek.

Po trzech dzwonekach włączyła się automatyczna sekretarka.

– Cześć – powiedział głos Gartha – tu Garth. W tej chwili nie ma mnie w domu, ale proszę zostawić wiadomość po sygnale.

Mel zastanowiła się przez moment. Coś miłego i subtelnego. Nic zbyt nachalnego.

– Cześć, Garth, mówi Mel. Jest siódma i ja jestem w domu, więc gdybyś chciał wpaść i wziąć mnie w posiadanie, nie krępuj się. Paaa!

– Liz, ten cykl dokumentalny o bezdomności – Conrad dźgnął scenariusz długopisem, jakby był to jakiś nieprzyjemny obiekt, pozostawiony na stole w sali posiedzeń przez kota – wygląda na straszliwe nudziarstwo, w dodatku bardzo, bardzo drogie.

„No tak – pomyślała Liz – zaczyna się”. Była dyrektorem programową od dwóch miesięcy i co tydzień kłóciła się z Conradem, usiłując go przekonać, by zgodził się na cokolwiek ambitniejszego niż teleturniej albo wielka rozrywkowa

rewia. Zaczynała dochodzić do wniosku, że Britt miała rację: Conrad przyjął ją na to stanowisko tylko dla mydlenia oczu, a teraz, kiedy Metro już się rozkręciło, zaczął uważać ją po prostu za utrapienie.

Od początku wiedziała, że będzie musiała stoczyć prawdziwą batalię o ten cykl. Ale przecież nie próbowała bez przerwy narzucać poważnych programów niechętniej widowni. Niektóre z jej projektów rozrywkowych okazywały się spektakularnym sukcesem, a oglądalność Metra była na tyle duża, by uszczęśliwić nawet najbardziej cynicznych reklamodawców.

Jednak ten jeden cykl uparła się zrobić.

Od tego wieczoru, kiedy zobaczyła Kartonowe Miasto na własne oczy, wiedziała, że Metro powinno zacząć walczyć z tym skandalem, rozgrywającym się tuż za progiem. Musiała jednak przekonać do tego Conrada. Nie tylko przez wzgląd na ludzi, których wtedy widziała, ale także dla samej siebie. Tę bitwę musiała wygrać. Na oczach innych. Popatrzyła na pięciu szefów działów siedzących przy stole. Podobnie jak reszta pracowników, chcieli wiedzieć, kto tu rządzi – ona czy Conrad. I musieli niezwłocznie poznać odpowiedź na to pytanie.

– Daj spokój, Conrad. – Liz postanowiła na początek go poczarować. – Robimy wystarczająco dużo teleturniejów, żeby reklamodawcy czuli się jak w raj. Musimy myśleć też o naszym wizerunku stacji, której nie jest wszystko jedno. Widziałeś w ogóle, jak to tam wygląda, w tym przejściu podziemnym?

Wspomnienie tamtego żalosego łóżka prześladowało ją przez dłuższy czas.

– Tysiące ludzi są skazane na życie na ulicach jak kloszardzi, jakby Londyn był jakimś slumsem. Młodzi ludzie, nie jacyś menele, po prostu osoby, które miały pecha, mieszkają w tekturowych pudłach! I to się dzieje nie w São Paulo, nie w Meksyku, ale w Westminsterze! Półtora kilometra od cholernejszej matki parlamentów świata!

– A ty widziałeś te żalose ofiary losu osobiście?

Liz nie dostrzegła pułapki, w którą dała się wciągnąć.

– Tak. Tak, widziałam. Pojechałam na Waterloo Station po przyjaciółkę i nie wierzyłam własnym oczom. Jakbym była w Trzecim Świecie.

– Aha. No proszę. Nasza nowo wybrana pani dyrektor programowa wysiada na chwilę ze swojego jaguara z szoferem... – Zawiesił głos, bo przez salę przebiegł nerwowy chichot.

„Ty bydlaku! – pomyślała z furją Liz. – Nawet nie chciałam tego parszywego jaguara!”

– ...i ląduje w piekle na pięć bolesnych minut, zanim zdążyła się wycofać do Savoya albo Covent Garden, po czym jak pani dobrodziejka chce opowiedzieć światu o napotkanym koszmarze. No cóż, spóźniłaś się, złotko. Świat już wie o Kartonowym Mieście i ma je głęboko w dupie. Pokazują je w wiadomościach praktycznie co miesiąc. A może jesteś zbyt zajęta kąpaniem dzieci, żeby zawracać

sobie głowę oglądaniem wiadomości? Ten temat już nikogo nie obchodzi. To suchar. A ty chcesz, żebym wydał setki tysięcy funtów na cykl dokumentalny o czymś, czym widzowie już są znudzeni?

Miała ochotę go kopnąć za ten protekcjonalny ton.

– No ale nie powinni być znudzeni! To zbyt ważna rzecz. A my byśmy tak to pokazali, że nie byłoby mowy o znudzeniu – odparowała ze złością Liz. Jak on śmie sugerować, że jest za bardzo zaabsorbowana macierzyństwem, by wykonywać swoją pracę? – Ciarki by im chodziły po plecach!

– A jak mielibyśmy to zrobić?

– Wysłalibyśmy naszego reportera, żeby tam pomieszkał, naprawdę żył tam przez jakiś czas bez grosza, tak jak oni wszyscy, i filmowalibyśmy go ukrytą kamerą. Mógłby nam opowiedzieć, jak się czuje człowiek, który znajdzie się na dnie, a jednocześnie zobaczylibyśmy rzeczy, które poruszyłyby nawet ciebie, Conradzie.

– Moja kochana – odparł słodko. – Powinnaś zajmować się polityką, a nie telewizją.

Wszystko na nic. Widziała, że już podjął decyzję. Cokolwiek by powiedziała, Conrad nie zmieni zdania. Podobno miał nadzieję dostąpić najwyższego zaszczytu – zaproszenia na uroczystą kolację na Downing Street 10^[4]. A zapewne by go nie dostał, gdyby zawstydził rząd, pokazując Trzeci Świat tuż za rogiem.

– Po dogłębnym zastanowieniu się nad tym pomysłem – uśmiechnął się wilczo – uważam, że jest do bani. – Conrad odepchnął scenariusz długopisem, jakby plik kartek wydawał nieprzyjemną woń ubóstwa i porażki. – Więc go zarzucamy. Zdecydowałem się przyznać te pieniądze innemu działowi.

Odwrócił się i uśmiechnął do Claudii. Liz słyszała, że wrócili do siebie. Ewidentnie musieli knuć już od jakiegoś czasu, a obserwując wymianę spojrzeń między nimi, nawet się domyślała, gdzie.

Liz czuła, że oczy wszystkich obecnych są zwrócone na nią. Wiedziała równie dobrze jak oni, że to, co przed chwilą zaszło, było bezpośrednim podważeniem jej autorytetu. Musiała działać, musiała jakoś zmusić Conrada, by ustąpił, w przeciwnym razie jej wiarygodność legnie w gruzach. Wieść o jej porażce rozejdzie się po całym budynku jeszcze przed lunchem. Równie dobrze mogła zabrać swoje rzeczy z biurka i się stąd wynieść.

– Wielka szkoda, Conradzie – powiedziała cicho.

– Ach tak, Liz? A dlaczego?

– Ponieważ tak się składa, że wpadłam ostatnio na Bena Morgana z Independent Television Commission na jakiejś imprezie prasowej. – Uśmiechnęła się do zebranych. – Ben Morgan, jak może pamiętacie, przyznał Metro TV koncesję. I musi się upewnić, czy wypełniamy nasze zobowiązania. – Zwróciła się

ponownie do Conrada. – Rozmawiał z piszącymi o mediach dziennikarzami z „Guardiana” i „Sunday Timesa”. Pytali go, jak zamierza dopilnować, żeby Metro dotrzymało obietnic odnośnie do produkowania ambitnych programów. Ben odparł, że będzie nas uważnie obserwował i zapytał mnie, co planujemy.

Pociągnęła łyk kawy. Była zimna, ale Liz chciała zmusić Conrada do czekania.

– I co mu powiedziałaś? – Conrad usiłował ukryć irytację.

– Że inwestujemy mnóstwo kasy w demaskatorski cykl dokumentalny o bezdomności. Był tym absolutnie zafascynowany. Ten temat budzi w nim duże emocje. – Odstawiła filiżankę i spojrzała na Conrada. – Jego syn w wieku szesnastu lat uciekł z domu, zaczął brać heroinę i wylądował w Kartonowym Mieście. Pewnie wtedy człowiek zaczyna patrzeć na takie rzeczy z bardziej osobistej perspektywy. Ben nie może się doczekać, kiedy nasz cykl wejdzie na antenę.

Liz starała się nie zwracać uwagi na drgające kąciki ust osób siedzących wokół niej. Conrad wstał i wyszedł z sali. Claudia pospieszyła za nim.

Kiedy tylko trzasnęły drzwi, zerwała się burza oklasków. Liz się uśmiechnęła. Wygrała pierwszą rundę. Grała jednak w niebezpieczną grę. Rzeczywiście wpadła na Bena Morgana na przyjęciu. Ale był zbyt zajęty, żeby rozmawiać o konkretnych pomysłach na programy. I o ile wiedziała, jego syn był kwitującym młodzieńcem, który mieszkał w słynącym z licznie osiadłych tam giełdowych milionerów hrabstwie Surrey, z rodzicami hołubiącymi go i dogadzającymi mu na każdym kroku.

„Czy naprawdę jestem panią Jeżycą Mrugalską? Żałosnym stworzonkiem, próbującym zbudować gniazdko, żeby schować się w nim przed światem?”. Ginny wzięła do ręki miniaturowe łóżeczko i włożyła je z powrotem do domku dla lalek Amy. Jej córka zawsze wyjmowała mebelki z każdego pokoju i zwała je na kupę w salonie. Ginny ostrożnie wstawiła łóżeczko do sypialni i poszukała szafy. Umieściła ją we właściwym miejscu, następnie zaczęła szperać w stercie, by znaleźć maleńką toaletkę, a potem komódkę.

Zazwyczaj przywracanie porządku w tym miniaturowym świecie działało na nią kojąco, ale dzisiaj wciąż wracała do niej uwaga Britt, odbierając jej całą przyjemność.

Co ona robiła, na litość boską? Sprzątała w cholernym domku dla lalek? Wyjęła mebelki z sypialni, rzuciła je na podłogę i wyszła z pokoju.

W domu panowała denerwująca cisza. Ben był w szkole, a Amy ucięła sobie drzemkę. Cisza, która zapadała, kiedy dziecko spało, była tak głęboka, że niemal upiorna. Pewnie dlatego, że naprawdę się w nią wsłuchiwała, wyczulona na najłżejszy dźwięk.

Nie mogła przestać myśleć o słowach Britt. Mogło w nich być trochę racji. Może rzeczywiście Ginny potrzebowała w swoim życiu czegoś jeszcze. Ale czego?

Może jakiejś pracy na pół etatu? Na pewno nie chciała, aby stało się z nią to co z Liz, którą ciągnięto w tylu różnych kierunkach równocześnie, że nigdy nie miała czasu nacieszyć się żadnym ze swoich zajęć. Ginny odzyskała swoją normalną pogodę ducha. Od razu zaczęła myśleć o różnych możliwościach. Potem jednak przypomniała sobie drugą rzecz, która ją martwiła – wymianę spojrzeń między Davidem a Britt. Pewnie to nic takiego. Ginny zdawała sobie sprawę z tego, że nie orientuje się zbyt dobrze w zwyczajach wyrafinowanych bywalców wielkiego świata. Mimo wszystko wstrząsnął ją dreszcz. Może jej mały świątek nie był jednak taki zły.

Conrad siedział naprzeciwko Liz w restauracji uhonorowanej gwiazdką Michelin, którą wybrał z pietyzmem, i uśmiechał się szeroko. Spotkanie z firmą Panther Running Shoes udało się znakomicie. Mógł jej nawet wybaczyć tę wczorajszą sprawę z Benem Morganem.

Wszystko potoczyło się dokładnie tak, jak zaplanował, od chwili kiedy helikopter, który przysłał po nich Panther, zabrał ich oboje do siedziby firmy w Swindon, gdzie przez cały ranek dopinali szczegóły najhojniejszej umowy patronackiej w historii brytyjskiej telewizji.

Conrad był zachwycony: Panther zgodził się zapłacić trzy miliony funtów za zaszczyt objęcia patronatem nowego sportowego teleturnieju Metra. A ponieważ Conrad przerysował nieco koszty produkcji, stacja będzie miała z tego okazały zysk. Podobnie jak on sam, jeśli zachowa dyskrecję. Z pewnością potrzebował takiego zastrzyku pieniędzy. Niektóre jego inne interesy wyglądały zdecydowanie marnie. Oczywiście to tylko działanie tymczasowe. Mała pożyczka, dopóki sytuacja się nie poprawi.

Popatrzył na Liz i się uśmiechnął. Po tym zajściu z Kartonowym Miastem miał obawy, że może chcieć odgrywać broniącą swojej czci cnotkę i spieprzyć całą transakcję. Ale ona zachowała się genialnie. Tony Adams, dyrektor generalny Panthera, dosłownie jadł jej z ręki. Udało jej się nawet wyperswadować mu pomysł, żeby nawiązanie do firmy pojawiało się na ekranie co dziesięć sekund. Oczywiście nie znała prawdziwych kosztów produkcji, ale właściwie dlaczego miałyby je znać?

Przyglądał się jej przez chwilę, kiedy zamawiała jedzenie, uprzejmie słuchając opowieści Tony'ego Adamsa. Widział, że Liz mu się podoba. No ale odrobina seksualnej chemii jeszcze nigdy nie zaszkodziła biznesowi. Zresztą Conrad musiał przyznać, że kiedy Liz się postarała, była naprawdę bardzo atrakcyjną kobietą.

No dobrze, rzeczywiście zatrudnił ją na tym stanowisku dla pozorów, a stacją zamierzał kierować samodzielnie. Ostatnio zresztą przysparzała mu tylu kłopotów, że zastanawiał się, czy nie mądrzej byłoby ją zwolnić. Ale teraz nie był już tego taki pewien. Całkiem nieźle się uzupełniali. On potrafił być kompletnym

łajdakiem i miał głowę do finansów, a ona uczciwość zawodową, która wprowadzała element łagodności. No i zespół ją uwielbiał. Nawet te jej macierzyńskie rozterki się przydały, bo dzięki nim rosło zainteresowanie Metrem.

„Stanowimy całkiem niezłe połączenie – pomyślał, dolewając jej do kieliszka. – Zupełnie niezłe”. Rozejrzał się, popatrzył na niemal nieprzyzwoite bogactwo restauracji, na złożony sufit i rokokowe rzeźby, po czym pochylił się w stronę Liz i zniżając głos, powiedział:

– Może to nie jest najodpowiedniejsze miejsce, żeby ci to oznajmić, ale postanowiłem dać temu cyklowi o bezdomności zielone światło. Masz na to trzysta tysięcy.

Liz nie wierzyła własnym uszom. To o całe pięćdziesiąt tysięcy więcej, niż prosiła! Usiłowała przyjąć to na chłodno, ale nie mogła powstrzymać szerokiego uśmiechu, który rozjaśnił jej twarz. Wygrała!

W radosnym podnieceniu nie zauważyła, że kierownik sali patrzy na nią z niepokojem i szeptem każe szatniarce przynieść jej płaszcz.

– Pani Ward... – Kierownik stanął przy ich stoliku, wyraźnie nie czując entuzjazmu z powodu zadania, które mu przypadło. – Wasz pilot prosi panią do helikoptera. Jest do pani pilny telefon z Londynu.

Liz skoczyła na równe nogi i poszła za nim. Tak bardzo się starał, by jego twarz nie zdradzała żadnych emocji, że nie miała wątpliwości, iż musi chodzić o coś poważnego.

Rozdział 10

– Siostrzo, czy może mi pani powiedzieć, gdzie jest mój syn? – Liz starała się nie histeryzować. Histeria nie pomoże Jamiemu. – Dziś rano potrącił go samochód.

Pielęgniarka odruchowo spojrzała na zegarek. Siedemnasta. Pani Ward bynajmniej się nie spieszyła. No ale w tym szpitalu widzieli już wszystko: kobiety, które porzucały niemowlęta albo nie chciały ich karmić, nieodpowiedzialne matki chorych dzieci, które wołały pójść się napić, zamiast zawracać sobie głowę godzinami odwiedzin. Tu jednak pielęgniarka miała coś nowego – panią menedżer, której grafik był tak napięty, że ranny syn się w nim nie zmieścił. Zerknęła na drogi kostium Liz, na kaszmirowy płaszcz i teczkę z ręcznie tłoczonej skóry i uznała, że już woli matki z dołów społecznych, które przesiedziały godziny odwiedzin w pubie. Przynajmniej miały jakąś wymówkę.

Liz dostrzegła dezaprobatę na twarzy pielęgniarki, kiedy ta sprawdzała listy pacjentów, i miała ochotę ją uderzyć. Niech ją zaraza! Czy nie rozumiała, że Liz umiera z niepokoju? Że od chwili, kiedy dwie godziny temu odebrała telefon od swojej rozhisteryzowanej sekretarki, która od rana usiłowała ją namierzyć, poruszyła niebo i ziemię, żeby tu dotrzeć?

– Oddział dziecięcy, trzecie piętro. – Pielęgniarka przeniosła uwagę na następnego odwiedzającego.

– Jest cały?

Pielęgniarka spojrzała znacząco na zegarek.

– Nie mam pojęcia, kochana. Musi pani zapytać oddziałową.

Zbyt zdenerwowana, żeby czekać na windę, Liz wbiegła po schodach, sadząc po dwa stopnie. Na trzecim piętrze wyrósł przed nią las niezrozumiałych znaków. MB1. MB3. Oddział im. Johna Hazelbury'ego. Żadnej wzmianki o oddziale dziecięcym i nikogo, kogo można by zapytać. Opanowując panikę, ruszyła biegiem niekończącym się korytarzem, mijając kartony wypełnione jednorazowymi „nerkami” i cewnikami, z trudem powstrzymując łzy rozpacz. W końcu dotarła do

celu.

– Szukam Jamiego Warda – powiedziała zdyszczonym głosem do stażystki w dyżurce. Dziewczyna wskazała przeciwległy koniec dużej sali.

– Jak on się czuje? – zapytała.

Młoda pielęgniarka wyglądała na skonsternowaną i wyjaśniła, że dopiero przyszła na oddział.

„Nie chcą mi powiedzieć” – pomyślała Liz, niecierpliwie omiatając wzrokiem każde łóżko po kolei w poszukiwaniu twarzy Jamiego. Wstrzymała oddech na widok małej postaci zawiniętej od stóp do głów w bandażu, ale nie, Bogu dzięki, to nie był Jamie. Po chwili zobaczyła jego nazwisko nad jednym z łóżek. Serce jej zamarło i zrobiło jej się zimno. Łóżko było puste. „O Boże. Proszę, niech tylko nie... Zrobię wszystko. Nigdy więcej go nie zostawię...”.

– Maaaamaaaaa! – Zza rogu rzuciło się na nią małe tornado z głową całą w zadrapaniach, ściskając w ręku ciężarówkę z klocków „kolczatek”. – Zobacz, co zrobiliśmy z tatusiem!

Obróciła się i objęła go tak mocno, że aż zapało mu dech.

– Au, mam, to boli! – jęknął Jamie.

– Cześć, piękna nieznajoma. Pracowity dzień w biurze? – Liz miała świadomość, że to zapewne ulga pozbawiła Davida taktu, ale i tak miała ochotę go zabić. – Temu tutaj nic się nie stało, poza guzem na głowie. Może to go nauczy, żeby nie wbiegać na ulicę przed samochodami. Lekarz powiedział, że o włos uniknął nieszczęścia.

– Dlaczego, na Boga, nikt mi nie powiedział, że nic mu nie jest? – Liz usiłowała przytrzymać wijącego się Jamiego, a jej niepokój zmieniał się w złość.

– Nikt cię nie mógł znaleźć. To wasze spotkanie na szczycie było tak poufne, że dyrektor generalny Panthera nie powiedział nawet swojej sekretarce, gdzie się odbywa.

Nagle cała złość z niej uszła. Pocałowała Jamiego, nie mogąc już dłużej powstrzymać łez.

– Powinnam była z nimi być. Nie powinnam oddawać ich Susie. To moje dzieci.

– Daj spokój, Liz. Równie dobrze mogło się to zdarzyć, gdy Jamie byłby pod twoją opieką. – David wyjął Jamiego z jej objęć i go pocałował. – Pa, urwisie. Tata musi wracać i położyć gazetę spać. Mama zabierze cię do domu.

David otarł Liz łzy i ją też pocałował.

– No już, nie płacz, na litość boską. To nie była twoja wina. Znam cię. Nie zacznij w tym widzieć kary od Boga za to, że jesteś pracującą matką.

Liz uśmiechnęła się blado. Miał rację. Dość tych idiotyzmów. Tak jak powiedział, równie dobrze taki wypadek mógł się wydarzyć w jej obecności. Mimo wszystko David nie rozumiał, co bolało ją najbardziej: kiedy jej dziecko jej

potrzebowało, nie było jej z nim i nikt nie potrafił jej znaleźć. Jamie mógł umrzeć, kiedy ona była sto kilometrów stąd, latając sobie helikopterem. Tego sobie nigdy nie wybaczy.

– Przepraszam, Conrad, ale naprawdę potrzebuję wziąć jutro wolne. Muszę zawieźć Jamiego do mojej matki, żeby odpoczął tam przez tydzień. Lekarz mówi, że potrzebny mu całkowity spokój.

– A cholerna niania nie może go zawieźć? Myślałem, że po to właśnie są nianie.

– Niania zostaje w Londynie, bo opiekuje się Daisy. Moja matka nie da sobie rady z dwójką.

– No a co z umową z Pantherem? Jutro podpisujemy kontrakt.

– Wszystko jest związane na ostatni guzik. Nie jestem potrzebna do podpisywania umowy. Weź zamiast mnie jakąś modelkę z rozkładówki. Panther na pewno wolałby łaskę w bikini ode mnie.

– Ufają ci.

– Przykro mi, Conradzie, ale to ważna sprawa.

– A umowa z Pantherem nie jest ważna?

– Nie aż tak, jak zdrowie mojego syna.

– Rozumiem.

– Czyżby?

Wiedziała, że to kolejna skaza na jej szybko dewaluującym się wizerunku kobiety sukcesu, ale palicho. Po wypadku Jamiego obiecała sobie, że będzie obecna w jego życiu, kiedy tylko będzie jej potrzebował. A jutro właśnie był taki dzień.

Kiedy jechała przez tchnące pięknem i spokojem krajobrazy wschodniego Sussex do swojej matki, czuła, jak opada z niej napięcie i poczucie winy. Zawsze uwielbiała te okolice. A teraz, kiedy liście właśnie zaczynały nabierać złotego odcienia w świetle późnowrzesniowego słońca, Metro TV wydawało jej się wytworem czyjeś wyjątkowo rozgorączkowanej wyobraźni.

Gdy wreszcie skręciła na podjazd Five Gates Farm, zwolniła na chwilę, aby przyjrzeć się swojemu dawnemu domowi. Była to pełna zakamarków elżbietańska wiejska rezydencja ze ścianami z tworzących misterne wzory cegieł w kolorze przydymionego różu i ciemnej czerwieni. Przypominała zmniejszoną wersję Hampton Court, z ogromnymi, nachylonymi kominami, których dziś żaden rzemieślnik nie odważyłby się wybudować. Podobno sama królowa Elżbieta spędziła tu noc podczas jednej ze swoich podróży po południowo-wschodniej Anglii, i chociaż nie było na to konkretnych dowodów, główną sypialnię nazywano od tamtej pory pokojem królewskim.

Liz patrzyła na promieniujący spokojem dom, otoczony cichymi polami, niezmienny od setek lat, i zastanawiała się, dlaczego w ogóle stąd wyjechała. To

był szczęśliwy dom. Zawsze, kiedy wracała, na schodkach prowadzących na taras czekała na nią matka. A kiedy wyjeżdżała, bez względu na pogodę i ignorując wszelkie apele o nierobienie sobie kłopotu, matka wychodziła, żeby pomachać jej na pożegnanie.

Kiedy tak rozmyślała, dostrzegła matkę stojącą jak zawsze na schodkach; pomachała jej i uśmiechnęła się do niej. Naraz przypomniała sobie, dlaczego zostawiła całe to piękno i spokój za sobą. Wydawało jej się zbyt bezpieczne i przytulne. Musiała poszukać hałasu i ekscytacji, zaznać niebezpieczeństw i emocji życia w mieście. A teraz wracała do punktu wyjścia.

Matka zbiegła po schodkach do samochodu.

– Cześć, kochanie! Jak się ma Jamie? I jak twój okropny szef przyjął wieść, że dzisiaj się zrywasz? – pytała, całując ją i pomagając wyciągnąć Jamiego z auta. Liz się zdziwiła, że jej matka, która nosiła zwiewne suknie w kwiatki i miała prawie białe włosy, znała takie wyrażenia jak „zrywać się”. Pewnie oglądała za dużo telewizji.

– Był wściekły.

– Biedna Lizzie. Pomogę ci umościć Jamiego na kanapie. A potem zdążymy jeszcze pójść nakarmić moje bantamki przed podwieczorkiem.

Kiedy jej dzieci wyfrunęły z gniazda, matka Liz zaczęła hodować kury rasy bantamka. Razem z pieczeniem ciast na kiermasz parafialny i szyciem patchworków, sprzedawanych potem na cele dobroczynne, od śmierci męża wypełniało jej to dni. Ku zdumieniu Liz, wydawała się zupełnie szczęśliwa.

Liz pocałowała Jamiego i położyła go delikatnie na kanapie. Czuł się lepiej, ale był nadal blady z powodu opóźnionej reakcji na szok. Kilka dni spędzonych tutaj świetnie mu zrobi. Krótki pobyt w rodzinnym domu jej też by nie zaszkodził, ale miała na to marne szanse. Przez chwilę rozmarzyła się, że zakłada kalosze i brodzi w liściach, chrzęszczących pod nogami jak ryżowe chrupki, że rozpala ognisko ze swoich miejskich ciuchów i śmieje się, patrząc, jak płoną. A potem nie robiłaby nic. Absolutnie nic. Wyjrzała przez okno i wsłuchiwała się w szelest liści na wietrze, przypominający szum wody. Nie pamiętała, kiedy ostatnio miała czas, by nic nie robić.

W dawnych stajniach, przerobionych na wybieg dla bantamek, Liz patrzyła, jak matka sypie karmę ze sfatygowanego koszyka, a jaskrawo upierzone ptaki podbiegają do niej, niektóre nawet dają karmić się z ręki. Matka głaskała je i gruchała do nich pieszczotliwie, zupełnie jak Liz, kiedy starała się uspić Daisy.

Poczuła nagłe ukłucie smutku, że tak rzadko widuje się z matką i na tak wiele rzeczy nie ma czasu.

Wyczuwając jej nastrój, matka wzięła ją pod rękę i zaprowadziła do kurnika.

– Chodź, zobaczysz coś cudownego. – Otworzyła górną połowę drewnianych drzwi i oparła się o dolną część. Liz poszła za jej przykładem. Na żłobie z sianem

siedziała stara, parchata kura.

– Jest z fermy przemysłowej tuż obok. Poprosiłam właściciela o kurę, która wysiadywałaby jajka, kiedy prawdziwa matka nie chce. – Rzuciła ptakowi garść karmy. – Kiedy ją wzięłam, nie potrafiła nawet grzebać w poszukiwaniu ziarna. Po prostu nie umiała. – W głosie matki zadźwięczała duma. – A teraz tylko popatrz na nią!

Liz spojrzała jeszcze raz na żalosaną, łysiejącą kurę, tak absurdalnie dumną z tej krótkiej chwili pożyczonego macierzyństwa. I poczuła, że do oczu napływają jej łzy. Łzy żalu za jej własnym utraconym macierzyństwem i za wszystkimi rzeczami, których brakowało w jej życiu. Spokojem. Ciepłem. Czasem. Spontannością.

Zerknęła na swoją matkę. Całemu pokoleniu kobiet, do którego należała Liz, było trochę żal swoich matek. Skazane na nudną egzystencję bez sukcesów, piły herbatę w ogródku, podczas gdy mężczyźni przeżywali przygody w wielkim świecie. Liz wydawało się oburzające, że kobiety żyły w ten sposób – co za strata, co za marnotrawstwo! Nigdy nie popełni tego samego błędu!

A jednak kto mógł mówić o wyższej jakości życia? Jej matka, która sama mogła decydować, co robić ze swoim czasem i była podporą społeczności tej wioski? Czy ona: ambitna, przedsiębiorcza i zabiegana, zarabiająca fortunę i niemająca czasu jej wydawać?

– Mamo, co sądzisz o moim życiu?

Matka rzuciła bantamkom trochę karmy. Wyglądała na skępowaną. Nigdy nie przepadała za bezpośrednimi konfrontacjami. Jej pokolenie nie żywiło religijnej czci do prawdy, nie traktowało jej jak lekarstwa na wszystkie problemy.

– Mam być szczerą?

– Oczywiście – odparła Liz, chociaż wcale nie była pewna, czy rzeczywiście tego chce.

Eleanor nie odwróciła się do córki, tylko rzuciła kurom kolejną garść karmy, patrząc przed siebie.

– Jeśli rzeczywiście chcesz znać prawdę, uważam, że marnujesz sobie życie. Odnosisz wielkie sukcesy i jestem z ciebie bardzo dumna. Ale nigdy nie masz czasu na rzeczy naprawdę ważne. Zapominasz o urodzinach; o moich w zeszłym roku zapomniałas.

Liz zamknęła oczy na to wspomnienie. Była wtedy wprost niewiarygodnie zajęta. Wiedziała jednak, że to żadna wymówka.

– I zawsze pracujesz – kontynuowała matka. – Nawet kiedy przyjeżdżasz na weekend, przywozisz ze sobą pracę. Nawet nie wychowujesz własnych dzieci. Wiem, że tak to wygląda w dzisiejszych czasach, ale tyle cię omija. – Matka ujęła jej dłoń i uśmiechnęła się smutno. – A co najgorsze, chyba nigdy się nie bawisz!

Liz usłyszała dzwoniący gdzieś w oddali telefon. Matka puściła jej rękę,

z wyraźną ulgą, że ma pretekst, by zakończyć tę rozmowę.

„Przez te wszystkie lata – pomyślała gorzko Liz – było mi żal matki, a teraz okazuje się, że jej jest żal mnie. Gdzie, do cholery, kobiety popełniały błąd?”

– Dzwoni twoja sekretarka, kochanie. Kazała ci przekazać, żebyś lepiej wracała. Conrad coś kombinuje.

Liz siedziała, gapiąc się na budżet *Kartonowych ludzi*, i zachodziła w głowę, jaki właściwie numer próbuje wywinąć Conrad. Wczoraj, kiedy szczęśliwie zeszła mu z drogi, jadąc do Sussex, poprosił o kopię projektu budżetu, a dwie godziny później o to samo dopominał się szef działu produkcji. To nie mógł być przypadek.

Od trzech miesięcy, czyli odkąd objęła to stanowisko, toczyła z Conradem batalię o ruszenie z ambitniejszymi projektami, a on zawetował każdy z nich oprócz tego jednego. Było to jej pierwsze i jedyne zwycięstwo. Jeśli straci ten cykl, straci wszystko.

Pograżyła się w rozmyślaniach tak głęboko, że kiedy zabręczał jeden z telefonów na jej ogromnym, matowo czarnym biurku, aż podskoczyła. To jej sekretarka dzwoniła z przypomnieniem, że ma umówiony lunch z Britt.

Tym razem Liz wcale nie miała ochoty się z nią spotykać. Britt pewnie będzie chciała jej coś sprzedać. Myślała o produkowaniu programów telewizyjnych i miała nadzieję, że będzie mogła liczyć na pomoc koleżanki ze studiów.

Liz rozejrzała się po sali L'Escargot, utrzymanej w chłodnym, kojącym odcieniu zieleni. Pierwszemu właścicielowi mówiono, że zielony wystrój jest nie do przyjęcia, że nigdy się go nie stosowało w restauracjach, że doprowadzi go do finansowej ruiny. Ten jednak się uparł i zaufał swojemu instynktowi. Dziś L'Escargot był jedną z najlepiej prosperujących restauracji w Londynie. Na piętrze spotykali się ludzie mediów, aby zawierać dżentelmeńskie umowy. Ta historia zawsze poprawiała Liz nastrój, więc starała się chodzić do L'Escargot jak najczęściej – zwłaszcza jeśli to nie ona płaciła.

Dzisiaj stawiała Britt, a Liz, siedząca przy stoliku i słuchająca jej oferty, przekonywała się na dobre, że nie ma czegoś takiego jak darmowy lunch.

– Mamy ten świetny, naprawdę super, pomysł na teleturniej – mówiła Britt głośno i z entuzjazmem. – Jestem pewna, że będziesz chciała go zaklepać, zanim usłyszą o nim w BBC – ciągnęła swój monolog Britt, pozwalając, ku konsternacji Liz, by jej niezwykle wymyślne danie główne stygło na talerzu. – Najlepsza rzecz, jaką widziałam od lat... Fajny, ciepły, a jednocześnie zabawny i szokujący...

– Britt – przerwała jej Liz z zażenowaniem. Britt zachowywała się jak akwizytorka okien z podwójnymi szybami, która musiała zwerbować jeszcze tylko jednego klienta, żeby dostać darmowe wczasy. – To ja, Liz, jedna z twoich najstarszych znajomych. Pomiń tę całą reklamową ściemę, z łaski swojej, i po prostu opowiedz mi, jak to ma wyglądać.

– Dobra. – Britt zjeżyła się i zjadła pół kęsa swojego dania. – Program

nazywa się *I ty myślisz, że masz problemy*. Z publiczności jest wybieranych troje zawodników. Bo wszyscy na widowni mają jakiś problem w życiu osobistym i ci wybrani opowiadają o swoim kłopotcie jury złożonemu z celebrytów, którzy udzielają im rad. Potem publiczność głośnie, czy powinni z tych rad skorzystać. Oczywiście to wszystko ma być dla hecy. Nic zbyt ciężkiego kalibru. Celebryci nie będą ekspertami, tylko komikami, aktorami, didżejami, czy kimś w tym stylu.

– Ale chyba nie miałyby to być kolejny show polegający na rytualnym upokarzaniu zwykłych ludzi, prawda?

– Dlaczego nie?

– Bo niszczenie ego zwyczajnych ludzi i robienie z nich idiotów na oczach milionów widzów było wielkim pomysłem zeszłego roku. Teraz jest już *passé*.

– Aha. No cóż, mamy też inne pomysły.

– Britt?

– Tak?

– Taglierini w czterech sosach z dzikimi truflami ci stygnie.

Britt spojrzała na nią z wyrzutem i zaczęła bawić się widelcem.

– Nie chcesz poznać moich pomysłów, co?

Liz zręcznie zmieniła temat.

– Posłuchaj, Metro robi jutro wieczorem imprezę. Będzie tam pełno ludzi, którzy mogą być dla ciebie użytecznymi kontaktami. – „A znając cię – dokończyła Liz w myślach – pewnie wybierzesz sobie najużyteczniejszego z nich i zabierzesz ze sobą do domu”. – Może przyjdiesz?

– Okay – rozchmurzyła się Britt. – To brzmi obiecująco.

W taksówce, w drodze powrotnej do Metro TV, Liz przejrzała teczkę z pomysłami, którą wręczyła jej Britt. Zdaniem Liz wszystkie były przewidywalne i sztampowe. Co tydzień na jej biurku lądowały setki podobnych, a ona grzecznie odmawiała. Ze względu na przyjaźń z Britt poświęciła jej propozycjom więcej uwagi. Kiedy je czytała, było dla niej jasne, że Britt powinna trzymać się tego, co robiła genialnie – kierowania stroną biznesową przedsięwzięcia – a pomysły programowe zostawić komuś innemu. Potem przypomniała sobie, że – również ze względu na starą przyjaźń – zgodziła się przekazać je Conradowi, aby zasięgnąć dodatkowej opinii. Miała tylko nadzieję, że nie będzie tego żałować.

– Daj spokój, Bert! Na litość boską, musisz mieć coś bardziej sexy na jedynkę niż żebrzący yuppie! – zwrócił się David ze złością do szefa działu wiadomości. – Japisońscy żebracy straszą z pierwszej strony „The Sun” od ładnych paru dni. A gdzie jakiś nasz materiał? Coś, o czym nie pisał nikt z konkurencji? Cholera, jesteśmy gazetą, a nie pieprzonym przeglądem prasy!

David rozejrzał się po młodych, szczerych twarzach reporterów oraz redaktorów zebranych na południowym kolegium redakcyjnym i rozważał przez chwilę, czy nie ulec pokusie stracenia panowania nad sobą. Ich pomysły na temat

dnia były do bani. Żadne z nich nie rozpoznałoby pocziwego, porządnego dziennikarskiego materiału, nawet gdyby ten ugryzł ich w zadek. Problem w tym, że większość z nich przyszła do „Daily News” prosto po studiach, mając za sobą najwyżej kilka miesięcy doświadczenia w jakiejś lokalnej gazecie, po którym to czasie stwierdzili, że są zbyt wspaniali na prowincję, więc zwiali stamtąd, żeby zaczepić się w jednym z dzienników ogólnokrajowych.

„Żadne z nich – pomyślał gniewnie David – nie musiało nigdy tak naprawdę szukać materiału, posklejać go żmudnie z fragmentów plotek, wywiadów i ciężkiej harówki”. Nie wiedzieli, jak to jest pukać od drzwi do drzwi na jakimś zabitym dechami osiedlu komunalnym w lodowatym zimnie, żeby zdobyć jakąś kluczową informację. Nigdy nie musieli przekazać niczego niepodejrzewającej żonie wiadomości, że jej mąż właśnie zginął w wypadku na autostradzie M25, ani przyciskać skorumpowanego radnego na oczach jego żony i dzieci.

Nie chodziło o to, że Davidowi robienie tych rzeczy sprawiało przyjemność – komu by sprawiało? – ale to wszystko hartowało reportera. Uświadamiało mu, że prawdziwe dziennikarstwo bierze się z ulicy. Nie można go znaleźć w komunikatach prasowych ani w rządowych materiałach, było czymś, w poszukiwaniu czego się kopało, urabiało ręce po łokcie i czasem, sporadycznie, ujawniało się aferę Watergate. Te dzieciaki pewnie myślały, że Woodward i Bernstein^[5] to duet komików.

– Brian wynalazł dobry temat: historię o babci, która udaremniła atak gwałciciela za pomocą szpilki od kapelusza – zaproponował nerwowo Bert.

– To nie jest dobry temat – warknął David – tylko świetny. Ma wszystko, o co nam chodzi. Męstwo. Humor. Seks. Wiem, bo przeczytałem o tym we wczorajszym „Daily Star”.

Bert z nietęgą miną rozejrzał się po zebranych w poszukiwaniu pomysłów.

– Pracuję nad czymś, co może się nadać.

David obrócił się, żeby zobaczyć, kto się odezwał. Była to nowa młoda reporterka, która właśnie przeszła do nich z „Northern Echo”. Chyba miała na imię Susan. Nie, jakoś tak dziwnie. Suzan. O, właśnie. Może w „Echu” kazali czasami reporterom wychodzić z redakcji w teren.

– Dobra, dawaj.

– To materiał o korupcji w policji. Dostałam cynk o jednym funkcjonariuszu w wydziale ciężkich przestępstw, który wrabia ludzi, fałszując przeciwko nim dowody. Sprawdzam, wygląda na to, że wszystko się zgadza. Chyba jestem już blisko złapania gościa za rękę.

Po raz pierwszy tego dnia coś Davida zainteresowało. Uświadomił też sobie, dlaczego zapamiętał Suzan. Nie tylko z powodu jej dziwnego imienia. Także dlatego, że była olśniewającą pięknoscią. Usiłując nie zwracać uwagi na to, jaka jest atrakcyjna, tylko skoncentrować się na jej słowach, David starannie omijał

wzrokiem długie nogi nowej koleżanki, których ona bynajmniej nie próbowała ukrywać, założywszy czarną mini.

– Jak blisko?

– Niewystarczająco – wtrącił się Bert. – Przykro mi, Suzan. To dobry temat, ale jeszcze nie jest gotowy. Jeśli wydrukujemy to teraz, spalimy całą sprawę. Potrzeba jeszcze trochę czasu.

Suzan wyglądała na rozczarowaną. David uśmiechnął się do niej, dostrzegając w jej niecierpliwości odbicie siebie samego sprzed piętnastu lat; poza tym nie chciał zdusić w zarodku jedynej oznaki inicjatywy, jaką widział od rana.

– To co, nie mamy ani jednego przyzwoitego, oryginalnego, gotowego materiału?

Odpowiedziała mu ściana ciszy. Kilkunastu reporterów wierciło się na krzesłach, a każdy z nich żałował, że nie ma w rękawie sensacji, którą mógłby wyciągnąć jak królika z kapelusza i zyskać w oczach Davida.

– Jest jeszcze jedna opcja na jedynekę...

David nie rozumiał, dlaczego Bert mówi z takim ociąganiem.

– No? Co takiego?

– Te zdjęcia. Mick Norman przyniósł je dziś rano. – Wyjął z teczki plik czarno-białych fotografii w formacie dwadzieścia pięć na dziesięć centymetrów. Były to nieupozowane ujęcia wycieńzonego mężczyzny leżącego w szpitalnym łóżku. David wziął zdjęcia do ręki i zobaczył, że przedstawiają Jima Johnsona, do niedawna czołowego komika w Anglii, jedyne, który zawsze i wszędzie potrafił zapewnić komplet na widowni.

– Ale Jim Johnson jest umierający. Podobno ma AIDS.

Bert wyglądał na zażenowanego.

– Na pewno tak to właśnie wygląda.

– Skąd Norman wytrzasnął te zdjęcia, na litość boską?

– Od jednego wolnego strzelca.

– A dlaczego ten koleś nie opchnął ich „Daily World”, który płaci dwa razy tyle co my? Powiem ci, dlaczego. Bo nawet pieprzony „Daily World” nie upadłby tak nisko. Rany boskie, Bert, mowy nie ma.

Na twarzy Berta malowała się ulga.

– Okay, okay. Tak tylko pomyślałem, żeby o tym wspomnieć.

– Dobra. Wspomniałeś. Możecie wszyscy wracać do roboty. Musimy po prostu mieć nadzieję, że do popołudnia coś się pojawi. Bert, wróć za godzinę, jeśli łaska, zastanowimy się nad kolejnymi opcjami. Aha, Bert, postaraj się może przynieść coś lepszego, dobra?

David pochodził w kółko, z dziką zawziętością skopał kosz na śmieci, aż papiery rozsypały się po całym pokoju. Potem zdjął marynarkę, usiadł, włączył monitor i zaczął przeglądać depesze Press Association. Sam znajdzie cholerny

temat dnia, jeśli będzie musiał!

Od miesięcy już nie zakasał rękawów, żeby samemu odwalać tę robotę. Właśnie był pochłonięty lekturą obiecującej historii o tym, jak grupa mam rozprawiła się z przestępczością na swoim niebezpiecznym osiedlu, samodzielnie biorąc się za młodych chuliganów, kiedy zadzwonił telefon.

– David – zagruchała asystentka Logana Greene’a zmysłowym tonem, który maskował jej przerażający profesjonalizm – czy mógłbyś wpaść na parę minut do Logana?

Logan rozplątywał się w uśmiechu, kiedy David zapukał do drzwi, więc od razu było jasne, że coś jest nie tak. W dodatku wydawca nie był sam. Na brzegu biurka przysiadł Mick Norman z taką miną, jakby należało do niego.

– Cześć, David. Chciałem tylko zamienić z tobą słówko o tych zdjęciach Jima Johnsona.

David poczuł, że się spina.

– Co chcesz wiedzieć, Logan? Nie wykorzystaliśmy ich, bo byłoby to rażące naruszenie jego prywatności. W dodatku złamalibyśmy prawo, na litość boską. Przyłożenie do faceta leżącego na łożu śmierci i fotografowanie jego agonii to właśnie coś takiego, czemu te nowe przepisy mają zapobiegać.

– Można to obejść – Mick Norman po raz pierwszy zabrał głos. – Rozmawiałem z tym fotografem. Nie zakradł się. Miał zgodę pielęgniarki. To nie było wtargnięcie. Przepisy zakazują wtargnięć. Czyli mogliśmy opublikować te zdjęcia.

David popatrzył na niego z niechęcią. Mick Norman miał dwadzieścia siedem lat i był klasycznym produktem „dekady chciwości”. Ambitny i wyrachowany, uważał moralność za coś staroświeckiego i zbędnego. Zamiast serca miał prywatne ubezpieczenie medyczne.

– A ile ten wolny strzelec zapłacił pielęgniarce, żeby go wpuściła? Czy może sugerujesz, że zrobiła to z dobroci serca, bo tak podziwia metody prasy brukowej? Na litość boską, Logan, ta cała sprawa śmierdzi!

– Potrzebujemy tych zdjęć, Davidzie – powiedział cicho Logan. – „Daily World” zaczyna wycierać nami podłogę. Musimy powstrzymać ten spadek.

– Nie za pomocą obrzydliwych fotografii czyjegoś ostatniego tchnienia. Ludzie kochają Jima Johnsona, Logan. To człowiek instytucja. Nie chcą go takim oglądać: wychudzonego, całego w strupach. Publikacja tych zdjęć przyniesie skutek odwrotny od zamierzonego. Pamiętasz, jak „Daily World” pokazał zdjęcia ofiary gwałtu w Brentwood? Tej dziewczyny, którą zbiorowo zgwałcono i torturowano? Ludzie byli tak zniesmaczeni, że „World” wręcz stracił czytelników. I my też stracimy.

Mick Norman wyglądał, jakby chciał się wtrącić, ale Logan nagle nakazał mu gestem milczenie.

– Okay. Może masz rację. Nie wykorzystamy tych zdjęć.

David spojrział na Logana z zaciekawieniem. Dlaczego nieoczekiwanie się ugiął? David chciałby myśleć, że do Logana przemówiła siła jego argumentów albo że przebudziła się w nim uśpiona moralność, ale zbyt dobrze go znał. Logan poczucia moralności miał tyle, co Norman. Musiał być jakiś inny powód, którego David nie rozumiał. Na razie.

Zakładając, że rozmowa skończona, David wstał, żeby odejść. Był w połowie drogi do drzwi, kiedy Logan znów się odezwał:

– David?

– Tak, Logan?

– Potrzebujemy jakiejś bomby. I to szybko.

– Wiem, Logan. Wiem.

David przyglądał się Liz, która pochylona nad toaletką kończyła malować oczy, szykując się na przyjęcie. Pięknie ostatnio wyglądała. Było jej do twarzy z sukcesem. Nigdy nie przejmowała się zbyt swoją aparycją – kiedy projektant Bruce Oldfield wywołał poruszenie, twierdząc, że Angielki wolą wydawać pieniądze na kucyki i opłaty za szkołę niż na kiecki ze znanych domów mody, zawołała: „I dobrze robią! Bardzo zdrowe podejście!” – teraz jednak kupiła trochę markowych ciuchów i świetnie się w nich prezentowała.

Ale jakże dużo by dał za to, żeby nie musieli dzisiaj iść na tę imprezę. Wciąż był zdenerwowany popołudniową rozmową z Loganem i ostatnią rzeczą, na jaką miał ochotę, były towarzyskie pogaduszki z bandą zarozumiałych producentów telewizyjnych. Pewnie jubel skończy się przed dziewiątą i przynajmniej będą mogli pójść na jakąś porządną kolację. Na szczęście na imprezach organizowanych przez Metro alkohol lał się strumieniami, więc gdyby zrobiło się zbyt nudno, zawsze mógł się upić.

Delikatnie odsunął kosmyk włosów Liz i pocałował ją w szyję. Ku jego zdziwieniu lekko się wzdrygnęła.

– Co się dzieje?

– Przepraszam. Jestem trochę nerwowa. To przez Conrada. Coś kombinuje, a ja nie wiem, co. Na każdym kroku podważa moje decyzje. Próbuję walczyć o standardy, a on uważa, że to zwykła upierdliwość. Britt miała rację. Chciał mnie na tym stanowisku tylko dla ściemy. Myślę, że teraz, kiedy się przekonał, że nie może mną pomiatać, będzie chciał mnie wykopać.

– Daj spokój, twoje odejście wyglądałoby dla Metra fatalnie.

– Może. Ale mnie mogłoby dobrze zrobić. – Spojrzała na niego w lustrze, zastanawiając się, czy ją zrozumie.

– Dlaczego, na litość boską? Zarabiasz fortunę, wszyscy ci zazdroszczą...

– Po prostu bez przerwy pracuję. Prawie w ogóle nie widuję dzieci. Bóg raczej wie, jak to na nie wpływa.

– Dzieci mają się dobrze. Wręcz kwitnąco. Uwielbiają Susie.
– No dobrze, Bóg raczy wiedzieć, jak to wpływa na mnie. Mam wrażenie, że ciągle tylko pracuję i kłóczę się z Conradem. A co z przyjemnościami? Spotykaniem się ze znajomymi? Czy chociażby czytaniem dzieciom na dobranoc?

– Może to cena sukcesu.

– W takim razie zaczynam myśleć, że ta cena jest za wysoka.

Nagle David zrozumiał, dokąd zmierza ta rozmowa, i ta świadomość go zmroziła. Liz miała dość swojej pracy, może nawet ją rzuci i to właśnie wtedy, gdy jego mogą lada dzień posłać na bruk. Nie będzie już cudownym dzieckiem, tylko dzieckiem niechcianym. Lęk sprawił, że zareagował ostro.

– Na litość boską, Liz. Taki styl życia jak nasz wymaga pewnych poświęceń. Musisz walczyć o rzeczy, na których ci zależy.

Liz rozejrzała się po zaprojektowanej przez architekta wnętrz sypialni z ogromnym łóżkiem z baldachimem wykonanym z materiału firmy Osborne & Little. Kosztował dwadzieścia pięć funtów za metr, nie licząc krzeseł i toaletki do kompletu. Nie mówiąc już o subtelnie współgrającej z całością tapecie w przylegającej do sypialni łazience, zdaniem architekta nieodzownej.

– Może nie zależy mi na nich już tak bardzo.

David usiadł na łóżku i ze złością wkładał buty.

– A mnie tak! Tobie zawsze wszystko przychodziło zbyt łatwo. Przez całe życie mamusia i tatuś bulili za twoją szkołę, samochód, wakacje, nową sukienkę. A moi nie, bo nie było ich stać. Dzięki temu sam chciałem o te rzeczy walczyć. Okay, czyli Conrad jest gnojkiem. Jakżeby inaczej. Dlatego dostał ten kontrakt. Ale gnojki też mogą się na coś przydać. Musisz się nauczyć pracować z nim, a nie przeciwko niemu. Daj mu trochę tego, czego chce, a on zrobi to samo dla ciebie. – David czuł do siebie wstręt za tę hipokryzję. Czy on dał Loganowi to, czego ten się domagał? Nie, chciał mieć prawo postępować z honorem, mimo że złościł się na Liz za takie same dążenia.

– A jeśli nie dam rady?

David pomyślał przez chwilę o ogromnym kredycie hipotecznym, o opłatach za przedszkole, o niani i sprzątacze i poczuł się jak swój własny ojciec, który nabawił się wrzodów żołądka z powodu debetu na koncie w wysokości dwóch funtów. Wiedział, że powinien jej powiedzieć, że ich sytuacja nie jest aż tak stabilna, jak myślała, ale może wtedy zaczęłaby nim gardzić. Mężczyzna powinien zapewnić byt rodzinie, to było jego zadanie.

– Liz, nawet o tym nie myśl! Siedzenie w domu wyjdzie ci bokiem. Po pięciu minutach będziesz chciała wracać do pracy!

– Ginny to wyraźnie służy. I mojej matce też.

– A co z moją matką? Wiecznie żyła tylko moim ojcem i mną, zamiast mieć własne życie. Chyba nie o to ci chodzi?

– Nie wiem. Czy to byłoby takie okropne? – Spojrzała mu w oczy i zobaczyła w nich ostrożną nieufność, jak u turysty, który się boi, że da się wkręcić jakiemuś wygadnemu miejscowemu handlarzowi.

– Nie taką mieliśmy umowę.

– Kiedy w ogóle o tym rozmawialiśmy?

– Nie musieliśmy. To było oczywiste.

– No to może lepiej porozmawiajmy o tym teraz.

– Idziemy na imprezę. Twoją. Masz tam być, żeby wszystkich powitać. Pamiętaj, jesteś szyką, najpotężniejszą kobietą w telewizji.

– Tak – odparła gorzko Liz. – Pamiętam.

– Myśli, że zamieniam się w jego matkę. – Liz pomalowała wargi kolejną warstwą jaskrawoczerwonej szminki, stojąc przed lustrem w damskiej toalecie w siedzibie Metro TV, i popatrzyła na Britt, która wygładzała sukienkę. Tylko takie wyjaśnienie braku zrozumienia ze strony Davida przychodziło jej do głowy. Mógł się też oczywiście martwić spadającą sprzedażą; może problem był poważniejszy, niż David dawał po sobie poznać. Ale nigdy wcześniej nie pozwolił, by kwestie zawodowe stanęły między nimi. Od początku małżeństwa przyjął kardynalną zasadę, by nie zwać swoich problemów w pracy na jej barki. Czasem tego żałowała. Nie podobała jej się myśl, że David cierpi w milczeniu, zamiast zwrócić się do niej. Taki jednak był, a ona już dawno się nauczyła, że ludzi nie można zmienić, trzeba ich kochać takimi, jacy są.

Mimo wszystko, może tym razem powinna go przycisnąć. To była zbyt ważna sprawa, żeby odpuszczać. Kiedy wróci dziś do domu, poważnie z nim porozmawia. Jeśli martwił się pracą, może nawet będzie mogła mu pomóc.

Liz schowała szminkę i popatrzyła na Britt, która nakładała odrobinę perfum na skórę za uszami. Wyglądała szalowo. Liz poczuła piżmowe, seksowne nuty Animale, zapachu, którego zawsze używała Britt. Wyraźnie planowała coś na dzisiejszy wieczór.

Britt spostrzegła, że przyjaciółka się jej przygląda i zaciekawiło ją, o czym myśli. Liz ostatnio zawsze wydawała się czymś zaprzątnięta. Wyglądała olśniewająco, mimo że martwiła się z powodu Davida. „Po prostu zabierz go do domu i uwiedź. To odwróci jego uwagę od pracy” – chciała jej poradzić, ale powstrzymał ją jakiś przebłysk myśli o własnej korzyści. Schowała perfumy i odwróciła się do Liz.

– A rzeczywiście się zamieniasz? – zapytała.

– Słucham?

– W jego matkę?

– Na litość boską, Britt. Oczywiście, że nie! Jego matka jest tłamszącą wszystkich jędzą, która zrobiła z siebie męczennicę, a potem obwiniała całą swoją rodzinę.

– I wpędziła Davida na całe życie w fobię na punkcie kobiet zależnych od niego finansowo?

– Tak.

– Jakże kłopotliwie z jej strony.

– W każdym razie, na litość boską, nie mów nic o tym Davidowi. Strasznie jest teraz drażliwy.

– No pewnie. Nawet by mi się nie śniło.

Liz przejechała grzebieniem po włosach i ruszyła do drzwi.

Britt ostatni raz spojrzała w sięgającym podłogi lustrze na swoją drogą sukienkę od znanego projektanta. Zapłaciła za nią majątek. Ale, jak mówią, pieniądze mają siłę przekonywania. Przylegająca miękko do ciała wełniana dzianina była idealna. Kiedy Britt stała, sukienka wyglądała dyskretnie i wyrafinowanie. Jednak gdy się poruszała, materiał poruszał się wraz z nią, cudownie podkreślając wszystkie jej krągłości.

„Interesujące – pomyślała. – A więc David jest teraz drażliwy”.

Jakżeby inaczej. Kto by nie był, gdyby jego żona z kobiety sukcesu chciała zmienić się w kurę domową, niczym doktor Jekyll w pana Hyde’a, a szef usiłował sprowadzić „Daily News” do poziomu poniżej „National Enquirer”? Może potrzebował kogoś, komu mógłby się wyplakać.

Przez chwilę Britt się zastanawiała, czy David dzisiaj przyjdzie. Uśmiechając się do swojego odbicia w lustrze, rozpięła jeszcze jeden guzik.

Rozdział 11

Britt wzięła od kelnera kieliszek białego wina na długiej nóżce i wkroczyła do zatłoczonej sali. Uwielbiała robić mocne wejście, często specjalnie się spóźniała dla spotęgowania efektu. Sprawiało jej przyjemność, że ludzie przestawali rozmawiać, kiedy ją dostrzegali, i zastanawiali się, kim jest. Byłoby jeszcze lepiej, gdyby rozpoznawali ją od pierwszego rzutu oka, ale już niedługo będą.

Ku jej satysfakcji gwar przycichł na chwilę, kiedy stała, sącząc wino i rozglądając się za Liz. Nigdzie nie było jej jednak widać. Britt zauważyła, że przygląda się jej bacznie jakiś niski, energiczny mężczyzna. Już miała go zlekceważyć z powodu mikrego wzrostu i niemodnych ciuchów, kiedy dostrzegła otaczającą go aurę władzy i to, jak wszyscy wokół najwyraźniej pokornie się z nim zgadzają.

Mężczyzna oderwał się od grupki potakiwaczy i podszedł do niej.

– Witaj, młoda damo. – Ze zdziwieniem stwierdziła, że miał amerykański akcent ze Środkowego Zachodu, może z Chicago albo Des Moines. Nie był Anglikiem. I z pewnością nie miał wytwornych manier. – Szukasz kogoś? Jestem Conrad Marks, prowadzę tę nędzną budę. A kim ty jesteś?

– Nazywam się Britt Williams. Jestem starą znajomą Liz Ward.

– Aha! Czy przypadkiem dziś rano na moim biurku nie wylądowała teczka z twoimi pomysłami? – Zerknął na odpięty guzik Britt. – Bardzo dobrymi pomysłami, dodam. Bardzo oryginalnymi. Spodobały mi się niezmiernie.

W rzeczywistości nawet tej teczki nie otworzył, ale teraz, kiedy zobaczył pomysłodawczynię, zamierzał to nadrobić.

Liz, która dostrzegła, jak Conrad dryfuje w stronę Britt i właśnie zmierzała jej na ratunek – aż zdała sobie sprawę, że Britt bynajmniej nie życzy sobie, by ją ratowano – niechętnie usłyszała ostatnią kwestię. Co ten Conrad wygadywał? Przecież pomysły Britt były fatalne. Miała szczerą nadzieję, że to tylko chuć przez niego przemawia.

Ku swojemu rozbawieniu zauważyła Claudię, która ruszyła na nich z innej strony. Wyraźnie uznała, że Conrad rozmawia z Britt już wystarczająco długo. Biedna Claudia, była z niej niezła zawodniczka, ale Britt nie dorastała do pięt.

Claudia przykleiła się do ramienia Conrada i pokierowała go do bezpiecznego kąta sali, jak najdalej od Britt. Liz nie miała zamiaru marnować współczucia na tę krowę Claudię, ale z drugiej strony trudno było choć odrobinę nie współczuć każdej kobiecie, na której faceta Britt zagięła parol.

Liz poczuła, że ktoś kładzie jej dłoń na rękawie.

– Telefon do pani, pani Ward. – Zdziwiałające, jak centrali telefonicznej udało się ją namierzyć akurat w chwili, kiedy przymierzała się do wypicia paru

kieliszków wina.

Britt przez chwilę rozglądała się wokół, wyraźnie zagubiona, w poszukiwaniu jakiejś znajomej twarzy, starając się zwalczyć lekkie poczucie rozczarowania nieobecnością Davida, kiedy usłyszała czyjś głos, zwracający się do niej.

– A co ty myślisz o tym wybuchu matkomanii, o rozpalona do białości królowo wszystkich yuppie?

Omali nie podskoczyła z zaskoczenia. Jednak tu był. Opierał się o biały stół na kozłach, wyglądając przy tym absurdalnie młodo i przystojnie, i zatrzymywał każdego kelnera przechodzącego obok z tacą wina.

– David, jesteś zalany.

– Piję, żeby zapomnieć o problemach. Nie odpowiedziałas na moje pytanie.

Britt przyjrzała mu się uważnie. Wciąż był tak samo denerwująco atrakcyjny jak zawsze. Nie wiedziała, dlaczego tak ją kręcą mężczyźni, którzy traktowali swoją pracę z pasją. Może rozpoznawała w nich bratnie dusze. A David nawet teraz potrafił rzucić jej kpiące spojrzenie, które przenikało na wskroś przez całe jej wyrafinowanie, tak że czuła się, jakby znów miała dwadzieścia lat. U każdego innego faceta wzięłaby to za flirt, ale David nigdy nie był typem kokieteryjnym. A przy tym był jednym z niewielu mężczyzn, których nigdy nie podejrzewała o to, że po rozstaniu przed laty wciąż coś do niej czują. Chociaż patrząc na niego, zastanawiała się, czy jednak nie tli się tam jakaś iskra. Maleńka iskierka, którą można by rozdmuchać w coś więcej – może lekki flirt albo nawet jakiś mały romans. Nic, co by zagrażało małżeństwu – w końcu przyjaźniły się z Liz – a poza tym David był zdecydowanie zbyt oddany żonie, co w jakiś sposób sprawiało, że ta idea wydała się Britt bezpieczniejsza, ale nadal kusząca: byłoby fajnie, dopóki by to trwało, i pozwoliłoby jej się uporać z demonami przeszłości.

Liz nie musi się w ogóle o niczym dowiedzieć. Britt miała w końcu duże doświadczenie w dyskretnym romansowaniu. A David wyglądał, jakby potrzebował czegoś na poprawienie nastroju. Patrzyła, jak wychyla kolejny kieliszek wina i uświadomiła sobie coś, co do Liz nie dotarło: że chociaż nigdy by o to nie poprosił, David potrzebował dowartościowania.

– Wiesz, David, minęło ponad piętnaście lat, odkąd ze sobą chodziliśmy – powiedziała Britt miękko, przysuwając się do jego ucha – a ty ciągle mnie na maksa kręcisz.

– Naprawdę? Dziękuję. Niestety nie mogę tego samego powiedzieć o Liz. – Britt słyszała dźwięczące w jego głosie rozgoryczenie. – Jestem w tej chwili dość nisko na liście jej priorytetów. Na pierwszym miejscu jest Metro, dalej dzieci. Ja zajmuję raczej słabą trzecią lokatę.

„Aha, uzalanie się nad sobą – pomyślała Britt. – Mężczyźni, kochane biedactwa, musieli stanowić centrum twojego wszechświata. W sumie to

absurdalne, ale ignorowałaś to na własne ryzyko. Och, Liz, ależ z ciebie głuptaska”.

– O, David, tu jesteś. – Liz wyłoniła się z tłumu. – Obiecałam Susie, że wrócę przed dziewiątą trzydzieści. Wybiera się na imprezę. Idziesz?

David spojrział na nią z irytacją. Jediną rzeczą, która pozwoliła mu przetrwać to koszmarne przyjęcie, była myśl o kolacji. Dopóki nie wpadł na Britt.

Wypił jednym haustem resztkę wina, myśląc o tym, co przed chwilą od niej usłyszał.

– Nie, kochanie. Właśnie sobie przypomniałem, że muszę wrócić do redakcji. – To było kłamstwo i nie był nawet pewien, dlaczego to powiedział. Zwykle nie okłamywał Liz.

Pocałowała go w policzek i zaczęła przepychać się z powrotem przez tłum.

David zatoczył się lekko w stronę Britt.

– Mówiłem, że jestem trzeci na liście? Bardzo przepraszam. Raczej czwarty. Zapomniałem o cholernej niani.

Britt uśmiechnęła się do niego powoli.

– Biedny David. – Jej głos kołł i pieścił. – Może się napijemy i wszystko mi opowiesz?

Cholera! Liz właśnie zabierała płaszcz i torebkę ze swojego gabinetu, kiedy przypomniała sobie, że obiecała dać dziś wieczorem Conradowi kosztorys zdjęć do serialu na podstawie książek Agathy Christie. Wsunie mu go pod drzwiami, wychodząc.

Kiedy schylała się, żeby wepchnąć dokument pod drzwi jego gabinetu, zorientowała się, że są lekko uchylone, a ze środka dochodzą jakieś dziwne odgłosy. Całe piętro było pogrążone w ciemnościach i Liz przez chwilę żałowała, że nie zapaliła światła, ale włączniki były tak głupio porozmieszczane, że nigdy nie mogła znaleźć tego właściwego.

Bardzo powoli otworzyła drzwi o kilka centymetrów i zaczęła macać ręką po ścianie w poszukiwaniu włącznika ze sznureczkiem do pociągania. Z głębi pomieszczenia dobiegły nagle jakieś szelesty i szurgoty, a głos Conrada poinformował ją, że gabinet jest zajęty.

Przez ułamek sekundy stała jak sparaliżowana, a potem, niemal nieświadomie, pociągnęła za sznureczek. Jej oczom ukazała się mrugająca w ostrym świetle Claudia, z majtkami La Perla zaplątanymi wokół kostek, oraz Conrad, pospiesznie zapinający rozporek. Spanikowana Claudia podniosła kosz na śmieci i wsadziła go Conradowi na głowę.

Nie mogąc się powstrzymać, Liz wybuchła śmiechem, widząc, jak niedopałki cygar, plastikowe kubki i zgniecione kartki papieru opadają łagodnie na ramiona szefa.

– Och, Claudio, cóż za galanteria! – zachichotała. – Powinnaś ten kosz

założyć na głowę sobie. Fiuta Conrada poznałabym wszędzie!

Kiedy wróciła do domu, Susie czekała na nią w holu. Widząc jej buńczuczną minę, od razu się zorientowała, że dziewczynie wcale nie chodziło o pójście na imprezę, tylko o konfrontację.

– Przykro mi, Liz, ale nie mogę już tego dłużej wytrzymać. Mówiła pani, że sytuacja się poprawi, kiedy już Metro wejdzie na antenę, ale się nie poprawiła – zaczęła Susie oskarżycielskim tonem, zanim jeszcze Liz zdążyła zdjąć płaszcz. – Przepraszam, że rozmawiałam z tą koszmarną babą, ale nie zrobiło to żadnej różnicy. Znaczą się, i tak nigdy nie ma pani w domu!

Liz starała się panować nad sobą. Szantaż – do tego to się sprowadzało – a Liz prędzej szlag trafi, niż będzie coś takiego tolerować. Susie ewidentnie chciała więcej pieniędzy. Tylko dlaczego po prostu nie poprosiła?

– Susie – Liz ledwie powstrzymywała irytację – jeśli uważasz, że powinniśmy ci więcej płacić, to, na litość boską, porozmawiajmy o tym jutro.

– Przepraszam, Liz, ale nie chodzi o pieniądze.

– Jeśli chodzi o godziny pracy, to też możemy o tym pogadać.

– Nie, Liz, przykro mi.

Jasna cholera! Jej dwudziestoletnia niania mówiła cierpliwym, protekcyjnym tonem, jakby to ona była osobą dorosłą, a Liz – krnąbrnym dzieckiem.

– Naprawdę lubię panią i pana Davida, a po tej aferze z gazetą czułam, że powinnam zostać, bo jestem wam to winna, ale po prostu nie mogę znieść tego, że muszę cały czas mówić Jamiemu i Daisy, że dzisiaj znowu pani nie wróci.

Mój Boże. Ona nie żartowała. Liz w okamgnieniu wytrzeźwiała; na myśl o tym, że mogłaby naprawdę stracić Susie, opuściła ją cała stanowczość. Susie nie mogła odejść! Nie teraz, kiedy tak bardzo jej potrzebowali! Należała do rodziny. Jamie ją ubóstwiał. No dobrze, może czasem wyrwała się z czymś niestosownym, ale tylko dlatego, że jej zależało, że się troszczyła! To świadczyło o tym, jak dobrą była nianią.

– Susie... – Liz starała się nie mówić błagalnym tonem. Nianie cię nie chciały, jeśli tobie zależało na nich za bardzo. Zupełnie jak mężczyźni. – Wiesz, jak bardzo wszyscy cię cenimy. I jaką jesteś doskonałą nianią, jak bardzo Jamie i Daisy się rozwinęli, odkąd tu jesteś. Strasznie szkoda byłoby to wszystko zaprzepaścić. Może moglibyśmy wziąć jeszcze kogoś do pomocy. Drugą nianię, którą dzieci znają.

– Liz, przykro mi. Nie o to chodzi. Tylko o to, że dzieci muszą częściej widywać ciebie. Przepraszam. Podjęłam już decyzję. Na dobre. Chciałabym odejść z końcem miesiąca. Jeśli jutro zamówisz ogłoszenie w „The Lady”, ukaże się w przyszłym tygodniu. Termin mija o piętnastej. Dzwoniłam tam, żeby sprawdzić.

Boże święty, ona mówiła poważnie. Całkowicie serio!

– Susie, zawsze czułam, że za mało ci płacimy, biorąc pod uwagę całą odpowiedzialność, która na ciebie spada. Może podnieśliśmy ci pensję do stu pięćdziesięciu funtów tygodniowo? – Oznaczało to podwyżkę o pięćdziesiąt procent, ale kto by liczył?

Susie popatrzyła na nią jak zwycięzca na nędznego niewolnika błagającego Cezara, by pokazał kciuk podniesiony w górę.

– Przykro mi, Liz, ale to niczego by nie zmieniło. Nie chodzi mi o pieniądze. Zależy mi na ich szczęściu.

O Boże, to powinna być jej kwestia! Susie odchodziła, a jak ona, psiakrew, miała znaleźć kogoś innego przed końcem miesiąca?

Usłyszała trzask zamykanych drzwi i ukryła twarz w dłoniach. Nie chciało jej się już udawać, że jest silna.

– Pani Ward, czy mogłabym zamienić z panią słowo? – Dyrektorka przedszkola Jamiego zmaterializowała się nagle znikąd, kiedy Liz przyprowadziła rano syna. Czego to babsko chce? Chyba Liz nie zapomniała znowu zapłacić czesnego?

Dyrektorka posadziła Liz w gabinecie i zajęła się przekładaniem jakichś papierów.

– Pomyślałam, że powinniśmy porozmawiać. Martwimy się o Jamiego. Ciągle myje ręce. Wczoraj sześć razy. Mam nadzieję, że nie uzna pani tego za impertynenckie pytanie, ale czy nie mają państwo jakichś problemów w domu?

Liz nie wierzyła własnym uszom. Jamie mył ręce sześć razy?! W domu nigdy tego nie robił. Z trudem udawało się jej zaciągnąć go do umywalki. Wydawał się zupełnie szczęśliwy. Nagle poczuła ukłucie paniki. Oczywiście, planowane odejście Susie. Czyżby dziewczyna coś mu powiedziała? O Boże, jeśli już teraz Jamie tak się zachowuje, to co będzie, kiedy niania ich zostawi?

– A może *Kibolski samobój* jako nagłówek na jedynekę do tekstu o tym kibicu, który walnął swojego kumpla butelką? Chłopaki w „Daily World” posikają się ze złości, że na to nie wpadły! David? Chcesz dać kiboli na jedynekę?

Szef działu spojrział ze zdziwieniem na naczelnego. David zwykle odrzucał kilka pierwszych propozycji i sam wymyślał coś lepszego. Dzisiaj jakby w ogóle guzik go obchodziło, co zamieszczą na pierwszej stronie gazety.

David usiłował skupić się na kolegium redakcyjnym. Problem w tym, że nie mógł przestać myśleć o Britt. Nie potrafił jej rozgryźć. Wczoraj do niczego nie doszło – tylko siedzieli i rozmawiali. Rany boskie, właściwie wstydził się pewnych rzeczy, które jej powiedział – o sobie i swojej matce, o tym, jak musiał się stamtąd wyrwać, dlaczego chciał zostać dziennikarzem. Od lat tak z nikim nie rozmawiał. Opowiedział jej nawet o swojej batalii z Mickiem Normanem.

Zdziwił się, jaką ulgę sprawiło mu samo wygadanie się komuś – zwłaszcza osobie, której cała przyszłość nie zależała od tego, czy David utrzyma pracę, czy

nie – i zdumiał, jak łatwo mu się z nią rozmawia. Zawsze myślał, że od czasu studiów zrobiła się z niej zimna jędrza, ale to nie była prawda. Chociaż z pozoru twarda, była bardzo kobieca. I chyba znacznie lepiej rozumiała jego położenie niż Liz. Może dlatego, że łączyło ich środowisko, z którego się wywodzili.

Przez lata usiłował zrozumieć, czym kieruje się Liz i dlaczego reaguje na pewne rzeczy zupełnie inaczej niż on. W końcu doszedł do wniosku, że chodzi o różnice klasowe. Ona dorastała wśród truskawek z bitą śmietaną, gry w tenisa i podwieczorków w ogrodzie. On – wśród szybów, bezrobocia i strachu przed wyładowaniem na zasiłku. Kiedyś myślał, że to nie ma znaczenia. Ale miało. A Britt o tym wiedziała.

Znów wróciło do niego wspomnienie poprzedniego wieczoru i poczuł dreszcz podniecenia. W pewnym momencie, kiedy odwiózł Britt, sięgnął do klamki, żeby otworzyć jej drzwi, i omal jej nie pocałował. Ale ona wyskoczyła z samochodu, muskając szybko jego policzek w sposób mówiący „bądźmy przyjaciółmi”. Była przecież znajomą Liz. Więcej, dobrą przyjaciółką. A on Liz kochał, nawet jeśli w tej chwili nie miała dla niego zbyt wiele czasu. Dlatego cieszył się, że nie doszło do niczego, czego mógłby żałować, prawda?

Musi wziąć się w garść. Zachowywał się jak jakiś głupi uczeń. Nawet nie słyszał propozycji Berta Smitha, więc Bóg jeden wie, co zgodził się puścić na jedynekę. Będzie miał nauczkę, jeśli się okaże, że mają taką samą pierwszą stronę jak „The Sun”. Po raz pierwszy w życiu poczuł głęboką wdzięczność, że kolegium dobiegło końca.

Kiedy wrócił do swojego gabinetu, na biurku zadzwonił telefon i w słuchawce odezwał się głos jego sekretarki, pytającej, czy chce rozmawiać z niejaką Britt Williams. David doznał nieznanego sobie ukłucia paniki, doprawionej sporą dawką podniecenia. Nie czuł czegoś takiego od lat. Czy chciał z nią rozmawiać? Tak, na Boga, chciał.

– Cześć, Britt. Siedzę tu i czuję się jak idiota na myśl o wczorajszym wieczorze. Od lat nie nagadałem nikomu tylu głupot. Musiałaś się śmiertelnie nudzić.

– Rzeczywiście. Jak mopsica. – Od łagodnej kpiny w jej głosie zjeżyły mu się włoski na karku. – Tak się wynudziłam, że ponieważ będę na konferencji prasowej w IBM blisko twojej redakcji, pomyślałam, że może chciałbyś pójść na lunch.

Lunch. Wszyscy wiedzą, że lunch jest bezpieczny. Niewinny. Czysty jak łąka. Każdy chodzi na lunch. Albo: lunch ekscytujący. Pełen możliwości. Pierwszy krok na wyboistej drodze do łóżka. Czym był w tym przypadku? Tym pierwszym. Oczywiście.

Po odłożeniu słuchawki David zastanawiał się przez ułamek sekundy, dlaczego Britt zadała sobie trud, żeby wyjawic mu powód, dla którego jechała

w jego stronę. Ze swojego dziennikarskiego doświadczenia wiedział, że podawanie niepotrzebnych informacji zazwyczaj oznacza jedno: misternie skonstruowane kłamstwo.

„Nie bądź śmieszny – zbeształ się – to idiotyzm wyobrażać sobie, że zmyślała, bo chciała się z tobą spotkać”.

Pod wpływem nagłego impulsu podniósł słuchawkę i zadzwonił do IBM. A kiedy odkładał ją niecałą minutę później, uśmiechał się do siebie. Nie było im nic wiadomo o żadnych planowanych na dziś konferencjach prasowych.

Kwadrans przed szesnastą David spojrzął na zegarek i pomyślał, żeby wrócić do redakcji. Przyjście po czwartej uważano w „Daily News” za rażącą obrazę moralności. Pewnie już na niego czekali. Ale, cholera jasna, to on był naczelnym.

Niech czekają.

Zauważywszy to zerknięcie, Britt zaproponowała, że podrzuci go swoim porsche. Czy tylko to sobie wyobraził, czy faktycznie dostrzegł w jej oczach subtelne zaproszenie? Kilka razy podczas lunchu trąciła go pod stołem stopą, a raz, kiedy podnosiła się, żeby pójść do toalety, otarła się udem o jego udo, gdy pomagał jej wstać.

Nie wiedział, co o tym myśleć. Dostawał sprzeczne sygnały. W jednej chwili chłodna przyjaźń, a za moment coś, co u każdej innej babki wzięłoby za zachętę. Ale, na litość boską, o czym on w ogóle myślał? Kochał Liz i nie było mowy, żeby wdał się w romans z jej przyjaciółką. To tylko taka fantazja wieku średniego – skończył trzydzieści pięć lat, a Liz nie wydawała się już nim tak zainteresowana jak dawniej. Ewidentnie szukał potwierdzenia własnej wartości. Żalotne. Będzie musiał taktownie powiedzieć Britt, że chyba lepiej by było, gdyby się więcej nie spotykali. Tak jej powie, w drodze powrotnej do redakcji.

Kiedy jednak wsiedli do samochodu, atmosfera stała się tak naelektryzowana, że niemal niebezpieczna. Pod jej wpływem wyrwało mu się coś, czego natychmiast pożałował.

– Wiesz, wczoraj, kiedy tak się wymknęłaś... – Britt uśmiechnęła się po swojemu, tajemniczo i z lekkim zblazowaniem. – Nie wiedziałem, czy czuć ulgę, czy rozczarowanie.

Britt nic nie powiedziała.

A więc poskutkowało. Jakżeby inaczej. Zawsze skutkowało. Trzeba zbudować napięcie, a potem szybko się wycofać. Poddanie się mężczyźnie nie było sposobem na rozbudzenie w nim pragnienia, prawdziwe pożądanie rozpałało w nim właśnie to, że nie mógł cię mieć. Zwłaszcza kiedy, tak jak David, nawet nie wiedział, że cię pragnie.

Dwie minuty później Britt wjechała na podziemny parking „Daily News” i zatrzymała samochód, żeby wypuścić Davida. Przez kilka sekund wisiała między nimi dokuczliwa, nieco niezręczna cisza. Potem David podjął decyzję. Szybkim

ruchem otworzył drzwi i zaczął wysiadać. Britt nachyliła się w jego stronę, żeby go zatrzymać. Odwróciła jego twarz do swojej i pocałowała go prosto w usta, mocno i zupełnie jednoznacznie.

David przyjrzał się sobie dokładnie w łazienkowym lustrze. Czy naprawdę był bardzo atrakcyjny, jak mówiła Britt? Chciał przestać o niej myśleć, ale nie potrafił. Od tego pocałunku wciąż wdzierała mu się do umysłu i pojawiała w fantazjach, nieważne, jak bardzo starał się jej tam nie dopuścić. Chociaż musiał przyznać, że nie były to zbyt usilne starania. Powinien jednak spojrzeć prawdzie w oczy: Britt była tylko objawem, z pewnością bardzo kuszącym, prawdziwego problemu, który dotyczył sytuacji między nim a Liz.

Mając na głowie dzieci i pracę, rzadko kiedy się kochali, a kiedy już zdarzyło im się pójść do łóżka, wszystko odbywało się automatycznie i w pośpiechu. Było w tym tyle jego winy, co jej. Od miesięcy wmawiał sobie, że dobry seks nie ma znaczenia, że to po prostu jedna z tych rzeczy, z których się rezygnuje, kiedy pojawiają się dzieci – tak jak wylegiwanie się w niedzielę w łóżku czy kończenie rozmów. Teraz wiedział, że się mylił. Miał absolutną pewność, że jego silna reakcja na Britt miała prostą przyczynę: ona była chętna, a Liz nie.

Owijając się w szlafrok frotté, doszedł do wniosku, że jeśli naprawdę chcą z Liz być razem, będą musieli coś w tym celu zrobić. Natychmiast.

Ku jego zdziwieniu Liz nie leżała w łóżku. Wciąż na nim siedziała, kompletnie ubrana, i gapiła się przed siebie.

– Co się stało? – Mignęła mu podszyta paniką myśl, że Liz coś podejrzewała. Może ktoś widział go dzisiaj na lunchu z Britt? No dobra, przynajmniej będą grać w otwarte karty. W końcu nie miał się czego wstydzić. Na razie.

– Chodzi o Jamiego.

No jasne, mógł się, cholera, domyślić. To nie tak, że nie kochał syna. Kochał go najbardziej na świecie. Ale czy zawsze nie chodziło o Jamiego? Albo o Daisy? Czy nawet tego przeklętego Conrada?

– Dyrektorka przedszkola mówi, że zaczął bez przerwy myć ręce. Wczoraj sześć razy. – Odwróciła się do niego, a w jej głosie zadźwięczał nagły ton. – David, zapytała mnie, czy w naszym domu są jakieś problemy. Nie ma, prawda?

David spojrzął w udręczone oczy Liz i zalała go fala poczucia winy. Jego żona żyła pod ciągłą presją – w pracy Conrad, w domu Susie. Może nie powinien od niej oczekiwać, że w łóżku zmieni się w Lindę Lovelace.

– Oczywiście, że nie – skłamał. „Poza tym, że nie mogę przestać myśleć o twojej najlepszej przyjaciółce” – dokończył w myślach.

Wyciągnęła do niego ręce, a on przeszedł szybko przez pokój i ją objął. Pod pancerzem twardej kobiety sukcesu była taka bezbronna. Przytulał ją mocno przez dłuższą chwilę, zdziwiony i trochę zawstydzony tym, że ta jej bezbronność go podnieca. Delikatnie wsunął dłoń pod miękkie jedwab jej bluzki i poczuł, jak Liz

sztynnieje. Ale nie z pożądania, nie w oczekiwaniu na erotyczną przyjemność, którą pragnął jej dać, tylko z napięcia.

– Przepraszam, David – wymamrotała. – Ta cała sprawa z Jamiem, do tego to odejście Susie, jestem po prostu za bardzo zestresowana.

David poczuł przyływ dobrze sobie znanej goryczy. Puścił Liz i położył się do łóżka. Wkrótce nadszedł sen. A wraz z nim wyraźny obraz szczupłej blondynki w czarnym lateksowym gorsecie i na dziesięciocentymetrowych obcasach. Tym razem nie miała pejsza, tylko zapraszająco otwarte ramiona. Powoli włożyła sobie palec do ust i zaczęła go ssać.

Rozdział 12

David stanął w ciemnym zakamarku podziemnego parkingu, obok porsche Britt, i spojrzął na zegarek. Siódma dwadzieścia pięć. Jej sekretarka powiedziała, że Britt wyjdzie z biura o siódmej trzydziści. Na chwilę stracił zimną krew. Co on tutaj robił? A jeśli źle odczytał jej sygnały?

Wiedział jednak, że zinterpretował je prawidłowo; nie spał całą noc i teraz był już tego pewien. Kiedy usłyszał stukot jej obcasów na betonowej posadzce, nagle uświadomił sobie z całą wyrazistością, po co tutaj przyszedł. Co chciał zrobić. I czego ona też chciała.

Gdy Britt grzebała w torebce w poszukiwaniu kluczyków, wyłonił się z cienia i złapał ją od tyłu, jedną rękę zarzucając jej na szyję. Otworzyła usta, żeby krzyknąć, a wtedy odwrócił ją do siebie i pocałował. Mocno i długo. Przez ułamek sekundy widział, jak strach w jej oczach przeistoczył się w błysk podniecenia. I uświadomił sobie, od jak dawna nie czuł obezwładniającej, erotycznej, zwierzęcej namiętności.

Nie mówiąc ani słowa, wsiedli do jej samochodu i szybko pojechali w stronę Canary Wharf.

Liz spojrzała na zegar na mikrofalówce, wstawiając mleko do podgrzania. David jeszcze nie wrócił, więc obiecała sobie kubek gorącego mleka i obejrzenie w łóżku ostatniego odcinka telewizyjnego thrillera, od którego była uzależniona. Od kilku tygodni David wracał coraz później. A kiedy już był w domu, odnosił się do niej i dzieci z takim poirytowaniem, że czasem wołałaby, żeby w ogóle nie przychodził. Sytuacja w „Daily News” musiała robić się trudna.

Wsuwając się pod kołdrę, kątem oka dostrzegła swoje odbicie w lustrze, w szlafroku i kapciach, z kubkiem mleka w rękę. Była wstrząśnięta. Wyglądała jak własna matka. Nic dziwnego, że Davida nie ciągnie do domu.

Naraz ogarnęła ją złość. To takie niesprawiedliwe. Kobiety czuły, że muszą być atrakcyjne, by zatrzymać przy sobie mężczyznę, jednak faceci nie próbowali nawet dbać o urodę, by zatrzymać kobietę. Jakby uważali, że wystarczy sama przynależność do płci męskiej. Dlaczego David nie przymierzał sześciu różnych par bokserów, usiłując wybrać te, w których wyglądał najbardziej uwodzicielsko? Ta myśl ją rozweseliła, więc uśmiechała się, sięgając do szuflady w komodzie, skąd wyjęła jedwabną koszulkę nocną w kolorze kości słoniowej i ją założyła. Następnie wyszczotkowała włosy i pokropiła się Chanel No 5. Może Marilyn perfumy wystarczały za cały nocny strój, ale dziś było strasznie zimno. Koszulka zostaje. Ułożyła się w eleganckiej pozie na poduszkach. Kubek z gorącym mlekiem nie bardzo pasował do tego syreniego image'u, ale co tam.

Godzinę później Davida nadal nie było, a ona zasnęła.

– Liz? Liz, słuchasz mnie? – Głos tej krowy Claudii przebił się przez jej przygnębienie. – Czy mamy z producentem wyjść, żebyś mogła sobie w spokoju powyglądać przez okno?

Sarkastyczny ton Claudii przywołał ją do rzeczywistości. Omawiali nowy program o współczesnych małżeństwach, przy którym Claudia zajmowała się kierownictwem produkcji. Ku zaskoczeniu Liz rzecz była fascynująca i inteligentnie zrobiona. Wybór ekstrawaganckiej, skandalizującej komiczki Wendy Black na prowadzącą okazał się znakomitym pomysłem, bo od razu eliminował jakiegokolwiek pretensje do szlachetnego celu czy intymny ton pod hasłem „porozmawiajmy o waszych problemach przed pięcioma milionami widzów”, będące plagą podobnych programów. A decyzja o rozmawianiu zarówno ze sławnymi, jak i zwykłymi ludźmi o ich małżeństwach sprawdzała się znakomicie.

Claudia przedstawiała właśnie najbardziej pomysłowy chwyt w tym show: test dla widzów do zrobienia w domu, zatytułowany: *Jak poznać, czy twój partner ma romans*.

Liz bezmyślnie odhaczała okienka na kartce, którą wręczyła jej Claudia. Zawsze rozwiązywała te wszystkie testy w rodzaju *Jak stwierdzić, czy jesteś alkoholiczką*, zamieszczane w kobiecych pismach i dodatkach do niedzielnych wydań.

„Czy twój partner ostatnio częściej wraca późno do domu?” TAK.

„Czy zauważyłaś niewyjaśnione zmiany w jego zachowaniu?” TAK.

„Czy zdarzają się głuche telefony – kiedy odbierasz, nikt się nie odzywa?”

O Boże, było coś takiego parę dni temu wieczorem. TAK.

Nagle Liz poczuła, jak panika zaciska lodowate palce na jej żołądku i zmienia nogi w ołów. Ten test dokładnie opisywał zachowanie Davida.

Dlaczego, do diabła, tego nie zauważyła? Dlaczego się cieszyła, że ma czas dla siebie, zamiast się zastanawiać, gdzie też podziewa się David późnym wieczorem? Nigdy nie przyszło jej do głowy, żeby kwestionować jego tłumaczenia: a to zebranie, a to problemy w gazecie. A David miał romans! Nie byłoby to dla niej bardziej oczywiste, gdyby zastała go z kochanką w pozycji misjonarskiej na podłodze w ich salonie.

Claudia przyglądała się Liz z zaciekawieniem. Krew odpłynęła pani dyrektor z twarzy, wargi zbieleły. Claudia widziała kiedyś ofiarę wypadku samochodowego w stanie szoku – wyglądała zupełnie jak teraz Liz. A zatem miała rację co do Davida i tej blondynki, która uganiała się za Conradem. Wygląda na to, że Claudia o włos uniknęła nieszczęścia.

Na chwilę zrobiło jej się żal Liz. Tak wyraźnie odbijały się na jej twarzy ból i poczucie zawodu. „Zaraz, zaraz – zbesztala się w myślach Claudia – to przecież Liz Ward. Kobieta, która ukradła ci stanowisko”.

– Nic ci nie jest, Lizzie? – zapytała słodko. – Mam nadzieję, że nie wygląda

to zbyt znajomo?

– Dobrze się czujesz, Lizzie? – Liz słyszała troskę w głosie Ginny i bała się, że zaraz pęknie. Ginny zaprosiła ją na ten weekend razem z Mel i Britt, zapowiadając, że ma im coś ważnego do powiedzenia.

– W porządku – skłamała Liz. Ale nie było w porządku. Czuła się jak kupka nieszczęścia. Po dokonaniu tamtego wiekopomnego odkrycia wróciła do domu i leżała w łóżku, czekając na Davida.

Czy powinna zapytać go wprost? Może przesadzała, może coś się jej ubzdurało? Ale instynkt podpowiadał jej, że nie. A bardzo rzadko się mylił.

Kiedy wreszcie usłyszała wchodzącego po schodach Davida, dochodziła północ, a ona była już pewna, że nie może odpuścić. Musiała coś powiedzieć. Zapytała więc, gdzie był i czy coś się stało. Ale on zamiast wyznać prawdę i błagać o wybaczenie, odpowiedział coś wykrętnie, poirytowanym tonem. Po prostu nie chciał o tym rozmawiać.

Kiedyś często się dziwiła, dlaczego jej znajome puszczają mężom romanse płazem. Zawsze była pewna, że gdyby jej się to przytrafiło, nie pozwoliłaby na to, by sprawa rozeszła się po kościach. Musiałyby wiedzieć: tak czy nie. Domagałyby się albo przyznania się do winy, albo zaprzeczenia. A gdyby okazało się, że to prawda, to wiarołomny mąż mógł się wynosić. I tyle.

Ale teraz zrozumiała, że to wcale tak nie wygląda. Bo nigdy nie wiedziałaś na pewno. Mężczyźni nie mówili po prostu: „No dobra, przyznaję się bez bicia, szefowo, posuwam swoją sekretarkę”. Wypierali się. Albo po prostu odmawiali rozmowy na ten temat. A ty gdzieś w głębi duszy, w jakimś jej napędzanym niepewnością zakamarku, czułaś ulgę. Wierzyłaś na słowo. Dawałaś szansę. Bo musiałaś. Stawka była wysoka: miłość, dzieci, hipoteka, status, komfort. Nagle dom wybudowany przez ciebie z cegieł mógł się jednak okazać chatką ze słomy. I ta myśl napędzała ci cholernego pietra.

– Na pewno wszystko w porządku? – Ginny usiadła na poręczu jej fotela i spojrzała na nią uważnie.

Liz uśmiechnęła się blado. Jakoś wzięła się w garść.

– Nic mi nie jest, Ginny, dzięki.

Przez mgłę swojego przygnębienia Liz dostrzegła, że Ginny rozsadza jakaś tłumiona energia, której nigdy wcześniej u niej nie widziała.

– W takim razie chyba pora na moją nowinę. – Gospodyni wstała i zwróciła się do nich wszystkich, prawie jakby była przewodniczącą prowadzącą zebranie. – Zakładam własną firmę! – wypaliła podnieconym głosem. – Agencję pośrednictwa pracy dla kobiet, które chcą się zatrudnić w niepełnym wymiarze.

Gdyby Ginny nie była tak podekscytowana, być może poczułaby się urażona, widząc wyraz bezbrzeżnego zdumienia na twarzach swoich trzech przyjaciółek. Ginny! Perfekcyjna pani domu! Królowa domatorek! Kobieta, która

zmieniała marynowanie w formę sztuki!

– Ginny, to wspaniale! – Liz pierwsza objęła i uściskała przyjaciółkę. – Od jak dawna chodziło ci to po głowie?

Ginny z rozmysłem unikała wzroku Britt.

– Ze dwa miesiące. Oczywiście to wszystko będzie raczej na małą skalę. Sama planuję zajmować się tym tylko, że tak powiem, na pół etatu, ale od czegoś trzeba zacząć. Ciągłe czytałam o tym, że próbuje się przyciągnąć kobiety z powrotem na rynek pracy, i uświadomiłam sobie, jak wiele moich koleżanek mogłoby być zainteresowanych, gdyby chodziło tylko o część etatu. No i postanowiłam spróbować. W zeszłym tygodniu bank dał mi zielone światło.

Mel wciąż wyglądała na oszołomioną.

– No proszę, ależ z ciebie cicha woda!

– A zatem – Britt rozplotła swoje eleganckie nogi i uśmiechnęła się z lekką tylko nutką protekcyjności – jak zamierzasz nazwać to śmiałe przedsięwzięcie?

Ginny odwróciła się i po raz pierwszy na nią spojrzała, wychwytyjąc subtelną ironię w jej tonie.

– Pomyślałam – Ginny wzięła łyk kawy i powoli odstawiła filiżankę – że nazwę firmę Pani Mrugalska. – Liz i Mel wydały z siebie stłumiony chichot. – Ale potem stwierdziłam, że to może się kojarzyć z żalonym stworzonkiem budującym sobie gniazdko, żeby uciec od rzeczywistości, więc zarzuciłam ten pomysł. – Ginny uśmiechnęła się łagodnie. – Znasz się na markach, prawda, Britt? Co sądzisz o takiej: WomanPower?

„Brawo” – pomyślała Liz, której cała ta sytuacja tak się podobała, że zapomniała na chwilę o własnych zgryzotach. Jeśli Ginny potrafiła wziąć sprawy w swoje ręce, to dlaczego ona by nie mogła? Zacznie od razu, teraz, zaraz. Jeśli powie o tym otwarcie, nie będzie jej się to wydawało takie przerażające.

– Widzę, że mamy tu okazję do ogłaszania nowin, więc też mam jedną.

Przyjaciółki popatrzyły na nią, spodziewając się wieści o pokonaniu kolejnego szczebla w zawrotnej karierze Liz Ward, składającej się z samych wzlotów. Ale Liz miała im do powiedzenia coś zupełnie innego.

– David ma romans, a ja nie wiem, co z tym, do cholery, zrobić.

Na ułamek sekundy Britt zakrztusiła się kawą. Ginny spojrzała na nią i zobaczyła brązową, powiększającą się plamę na krepdeszynowej bluzce od Calvina Kleina w kolorze kości słoniowej. Aha, więc miała rację.

– Jak myślicie – ciągnęła Liz, czując, że już jej jakoś lżej na duchu – co mam robić? Dowiedzieć się, co to za jedna?

– No raczej – odparła Mel zachęcająco. – Rozbij obóz w jej ogródku, przetnij jej opony! Zamień jej życie w piekło!

Ginny spojrzała z ciekawością na Britt.

– Na twoim miejscu – Britt usiłowała zasłonić wolną ręką plamę po kawie –

bym o tym zapomniała. – Uśmiechnęła się jak sfinks. – David zawsze cię uwielbiał. Podejrzewam, że coś sobie wymyśliłaś.

– O, nie – Liz pokręciła głową. Każde zdanie z tego głupiego testu wryło jej się w pamięć. – Na pewno niczego nie wymyśliłam.

Kiedy Ginny trajkotała o swoich planach, Britt zostawiła pyszny quiche na swoim talerzu nietknięty. Doznawała niezwyklej dla siebie emocji: poczucia winy. I bynajmniej nie było to doznanie przyjemne. To przecież nie ona była winna, że David chciał się wypłakiwać na jej ramieniu, na litość boską! Winna była Liz. Powinna zauważyć znaki ostrzegawcze.

Poza tym nie można wychodzić za kogoś, a potem zmieniać się w zupełnie inną osobę i oczekiwać, że mąż nie będzie miał nic przeciwko temu. Jeśli zmieniałaś reguły gry w swoim małżeństwie, to musiałaś zaakceptować ryzyko.

No a tak w ogóle, to między nią a Davidem nie było niczego poważnego. On chciał tylko seksu i potwierdzenia własnej wartości. Nic wielkiego. Mężczyźni bez przerwy tak robią. Niedługo pobiegnie z powrotem do Liz, a za rok czy dwa pani Ward będzie opowiadać o romansie męża na przyjęciach, twierdząc, że właściwie to im dobrze zrobił, zmusił do przewartościowania priorytetów.

David nie byłby pierwszym mężem, którego Britt odesłała z powrotem do żony, uczyniwszy go szczęśliwszym człowiekiem. To idiotyzm czuć się winną. Jeśli zachowają ostrożność, Liz wcale nie musi się dowiedzieć. Mimo wszystko, może jednak lepiej, żeby trochę przystopowali.

Ginny wzięła od Britt tacę z brudnymi naczyniami i poprosiła, żeby pomogła jej sprzątać. Przez cały lunch biła się z myślami, czy odważy się coś powiedzieć. Kiedy zobaczyła, jak Britt oblewa się kawą, postanowiła nic nie mówić – Britt wyraźnie sama wiedziała, że przekroczyła pewną granicę. Teraz jednak wróciła dawna, arogancka Britt, a Ginny nie mogła tego znieść.

Czasem zastanawiała się, dlaczego tolerowały Britt. No dobrze, wszystkie poznały się pierwszego dnia na uniwersytecie, świetnie się razem bawiły na studiach, ale to było lata temu. Dziś Britt bywała irytująca nie do wytrzymania. Owszem, kiedy chciała, potrafiła doskonale odnaleźć się w towarzystwie i z pewnością była osobą, wokół której ciągle coś się dzieje. Miała w sobie energię i coś elektryzującego, co przyciągało do niej mnóstwo ludzi. Urządzała najlepsze imprezy pod słońcem – miała przyjaciół w najróżniejszych środowiskach i kiedy ich wymieszała, efekt był zawsze fascynujący. Tylko czy to naprawdę byli jej przyjaciele? Raczej znajomi. Britt kolekcjonowała ludzi i numery telefonów tak jak Ginny materiały na patchworkowe narzuty. Jedynymi prawdziwymi przyjaciółkami, jakie miała Britt, były Mel, Liz i ona. A ich cierpliwość się wyczerpywała, nawet kiedy brały poprawkę na dawne czasy.

– Britt – Ginny wyjęła tacę z jej rąk, w razie gdyby miała ją upuścić. – Kiedy Liz powiedziała, że David ma romans... czy to przypadkiem nie z tobą?

Britt zamarła na moment, przerażona. Ale nie próbowała zaprzeczać.

– Skąd wiedziałaś?

– Widziałam, jak na siebie patrzyliście, kiedy byliście tu ostatnim razem.

– Było to aż tak oczywiste?

– Ślepy by się połapał.

– I jaką dasz mi teraz przyjacielską radę? Jakbym nie wiedziała. Nie krzywdź biednej Liz? Biedna Liz jest najsilniejszą osobą, jaką znam! Szczerze mówiąc, martwię się raczej o siebie.

Britt uświadomiła sobie, że to prawda, co stanowiło dla niej nieprzyjemny wstrząs. Rzeczywiście martwiła się o siebie. Pomyślała o Davidzie i o tym, że w ostatnich tygodniach spędzali ze sobą coraz więcej czasu. Miała wcześniej niezliczone romanse i zazwyczaj nie przeciągała ich dłużej niż kilka nocy. Nieświadomie z Davidem weszła w to głębiej, niż zamierzała. Nigdy nie chciała ukraść Liz męża na dobre – tak jak David ewidentnie nie miał zamiaru porzucić Liz. Czasami Britt była wręcz zirytowana tym, jak bardzo wciąż był oddany żonie na setki różnych sposobów – pod każdym względem oprócz łóżka. W łóżku to Britt była atrakcją.

Może sprawy zaszły już wystarczająco daleko. Było miło, ale wszystko zaczynało się wymykać spod kontroli. Powie mu następnym razem, kiedy się spotkają. Miała tylko nadzieję, że nie pobiegnie do Liz błagać o przebaczenie. Mężczyźni byli tacy słabi. Nie potrafili trzymać gęby na kłódkę, żeby nikomu nie stała się krzywda. Musieli lecieć do mamusi i puścić farbę. W ten sposób krzywda działa się wszystkim.

– Liz, możesz przyjść na zebranie w następny wtorek po południu, żeby omówić budżet *Kartonowych ludzi*? – Czarujący ton Conrada poważnie ją zaniepokoił. Zdecydowanie oznaczał, że Marks coś kombinuje. Była tego pewna. Planował na wtorek jakiś numer, a ona rozpaczliwie potrzebowała się dowiedzieć, co knuł, żeby mogła temu zapobiec. Tym razem nie walczyła tylko o *Kartonowych ludzi*, ale także o własne przetrwanie.

Wpatrywała się w tańczące jej przed oczami kolumny cyfr i usiłowała znaleźć miejsca w budżecie, gdzie można by dokonać cięcia, nie rujnując całego cyklu. Jednak za każdym razem, kiedy usiłowała skupić się na grafice komputerowej albo na tym, czy naprawdę potrzebują rekwizytora do przeniesienia dwóch tekturowych pudeł, ciągle wracała myślami do Davida.

W ostatnich dniach był jakiś inny. Zaczął wracać do domu o ósmej zamiast o jedenastej i nagle znów wyglądał, jakby cieszył się na jej widok. Wczoraj nawet przyniósł jej kwiaty. Pocałowała go, gdy wręczył jej bukiet, ale kiedy wstawiała kwiaty do wody, przypomniała sobie słowa matki Mel: „Zawsze kiedy on kupuje mi kwiaty, wiem, dlaczego”. Czy będzie jeszcze potrafiła mu zaufać, czy też, jak mama Mel, miała przed sobą trzydzieści lat podejrzeń?

Liz patrzyła, jak David łaskocze Daisy, i uśmiechnęła się, słysząc jej zachwycone piski, kiedy posadził ją sobie na barana. Jedną ręką przytrzymał córkę, a w drugą wziął drobną dłoń Jamiego. Jesienne słońce zaśniło w blond lokach Daisy, kiedy z radością potrząsnęła głową, wokół której rozblęła aureola złotego światła.

Liz zapragnęła, by czas się zatrzymał, utrwalając ten moment, gdy tak stali: normalna szczęśliwa rodzina na wycieczce w zoo.

David spostrzegł, że Liz ich obserwuje i uśmiechnął się do niej. A ona odwzajemniła uśmiech. Cokolwiek robił, było już po wszystkim. Poczwała, jak zalewa ją fala ulgi, rozgrzewająca jak ciepły grog w zimowy dzień. Dzielący ich chłód i dystans znikły. Jakby David podjął jakąś decyzję. Wspięła się na palce i go pocałowała. Pod wpływem szczęścia i miłości topniał niepokój ostatnich kilku tygodni. Mogła poradzić sobie ze wszystkim: pracą, Conradem, nawet odejściem Susie, jeśli tylko ona i David byli szczęśliwi.

– Mamo, lody! – Jamie skakał przed nią, rozbrykany jak koziołek na wiosnę, jakby dzięki swojej niesłychanej wrażliwości wiedział, że wszystko było znów w porządku. – Mamo, mogę loda Zoom na patyku?

Liz zorientowała się z irytacją, że zostawiła torebkę w samochodzie. David sadzał właśnie Daisy na zjeżdżalni na placu zabaw koło goryli.

– Masz przy sobie jakieś pieniądze?

– Portfel jest w kieszeni kurtki. – Wskazał skórzaną kurtkę wepchniętą na dół wózka.

Nucąc pod nosem, sięgnęła po nią, czując na ramionach ciepło popołudniowego słońca. Włożyła rękę do jednej kieszeni, ale portfela w niej nie było. Znalazła tylko kilka monet oraz rachunek z restauracji. Zerknęła na niego bezmyślnie i zamarła. Rachunek wystawiono w bistro Les Amoureux w zeszły wtorek – jedyny dzień w ubiegłym tygodniu, kiedy David, jak twierdził, musiał pracować do późna.

Nie potrzebowała poplamionej pościeli ani kompromitujących zdjęć, żeby mieć dowód jego niewierności. Ten świstek wystarczył. Znała Davida. Les Amoureux nie było miejscem, w którym rozmawia się o interesach. Liz dobrze pamiętała ten lokal. David zabrał ją tam na pierwszą randkę.

Usiadła ciężko, z trudem łapiąc oddech. Cała radość wyparowała. Nie do wiary, jak bardzo ją to zabolalo. Właśnie kiedy zaczęła mu znowu ufać.

– Dobrze się czujesz, mamo? – Jamie podskoczył i ją objął. Popatrzył na nią niespokojnie i z bezdusznym dziecięcym egoizmem zapytał: – To znaczy nie jesteś chora ani nic? Przyjdiesz na mój wyścig w workach?

Dzień sportu w przedszkolu Jamiego! Oczywiście, ta jędza dyrektorka mówiła jej, jak bardzo się cieszą, że Jamie doszedł do siebie i weźmie udział w zawodach. Zupełnie zapomniała przez ten cały mętlik.

– A kiedy to będzie? – Jeśli Liz miała jakieś złe przeczucia, zadając to pytanie i mierzwiąc synowi włosy, to zupełnie nieznaczące.

– We wtorek! – Jamie zaczął udawać, że skacze w worku. – O trzeciej!

Liz chciała krzyknąć, że to nie fair. Że robiła co w jej mocy, żeby jej rodzina się nie rozpadła, żeby jej małżeństwo było udane, więc dlaczego, dlaczego... Czym sobie na to zasłużyła?

Wyścig w workach Jamiego miał się odbyć o trzeciej. Piętnaście minut przed jej spotkaniem z Conradem. Na drugim końcu Londynu. Będzie musiała wybierać. O Boże! Co, do cholery, miała zrobić?

Rozdział 13

– Przykro mi, Liz, ale niestety Conrad nie może przełożyć jutrzejszego zebrania – powiedziała słodkim, pełnym współczucia tonem dziewczyna, ale Liz знаła prawdę. Asystentka Conrada była ambitna do bólu, nienagannie ubrana, uczesana i umalowana z takim pietyzmem, jakby od tego zależało jej życie, i zdesperowana, by wdrzeć się na drabinę kariery. Pod warstwą lukru kipiała w jej tonie uraza do Liz za łamanie zasad gry. Jak śmiesz dotrzeć na szczyt – sugerował – i nie być gotowa do poświęcenia wszystkiego? Wstydź się.

Przez chwilę Liz siedziała, gapiąc się na symbole swojego sukcesu. Ogromny narożny gabinet, najlepsza miejscówka w całym budynku. Ludzie w Metrze zabiliby za taki gabinet na piętnastym piętrze z widokiem na rzekę, ostateczne potwierdzenie statusu. Biura Metra ciągle przebudowywano, aby uwzględnić nowe programy, więc każdy producent i menedżer żył w strachu, że straci kilka centymetrów swojej powierzchni na rzecz innego producenta lub menedżera. Kiedyś reżyser teleturniejów został przeniesiony z narożnego gabinetu do pokoju z widokiem na parking. Wszyscy wiedzieli, że jest skończony.

Uśmiechnęła się, patrząc na dwie wielkie, czarne skórzane kanapy. Kanapę w gabinecie uważano za widomą oznakę władzy i sukcesu w telewizji. A ona miała dwie. U Conrada stała tylko jedna. Czy to znaczyło, że jest dwa razy ważniejsza od niego i odniosła dwa razy większy sukces? Musiała przyznać, że jeśli chodzi o rozgrywki w walce o władzę, Conrad był niekwestionowanym zwycięzcą. W głębi duszy, jak większość kobiet, nie lubiła gabinetowych przepychanek, uważała je za stratę czasu i energii i wołała po prostu robić swoje.

Ale zaczęła rozumieć, że nie utrzyma się na powierzchni, nie podejmując tej gry. Czego się spodziewała, kiedy poprosiła o zmianę terminu zebrania? Że Conrad powie: „Ależ oczywiście, Liz, przesuńmy je i niech dwadzieścia innych osób się do ciebie dopasuje, żebyś mogła pójść na dzień sportu w przedszkolu syna”? Na litość boską, to prawdziwe życie. Spece od reklamy mogli sobie mówić, że oto nastały nowe czasy, pełne ciepła i chęci dzielenia się, ale z punktu widzenia Liz nic nie drgnęło nawet o milimetr.

W nagłym olśnieniu zrozumiała, jaka była naiwna. Oczywiście, że Conrad nie chciał przełożyć zebrania. Przecież coś knuł. I miał znacznie większe szanse, że ujdzie mu to na sucho, jeśli ona będzie nieobecna. Conrad był ostatnią osobą w Metro TV, która by chciała zmienić ten termin. Wszystko w niej krzyczało, że to jakiś podstęp, że to zebranie będzie najważniejszym w jej karierze. I z przerażającą jasnością uświadomiła sobie jedno: że jeśli chciała przetrwać, musiała na nim być.

Liz zaprowadziła Jamiego do szatni i pomogła mu się przebrać w czerwone spodenki i koszulkę. Uśmiechnęła się do siebie, kiedy wyjęła jego nowiuteńkie

buty do biegania Panther Silver Wizard. Sama zabrała go na zakupy i wyznawany przez jej syna kult obuwia sportowego wprowadził ją w osłupienie. Mając do wyboru ponad trzysta par, Jamie od razu wiedział, które są „słabe”, a które „superanckie” i nie było mowy, żeby zgodził się na cokolwiek innego. Prawie dostała zawału, kiedy zobaczyła cenę. W Woolworths mogli za taką sumę kupić dziesięć par!

Popatrzyła na niego, wiążąc mu sznurowadła na kokardkę. Ale Jamie nie odwzajemnił jej uśmiechu, nawet na nią nie spojrział. Siedział apatycznie, nie reagując nawet na jej żartobliwe uwagi o użyciu jajka na twardo do wyścigu z jajkiem na łyżce.

– O, pani Ward, cieszę się, że panią widzę. – powiedział kobiecie głos.

„O cholera – pomyślała Liz – tylko nie pełna dezaprobaty pani dyrektor”.

Ale tym razem kobieta rozplątywała się w uśmiechu.

– Chciałam pani powiedzieć, jacy jest jesteśmy zadowoleni z Jamiego. Robi postępy milowymi krokami. Prawda, Jamie? Będzie tu pani później, oczywiście, żeby mu kibicować? To jego wielka chwila.

Jamie znów utkwiał wzrok w swoich stopach.

– Niestety, nie dam rady się wyrwać dziś po południu. Mam bardzo ważne zebranie.

– Rozumiem. – Jej ton dotknął Liz do żywego. „Jakie zebranie – zdawał się mówić – mogło być ważniejsze od wyścigu w workach, w którym startuje twój syn?”.

Czuła się winna, winna, winna. WINNA! Skąd to obezwładniające poczucie winy, skoro David poleciał na spotkanie w Manchesterze, wykpiwając się lekkimi wyrzutami sumienia i obietnicą, że zabierze Jamiego ze sobą do redakcji w przyszłym tygodniu? A Jamie się na to zgodził! Uśmiechnął się i powiedział: „Dzięki, tato”. Ale jej się tak łatwo nie odpuszczało.

– Pa, kochanie. Powodzenia później. Susie tu będzie, a potem zabierze cię do McDonalda. Może chciałbyś zaprosić jakiegoś kolegę?

Ale Jamie nie odpowiedział. Rozplątał sznurowadło i udawał, że z powrotem je zawiązuje. Liz potargała mu włosy i odwróciła się do wyjścia.

Przy drzwiach zatrzymała się i pomachała, w nadziei na jakiś znak przebaczenia. Ale ciemna głowa Jamiego wciąż była opuszczona. Podniósł ją na ułamek sekundy i zobaczyła płynące po policzkach łzy. Potem odwrócił wzrok.

– Liz, nawet nie tknęłaś kanapek.

Liz spojrzała ze zdziwieniem na kawałeczki wędzonego łososia na ciemnym chlebie, które już zaczynały zwijać się na końcach. Przez ostatnią godzinę usiłowała przygotować argumenty, aby pokonać nimi Conrada, ocalić *Kartonowych ludzi* i dowieść wszystkim na zebraniu, że w Metro TV to ona podejmuje kreatywne decyzje. Ale wciąż miała przed oczami zapłakaną twarzyczkę Jamiego.

Był takim wrażliwym dzieckiem. Przez chwilę myślała o tym, jak Jamie ciągle myje ręce, wyczuwając, że między mamusią a tatusiem coś jest nie tak i sądząc, że to jego wina.

I nagle dotarło do niej, że nie może odpuścić tego wyścigu, który tyle dla niego znaczył, bez względu na to, jakie sama miałyby ponieść koszty tej decyzji.

Po raz pierwszy od wielu dni wszystko wydawało się jej proste. Niemal śmiejąc się z ulgi, przesunęła papiery na biurku, wstała i przywołała swoją sekretarkę.

– Viv, czy mogłabyś zadzwonić do biura Conrada i poinformować, że nie dam rady pojawić się na dzisiejszym zebraniu?

Viv spojrzała na nią zdumiona. A potem zrozumiała.

– Co mam im powiedzieć?

Liz wiedziała, że sekretarka właśnie rzuca jej koło ratunkowe. Lojalną propozycję niewinnego kłamstwa. Śmierć w rodzinie. David i jakaś tajemnicza choroba. Ale wiedziała też, że nie ma najmniejszych szans, by Conrad w coś takiego uwierzył.

– Powiedz... Powiedz im, że pojechałam obejrzeć wyścig w workach i wrócę później.

– Mógłby się pan pospieszyć? Może zna pan jakiś skrót?

Taksówkarz zerknął do tyłu, słysząc zdenerwowanie w jej głosie, i wzruszył ramionami. Robił, co w jego mocy. Nauczył się traktować desperację pasażerów ze szczyptą rezerwy. Inaczej i on by dostał zawału, i oni.

Były cztery minuty po piętnastej i Liz zaczynała panikować. Cały Londyn stał w korkach, a teraz, kiedy już prawie dotarli na miejsce, kombi i range-rovery kompletnie zablokowały jezdnię.

Patrząc na zatkaną autami drogę, Liz doznała bardzo wyraźnej wizji, wskutek której nogi się pod nią ugięły, a żołądek podszedł do gardła. Postawiła na szali całą swoją karierę i zawiodła wszystkich ludzi, którzy dla niej pracowali, po to, żeby przyjść na wyścig Jamiego, i w końcu go nie zobaczy. Podczas gdy on skakał w worku, potykając się, czując się opuszczony i tęskniąc za nią, ona tkwiła w korku trzysta metrów dalej. Nawaliła. Poczowała, że w oczach wzbierają jej łzy porażki: zawiodła syna, jej małżeństwo się rozpada, rozczarowała wszystkich w Metrze, bo nie przechytrzyła Conrada.

– Niech pani lepiej zasuwa biegiem, złociutka. Możemy tu stać całymi dniami. Cholerne volva!

Rada taksówkarza wreszcie do niej dotarła. Pogrzebała w torebce i wręczyła mu dychę, a on zerknął na jej wąską spódnicę i ośmiocentymetrowe obcasy.

– Będzie pani musiała zrobić jak księżna Di!

O co mu chodziło? Nagle sobie przypomniała – księżna Diana na dniu sportu swojego syna. Zrzuciła buty i biegła na bosaka. Uśmiechając się do taksówkarza

i dokładając mu hojny napiwek, Liz poszła w jej ślady. Ze spódnicą w garści, podciągniętą nad kolana, przebiegła boso ostatnie sto metrów po brudnej ulicy i wpadła na boisko.

– Gdzie jest wyścig w workach? – wydyszała do jedynej nauczycielki, którą rozpoznała.

– Tam, na drugim końcu – odparła zapytana. – Ale lepiej niech się pani pospieszy. Już się zaczyna.

Liz biegła bez tchu po namokłej trawie, potykając się, lawirując rozpaczliwie między rodzicami, dziećmi, wózkami i psami, czując klucie w boku i potwornie brudząc sobie nogi. Wiedziała jednak, że w tym momencie w jej życiu liczy się tylko jedno: żeby tam dobiec, dotrzeć do Jamiego, pokazać mu, że na niego patrzy.

Wreszcie, wykończona i zdyszana, dopadła celu. W wyścigu brało udział około dziesięciorga dzieci. Jeden chłopiec był już prawie w połowie trasy, rodzice dopingowali go jak szaleni. Lustrując twarze pozostałych zawodników, w panice nie mogła znaleźć Jamiego. Rany boskie, może się wycofał!

Nagle dostrzegła Susie, która krzyczała i podskakiwała, a z wózka przyłączała się do niej Daisy. Był też Jamie. Trzeci od końca, między grubym chłopcem a dziewczynką w okularach jak denka od butelek.

W końcu ją zobaczył.

– Mama! – zawołał radośnie. – To moja mama!

Przez chwilę myślała, że Jamie rzuci worek i pobiegnie do niej. Ale on dostał nagle przyływu kosmicznej energii, zaczął sadzić szalone susy niczym meksykańska skacząca fasolka, jakby miał pod stopami rozżarzone węgle, a tuż za metą czekała na niego podwójna porcja jego ulubionych lodów z bananem i bitą śmietaną.

– Dawaj, Jamie, dawaj! – ryknęła Liz tak głośno, że nobliwa para stojąca obok aż odskoczyła i rzuciła jej miażdżące spojrzenie, które mówiło: „O Boże, te nachalne matki”.

Jamie szedł teraz łeb w łeb z chłopcem na prowadzeniu. Odbił się z nadludzką siłą, wyskoczył w powietrze i wylądował za linią mety, ułamek sekundy przed osłupiałym rywalem, który myślał, że zwycięstwo ma w kieszeni, i uśmiechał się z zadowoleniem przez ramię do rodziców, nagrywających jego (niedoszły) triumf na wideo.

Liz podniosła Jamiego, zakręciła nim i wyściskała, niemal pozbawiając go tchu, a łzy dumy, miłości i przede wszystkim ulgi, że nie przegapiła jego chwili chwały i nie wyrzuciła swojej kariery w błoto nadaremnie, ciekły jej po policzkach, rozmazując makijaż.

Właściwie spodziewała się protestu z jego strony. Dobrze znanego: „Fu! Mamo! Nie!”. Ale tym razem jej nie odepchnął. Poczowała, jak jego ramię obejmuje jej szyję i uświadomiła sobie, że Jamie ściska ją równie mocno, jak ona jego.

Zdziwiła się, jak to możliwe, że tyle czasu zajęło jej zrozumienie czegoś tak absolutnie oczywistego: potrzebował jej i musiała tu dzisiaj być. To było takie proste – albo tak morderczo skomplikowane.

– Cześć, Liz – zamruczała Claudia, kiedy Liz wypadła z windy i skierowała się do gabinetu Conrada, usiłując ukryć obrzydliwie brudne nogi pod płaszczem. Claudia brzmiała jak kot, który nie tylko dobrał się do śmietanki, ale w ogóle oddano mu we władanie całą mleczarnię. – Ominęła cię cała zabawa. Obawiam się, że twój serial o bezdomnych poszedł do piachu. Jako zbyt ponury. Conrad zastępuje go kapitalnym nowym teleturniejem o problemach osobistych.

Liz omal nie parsknęła śmiechem. *I ty myślisz, że masz problem* to jeden z tych trzeciorzędnych pomysłów, które zaproponowała Britt, a ona przekazała Conradowi ze zwykłej uprzejmości. Jeśli naprawdę Conrad był gotowy zrezygnować z *Kartonowych ludzi* na rzecz takiej chały, nie dawała Metru większych szans na zostanie porządną telewizją.

Kiedy ostatnia grupka menedżerów wyszła, unikając jej wzroku, zobaczyła przyglądającego się jej Conrada.

– Zechciałabyś dołączyć do mnie w moim gabinecie?

Grupka rozpięzchła się, zawiedziona, widząc, że ostateczna rozgrywka nastąpi na osobności.

Conrad przytrzymał jej drzwi.

Przez głowę Liz przemknęła myśl o pracownikach, którzy jej potrzebowali i programach, których już nigdy nie zrobi. Bez niej Metro będzie produkować wyłącznie tandetę. Co jednak liczyło się dla niej bardziej? Metro TV czy jej własna rodzina? O ironio, wydawało jej się, że nigdy nie będzie musiała wybierać. Była przekonana, że współczesne kobiety naprawdę mogą mieć wszystko. Karierę i rodzinę. Dyrektorskie stanowisko i dzieci. Aż do dziś. Dziś wreszcie musiała jednak wybierać.

– Jak tam dzień sportu? – Wiedziała, że ton Conrada w jego zamierzeniu miał ją zranić, ale dla niej brzmiał tylko żałościem.

– Świetnie. Jamie wygrał.

– O, naprawdę? – Conrad uśmiechnął się wilczo. – Brawo. Szkoda, że jego matka przegrała.

Liz patrzyła mu prosto w oczy, wchodząc do gabinetu, a kiedy się odezwała, jej głos był spokojny.

– To już zależy od tego, jak na to spojrzysz, Conradzie.

Zaskoczył ją widok Marka Rowleya siedzącego na kanapie obok biurka Conrada. Sama też usiadła, rumieniąc się lekko. To idiotyczne, że tak trudno jej traktować go normalnie z powodu jakiegoś incydentu z czasów studenckich.

– Poprosiłem Rowleya, żeby został i wysłuchał twoich wyjaśnień. Jestem pewien, że chciałabyś, aby pan prezes usłyszał wszystko z pierwszej ręki.

– Ależ już ci mówiłam, Conradzie. Musiałam pójść na dzień sportu w przedszkolu mojego syna. Ostatnio czuł się bardzo niepewnie i moja obecność miała dla niego duże znaczenie.

– Nie mogłaś poprosić Conrada o przełożenie zebrania na inny termin? – zapytał Mark Rowley zaskakująco życzliwym tonem.

– Prosiłam. Najwyraźniej było to niemożliwe – odparła zjadliwie.

– A zatem – głos Conrada brzmiał podejrzenie słodko – jestem gotów tym razem przymknąć na to oko, pod warunkiem, że mnie oficjalnie przeprosisz. – Zrobił pauzę. – I oczywiście zapewnisz, że to się więcej nie powtórzy.

Liz wiedziała, że będzie tu jakiś haczyk.

– Nie mogę tego zrobić, Conradzie. Dzieci nie przestrzegają godzin pracy. A o przeprosinach możesz zapomnieć. Składam rezygnację ze skutkiem natychmiastowym. Naturalnie przepracuję okres wypowiedzenia, jeśli chcesz.

– To chyba nie będzie konieczne. Postawiłoby to współpracowników w kłopotliwej sytuacji, nie sądzisz? – Spojrzał na zegarek. – Siedemnasta trzydzieści. – Powiedział to tak lekceważącym tonem, że Liz miała ochotę go uderzyć. – Jeśli się pospieszysz, zdążysz do domu na porę kąpieli.

Liz szła po raz ostatni w stronę windy na piętrze zajmowanym przez kadrę menedżerską, kiedy zorientowała się, że idzie za nią Mark Rowley. Dogonił ją, rozglądając się nerwowo.

– Liz! Liz! – Ton jego głosu był tak nagły, że spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Nie rób tego. Nie dawaj mu tej satysfakcji. Obserwowałem, jak pracujesz przez ostatnie trzy miesiące, i jesteś rewelacyjna. Wiesz, co będzie, jeśli odejdiesz. Conrad da twoje stanowisko Claudii Jones. – W rzadkim przypływie emocji chwycił ją kurczowo za ramię. – Zostań, Liz! Przekonam zarząd, żeby cię poparł.

Liz uśmiechnęła się, zdumiona i wzruszona jego brakiem rozwagi.

– Przykro mi, Mark, ale nie mogę. Mówiłam poważnie. Nie mogę obiecać, że to się nie powtórzy.

– To co, jeśli się powtórzy? Każdy oprócz Conrada przesunąłby to zebranie.

– Naprawdę? Nie jestem taka pewna. Do widzenia, Mark. To było najbardziej fascynujące kilka miesięcy w moim życiu. – Uśmiechnęła się. – Ale pora, żebym odeszła. Po prostu nie ufam już Conradowi.

– Dzień dobry, Liz. Nie spodziewaliśmy się pani tak wcześnie w domu. – Susie pierwsza zauważyła Liz zaglądającą do łazienki.

Daisy, wciąż lśniąca i mokra po kąpieli, pogaworzyła z zachwytem i rzuciła się mamie w objęcia. Jamie, nagi, jeśli nie liczyć medalu na wstążce zawieszzonego na szyi, poszedł za jej przykładem.

– Mamo! Mamo! Zjadłem cheeseburgera. I duże frytki. I czekoladowego

shake'a. I szarlotkę z lodami!

Susie wyglądała na lekko skruszoną, kiedy ten żywieniowy koszmar wyszedł na jaw. Liz się uśmiechnęła.

– Całkiem słusznie. Pewnie musiałeś uzupełnić mnóstwo energii.

– Czy nie miała pani dzisiaj tego ważnego zebrania? – zapytała nieśmiało Susie.

– Owszem. No cóż. Obawiam się, że nie zdążyłam dojechać.

– Przyszła pani na dzień sportu zamiast na zebranie? – Susie podniosła wzrok znad wycieranej właśnie Daisy. – Nie mieli nic przeciwko temu?

Liz przypomniała sobie wyraz zimnej furii na twarzy Conrada.

– Trochę się krzywili. Powiedzmy, że odtąd będę znacznie częściej widywać dzieci.

Susie zerknęła na nią życzliwie.

– W takim razie, cokolwiek się stało, jestem pewna, że będzie warto.

– Dlaczego nie jesteś w pracy, mamó? – Jamie wpakował się jej na kolana, żeby go wytarła.

– Bo mama przez jakiś czas nie będzie pracować.

– W ogóle? Jutro też nie? Ani pojutrze? Ani popojutrze? – Jamie wyraźnie osłupiał z wrażenia. – A tata dalej będzie chodzić do pracy?

Bańka euforii, w której unosiła się Liz, pękła na wspomnienie Davida. Jak, na litość boską, jej mąż zareaguje na to, że rzuciła pracę? Ale czy ona by nie zrozumiała takiej jego decyzji, gdyby Logan Greene postawił go w sytuacji nie do przyjęcia?

Nagle poczuła złość. Dlaczego miałoby ją obchodzić, co myśli David, skoro nadal ją zdradzał? Teraz, kiedy odeszła z pracy, uświadomiła sobie, że najwyższa pora coś z tym zrobić. Przyjęła to zbyt spokojnie, a powinna była walczyć. No to teraz powalczy.

Jak, do cholery, miała uświadomić Davidowi, ile ryzykował tym swoim głupim romanssem? Musiała wymyślić jakiś sposób, aby mu pokazać, że żonka i dzieci nie będą zawsze cierpliwie czekać, aż tatunio wreszcie zdecyduje się wrócić do domu.

Przytulając Jamiego, uśmiechnęła się do siebie. Przyszło jej do głowy coś, co mogło rozwiązać problem.

– Andy, może mógłbyś mi pomóc. – David lubił kierownika reklamy „Daily News”. Był uczynny, prostolinijny i winien Davidowi przysługę. – Potrzebuję wyceny przychodów z reklam wszystkich dzienników ogólnokrajowych za ostatnie dwa miesiące.

Andy wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Ty też? Właśnie zrobiłem to samo dla Micka Normana. – Spojrzał na Davida z ciekawością. – W takim razie plotki są prawdziwe?

David patrzył na pierwszą stronę dzisiejszego „Daily World” i nie słuchał zbyt uważnie.

– O jakich plotkach mówisz, stary?

– Że Logan wypuszcza tandeciarskiego rywala „Daily World”.

David siedział jak porażony. No jasne. Wszystko układało się w logiczną całość. To dlatego Logan ściągnął Normana. Nie tylko po to, żeby doradzał, jak podkręcić „Daily News”, ale by założyć zupełnie nową gazetę! I dlatego Logan tak łatwo mu odpuścił w sprawie tych zdjęć Jima Johnsona. Chciał je zachować dla tego nowego tabloidu! Szlag, nawet Andy Warren wiedział o tym przed nim. Przed nim, Davidem, który był ponoć ulubieńcem Logana, a Logan nawet mu nie powiedział, cholera jasna, psiakrew.

Zalała go fala obrzydzenia do Logana, do „Daily News” i całego tego pieprzonego, obleśnego dziennikarskiego światka. Tak smakowała porażka. Ogarnęło go przemożne pragnienie, by pójść się upić.

Przypomniał sobie, że dziś Liz miała to bardzo ważne zebranie, więc powinien wrócić do domu i dowiedzieć się, jak jej poszło. I jeszcze dzień sportu Jamiego.

A potem pomyślał o Britt i uświadomił sobie, że jeszcze nigdy w życiu tak bardzo nie pragnął jej rznąć, aż jej krzyki rozkoszy go ogłuszą i powiedzą mu, że nie jest nieudacznikiem, tylko człowiekiem sukcesu. Zgarnął swoją teczkę, wyszedł z redakcji i zatrzymał taksówkę jadącą na wschód.

Im dłużej Liz o tym myślała, tym bardziej jej plan do niej przemawiał. Był zatrwajająco prosty. Kiedy David wróci wieczorem do domu, ich po prostu tu nie będzie. Tak nim to wstrząśnie, że przejrzy na oczy.

Jedyny problem polegał na tym, dokąd się udać. Oczywiście mogła pojechać do Mel. Albo nawet do Britt. Ginny i matka mieszkały za daleko. Jednak Liz nie chciała pokazać żadnej ze swoich przyjaciółek, jak kiepsko było między nią a Davidem. A w ten sposób, jeśli będzie uważać, dzieci też nie będą niczego podejrzewać.

– Chodź, Jamie, dziś jest twój szczęśliwy dzień. Jedziemy jeszcze raz uczcić twoje zwycięstwo!

Byli już po kąpieli, obejrzeni *Ulicę Sezamkową* na wideo i trzy razy zagrali w wojnę. Pora się zbierać. Ostrożnie zanosła Daisy do samochodu i umieściła ją w foteliku. Przypięła oboje pasami i pojechała do pobliskiej pizzerii. Walcząc ze zmęczeniem, Jamie opędzlował po kawałku quattro staggioni i americany. Potem zasnął, z policzkami usmarowanymi sosem pomidorowym, co wyglądało jak plamy krwi w horrorze. Liz wytarła je delikatnie chusteczką i zabrała dzieci z powrotem do samochodu.

Była za kwadrans dziesiąta. Uznała, że aby jej plan wypalił, musiała jeździć po mieście do pierwszej. Davidowi najpóźniej zdarzyło się wrócić o północy.

Najpierw pojechała do Windsoru i okrążyła Windsor Great Park, zatrzymując się na chwilę, by popatrzeć na podświetlony zamek. Uśmiechnęła się do siebie, zastanawiając się, czy królowa zrobiła coś takiego przed laty, kiedy pojawiły się plotki o tym, że księżę Filip zabawia się nad Morzem Śródziemnym, podczas gdy ona musiała siedzieć w domu zajęta królewskimi obowiązkami. Z pewnością dodawało to nowego wymiaru tej dostojnej, matczynej postaci.

Zacząła powoli wracać przez Richmond i Kew. Przyciągając ciekawskie spojrzenia, zatrzymała się dwa razy przy budkach z kawą. Na Fleet Street kupiła poranne wydanie „Daily News”, zdziwiona, że okolica nadal tętniła życiem, mimo że tyle redakcji przeniosło się do eleganckich nowych siedzib w Dockland. Wreszcie, wykończona, zdała sobie sprawę, że minęła już pierwsza i może wracać do domu.

Kiedy zatrzymała się na podjeździe, zerknęła na ciemną fasadę, licząc, że dojrzy w oknie zaniepokojoną twarz, ale wszystkie zasłony były zaciągnięte.

Przez chwilę wyobrażała sobie Davida, który siedzi w środku, zrozpaczony i pełen skruchy, obdzwania wszystkich, którzy mogliby wiedzieć, gdzie się podziała Liz z dziećmi, usiłuje nie myśleć o najgorszym, przysięga, że nigdy już nie spotka się z tą dziewczyną, jeśli jego rodzina wróci bezpiecznie do domu.

Kiedy tak siedziała w ciemnościach, rozjaśnionych tylko pomarańczową poświatą latarni, usłyszała szcęk otwieranych drzwi frontowych i czyjeś kroki, zbiegające po schodach. Za pół minuty będzie w jego ramionach, on będzie płakał, a ona mu wybaczy. On powie, że nigdy więcej tego nie zrobi, a ona będzie wiedziała, że to prawda. Razem położą dzieci do łóżek, odnowią złożone sobie przysięgi i w końcu obudzą się z koszmaru, w którym żyli przez ostatnie kilka tygodni.

Ale pełna niepokoju twarz, która pojawiła się za szybą, nie należała do Davida. Tylko do Susie.

– Dzięki Bogu, wróciliście. – Zabarwiony ulgą głos niani był cienki i zdyszany. – David dzwonił zaraz po waszym odjeździe. – Susie unikała jej wzroku i zaczęła odpinać pasy bezpieczeństwa spinające Daisy. – Kazał ci przekazać, że mają problemy w redakcji i że nie wróci dzisiaj na noc.

Rozdział 14

Pierwszą rzeczą, którą Liz zauważyła po przebudzeniu, była dziwna cisza panująca w sypialni. Radio z budzikiem było wyłączone. Z łóżka nie dochodziło łagodne pochrapywanie Davida. A przede wszystkim nie słyszała okrzyków Jamiego ani uporczywego „Opa! Opa!” Daisy, chcącej wpakować się im do łóżka.

Wszystko to do tego stopnia nie przypominało ich normalnych hałaśliwych poranków, że przez ułamek sekundy Liz zastanawiała się, czy na pewno jest w domu. Ale rozglądając się w przyćmionym świetle, dostrzegła w sypialni znajome, ukochane przedmioty: lampę z podstawą w kształcie słonia, którą jej ojciec przywiózł z Indii, naiwny obraz z bykiem, będący żartobliwym prezentem ślubnym od kolegów Davida, wygodny fotel, który przysłała jej matka, kiedy urodził się Jamie, koszyk z zabawkami dzieciaków.

Zerknęła ponownie na radio z budzikiem. Dziewiąta! Jezu, powinna już być w pracy. Nagle sobie przypomniała. Nie szła do pracy. Gdy sobie to uświadomiła, z przerażającą, obezwładniającą jasnością wróciły do niej pozostałe wspomnienia z wczorajszego dnia. Wczoraj rzuciła pracę. Wczoraj usiłowała ratować swoje małżeństwo. Wczoraj David postanowił spędzić noc w cudzym łóżku.

Przez chwilę mózg Liz nie przyjmował w pełni do wiadomości grozy jej położenia. Może przesadzała. David powiedział, że ma problemy w redakcji. Wszyscy wiedzieli, jak nieprzewidywalna jest praca w gazecie. Zdarzały się problemy techniczne. Problemy związkowe. Problemy z procesami o zniesławienie. Może mówił prawdę.

Przez całe trzydzieści sekund Liz obchodziła koło ratunkowe, które rzucił jej David, i przyglądała mu się badawczo. Mogła je złapać i powiedzieć sobie, że co prawda to nie superekskluzywny statek „Queen Elizabeth 2”, ale na razie wystarczy. Przynajmniej mogła dzięki niemu utrzymać się na powierzchni, dopóki nie poczuje się dość silna, by samodzielnie dopłynąć do brzegu. Zawsze to lepsze od utonięcia, prawda?

Miała jednak jeden drobny kłopot z zaakceptowaniem wyjaśnienia Davida. Jej instynkt, wszystkie pełne miłości wspomnienia, całe doświadczenie dwunastu spędzonych razem lat krzyczało do niej, że to kłamstwo. David nie został na noc w redakcji. David kochał się z inną kobietą. I nagle Liz poczuła, jak wsysa ją czarna dziura depresji i rozpacz. Dałaby radę przeboleć utratę pracy, gdyby nie ten romans. I mogłaby poradzić sobie z romansem, gdyby właśnie nie straciła pracy. Ale nie potrafiła w żaden sposób udźwignąć i jednego, i drugiego.

Z melancholią przypominała sobie koleżankę z pracy, która twierdziła, że w życiu wszystko gra, jeśli zachowana jest równowaga między trzema rzeczami: pracą, życiem intymnym i domem. Można przeżyć, jeśli szwankuje jedna z nich,

jeśli dwie – będzie ciężko, jeśli trzy – to kaplica. Leżała przez chwilę, gapiąc się w sufit i czekając, aż zaczną pojawiać się rysy, aż usłyszy, jak ściany jej domu się wałą. Ku swojemu zdziwieniu zamiast tego usłyszała pukanie do drzwi. Pomyślała, że jeśli zignoruje natręta, ten zrezygnuje i sobie pójdzie. Ale natręt nie rezygnował. Ponownie rozległo się łomotanie, krzyki i głosik Daisy:

– Mama! Dźwi!

Wydobyła się jakoś z czarnej dziury, która ją wsysała, i powlekła się do drzwi.

Jamie i Daisy wpadli do sypialni jak promienie światła rozpędzające mrok. Liz zobaczyła, że jej córka trzyma bukietik frezji, a syn ściska w ręku coś okrągłego. Za nimi szła Susie, niosąc tacę z croissantami, z której unosił się zapach świeżej kawy. Jamie nieśmiało wręczył Liz prezent. Była to kokarda w kształcie rozetki z napisem: NASZEJ MAMIE ZA TO, ŻE JEST BARDZO DZIELNA. KOCHAMY CIĘ. I wtedy Liz wreszcie poczuła napływające do oczu łzy. Płakała nad sobą, swoim małżeństwem, dziećmi, zawiedzionymi nadziejami, tym, że wszystko legło w gruzach. Ale kiedy Jamie i Daisy rzucili się, by ją pocieszać, płacz zmienił się w łzy wdzięczności – chociaż wiele cennego straciła, wciąż jeszcze dużo jej zostało.

Przytulając mocno ich oboje, zobaczyła ponad ich głowami Susie, która uśmiechała się ze współczuciem. Poczuła się lekko zażenowana tym, ile ta dziewczyna wiedziała o jej życiu. Za dużo. Ale pal licho. W tej chwili potrzebowała wszystkich przyjaciół, jakich mogła znaleźć.

– Tak przy okazji. – Susie uśmiechnęła się nieśmiało. – Jeśli chodzi o moje wypowiedzenie, to sytuacja się zmieniła. Wiem, że mam odejść za dwa tygodnie, ale może chciałaby pani, żebym została trochę dłużej?

Zanim jednak Liz zdążyła odpowiedzieć, usłyszała szcęk otwieranych drzwi frontowych. Obie wiedziały, że to David. Kameralna atmosfera prysła.

– Mam zabrać dzieci? – Susie zeskoczyła nerwowo z łóżka i ruszyła do wyjścia, wyczuwając zbliżającą się awanturę.

– Nie, wszystko w porządku. Niech zostaną.

Dlaczego to powiedziała? Przecież chyba byłoby lepiej, gdyby maluchy wyszły po cichu z Susie?

Po chwili ze wstydem uświadomiła sobie, że chciała, by ją chroniły. W ich obecności nie mogło się stać nic strasznego. Przy nich nie mogła oskarżyć Davida o zdradę, a on nie mógł odejść na zawsze. Po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że się boi. Nie była już dobrze zarabiającą dyrektorką z telewizji. A jeśli straci Davida, zostanie samotną matką z trudem wiążącą koniec z końcem. Czy była dość silna, by podjąć to ryzyko?

Słyszała, jak David wbiega po schodach, przeskakując, jak zawsze, po dwa stopnie. Nagle rozległ się łoskot, a po nim okrzyk i przekleństwo. Chwilę później

David wpadł do sypialni, rozcierając jedną ręką kolano, a w drugiej trzymając przyczynę swojego upadku, należącą do Jamiego figurkę Eksterminatora Upiorów z zestawu Pogromców Duchów.

– Na litość boską, Jamie. Znów zostawiłeś to cholerstwo na schodach! – ryknął.

Jamie schronił się w jej ramionach, a Liz patrzyła, jak David pada na łóżko, masując kolano.

– Tataaaa! – zaćwierkała Daisy, rzucając się na Davida w błogiej nieświadomości tego, co dla Liz było aż nadto widoczne: że jego wymięty garnitur wyraźnie spędził noc na podłodze czyjejś sypialni i zalatuje słabą wonią piżmowych perfum, tak wyraźną, jak poczucie winy czające się w jego oczach.

Słyszając, że Jamie pociąga nosem, David schylił się i wziął go na ręce, już czując skruchę.

– Przepraszam, że na ciebie krzyknąłem, synu. Tata jest trochę zmęczony. – Unikał wzroku Liz. – Ciężka noc w redakcji – dodał nieprzekonująco.

Patrząc na nich, rozpaczliwie chciała mu uwierzyć. Chciała wierzyć, że jego rozdrażnienie wynika ze zmęczenia, a nie z poczucia winy; że człowiek, którego kochała, z którym się śmiała przez ostatnie dwanaście lat, nie zdradził jej, jak gdyby to wszystko nic dla niego nie znaczyło; że wczorajszą noc spędził, tak jak mówił, na ciężkiej harówce w redakcji. Ale wiedziała, że nie może w to wierzyć.

Nagle do Davida dotarło, że dochodzi dziesiąta, a Liz jeszcze nie wstała.

– Co ty robisz w łóżku? Powinnaś być w pracy. – Powiedział to takim tonem, jakby sugerował, że Liz symuluje. – Jesteś chora, czy co?

Była tak zła, że porzuciła wszelkie myśli o złagodzeniu ciosu.

– Gdyby chciało ci się wrócić wczoraj do domu, tobyś wiedział, że odeszłam wczoraj z Metra. Mogę więc leżeć w łóżku, jak długo mi się podoba!

– Odeszłaś?

– Tak właśnie powiedziałam.

– To znaczy, że wyrzuciłaś w błoto trzyletni kontrakt wart ćwierć miliona z powodu swojego cholernego ego? Wiedząc, że nie dostaniesz odprawy i że zostaniesz... że zostaniemy bez grosza? Och, cudownie, po prostu zajebicie!

Zerwał się z furią i rzucił się do drzwi. Wiedział, że nie powinien krzyczeć na Liz, tylko ją uspokajać, mówić, że wszystko jest w porządku. Ale, kurwa, nie było. Zrezygnowała z Metra, nawet się z nim nie konsultując, podczas gdy on lada dzień też może zostać bez pracy. Zastąpiony jakimś innym, przemądrzałym młodym bucem, którego Logan ściągnął z „Daily World”. Wtedy znajdą się na bruku. Oni! Młodzi, zdolni, ambitni, którym wszyscy zazdrościli!

– David – powiedziała Liz cicho. – Nawet mnie nie zapytałeś, dlaczego złożyłam rezygnację.

Zatrzymał się przy drzwiach i odwrócił.

– Nie muszę. Już wiem. Bo chcesz mi prasować koszule, jak twoja przyjaciółka Ginny!

– To nie fair – zachnęła się Liz. – Nie chodzi o prasowanie koszul. Po prostu miałam dość tego rozdarcia, ciągłego poczucia, że powinnam się rozdzielić. Chcę być z Jamiem i Daisy. Chcę stworzyć ci dom, do którego będziesz wracał.

– Jeśli nie będziesz uważać, w ogóle nie będziemy mieć domu, do którego można wracać!

O czym on mówił?

Lecz David tego nie wyjaśnił, nakręcił się i już pędził dalej. Jakby informacja o rzuceniu przez nią pracy obudziła w nim jakiś wulkan, którego istnienia nikt nie podejrzewał.

– Liz, ile razy mam ci powtarzać, że nie chcę żony siedzącej w domu! – Przemknął mu w głowie obraz matki, ścierającej kurze i sprzątającej tak zawzięcie, że udało jej się wymieść całą radość z jego dzieciństwa. – Chcę kogoś równego sobie. Kobiety, która jest niezależna i ma własne życie. Nie chcę mieszkać z moją cholerną matką!

Liz poczuła wściekłość. To niesprawiedliwe! Jak mogła się bronić przed tą tłamszącą rodzinę męczennicą, która niby tworzyła dom, ale podyktowała za to tak wysoką cenę, że jej syn nadal ją spłacał? Podobnie zresztą jak Liz.

– Posłuchaj, Liz – kontynuował – powiedzmy sobie jasno jedną rzecz. Nie robisz tego dla mnie. Robisz to dla siebie.

I w tym momencie Liz stwierdziła, że nie ma odpowiedzi na ten zarzut. David zranił ją do żywego. Bo to była prawda. Poświęciła wszystko dla marzenia, które, jak sądziła, oboje podzielali. Patrząc na wykrzywioną złością twarz męża, zrozumiała, że się myliła. Jednak to tylko ona chciała innego życia.

Kiedy David wyszedł z pokoju, Jamie zaczął szlochać. Widząc jego przestraszoną minę, wzięła go na ręce i przytuliła. Jej własne troski znikły w obliczu gwałtownego pragnienia chronienia syna, swojego pierworodnego.

Po raz drugi tego dnia zaczęła się zastanawiać, co ma robić. Rozpaczliwie potrzebowała kogoś, z kim mogłaby porozmawiać. Z ogromnym poczuciem ulgi przypomniała sobie, że jest dziś umówiona na lunch z Mel. Niech Bogu będą dzięki za Mel. Była ciepła, dowcipna i mądra. Jeśli ktokolwiek wiedział, co robić, to właśnie ona.

Liz zanurzyła się w parującej pianie i poczuła, jak pachnąca woda obmywa i płucze jej włosy. Kąpiel i czas na spokojne ubranie się były takim zapomnianym luksusem, że zdecydowała się nimi cieszyć bez względu na okoliczności. Następnie zamierzała ubrać się w swoje najszykowniejsze ciuchy na spotkanie z Mel. Nic tak skutecznie nie odpędzało depresji, jak zrobienie się na bóstwo.

Usiadła przy toalecie i dokonała inspekcji szkód, które wyrządził jej twarz płacz. Wciąż była lekko opuchnięta, ale udało się jej pozbyć zaczerwienienia wokół

oczu za pomocą hojnej dawki optrexu. Miała wystarczająco dużo czasu, żeby się uczesać i umalować, zanim będzie musiała wyjść.

Trzy kwadransy później Liz patrzyła na swoje odbicie w potrójnym lustrze i była oszołomiona efektem. Nikt by się nie domyślił, że to najgorszy dzień w jej życiu. Jej cera i włosy lśniły zdrowiem, a przez ciągłe zamartwianie się nawet schudła o te kilka kilogramów, które od lat zamierzała zrzucić. Teraz jaskrawożółty kostium leżał na niej jeszcze lepiej niż trzy miesiące temu, kiedy włożyła go swojego pierwszego dnia na stanowisku dyrektora programowej Metro TV.

Przyglądała się przez chwilę spoglądającej na nią z lustra sztywnej kobiecie i przypomniała sobie, jak David kochał się z nią, ubraną w ten kostium. Powinna była się zorientować, że ich wartości się rozjeżdżają. On wierzył, że sukces jest Bogiem, którego należy czcić, i trzeba do niego dążyć za wszelką cenę, a ona nie. Może po prostu o to chodziło.

Wychodząc na ulicę, zobaczyła taksówkę i od razu ją zatrzymała.

Kiedy wysiadła przed restauracją, nie mogła nie zauważyć, że taksówkarz przygląda się z uznaniem jej nogom. Przystanęła na chodniku i spojrzała na szyld, uśmiechając się gorzko. Ze wszystkich restauracji w Londynie Mel wybrała akurat tę o nazwie *Ménage à Trois*^[6].

Mel już czekała przy stoliku. Zawsze starała się przychodzić do każdej restauracji pięć minut wcześniej, żeby zająć dogodne miejsce, z którego mogła obserwować salę i być pierwszą osobą, która się dowie, kto z kim sypia, jednocześnie nie tracąc ani słowa z plotek. Zdaniem Mel najlepsza miejscówka w każdym lokalu znajdowała się gdzieś w połowie drogi między toaletą damską, męską i wyjściem.

– Hej, wyglądasz super! Bezrobocie ewidentnie ci służy! – Liz uśmiechnęła się, słysząc w głosie Mel ton nieskrywanego podziwu. Wiedziała, że zdaniem przyjaciółki za mało przejmowała się swoim wyglądem. No to dzisiaj się przejęła.

– Jak się masz, dziewczyno? Media aż huczą od opowieści o tym, jak utarłaś Conradowi nosa. – Mel była spragniona szczegółowej relacji z jej dymisji.

– A, to.

– „A, to”? W *The Groucho* o niczym innym się nie mówi.

Ale Liz nigdy nie podzielała obsesji Mel na punkcie medialnych plotek, a poza tym po wczorajszej nocy temat rezygnacji wydawał jej się trywialny. Tak naprawdę chciała pogadać o Davidzie.

Britt z irytacją zabębniła palcami w kierownicę i po raz trzeci objechała cały kwartał, usiłując gdzieś zaparkować. Wiedziała, że nie powinna brać samochodu, bo na miejsce parkingowe w *Knightsbridge* trzeba chyba zapisać się przy urodzeniu, ale bez auta nie miałyby później szansy zdążyć na spotkanie.

Kiedy David zadzwonił godzinę temu, od razu wiedziała, że coś jest nie tak. Jego poczucie winy z powodu zdradzenia Liz było źródłem irytacji, z którym

nauczyła się żyć, ale tego ranka wymknęło się spod kontroli. Nie był urodzonym kłamcą. Wielu mężczyzn, których poznała, traktowało cudzołóstwo jako sposób na życie. Ale nie David. Kiedy poprosił o spotkanie, brzmiał tak, jakby miał się zaraz rozpląkać, a intuicja podpowiadała jej, że zamierza ją rzucić.

Przeszło jej przez myśl, żeby po prostu stąd odjechać i dzięki temu uniknąć bólu. Może zadzwoni do niego i zostawi wiadomość, że nie dała rady się wyrwać. Już miała wcisnąć gaz, kiedy z miejsca tuż przed nią wyjechał golf, więc idąc za instynktem londyńskiego kierowcy, który wie, że szanse na coś takiego wynoszą jak jeden do kilku milionów, wpasowała się tam sprawnie i zaparkowała.

Parkometr znajdował się o metr od wejścia do Ménage à Trois i pokazywał, że można tu stać prawie dwie godziny. Taki fart wydał się jej podejrzany. Zbyt piękne, żeby było prawdziwe. Besztając się w duchu, że zamienia się w taką samą przesadną wiedźmę jak jej matka, wysunęła swoje długie nogi z samochodu i ruszyła w stronę restauracji; w tej samej chwili szofer Davida zwolnił przed wejściem.

W lokalu Mel słuchała Liz opowiadającej o swoich nieszczęściach i usiłowała przyciągnąć wzrokiem kelnera. Lunch zdecydowanie zapowiadał się na dwie butelki.

– No i co ja mam zrobić? – Liz nachyliła się do Mel i starała się nie podnosić głosu. – Doprowadzić do konfrontacji? Zmusić go, żeby się przyznał do romansu? Czy po prostu zaakceptować, że mamy różne wartości i może pora się rozstać?

– Gówno prawda! – Mel odstawiła pusty kieliszek z taką siłą, że ludzie siedzący przy sąsiednim stoliku zerknęli na nią nerwowo. – To nie ma nic wspólnego z różnymi wartościami. Facet bzyka sobie w najlepsze na boku, i tyle! Po prostu niefortunny wszystko się zbiegło w czasie. Posłuchaj. On się czuje winny jak jasna cholera, no i słusznie, gnojek jeden, a ty mu sprzedajesz newsa, że poświęcasz swoją pracę, żeby z nim być, właśnie wtedy, kiedy on ma nadzieję, że ruszysz w objazd po wszystkich stacjach telewizyjnych Hongkongu!

W cudowny sposób na ich stoliku zmaterializowała się druga butelka, a Liz nawet nie zauważyła, kiedy Mel zdążyła ją zamówić. Ale w końcu Mel знаła tajny język, którym posługiwali się wszyscy kelnerzy świata. Naląła im po kolejnym kieliszku.

– Słuchaj, Liz, David nie potrzebuje teraz ciepłych kapci ani zapiekanki z wołowiny i cynaderek. Śmiertelnie by go to wystraszyło. Potrzebuje oddechu. A jeśli masz trochę oleju w głowie, to zrozumiesz, że wciąż kocha ciebie i dzieci. – Poklepała Liz po dłoni, chcąc dodać jej otuchy. – Od niej chce tylko tyle, żeby móc zamoczyć fiuta w bitej śmietanie i usłyszeć, że jest najlepszym kochankiem wszech czasów. – Mel pociągnęła łyk wina. – Wiem, że się na to nie zanosz, ale wierz mi, to minie. Za kilka tygodni mu przejdzie. Żona zawsze wygrywa. Wierz mi, wiem, co mówię. Wystarczająco dużo razy z nią przegrałam! Czekał na znaki. Facet

zacznie wracać do domu, kiedy jeszcze jest jasno, a kiedy telefon zadzwoni w środku nocy, będzie tak samo wkurzony jak ty. Przytuli się do ciebie w łóżku i poprosi o kakao. I dopiero wtedy wyjeżdżasz z domowym żarciem. Kilka wykwinnych kolacji przy kominku z różnymi ciekawymi propozycjami na deser i będzie zachwycony, że ma żonę w domu. A jeśli nie, to wtedy będzie pora zacząć się zastanawiać, czy dzielą was różnice nie do pogodzenia. Ale nie teraz. Zaufaj cioci Mel.

Liz zachichotała, chyba po raz pierwszy od wielu dni.

– Ale nie wiem, czy mogę to po prostu zignorować. Właśnie ta niepewność mnie dobija. Zawsze byliśmy wobec siebie szczerzy, rozmawialiśmy o wszystkim, co ważne. Chcę, żeby się przyznał, czy ma romans, i dlatego tak beznadziejnie się zachowuje. Byłoby znacznie łatwiej, gdybyśmy grali w otwarte karty.

– Chyba żartujesz! Oczywiście, że by nie było! To by tylko wszystko zepsuło! „Nigdy o nic nie pytaj” – to jedyna rada na temat małżeństwa, jaką dostałam od mamy. Tata szalał po całym Golders Green jak jakiś Warren Beatty, ale ona ani razu nie zapytała go, czy ją zdradza. Co prawda myślała o wynajęciu detektywa, żeby go śledził, ale to był tylko ludzki odruch. Doszła do wniosku, że po co miałyby psuć całkiem udane małżeństwo, poznając prawdę. No i nie poznała. I nie popsowała. – Mel uśmiechnęła się bezczelnie. – W przyszłym miesiącu obchodzą czterdziestą rocznicę ślubu.

– Ale Mel, to przecież straszne! Może nasze matki mogły tak żyć, ale my wierzymy w otwartość, szczerłość, rozmawianie o problemach i te wszystkie inne obłąkane koncepcje z lat sześćdziesiątych, no nie?

– Oczywiście. Kiedy nam to pasuje.

Liz pociągnęła łyk wina i zastanowiła się nad tym, co powiedziała Mel. Chociaż szokujące, miało to sporo sensu. W ich małżeństwie było chyba wystarczająco dużo dobrych rzeczy, by warto o nie walczyć? Gdyby się teraz poddała, David prawdopodobnie wyprowadziłby się do tej durnej dwudziestolatki, z którą ma romans. Poczula się lepiej.

– Czyli, twoim zdaniem, za kilka tygodni wszystko wróci do normy? Mel? Mel?

Ale Mel nie odpowiadała. Gapiła się na mężczyznę i kobietę, którzy właśnie weszli do restauracji i stali plecami do Liz, czekając, by zaprowadzono ich do stolika. Z nagłą, porażającą zgrozą Liz zrozumiała, dlaczego Mel siedzi jak sparaliżowana.

Mężczyzną był David.

Kobieta, z którą przyszedł, właśnie usiadła i podano jej monstrualnych rozmiarów menu. Liz widziała tylko jej krótkie blond włosy i drogi biały kostium.

Liz nagle zrobiło się zimno. To nie musiało nic znaczyć, David codziennie chodził na służbowe lunchy, ale instynktownie wiedziała, że to nie był służbowy

lunch. Spotkał się tutaj z Nią. Panika ścisnęła jej żołądek i wywróciła na drugą stronę. Co powinna zrobić? Nieważne, co Mel mówiła o przeczekaniu, nie mogła siedzieć tutaj spokojnie i udawać, że to się nie dzieje.

Żadne z nich nie dostrzegło Liz ani Mel znajdujących się na drugim końcu restauracji. Kiedy towarzyszka Davida odwróciła się, żeby zapytać o coś kelnera, Liz ze zdumieniem zobaczyła, że to Britt. Zalała ją ciepła, uspokajająca fala ulgi. Omal się głośno nie roześmiała. Z uśmiechem zerwała się z krzesła i ruszyła w ich stronę, zastanawiając się, dlaczego David nie wspomniał, że umówił się dziś z Britt. No ale rano nie było raczej atmosfery na towarzyskie pogaduszki.

Jakiś metr przed ich stolikiem poczuła mocną, piżmową nutę perfum Britt i przystanąła na chwilę, zastanawiając się, skąd zna ten zapach.

Olśnienie eksplodowało nagle w jej umyśle z taką siłą, że prawie zachwiała się na nogach. Właśnie tak pachniało ubranie Davida. Wiedziała już z absolutną pewnością, z kim jej mąż ma romans. Nie ze zdziwą z PR-u, nie z ubóstwiającą go sekretarką ani nie z zauroczoną nim reporterką. Tylko z Britt.

David już ją zobaczył. Podobnie jak Mel siedział nieruchomo, a słowa zamarły mu na ustach, gdy szła w ich kierunku. Przez ułamek sekundy dostrzegła też w jego oczach zdradzającą go panikę.

„Nigdy o nic nie pytaj”. Przepis matki Mel na małżeńskie szczęście zadźwięczał drwiąco jej w uszach.

– Masz romans z Britt? – zapytała cicho, lecz wyraźnie.

Wszystkie głowy wokół odwróciły się w ich stronę, z głową Britt włącznie.

David milczał. Przypomniała sobie, że nie umiał kłamać. Była to jedna z tych jego cech, które zawsze jej się podobały. Sądziła, że to znaczy, iż można mu ufać.

– Pewnie to wszystko jej wina. – Liz nie mogła patrzeć na Britt. Tę sukę Britt. Britt zdrajczynię.

David powoli podniósł na nią wzrok, nie próbując się wybielać.

– Nie, to nie była tylko jej wina. – Głos miał zmęczony. – Przepraszam, Liz. Naprawdę mi przykro.

Przez całe życie trudno jej było wpaść w złość, ale teraz poczuła, jak wzbiera w niej gniew, cudowny i oczyszczający. Chociaż nigdy wcześniej czegoś takiego nie zrobiła, powoli, z rozmysłem podniosła swój kieliszek i chlusnęła Davidowi winem w twarz, kątem oka z przyjemnością dostrzegając, że ochlapała także biały kostium Britt.

Usłyszała własny, zaskakująco opanowany głos:

– Chyba będzie lepiej, żebyś się wyprowadził.

Przez chwilę David milczał. Gdyby tylko powiedział: „Nie, Liz, porozmawiajmy o tym!”, może mogliby jeszcze uratować swoje małżeństwo.

Ale nie powiedział.

– Tak. – Jego głos był martwy.

Wiedziała, że już za późno, że już nic do niej nie czuł.

– Tak – powtórzył. – Może rzeczywiście.

Kiedy Liz rozejrzała się po restauracji, pozostali goście szybko wbili wzrok w swoje talerze, ale nie miała wątpliwości, że słyszeli każde słowo. Starając się zachować godność, odwróciła się. „Przynajmniej wyglądam szalowo – pomyślała bez sensu – a nie jak pomiatana żona”.

Wszystko wydawało jej się tak nierzeczywiste, że niemal spodziewała się braw. „Nie bądź śmieszna – powiedziała sobie w duchu, wychodząc jak automat z restauracji. – To nie reklama. To prawdziwe życie”. Kiedy zatrzymała taksówkę, łzy, które desperacko powstrzymywała, modląc się, żeby została jej chociaż godność, wreszcie zaczęły płynąć, rozmazując jej staranny makijaż i plamiąc jaskrawą żółć jej ulubionego kostiumu.

Rozdział 15

Kiedy wróciła, dom był pusty. Na szczęście. Nie dałaby rady w tej chwili stanąć przed Jamiem i Daisy, musiała być sama. Mel wybiegła za nią z restauracji i upierała się, żeby z nią wracać, ale Liz odmówiła. Są takie chwile w życiu, kiedy nikt nie może ci pomóc, i to była jedna z nich. Czasami chcesz płakać, ryczeć i zatracić się w swoim nieszczęściu. Dopiero gdy już się wypłaczesz, nabierasz chęci, by o tym rozmawiać. A wtedy nie możesz się nagadać. Pragniesz odtwarzać w nieskończoność każdą scenę, analizować każde słowo, każdy niuans każdej odbytej z nim rozmowy, która nieubłagane prowadziła do tej katastrofy.

Teraz chciała tylko płakać. Była dzielna w restauracji, kiedy miało to znaczenie, ale w tej chwili miała już tej swojej dzielności dosyć. Lecz upragnione łzy nie nadchodziły. Leżała w swoim łóżku – ich łóżku – otępiała i pusta, patrząc na trofea swojego martwego małżeństwa. Zdjęcia ślubne. Pamiątki ze szczęśliwych wakacji. Starą laurkę na Dzień Matki. A potem na podłodze sypialni zobaczyła zabawkę, o którą David potknął się dziś rano, sto lat temu, i wreszcie zaczęła płakać. Głośno, przejmująco, zanosząc się szlochem, aż rozboleły ją głowa i gardło. Zatęskniła rozpaczliwie za swoją matką, chociaż wiedziała, że jest dorosła, sama i matka nic jej nie pomoże, że jej matka nie jest na tyle silna, by móc ją obarczać tym potwornym smutkiem, bo sama wystarczająco dużo przeszła. W końcu zwinęła się w pozycję embrionalną i zasnęła.

Godzinę później wynurzyła się z nieświadomości; jak nurek, który walczy, by wypłynąć i zaczerpnąć powietrza, ale wie, że na powierzchni czeka na niego straszliwe niebezpieczeństwo.

„O Boże. Niech to nie będzie prawda! Nie pozwól, by moje życie się rozpadło, właśnie teraz, gdy myślałam, że wraca do normy!”

Kiedy wgrzebała się z pościeli, dotarło do niej, że najgorsze wciąż przed nią: musiała powiedzieć dzieciom. Ale co, na litość boską? Prawdę czy jakieś subtelne kłamstwo, żeby złagodzić cios? Co będzie dla nich łatwiejsze na dłuższą metę?

Na chwilę zalała ją fala gorzkości. Dlaczego to zawsze ona musiała ratować sytuację? „Dlatego, że chciałaś być podporą swojej rodziny, jej niewzruszonym centrum. Taką płacisz za to cenę. Nie tylko przyjemność, ale i ból”.

Powoli usiadła i popatrzyła na zegar przy łóżku. Czwarta. Susie ewidentnie zabrała gdzieś dzieci na podwieczorek. To powinno dać Liz co najmniej godzinę na spakowanie rzeczy Davida i wezwanie taksówki, zanim wróci.

Zamknęła drzwi sypialni na klucz, na wypadek gdyby jednak zjawili się wcześniej i chcieli zobaczyć, co robi. Wyjęła z szafy jego walizki i zaczęła je pakować; ponura parodia czynności, którą powtarzała niezliczone mnóstwo razy, kiedy wyprawiała go na weekendowe wyjazdy albo wakacje za granicą. Szczęśliwie

czasy. Teraz nie będzie już weekendów ani wakacji.

Metodycznie wymiotła z pokoju wszystkie ubrania, sprzęty i drobiazgi Davida, chcąc wygnać go nie tylko ze swojej sypialni, lecz także ze swojego życia. Ale nawet kiedy ostatnia koszula, marynarka, para spodni i buteleczka płynu po goleniu, a także rakietka tenisowa, zostały ładnie spakowane, wciąż wydawało jej się, że wszędzie widzi i czuje jego obecność. Ciężarówka z klocków Lego, którą pomógł zbudować Jamiemu zaledwie wczoraj, kupki drobnych, które wyjmował z kieszeni, żeby mu się nie wypychały, nawet pusta szafa boleśnie przypominały jej o Davidzie, jego energii i bezpośredniości, o tym, że dzięki niemu życie było fajne. Po raz drugi dzisiaj usiadła i zaczęła płakać.

Zmusiła się do wstania, wiedząc, że jeśli tego nie zrobi, może się już nigdy nie podnieść, i zaczęła z niezwykłą gwałtownością zasuwać walizki Davida. Dźwięk zapinanych suwaków ją zachwyił. Jakby coś się rozdzierało. Zamknęła na chwilę oczy i wyobraziła sobie, jak by to brzmiało, gdyby rozsądna Liz Ward spokojnie podarła na strzępy wszystkie, co do jednego, ciuchy Britt. Cudowny dźwięk. Czytała o porzuconych kochankach, które poszarpały ubrania rywalki i wepchnęły je przez otwór na listy w jej drzwiach. Zawsze się zastanawiała, jak ktokolwiek może być aż tak mściwy. Teraz już wiedziała.

Podniosła walizki i zaczęła nieść je do drzwi. W połowie drogi spojrzała na fotografię w srebrnej ramce, przedstawiającą ją i dzieci. Szybko rozpięła kieszeń w jednej z walizek i wsunęła zdjęcie do środka. Niech David przynajmniej pamięta, co stracił. Ile kosztowało go posuwanie Britt. Podnosząc ponownie walizki, miała nadzieję, że jej wiarołomny mąż uświadomi sobie, że nie było warto.

– Mamusiu, co robisz z rzeczami tatusia?

Liz aż podskoczyła, słysząc głos Jamiego. Nie zorientowała się, kiedy wrócili. Poza tym chyba zamknęła drzwi na klucz? O Boże, zapomniała o drzwiach przylegającej do sypialni łazienki.

Powoli postawiła walizki i popatrzyła na syna. Nic, ani szkolenia menedżerskie, ani batalie toczone z Conradem, ani niekończące się negocjacje o pieniądze czy czas antenowy nie przygotowało jej na to – najgorszy moment jej życia.

– Chodź, kochanie, i usiądź. – Posadziła go sobie na kolanach i mocno przytuliła. Kiedy popatrzyła mu w oczy, nieufność, jaką w nich zobaczyła, omal nie doprowadziła jej do płaczu. „Zranisz mnie, prawda? – zdawały się mówić. – Nieważne, jak bardzo będziesz owijać w bawełnę, i tak mnie zranisz”.

Myślała, że powie mu prawdę: mamusia i tatuś już się nie kochają. Ale teraz zrozumiała, że nie może. Zasługiwał na coś lepszego. Na kłamstwo.

– Tatuś jest bardzo zajęty w pracy, prawda? Wyjeżdża na jakiś czas służbowo, dlatego spakowałam mu walizki.

– Kiedy wróci?

– Przez jakiś czas go nie będzie, kochanie.

– Jak długo?

– Kilka miesięcy. Ale to nie znaczy, że cię nie kocha, słoneczko. Tatuś bardzo, bardzo cię kocha.

Jamie popatrzył na nią podejrzliwie:

– Rozstajecie się

Liz spojrzała na syna, zdumiona.

– Rodzicie Toma się właśnie rozstają, jego niania powiedziała Susie, a rodzice Katie rozstali się w zeszłym semestrze.

„Boże Wszechmogący, co my robimy naszym dzieciom – zapytała się w duchu Liz – skoro w wieku pięciu lat rozumieją takie rzeczy?”

– Tak kochanie, rozstajemy się – przyznała i, nie potrafiąc się powstrzymać, dodała: – na razie.

– Czy to dlatego, że dziś rano zostawiłem mojego Eksterminatora z Pogromców Duchów na schodach?

– Nie, kochanie, to nie przez ciebie, przyrzekam. To sprawy między mamusią a tatusiem.

Jamie spojrzał na nią z niedowierzaniem, zsunął się z łóżka i wymknął się po cichu z sypialni.

Po chwili wrócił z naręczem zabawek, które starannie położył jej na kolanach.

– A jak oddam wszystkich moich Pogromców Duchów Benowi, to tatuś wróci?

Liz musiała odwrócić głowę, żeby nie widział jej łez. Pogromcy Duchów byli jego dumą i chlubą. Ale jak mogła mu powiedzieć, że nawet wszyscy Pogromcy Duchów ze wszystkich sklepów sieci Hamleys nie sprowadzą tatusia do domu? Tatuś miał teraz nową zabawkę.

Britt stała z otwartymi ustami, kiedy taksówkarz wyładował dwie wielkie walizki, nieco od nich mniejszą torbę podróżną, różne rakiety do tenisa i squasha, lampę stojącą oraz stare, zżarte przez mole palto prosto na jej nowy kremowy dywan, po czym wesoło poinformował ją, że należą się 22 funty. Przyszło jej do głowy, żeby wysłać to wszystko dalej, do jakiegoś hotelu, ale знаła Davida na tyle dobrze, by się domyślać, że jeśli ona źle to rozegra, on wróci prosto do Liz. A chociaż na początku ich romansu miała względem niego wyłącznie niezobowiązujące plany, w ciągu ostatnich kilku tygodni polubiła go bardziej niż jakiegokolwiek innego mężczyznę.

Britt zlustrowała stos rzeczy piętrzący się w przedpokoju i usiadła koło niego na podłodze. Boże, co za melanz! Nie pamiętała, żeby miała kiedyś gorszy dzień. Nie chciała skrzywdzić Liz, a już na pewno nie zamierzała rozbić jej małżeństwa. Przekonała samą siebie, że mała przygoda, o której Liz nigdy się nie dowie, nie

mogła nikomu zaszkodzić. A potem wzięła i się zakochała, na litość boską! I to w mężu swojej najlepszej przyjaciółki, jakby już nie było w kim. Ona, która zawsze przestrzegała reguł gry, nawet jeśli były to jej własne reguły, niekoniecznie odpowiadające konwencjonalnej moralności. Ale miłość sprawiała, że człowiek robił się nieostrożny. Britt złamała swoją pierwszą zasadę dotyczącą romansów z żonatymi mężczyznami: nigdy nie chodź z nimi do modnych restauracji i nigdy, przenigdy nie proś, by zostali na noc.

I taki był rezultat.

Liz siedziała przy biurku w sypialni i gapiła się w przestrzeń. Było wpół do dziesiątej, a ona czuła się wyczerpana. Jamie przeplakał cały wieczór i w końcu zasnął, a Daisy, która wyczuła jego nastrój i – mimo że nie rozumiała, co się dzieje – nie chciała się uspokoić i wyła jak potępieniec, aż Liz wreszcie ukołysała ją do snu dziesięć minut temu.

Teraz siedziała z dużym dzinem z tonikiem w jednej ręce oraz kalkulatorem w drugiej, usiłując zorientować się w ich sytuacji finansowej. Zaiste, wybrała sobie świetny moment, żeby odejść z Metra: nie miała już pensji, a na koncie było tylko około ośmiu tysięcy funtów oszczędności. Przy kredycie hipotecznym i rachunkach za ten dom pieniądze rozejdą się w pięć minut. Czy zatem powinna poszukać innej pracy w telewizji? Nie, to by znaczyło, że wszystko poszło na marne. Teraz najważniejsze było, aby rozpoczęli nowe życie, lepsze niż stare. W przeciwnym wypadku straciłaby Davida oraz karierę i nadal nie widywałaby dzieci. Musiała znaleźć jakiś sposób, by utrzymać się z oszczędności, dopóki nie wykombinuje, co robić.

Upiła duży łyk drinka. Może powinna chwycić byka za rogi i pogodzić się z faktem, że teraz nie będą potrzebować takiego wielkiego domu. Jednak pozbycie się go mimo wszystko wydawało jej się zbyt ostateczne. Poza tym nie rozwiązywało jej aktualnych problemów finansowych. Sprzedaż potrwałaby z pół roku, może dłużej. No i niezbędna byłaby zgoda Davida.

Oczywiście, skoro odeszła z Metra, w ogóle nie musiała mieszkać w Londynie. Miło ze strony Susie, że zaofiarowała się zostać, ale Liz mogła sama opiekować się dziećmi. Teraz, kiedy zabrakło Davida, będą jej potrzebować bardziej niż kiedykolwiek. I wtedy znalazła odpowiedź: pojedą do domku na wsi! Będą blisko jej matki i Ginny. W dodatku dzieci uwielbiały Sussex. To będzie jak powrót do domu.

Idealne rozwiązanie. Bez pracy i Davida nic jej tu nie trzymało. Poza tym musiała uciec od wspomnień. Wszystko tutaj jej o nim przypominało. Wyjazd miał jeszcze jedną zaletę: Liz znajdzie się z dala od plotek, kiedy Londyn się dowie, że idealne małżeństwo świata mediów legło w gruzach.

Przez chwilę zastanawiała się, jak dadzą sobie bez niej radę w Metrze. Czy Conrad już oddał jej stanowisko Claudii? Pewnie właśnie w tej chwili świętowali

w The Groucho. Z całą stanowczością postanowiła o tym nie myśleć.

Zacząła robić listę wszystkiego, co będzie im potrzebne. Skoro się już zdecydowała, nie było sensu tu zostawać. Pojadą jutro. Ucieknij z Londynu, gdzie ludzie się rżnęli i oszukiwali na potęgę, i zacznij od nowa. I tym razem nauczy się być prawdziwą matką. Jak Ginny.

Rozdział 16

– Mamo, spakowałaś mojego Zoga, Złego Władcę Rubieży?

Liz, usiłując zachować spokój, po raz trzeci rozpakowała samochód. Najpierw Daisy zgubiła swój ukochany kocyk, potem Liz zorientowała się, że mapa leży pod walizkami. A teraz Zog. Miała skrytą nadzieję, że zginął na zawsze razem z Thorem Bezimiennym oraz Yagiem, Panem Zoidów. Ale w tej chwili Jamie potrzebował wszystkich przyjaciół, jakich tylko mógł zdobyć.

Znalazła Zoga w koszu piknikowym i podała go synowi. Nagle przed oczami stanęło jej wspomnienie Davida, który się z nim bezlitośnie droczył, i mało brakowało, a znów by się rozpląkała.

– Bawisz się lalkami, w twoim wieku? – David szerzył zęby w uśmiechu.

– To nie lalki! – krzyczał Jamie, zbulwersowany tym atakiem na swoją pięcioletnią męskość.

– Oczywiście, że lalki – śmiał się David. – Takie same jak te, którymi bawi się Daisy.

Potem, widząc, jak Jamie to przeżywa, brał go na ręce i przytulał.

– No dobra, synu, pewnie, że to nie lalki. Głuptas z tego taty.

A Jamie obejmował Davida i kręcił głową.

– Głuptas z taty! – wołał. – Głuptas z taty!

Poczuła nagle zadowolenie, że uciekają z tego domu pełnego wspomnień, który teraz wydawał się taki pusty. Zabawne, David tak dużo czasu spędzał w pracy i tak często nie było go w domu, że niemądrze zakładała, iż jego odejście nie będzie dla nich aż takim wstrząsem. A jednak zostawiło to w ich życiu ogromną, ziejącą dziurę. Bez jego hałaśliwych gier i zabaw, bez jego niespożytej energii cały dom pogrążył się w żałobie.

Kiedy jednak wreszcie przyszedł czas pożegnać się z Susie, która też miała spakować walizki i zatrzymać się u rodziców, zanim za kilka dni zacznie nową pracę, Liz poczuła, że znów zbiera jej się na płacz. Na szczęście musiała skoncentrować całą uwagę na wymanewrowaniu samochodem z miejsca postojowego przed domem, tak by wyminąć górę cuchnących czarnych worków na śmieci, wylewających się na chodnik za jej plecami. Dlaczego śmieciarze nie przyjechali? Po chwili przypomniała sobie, że owszem, byli. „Oszczędny” właściciel któregoś z domów musiał w zeszłym roku zapomnieć o gwiazdkowej premii dla nich i dziesięć miesięcy później wciąż za to płacił.

Wreszcie odjechali, żegnani szaleńczym machaniem Susie. Przebijając się w południowych korkach przez londyńskie ulice, pełne agresywnych kierowców, zastanawiała się, za czym będzie tęskniła. Za galeriami? Teatrem? Eleganckimi sklepami?

Do galerii jednak nigdy nie chodziła, nie miała czasu na teatr ani odwiedzanie winiarni po pracy, a odkąd pojawiły się dzieci, zakupy ciuchów stały się wspomnianym jak przez mgłę marzeniem. Pracowała. Oraz miała dzieci. To wszystko.

Co więc robili ludzie tacy jak ona w tej fascynującej, tętniącej życiem metropolii, artystycznej stolicy świata, mieście opery, centrum finansowym, kolebce mody ulicznej, miejscu, gdzie narodził się punk?

Chodzili na kolacje z innymi ludźmi, którzy też mieli dzieci, i narzekali na szkoły, poziom służby zdrowia i śmieci na ulicach, ot co. W Londynie rozmowy na przyjęciach śmiało poruszały cały wachlarz tematów, od porównania oświaty prywatnej i państwowej, przez kradzieże samochodów i rozboje, aż po ocenę zalet alarmu antywłamaniowego zainstalowanego na fasadzie domu i ignorowanego przez wszystkich, z włamywaczem włącznie, i zestawienie go z alarmem, który włączał się na komisariacie i tam również był ignorowany.

Na jakimś przyjęciu Liz spędziła całe pół godziny pochłonięta rozmową o straży sąsiedzkiej z mężczyzną, którego twarz wydawała jej się znajoma, i dopiero później dowiedziała się, że był to pewien światowej sławy pisarz. W dodatku przeczytała wszystkie jego książki.

– O Boże, co za strata – westchnęła później do gospodarzy imprezy – przecież mogłam porozmawiać z nim o jego powieściach.

– Nie martw się – odparli jej znajomi – jego znacznie bardziej interesuje rozmowa o straży sąsiedzkiej, tak jak wszystkich innych.

Taki właśnie był Londyn.

Kiedy jechała przez brudne ulice, czuła się tak, jakby wszystko zostało wyreżyserowane, by jej wyjazd był bezbolesny. Uroczy dziesięciolatek z twarzą wykrzywioną nienawiścią i wściekłością zbluzgał swojego kolegę z powodu jakiejś wymyślonej zniewagi. Młody człowiek w szybkim samochodzie zajeżdżał jej drogę, a kiedy zatrąbiła w łagodnym proteście, odkręcił szybę i zalał ją litanią niecenzuralnych słów. Na chodniku zobaczyła skinheada wyprowadzającego buldoga w wysadzanych klejnocikami szelkach – pies ślinił się i szarpał, chcąc się rzucić na pudelka jakiejś starszej pani. Poczula niespodziewaną ulgę, że stąd wyjeżdża.

Kiedyś uwielbiała emocje i szybkie tempo miejskiego życia, ale teraz uświadomiła sobie, że chce już pożegnać się z całym tym tygłem przestępczości i brudu, chciwości i stresu. Jak to możliwe, że w ogóle jeszcze ktokolwiek chciał tu mieszkać?

„Dobra, dobra, ty stara reakcjonistko – odezwała się jej uczciwość, która nie zamierzała tak łatwo jej odpuścić. – Po prostu się zestarzałaś i ustatkowałaś, to wszystko. Kiedyś uwielbiałaś to miasto za te same rzeczy, których teraz nienawidzisz, jak kochanka, który cię uwiódł swoim szemranym urokiem, a teraz

go potępiasz. Za pół roku będziesz narzekać, że na wsi nie możesz dostać awokado i musisz jechać dziesięć kilometrów do Brighton, żeby obejrzeć jakiś porządny film!”.

Kiedy jednak wyjechali z Londynu w stronę Sussex, poczuła, jak spada z niej napięcie. Za godzinę dotrą do Lewes, a dalej czekają już na nich wiejskie drogi.

Jamie i Daisy zasnęli, a Liz otworzyła okno, żeby wpuścić do środka popołudniowe słońce. Piękne było to padające z ukosa październikowe światło i drzewa już zaczynały złocić się i czerwienić. Co roku obiecywała sobie, że przyjedzie do domku jesienią, aby popatrzeć, jak zmieniają się kolory, i jakoś nigdy jej się to nie udało.

Za Lewes było skrzyżowanie, a kiedy skręcili w prawo na Seamington, czuła, jak rośnie w niej podekscytowanie, aż stało się niemal namacalne. Po obu stronach wąskiej drogi złote gałęzie zwieszały się nad szosą jak otwarte w geście powitania ramiona. Jadąca przed nimi na kucyku dziewczyna pomachała im wesoło. Mosiężny kogucik na wieży kościółka zawirował na wietrze, a po niebie goniły chmury, przesłaniając słońce i zamieniając rozległe pola południowej Anglii w patchwork. Zauważyła też z przyjemnością, że kawiarniane ogródki jeszcze się nie zamknęły na zimę.

A oto już był przed nimi, na samym końcu wioski. Crossways. Kamienny domek kryty strzechą, przycupnięty w kotlinie wśród wapiennych wzgórz, w którym jej babcia mieszkała przez ostatnie lata swojego szczęśliwego życia i który zostawiła Liz, nie wiedząc nawet, że stanie się kiedyś jej błogosławioną kryjówką.

Rozpakowując bagażnik, przystanąła i przyjrzała się przez chwilę swojemu nowemu miejscu. Zawsze silnie odczuwała przeznaczenie. A stojąc w cieniu tego uroczego, spokojnego starego domu, z rabatką astrów i kolorowych chryzantem, tak pięknych, że niemal kiczowatych jak na pudełku czekoladek, poczuła, że ten spokój jej się udziela. Nabrała przekonania, że to wszystko nie mogło stać się ot, tak sobie – utrata pracy, rozstanie z Davidem. To musiało coś znaczyć. Kiedy Jamie pobiegł przodem, a ona wyjęła śpiącą Daisy z fotelika, wiedziała, że to nie koniec jej dawnego życia, jak czuła wcześniej, pogrążona w rozpacz, tylko początek nowego. Musiało tak być.

– Na litość boską, Jamie! Przestań marudzić i idź do sąsiadów, pobawić się z Samem!

– Nie ma go.

– No to pobaw się w ogrodzie.

– Pada.

– To załóż kurtkę od deszczu! – Liz starała się powstrzymać irytację.

– Została w Londynie.

Liz odłożyła przepis na domową duszoną wołowinę z cynaderkami i wzięła go na ręce, czując nagły przyływ wyrzutów sumienia. Ten ton miała zostawić w Londynie, razem z pracą i związanym z nią stresem. A tymczasem w szybkim tempie przekonywała się, że macierzyństwo jest równie wymagające jak kierowanie telewizją. Jak mogła warczeć na Jamiego? Nie był tu tak szczęśliwy, jak się spodziewała. Myślała, że mając za sąsiada Sama – sześćioletniego kolegę, z którym zawsze uwielbiał się bawić w weekendy – a do tego towarzystwo syna Ginny, Bena, który mieszkał pięć minut stąd, Jamie zaaklimatyzuje się w okamgnieniu. No cóż, będzie po prostu musiała wykazać się większą cierpliwością. Już niedługo zostaną dopełnione formalności związane z przeniesieniem go do miejscowego przedszkola i będzie chodził tam z Benem. To na pewno pomoże.

Liz usiadła na chwilę i przyznała przed samą sobą, co tak naprawdę ją irytowało. Wyjechali z Londynu ledwie dwa tygodnie temu, a ona już była wykończona. Korzystała z pomocy niani, odkąd Jamie skończył cztery miesiące, i teraz była zadziwiona, jaką harówką jest bycie pełnoetatową mamą. Nie nadążała nawet z praniem i prasowaniem. Kiedy musiała po raz trzeci danego dnia przebrać Daisy, jakiś element jej garderoby zawsze był jeszcze w pralce albo się suszył.

Gdy pół godziny później zadzwieczał dzwonek do drzwi, Liz była u kresu sił. Daisy przez te trzydzieści minut bez przerwy się darła, bo miała odparzoną pupę, więc Liz pozwoliła jej biegać bez pieluszki, a Jamie wyciągnął wszystkie zabawki z szafki. Otwierając Ginny, Liz rozejrzała się ze zgrozą. Gdyby po przyjściu z pracy do domu zastała takie pobojojisko, wylałaby Susie natychmiast.

Ginny tylko się uśmiechnęła i lawirując między zabawkami oraz kawałkami rozmiękłych herbatników, podeszła do kuchennego stołu, przy którym siedziała Liz.

– Ben ma dzisiaj wolne, więc pomyślałam, że może Jamie chciałby się spotkać z kolegą.

Liz uśmiechnęła się z wdzięcznością, kiedy chłopcy wybiegli bez kurtek na deszcz.

– Jak się masz?

– W porządku – skłamała Liz, ale po chwili namysłu zmieniła zdanie. Duma należała do jej dawnego życia. – Właściwie to jestem skonana. Nie mogę się doczekać, aż położę dzieciaki spać i będę mogła sobie usiąść w spokoju i wypić największy kieliszek wina na świecie. Myślałam nawet, żeby pójść w ślady Laury Ashley i kłaść je o wpół do piątej. Jedyne problem w tym, że Jamie zna się na zegarku!

– Masz szczęście, że wytrzymujesz aż tak długo. – Ginny nachyliła się do niej niczym konspiratorka. – Czasem pękam i otwieram wino już przy lunchu!

Liz spojrzała na nią ze zdumieniem.

– Ale przecież sprawiaasz wrażenie, jakby wszystko przychodziło ci bez wysiłku. Nienagannie wychowane dzieci. Pyszne posiłki. Bajki na dobranoc, które sama piszesz...

– Rany boskie, przestań, aż mnie mdli. Zdradzę ci sekret mojej tajnej broni. Jak to wszystko zaczyna mnie przerastać, zamykam ich w pokoju z zabawkami na klucz, a sama biorę kąpiel.

– Ginny...! – wydusiła z siebie Liz, najwyraźniej zgorzozona słowami przyjaciółki.

– Och, szybko się nauczysz. Pełnoetatowe matki nie zawsze trzymają się ściśle podręczników. Z doktora Spocka korzystam tylko po to, żeby rzucić nim w Bena, kiedy właśnie oberwał wszystkie główki żonkilom sąsiadki albo nasypał soli do akwarium ze złotą rybką.

– Niemożliwe!

– Tydzień temu. Rybka wykitowała, biedaczka. Ben stwierdził, że to był „eksperyment, żeby sprawdzić, czy rybka lubi słoną wodę”. – Wzięła Liz za rękę. – No dobra, to jak się masz? Tak naprawdę.

– Chodzi ci o to, jak się mam poza tym, że dręczy mnie poczucie winy, że zabrałam Jamiego z przedszkola? Czy jak się mam poza zadreżaniem się poczuciem winy, że wyrzuciłam Davida z domu? Albo zwykłym poczuciem winy z powodu bycia kiepską matką? Poza tym mam się dobrze. Naprawdę.

– Nie powinno cię dręczyć poczucie winy.

– Które?

– Żadne. Zwłaszcza z powodu wyrzucenia Davida. Co innego mogłaś zrobić? Nawet jeśli to była wina Britt.

– A skąd wiemy, że to była wina Britt?

– Czy papież jest katolikiem? Przecież obie znamy Britt. Jest podstępna jak modliszka i nie broni się rękami i nogami przed pójściem do łóżka, prawda?

Po raz pierwszy Liz się uśmiechnęła.

– Chyba że ma nieczne zamiary!

– Wiesz, o co mi chodzi.

– Tak, wiem, o co ci chodzi. Ale z drugiej strony, jak mawia moja matka, do tanga trzeba dwojga.

– Tak, ale ona go prowokowała. Wiem. Widziałam, wtedy, kiedy wszyscy przyszliście do nas na obiad.

Liz była wzruszona oburzeniem i gniewem Ginny. Jej przyjaciółka przypominała matkę łabędzicę trzepoczącą skrzydłami, żeby odgonić intruzów od swego potomstwa.

– Zastanawiałam się, czy powinnam ci coś powiedzieć, kiedy się nam zwierzyłaś, że David ma romans. Ale Britt chyba wtedy myślała, że i tak koniec wisi w powietrzu.

Przez chwilę Liz poczuła wściekłość. Zrobiła z siebie idiotkę, obwieszczając to wszem wobec, i pytając o radę, co ma zrobić, podczas gdy przez cały czas David romansował z Britt!

– Tęsknisz za nim?

– Wiesz, Ginny, tęsknię, i to bardzo. Pamiętam, jak wiele lat temu matka mi powiedziała: „Dlaczego zawsze pamiętamy te złe rzeczy, które ludzie nam mówią, a nie te dobre?”. Ale wydaje mi się, że jeśli chodzi o związki, jest zupełnie na odwrót. Pamiętamy dobre rzeczy, a złe jakby się zacierają. Gdybym tylko oprócz śniadań w łóżku i wspólnego śpiewania mogła pamiętać także chrapanie i kłótnie!

Ginny wstała i ją objęła.

– Biedna Liz. Nie zasłużyłaś sobie na to.

Liz drgnęła, słysząc litość w głosie Ginny. Tak się przyzwyczaiła do bycia obiektem podziwu i zazdrości, że zdziwiło ją, jakie to bolesne uczucie być postrzeżoną jako ofiara.

– No dobra. – Wstała, przybierając nagle dziarski ton. – Dość tych wieści z podwórka skrzywdzonej żony. Opowiadaj, jak tam WomanPower.

– Och, z WomanPower wszystko w porządku. Absolutnym!

Liz była tak przygnębiona własnymi problemami, że nie zauważyła zmiany w tonie Ginny.

Prawda, której Ginny nie wyjawiała, była taka, że WomanPower wcale nie miało się dobrze. Trzy tygodnie temu wynajęła małe biuro na pierwszym piętrze nad sklepem elektrycznym przy głównej ulicy w Lewes i czekała, aż wszystko zacznie się dziać. Tyle że na razie panowała głucha cisza, a Ginny, nienawykła do prowadzenia firmy, nie była pewna, co powinna robić dalej. Byłoby znacznie łatwiej, gdyby miała współnika do tego interesu, kogoś, kto nie pozwoliłby jej się zniechęcać w takich momentach jak ten.

Mimo wszystko, pomysł był świetny. Wszyscy tak mówili. Nie brakowało też kobiet, które chciały wrócić do pracy na pół etatu i z entuzjazmem oddawały się w ręce WomanPower. Tyle tylko, że jak dotąd Ginny nie udało się znaleźć pracodawców, którzy by je zatrudnili. No ale, mówiła sobie w duchu, nie można się spodziewać, że sukces przyjdzie z dnia na dzień. Firmy potrzebują czasu, aby ugruntować swoją pozycję, to wszystko.

– David?

– Mmmm? – David otworzył oczy i spojrzał niechętnie na Britt.

– O czym myślisz?

No tak. Pytanie, które prędzej czy później każda kobieta zadawała każdemu mężczyźnie po tym, jak się kochali. I w dziewięciu przypadkach na dziesięć mężczyzna kłamał. Zazwyczaj myślał: „Jak szybko mogę stąd spadać?”, nieważne, czy była to przygoda na jedną noc, czy małżeństwo z dziesięcioletnim stażem.

Kiedy wprowadził się do niej dwa tygodnie temu, odniósł wrażenie, że wcale

go tu nie chciała. Ale tylko do momentu, gdy zaczęli się kochać. Od tamtej pory uprawiali seks bez przerwy. W łóżku. Na podłodze. Na sofie od modnego projektanta. Przetestowali nawet scenę z *Fatalnego zauroczenia*, którą zawsze uważał za naciaganą, i zrobili to na zlewozmywaku. Za każdym razem było świetnie. Cudowna była już sama świadomość, że nie zobaczy w oczach Britt tej niechęci, pojawiającej się na ułamek sekundy, tego wahania podczas błyskawicznego, jakby komputerowego skanowania mózgu, by znaleźć jakąś wymówkę, tej ledwie skrywanej ulgi, kiedy zostanie ona zaakceptowana. Britt lubiła seks. Wręcz kochała. Liz powiedziała kiedyś, że Britt myśli jak mężczyzna, i z pewnością miała męskie podejście do seksu – jak najwięcej i jak najczęściej.

O co mu więc chodziło? Dlaczego nagle to on szukał wymówek? Po prostu nie wiedział już, czego chce. Pragnął Britt i jej nienasycenia, tego, jak była na niego napalona. Szacunek do samego siebie wymagał, by kobieta, z którą mieszkał, pożądała go tak bardzo jak on jej. Ale strasznie tęsknił za rodziną. Nie zdawał sobie wcześniej sprawy, ile znaczyło dla niego bycie ojcem – to uczucie, że fala radosnego podniecenia rozchodzi się po całym domu, kiedy otwierał drzwi; radość w głosiku Daisy wołającej: „Tataaa!”, kiedy wyjmował ją codziennie rano z łóżeczka. I może największy szok ze wszystkich: odkrycie, że to rodzina dawała mu poczucie bezpieczeństwa.

Britt leżała pod białym prześcieradłem firmy Descamps, spowijającym jej szczupłe, wysportowane ciało – wołała system prześcieradeł i koców od obleśnych zawilgłych kołder – i przyglądała się badawczo Davidowi. Wiedziała, że batalia się jeszcze nie skończyła, że wygrała dopiero pierwsze starcie. Aby zwyciężyć w całej wojnie, musiała zrozumieć złożoną osobowość Davida. Liz się to nie udało i dlatego go straciła. A Britt pomyślała, że może już znalazła klucz: jego poczucie niepewności.

Z pozoru był asertywny, ambitny i silny, rozkwitał w świecie tupetu i politycznych rozgrywek, ale na niebezpiecznych wodach podświadomości nadal potrzebował dowartościowania. Jak wielu innych mężczyzn, chciał pieprzyć własną matkę. Nie dosłownie, oczywiście, ale pragnął nie tylko seksu, lecz także pocieszenia i polechtania najbardziej intymnej części swej osoby: ego. Liz tego nie dostrzegła i to był jej największy błąd. Britt nie zamierzała go popełnić. Na razie jednak pomoże Davidowi zapomnieć o przeszłości i sprawi, by zaczął cieszyć się terażniejszością.

Powoli, palcami delikatnymi jak piórko, zaczęła głaskać go po wewnętrznej stronie uda, aż poczuła, że odrobinę się do niej przysuwa. Wtedy powiodła językiem po jego brzuchu, raz po raz dotykając koniuszkiem jego członka, aż zaczął się prężyć z przyjemności i wyciągać w stronę jej ust. Ale ona kazała mu jeszcze trochę poczekać, dmuchając delikatnie na jądra, wsuwając mu palce między pośladki, aż wygiął plecy w łuk i przyciągnął ją brutalnie do siebie, a ona

wzięła go do ust.

Kiedy ssała i lizała jego fiuta, z każdym ruchem wprowadzając go coraz głębiej, zobaczyła, jak David zamyka oczy, i wiedziała, że przynajmniej na razie wszelkie myśli o Liz i dzieciach rozplynęły się we mgle wyrafinowanej, nieodpartej przyjemności.

Liz wyciągnęła się na łóżku, otworzyła małe okienko z szybkami w ołowianych ramkach i popatrzyła ponad wapiennymi wzgórzami w stronę morza. Wstawał kolejny piękny dzień. Przynajmniej pogoda jej sprzyjała, więc postanowiła, że będzie widzieć w tym dobry omen, potwierdzenie, że przyjeżdżając tutaj, postąpiła słusznie. Wiedziała, oczywiście, że każda racjonalna osoba by ją wyśmiała, ale potrzebowała wszystkich dobrych znaków, jakie jej się ukażą.

Słyszała krzyki i śmiechy dzieci w sąsiednim pokoju. Jamie najwyraźniej wlaźł do łóżeczka Daisy i oboje zaczęli po nim skakać, przy każdym skoku zanosząc się szaleńczym chichotem. Bogu dzięki wyglądało na to, że się uspokajają i przyzwyczajają do sytuacji. Oczywiście nadal ciągle pytali o Davida, dopytywali się, kiedy przyjadzie ich odwiedzić. Nie wiedziała, co odpowiedzieć, nie miała pojęcia, jak powinni rozwiązać kwestię widywania przez niego dzieci. Na razie chciała tylko być tu z nimi, sama, w bezpiecznym oddaleniu od udręki, którą starała się zostawić za sobą.

Wyglądając przez okno, znów się otrząsnęła. Któż mógłby czuć się tu przygnębiony? Przebywanie wśród tego wszechobecnego spokoju było jak pobyt w dziesięciu ośrodkach odnowy biologicznej jednocześnie. Ponadczasowość tego miejsca i to, że prawie się nie zmieniało z pokolenia na pokolenie, w dziwny sposób podnosiły ją na duchu. Jakie znaczenie miały jej małe problemy, skoro wioska stała tu niemal niezmienną od setek lat?

Przepełniona nagle energią, wyskoczyła z łóżka, wbiła się w morelowy dres – co za rozkosz nie zastanawiać się, co na siebie włożyć! – i poszła wyjąć Daisy z łóżeczka. Zbiegła po schodach, Jamie za nią, i otworzyła frontowe drzwi, klinując je za pomocą kolorowego odboju w kształcie gęsi, tak żeby się nie zamykały, a promienie porannego wczesnolistopadowego słońca zalały duży pokój. Nawet nie było jeszcze zimno. Jej absolutnie ulubiona pogoda: słonecznie, bezchmurnie, z ledwie wyczuwalnym powiewem jesieni, pogoda na bluzę i ewentualnie sweter po południu. Przez chwilę stali w progu i obserwowali turystę, idącego z mozołem pod górę szlakiem South Downs Way, wijącym się po zboczu wzgórza naprzeciwko ich domku. Turysta odwrócił się i pomachał, tak radośnie, że musiał być kolejnym uchodźcą z miasta, takim jak ona. Odmachała mu i zaniósła Daisy do środka, po czym posadziła ją w wysokim krzeselku.

– No dobra. Co chcesz na śniadanie, Jamie?

Zlustrował wzrokiem rząd płatków stojący na lodówce.

– Coco Pops.

– Nie mamy Coco Pops, kochanie. Są niezdrowe. Za dużo cukru!

Jamie mu na chwilę odebrało mowę. Szybko się nauczył, jak wykorzystywać poczucie winy matki, żeby dostać parę zakazanych smakołyków. Ale dzisiaj to nie działało.

– No to płatki kukurydziane.

– Nie mamy, kochanie.

– A babcia je płatki kukurydziane z cukrem! – Ta perspektywa wydała mu się tak absurdalna, że zaczął pękać ze śmiechu.

– Mam płatki z otrębami, płatki Weetabix i Shreddies.

– To chcę trochę shreddies, trochę weetabix i odrobineczkę płatków z otrębami...

– Jamie...

– ...i na to banana. Tylko pół. – Spojrzał na młodszą siostrę, która właśnie oblewała sobie przód piżamy sokiem. – Daisy może zjeść drugie pół – dodał wielkodusznie.

Liz policzyła do trzech i podała mu talerz shreddies bez banana.

Dla Jamiego było to równoznaczne z wypowiedzeniem wojny. Rzucił się na podłogę i zaczął wrzeszczeć, młóćąc dokoła siebie rękami i nogami.

– Susie mi pozwalała...

Liz usiłowała panować nad sobą.

– Nie obchodzi mnie, co robiła Susie. Ja dałam ci shreddies bez banana.

– Chcebanana... chcebanana... chcebanana...

Przez następne trzydzieści sekund Liz walczyła ze sobą, rozważając, czy ustąpienie będzie zbyt dużą oznaką słabości, czy też szansą na przetrwanie poranka przy zdrowych zmysłach. Czytała książki o psychologii dziecięcej. Wiedziała, jak ważna jest konsekwencja. Co zrobiłaby Ginny Supermama? Czy dałaby się wodzić za nos stosującemu taktykę nacisku pięciolatкови? Jasne, że nie.

Jamie wrzeszczał coraz głośniej i zaczął robić się siny. Liz się ugięła i dodała mu do płatków połówkę banana. W końcu cóż znaczy pół banana w ogólnym porządku wszechrzeczy? Jednak krojąc owoc, wiedziała, że owszem, znaczy bardzo wiele. Penelope Leach, guru od rozwoju dziecka, byłaby nią rozczarowana. Trudno, pieprzyć Penelope Leach, założę się, że jej cholerny mąż nie uciekł z jej cholerną przyjaciółką! Pewnie był zbyt zajęty zmienianiem pieluszek i wyjmowaniem naczyń ze zmywarki.

Stał się cud: Jamie wstał z podłogi i usiadł przy stole z miną niewiniątka. Oboje z Liz udawali, że nic się nie stało.

– Mamusiu? – spytał, a jego głos zabrzmiał bardzo poważnie.

Odwróciła się do niego, słysząc ten zmieniony ton.

– Tak, Jamie?

– Jesteś teraz moją nianią?

– Nie, Jamie. Nie jestem twoją nianią. Jestem twoją mamą.

– Ale się mną opiekujesz. – Konsternacja w jego głosie wywołała jej uśmiech. Biedny Jamie. W Londynie nie znał żadnego dziecka, którego mama zajmowałaby się nim przez cały czas! Ten świat najwyraźniej zwariował, skoro każda znana jej kobieta oddawała swoje dzieci pod opiekę kogoś innego niemal zaraz po urodzeniu i wracała do pracy! Pokolenie robiących karierę kobiet – jej pokolenie – przypominało zamożne matki z epoki wiktoriańskiej. Tyle że zamiast haftować cały dzień przy kominku, wyrwały się w wielki świat, gdzie oddawały się transakcjom, kombinacjom i machinacjom z jeszcze większym ferworem niż mężczyźni. Neofitki nawrócone na nową religię Pracy. Błogosławiona niech będzie ambicja! Zbaw nas, Panie, od wszelkiego sprzątania i domowej harówki! Ocal nas przed opiekowaniem się naszymi własnymi dziećmi! I ześlij nam porsche i telefony samochodowe, jako je dawałeś naszym męskim odpowiednikom! Amen!

Jeśli jednak miała być ze sobą szczerą, to czy jej tego nie brakowało? Tej wrzawy, rywalizacji, emocji związanych z władzą, patrzenia, jak ludzie podskakują, kiedy krzykniesz? Oczywiście, że brakowało. Ale nie aż tak jak widywania Jamiego i Daisy. Podnosząc córkę z wysokiego krzeselka, wtuliła się w jej miękką szyję i wiedziała, że dokonała właściwego wyboru – jedynego możliwego.

A skoro już to zrobiła, chciała cieszyć się każdą minutą. Zaczynając od tej chwili. Zgarnęła ich kurtki i podbiegła do drzwi.

– Chodźcie, dzieciaki, jedziemy na plażę!

Opierając się o nagrzaną słońcem skałę na szerokiej, półkolistej plaży w Birling Gap, Liz patrzyła, jak Jamie i Daisy zbierają muszelki. Dwa dni temu był sztorm, więc wśród kamieni na brzegu można było nieźle się obłowić.

– Zobacz, mamó, co to?

Jamie podał jej małą muszelkę ślimaka pobrzeżka, mającą kolor kamienia i zupełnie nienaruszoną, po czym pognął po kolejne łupy: sercówki i małże, kawałek macicy perłowej, warkocze ciemnozielonych wodorostów. Ale to Daisy znalazła prawdziwy skarb: idealną muszlę przegrzebka, wypolerowaną przez morze, gotową, by wśród piany wyłoniła się z niej miniaturowa Wenus.

Kiedy siedziała i patrzyła na bawiące się razem dzieci, ciemną główkę przy jasnej, poczuła słońce na plecach i słony wiatr we włosach. Zastanawiała się, co by robiła w taki wtorkowy poranek zaledwie kilka tygodni temu. A gdy sobie przypominała, mimowolnie się uśmiechnęła. Oczywiście, ich cotygodniowe zebranie kadry zarządzającej. Dwudziestu menedżerów w szarych garniturach albo koszulach pod jej przewodnictwem omawiało nadgodziny, budżety i doroczne negocjacje związkowe.

Może za niektórymi rzeczami w Metrze tęskniła, ale nie należały do nich ani zebrania i handryczenie się, ani stres i marnowanie czasu, ani ci wszyscy

mężczyźni, którzy mieli domy, ale jakby w ogóle nie chcieli do nich wracać.

Nagle poczuła się absurdalnie szczęśliwa, że od tego wszystkiego uciekła. Ku zdumieniu Jamiego i Daisy, wzięła ich na ręce i pobiegła w stronę wody, krzycząc z radości.

Tymczasem w domu czekał na nich list, który miał zburzyć jej nowo odnalezione szczęście.

Rozdział 17

– Zobacz, mamó, listonosz!

Liz wyjęła torbę z muszelkami z samochodu i popatrzyła na listonosza ze zdziwieniem. Niewielu ludzi wiedziało, że tu są, więc nie spodziewała się żadnych listów.

Jamie pobiegł podekscytowany do domu i otworzył drzwi. Na wycieracze leżała odręcznie zaadresowana koperta. Podniósł ją i obejrzał.

– To dla Daisy i dla mnie! Jak myślisz, od kogo?

Liz bardzo dobrze wiedziała, od kogo. Od Davida.

Poczuła, jak cała jej radość pryska i wraca tępy, znajomy ból. Usiłowała wziąć się w garść i przekonać samą siebie, że to lepiej, znacznie lepiej, że napisał, że nie zniknął całkowicie z ich świata, że powinna być zadowolona.

– Mogę otworzyć, mamó?

Postawiła Daisy na podłodze obok koszyka z zabawkami, rozcięła równo kopertę nożem i podała z powrotem synowi, nawet na nią nie patrząc.

– Przeczytasz mi, mamó?

Liz miała nadzieję, że Jamie sam przeczyta list – składanie liter szło mu już całkiem niezle – a ona nie będzie musiała patrzeć na pismo Davida i słyszeć jego słów w głowie, jakby siedział tu obok nich. Ale po chwili uświadomiła sobie, że właśnie dlatego Jamie chciał, by to ona go przeczytała. Że poprzez tę drobną czynność jego matka i ojciec w jakiś sposób znów przez chwilę będą razem.

Podniosła syna i posadziła go sobie na kolanach.

Kochani Jamie i Daisy!

Mam nadzieję, że świetnie się bawicie w domku. Mamusia i ja bardzo was przepraszamy, że nie możemy być przez jakiś czas razem...

Urwała na sekundę. Dlaczego napisał: „przez jakiś czas”? Czy po prostu dlatego, że tak jak ona nie miał serca powiedzieć im, że to na zawsze? Nagle zrozumiała, jak trudno musiało być Davidowi napisać ten list ze świadomością, że ona obejrzy każde słowo pod mikroskopem swojego poczucia krzywdy i rozgoryczenia. Ta bezsensowna analiza do niczego nie prowadziła, trzeba po prostu przeczytać tekst i już.

Miała jednak gulę w gardle, kiedy podjęła lekturę.

Mamusia i ja chcemy, żebyście wiedzieli, że cokolwiek się zdarzy, bardzo, bardzo was kochamy, a kiedy już się urządzicie, przyjadę was odwiedzić.

Ale kiedy to będzie? Kiedy urzędzą się bez niego? W tym roku, w następnym, może kiedyś, nigdy?

Poproście mamusię, żeby dała wam ode mnie wielkiego buziaka. Kocham was.

Tata

To było wszystko. Żadnej wiadomości dla niej. Żadnych przeprosin ani wyjaśnień. Ale na co niby miała nadzieję? Postscriptum w rodzaju: „Powiedźcie Mamusi, że ją kocham nad życie i że ostatnich kilka tygodni było najgorszym okresem w moim życiu”?

Kiedy głos Jamiego przerwał tok jej myśli, zawstydziała się, że przez własny ból zapomniała o jego uczuciach.

– Mamo, kiedy wrócimy do domu, do tatusia?

– Nie wiem, kochanie. Na razie jeszcze nie. Ale przecież ci się tu podoba, prawda?

Uśmiechnął się dzielnie; wiedział, jakiej odpowiedzi oczekiwała.

– Tak, mamo, jest bardzo fajnie. – Zsunął się z jej kolan i poszedł do Daisy. Usłyszała cichutkie, ale wyraźne pociągnięcie nosem. Jamie usiłował zrozumieć, pomóc swojej matce, ale miał dopiero pięć lat. Szybko otarł łzę i spojrzał na Liz. – Ale wolałbym być z tatą.

Wychodząc chwiejnym krokiem do ogrodu, Liz wiedziała, że musi zostać na chwilę sama, w przeciwnym razie straci resztki siły i rozplacze się przed Jamiem. Czy na pewno dobrze zrobiła, tak nieodwołalnie wyrzucając Davida? Nie ze swojego punktu widzenia, ale Jamiego i Daisy? Nagle pierwszy raz w życiu zrozumiała, dlaczego ludzie zostają razem ze względu na dzieci. Aż do dziś takie kompromisowe rozwiązanie wydawało jej się absurdalne, nieludzkie, wiktoriańskie. Jednak teraz, widząc udrękę na twarzy syna, potrafiła dostrzec w tym sens. Dzieci nie rozumiały rozwodów. Chciały tylko, żeby mamusia i tatuś wrócili do siebie. Czytała kiedyś, że jeszcze po latach, nawet jeśli rozwiedzeni rodzice poślubili nowych partnerów, dzieci marzą o tym, by się na powrót zesłzi, i by to one były siłą, która do tego doprowadzi.

Liz otarła łzę i spojrzała w dal na wapienne wzgórza. Jej wzrok spoczął na ogromnym białym koniu wyrzeźbionym w kredowym zboczu. Zaczęła się zastanawiać, zresztą nie po raz pierwszy, co mógł oznaczać.

– Widzę, moja droga, że patrzysz na konia.

Liz podskoczyła. Odwróciła się i ujrzała Ruby, przeszło osiemdziesięcioletnią sąsiadkę, która pracowała w ogrodzie, zajmując się swoją grządką rabarbaru.

– Zastanawiałam się, skąd się tam wziął, Ruby. To jakaś sztuka prehistoryczna?

– Nie, prehistoryczna to nie. – Ruby wykopała widłami kilka zwiędłych roślin. – To z dziewiętnastego wieku. Młoda dziedziczka zakochała się w swoim stajennym. Oczywiście, w tamtych czasach to było nie do pomyślenia. Rodzice zabronili jej wyjść za niego, ma się rozumieć, więc rzuciła się konno w przepaść

z klifów w Beachy Head.

Ruby otrząsnęła liście rabarbaru z błota i spojrzała w kierunku białego konia.

– Dziedzic, jej ojciec, wyrzył to jako pomnik. Pamiątkę. Myślę sobie, że żałował, nie sądzisz? Ale wtedy było już trochę za późno. – Pokręciła głową nad krótkowzrocznością męskiej płci i wróciła do swojego rabarbaru, zostawiając Liz kontemplację białego konia.

Kobiety przez tyle lat miały takie ciężkie życie! Były własnością mężczyzn, zmuszane do robienia wszystkiego, co im kazano, a w razie sprzeciwu ryzykowały hańbę albo nawet, jak ta biedna dziedziczka, śmierć. No cóż, dziś kobiety miały wybór. A ona już go dokonała. I musi się go trzymać, nawet jeśli będą ją nachodzić wątpliwości, czy postąpiła słusznie. Racja, dzieci tęskniły za Davidem, a jego list był wzruszający, ale zdradził ją i upokorzył. I niech ją piorun strzeli, jeśli miałyby zostać ofiarą miłości jak ta dziewczyna na białym koniu. Przeprowadziła się tutaj, żeby zacząć nowe życie. Przynajmniej pewna jego część była lepsza od tego starego.

Liz ustawiła bukiet ostatnich astrów z ogrodu na środku kuchennego stołu i się uśmiechnęła. Największym objawieniem ostatnich tygodni było dla niej odkrycie, jak wielką przyjemność czerpie z takich małych rytuałów: grabienia suchych liści, wieszania ubrań na sznurze, sprzątania w szufladach, szycia ładnych poduszek. Wcześniej nigdy nie miała czasu na krzątanie się po domu, więc zaskoczyła ją odnajdowana w tym radość. To miała być ta harówka, której dawniej ze wszystkich sił starała się unikać, zlecając ją nianiom i sprzątaczkom, współczując biednym nieszczęśnikom, skazanym na samodzielne wykonywanie prac domowych? Dlaczego w takim razie tak bardzo jej się to podobało?

Z poczuciem winy, jakby znalazła sobie kochankę, Liz oddała się radościom prowadzenia domu. Stopniowo, tydzień po tygodniu, przekształcała kamienny domek z zaniedbanego, pustego miejsca o łuszczących się ścianach z ukrytymi plamami wilgoci w ciepłą, przytulną przystań.

Pewnego popołudnia posunęła się nawet do wyciągnięcia elektrycznej maszyny do szycia, którą kupiła lata temu i której nigdy nawet nie wyjęła z pudełka. Teraz zabrała się do czytania instrukcji. Jak się szybko przekonała, czytanie instrukcji było przekleństwem samotnej kobiety. Nad smutkiem i poczuciem osamotnienia udawało jej się zapanować, ale nikt jej nigdy nie ostrzegł, że przed wykonaniem najprostszego zadania będzie musiała przestudiować podręcznik użytkownika. To trochę jak z bólem podczas porodu, który wszyscy przed tobą ukrywają, myśląc, że nie będziesz w stanie go znieść. Ludzie zatajali koszmar, jakim było całkowicie samodzielne instalowanie półek. A to właśnie w takich momentach, gdy ślęczała nad instrukcją wymiany paska w odkurzaczu albo usiłowała zmontować jakiś upiorny mebel na podstawie instrukcji przetłumaczonej z rumuńskiego, nadciągała prawdziwa ciemna noc

duszy. Dlaczego, dlaczego, na litość boską, zawsze zostawały trzy śrubki?

Jednak największą niespodzianką okazało się dla niej to, że lubiła robić drobne oszczędności. Ona, która nigdy nie czytała wyciągu z karty American Express, uważała jedzenie w drogich restauracjach za coś normalnego i gardziła sknerstwem w każdej formie! A teraz odkryła przyjemność z wieszania prania zamiast wrzucania go do suszarki, odwracania butelek ketchupu do góry nogami, ponownego wykorzystywania plastikowych torebek. Wmawiała sobie, że jest proekologiczna, ale tak naprawdę była skapiradłem. I bardzo jej się to podobało.

W Londynie żał jej było ludzi, którzy wyciągali przy kasie stare reklamówki. „Jakie to małostkowe – myślała – jakie smutne”. Ale teraz wiedziała, że to nieprawda. Uświadomiła sobie, że takie małe zwycięstwa jak to dawały jej siłę. Pomagały jej stawić czoło większym porażkom, nad którymi nie miała kontroli: cierpieniu dzieci, własnej samotności, a już niebawem także kłopotom finansowym, którym ponowne wykorzystywanie reklamówek nie będzie mogło zaradzić.

Britt patrzyła na śpiącego u jej boku Davida i się uśmiechała. Trudno uwierzyć, że minęły już dwa miesiące, odkąd się do niej wprowadził. Nigdy nie sądziła, że mogłaby mieszkać z kimś przez dwa miesiące i nie zwariować – jeden weekend to był w zasadzie jej rekord, a i tak przy niedzielnym śniadaniu zaczynała mieć dosyć. Ale z Davidem było inaczej. Ku jej zaskoczeniu – całkiem fajnie.

Miał oczywiście pewne irytujące zwyczaje. Ciągle kładł nogi na jej białej kanapie – chociaż trzeba przyznać, że zdejmował wcześniej buty, Bogu dzięki. Potem jednak zawsze o nich zapominał, a ona, która nigdy nie wysługiwała się żadnemu mężczyźnie, musiała albo pogodzić się z tym, że będą ją całymi dniami kłuły w oczy, albo sama zanieść je na górę. Poza tym zostawiał wszystkie ręczniki w wilgotnej stercie na podłodze w łazience i przynosił jej bukiety przywiedłych chryzantem, kupowanych od kwiaciarza pod redakcją, którego właśnie rzuciła żona, więc Davidowi było go żal, mimo że Britt powtarzała, że kwiaty dostarcza jej co tydzień kwiaciarnia w Heal's.

Czasami zastanawiała się, czy może po prostu są niedobrani pod względem dbałości o porządek: ona nie mogła zasnąć, jeśli książki telefoniczne nie były ułożone w odpowiedniej kolejności, a David nawet nie zauważał, że na wannie został brudny ślad szerokości piany na kuflu guinnessa, zaś jego skarpetki walały się po podłodze i błagały, żeby je wrzucić do pralki. Ze zgrozą znalazła kiedyś niedojedzoną kanapkę z jajkiem sadzonym i ketchupem na jego nocnym stoliku.

Britt się tym wszystkim zajmie, kiedy już się pobiorą. Doszła bowiem do wniosku, że tylko małżeństwo da jej nadzieję, że na pewno go przy sobie zatrzyma. Nawet ona dostrzegała w tym ironię: przecież był żonaty i nie powstrzymało go to przed skokiem w bok z nią, wiedziała jednak, że David nie jest typem, który chciałby zrobić coś takiego jeszcze raz. Oczywiście, jeszcze nie poruszała tego

tematu, bo nie była pewna, czy już przeboleał rozstanie z Liz. Ale przeboleje. Na razie potrzebował kolejnej dawki lekarstwa, które podawała mu co rano i co noc: namiętnego, obezwładniającego, obłądnego seksu.

Wsunęła się ostrożnie pod koc i zaczęła lizać miękką skórę na górze jego uda, przeciągając po niej szorstkim językiem jak kot, aż poczuła, że David zaczyna się poruszać, wyprężyć w jej stronę przez sen. Powoli podniosła się na czworaka i wzięła jego członek do ust. Uwielbiała, kiedy był taki: śpiący, zwinięty jak ślimak, czekał, by lizaniem i głaskaniem nadać mu tak dobrze jej znaną twardą sztywność.

Lecz dzisiaj, co uświadomiła sobie z lekkim niepokojem, nic się nie działo. Co robiła nie tak? Starając się nie panikować, spróbowała swoich starych sztuczek: delikatnego dmuchania w jądra, masowania główki penisa leciutkimi ruchami, jakby wyrabiała ciasto, i przesuwania palcem w tył, w kierunku tego drugiego, zakazanego źródła intensywnej przyjemności. Nadal nic.

„No trudno – pomyślała Britt, wychodząc spod koca – widocznie jest zbyt zmęczony”. W końcu była niedziela, a wczorajszej nocy pobili rekord. Trzy razy, raz po raz. Nawet zerwało jej się ramięczko body od Janet Reger.

Po cichu wymknęła się z łóżka i zaniósła swoje ubrania do łazienki. Pójdzie do biura i pozwoli mu pospać. Zawsze lubiła pracować jeden dzień podczas weekendu, więc może to zrobić dzisiaj. Bezgłośnie zamknęła drzwi łazienki i odkręciła kran. Nie zauważyła więc, że David jak na komendę otworzył oczy, czujne i rozbudzone, i zaczął czytać książkę.

– Co za cholerstwo! – Liz kopnęła kapciem zimny jak lód piecyk AGA. – Klasyka designu, akurat!

Wiedziała, że aga jest niedoścignionym obiektem pożądania każdego mieszczucha, którego serce ciągnęło na wieś. Dla takich ludzi była czymś więcej niż zwykłym piekarnikiem. Była stylem życia. Symbolizowała wszystko to, co na wsi solidne, niezawodne i, no cóż, wiejskie, dwadzieścia cztery godziny na dobę dostarczając ciepło i gorącą wodę, zmieniając całą kuchnię w przytulne gniazdko. Kiedyś Liz obejrzała cały program telewizyjny, w którym, na litość boską, wszyscy wyznawali, jak to aga zmieniła ich życie i już nie mogą się bez niej obyć, że nigdy się nie przeprowadzą, skoro znaleźli dom z agą.

Miała nawet znajomych, którzy wywalili supernowoczesną kuchenkę z piekarnikiem i białą ceramiczną płytą grzejną, żeby zainstalować wielką, emaliowaną na niebiesko agę – a to było w Chelsea!

– Mamusiu, dlaczego krzyczysz na piec? – Nie zauważyła, jak Jamie przyszedł za nią na bosaka do lodowatej kuchni. W nocy pogoda nagle zmieniła się z babiego lata w angielską zimę, w dodatku Mel przyjeżdżała do nich na trzy dni, a aga wybrała sobie właśnie ten moment, żeby nawalić.

Liz popatrzyła z niepokojem na pudding Sussex Pond, nad którym ślęczała

wczoraj do północy. Chciała zrobić prawdziwe, tradycyjne ciasto z dodatkiem łożu, starannie owinać nim całą cytrynę z brązowym cukrem i włożyć do specjalnego naczynia przykrytego gazą, w którym dziś rano miała gotować ten specjał przez trzy godziny na płycie agi.

Ale jeszcze się nie poddawała. Nie mogła, mając w perspektywie brak ciepłego jedzenia i nieogrzewany dom na całą wizytę Mel. Przybierając ton mówiący: „Byłam dyrektorką programową”, zadzwoniła do dostawcy i zażądała rozmowy z dyrektorem generalnym, którego poinformowała, że jest całkowicie, osobiście odpowiedzialny za to, że jej aga się zepsuła, przez co jej córeczka nabawi się zapalenia płuc, a pięcioletniemu synowi już wróciła astma. Ponadto, dodała tonem ujmującej groźby, jeśli dyrektor nie przyśle kogoś natychmiast, będzie zmuszona zadzwonić do swojej przyjaciółki Esther Rantzen, królowej wszystkich organizacji ochrony praw konsumentów, a chyba szkoda byłoby, gdyby jego firma Firle Furnaces została przez nią skrytykowana w telewizji?

Kiedy nieszczęśnik uprzejmie wyjaśnił, że nie ma dzisiaj żadnego technika na dyżurze, Liz zasugerowała, że może chciałby wpaść osobiście.

– Mamo! Mamo! Jedzie do nas bentley!

Liz, ciągle jeszcze w koszuli nocnej i szlafroku od Laury Ashley, rzuciła się do okna i zobaczyła, jak przed domkiem zatrzymuje się bardzo stary samochód, z którego wysiada równie wiekowy dżentelmen.

– Pani Ward, jak mniemam?

Liz zapięła koszulę nocną pod szyję i zaciągnęła pasek od szlafroka. Jeden rzut oka w jej dekolt, a ten oldboj dostałby pewnie ataku serca. Zanim zdążyłby przyjrzeć się jej adze.

– Proszę, niech pan weźmie poduszkę! – zaproponowała Liz.

Starszy pan miał taki artretyzm, że ukłęknięcie zajęło mu pięć minut, a Liz nie była przekonana, czy da radę wstać. Z wdzięcznością podłożył sobie pod kolana poduszkę i wsadził głowę do piecyka. Cmokając z niezadowoleniem, dokonał następnie inspekcji mniejszych piekarników, a w końcu zwrócił uwagę na umieszczony z boku wskaźnik.

– Aha! – Podniósł się z kolan. – Widzę, w czym problem.

– Na pewno to вина pańskiej firmy – warknęła Liz, wchodząc w rolę oburzonej właścicielki domu. Mel niedługo przyjedzie, a wciąż było tu zimno jak w psiarni. – Robiłam przegląd dopiero co, miesiąc temu, a taki piecyk to podobno rzecz na całe życie, nawet na pokolenia...

– Tylko jeśli dolewa się oleju – wtrącił łagodnie staruszek.

Liz urwała w pół słowa.

– Co pan powiedział?

– Że skończył się pani olej. Widzi pani wskaźnik? Pokazuje zero. To znaczy, że...

– Nic nie ma! – zawołał Jamie i zaczął chichotać.

– Cicho, Jamie. – rzuciła w stronę synka.

To nie fair. Tak się starała przeczytać wszystkie instrukcje, ale ta od agi musiała zginąć chyba jeszcze podczas pierwszej wojny światowej. Piecem zawsze zajmował się David. Liz ledwo ośmieliła się spojrzeć na staruszkę. Nieśmiało zapytała:

– Kiedy najwcześniej może pan dostarczyć ten olej?

– To potrwa minimum czternaście dni.

– Och nie, ale to nasze jedyne ogrzewanie... Zapalenie płuc mojej córeczki...

– W rzeczy samej. Oraz astma synka – przerwał ponownie staruszek, patrząc na tryskających zdrowiem Jamiego i Daisy. – Na wszelki wypadek wrzuciłem więc baryłeczkę do bagażnika. Na kilka dni pani wystarczy. Ale obawiam się, że będzie pani musiała dolać go sama. Ma pani lejek?

Liz miała ochotę go ucałować. Tak bardzo chciała, żeby na przyjazd Mel dom był ciepły i przytulny, stanowił uosobienie wiejskiej sielanki. Odprowadzając staruszkę do drzwi, zastanawiała się, dlaczego uważała to za aż tak ważne. W końcu Mel była jej dobrą przyjaciółką. Nie obraziłaby się, gdyby siedziały w ciepłych szlafrokach, a w domu panował ziąb! Raczej by ją to rozśmieszyło i pewnie by zaproponowała, żeby zamówiły chińszczyznę na wynos albo poszły do pubu.

Ale Liz wiedziała, że to dla niej samej miało ogromne znaczenie, gdyby dom był zimny i ciemny, gdy Mel przyjedzie. Bo Mel mogłaby wtedy pomyśleć, że Liz popełniła błąd, przeprowadzając się tutaj. Zależało jej na tym, by Mel uznała jej decyzję za słuszną. A to dlatego, że Liz właśnie uświadomiła sobie, że ona sama wcale nie była tego taka pewna.

Przetrzęsanie kuchni w poszukiwaniu lejka trwało całe dziesięć minut, ale w końcu go znalazła i ostrożnie napełniła zbiornik oleju, tak by wystarczyło paliwa na trzy dni.

Kłęcząc na kamiennej posadzce i obserwując, jak strzałka wskaźnika niespiesznie pnie się do góry, przyłożyła dłoń do pieca i poczuła, jak powoli zaczyna się ogrzewać.

Usiadła na piętach i zaśmiała się, odrzucając głowę do tyłu, a Jamie wiwatował. Ona, która jeszcze kilka tygodni temu kierowała wielkim technologicznym imperium, teraz czuła ulgę i radość, że nie dała się pokonać kupie żelastwa wyprodukowanego prawie siedemdziesiąt pięć lat temu.

– Mamo, to twoja przyjaciółka!

– O nie! Niemożliwe, już?!

Ale Jamie miał rację, samochód Mel parkował właśnie przy wąskiej drodze przed domem. Prawie godzinę za wcześnie, a ona ciągle miała na sobie utyłany dres, który założyła, żeby pomóc oldbojowi z Firle Furnaces przynieść olej. Miała

się przebrać w nowe niebieskie dżinsy, które kupiła sobie w zeszłym tygodniu w Lewes, a dzieci – w kolorowe ubranka samodzielnie uszyte z zestawów Clothkits, w których wyglądały naprawdę ładnie, jak uosobienie zdrowych, rumianych wiejskich dzieci.

No trudno. Besztając się w duchu za te żalosne plany, pobiegła do drzwi i patrzyła, jak Mel wysiada ze służbowego bmw. Przyjechała prosto z jakiejś konferencji i miała na sobie mundurek kobiety pracującej, czyli elegancki kostium, chociaż, jak to Mel, założyła do niego szmaragdowozieloną jedwabną bluzkę o interesująco głębokim dekolcie.

Mel jak zwykle łamała wszystkie reguły: o ogromne ciemne okulary pobrząkiwały długie wiszące kolczyki, a na nogach miała buty w lamparcie cętki, których nie powstydziliby się uliczna prostytutka. Zestawiła to jednak z tak dobrze skrojonym, tak absolutnie szykownym kostiumem i nosiła to wszystko z takim polotem, że całość prezentowała się kapitalnie.

Na ułamek sekundy Liz poczuła się przygnębiona. W bmw i kostiumie za pięćset funtów Mel wyglądała jak przybysz z innej planety. I chociaż Liz odleciała z tej planety z własnej woli, niektórych rzeczy ze starego kraju zawsze człowiekowi brakuje. Nagle, zupełnie niespodziewanie, Liz zatęskniła za poczuciem koleżeństwa w biurze, za plotkami, przekomarzaniem się, pełnymi podtekstów komentarzami w windzie. Popatrzyła na swój poplamiony olejem dres. Gdyby Mel przyjechała pół godziny później i Liz czekała na nią gotowa w drzwiach, tak jak planowała – skromna, ale szykowna matka z dwojgiem uroczych dzieci – a na płycie agi dochodziłby smakowicie pachnący pudding Sussex Pond, może nie poddałaby się tej fali zazdrości, która nagle ją ogarnęła.

– Liz! – Mel wreszcie dostrzegła stojącą w progu przyjaciółkę. – Lizzie! – Rzuciła się w jej objęcia. A kiedy zdjęła ciemne okulary, by ją ucałować, Liz zorientowała się, że nie założyła ich wcale dla szpanu. Oczy Mel były czerwone od płaczu.

– Nie zadzwonił, Lizzie. Ani razu od dwóch miesięcy. A jeśli tylko pojawię się w jakimś pokoju w „Feminie”, natychmiast wychodzi. Zaczął nawet przysyłać swoje artykuły, zamiast je przynosić! Unika mnie, wiem. Dzwoniłam do niego z dziesięć razy! Wiem, że nie powinnam go tak nagabywać, ale Lizzie, to najcudowniejszy facet, jakiego poznałam od lat!

Nagle, jakby potężny gład spadł jej z serca, Liz zrozumiała, że żadne symbole sukcesu nie robiły różnicy. Mogłaś być naczelną kolorowego pisma i być równie samotna jak dziewczyna, która roznosi pocztę. Władza i pieniądze, drogie restauracje i eleganckie przyjęcia – nic nie miało znaczenia, jeśli kochałaś mężczyznę, który cię nie chciał.

– Och, Mel! – Objęła przyjaciółkę i mocno przytuliła. – Cholernie cudownie cię widzieć!

Britt popatrzyła na stertę dokumentów, którymi planowała się zająć, korzystając z okazji, że biuro było puste i telefon milczał, ale doszła do wniosku, że nic z tego. Po prostu nie mogła się skoncentrować. Za każdym razem, kiedy coś zaczynała, wracała do niej dręcząca myśl o zwiotczającym fiucie Davida. Może za bardzo się tym przejmowała. Wszystkim od czasu do czasu zdarzały się problemy. Może po prostu wczoraj przesadzili. Naprawdę musi wziąć się w garść.

Wyjrzała przez okno na puste ulice. Wszyscy siedzieli w domu z rodzinami, z wyjątkiem takich zatwardziałych pracoholików jak ona. Zawsze szczyła się tym, jak ciężko pracowała – nawet przez całą noc, jeśli było trzeba. Uwielbiała się chwalić, że potrafi zakasować pod tym względem każdego mężczyznę. Prędzej czy później faceci zawsze pękali. Powab żonki, magia telewizora albo urok kołdry ze stuprocentowego kaczego pierza zawsze ich w końcu skusił. Ale nie Britt. A przynajmniej do tej pory się to nie zdarzyło. Nagle poczuła, że nie chce siedzieć w pracy, chociaż akurat dzisiaj powinna. Chciała zwinąć się w kłębek na kanapie obok Davida i czytać niedzielne gazety, tak jak wszyscy.

„Rany boskie, Williams – zganiła się w duchu, wstrząśnięta. – Miękniesz, dziewczyno. Zaraz zaczniesz roztkliwiać się nad niemowlakami i wkuwać książki kucharskie na pamięć. Weź się w garść, na miłość boską!”

Nic to jednak nie pomogło. Nawet jeśli nie mogła mieć go w łóżku i tak chciała z nim być, siedzieć koło niego i po prostu przebywać razem. Spoglądając na zegarek, poczuła nagle przyływ natchnienia. Wpół do szóstej. Zabierze go na wczesną kolację. Jej ulubiona restauracja, Chinatown, najstarsza chińska restauracja w Londynie, znajdowała się tylko półtora kilometra od jej mieszkania. Czując, że wraca jej optymizm, zarezerwowała stolik i pojechała do domu, zrobić Davidowi niespodziankę.

– Mmmm... coś cudownie pachnie! – Mel oparła się o agę i wciągnęła ciepły, cierpki aromat cytryny.

– To specjalność zakładu. Sussex pond pudding!

– Już robisz lokalne przysmaki! Naprawdę jestem pod wrażeniem.

Mel rozglądała się z podziwem po domku, wodząc wzrokiem po perkalowych zasłonkach w pękate różyczki, szmacianych dywanikach i ładnych sosnowych meblach.

– Śliczne zasłonki. – Mel nie bardzo знаła się na zasłonach. Wszystkie takie sprawy zostawiała swojemu architektowi wnętrz.

Liz się zarumieniła.

– Sama uszyłam.

– Wow! Dawać to na pierwszą stronę! *Szok: szycha z telewizji sama szyje zasłonki!* Widzę taki nagłówek w „Variety”!

Liz zachichotała.

– Eks-szycha z telewizji, jeśli łaska. Chodź zobaczyć, jaką szycha ma fasolę.

Wyciągnęła Mel do ogrodu, śmiejąc się z niej, kiedy ta lawirowała na dziesięciocentymetrowych obcasach między kapustą a brukselką.

– Ty nie mogłabyś mieszkać na wsi!

– Żebyś wiedziała! Zaczyna mi się kręcić w głowie, jeśli nie mogę dojechać taksówką do The Groucho.

– Mamo! Mamo! Chodź! – Liz wiedziała, że Jamie jest zazdrosny i chce zwrócić na siebie uwagę, ale spotkanie z Mel było dla niej jak manna z nieba, więc udała, że go nie słyszy, i zaczęła oprowadzać przyjaciółkę po ogrodzie.

– To moje pnące róże Albertine. Są bladioróżowe i kwitną dwa razy w roku. Usiłuję je przekonać, żeby rosły wokół drzwi, tak jak na zdjęciach na pudełkach czekoladek! To ostróżki, sama wyhodowałam, to naparstnice, a to dzwonki. A to – wskazała kępę bladozielonych liści – moje największe osiągnięcie: lilie!

Mel uśmiechnęła się, słysząc dumę w głosie przyjaciółki. Do zajmowania się ogródkiem miała podobne podejście jak do joggingu – jeśli czuła, że nabiera na nie ochoty, kładła się i czekała, aż jej przejdzie. Widziała jednak, ile znaczy ono dla Liz. Cholera, była pani szycha wyglądała tak pogodnie, klęcząc na ziemi w brudnym dresie, chwając się liliami i ostróżkami, jakby to były transakcje na miliony funtów, które właśnie zawarła.

Mimo że Mel ją uwielbiała, Liz stanowiła dla niej zagadkę. Kiedy rzuciła pracę, żeby być żoną i matką, Mel była przerażona. Wyrzucenie w błoto całej tej władzy i przywilejów, jakby się nie liczyły, jakby tysiące kobiet nie były gotowe zabić za to, co ona miała, zakrawało na świętokradztwo. A kiedy David odszedł z Britt, to chociaż Mel była zdruzgotana, widząc, jak Liz cierpi, w pewien sposób wydawało się jej, że to kara za ten szalony, obłąkańczy krok. Rezygnujesz z ambicji zawodowych, aby wic przytulne gniazdko, więc twój mąż błyskawicznie rzuca cię dla twojej przyjaciółki – zimnej karierowiczki. No jasne! Czego Liz się spodziewała?

Znak czasów. Dwadzieścia lat temu mąż mógł cię zostawić, jeśli ośmieliłaś się robić karierę. Teraz porzucał cię, ponieważ ośmieliłaś się być gospodynią domową! Oto jednak Liz, bez męża i pracy, obrębiała zastłonki, sadziła kwiatki, pichciła Sussex pond pudding i wyglądała, jakby jej to służyło!

– Nie tęsknisz za pracą? – zapytała Mel, bardzo ciekawa odpowiedzi.

Liz się wyprostowała.

– Oczywiście, że tęsknię! Na przykład dzisiaj rano, kiedy zajechałaś swoim cholernym bmw, ubrana w ten kostium! Nagle zapragnęłam znów zatrudniać, zwalniać, posłuchać biurowego obgadywania, dowiedzieć się, czy Conrad zostawił żonę dla Claudii, poczuć ten dreszcz emocji, jaki cię przebiega, kiedy robisz świetny program!

Mel uśmiechnęła się z ulgą.

– Ale potem przypomniałam sobie te wszystkie biurowe intrygi, marnowanie

czasu, niekończące się zebrania, które jakiś facet łaskawie zaplanował na osiemnastą, bo i tak nie chce mu się wracać do domu! Wszystko to wróciło do mnie jak fala. Nadal wygrywamy tylko wtedy, kiedy stosujemy się do męskich reguł gry, Mel! Nawet stałyśmy się takie jak oni. Przejęłyśmy ich agresję i żądzę rywalizacji. Zmieniamy się w Britt, na litość boską. Nauczyłyśmy się stawiać pracę na pierwszym miejscu i pieprzyć wszystko inne!

Zerwała jedną z ostatnich pnących róż i wręczyła ją Mel.

– Wiem, że tobie wydaje się to zupełnie niepojęte, ale ja dobrze się tutaj czuję. Mam coś takiego jak wieczory! Każdego dnia rano decyduję, co chcę dzisiaj robić. Mam jedną rzecz, której ty nie masz – czas. Czas, żeby posiedzieć w ogrodzie, gotować, bawić się z dziećmi, czytać...

– Mamo! Mamo! – Jamie znów wyjrzał zza drzwi. – Coś tu dziwnie pachnie.

– Lepiej tam zajrzę. Pewnie coś mu się tylko wydaje, ale powinnam sprawdzić. Zaraz wracam.

Mel chodziła po ogrodzie z kieliszkiem wina w ręku, usiłując nie wbić się obcasami w trawnik. Mróz zelżał, zostawiając błękitne niebo i tylko lekki powiew zimna w powietrzu. Nawet ona musiała przyznać, że to naprawdę cudowne miejsce. Cała wioska wyglądała, jakby przycupnęła w kotlinie wśród wapiennych wzgórz, niezmienionej od stuleci. Mieszkając tu, można było zapomnieć, że ten inny świat, pełen bieganiny i matactw, w ogóle istniał. Po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać, czy Liz nie ma trochę racji.

Nagle usłyszała dobiegający z kuchni huragan śmiechu, więc zawróciła w stronę domu. Jamie i Daisy tarzali się wśród chichotów po szmacianych dywanikach na podłodze, a Liz ścisnęła w rękach poczerniały garnek i płakała ze śmiechu, wskazując na zwęglone resztki Sussex pond puddingu.

– No i Bogu dzięki! – Mel uśmiechnęła się szeroko, obejmując Liz i przyłączając się do ogólnej wesołości. – Może jednak nie jesteś stworzona do bycia matką karmicielką!

Rozdział 18

Britt wbiegła po schodach na górę, przeskakując po dwa stopnie, zbyt podekscytowana, żeby czekać na windę. Wyobrażała sobie uśmiech Davida, kiedy powie mu o swojej niespodziance.

Zajrzała do kuchni, ale nie było go przy stole, gdzie zwykle siedział, czytając gazetę albo rozwiązując krzyżówkę. Usłyszała telewizor grający w salonie na górze.

David leżał z nogami na kanapie, bez butów i spał, a wokół wały się strony z artykułami dotyczącymi sportu ze wszystkich gazet dostępnych na rynku. Nawet się nie zastanowił, czy farba drukarska nie skała zimowej bieli jej nowej sofy. Obok na białym dywanie leżały dwie puste puszki po piwie Dos Equis, a telewizor ryczał na cały regulator, nastawiony na mecz piłki nożnej.

Britt nie mogła nigdzie znaleźć pilota, więc w końcu pochyliła się, żeby wyłączyć odbiornik przyciskiem na obudowie. Zatrzymała się w pół gestu. Pokój wyglądał jakoś inaczej. Na półce nad kominkiem stała fotografia w srebrnej ramce, pierwszy wkład Davida w wystrój mieszkania. Przedstawiała Jamiego i Daisy. Britt usiadła ze zdjęciem w ręku i przyjrzała mu się uważnie. Urocze dzieci. Poczowała wyrzut sumienia, po którym szybko nastąpiła, jak zwykle, racjonalizacja. To nie Britt rozbiła ich małżeństwo. To Liz. A kiedy studiowała fotografię, doszukując się podobieństwa do Davida w twarzach jego dzieci, dotarła do niej prawda, w tak jaskrawy sposób oczywista, że Britt nie mogła uwierzyć, iż nie dostrzegła jej wcześniej. Oczywiście! Ależ była tępa. To właśnie dolegało Davidowi, to dlatego nawet seks zaczynał mu się przykrzyć: tęsknił za dziećmi.

Przez kilka minut Britt siedziała w milczeniu i zastanawiała się, jak poradzić sobie z problemem, który niedługo – widziała to teraz wyraźnie – zagrozi ich związkowi i zniweczy jej plany wspólnej przyszłości. Nie słysząc nawet nagłego ryku tłumu, kiedy Arsenal strzelił gola Tottenhamowi, stwierdziła, że jest tylko jedno rozwiązanie: jeśli chciała, by David zapomniał o dzieciach, które miał z Liz, będzie musiała dać mu własnego potomka.

Po cichu, żeby go nie obudzić, wyjęła z torebki organizer. Britt była kobietą systematyczną. Przez lata, odkąd zaczęła pracować, zapisywała sobie dokładnie każdego zarobionego pensa, każdego funta zapłaconego fiskusowi i każdą rzecz, którą mogła odpisać od podatku. Trzymała numery telefonów wszystkich poznanych ludzi, którzy mogli jej się do czegoś przydać. A także, ponieważ miała dosyć tego, że na każdym badaniu lekarskim pytano ją o datę ostatniej miesiączki, a ona nigdy jej nie pamiętała, miała także zanotowaną dokładną długość swoich cykli menstruacyjnych z poprzednich pięciu lat.

Wyjęła kalkulator i obliczyła, że ostatnie dziesięć cykli trwało dokładnie

dwadzieścia osiem dni. Uśmiechnęła się z satysfakcją. To znacznie ułatwi sprawę. Starannie zaznaczyła w kalendarzu czternasty dzień cyklu. Wypadał w przyszłym tygodniu. Jutro kupi szampana i nową jedwabną bieliznę.

Na ekranie telewizora Tottenham wyrównał dosłownie kilka sekund przed gwizdkiem na przerwę, a kibice oszaleli. Britt spojrzała na odbiornik, wkurzona. Cholerna piłka! W tej samej chwili dostrzegła pilota, leżącego na piersi Davida. Wycelowała nim w telewizor i z satysfakcją patrzyła, jak napastnik Tottenhamu znika w samym środku swojego momentu chwały. Cisza, która nagle zapadła, obudziła Davida. Widząc siedzącą obok niego Britt, zmusił się do uśmiechu. Ale niejasno zdawał sobie sprawę, że w pierwszej chwili, w ułamku sekundy, zanim odzyskał pełnię świadomości, zareagował zupełnie inaczej – irytacją. Bo został wyrwany z przyjemnej krainy marzeń, wolnej od wojen na nakłady i wtrącających się wydawców. Bo przegapił mecz. A przede wszystkim dlatego, że zobaczył tu Britt.

– Cześć, kochanie. – Britt szybko odłożyła organizer i pochyliła się w jego stronę, z dziwnym uśmiechem sfinksa. – Mam dla ciebie precudowną niespodziankę...

Tłumek kupujących zebrał się wokół Selfridges, żeby popatrzeć na słynne na cały świat bożonarodzeniowe wystawy. Ale tylko jedna osoba z trudem powstrzymywała łzy. David nie widział dzieci od ponad dwóch miesięcy i nie było dnia, by za nimi nie tęsknił. Tylko wstyd i lęk przed pogardą Liz powstrzymywały go przed próbami doprowadzenia do spotkania. No i jeszcze poczucie, że może będzie lepiej dla dzieci, jeśli nie będzie ich widywał, dopóki sytuacja się nie wyjaśni.

A dzisiaj szedł Oxford Street na spotkanie i zobaczył tę wystawę. Z gigantyczną sceną z postaci Pogromców Duchów. Wyobraził sobie, jak twarz Jamiego rozjaśnia się w radosnym podnieceniu. I chociaż była trzecia po południu w słoneczny grudniowy dzień, musiał odwrócić wzrok, żeby się nie rozplakać.

Britt przyglądała się Davidowi z rozdrażnieniem. Był czternasty dzień cyklu, a ona przybiegła wcześniej do domu, żeby ugotować specjalną kolację i schłodzić szampana. Założyła nową jedwabną bieliznę pod jego ulubioną sukienkę i nawet wpadła do wypożyczalni wideo po jakiś film erotyczny, tak na wszelki wypadek.

Jednak patrząc teraz na Davida, uświadomiła sobie, że nie pomogłaby tu ani skrzynka szampana, ani z dziesięć świńskich filmów. Ciągłe spoglądał na fotografię w srebrnej ramce i w ogóle nie słuchał, co Britt do niego mówiła. Zauważyła nawet, że odwraca wzrok, kiedy w telewizji puszczały świąteczny apel o pomoc dla dzieci z ubogich rodzin.

Pora, żeby coś zrobiła. Ale co? Ta jego tęsknota za dziećmi wymykała się spod kontroli. Britt domyślała się, że ze sto razy chciał zadzwonić, ale bał się, że Liz nie pozwoli mu z nimi rozmawiać. No cóż, może nadszedł czas, by spróbował.

Może przynajmniej nabierze wtedy ochoty na to, co Britt miała w planach na później. W końcu, jeśli wszystko pójdzie jak trzeba, niedługo znów zostanie ojcem dziecka, o które będzie musiał się martwić.

– David, kochanie – Britt podeszła i pogłaskała go po karku – może zadzwoniłbyś do Liz i poprosił o spotkanie z dziećmi? Czy to nie najwyższy czas, żebyś je znowu zobaczył?

Poczuła się trochę winna, kiedy zobaczyła, jak twarz rozjaśnia mu ulga i wdzięczność.

– Naprawdę tak myślisz?

– Tak. Naprawdę.

– I nie miałabyś nic przeciwko?

– Skądże, kochanie. – Akurat. Ale było to jedyne rozwiązanie, jakie jej przyszło do głowy. Z nadzieją, że nie przyjdzie jej tego żałować, podała mu słuchawkę.

Liz robiła świąteczne dekoracje razem z Jamiem, kiedy zadzwonił telefon. Od lat kupowała czasopisma „Good Housekeeping” i „Homes and Gardens” i wycinała artykuły w rodzaju *Tradycyjne dekoracje z gałązek ostrokrzewu* oraz *Jak zrobić bożonarodzeniowy wianek na drzwi*. Oczywiście nigdy żadnej z tych rzeczy nie zrealizowała. Wszystko to pozostawało w sferze marzeń i fantazji, bo czasu starczało jej co najwyżej na pognanie późnym wieczorem do delikatesów w Harrodsie i napełnienie wózka kupnym świątecznym ciastem i puddingiem. Wiedziała, że Elizabeth David dostałaby zawału, ale najlepszym prezentem, jaki dostała na Gwiazdkę od wielu lat, było wprowadzenie do oferty Marks & Spencer indyka nadziewanego z jednej strony mielonym mięsem z ziołami, a z drugiej kasztanami i pomarańczami, oraz babeczek z bakaliami tak pysznych, że gotowanie w domu wydawało się niepotrzebnym kaprysem.

Jednak w tym roku miało być inaczej. W tym roku, specjalnie dla Jamiego i Daisy, święta będą wyjątkowe. Przez cały poranek łazili po lesie, szukając ostrokrzewu, szyszek i jodły, której gałązki, jak obiecywał artykuł, można łatwo owinać wokół drutu, spleść w wianek i przystroić czerwonymi satynowymi kokardkami, aby powstała przepiękna świąteczna ozdoba. Często patrzyła, jak Ginny bez trudu wyplata słomiane stroiki z kłosów pszenicy i suszy kwiaty na potpourri. Zatem Liz chyba da radę zrobić prosty wieniec na drzwi.

Siedząc przy kuchennym stole, przekonała się, że co jak co, ale proste to z pewnością nie było. Po godzinie klucia się listkami ostrokrzewu i masakrowania szyszek wyprodukowała żałośnie wyglądające coś, w czym z trudem dało się rozpoznać bujny i lśniący wieniec ze zdjęcia.

– Nie szkodzi – pocieszał ją Jamie. – Nie wszystkie mamy mogą być dobre w takich rzeczach.

Już chciała pacnąć go w ucho, kiedy zadzwonił telefon. Zaskoczeni, spojrzeli

na aparat. Po czym Jamie rzucił się odebrać.

– Halo. Kto mówi? – zapytał głosem snobistycznego recepcjonisty, ale już po chwili zaniechał wszelkich prób prowadzenia uprzejmej konwersacji i wrzasnął: – Tataaaa! To tataaaa! – Usiłował odpędzić od telefonu Daisy, która też się zorientowała, kto dzwoni, i chciała porwać słuchawkę.

Liz, miotana sprzecznymi emocjami, patrzyła, jak podekscytowany Jamie składa ojcu bezładną, pogmatwaną relację z prawie trzech ostatnich miesięcy. Była zadowolona, że David zadzwonił, ale jednocześnie wściekła, że odkładał to od tak dawna. Cieszyła się, że Jamie ma szansę tak długo z nim pogadać, ale złościło ją, że ten tchórz nie poprosił o rozmowę z nią.

Jamie odwrócił się do niej z błyszczącymi oczami.

– Mamo. Mamo. Czy tata może nas zabrać, żeby zobaczyć Świętego Mikołaja? Proooooooszę!

Przez chwilę Liz poczuła wściekłość. Jak mogłaby się nie zgodzić? Gdyby David zapytał najpierw ją, przynajmniej miałyby tę możliwość, ale ją niecnie podszedł, więc odmowa nie wchodziła w grę. Dlaczego jednak miałyby odmówić? Czy to nie oznaczałoby wykorzystywania dzieci jako broni, bo czuła się samotna i odrzucona?

W końcu Jamie zwrócił się do niej z nutką zaniepokojenia w głosie:

– Mamo. Tata pyta, czy może zamienić z tobą słowo.

Właśnie tego chciała, ale teraz miała ochotę krzyknąć: „Nie! Niech spada! Niech wraca do Britt i zostawi nas w spokoju!”. Zobaczyła jednak proszący wyraz twarzy Jamiego i wzięła słuchawkę.

Z pełną świadomością, że odzywa się do niego po raz pierwszy od czasu pamiętnego dnia w restauracji, starała się powstrzymać złość i rozgoryczenie.

– Cześć, David. Jamie mówi, że chcesz się zobaczyć z nim i z Daisy?

– Cześć, Liz. – Jego ton był tak samo obojętny i pełen rezerwy jak jej, ale Liz w swoim poczuciu krzywdy nie pomyślała, że David też może zmagać się z emocjami, z którymi nie potrafi sobie poradzić. – Jak się masz?

– Dobrze. – Cisza, która zapadła po tej odpowiedzi, zdradzała, że to kłamstwo i że oboje o tym wiedzą. – Kiedy mają przyjechać?

– W następną sobotę nie byłoby za wcześnie?

Liz planowała tego dnia wycieczkę do jarmarcznej Groty Świętego Mikołaja w Lewes, ale ona nie mogła się równać z Harrodsem czy Selfridgesem, gdzie na pewno zabierze ich David. Przez chwilę Liz poczuła gniew, jakiego doświadcza każda kobieta zostawiona z dziećmi. Ona dostaje codzienną harówkę i wyprawy do supermarketu. On – splendor wielkiego wyjścia.

– Okay. – Liz uświadomiła sobie, że chce jak najszybciej zakończyć tę rozmowę. – Jest pociąg o dziesiątej trzydzięci. Do zobaczenia na Victorii.

– Dobra. Odwiozę ich samochodem.

– David...

– Tak?

Liz zdała sobie sprawę, że chociaż bardzo chciała poznać odpowiedź, nie może w obecności Jamiego zadać dręczącego ją pytania.

– Nic. Do zobaczenia w sobotę. – I odłożyła słuchawkę. Wiedziała, że od tej chwili aż do soboty będzie się zastanawiać wyłącznie nad jedną rzeczą. Czy będzie tam Britt? Czy cholerna Britt pójdzie z jej dziećmi oglądać Świętego Mikołaja? Przeszło jej przez myśl, żeby zadzwonić i wszystko odwołać, ale Jamie i Daisy byliby strasznie rozczarowani. A poza tym i tak musiała porozmawiać z nim o pieniądzech. Na razie to on spłacał kredyt hipoteczny za dom w Holland Park, a jej udawało się utrzymywać bez nadmiernego uszczuplania swoich oszczędności, ale już niedługo będzie musiała poważnie się do nich dobrać. Chyba że spojrzą prawdzie w oczy, pogodzą się z sytuacją i zdecydują się sprzedać dom w Londynie.

Britt patrzyła, jak David odkłada słuchawkę i odwraca się na chwilę. Nie zmylił jej obojętny ton, doskonale wiedziała, że to tylko maska. Wciąż czuł się winny jak diabli. Zaskakujące było co innego – że Liz tego nie dostrzegła i jeszcze go przyciskała.

Obserwując jego twarz i słuchając ich rozmowy, Britt zrozumiała brutalną prawdę: jeśli Liz chciałaby odzyskać Davida i odpowiednio zabrałaby się do rzeczy, toby do niej wrócił. Nawet teraz. Nawet w sobotę. Dlatego lepiej, żeby Britt też tam była, by do tego nie dopuścić.

Ale na szczęście znała też Liz. Wiedziała, że Liz nie zabierze się odpowiednio do rzeczy. Była na to zbyt dumna. I zbyt niepewna, czy w ogóle chce go z powrotem. A niedługo naprawdę będzie za późno.

– Jak tam dzieci?

Twarz Davida straciła zaszczuty wyraz i rozjaśniła się miłością oraz wyczekiwaniem.

– Super! Naprawdę się ucieszyły, że zadzwoniłem. Jamie opowiedział mi o wszystkim, co robił przez te trzy miesiące!

Po raz pierwszy od wielu dni opuściło go napięcie i Britt zobaczyła znajomy chłopięcy uśmiech. Bogu dzięki. Teraz przynajmniej może będzie się czuł bardziej w nastroju. Podjęła świadome ryzyko i chyba się opłaciło, może nawet szampan nie będzie potrzebny.

Patrząc mu prosto w oczy, zaczęła rozpinać guziczki jedwabnej bluzki.

Liz stała w przedpokoju z rozkładem jazdy pociągów w dłoni, ubrana w nowy płaszcz zapinany na ozdobne kołeczki, i wahała się, czy założyć pasującą do niego stylową czapkę w stylu rosyjskiego czako. Wybierała ciuchy przez pół godziny, bo chociaż powtarzała sobie, że Davidowi zależy wyłącznie na spotkaniu z dziećmi, wiedziała, że i tak chciałaby wyglądać olśniewająco.

Chciała mu pokazać, że się nie zapuściła, że choć ich małżeństwo się

rozpadło, ona mimo wszystko rozkwita. Zauważyła, że kobiety po rozstaniu często wyglądały lepiej. Po pół roku rozłąki mężowie często ich nie poznawali. Natomiast mężczyźni schodzili na psy, pili za dużo piwa i zaczęli wstępować do Kentucky Fried Chicken po drodze z pubu do domu. Kobiety zaś chudły o te kilka kilogramów, które zamierzały zrzucić od lat, i zaczynały bardziej dbać o wygląd. Może rzeczywiście małżeństwo sprawiało, że przestawałaś się przejmować, czując się bezpieczna, bo usidliłaś faceta i mogłaś sobie pozwolić na trochę cellulitu na udach.

Pobiegła na górę, żeby złapać Jamiego i Daisy i wbić ich w palta. Kiedy zapinała dzieciom guziki, przygotowując do wyjścia na mróz, uświadomiła sobie, że je też wystroiła. Zrobiło jej się smutno, że spotkanie z ojcem stało się okazją do przywdziania najlepszej niedzielnej garderoby, zamiast być trampkowo-dresową codziennością, tak jak powinno.

Przy drzwiach zawahała się na moment, a potem sięgnęła po czako. Jeśli czapka była zbyt ekstrawagancka, to trudno. Dodawała jej pewności siebie. A Liz potrzebowała dziś całego tupetu, jaki zdoła z siebie wykrzesać.

Britt z irytacją bawiła się pokrętem radia. Wszystko się w niej gotowało, bo David uparł się, żeby została w samochodzie, podczas gdy on poszedł na peron spotkać się z Liz i dziećmi. W końcu kiedyś będzie musiało dojść do konfrontacji, a Britt wolałaby, żeby nastąpiło to przy dzieciach, bo wtedy Liz musiałaby zachować się elegancko. Ale David był niewzruszony i tylko w ten sposób udało jej się go przekonać, by w ogóle pozwolił jej pójść razem z nim. Wiedziała, że wolałby zostawić ją w domu, ale bała się umożliwić mu spotkanie sam na sam z Liz, a poza tym chciała mu pokazać, jaką dobrą może być matką, kiedy się postara.

Niech to szlag, nie miała zamiaru siedzieć schowana w samochodzie. Sięgnąwszy po leżący na tylnym siedzeniu magazyn, Britt wysiadła z auta, oparła się o maskę i zaczęła go czytać. Przejeżdżający obok taksówkarz zagwizdał, a ona mu pomachała.

David zobaczył ich pierwszy. Ruszył biegiem przez peron i zgarnął Jamiego oraz Daisy w objęcia, przytulając dzieci tak mocno, że prawie je udusił. Ku swojemu zdziwieniu zauważyła, że jest zdenerwowany. Nie mógł nawet na nią spojrzeć. Ale kiedy wreszcie popatrzył, Liz wydało się, że na moment w jego oczach mignęło coś na kształt podziwu, zanim przeniósł wzrok z powrotem na dzieci.

Na szczęście był sam. A kiedy przyglądała się, jak z oczami przepelnionymi miłością przytula Jamiego i Daisy, wówczas po raz pierwszy zrozumiała, ile ta cała nienormalna sytuacja musiała go kosztować. Pojęła, że on, tak jak i ona, cierpi z powodu tego, co stracił. Uśmiechnęła się.

Idąc po peronie, z dziećmi między nią a Davidem, Liz doznała dziwnego

wrażenia, jakby ostatnie kilka miesięcy w ogóle się nie zdarzyło, a oni byli zwyczajną rodziną jadącą na wycieczkę. Kiedy wszyli z dworca, David zaczął się żegnać, a wtedy Liz, pragnąc trochę przedłużyć tę chwilę, powiedziała, że odprowadzi ich do samochodu.

Liz wydawało się jednak, że im dalej szli, tym bardziej David się denerwował. Kiedy skręcili w Buckingham Palace Road, zrozumiała, dlaczego. O auto Davida opierała się Britt, czytając „Elle”, ubrana w kostium tak kosztownie skromny i szykowny, że Liz w swoim rosyjskim płaszczu i czako poczuła się jak jedyna osoba na imprezie, która przyszła w przebraniu.

Bez słowa pocałowała dzieci i zawróciła.

– O Boże! Ale kolejka! – David omal się nie roześmiał, słysząc zgrozę w głosie Britt na widok tłumu czekającego na spotkanie ze Świętym Mikołajem. – Chyba na kilka godzin stania!

Gwiazdkowa grota w Harrodsie była słynna na cały świat i najwyraźniej większość światowej populacji zleciała się tu dzisiaj, żeby ją zobaczyć. Britt знаła przyjemniejsze sposoby spędzania czasu niż kotłowanie się przez dwie godziny w ograniczonej przestrzeni z setką wrzeszczących dzieciaków, podnieconych perspektywą spotkania z Mikołajem.

– To może idź puścić jeszcze trochę kasy? – David nie próbował ukryć irytacji. – Dam sobie radę z dziećmi.

Britt postanowiła zignorować sugestię, że jest rozrzutna. Dlaczego miałyby nie być, na miłosierdzie pańskie, w końcu to jej pieniądze. I ciężko na nie zapracowała, Bóg jej świadkiem. Poza tym nigdzie się nie wybierała. Zamierzała mu dzisiaj pokazać, że wbrew wszelkim wątpliwościom, jakie mógłby żywić, ona, z pozoru taka twarda, w głębi duszy uwielbia dzieci.

– Chodź do Britty! – Wyciągnęła ręce w stronę Daisy, świadoma, jak wzruszający stworzą obrazek: dwie blondyneczki. Daisy przywarła do ojca niczym przestraszony miś koala, jakby Britt była złą panią z opieki społecznej, która chce na zawsze oderwać ją od rodziny, i zaczęła wyc.

Britt opuściła ręce, uśmiechając się nerwowo i zainteresowała się drugim dzieckiem.

– O co poprosisz Świętego Mikołaja, Jamie?

Bez chwili namysłu Jamie wyrecytował:

– O statek kosmiczny Manta Force z wyrzutnią rakiet i dwudziestu kosmicznych komandosów. Najlepsi są ci z oddziału Czerwonej Żmii. Ale mogą też być Czarne Barakudy, jeśli nie będzie miał tamtych.

– Czyżbyś przypadkiem interesował się kosmosem? – Uśmiechnęła się pobłaźliwie.

– Nie. – Jamie przewrócił oczami. – Modelami kolejek.

Britt usiłowała zdecydować, czy właśnie została zgaszona przez pięciolatka,

kiedy zauważyła, że coś się sący z pieluszki Daisy na kurtkę Davida.

– David! – wrzasnęła. – Dziecko cię całego obsrało!

Trzy głowy odwróciły się w ich kierunku na to pogwałcenie macierzyńskiej etykiety. Przecież każda matka wie, że dzieci nie srają. Dzieci robią kupkę.

– Potrzyj ją. – David podał jej Daisy, żeby poszukać nowej pieluszki. – Gdzie torba do przewijania?

– Jaka torba do przewijania?

David spojrział na nią zbulwersowany.

– Torba ze wszystkimi pieluchami. Nie mów, że zostawiłaś ją w samochodzie!

Przerażona ilością maneli przekazanych przez Liz, Britt postanowiła wziąć tylko wózek. Była pewna, że Liz jest nadopiekuńcza. W ramionach Britt Daisy wrzuciła następny bieg, przechodząc z ryku rozpaczliwego w histeryczny. Przeklinając nieudolność Britt, David wziął córkę z powrotem.

Britt spojrzała na plamy na swoim beżowym kostiumie od Betty Jackson.

– To będziesz musiała kupić pieluszki – warknął David.

Britt przekonała się ze zdumieniem, że Harrods rzeczywiście coś takiego sprzedaje. Na szczęście ów towar był dyskretnie ukryty na końcu działu dziecięcego. Ale ku jej przerażeniu dostępne były jedynie opakowania po czterdzieści sztuk.

Przepychając się z powrotem przez tłum z ogromną paką w ręku, Britt zadała sobie pytanie, czy jej misterny plan nie jest jednak pomyłką. Czy cokolwiek może być warte całego tego zawracania głowy z małymi dziećmi? Nawet David?

Kiedy wróciła, David dotarł już prawie do początku kolejki. Pomachał do niej, trzymając na rękach zadowoloną, świeżo przewiniętą Daisy. Uśmiechał się do stojącej obok matki trojga dzieci.

– Ta pani była tak miła, że zlitowała się nade mną i pożyczyła nam pieluszkę. – Kobieta odpowiedziała mu promiennym uśmiechem, a niekompetentną Britt zmroziła wzrokiem. – Nawet wyręczyła mnie przy przewijaniu Daisy.

Britt łypnęła gniewnie, przebijając się przez ostatni odcinek kolejki z gigantyczną paczką pampersów, we wciąż poplamionym kostiumie, z lepiącą się do czoła grzywką po wysiłku, jaki kosztowało ją ostatnich piętnaście minut.

– Dobry Boże, Britt! – zakpił David, nie dostrzegając jej miny. – Wyglądasz jak udręczona matka!

Wreszcie dotarli do celu. Po półtorej godziny oczekiwania w kolejce Mikołaj wziął Jamiego na kolana i zapytał, co chciałby dostać na Gwiazdkę. Chłopiec przez chwilę nie odpowiadał.

– No, synku, co byś chciał? – powtórzył Mikołaj, lekko poirytowany tym nieplanowym przestojem na linii produkcyjnej. Wąsy kleiły mu się do skóry, a oddech lekko zionął wódką.

Patrzyły na nich szeregi umordowanych rodziców, którzy pragnęli jak najszybciej posadzić swe potomstwo na kolanach Mikołaja i udać się do kawiarni, zaś Britt ocierała czoło i zastanawiała się, czy – nie daj Boże – nie ma przypadkiem wilgotnych plam pod pachami.

Jamie spojrział na nią, po czym powiedział głośno i wyraźnie:

– Chciałbym, żeby ta pani pozwoliła mojemu tatusiowi wrócić do mnie i mamusi.

Britt zatrzymała taksówkę, wciąż wściekła, że dała z siebie zrobić idiotkę na oczach tych wszystkich ludzi. Oczywiście, to wina Liz. Ewidentnie przygotowała dzieciaka, żeby wyskoczył z czymś takim, naopowiadała mu, jakim to okropnym babsztylem jest Britt, która ukradła im tatusia, a wszystko to w nadziei, że tatusiowi zmięknie serce i poleci do domu jak na skrzydłach. Ale przy odrobinie szczęścia było już za późno.

Gdy taksówka mijiała nocną aptekę w Knightsbridge, kazała kierowcy zatrzymać się i poczekać, a sama pobiegła kupić test ciążowy Sea-Blue, dziewięćdziesiąt osiem procent wiarygodności (jak chwalił się producent na pudełku) pierwszego dnia po spodziewanym terminie miesiączki. A według obliczeń Britt okres spóźniał się jej już trzy dni.

Kiedy David odwiózł Jamiego i Daisy, nie mógł uwierzyć, jak bardzo zmienił się kamienny domek. Od chwili, gdy Liz otworzyła drzwi i zobaczył ogień trzaskający na kominku, własnoręcznie zrobione dekoracje, sosnowy kredens z ładną porcelaną, a z kuchni doleciał słodki cynamonowy zapach, poczuł się jak w prawdziwym domu. Ledwo go poznał, pamiętając zimną, wilgotną chałupę, do której przyjeżdżali w piątek w nocy, wkurzeni i wykończeni, po czym okazywało się, że nie ma węgla, zapomnieli o mleku, a pościel jeszcze się pierze.

Rozejrzał się po lekko zabałaganionym wnętrzu, popatrzył na sterty starych gazet, trzymane na podpałkę, na patchworkową narzutę na kanapie – nie było tu niczego szczególnie eleganckiego czy nowego, ale panowała ciepła, przytulna atmosfera.

To niedorzeczne, jaki był spanikowany, kiedy Liz oznajmiła, że chce rzucić pracę i stworzyć im prawdziwy dom. To wszystko wina jego matki. Dzięki niej „prawdziwy dom” nie kojarzył mu się z bezpieczeństwem i wygodą, jak innym ludziom, tylko z dusznym klimatem cierpiętnictwa. Przeraził się więc jak jasna cholera.

Wyobraził ją sobie przez chwilę. Swoją matkę. Tę wiecznie ścierającą kurze męczennicę w tym jej fartuchu, zawsze gotową z szufelką w rękę wyłapać każdy okruszek, który on ośmielił się upuścić na nieskazitelnie odkurzony dywan, wydzierającą mu talerz, żeby go umyć, jeszcze zanim skończył jeść. Jednak teraz, przyjmując zaproszenie na herbatę, nagle zrozumiał, że to nie dom, który stworzyła Liz, przypomina mu ponure dni dzieciństwa. Takie skojarzenia budziło w nim

piękne muzeum będące mieszkaniem Britt.

David odstawił pustą filiżankę. Wiedział, że pora się zbierać, ale nie chciał jeszcze wychodzić.

– Mógłbym zostać, żeby wykąpać dzieci?

Liz odruchowo zerknęła na zegar. Była już siódma. Spodziewała się, że David pójdzie sobie już kilka godzin temu, ale on wcale się do tego nie kwapił. Właściwie czuła niemal irytację, widząc, jak łatwo wpasował się w jej tutejsze życie, jak cicho, nie narzucając się, usiadł sobie na podłodze i grał z Jamiem w wojnę, jakby mieszkał tu cały czas.

Ale czy nie tego właśnie chciała? Po cóż innego zadawała sobie tyle trudu, by domek był przyjemny i przytulny? Włożyła nawet cynamon do piekarnika, stosując starą sztuczkę agentów nieruchomości, jakby chciała sprzedać mu swój nowy styl życia, tak jak sprzedaje się dom, wiedząc, że ludzie tak naprawdę nie kupują cegieł i zaprawy czy sześciu pokoi z łazienką, tylko atmosferę danego miejsca. Uświadomiła sobie, że część niej – ta silna, rozsądna – chce powiedzieć: „Nie, nie możesz ich wykąpać. Bo taka kąpiel byłaby udawaniem, że ostatnie trzy miesiące się nie zdarzyły, że nie dzielą nas jak rozszarpana rana, która już jest opatrzona i powoli się zabliznia, ale wciąż boli, kiedy jej dotknąć”.

Ale druga część – ta słaba i samotna – wiedziała, że kiedy David zamknie za sobą drzwi, zgaśnie światelko nie tylko dla niej, ale także dla Jamiego i Daisy. Dlatego powiedziała:

– Tak, możesz je wykąpać.

„Ale nie oczekuj, że zrobię to z tobą, bo to już byłoby posuwanie się za daleko” – dodała w myślach.

Poszedł z dziećmi na górę i wkrótce dobiegły stamtąd zachwycone krzyki i piski, jakich nie słyszała od miesięcy, więc pogłośniła radio, żeby zagłuszyć głęboko pogrzebane wspomnienia, przywoływane przez te radosne odgłosy.

Kiedy David zszedł na dół, niosąc Jamiego i Daisy, czyściutkich i ubranych w piżamki, do ciepłego, pachnącego pokoju, poczuł przemożną chęć, by prosić ją o wybaczenie, błagać, żeby pozwoliła mu wrócić.

– Liz, muszę z tobą porozmawiać. Ale nie przy dzieciach...

– Z Britt jakoś mogłeś rozmawiać przy dzieciach, więc dlaczego ze mną nie możesz?

David poczuł jej gniew wymierzony w siebie i wiedział, że na niego zasłużył.

– Przepraszam, Liz. Britt nie powinno tam dzisiaj być.

– Właśnie! – Na wspomnienie pełnego samozadowolenia uśmiechu Britt w Liz zaczęła wzbierać tłumiona dotąd uraza.

– Posłuchaj. Moglibyśmy porozmawiać, kiedy dzieci pójną spać...

– Nie, Davidzie.

– Proszę, Liz.

Przez sekundę czuła pokusę. Ale nie wierzyła, że naprawdę się zmienił. Gdyby rzeczywiście żałował, nie pozwoliłby Britt zbliżyć się do dzieci bardziej niż na kilometr! Już ten jeden akt bezduszności go skreślał.

– Przykro mi, Davidzie. Ale nie mamy sobie nic do powiedzenia. – Wyjęła mu Daisy z objęć i zaniósła ją na górę do łóżka.

David siedział w samochodzie przed kamiennym domkiem w całkowitej ciemności, jaka możliwa jest tylko na wsi, i patrzył, jak w sypialni na piętrze zapala się światło. Dlaczego, na litość boską, dał się namówić Britt na to, żeby dzisiaj z nimi poszła? Miał ochotę ją zabić, kiedy zobaczył, jak się wdzięcznie opiera o maskę samochodu. Ale koniec końców to była jego wina, nie jej. Powinien był postawić na swoim.

Przeszło mu przez myśl, żeby wrócić do środka, czy Liz tego chciała, czy nie, i zmusić ją, żeby go wysłuchała. Ale Liz była zbyt zła i pełna urazy, żeby słuchać. A wszystko przez Britt.

W przeblysku natchnienia David znalazł odpowiedź. Musiał rzucić Britt. Wtedy może Liz go wysłucha. W chwili, gdy podjął tę decyzję, uświadomił sobie, że i tak chce to zrobić. Bez względu na to, czy Liz pozwoli mu wrócić, czy nie. Nagle poczuł się lepiej.

Britt siedziała w nieskazitelnej biało-czarnej łazience w swoim mieszkaniu i wpatrywała się w małą fiołkę w plastikowym pojemniczku. Właśnie dodała do roztworu dwie krople moczu.

Za pół godziny dowie się z niemal stuprocentową pewnością, czy będzie miała dziecko z Davidem.

Rozdział 19

Kiedy David wsunął plastikowy identyfikator do skomplikowanego systemu ochrony apartamentów przy Canary Wharf i zaparkował swojego mercedesa kombi, zawałonego opakowaniami po chipsach i kartonikami po sokach, obok nieskazitelnie czystego czerwonego porsche Britt, zdążył już przekonać samego siebie, że ona na pewno zrozumie jego punkt widzenia.

Przez ostatnie dwie godziny, jadąc szybko przez piękną zimową noc, nie był w stanie myśleć o niczym innym, tylko o tym, jak bardzo chciał usiąść w tym starym, sfatygowanym fotelu przy kominku Liz i grać z dziećmi w karty, aż zrobi się senny i padnie na łóżko obok niej. Stworzony przez nią obrazek domowego zacisza wcale nie wydawał mu się groźny, przeciwnie, David był zaskoczony, jak silnie na niego podziałał. Też chciał się na nim znaleźć.

Britt na pewno zrozumie, że ich związek to właściwie wypaczony romans, a nie relacja, którą dobrowolnie wybrali. W końcu nigdy nie planowali niczego na stałe. Gdyby Liz weszła wtedy do jakiegokolwiek innej restauracji w Londynie, nie byłiby dziś razem.

Myśleli z Britt, że są bratnimi duszami, ale tak naprawdę pomylili więź wynikającą z podobnego pochodzenia z czymś głębszym. Początkowo sądził, że Britt rozumie go w stopniu, który dla Liz nigdy nie będzie dostępny, że ziejąca przepaść różnic klasowych, te lata przyjęć w klubach tenisowych i wyjazdów na narty z mamusią i tatusiem, ta towarzyska ogląda, którą Liz odziedziczyła razem z rodowymi srebrami, zawsze będą ich dzielić. Ale siedząc z nią wczoraj przy kominku, zdał sobie sprawę, że czuł się przy niej swobodnie, u siebie, tak jak z Britt nie czuł się nigdy.

Przez ostatnie kilka miesięcy dowiedział się czegoś o Britt. Owszem, łączyło ich pochodzenie, ale nie mieli wspólnych wartości. Oczywiście pragnął sukcesu, władzy i prestiżu, wszystkiego tego, czego nie miał nikt z Kettley, ale nie aż tak jak Britt. Nie był gotowy poświęcić wszystkiego, by je zdobyć. Siedząc w spokojnym domku na wsi, David wreszcie zrozumiał, dlaczego Liz była skłonna tak wiele zaryzykować. Dostrzegła coś, co jemu umknęło: że czasem sukces może być wrogiem szczęścia. Taką filozofię Britt zbyłaby machnięciem ręki.

Jednak chyba nawet ona widziała, że prawdziwym kluczem do ich romansu był seks, zwykły, czysty seks, czy też raczej w przypadku Britt – sprośny, wyuzdany i niebezpiecznie ekscytujący. Musiała zdawać sobie sprawę, że nie jest to fundament, na którym można budować wspólne życie. W końcu Britt zawsze broniła się przed ustatkowaniem, mówiła o sobie, że jest raczej łowczynią niż gospodynią i z dumą chwaliła się, ilu mężczyzn zaciągnęła do łóżka. Prawdopodobnie zaczynała się już nim nudzić i zastanawiała się, kiedy David się

wyprowadzi, żeby mogła tropić następną wpływową, niemal nieosiągalną zdobycz.

Ośmielony tymi przemyśleniami, przypomniał sobie, że ostatnio kilka razy przyłapał ją, jak na niego patrzyła: jakby oceniała, czy się do czegoś nadaje – zapewne do tego, by dostąpić szczytu dalszego wspólnego mieszkania – i nie było to spojrzenie pełne miłości, raczej chłodne taksowanie. Pewnie kalkulowała, kiedy może go przekonać, żeby się wyniósł, nie wychodząc na źle wychowaną.

Otwierając drzwi windy, David poczuł powiew optymizmu. A kiedy przekręcił klucz w zamku, zdążył już prawie przekonać samego siebie, że Britt będzie musiała się zgodzić, iż to już najwyższa pora, by się rozstali.

W pierwszej chwili David pomyślał, że mieszkanie jest puste, ale drzwi nie były zamknięte na dwa zamki, a alarm antywłamaniowy nie został włączony. Względy bezpieczeństwa były jedną z obsesji Britt. Nie mógł sobie wyobrazić, żeby wyszła, zostawiając otwarte mieszkanie, by jakiś mniej godny piewca społeczeństwa konsumpcyjnego mógł sobie wejść do środka i zakosić jej kompakty.

W salonie nie zobaczył nikogo. Podobnie jak w kuchni, chociaż David dostrzegł do połowy pełną kawiarkę, jeszcze ciepłą. Szybko sprawdził gabinet. To by było zupełnie w stylu Britt – jeszcze trochę popracować, chociaż i tak poświęcała firmie dwadzieścia pięć godzin na dobę. Ale tym razem komputer nie mrugał na niego zielonymi diodami.

Wreszcie znalazł ją w sypialni, chociaż było dopiero wpół do dziesiątej. Leżała w łóżku oparta o górę śnieżnobiałych poduszek, w nietypowej dla niej dziewczęcej, białej koszuli nocnej. Zamiast wina, z kieliszka ostentacyjnie popijała wodę Evian.

David przebiegł nagle zimny dreszcz. Miał złe przeczucia. Co ona, do diabła, kombinowała? Britt uwielbiała reżyserować sceny uwodzenia: gdyby po powrocie zastał ją przyodzianą w skórę i przywiązaną do łóżka stringami z ćwiekami, okiem by nie mrugnął. Ale dziś w powietrzu wisiało coś, co wytrącało go z równowagi i sprawiało, że pociły mu się dłonie i ciarki przebiegały po karku. W końcu uświadomił sobie, o co chodzi. Po raz pierwszy Britt nie odgrywała dziwki, tylko madonnę.

Powoli podniosła na niego wzrok. Sięgnęła po przezroczystą fiolkę, stojącą na nocnym stoliku, podniosła małą probówkę i wyciągnęła ją w jego kierunku.

– Cześć, tatusiu – uśmiechnęła się. – Witaj w domu.

David usiadł po ciemku w ogromnym salonie i włączył telewizor. Reportaż z bitwy gdzieś na drugim końcu świata migał obrazami śmierci i zniszczenia, które spływały po nim, jakby w ogóle ich nie widział.

Britt była w ciąży. Gdzieś w głębi tego szczupłego, wysportowanego ciała maleńki embrion, wyposażony już przez niego i Britt w kod genetyczny, rozpoczął swoją drogę, powolną, pewną i doniosłą, ku momentowi narodzin. A on był jego

ojcem. Wiedział, że nie było co do tego wątpliwości.

Po raz pierwszy zadał sobie pytanie, dlaczego nigdy nie wziął pod uwagę możliwości, że Britt zajdzie w ciążę, dlaczego ani razu od ich pierwszej upojnej nocy nawet jej nie zapytał o antykoncepcję. Po prostu zakładał, że dla kobiety takiej jak Britt, całkowicie panującej nad swoim życiem, rzeczą nie do pomyślenia byłoby paść ofiarą przypadkowej ciąży, jak jakaś ekspedientka, robotnica w fabryce czy pechowa uczennica.

Zaczął się zastanawiać, czy to rzeczywiście był przypadek. Czy może on, zaślepiony swoją potrzebą seksu i dowartościowania, nie dostrzegł, że kiedy szeptał w łóżku czułe słówka, Britt słyszała po prostu tykanie biologicznego zegara.

A teraz miało przyjść na świat dziecko. Jego dziecko. Dziecko Nie w Porę. Przez ułamek sekundy poczuł niezmierny smutek na myśl o tej maleńkiej istotce, która pojawiła się, nie ze swojej winy, w tak fatalnym momencie.

Brutalna rzeczywistość w postaci ciąży Britt uświadomiła mu okrutną prawdę, z którą nigdy dotąd się nie skonfrontował: zdradził Liz i dzieci, a teraz usiłował zdradzić Britt. Czy zdradzi także tę małą istotkę, która nie wybrała sobie matki ani ojca, i która nie miała pojęcia o emocjonalnym chaosie czekającym ją za dziewięć miesięcy, kiedy przyjdzie na świat, kopiąc i wrzeszcząc, domagając się automatycznej miłości matki i ojca, do której każde dziecko ma prawo. Czy Britt zostanie z nią sama i będzie żywiła urazę do tej pamiątki po martwym związku, może przez niego w ogóle niezdolna pokochać tego dziecka?

Na ekranie ściszonego telewizora migwały sceny przemocy i zabójstw, a David rozumiał kolejną prawdę, która go jednocześnie zraniła i dała mu pocieszenie. Liz nie chciała, żeby do niej wrócił. W ciągu tych spędzonych dziś razem godzin nie dała mu w żaden sposób do zrozumienia, że w ogóle obchodzi ją, co on robi.

Dzięki temu łatwiej było mu zachować się przyzwoicie w zaistniałej sytuacji. Nie mógł porzucić Britt i dziecka. Musiał z nią zostać i spróbować się postarać, by im się ułożyło.

Kiedy podjął tę decyzję, spodziewał się, że poczuje ulgę, że będzie zdolny ogrzać się w blasku płynącym z wypełnienia moralnego obowiązku. Zamiast tego jego myśli natarczywie wracały do tego cudownego dnia, w którym dowiedzieli się, że Liz jest w ciąży z Jamiem. Od wielu miesięcy rozpaczliwie chcieli mieć dziecko, ale nic się nie działo, nieważne, jak często się kochali. Uśmiechnął na wspomnienie tego, jak lekarz im powiedział, że może robią to za często, że powinni starać się tylko co drugi dzień.

Nadal jednak nic z tego nie wychodziło. Co miesiąc z całego serca współczuł Liz, która wymykała się dyskretnie do łazienki, żeby sprawdzić, czy ma już okres, i płakała cicho za każdym razem, kiedy znów się zaczynał. Uderzyło go wtedy,

jaka to ironia losu, że nawet dziś miesięczka wciąż ma władzę nad kobietami – nic dziwnego, że uważają ją za przekleństwo! – jako nastolatki bały się, że jej nie dostaną, a jako dorosłe kobiety rozpaczliwie pragnące dziecka płakały, kiedy się pojawiała.

Potem zaczęły się badania. Począwszy od budzącego postrach badania nasienia. O dziewiątej w pewien mroźny lutowy poranek stawiał się w szpitalu, gdzie zaprowadzono go do ciasnej kabiny i poproszono o „próbkę”. Nigdy w życiu nie miał mniejszej ochoty na masturbację. Głupia rozkładówka z „Penthouse’u” mogłaby ułatwić sprawę, ale energiczna pielęgniarka nie zaproponowała mu nawet „Rider’s Digest”. Był zdany wyłącznie na siebie.

A kiedy przyszły wyniki i okazało się, że liczebność jego plemników jest wyjątkowo wysoka, a ich jakość bez zarzutu, wręcz mogłyby przepłynąć Atlantyk, poczuł się absurdalnie dumny, jakby wygrał jakąś nagrodę.

Wtedy lekarz kazał Liz mierzyć temperaturę i stawiać kropki na wykresie, żeby wiedzieli, kiedy powinni się kochać. Znajomi się z nich śmiali i mówili: „Jak możecie się pieprzyć na rozkaz?”, a jemu trudno było wytłumaczyć, że to wcale nie tak. Bzykanko na rzecz Zajścia. Trochę jak Kopanie Ogródka dla Zwycięstwa^[7]. Dzięki temu czuł się, że ta prosta czynność jest częścią pewnego wielkiego projektu.

Nadal jednak nie było efektów. Aż do dnia, kiedy już prawie mieli się poddać, a Liz ni stąd, ni zowąd nie dostała okresu. Nie śmiać wierzyć domowemu testowi ciężowemu, kupionemu w aptece, pojechali razem do szpitala, chorzy z niecierpliwości, na badanie krwi. Tam pewien sympatyczny lekarz, przyzwyczajony do serwowania złych wiadomości nieplodnym parom oraz informowania niechętnych nastolatek, że znów zaszły, udzielił im porady: niech państwo pójdą na lunch to uczcić. Będą mieli dziecko.

W pierwszej chwili tylko popatrzyli na siebie, nie mogąc wydobyć głosu. A potem David pocałował ją, wziął na ręce jak pannę młodą i wybiegł z nią na ulicę, krzycząc z radości, wzbudzając popłoch wśród przechodniów usiłujących jeść kanapki na schodach szpitala. Ludzie odwracali się i uśmiechali do nich, bo ich radość była zaraźliwa.

Zaraz zaczęło się świętowanie. Liz zawsze mówiła, że dziecko uzależni się od szampana jeszcze w życiu płodowym.

Z pewną skruchą uświadomił sobie, że właściwie nie pogratulował Britt. Podszedł do lodówki i stwierdził, że została jeszcze jedna butelka z zapasów, które Britt z jakiegoś tajemniczego powodu kupiła kilka tygodni temu. Wziął szampana, dwa kieliszki i zaniósł to wszystko do sypialni.

– Za dziecko! – Uśmiechnął się, schylił i pocałował jej brzuch schowany pod koszulką z haftem angielskim.

– Nie, dziękuję, kochanie. – Britt uniosła dłoń, broniąc się przed szampanem, jakby była to mikstura przygotowana właśnie w shakerze przez samą Lukrecję

Borgię. – Alkohol źle wpływa na rozwój dziecka.

Liz sprawdziła rozkład jazdy pociągów i zaczęła gasić polana w kominku. Londyn tuż przed świętami to będzie istne piekło, ale obiecała Jamieu nowy rower, a on koniecznie chciał z nią jechać, przekonany, że bez towarzystwa odpowiedzialnej osoby poniżej ósmego roku życia Liz na pewno kupi nie to, co trzeba, i jeszcze wróci z jakąś książką kształtującą charakter albo filmem edukacyjnym. Dzięki Bogu, Ginny wzięła dziś Daisy do siebie. Liz zaczęła się odruchowo zastanawiać, co kupić Davidowi, aż zszokowana zdała sobie sprawę, że w tym roku to Britt da mu prezent. Co mu podaruje? Na pewno nie nudne skarpetki i majtki, o które zwykle prosił Liz. Nie potrafiła wyobrazić sobie Britt w dziale z męskimi gaciami w Marks & Spencer, a Ralph Lauren chyba nie robił zwykłych slipów.

Uśmiechając się, trochę wbrew sobie, pomyślała o prezentach, które dostawała od Davida. Kiedyś dał jej jedwabny gorset, dwa numery za mały, co jej pochlebiało, ale nie udało jej się w niego wcisnąć. Rok później dostała komplet złożony z czerwonych satynowych fig i biustonosza z fiszbinami oraz pasa do pończoch, tak wulgarny, że zawstydziłby prostytutkę, więc natychmiast wymieniła go na ładną i praktyczną koszulę nocną ze Snoopym.

Zdejmując swój rosyjski płaszcz z wieszaka w przedpokoju, Liz westchnęła. Może gdyby w ich małżeństwie było więcej satyny, a mniej Snoopy'ego, dalej byliby razem. Szybko wzięła się w garść. A cóż to w ogóle była za myśl?

Wołając do Jamiego, żeby już schodził, Liz dostrzegła kątem oka fotel, w którym zaledwie kilka dni temu siedział David, i czym prędzej odwróciła wzrok. Wydawał się jakiś inny podczas tej wizyty, taki rozluźniony i szczęśliwy, że może być z dziećmi, taki miły i fajny, że musiała bardzo się starać, aby cały czas o nim nie myśleć.

W końcu, po długich nagabywaniach, zjawił się Jamie. Zapięła mu kurtkę i zamknęła drzwi na oba zamki. Idąc po pokrytej szronem ziemi do samochodu, zastanawiała się po raz dziesiąty, o co takiego David chciał ją zapytać, co było tak ważne, że nie mógł tego powiedzieć przy dzieciach.

Wjechała równiutko na miejsce na parkingu przy dworcu w Lewes, mając jeszcze piętnaście minut do pociągu; akurat tyle czasu, żeby kupić jakieś piśmko dla siebie i komiks dla Jamiego.

W kiosku zobaczyła, że jest już nowy numer „Country Living”, więc sięgnęła po niego, potrącając nieaktualny „TV Week”, który spadł na podłogę. Schyliła się, żeby go podnieść i zobaczyła twarz Claudii, spoglądającą na nią spod nagłówka: *NOWA ŻELAZNA DAMA METRO TV*.

Przez chwilę biła się z myślami, czy go kupić i przeczytać wynurzenia Claudii o tym, jak karygodnie dotąd kierowano Metrem. Ale to by jej tylko zepsuło dzień. Kupiła więc batonik Mars i egzemplarz „Vogue'a”. Jak święta, to święta.

Przepychając się przez tłum w dziale z zabawkami, Liz zrozumiała, jakim błędem było przyjscie do Harrodsa w porze lunchu dwa dni robocze przed Gwiazdką. Dom towarowy był pełen bojowo nastawionych klientów, uzbrojonych po zęby w karty kredytowe i ewidentnie niebezpiecznych, którzy postawili sobie za punkt honoru, że załatwią całość świątecznych zakupów w jeden dzień albo polegną podczas tej próby.

Kiedy dotarli do rowerów, Liz rozejrzała się w oszołomieniu. Modeli było od groma, o nazwach w rodzaju RoadRacer, Speedreamer czy Spiderbike. Ale Jamie dokładnie wiedział, który z nich chce dostać. Czarny trackzapper z czerwonymi detalami i hydraulicznym wspornikiem siodelka, które można było ustawić do jazdy na tylnym kole. Z rosnącym przerażeniem Liz dostrzegła, że została tylko jedna, ostatnia sztuka. I właśnie testował ją siedmiolatek, którego tata wyglądał, jakby mógł wykupić cały sklep i jeszcze by mu wydano resztę.

Dojazd tutaj zajął Liz dokładnie dwie i pół godziny, a dostanie się do sklepu Hamleys albo Selfridges potrwałoby jeszcze z półtorej. Sytuacja wyraźnie dojrzała do podjęcia drastycznych kroków.

– Kupisz mi go, tato? Proszę! – powiedział siedmiolatek.

– Zobacz, Jamie, czy to nie trackzapper? – zapytała Liz głośnym szeptem. – Zaraz, zaraz, co o nim mówili w tym programie konsumenckim? – Udawała, że sobie przypomina. – A, tak. Wygląda szpanersko, ale jeśli chodzi o bezpieczne pokonywanie zakrętów, to nie umywa się do roadracera.

Mrugnęła konspiracyjnie i wskazała konkurencyjny rower. Jamie od razu załapał.

– Ben ma taki. Spadł z niego i jego tata ma go oddać.

Ku niebotycznej uldze Liz ojciec krezus zrobił przerażoną minę i odciągnął syna w kierunku bezpieczniejszych modeli.

A Liz, ledwie odczekawszy chwilę, jak nakazywała przyzwoitość, po cichu poprowadziła prawdopodobnie ostatniego trackzappera w Londynie do najbliższej kasy.

Ginny odłożyła słuchawkę i wyjrzała przez okno na ulicę w dole, którą ciągnął przedświąteczny tłum kupujących. Przysłuchując się pobrzękiwaniu puszek na datki oraz dźwiękom kołęd płynącym z głośnika na ratuszu, pozwoliła, by kolejny okruczeństwo przebił się przez jej optymizm. Tym razem nie chodziło o to, że WomanPower nie miało klientów – katastrofalna kombinacja niewykorzystanych urlopów pracowników biurowych, które po styczniu by im przepadły, oraz wolnych dni branych z powodu kaca po dorocznych firmowych jublach oznaczała, że pracy dla agencji Ginny było w bród.

Był tylko jeden mały problem. Większość zarejestrowanych u nich kobiet nie chciała pracować w okresie świątecznym. Może Ginny powinna zacząć się modlić. Pierwszą ratę kredytu trzeba będzie spłacić za sześć miesięcy, a na razie nie miała

na to wystarczających środków.

Zgarnęła papiery na kupkę. Nie ma sensu wpadać w depresję. W końcu idą święta. Jakoś się to rozwiąże.

Liz siedziała w kawiarni nad cappuccino i patrzyła, jak Jamie pałaszuje porcję tortu Sachera. Bogu dzięki, że odziedziczył metabolizm po ojcu, więc mógł się żywić big macami i mimo to być chudy jak szczapa. Pokrzepiony tortem, coca-colą i pianką z jej kawy, zgodził się w końcu wyjść.

Mieli jeszcze całe pół godziny, zanim będą musieli się zebrać i pojechać na dworzec Victorii; Liz zamierzała spędzić ten czas w British Designer Room, oglądając ubrania, na które nie było jej stać. Kiedy ona przeglądała cudowne, szaleńczo drogie sukienki, Jamie zadowolił się wyginaniem balustrady i unikaniem pełnego dezaprobaty wzroku ekspedientki.

Właśnie podziwiała suknię balową zaprojektowaną przez Victora Edelsteina, wartą mniej więcej tyle, co jej kamienny domek, kiedy usłyszała znajomy głos wołający ją po imieniu. Odwróciła się i spojrzała prosto w kocie oczy nowej Żelaznej Damy Telewizji Metro.

– Co u ciebie słyhać? Było mi tak przykro, kiedy się o wszystkim dowiedziałam. – Liz zauważyła, że akurat żalu w głosie Claudii nie słyhać za grosz. – Naprawdę ci współczuliśmy. Czasami myślę, że gdybyśmy tylko my, kobiety, zrozumiały, jakimi łajdakami są tak naprawdę mężczyźni, byłybyśmy o wiele szczęśliwsze.

Świadoma, że Jamie może w każdej chwili coś podsłuchać, kazała mu iść porozmawiać z majordomusem w uniformie o tym, jak działają windy.

– Oczywiście, widziałam, co się święci, już tego wieczoru, kiedy przyszła na tę imprezę Metra. Gdyby to nie na Davida zagięła parol, to pewnie wzięłyby się za Conrada. Znam ten typ. Ambitna mała zdzira, która rozłoży nogi przed każdym, jeśli myśli, że dzięki temu awansuje o kilka szczebli.

Liz stłumiła uśmiech, bo opis dokładnie oddawał charakter samej Claudii, i zaczęła szukać wymówek, żeby stąd uciec. Dyskutowanie o romansie męża na oczach zafascynowanych klientów Harrodsa na świątecznych zakupach było ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę.

– Claudio, cudownie cię widzieć, ale niestety musimy z Jamiem lecieć na pociąg.

Claudia wyglądała na niepokieszoną. Najwyraźniej czuła, że mogłaby ciągnąć ten temat przez dobre pół godziny. Zgarniając swoje zakupy, Liz zaczęła dawać rozpaczliwe znaki Jamiemu. Ale Claudia nie zamierzała tak łatwo odpuścić.

– Biedna Lizzie. Musiałaś się czuć okropnie, kiedy się dowiedziałaś. Chodzimy razem na fitness i obwieściła wszystkim nowinę w poniedziałek.

Liz z ulgą zobaczyła, że Jamie wreszcie wraca, więc jeszcze kilka sekund i już ich tu nie będzie.

– Jaka nowinę? – zapytała z roztargnieniem, wnosząc oczy do nieba, bo Jamie zatrzymał się, żeby porozmawiać z jakimś chłopcem przy ruchomych schodach.

Claudia pochyliła się w jej stronę i zniżyła głos, aż miała gwarancję, że przykuje uwagę każdego klienta w sklepie.

– O dziecku.

Liz dopiero teraz na nią spojrzała. O czym ona do cholery mówiła?

– O jakim dziecku?

– Ich dziecku. Britt i Davida. Ma się urodzić w sierpniu.

Liz poczuła, że krew odpływa jej z twarzy. Dziecko Britt. Dziecko Britt i Davida. To nie mogła być prawda. Britt nie cierpiała dzieci. Sama myśl o tym była absurdalna. Claudii musiało się coś pomylić.

– Wszystkim o tym mówi. Widziałam się z nią wczoraj na fitnessie. Instruktorce jej pogratulowała i powiedziała, że będzie najbardziej wysportowaną matką w Londynie.

Przez chwilę Liz myślała, że zemdleje. Tylko widok zbliżającego się Jamiego odciągnął ją od ziejącej u jej stóp czarnej dziury.

– Liz? – Na twarzy Claudii mignęło coś na kształt skruchy. – Liz, wiedziałas, prawda?

Rozdział 20

Liz oparła się o drzwi kabiny i usiłowała się nie rozplakać. Tylko myśl o tym, że po drugiej stronie cienkiej sklejki czeka na nią Jamie, niczego niepodszewający i radosny, powstrzymywała ją przed załamaniem.

Nie mogła uwierzyć, jak bardzo to bolało – bardziej niż tamten moment w restauracji, bardziej nawet niż rozstanie z Davidem. I po raz pierwszy musiała się przed sobą przyznać, dlaczego. Jeszcze pięć minut temu gdzieś głęboko w podświadomości tliło się w niej przekonanie, że do siebie wróci.

Od dzieciństwa budziła się czasem i czuła szczęśliwa, nie wiedząc, dlaczego. Dopiero po kilku sekundach albo nawet minutach przetrząsania zakamarków umysłu i pamięci znajdowała powód: jakąś dobrą nowinę, obiecaną przyjemność, komplement, schowany głęboko, ale na tyle silny, by zalać ją blaskiem niespodziewanej radości. Opierając się o drzwi toalety w Harrodsie, usiłując nie myśleć o tłoczącej się po drugiej stronie kolejce przedświątecznych klientek, zrozumiała, że gdzieś głęboko tkwiła w niej właśnie ta nieświadomiona, a wręcz nieprzychylnie traktowana przez świadomość wiara, że David wróci. To ta wiara dawała jej promyk nadziei w najczarniejszych momentach i obietnicę odzyskanego szczęścia. A teraz przepadła na zawsze. Z niemym krzykiem bólu pojęła, że jest tylko stereotypową, banalną porzuconą żoną, która nie potrafi przyjąć rozstania do wiadomości, nawet w obliczu przytłaczających dowodów.

A jednak, czy miała aż takie urojenia? Przecież dopiero co, zaledwie w ubiegłym tygodniu, czuła ten sekretny blask, kiedy David przyjechał na wieś. Wydawał się zmieniony, niemal wdzięczny, że mógł tam być, jakby wrócił do domu. Mimo wyczuwalnego napięcia między nimi i jej złości na Britt, jego obecność była jak zaginiony brakujący kawałek układanki jej nowego życia.

Kiedy rozległo się pukanie do drzwi, podskoczyła, jakby do kabiny wjechał czołg.

– Mamo, mamo. Wszystko w porządku?

Słyszała niepokój w głosie Jamiego. Musiała wziąć się w garść. Z tą jego wrażliwością chłopak zaraz się zorientuje, że coś jest potwornie nie tak. Liz nie mogła teraz szukać u niego pocieszenia, choć było to kuszące; to ona była dorosła, to ona musiała go chronić. On był tylko dzieckiem. Musiała być silna.

Poszeleściła papierem toaletowym i głośno spuściła wodę. Sięgnęła do torebki po chusteczki do demakijażu i lusterko, po czym starła najgorsze szkody spowodowane przez łzy.

– Tak, Jamie, nic mi nie jest.

Myślała, że David znów ją kocha, ot co. No cóż, myliła się. David po prostu wymazał swoje dawne życie i zaczął nowe. Czy jej się to podobało, czy nie,

musiała spojrzeć prawdzie w oczy: dziecko oznaczało zobowiązania. Dziecko oznaczało nowy początek.

– Chyba nie zamierzasz karmić piersią? – Niecałe sto metrów od Harrodsa, w modnej restauracji Brasserie St Quentin, przyjaciółka Britt, Carla, odłożyła widelec z kęsem terriny z żabnicy i groszku cukrowego, i zagapiła się na nią ze zgrozą.

– Oczywiście, że nie – odparła Britt z naganą, jakby Carla zaproponowała jakąś dziwną i odrażającą dewiację seksualną. – Nie mogłabym wrócić od razu do pracy, gdybym karmiła.

– Ile chcesz wziąć wolnego?

– Nie wiem. Trzy tygodnie?

– Aż tyle? – Ton Carli sugerował, że trzy tygodnie to więcej niż zbędny kaprys. – Laura Wells wróciła do TV North po dwóch, a moja znajoma Ari Green, ta producentka filmowa, wzięła tylko dziesięć dni. Jak ja to zawsze powtarzam – Carla, świadomie bezdzietna, czy też raczej „wolna od dzieci”, poklepała Britt po ręce i pociągnęła łyk swojego sauvignon – trzeba uważać. W telewizji tak łatwo można wypaść z obiegu.

David słuchał z niedowierzaniem, jak Britt i Carla układają listę świeżo upieczonych matek na odpowiedzialnych stanowiskach, prześcigających się w tym, jak krótki czas były gotowe poświęcić tej drobnej niedogodności zwanej porodem i pościem.

– Jeśli kogoś interesuje, co ja, zaledwie ojciec, o tym myślę, trzy tygodnie to moim zdaniem zdecydowanie za długo.

Britt i Carla spojrzały na niego, zaskoczone.

– Może po prostu przykucniesz na chwilę nad swoją teczką, a potem odeślesz noworodka do domu taksówką? Nie będziesz nawet musiała przerywać zebrania.

– Gdyby to mężczyźni zachodzili w ciążę, w męskiej toalecie byłby basen porodowy! – odparowała Britt, po czym wróciła do rozmowy z Carłą.

– Jak mówiłam, trzy tygodnie urlopu, bo jeśli nie będzie mnie dłużej, to jak wrócę, okaże się, że nikt nawet nie odbierał telefonu. – Britt odetchnęła z ulgą, że wszystko już ustalone. – A wiesz – zwróciła się do Carli konfidencjonalnym tonem – że jest coś tak wspaniałego jak opiekunki do noworodka, które przejmują dziecko, kiedy tylko wyjdiesz ze szpitala i zajmują się tym całym wstawaniem w nocy i karmieniem?

– Super. – Carla starała się, by w jej głosie nie było słychać współczucia, ale się nie udało. Biedna Britt. Tak zająć w ciążę. Potworne. – Czyli nie będziesz musiała zmieniać obsranych pieluszek ani nic takiego?

– Tylko w weekendy. Ale zastanawiam się nad zatrudnieniem weekendowej niani.

Siedząc ze swoim drugim martini tego dnia, David poczuł, jak dopada go znajome przygnębienie. Kiedy urodził się Jamie, on i Liz nie traktowali tego jak krótkiej anomalii w ich napiętych grafikach. Był to po prostu najwspanialszy dzień w ich życiu.

Poród był trudny, a kiedy położna zapytała, czy chcą zobaczyć główkę, Liz była już tak wyczerpana, że było jej wszystko jedno, czy rodzi dziecko, czy goryla. Oglądał więc ten niesamowity moment sam. Po całej tej walce i wysiłku Jamie w końcu wyskoczył na świat jak pasta do zębów wyciśnięta z tubki, a potem obrócił głowę i rozejrzał się dokoła, spokojny i opanowany, jakby szukał kelnera, żeby poprosić o rachunek.

Podali go Liz, która popłakała się z radości i ulgi, a David usiadł na brzegu łóżka i objął ich oboje – swoją rodzinę. Czuł się, jakby doświadczył cudu.

Co się stało z całą tą miłością, z tym poczuciem, że teraz, kiedy są rodziną, wszystko jest możliwe, świat należy do nich?

Za sprawą następnego pytania Carli David wrócił gwałtownie do terażniejszości.

– Nie boisz się, że zrobisz się wielka jak stodoła?

– Nie zamierzam. Zero chleba. Zero ciastek. Zero makaronu. I zdecydowanie żadnego alkoholu. Do szóstego miesiąca nie powinnam chyba utyć więcej niż pół kilo i może jeszcze ze dwa w ostatnim trymestrze.

To dlatego nie chciała wypić z nim szampana, nie z powodu rozwoju dziecka, tylko z chęci dbania o swoją cholerną figurę! Spojrzał na Britt i Carłę, rozmawiające o Yasmin Le Bon, która wróciła na wybieg niemal jeszcze zanim wyszła ze szpitala, i zdał sobie sprawę, że ma już dość. Dzięki Bogu musiał zadzwonić do redakcji do Berta w sprawie demaskatorskiego artykułu Suzan o policji, który w końcu nabierał kształtów i mógł być w każdej chwili gotowy do publikacji.

Znalazł telefon w tylnej części restauracji, schowany za kwiecistym parawanem obok damskiej toalety. Ku jego irytacji Berta w redakcji nie było, co prawdopodobnie oznaczało, że wymknął się do Dog and Firkin na szybkie piwko. Przeszło mu przez myśl, żeby tam zadzwonić, ale uznał, że temat jest zbyt delikatny, by rozmawiać o nim w pubie. Będzie musiał złapać Berta później. Tknięty impulsem spróbował zadzwonić bezpośrednio do Suzan. W słuchawce odezwał się irytujący elektroniczny głos, powtarzający: „Proszę czekać na połączenie”. Nagle komunikat zmienił się bez wyraźnego powodu na mechaniczne: „Przepraszamy. Połączenie nie może być zrealizowane. Prosimy zadzwonić później”.

Już miał odłożyć słuchawkę, kiedy zobaczył idące w jego kierunku Britt i Carłę. Nie szukały jednak jego, tylko damskiej toalety. Miał ochotę wyskoczyć na nie z okrzykiem: „To ja, wasz przyjacielski ekshibicjonista z sąsiedztwa!”, ale

wiedział, że Britt nie uzna tego za zabawne, a poza tym właśnie usłyszał fragment ich rozmowy, który sprawił, że znieruchomiał.

– To kiedy się zorientowałaś, że zaszłaś?

– W zeszłym tygodniu.

– Nie byłaś totalnie zdumiona? Mnie by замуrowało. Nie, raczej miałabym myśli samobójcze.

– Tylko tym, że zaskoczyłam dopiero po sześciu rżnięciach. Myślałam, że może uda się po jednym. Moja rodzina jest bardzo płodna. Wystarczy, że spojrzymy na fiuta i już: „Halo, halo, czy tu klinika aborcyjna?”.

– Jak to: „po sześciu rżnięciach”? Skąd możesz to wiedzieć?

Przez chwilę David myślał, że znikną w łazience i zostawią go tam w napięciu, jak przy stosunku przerywanym, ale Carla chwyciła Britt za rękę i zmusiła ją do zatrzymania się.

Britt zniżyła głos do szeptu.

– Daj spokój, Carla, chyba nie myślisz, że to był przypadek, co? Jestem najlepiej zorganizowaną osobą na świecie.

– Dlatego właśnie sądziłam, że to musiał być przypadek. Chcesz powiedzieć, że zrobiłaś to celowo?

– Oczywiście, że zrobiłam to celowo. Myślisz, że mogłabym zająć przez pomyłkę? Wystarczyło parę butelek bollingera i body od Janet Reger!

– I się udało?

– Poszło jak z płatka.

– Ale dlaczego chciałaś zająć w ciążę, na litość boską?

– Bo David nadal usycha z tęsknoty za swoimi bachorami, więc doszłam do wniosku, że jedynym sposobem, w jaki mogę go powstrzymać, żeby do nich nie wrócił, jest danie mu naszego własnego dziecka.

David stał przez chwilę jak wryty, podczas gdy Carla i Britt, chichocząc, kontynuowały wyprawę do toalety. Potem bardzo spokojnie poszedł do stolika i czekał, aż wrócą.

Liz zamierzała skorzystać z rzadkiej wizyty w Harrodsie i kupić jakiś prezent Ginny, może wodę toaletową Victorian Posy firmy Penhaligon albo coś z Crabtree & Evelyn. Uwielbiała kosmetyki Penhaligona w tych ładnych, nostalgicznych opakowaniach. Przypomniała sobie, jak kiedyś przed świętami stała w kolejce i patrzyła na faceta, który kupował cały asortyment Penhaligona: perfumy, wodę toaletową, krem nawilżający, płyn do kąpieli, mydélka w malowanym pudełku z trzema szufladkami, peeling, talk, wszystko w staroświeckich szklanych buteleczkach ze srebrną zatyczką, zapakowane do wielkiego, skórzanego damskiego neseseru, który wyglądał zupełnie jak z powieści Jane Austen albo Georgette Heyer.

„Ktoś będzie miał wspaniałe Boże Narodzenie” – pomyślała wtedy, ale nie

czuła zazdrości, cieszyła się, że ta nieznajoma dama ma takie szczęście i miała nadzieję, że je docenia, a jednocześnie wiedziała, że sama też spędzi cudowne święta z Davidem i dziećmi – tylko we czwórkę. I rzeczywiście. Były to jedne z najlepszych świąt, jakie pamiętała. Przystanęła na chwilę ze zdumienia i omal nie zaczęła liczyć na palcach. Czy to naprawdę mogło być w zeszłym roku?

Chociaż w kolejce w perfumerii stały tylko dwie czy trzy osoby, Liz wiedziała, że nie może dłużej czekać. Musiała wracać do domu, do bezpieczeństwa, jakie dawała jej kamienna chatka z ohydny wieńcem na drzwiach, do starych, znajomych czynności, w których mogła znaleźć pocieszenie: napalenia w kominku drewnem, które zebrali w lesie, zaparzenia herbaty, zaciągnięcia zasłon i udawania, że w ich przytulnym małym świecie wszystko jest w porządku.

Kiedy stanęli w długiej kolejce zmarzniętych i wykończonych zakupami ludzi, czekających na taksówki w Knightsbridge, Liz poczuła, jak drobna rączka wsuwa się w jej dłoń i ją ściska. Z wdzięcznością odpowiedziała podobnym uściskiem, spojrzała w dół na syna i się uśmiechnęła.

Bez względu na to, jak bardzo starała się to ukryć, Jamie jak zwykle rozumiał, że coś jest nie tak, i chciał ją pocieszyć, na tyle, na ile mógł.

Kiedy Britt i Carla wróciły do stolika, David zdążył już poprosić o rachunek.

– Ale przecież jeszcze nawet nie spojrzeliśmy na kartę deserów – wytknęła mu Britt ze zdumieniem.

– Myślałem, że nie chcesz przytyć. – Britt nie dostrzegła jadowitej ironii w głosie Davida. – Poprosiłem o rachunek, bo wychodzimy.

– Może ty. Ja nie.

– Jak chcesz. W takim razie powiem ci przy świadkach coś, co wolałbym powiedzieć w cztery oczy.

Britt uśmiechnęła się kpiąco, pewna, że poradzi sobie w każdych okolicznościach. Widocznie Bert z redakcji miał dla niego złe wieści. Może oddali jego stanowisko adiustatorowi, kiedy był na lunchu.

– Odchodzę, Britt. Mam dość.

– Nie bądź śmieszny. Nigdzie nie idziesz. Przecież wybieramy się do Harrodsa, zrobić zakupy na nasze pierwsze wspólne święta.

Ale twarz Davida była jak z kamienia, bez cienia uśmiechu. „Co, u licha, mu się stało?”.

– Słyszałem, co powiedziałaś Carli.

Uśmiech komicznie zamarł na ustach Britt.

– Mogłem się domyślić, że ta ciąża to jedna z twoich intryg. Czy ty chociaż bąki puszczasz spontanicznie? Nie, skądże, przecież ty w ogóle nie pierdzisz, co?

Powoli wstał i oparł się na chwilę o swoje krzesło.

– Przykro mi, jeśli trudno ci to przyjąć. Oczywiście, zapewnię ci wszelką

pomoc finansową, jaka będzie potrzebna, ale nie jestem w stanie dłużej znieść tej farsy. To dziecko nic a nic się dla ciebie nie liczy. Nie masz pojęcia, co to znaczy kochać dziecko.

– Tak jak ty kochasz swoje dzieci? – odparowała Britt, tym razem bez zastanowienia. – Widziałeś się z nimi tylko raz w ciągu trzech miesięcy.

Twarz Davida zapadła się z bólu i gniewu.

Uświadamiając sobie, że schrzaniła sprawę, Britt usiłowała się wycofać.

– David, nie chciałam. Przepraszam...

– Oczywiście, że chciałaś – przerwał jej David. – Chciałaś mnie zranić i ci się udało. Jak byłaś łaskawa zauważyć, niczego nie robisz przypadkiem. Żegnaj, Britt. Moimi rzeczami się nie przejmuj. Możesz mi je odesłać później.

Rozważywszy szybko różne możliwości, Britt uznała, że najlepiej będzie rozegrać to na chłodno. Nic tak nie gwarantuje zrażenia do siebie mężczyzny, jak błagająca kobieta. Poza tym on tak naprawdę nie odejdzie. Nie teraz. Był zły, to wszystko. Pluła sobie w brodę, że chlapała ozorem przed Carlą. Ale David za kilka godzin ochłonie.

Spokojnie odwróciła się i zamówiła cappuccino. Nie mówiąc ani słowa więcej, David wyszedł z restauracji i skierował się w stronę Harrodsa.

Britt spojrzała na przerażoną Carlę.

– Nic się nie bój, ja go znam. Wróci. Przygnieciony poczuciem winy i mnóstwem gwiazdkowych prezentów.

Liz wyglądała przez okno pociągu, a Jamie spał, ciepły i pełen ufności, z głową na jej kolanach. Kiedy tak leżał, myśl o tym, jaki jest słaby i zależny od niej, ożywiła ją jak mocny drink. Spojrzała na jego twarzyczkę, na ciemne włosy, jak zwykle sterczące na wszystkie strony, przyszczyżone krótko, ale z pojedynczym długim pasemkiem na karku, może lekko pretensjonalnym, które zaczęła mu zapuszczać, kiedy miał dwa latka, a on to kontynuował, traktując jak oznakę swojej indywidualności, i nie dawał go sobie obciąć. Liz bała się docinków w przedszkolu, ale inne dzieci najwyraźniej zaakceptowały tę fryzurę, która stała się częścią Jamiego. Głaszcząc go teraz po głowie, wiedziała, że cokolwiek się jej przydarzy, dzięki niemu i Daisy przetrwa. Jej miłość do nich zawsze da jej siłę i wyciągnie z kłopotów.

Może była przerażona perspektywą życia ze świadomością, że David naprawdę odszedł na zawsze i że może już na dobre została sama, ale nadal musiała być silna – dla nich. Nagle zrozumiała te wszystkie kobiety, które uśmiechały się smętnie ze zdjęć w gazetach, kiedy ich mężowie utonęli albo zginęli w wypadku w kopalni. Chociaż wszystko w tobie krzyczało, musiałaś być spokojna ze względu na dzieci. Ale nie mogło to powstrzymać bólu. Patrząc przez okno na pogrążający się w ciemnościach wiejski krajobraz, pomyślała o tym, że David może właśnie w tej chwili kupuje prezenty dla Britt i ich dziecka. Zamknęła oczy i usiłowała

jakoś zagłuszyć cierpienie.

Kiedy pociąg wjechał na stację w Lewes, uświadomiła sobie, że jednak nie chce wracać do domu. Chatka będzie ciemna i pusta, a ona nadal będzie sobie wyobrażała Davida siedzącego przy kominku i grającego z Jamiem w karty. Lepiej weźmie teraz samochód z parkingu, pojedzie i kupi największą choinkę, jaką uda im się znaleźć, a potem odbierze Daisy od Ginny. Zostaną u niej na podwieczorek i kąpienie. Potem wrócą do domu i razem ubiorą drzewko. Uwielbiała ubierać choinkę. Właśnie tego teraz potrzebowała.

Nucąc kolędę *O Little Town of Bethlehem*, pomaszerowała z Jamiem na parking, myśląc sobie, że może życie nie jest jednak takie złe.

David pokonał szybkim krokiem sto metrów dzielące Harrodsa od podziemnego parkingu przy Hans Crescent i zapełnił bagażnik mercedesa prezentami. Przez chwilę siedział w ciszy, w półmroku, i bił się z myślami. W końcu przekręcił kluczyk w stacyjce i ruszył. Kiedy dojechał do świateł przy wylocie Sloan Street, zawahał się, zerknął na drogę na Trafalgar Square, która, gdyby skręcił na wschód i na nabrzeże, w końcu doprowadziłaby go do Canary Wharf, do mieszkania Britt.

Pojechał jednak w lewo, Brompton Road w stronę autostrady M4, która dalej spotka się z M25, stanowiącą pierwszy etap podróży do Sussex i Liz.

Kiedy pociąg Liz toczył się wolno po torach w to mroźne popołudnie, David zerknął na zegar na desce rozdzielczej. Jeszcze tylko dwadzieścia minut i będzie w Seamington. Wcisnął gaz, nie chcąc stracić ani chwili; ogarnęło go tak silne przeczucie, że wszystko będzie dobrze, że aż roześmiał się na głos. Inni kierowcy, patrząc na niego myśleli, że zwariował albo jest pijany, więc przynajmniej zachowywali przepisowy odstęp.

Po raz pierwszy od miesiący David czuł, że budzi się z nieprzyjemnego, przerażającego snu, w którym się zgubił i nie mógł znaleźć wyjścia, bo wszystkie drogi zostały zablokowane i nie było widać żadnych świateł. Ale teraz wreszcie odpowiedź leżała przed nim jak na dłoni. To wszystko było potwornym błędem, za który to on ponosi winę. Jego miejsce było przy Liz i dzieciach, jego rodzinie, i miał zamiar ją o tym przekonać.

Przez chwilę wyobrażał sobie scenę, która rozegra się już niebawem w Crossways. Ogień trzaskający na kominku, z drzewa, nie z węgla, ciepło i zapach drewna jodły oraz jabłoni, a może nawet aromat babeczek z bakaliami. Choinka. David zapuka do drzwi, otworzy mu Liz z Jamiem i Daisy u boku, a on jakoś ją przekona, nieważne, jak bardzo będzie protestowała, że ją przeprosza, że jest mu rozpaczliwie przykro i że ona musi go przyjąć z powrotem. Ulegając jego argumentom, których jeszcze nie zdążył sformułować, Liz otworzy ramiona i mu wybaczy, a potem spędzą razem szczęśliwe rodzinne święta. Pełen niecierpliwości, jeszcze przyspieszył.

Jednak już parkując na końcu podjazdu, zaczął wyczuwać, że coś tu jest nie tak. Od domku dzieliło go dwadzieścia metrów, ale z komina nie była znajoma smużka dymu, jasnoszara na tle ciemnogramatowego, wieczornego zimowego nieba, jak w jego wyobraźni, a głębokiej wiejskiej ciszy nie mącił śmiech ani kolędy, ani głosy dobiegające z chatki.

Zostawił prezenty w samochodzie i ruszył biegiem, usiłując powstrzymać narastającą panikę. Ogłuszał go chrzęst jego własnych kroków na żwirze. Słyszając jakieś dziwne, stłumione walenie, zatrzymał się na chwilę, aż dotarło do niego, że to odgłos jego serca.

Stanął przed ciemnym, pustym domem. Poczuł tak rozdzierający ból w klatce piersiowej, że myślał, że ma zawał. Cóż by to była za niezrównana ironia. Mąż marnotrawny wraca i umiera na progu. Kiedy jednak ból minął, David uświadomił sobie, że to po prostu rozczarowanie, gorzkie i mocne jak kopniak w spłot słoneczny. Liz i dzieci nie było w domu.

Z nikłą, rozpaczliwą nadzieją nacisnął klamkę drzwi frontowych i stwierdził, że są zamknięte na oba zamki. Liz nigdy tego nie robiła, kiedy wychodziła z domu na krótko; widocznie teraz wyjechała na dłużej. Przypomniał sobie, jak się z niego śmiała, kiedy zaczęli tu przyjeżdżać, a on zamykał drzwi na oba zamki za każdym razem, kiedy wyskakiwał po coś do wiejskiego sklepiku. „Nie jesteś już w Londynie, wiesz?” – podkpiwała, a on wtedy wybuchał śmiechem i specjalnie zostawiał drzwi otwarte na oścież. Ale nikt nigdy ich nie okradł. Włamywacze w Seamington byli czymś nieznanym. Nawet oni doceniali spokój tego miejsca i nie ważyli się go zakłócać.

Nagle doznał olśnienia. Jego klucze. Może miał przy sobie klucze do domku. Wrócił biegiem do samochodu i zaczął grzebać w teczce. Po chwili przypomniał sobie, gdzie są. W szufladce nocnego stolika przy łóżku Britt.

Siedział w ciemnym aucie i zastanawiał się, dokąd Liz mogła się wybrać. Do Ginny? Ale wtedy nie zamykałaby drzwi na dwa zamki. Do swojej matki? Oczywiście, dlaczego od razu na to nie wpadł? Na pewno wyjechała na święta do matki, zamiast spędzać je tutaj sama.

W pierwszej chwili chciał zaraz tam ruszać. A potem przed oczami stanęła mu Eleanor z tą jej zimną arystokratyczną elegancją i poczuł, że odwaga go opuszcza. Liz uwielbiała matkę i uważała ją za ciepłą, kochającą osobę, ale David nigdy nie odniósł wrażenia, że ta miłość obejmuje także outsidera z niższej klasy, intruza z północy, który odbił ich piękną córkę jakiemuś bankierowi albo maklerowi, którego powinna była poślubić. A teraz spotęgował swoją zbrodnię, krzywdząc i porzucając Liz.

Nie. Nie mógł tam jechać. Poza tym i tak nie było to odpowiednie miejsce do przekonywania Liz do swoich racji, kiedy jej matka będzie czaić się w cieniu i przypominać jej o oczywistej prawdzie – która, jak czuł całym sercem, wcale

prawdą nie była, już nie – że skoro David raz ją skrzywdził, mógł to zrobić ponownie.

Matka po prostu jej powie, jak zrobiłaby każda matka, że zgoda na jego powrót byłaby szaleństwem. Eleanor nie potraktuje go ulgowo ani nie będzie w stanie przyznać, że może jej córka też się przyczyniła do rozpadu ich małżeństwa.

„Nie rób tego – będzie radziła – nie pakuj się w ten masochistyczny związek; jesteś młoda, pamiętaj, że ludzie tak naprawdę się nie zmieniają. Znajdź sobie kogoś innego. Dobrego człowieka, przy którym poczujesz się bezpiecznie”.

Ale David wiedział, że to by były złe rady. Był dobrym człowiekiem i mógł zapewnić Liz takie bezpieczeństwo, jakiego tylko by chciała. Gdyby tylko dała mu drugą szansę.

Przynajmniej zostawi prezenty na ganku, więc Liz będzie wiedziała, że przyjechał. Wypakował je ostrożnie i zaniósł pod drzwi. Sterta świątecznych paczek wyglądała jakoś dziwnie na ciemnym ganku, jakby nie na miejscu, jak gdyby dostarczono je pod zły adres. Patrząc na nie, zdał sobie sprawę, że są rzucającą się w oczy wskazówką, iż dom stoi pusty. Niestety nie mógł ich tu położyć. Będzie musiał je zabrać i przywieźć jeszcze raz po świętach.

Zbierając prezenty, poczuł przemożną chęć, żeby coś zostawić. Może jakąś kartkę? Cokolwiek, byleby pokazać, że tu był. Ale co miałyby napisać? Nie, musiał porozmawiać z nią osobiście, osłabić jej protesty i przekonać ją siłą swoich argumentów oraz swojej miłości. A najlepszą taktyką będzie zaskoczenie.

Kiedy wrócił do samochodu, po raz pierwszy uderzyło go, że nie ma pojęcia, dokąd jechać. Jego marzenie kończyło się tutaj, przy kominku z Liz. A w marzeniach nigdy nie robi się planów awaryjnych na wypadek porażki, więc po prostu nie brał jej pod uwagę.

Powrót do Britt był wykluczony, a gdyby wrócił do własnego domu, ona by go tam znalazła. Gdyby odłączył telefon, przyjechałaby i czekała pod drzwiami. Znał Britt. Dostrzegł ironię tej sytuacji: on czekał przed chatką Liz, tak jak Britt czekałaby na niego przed jego domem. Odwieczny trójkąt. Banał, który rujnował ludziom życie od zarania dziejów. Kiedy Adam i Ewa byli jedynymi ludźmi na świecie, Ewa zaczęła coś kręcić z węzem.

No a co z przyjaciółmi? Musi mieć jakichś znajomych, do których mógłby pojechać. Ale uświadomił sobie, zszokowany, że właściwie nie ma ludzi na tyle bliskich, aby mógł zwalić się im na głowę dwa dni przed Gwiazdką. Wszystkich znajomych dzielił z Liz, a odchodząc od niej, wykreślił się z ich organizatorów. Przez chwilę wyobrażał sobie pośpiesznie maskowaną groźę i zaskoczenie na twarzy Berta, gdyby zjawił się na jego progu w Pinner, jak Ebenezer Scrooge w bożonarodzeniowy poranek.

W końcu przypomniał sobie, że jest takie miejsce, dokąd może się udać

i gdzie Britt go nie znajdzie. Ani nikt inny. W nagłej panice sięgnął do kieszeni kurtki. Tak, miał ten klucz.

Spędzi święta sam. I będzie myślał o czymś, co wydawało mu się nie do pomyślenia: co zrobi z resztą swojego życia, jeśli Liz jednak nie zechce go przyjąć z powrotem.

Rozdział 21

Było już po szóstej, kiedy Liz wreszcie zaparkowała przed domem i zaniósła Daisy, wykąpaną i przebraną w śpioszki, na górę do jej łóżeczka.

Kiedy zeszła na dół, od razu uderzyła ją panująca tu pustka. Zapaliła wszystkie światła i otworzyła drzwi do kuchni, żeby ciepło z agi ogrzało salon. Potem uklękła przy palenisku, ciesząc się, że przed wyjściem przygotowała drewno, i przyłożyła zapałkę do wysuszonej podpałki, która zaskwierczała wesoło, kiedy polana zaczęły się zajmować, napełniając pokój lekkim zapachem jabłoni.

Popatrzyła na świąteczne dekoracje, na wieniec na drzwiach, i nie mogła powstrzymać uśmiechu. Mimo całego partactwa i przeróbek, do których musieli się uciekać, wcale nie wyglądały tak źle. Może nie jak na zdjęciu w magazynie, ale i tak całkiem fajnie.

Ruszyła z powrotem do samochodu, a kiedy zapaliła światło na ganku, coś błysnęło w rogu. Schyliła się i zobaczyła, że to kawałek lśniącej srebrnej wstążki, takiej, jaką ozdabia się eleganckie prezenty. Często patrzyła, jak ekspedientki zręcznie obwiązują taką wstążką paczkę, a potem przejeżdżają po jej końcach rozłożonymi nożyczkami, żeby zwinąć je w spiralki. Dziwne. Nie zaprzatając sobie tym dłużej głowy, schowała wstążkę do kieszeni i poszła pomóc Jamiemu wyciągać choinkę z samochodu.

Britt siedziała niespokojnie na swojej ogromnej kanapie i zastanawiała się, co robić. Dochodziła siódma, a David nie dał znaku życia. Od dwóch godzin spodziewała się, że wróci lada chwila, skruszony i nieco szorstki. Na pewno będzie w stanie go przekonać, że to, co zrobiła, w istocie mu pochlebiało, bo wynikało po prostu z jej miłości do niego i jej desperacji, by go zatrzymać przy sobie, oraz szczerzej wiary, że ona potrzebuje go znacznie bardziej niż Liz. Liz była twardzielką. Zbuduje sobie nowe życie bez niego z dziecinną łatwością. Z pewnością David to zrozumie.

Britt zaparzyła czwartą filiżankę kawy i popatrzyła na zegar w kuchni.

Było jeszcze wcześniej.

– Fu, mamó, to jest ohydne!

Wykazując się nieomylnym gustem, Jamie porzucił czekoladowego Mikołaja nadziewanego obrzydliwą substancją zwaną „kremem” na rzecz bałwanka z mlecznej czekolady Cadbury’s. Jedzenie choinkowych ozdób było w rodzinie Liz rytuałem uświęconym tradycją. To dlatego w dzieciństwie tak lubiła pomagać mamie ubierać świąteczne drzewko.

Mimo wszystko, kiedy wyjęli z Jamiem z pudełek bombki, cukierki z niespodzianką, czerwone satynowe kokardki i błyszczące pudełeczka, wyglądające jak maleńkie prezenty, zaczęła czuć znajome radosne podniecenie.

Uwielbiała Boże Narodzenie i cieszyła się, że w tym roku spędzą je tutaj. Na drugi dzień świąt zostali zaproszeni do Ginny, a w pierwszy przyjedzie na obiad jej matka, obładowana prezentami dla wnucząt.

Natomiast David nic nie przysłał. Nagle zalała ją fala goryczy. Ewidentnie był zbyt przejęty ciężarną Britt, by zawracać sobie głowę kupowaniem prezentów dla własnych dzieci. Nie mogła uwierzyć, że potrafił być tak okrutny, wiedząc, ile prezenty dla nich znaczą. Nie chcąc oglądać ich zawiedzionych min, sama na wszelki wypadek coś dla nich kupiła i schowała głęboko w szafce. Jutro opakuje te zabawki i będzie udawać, że to podarki od Davida.

Kiedy Jamie zawiesił ostatnią ozdobę, Liz wyjęła lampki i udrapowała je na choince. Ten moment lubiła najbardziej. Niektórzy uważali, że te kolorowe, mrugające, są w złym guście, ale miała to gdzieś. Mrugające lampki choinkowe były częścią jej dzieciństwa. Zgasiła wszystkie światła w pokoju i ustawili się razem z Jamiem w oczekiwaniu na uroczyste włączenie pstryczka, które ogłosi początek świąt.

– Dawaj, Jamie. Jak Joan Collins na Oxford Street.

Z królewskim wdziękiem Jamie uniósł podbródek, zamknął oczy i wcisnął pstryczek. Rozbłysły dwadzieścia dwie kolorowe lampki, a Liz i Jamie zaczęli wiwatować i się ucałowali.

„Ale dlaczego – myślała Liz, usiłując rozwikłać jedną z wielkich nierozwiązanych zagadek wszechświata – dlaczego zawsze, co roku, znajdują się dwie cholerne lampki, które nie działają, mimo że wszystkie były absolutnie sprawne, kiedy wkładaliście je do pudełka?”

Britt włączyła telewizor i próbowała znaleźć coś, co oderwałoby ją od myśli o tym, gdzie podziewa się David i która to już jest godzina. Mówiła sobie, że mógł pójść do redakcji albo do jakiejś knajpy na biurową imprezę, a może nawet, biorąc pod uwagę jego obecny nastrój, do pubu, żeby się upić w trupa.

Mimo wszystko przez ostatnią godzinę musiała walczyć z chęcią obdzwonienia kilku numerów, pod którymi mógłby być. Sączyła bezkofeinową kawę i usiłowała nie przyznać przed samą sobą, że na pierwszym miejscu tej listy znajdował się jeden konkretny numer. Liz.

– Do łóżka, Jamie. No już, kochanie, to był pracowity dzień.

– Mamo? – Jamie spojrzał na nią z nagłą powagą. – Mógłbym zadzwonić do taty? Proszę! Bo może wyjedzie na święta?

Liz zamarła. Nie mogła przecież odmówić, ale co niby ma powiedzieć Davidowi i Britt? Jeśli nie wspomni o dziecku, oni mogą jej przekazać nowinę, a wtedy będzie musiała słuchać ich głosów przepełnionych radością i szczęściem. No cóż, nie była w stanie im gratulować ani życzyć powodzenia.

Czując się jak zła wróżka na chrzcinach Śpiącej Królowej, Liz sięgnęła po telefon i wykręciła numer Britt. Przeczekała z dziesięć sygnałów, ale nikt nie

odbierał. Z westchnieniem ulgi już miała się rozłączyć, mówiąc Jamiemu, że nikogo nie ma w domu, kiedy ktoś wreszcie podniósł słuchawkę.

Britt czekała na telefon cały wieczór, jednak kiedy wreszcie zadzwonił, skuliła się, jakby mógł ją zaatakować. Gdyby David miał wrócić, po prostu by przyszedł, trzeźwy i przekonany o swojej moralnej wyższości albo pijany i oskarżycielski, prawda? Telefon mógł oznaczać wyłącznie coś złego. Że nie wraca dzisiaj lub że nie wraca wcale.

Postanowiła nie odbierać.

Ale nieodebranie dzwoniącego telefonu wymaga determinacji, jaką mają tylko nieliczni, a Britt właśnie się przekonała, że do nich nie należy. Przy dwunastym dzwonku podniosła słuchawkę.

– Halo?

Kiedy tylko usłyszała głos Britt, Liz poczuła palący, dobrze znany gniew. Zakotłowały się w niej wszystkie niewypowiedziane oskarżenia o zdradę, o naruszenie świętych tabu przyjaźni. Uświadomiła sobie, że chce rozmawiać z Britt jak najkrócej.

– Cześć, Britt. Jest David? Jamie chce mu życzyć wesołych świąt.

Britt poczuła, jak zalewa ją fala ulgi, gdy zrozumiała, że jej największy koszmar się nie ziścił – David nie rzucił się prosto w ramiona Liz.

– Niestety, nie ma go. – Teraz, kiedy wiedziała, że nie poleciał z powrotem do żony, nie miała najmniejszego zamiaru przyznać się akurat Liz, że kompletnie nie wie, gdzie przepadł.

– Wiesz, kiedy wróci?

– Nie mam pojęcia. Poszedł na świąteczne zakupy. Pewnie zahaczył o jakąś winiarnię, żeby przeczekać korki.

Liz chciała się rozłączyć, zanim Britt zdąży powiedzieć jej o dziecku.

– Jasne. Możesz go poprosić, żeby zadzwonił jutro do Jamiego? Tylko na parę minut, żeby złożyć życzenia.

Britt przez chwilę poczuła się winna. A jeśli nie zobaczy się z Davidem? Trudno, będzie po prostu musiała podjąć to ryzyko. W końcu miała większe zmartwienia niż jeden głupi telefon.

Tuż po dwudziestej drugiej David wjechał do garażu przy Park Lane, wręczył kluczyki parkingowemu i przeszedł na drugą stronę ulicy do Grosvenor House, gdzie Logan Greene miał niewielkie, ale luksusowe mieszkanie z obsługą hotelową, służące mu do podejmowania zagranicznych biznesmenów, a od czasu do czasu także jakiejś kochanki. David rozważył i odrzucił ewentualność, że Logan może się tu pojawić z sekretarką w stroju swobodnym pod pachą, aby dokończyć wieczór po jednej z licznych imprez firmowych Greene Communications, które przybierały najróżniejsze formy: od ciepłego piwa i chipsów w redakcji „Daily News” po feuilletés au délice de saumon i szampana Krug z dobrego rocznika

w Savoyu dla kadry zarządzającej.

Jutro jednak była Wigilia, więc David uznał, że Logan Greene, prawy patriarcha, pohamuje swoje upodobanie do wysokich blondynek niepokojąco podobnych do jego córki i powróci na łono rodziny, do swej skromnej trzydziestopokojowej rezydencji nad rzeką w Bray.

Odkąd Logan przekształcił swój dom w centrum dowodzenia naszpikowane nowoczesną technologią telekomunikacyjną, z płaskoekranowymi telewizorami w gabinecie i sypialni, a nawet zamówił przenośny komputer, nie większy od aktówki, mógł się komunikować z ludźmi zaangażowanymi w każde z jego przedsięwzięć rozsianych po całym świecie nawet prosto z pola golfowego. David doszedł zatem do wniosku, że jego szef nie będzie potrzebował wyprawiać się do miasta przez co najmniej trzy dni, a właśnie tyle czasu David planował spędzić w jego mieszkaniu.

Kiedy telefon zadzwonił po raz drugi tego wieczoru, Britt była pewna, że tym razem to już musi być David, więc wyjątkowo długo docierało do niej, kogo tak naprawdę ma na linii.

– Dobry wieczór, Britt. Mówi Conrad Marks.

Britt spojrzała na zegarek. Było wpół do jedenastej. Przyszła jej do głowy irracjonalna myśl, że Conrad może mieć jakieś wieści o Davidzie. Co prawda trudno jej było wyobrazić sobie Davida wypłakującego się na drobnym ramieniu Conrada, ale nigdy nic nie wiadomo. Może wpadli na siebie w The Groucho Club?

– Pewnie się zastanawiasz, dlaczego dzwonię tak późno.

– Troszeczkę mnie zaskoczyłeś.

– Przepraszam. Jestem nocnym markiem. Wszystkie najlepsze decyzje podejmuję około drugiej nad ranem. Chciałem zapytać, czy mogłabyś wpaść jutro do mojego biura. Chciałbym omówić z tobą pewną sprawę i dopiąć ją, a przynajmniej poddać pod rozważenie, zanim wszyscy uciekniemy na łono chaosu i gehenny, to znaczy rodziny.

– O której miałabym przyjść? – Britt wciąż była oszołomiona i zdziwiona jego telefonem.

– Kiedy tylko ci pasuje.

– W południe? – Do tego czasu David na pewno się z nią skontaktuje, jeśli w ogóle będzie miał taki zamiar; poza tym może dobrze mu to zrobić, kiedy się przekona, że Britt nie siedzi przykuta do telefonu.

– Dobrze. Odwołam coś. Do zobaczenia jutro. Śpij dobrze.

Britt siedziała ze słuchawką w ręku jeszcze przez prawie minutę. Czego chciał od niej Conrad Marks, że był skłonny odwołać spotkanie w Wigilię, aby jej o tym powiedzieć? Odkładając słuchawkę na widełki, ze zdumieniem zdała sobie sprawę, że przez cały dzień ani razu nie pomyślała o pracy.

Liz obudziła się wcześniej niż zwykle i pokręciła się na łóżku, aż udało jej

się odsunąć zasłonkę dużym palcem u nogi. Gdy zamieszkała w kamiennym domku, z zachwytem odkryła, że kiedy leżała po lewej stronie łóżka i podłożyła sobie kilka poduszek pod głowę, widziała część ogrodu, kawałek sadu i paseczek pola naprzeciwko, nie musząc nawet wstawać.

Tego ranka poczuła przyływ energii. Była Wigilia, miała jeszcze mnóstwo roboty, więc włożyła gruby szlafrok i futrzane mokasyny, po czym zeszła po cichu do kuchni, żeby zrobić sobie herbaty. Dzięki adze, zaopatrzonej już w tyle paliwa, ile tylko zdołała pomieścić, było tu cudownie ciepło. Liz oparła się o piec, czekając, aż zagotuje się woda w czajniku, i mobilizując całą swoją silną wolę, żeby nie skubnąć jednej z babeczek z bakaliami, które upiekła wczoraj wieczorem. Wola okazała się za słaba, Liz spróbowała babeczki z lekkim poczuciem winy, po którym nastąpiło szybkie rozgrzeszenie z uzasadnieniem, że to w końcu święta.

Zabrała herbatę z powrotem do łóżka, żeby poleżeć jeszcze pięć minut w spokoju. Wychyliła się przez małe okienko z siateczką wzorów wymalowanych na szybie przez mróz. Patrzyła, jak nad doliną rozwiewa się mgła, odsłaniając czyste błękitne niebo, o niemal prowansalskiej głębi i barwie. Jednak temperatura nie była bynajmniej śródziemnomorska. Lekko drżąc, Liz szczerzej owinęła się szlafrokiem.

Spoglądając na spokojną dolinę, zastanawiała się, gdzie David spędzi święta. Może w jakimś luksusowym hotelu? Bo na pewno nie w domu. Nie potrafiła wyobrazić sobie Britt utyłanej po łokcie farszem do indyka.

Patrząc na obłoczki pary unoszące się z jej ust, przypomniała sobie swoją pierwszą Gwiazdkę z Davidem. Też w hotelu. Jej rodzice zdecydowali się na radykalne posunięcie i ogłosili, że spędzą święta w Szwajcarii. Dopiero po kilku dniach Liz pozbierała się po szoku, jakim było odkrycie, że jej rodzice są ludźmi. Dokonywali wyborów. I postanowili nie urządzać rodzinnych świąt, ale spędzić je we dwoje na nartach. Liz w skrytości była zgorszona i całkiem mocno urażona. Zawsze miała rodzinną Gwiazdkę. A kiedy David zaproponował, żeby wybrali się na święta do hotelu, uznała to za okropny pomysł. Hotele to nie miejsce na spędzanie Bożego Narodzenia, bez względu na to, co myśleli jej rodzice. Święta wśród obcych, kiedy obżarty, rozleniwiony człowiek nie ma nic do roboty poza siedzeniem, oglądaniem telewizji i czekaniem na następny posiłek – to brzmiało potwornie. „Tylko poczekaj – powiedział David – będziesz zachwycona”.

Faktycznie, miał rację, była zachwycona, chociaż nie od razu. Withyton Manor nie przypominał żadnego innego hotelu, w jakim się zatrzymała kiedykolwiek przedtem ani potem. Od chwili, gdy gość przestąpił próg Withytону, przenosił się w dziewiętnasty wiek. Liz dowiedziała się ze zgrozą, że ma się przebrać za wiktoriańską matronę, grać w gry towarzyskie i jeść faszerowaną gęś – ona, która nie cierpiała hoteli, w których trzeba było spoufalać się z gospodarzem czy choćby dzielić stolik z innymi gośćmi. Zapowiadał się koszmar, kilka dni

wśród nudziarzy z bokobrodami i kompleksem Sherlocka Holmesa. Ale okazało się, że były to jej najlepsze święta. Kiedy tylko wręczono jej szklaneczkę rumowego ponczu przyrządzonego według przepisu pani Beeton, zorientowała się, że prawie wszyscy z pozostałych dwadzieścioro gości są młodzi i przyjaźni, a także równie onieśmieleni jak ona, i zaczęła się rozluźniać, a z czasem dobrze bawić. Drugiego dnia świąt wygrywała już w kalamburach i potrafiła zaśpiewać *Daisy, Daisy* bez akompaniamentu.

Prawdziwą rewelacją okazał się jednak David. Nie podejrzewała go o takie talenty parodystyczne ani że potrafi odegrać cały numer rewiowo-kabaretowy, a jego sugestywna interpretacja piosenki *My Old Man Said Follow the Van* rozśmieszyła ją tak, że się popłakała.

Ale najlepsze były noce. Szczęśliwa i zmęczona po spacerze po parku albo długiej grze w kalambury zakładała wiktoriańską koszulę nocną i zostawała w niej aż całą minutę, zanim David też wszedł do łóżka. Kiedy ją z niej ściągał, śmiała się i była wdzięczna, że przynajmniej jedna rzecz nie pochodzi tu z epoki wiktoriańskiej – centralne ogrzewanie. Wciąż się śmiejąc, sturlali się z łóżka na podłogę i tam robili sobie rzeczy, których w czasach wiktoriańskich zdecydowanie by nie pochwalano, aż wreszcie zasnęli spleceni w uścisku, a potem obudzili się nad ranem zmarznięci i rozchichotani, i zrobili to wszystko jeszcze raz w szerokim mahoniowym łożu.

– Dzień dobry, Britt, usiądź. Czy mogę zaproponować ci kieliszek wina?

Conrad pociągnął łyżeczek z eleganckiego trójkątnego kieliszka, w którym rozpoznała część kolekcji One Only Svena Danska. Zapewne kosztował prawie tyle, co biurko, na którym stał. Metro musiało dobrze prosperować. Britt miała na końcu języka odpowiedź: „Nie, dzięki, jestem w ciąży”, ale instynkt podpowiedział jej, że tę informację najlepiej zachować dla siebie.

– Nie, dziękuję, Conradzie. Chętnie napiłabym się perriera.

Kiedy Conrad nalewał jej wody mineralnej, dodając lód i plasterek limonki, znów zaczęła się zastanawiać, co miało oznaczać takie przyjęcie z honorami. No dobrze, Conrad był zachwycony teleturniejem *I ty myślisz, że masz problemy*, poza tym pracowali nad innymi pomysłami dla Metra, ale aż do dziś była traktowana jak każdy inny niezależny producent, czyli nieco irytująca firemka, której prestiżowe i ważne Metro TV robi wielką przysługę, że w ogóle zamawia od niej programy.

A teraz to. Britt przyszło do głowy, że takie dogadzanie może oznaczać tylko jedno: Conrad chciał namówić ją do czegoś, co niekoniecznie by się jej uśmiechało. Może do współpracy z Metrem w jakimś nudnym Komitecie, utworzonym po to, by zrobić wrażenie na wielkich i sprawiedliwych tego świata? Britt zawsze próbowała wymigiwać się od wielogodzinnej pracy za darmo wyłącznie po to, żeby być dobrze postrzeganą w branży, ale może rzeczywiście przyszła pora, by się trochę pokazała. Jedynym powodem, dla którego w ogóle

ktokolwiek zasiadał w komitetach w tym opętanym obsesją własnego wizerunku świecie, była możliwość nawiązania kontaktów mogących kiedyś zaowocować jakimś stanowiskiem. Ale chyba Conrad nie dzwoniłby do niej o dwudziestą drugą trzydziści, nie odwoływał spotkania i nie zapraszał do biura w Wigilię tylko po to, żeby zaproponować jej członkostwo w jakimś Komitecie?

A potem, ni stąd, ni zowąd, błysnęła jej znacznie bardziej przekonująca myśl, która by wyjaśniała, dlaczego szef Metra odgrywał przed nią taki teatr i wymachiwał jej przed nosem swoją władzą niczym goryl w rui. Conrad chciał ją zaciągnąć do łóżka.

Britt powstrzymała uśmiech, uznając wybór tego momentu przez Conrada za wyjątkową ironię losu. Oto siedziała tu ciężarna, a ojciec jej dziecka właśnie zniknął, rozpluwając się w niewiadomym kierunku. Chyba jeszcze nigdy nie miała mniejszej ochoty na romans.

Tym razem jednak Britt się myliła. Bez względu na to, jak bardzo Conrad doceniał jej seksapil, dziś koncentrował się wyłącznie na interesach, nie przyjemnościach.

– Zastanawiasz się pewnie, dlaczego poprosiłem cię o spotkanie tuż przed świętami? – Conrad urwał i pozwolił, by to pytanie zawisło w powietrzu.

Britt wolałaby, żeby darował sobie ten teatr amatorski i przeszedł do rzeczy. Zaczynała ją lekko mdlić. Może, kiedy zrobi jej niestosowną propozycję, ona zażartuje: „Dobrze, a możesz tylko poczekać pięć minut, aż się wyrzygam?”.

Wypiła łyk wody Perrier i obciągnęła spódnicę celowo skromnym gestem.

– Zachodzę w głowę.

Conrad się roześmiał i przysiadł na biurku, przyjmując pozycję władzy numer sześć: zawsze pilnuj, by górować nad przeciwnikiem, i utrzymuj z nim kontakt wzrokowy.

– Mówiłem ci już, jak dobrze, moim zdaniem, radzą sobie *Problemy*?

– Owszem, doszły mnie słuchy. Bardzo się cieszę.

Conrad podniósł z biurka jakąś teczkę.

– Domyślasz się, co to jest?

„Na litość boską – miała ochotę warknąć Britt. – Co to ma być, gra w dwadzieścia pytań?”.

– Nie, Conradzie. Nie mam zielonego pojęcia.

– To analiza zrobiona przez konsultantów z MacKinnon's, dotycząca sposobu prowadzenia twojej firmy, Britt. – Conrad się uśmiechnął, widząc, że jego rozmówczyni nagle cała zamieniła się w słuch. – I muszę przyznać, że wyrażają się o twoich umiejętnościach w zakresie zarządzania bardzo pochlebnie. Od dwudziestu tysięcy funtów kredytu na rozpoczęcie działalności do trzech milionów funtów obrotu w ciągu trzech lat to ładne osiągnięcie. Zyski też są całkiem niezłe. Prawdziwa z ciebie businesswoman.

Britt zastanawiała się gorączkowo, co powiedzieć. Co, do ciężkiej cholery, ten Conrad kombinuje? Chce wykupić jej firmę czy co? Ile go kosztowało zamówienie takiego raportu? Dziesięć patyków? MacKinnon's nawet by nie kichnął za dychę, Conrad musiał wybulić minimum dwadzieścia.

– Pochlebia mi, że tak myślisz.

– To nie ja tak myślę. To MacKinnon's, a to znacznie istotniejsze. Ja mógłbym ulec twojemu niewątpliwemu urokowi, ale bezstronni eksperci z MacKinnon's doszli to tego wniosku, nawet cię nie widząc. – Conrad pociągnął łyk wina i uśmiechnął się z zachwytem. – A musisz wiedzieć, że księgowi nie mają duszy, mogłabyś leżeć nago, trzymając bilans, a panowie z MacKinnon's widzieliby tylko rzędy cyfr nad twoją lewą piersią.

Britt zignorowała obrót, jaki przyjęła rozmowa, i skierowała ją z powrotem na bezpieczniejszy grunt.

– A dlaczego nagle ty i MacKinnon's tak się interesujecie wynikami mojej firmy?

Britt spodziewała się wykrętnej odpowiedzi albo sugestii, by przynajmniej wezwali swoich doradców finansowych, była więc zupełnie nieprzygotowana na bombę, którą Conrad miał dla niej w zanadrzu.

– Ponieważ nie chciałem ci proponować stanowiska dyrektora programowej Metro TV, dopóki nie będę pewny twoich kwalifikacji biznesowych.

Britt machinalnie podniosła dłoń do ust i przygryzła paznokcieć.

– Chcesz, żebym to ja została dyrektorką Metra?

– W rzeczy samej. Pod warunkiem, że twoją kandydaturę zatwierdzi zarząd, oczywiście, ale nie spodziewam się tu żadnych problemów. Nie, kiedy zobaczą to. – Poklepał szarą teczkę leżącą na biurku.

– Ale przecież już macie dyrektora programową?

– Mamy pełniącą obowiązki dyrektora – poprawił Conrad. – A to różnica.

A zatem Claudia była na wylocie. Może zaniedbywała swoje obowiązki w łóżku pana i władcy, kiedy zaczęła być nieco bardziej zajęta w pracy?

– Ale dlaczego ja?

– Britt, jestem zdziwiony. Nie posądzam cię o taką skromność.

Britt uświadomiła sobie, że jeszcze chwila, a zawali tę rozmowę kwalifikacyjną. Nie powinna sprawiać wrażenia takiej zaskoczonej. Dlaczego nie miałby jej zaproponować kierowania Metrem? Bo nie miała prawie żadnego doświadczenia w tworzeniu programów, ot co.

– Wybrałem cię, bo jesteś przede wszystkim businesswoman. Ale potrafisz także robić programy. I *ty myślisz, że masz problemy* o tym świadczy. Możesz mi wierzyć, te dwa talenty rzadko idą w parze. Widzisz, Britt, chcę mieć na tym stanowisku kogoś, kto rozumie logikę zysku. Mam dosyć użerania się z bandą lewaków, którzy myślą, że mają święte prawo wyrzucać pieniądze w błoto

w imię pieprzonej kreatywności. Nazywają to wysokimi wartościami produkcji. A ja to nazywam nadmiernym wydatkowaniem.

Znów poklepał teczkę.

– Wiesz, Britt, ani jeden z programów, które zrobiłaś, nie przekroczył budżetu, a jednocześnie były to dobre programy.

– Jak to mówią: nikt nie daje ci nagrody za zmieszczenie się w budżecie.

– A widzisz, ja daję. A jeśli uda ci się dokonać cudu i także jako dyrektor tej stacji wydać mniej, niż przewiduje budżet, dam ci dziesięć procent niewykorzystanych środków. Do dupy z jebanym Międzynarodowym Festiwałem Filmowym w Cannes. To jest dopiero prawdziwa nagroda!

Britt słuchała jak zahipnotyzowana. Conrad mówił poważnie. Naprawdę serio. Jezus, gdyby jej się udało, byłaby bogata!

– Nie musisz podejmować decyzji w tej chwili. Pomyśl o tym przez święta, a ja cię zaproszę na spotkanie z zarządem.

Britt poczuła zalewającą ją falę emocji; wiedziała, że nie będzie musiała zastanawiać się przez święta. Oczywiście, że chciała tę pracę. Jakie to szczęście, że nie powiedziała mu o ciąży. Będzie musiała podpisać kontrakt, zanim Conrad się dowie.

Dopiero kiedy wstała ze skórzanej kanapy, wciąż oszołomiona, aż drżąc z euforii, uświadomiła sobie, że stanowisko, które właśnie jej zaproponowano, jeszcze nie tak dawno należało do Liz.

Kiedy tylko Britt weszła do mieszkania, rzuciła się do automatycznej sekretarki. Czerwony wyświetlacz ciekłokrystaliczny w prawym rogu pokazywał, że ma trzy wiadomości. Jedna z nich musiała być od Davida. Z walącym sercem przewinęła taśmę.

Pierwsza była wiadomość z jej biura, z aktualnymi szczegółami umowy, którą właśnie podpisali z IBM na kręcenie filmu korporacyjnego. Britt z niecierpliwością wcisnęła przycisk przewijania do przodu i obcięła początek drugiej wiadomości. Klnąc pod nosem, cofnęła taśmę. Na nagraniu asystentka Conrada pytała, czy mogłaby umówić ją wstępnie na spotkanie z zarządem Metro TV czwartego stycznia. Pan Marks z pewnością nie tracił czasu.

Została jeszcze tylko jedna wiadomość. Wstrzymując oddech, Britt czekała na początek nagrania. Cisza trwała tak długo, że to musiał być David – zastanawiał się, co powiedzieć, jak przeproszać. Poczuła napływające do oczu łzy i uświadomiła sobie, że z niepokoju przyłożyła obie dłonie do ust.

Ale to nie był David. Rozległ się głos kobiety, nieśmiały i zakłopotany, wyraźnie nieprzyzwyczajony do automatycznych sekretarek.

– Dzień dobry, Britt. Mówi pani Williams. Twoja matka. Mogłabyś do nas zadzwonić, skarbie? Sprawiałabyś tacie w święt... – Taśma skończyła się w połowie wiadomości od matki.

Czuając, że zalewa się łzami, Britt wzięła jedną z poduszek ze swojej białej kanapy i wtuliła w nią twarz, zanosząc się szlochem. Musiała płakać z dwadzieścia minut, aż makijaż doszczętnie jej się rozmazał, a poduszka pokryła się czarnymi smugami i włókienkami pogrubiającego tuszu do rzęs. Wiedziała, że płacze nad sobą, bo została sama i była w ciąży, i nad swoją matką, z którą nie rozmawiała od miesięcy i której życie tak bardzo różniło się od jej życia, że nigdy nie korzystała z automatycznej sekretarki i mówiła o sobie „pani Williams”.

W końcu wzięła się w garść i sięgnęła po pudełko chusteczek, które trzymała przy kanapie na wypadek, gdyby coś się na nią rozlało. Nie zauważając nawet poplamionej poduszki, podniosła słuchawkę i wykręciła numer do domu.

W pierwszej chwili pomyślała, że nikogo nie ma, ale potem zdała sobie sprawę, że matka może szorować frontowe schodki albo wieszać pranie w ogródku za domem. W końcu ktoś odebrał.

– Cześć, mamó, tu Britt. Mamó, przyjeżdżam do domu na święta.

Po drugiej stronie na chwilę zapadła cisza, kiedy do jej matki z trudem docierała ta zdumiewająca wiadomość.

– Och, Britt. – W głosie matki rozbrzmiewała radość. – Och, Britt, skarbie, to cudownie!

Kiedy Britt wy dostała się wreszcie z niekończącego się korka, utworzonego przez poirytowanych kierowców w wyjątkowo nieświętecznym nastroju, którzy parli na północ wylotówką z Londynu, zaczynała już czuć się lepiej.

Dobra, może trzeba będzie stawić czoło nieprzyjemnemu faktowi, że David nie wróci. Ale wtedy nie będzie musiała rodzić tego cholernego dziecka. Była dopiero w jakimś czwartym tygodniu. Mogła przyjąć propozycję Conrada i po cichu zapisać się na zabieg. Wszystkim, którzy by pytali, powiedziałyby, że poroniła. Zaczęłyby nawet budzić współczucie.

Trochę poweselała i błysnęła z irytacją światłami na ferrari kabriolet jadące tuż przed nią, z opuszczonym dachem – na litość boską, w Wigilię! Ferrari zjechało na środkowy pas i zwolniło, aż się z nią zrównało. Nie chciała jednak dawać kierowcy satysfakcji, że na niego spojrzy, więc wcisnęła mocniej gaz, chociaż nie mogła się oprzeć pokusie i zerknęła na niego w lusterku wstecznym, kiedy go wyprzedzała. Był to przystojny, roześmiany młody facet i najwyraźniej wiedział, próżny gnojek, że Britt na niego patrzy, bo posłał jej buziaka.

Zaciekawilo ją przelotnie, czym się zajmował, skoro ma taki samochód. Może był piłkarzem albo gwiazdą popu. Albo maklerem towarowym z City. Akurat wyglądał na takiego szemranego cwaniaczka.

Nagle zamrugały na nią światła z tyłu. Ferrari siedziało jej na ogonie, tym razem napierając, żeby ją wyprzedzić. Britt z irytacją wzruszyła ramionami. Jako blondynka w porsche była przyzwyczajona do takich zagrań. Do rajdowców, którzy rzucali jej wyzwanie, tylko po to, by udowodnić, jacy z nich macho.

Przypomniała sobie dowcip, który ktoś jej kiedyś opowiedział: „Jaka jest różnica między barszczem a bmw? Odpowiedź: właściwie żadna, jedno i drugie ma w środku buraka”. Za bmw można podstawić ferrari, gti czy jakiegokolwiek inne szybkie auto prowadzone zwykle przez agresywnego buca z jajami zamiast mózgu.

Na ogół Britt nie reagowała na takie zaczepki, nie poświęcając kierowcy najmniejszej uwagi. Ale dzisiaj miała ochotę pokazać mu, jaki z niego baran. Była to czysto instynktowna decyzja, zrodzona ze wstrętu Britt do depresji, do czucia się przegraną frajerką. Błysnęła światłami na samochód przed nią, a kiedy zjechał jej z drogi na środkowy pas, dodała gazu i wyprysnęła z rykiem silnika do przodu, a ferrari za nią.

Przez cztery czy pięć kilometrów wszystkie samochody im ustępowały, a euforia, jaką dawała jej prędkość, oraz perfekcyjna praca silnika porsche zaczęły przywracać Britt dobry nastrój i pewność siebie. Czowała się jak wojownicza królowa, potężna, niezwycięzona, niepodlegająca zasadom, które obowiązywały handlowców w sierrach czy nudnych kierowców vauxhalli, spłacanych w ratach po dychaczu tygodniowo.

Przed nią duży staroświecki rover, zbudowany jak czołg, z wąsatym oldbojem w czapce za kierownicą, ani myślał ustąpić i jechał twardo sześćdziesiąt dziewięć mil na godzinę, a porsche Britt oraz ferrari mrugały na niego światłami, zaledwie centymetry za nim. Jediną reakcją kierowcy rovera było wskazanie wymownym gestem prędkościomierza, by w ten pompatyczny sposób przypomnieć o obowiązującym ograniczeniu do siedemdziesiątki.

Zła na tego irytującego człowieczka, który nie miał prawa okupować szybkiego pasa, Britt złamała przepisy i wyprzedziła go z lewej, środkowym pasem. Ferrari nie powtórzyło jej manewru, ale trzymało się blisko za roverem, napierając na niego jak wściekły chart.

Nagle staruszek z wąsem stracił zimną krew i nawet nie patrząc, skręcił ostro na środkowy pas, prosto pod koła Britt. Spanikowana, dostrzegła przerwę w sznurze samochodów ciągnących wolnym pasem i zjechała w lewo, mając nadzieję, że ma miejsce.

Ale nie miała. Bojąc się spojrzeć do tyłu, usłyszała przeraźliwy pisk hamulców. Samochód za nią wpadł w poślizg, w odległości dosłownie metra, zarzucił tyłem na sąsiedni pas autostrady, a Britt zamarła i czekała na straszny huk, który musiał nastąpić, kiedy uderzy w niego następne auto.

Rozdział 22

Huk jednak nie nastąpił.

Britt patrzyła ze zgrozą, jak kierowca samochodu, którego zmusiła do hamowania, usiłuje odzyskać kontrolę, opanować tył auta ciągle tańczący na jezdni z ogłuszającym piskiem gumy na asfalcie, jak omal nie zderza się z samochodem obok, i wreszcie udaje mu się wyrównać tor jazdy.

Britt zjechała na pobocze. Kierowca zatrzymał się za nią, pobladły i roztrzęsiony. Żona zarzuciła mu ręce na szyję i zaczęła płakać. Britt zobaczyła, że to młody facet przed trzydziestką, w zdezelowanym renault 5. Z tyłu siedziało dwoje małych dzieci, a na półce za nimi leżały gwiazdkowe prezenty.

Wiedziała, że nigdy nie będzie w stanie zapomnieć tego widoku, choćby starała się z całych sił.

Nacisnęła guzik, żeby opuścić elektryczną szybę, i wystawiła głowę za okno. W szoku oddychała ciężko, płytko, ze zbielejących warg odpłynęła krew.

– O mój Boże – wymamrotała, z trudem łapiąc ożywcze zimne powietrze.

„Omam nie zabiłam całej tej rodziny, i siebie przy okazji. I dzieciaka – pomyślała po raz pierwszy – i mojego dziecka”.

Z wysiłkiem otworzyła drzwi, pochyliła się nad poboczem i gwałtownie wymiotowała.

David siedział otoczony samotnym luksusem mieszkania Logana Greene'a i zastanawiał się, czy odważy się zadzwonić do matki Liz. Bardzo chciał porozmawiać z Liz i dziećmi, powiedzieć im, że o nich nie zapomniał, że próbował przywieźć im gwiazdkowe prezenty.

Pożałował, że jednak nie zostawił kartki ani nie pojechał szukać Liz u jej matki. Może nie udałoby mu się przekonać jej, by pozwoliła mu wrócić, ale przynajmniej pokazałby, że mu zależy. Wziął głęboki wdech i wykręcił numer Five Gates Farm.

Matka Liz właśnie umieściła ostatnie walizki w bagażniku, ułożyła prezent dla Jamiego na półce pod tylną szybą i była gotowa ruszać do Crossways. Była zbulwersowana, kiedy dowiedziała się od Liz, że jej wnuk chce dostać stwora o nazwie Wojowniczy Żółw Ninja.

Jeszcze bardziej zbulwersowały ją autentyczne bójki, wybuchające między sprawiającymi wrażenie prostaków rodzicami usiłującymi zdobyć dla swojego potomstwa właściwą wersję tej ohydnej zabawki. A wszystko to działo się Hamleys, sklepie z zabawkami, który zawsze uważała za przyzwoity; nawet chodziła tam z małą Lizzie po pluszaki z *Kubusia Puchatka*. Omal nie dostała zawahu, kiedy okazało się, że został tylko Donatello Pływający w Kanałach. Jego pierwowzór chyba przewracał się w grobie! Żółwie Michelangelo i Leonardo,

a także Bojowy Raphael, na szczęście już się wyprzedały. Co się stało ze starym dobrym Kubusiem Puchatkiem? Bogu dzięki Daisy była jeszcze za mała, żeby zażyczyć sobie konkretnych zabawek, chociaż kto wie, pewnie za rok czy dwa będzie prosiła o Wojownicze Zmutowane Lalki Barbie.

Chociaż było dosyć zimno, zdjęła palto, złożyła je i umieściła na siedzeniu pasażera – nie cierpiała prowadzić w grubym okryciu wierzchnim – sprawdziła, czy ma torebkę w samochodzie i weszła do domu, żeby jeszcze raz rzucić na wszystko okiem. Okna były zamknięte, centralne ogrzewanie nastawione na włączanie się tylko w środku nocy, co zapobiegało pękaniu rur, a tylne wejście zaryglowane. Na szczęście była za stara i zbyt nieobeznana z techniką, żeby zawracać sobie głowę automatyczną sekretarką. Wszyscy młodzi teraz je mieli, istne maszyny piekielne. Czasami podejrzewała, że służyły głównie do tego, by twoje dzieci udawały, że ich nie ma, kiedy pozwoliłaś sobie do nich zadzwonić. Poza tym, kto miałby jej do powiedzenia cokolwiek na tyle pilnego, żeby nie mogło poczekać, aż wróci?

Automatyczne sekretarki zaliczała do tej samej kategorii, co magnetowidy, i nie posiadała ani jednego, ani drugiego. Ciągłe słyszała od Liz, że akurat jej magnetowid by się przydał, skoro zawsze narzekała, że programy, które chciała obejrzeć, są albo nadawane za późno, albo kolidują z innymi. Ale Eleanor nie życzyła sobie magnetowidu. Byłby to tylko jeszcze jeden kłopot. Poza tym nawet lubiła psioczyć na tą straszną telewizję. Kiedy człowiek się starzał, zrządzenie stawało się jedną z niewielu przyjemności, jakie mu pozostawały.

Uśmiechając się do siebie, zamknęła drzwi na dwa razy i ruszyła do samochodu. Gdy ostrożnie siadała za kierownicą, przeklinając lekki reumatyzm, który zaczynał jej przypominać, że nie miała już dwudziestu jeden lat, usłyszała dzwonek telefonu.

Powoli wysiadła i skierowała się z powrotem do domu, zapominając, że klucze są w torebce na przednim siedzeniu. Klnąc zaskakująco mało wytwornie, wróciła po nie, szarpiąc się w pośpiechu z suwakiem. W końcu je znalazła i pognęła do drzwi tak szybko, jak tylko pozwolił jej reumatyzm. W momencie, gdy włożyła klucz do zamka, telefon przestał dzwonić.

– Britt, skarbie, witaj w domu!

Matka nieśmiało wzięła od niej walizkę, wycofując się do wąskiego przedpokoju ich małego bliźniaka, takiego samego jak wszystkie inne na tym anonimowym osiedlu, i postawiła ją na wytartym kwiecistym dywanie.

Wchodząc, Britt od razu poczuła znajomy zapach biedy. Nie biedy nieudolnej, śmierdzącej potem, stęchlizną i starym olejem do frytek. To była woń przyzwoitej, uczciwej biedy: dettolu, odświeżacza powietrza i prania suszącego się w pokoju gościnnym.

Matka nie dotknęła Britt, nawet nie uściśnęła jej ręki, oczywiście nie

pocałowała. Britt pomyślała o jej szwedzkim rodowodzie. Jej nordyccy krewni ciągle dawali sobie buzi i klepali się po plecach. Pod względem całowania byli jeszcze gorsi od londyńczyków. Ale matka wdała się raczej w rodzinę z Yorkshire, a rozdawanie buziaków na prawo i lewo nie należało do miejscowych zwyczajów. Przez chwilę Britt usiłowała wyobrazić sobie swojego ojca całującego kumpla w pubie w oba policzki i z trudem powstrzymała uśmiech. Gdyby coś takiego zrobił, nikt by się już nigdy do niego nie odezwał.

Britt popatrzyła na paplającą nerwowo matkę. Wydawała się jeszcze bardziej spracowana i wyblakła niż zwykle. Pewnie postanowiła na cześć Britt wypucować dom na błysk i wykończyć się sprzątaniami.

Ku zdumieniu Britt matka twierdziła, że lubi zajmować się domem, i ograniczała do minimum zakupy usprawniających pracę urządzeń. Gdyby boom konsumpcyjny zależał od pani Mary Williams z osiedla Acacia Gardens w Rothwell, to firmy Zanussi, Hoover i AEG już dawno by zbankrutowały.

Kupiła niedawno starą pralkę automatyczną, ale nie życzyła sobie w domu suszarki bębnowej, a już na pewno żadnej wymyślnej maszynki do robienia makaronu ze sklepu Elizabeth David ani ekspresu do kawy. W Acacia Gardens piło się herbatę.

Britt zawsze też zdumiewało, że matka, podobnie jak wiele starszych kobiet z osiedla, rygorystycznie przestrzega starej zasady, że w poniedziałek robi się pranie. Gdyby ktoś jej zaproponował wycieczkę w poniedziałek podczas szkolnych wakacji, odpowiedziałyby oburzona, że przecież poniedziałek to dzień prania. Britt podejrzewała, że gdyby przyjechała wystarczająco wcześnie, przyłapałaby matkę na nacieraniu kuchenki gazowej smarem grafitowym.

– Wejź i przywitaj się z ojcem.

Britt odstawiła torebkę, dopiero teraz zdając sobie sprawę, że ojciec nie wyszedł do niej do przedpokoju. Idąc za mamą do niewielkiego salonu, przygotowała się na szorstkie jak zwykle powitanie i nieuchronny wybuch konfliktu charakterów. Wiedziała, że prędzej czy później, czy to po pięciu minutach, czy po pięciu godzinach, pokłóci się z ojcem, a matka będzie latać wokół nich jak przymilny komar, usiłując gasić iskrzące uszczypliwości herbatą i ciasteczkami.

Ale ojciec nie siedział na swoim krześle, gotowy do strzału, z wycelowaną w nią pierwszą tego dnia kąśliwą uwagą. Drzemał w fotelu matki przy kominku, w którym napalono węglem z jego skromnego przydziału, dodatku do górniczej pensji, z pledem na kolanach. Matka delikatnie go nim otuliła.

– Dużo śpi od czasu tej sprawy z sercem.

Britt zerknęła na matkę ze zdziwieniem, a w jej oczach dostrzegła jakby lekką skruchę.

– Trzy tygodnie temu miał niegroźny zawał.

– Rany boskie, mammo, dlaczego mi nie powiedziałaś? Od razu bym przyjechała!

– Wiem, słonko, wiem. Ale nie chcieliśmy cię martwić. Jesteś taka zajęta. A wiesz, jaki jest twój ojciec. Nie lubi robić wokół siebie zamieszania.

Britt patrzyła na matkę z niedowierzaniem. Ojciec miał zawał serca, a oni nie chcieli jej tym martwić. Co z niej, ich zdaniem, była za córka?

Po raz drugi tego dnia Britt otarła się o sprawy życia i śmierci. Czowała się, jakby poraził ją piorun i wstrząs rozszedł się po całym jej ciele. Jej ręka powędrowała machinalnie do twardego, napiętego brzucha, w którym gdzieś głęboko tkwił maleńki załazek nowego życia. Zrozumiała, że odizolowała się od nieszczęść innych ludzi, nawet własnych rodziców, bo strach, ból, krzywdą w ogóle jej nie dotyczyły. A teraz wreszcie ją dopadły.

Pochyliła się cichutko nad śpiącym ojcem i pocałowała go delikatnie w czubek łysej głowy. Przypomniała sobie, jak była małą dziewczynką, siadała mu na kolanach i uważała, że jest wspaniały. Szkoda, że życie nie mogło być znów takie proste.

David przejrzał hotelowe menu na jutro i poczuł wdzięczność, że nie będzie musiał ani głodować, ani dokonywać żalosnej próby kupienia jakiegoś gotowego dania i bożonarodzeniowego puddingu dla jednej osoby. Świąteczne menu Grosvenor House było wystawne jak w każdym pięciogwiazdkowym hotelu. Pewnie przy nakryciu położą papierową czapeczkę i *crackera*^[8], którego będzie musiał otworzyć sam albo z kelnerem.

Pociągając duży, znieczulający łyk szkockiej, sięgnął po pilota i zaczął skakać po kanałach. Zatrzymał się na chwilę na Sky News, zadając sobie pytanie, czy nie powinien dać znać redakcji, gdzie jest. Uznał jednak, że nie ma takiej potrzeby. W święta nigdy nic się nie działo, ludzie na ogół czekali z dokonywaniem porwań, masowych morderstw, bombardowań i inwazji do 27 grudnia, kiedy media informacyjne wracały do pracy. W ten sposób relacje o ich wyczynach docierały do szerszej publiczności. Szanse na jakąś prawdziwą sensację, która wymagałaby jego zaangażowania, wynosiły mniej więcej jak jeden do stu. Postanowił zaryzykować.

– Mamo! Kiedy możemy otworzyć prezenty? Mamo?

Była dziesiąta rano w Boże Narodzenie, a Liz zastanawiała się, jak długo jeszcze da radę odwlekać ten upragniony przez dzieci moment. Zazwyczaj przestrzegali uświęconego tradycją rytuału, każącego im czekać co najmniej do jedenastej. Wtedy David rozdawał prezenty i zostawało czasu w sam raz na kieliszek likieru Pimm's oraz szybki spacer przed świątecznym obiadem. Ale jaki, u licha, sens miało trzymanie się tradycji w tym roku?

– Dobra, Jamie, za chwileczkę zejde. Prezenty za dziesięć minut!

Liz dokończyła zapinać guziki Daisy i cofnęła się o krok, żeby na nią

popatrzeć. Sukienka w szkocką kratkę z białym marynarskim kołnierzem wyglądała cudownie, a Daisy nawet pozwoliła jej zawiązać na swoich blond lokach czerwoną świąteczną kokardkę. Biorąc córkę na ręce, Liz przypomniała sobie z goryczą, że David nawet nie oddzwonił, więc w wigilijny wieczór, który powinien być najradośniejszym w roku, Jamie, zamiast czekać z przejściem na Świętego Mikołaja, wytrwale płakał, aż usnął.

Leżąc samotnie po obudzeniu w wielkim łóżku, David spojrzął do góry, na lustro na suficie, ale nawet myśl o Loganie, który umieścił je tam akurat pod takim kątem, żeby móc oglądać siebie, tygrysa zarówno w seksie, jak i w biznesie, nie poprawiła mu nastroju. Bogu dzięki udało mu się zmienić tę idiotyczną satynową pościel na praktyczną bawełnianą, którą znalazł upchniętą w szafie.

Zdał sobie sprawę, że kiedy postanowił tu przyjechać, nie miał pojęcia, jak to będzie spędzić trzy dni samemu, zwłaszcza te trzy dni. Był w końcu zmuszony przyznać, że czuje się niesamowicie samotny. Wyjście było tylko jedno. Będzie musiał jeszcze raz spróbować porozmawiać z Liz i dziećmi.

Wykręcił numer do matki Liz i przeczekał dwadzieścia sygnałów, zanim stwierdził, że sprawa jest beznadziejna. Nikogo nie było w domu. Może pojechali do jakiegoś hotelu. A potem pomyślał o Ginny. Ginny będzie wiedziała, gdzie jest Liz. Może nawet Liz była u niej. Na litość boską, dlaczego wcześniej na to nie wpadł?

Podniesiony na duchu, zaczął szukać jej numeru. Może go nie miał. Nie, zapisał go, Bogu dzięki.

Ginny odebrała natychmiast. Odgłosy w tle sugerowały, że była w kuchni. Zobaczył tę kuchnię oczami wyobraźni: ciepłą, pełną cudownych aromatów, przytulną, i przez chwilę poczuł irracjonalną nadzieję, że może Ginny zaprosi go na święta.

– Cześć, Ginny. Tu David. Czy przypadkiem nie ma u ciebie Liz? – zapytał, szybko przechodząc do rzeczy, by nie dać jej okazji do okrzyków zdziwienia.

– Liz? Nie. A nie ma jej w Crossways? Była u mnie wczoraj, pożegnałyśmy się około szóstej i mówiła, że jedzie prosto do domu.

W słuchawce zaległa cisza. Do Davida powoli docierało to, co usłyszał. Musiał się z nią minąć tylko o pół godziny! Wcale nie wyjechała!

Brak odpowiedzi zaniepokoił Ginny.

– David, chyba nie stało się nic złego? Nie miała wypadku ani nic w tym rodzaju?

– Nie, nie. Pewnie siedzi przy kominku i otwiera prezenty. – Ginny wydało się, że słyszy w jego głosie gorycz. – Nie pomyślałem, żeby spróbować złapać ją w do domu – dodał nieprzekonująco. – Wielkie dzięki, Ginny. Zaraz do niej zadzwonię.

Odkładając słuchawkę, Ginny zastanowiła się przez chwilę, czy dobrze

zrobiła, mówiąc Davidowi, gdzie jest Liz. Jeden telefon jednak na pewno nie zaszkodzi. Mógł nawet pomóc. W końcu byle półgłówek by się zorientował, że ci dwoje nadal są w sobie zakochani.

– Popatrz, mam, to Donatello! – Jamie pomachał ohydną zabawką i dał Eleanor wielkiego buziaka. – Dzięki, babciu, mam już Michelangela i Raphaela. Aha, i Leonarda. Superancko!

Eleanor pokręciła głową z uśmiechem.

– Jamie, wiesz, że Michelangelo, Raphael i Leonardo byli prawdopodobnie największymi malarzami w historii?

Jamie popatrzył na nią cierpliwie, z wyrozumiałością.

– Wiesz, babciu, oni nie są prawdziwi, tylko z plastiku. Nie mogli namalować żadnych obrazów!

Liz omal nie parsknęła śmiechem. Na szczęście, Daisy ciągle jeszcze lubiła pluszowe zabawki i pozytywki grające melodię *How Much Is That Doggy in the Window?*

Podczas gdy jego siostra ignorowała wręczone jej prezenty, zafascynowana za to ozdobnym papierem, Jamie rzucił się do dalszego otwierania swoich. Ginny zrobiła mu na drutach sweter ze zwierzętami z zoo, no i był jeszcze rower, który Liz zdobyła podstępem, próbując zainteresować go czymś więcej poza masakrą w kosmosie.

– Super, mam, jest ekstra!

Wiedziała jednak, że tak naprawdę czekał na otwarcie ostatniego prezentu, wielkiego kwadratowego pudła. Kryła się w nim najbardziej upragniona przez niego rzecz, więc Liz zostawiła ją na koniec i udawała, że to od Davida. Skoro nawet nie chciało mu się zadzwonić, o prezentach tym bardziej nie pamiętał.

W pudle był statek kosmiczny Manta Force, o którym Jamie mówił Britt.

– Proszę, Jamie. To od tatusia.

– Och, mam... – Jamie, z oczami błyszczącymi radosnym podnieceniem, gorączkowo zdarł ozdobny papier. – I ma nawet wyrzutnię rakiet! Skąd tata wiedział, że chcę go dostać? – Jamie zaczął rozpakowywać czerwono-czarnych kosmicznych komandosów. – Już wiem. Musiał usłyszeć, jak mówiłem tej pani, co z nim była.

Liz unikała spojrzenia matki.

Nagle Jamie popatrzył na nią podejrzliwie.

– Kiedy tatuś to przywiózł?

– Wtedy, kiedy się z wami spotkał w Londynie – wymyśliła na poczekaniu Liz. – Jak was odwoził, miał to w bagażniku.

Jamie odłożył komandosów i wbił w nią oskarżycielski wzrok, boleśnie mrużąc oczy. Oszukała go. Ona, jedyna osoba, o której sądził, że może jej ufać.

– Nieprawda. Bagażnik był pusty, oprócz tych pieluszek, co ta pani kupiła.

Serce jej się ścisnęło, gdy usłyszała ten łamiący się głosik i zobaczyła błyszczące od łez oczy oraz twarz, z której znikają radość i szczęście.

– To wcale nie od tatusia! – krzyknął. – Tylko od ciebie! To ty kupiłaś!

Odepchnął zabawkę, która przed chwilą sprawiła mu taką przyjemność, i zanosząc się szlochem, wybiegł z pokoju, odprowadzany bezradnym spojrzeniem Liz, której nie przychodziły do głowy żadne słowa zdolne złagodzić jego poczucie krzywdy.

Matka wyciągnęła rękę, ujęła jej dłoń w swoją i mocno ścisnęła. Liz spojrziała na nią z wdzięcznością.

– To naprawdę było od ciebie? – spytała Eleanor.

– Oczywiście. David nawet nie zadzwonił z życzeniami. Do własnych dzieci! Pewnie był za bardzo pochłonięty myśleniem o tym cholernym dziecku!

– Jakim dziecku?

Dlaczego nie ugryzła się w język? Z szacunku do samej siebie nie chciała, żeby matka dowiedziała się o ciąży Britt. Z jakiegoś powodu ta ciąża wydawała jej się ostateczną, niewybaczalną, upokarzającą zdradą.

Matka rozłożyła ramiona.

– Och, Lizzie, moje biedne kochanie.

Skoro już to wyznała, skoro matka poznała jej ostatni sekret, Liz rzuciła się w jej objęcia i zaczęła płakać, aż Daisy, do tej pory nieporuszona tym szalejącym wokół niej tajfunem emocji, nagle zawtórowała jej wyciem.

Dzwonek telefonu był takim zaskoczeniem, że zarówno Liz, jak i Daisy, umilkły. Liz sięgnęła po chusteczkę i pociągnęła nosem.

– Odbierzesz, mamo? Pewnie Ginny dzwoni, żeby nam życzyć wesołych świąt.

Ale to nie była Ginny.

– Dzień dobry, Eleanor. Tu David. Mogę prosić Liz?

Spanikowana Liz pokręciła gwałtownie głową.

– Przykro mi, Davidzie – odparła Eleanor głosem tak zimnym, jakby ciosała słowa, głoska po głosce, w górze lodowej. – Właśnie uspokaja Daisy.

David nie miał zamiaru dać się spławić Eleanor; nie spodziewał się przecież, że pójdzie mu z nią gładko.

– W takim razie czy mogę mówić z Jamiem?

– Przykro mi raz jeszcze. – Liz zastanawiała się, czy pod wpływem głosu jej matki David dostał już odmrożeń. – Poszedł na górę do swojego pokoju. Obawiam się, że jest w tej chwili dość zdenerwowany.

Liz wyobraziła sobie Davida w jakimś luksusowym hotelu z Britt, jak zmusza się, żeby zadzwonić na chwilę do swojej byłej rodziny, tak by móc zasiąść do świątecznego obiadu z czystym sumieniem i poczuciem spełnionego obowiązku. Ta myśl rozwścieczyła ją tak, jak jeszcze nic w życiu.

Rzuciła się do telefonu i wyrwała zaskoczonej matce słuchawkę.

– Cześć, David, tu Liz. Chciałbyś się dowiedzieć, dlaczego twój pięcioletni syn jest na górze i wypłakuje sobie oczy? Bo nie dostał nic na Gwiazdkę od ojca, a kiedy ja mu kupiłam prezent i udawałam, że to od ciebie, nie uwierzył mi. Mam nadzieję, że spędzasz naprawdę radosne święta, tak jak my! Żegnaj, Davidzie! I wielkie dzięki.

Na wypadek, gdyby usiłował oddzwonić, wyszarpnęła wtyczkę z gniazdka z taką siłą, że omal nie wyrwała kabla telefonicznego ze ściany.

David siedział poblady, zeszywniały z gniewu, gapiąc się na telefon. Dotychczas uważał Liz za ciepłą, wyrozumiałą osobę, a nie bezduszną żonę, która właśnie na niego nawrzeszczała, nie dając mu nawet szansy na obronę. Nieważne, jak bardzo się starał, zawsze zawinił.

Nalewając sobie dużą whisky, po raz pierwszy zadał sobie pytanie, czy Liz się zmieniła i czy przez ostatnie kilka tygodni nie uganiał się przypadkiem za wytworem fantazji, ani trochę nieprzypominającym prawdziwej kobiety.

W swoim poczuciu krzywdy zupełnie nie dostrzegał, że jeśli Liz się zmieniła, to dlatego, że ją zranił, a co gorsza zranił także dzieci, i że jego marzenie o powrocie w jej otwarte ramiona może być jednak nierealne. Nie przyszło mu też do głowy, że jej zaufanie może odzyskać nie za pomocą jakiegoś wielkiego gestu czy sprytnej taktyki, lecz jedynie dając jej czas i okazując wyrozumiałość.

Wpatrywał się markotnie w szklankę. Wiedział tylko jedno: kocha Liz, a instynkt podpowiadał mu, że ona też go kocha. Co więc takiego stało na przeszkodzie, by dwoje dorosłych ludzi mogło się dogadać?

Przekonany przez własną racjonalność, że dzieli ich tylko wąski pas ziemi, a tuż za nim rozciąga się zielona, słoneczna dolina, postanowił spróbować jeszcze jeden, ostatni raz.

Kiedy powtarzający się wciąż w słuchawce sygnał zajęty uświadomił mu, że wolą odłączyć telefon niż z nim rozmawiać, uznał, iż pozostało mu już tylko jedno: zamierzał się bardzo, bardzo upić.

Rozdział 23

Britt została obdarzona zdolnością – przydatną dla niej, lecz irytującą dla innych – zasypiania natychmiast po przyłożeniu głowy do poduszki. Ale w wigilijną noc ten talent po raz pierwszy ją zawiódł.

Wydawało jej się, że cztery ściany pokoju, tak ciasnego w porównaniu z jej przestronnym, widnym loftem, napierają na nią, a nylonowa pościel lepiała się nieprzyjemnie do ciała. Była przyzwyczajona do wykrochmalonej świeżości bawełny, więc niczym księżniczka na ziarnku grochu czuła każdą wystającą nitkę, każdą skazę materiału, które sprawiały, że skóra ją swędziała, i nie pozwalały jej spokojnie zasnąć.

Kiedy wreszcie zamykała oczy i odpływała w sen, przenosiła się z powrotem na autostradę, tyle że tym razem samochód, któremu zajęchała drogę, nie odzyskał kontroli, tylko kręcił się jak bączek, w szaleńczym tempie, po czym wypadł z drogi, stoczył się z nasypu, uderzył w słup i stanął w płomieniach, rozrzucając gwiazdkowe prezenty po zaśmieconym polu.

O szóstej trzydzieści Britt obudziła się zlaną potem, którego nie wchłonęła nylonowa pościel. Miała za sobą najgorszą noc w życiu. Kiedy usiłowała usiąść, zrobiło jej się lekko niedobrze. Uświadomiła sobie, że to poranne mdłości i pobiegła do łazienki.

Ledwie zdążyła pochylić się nad toaletą, nudności minęły. Dygocząc z zimna, przeklinała rodziców za brak centralnego ogrzewania. Z jej ust unosił się obłoczek pary, a kiedy przysunęła się do lustra, oszroniło się, zanim zdążyła zobaczyć, czy wygląda tak źle, jak się czuje.

Momentalnie wróciły do niej wspomnienia. To przenikliwe zimno, towarzyszące jej przez całe dzieciństwo w tym domu. Uśmiechnęła się, przypominając sobie, jaką w tamtych latach opracowała „technikę przetrwania”. Przed położeniem się spać przygotowywała sobie ubrania do szkoły, a kiedy rano matka pukała, żeby ją obudzić, zakładała je w łóżku z zamkniętymi oczami, wyobrażając sobie, że jest biedną, niewidomą dziewczynką. Wstawała z ciepłej pościeli dopiero kompletnie ubrana i w tym momencie cudem odzyskiwała wzrok, więc mogła samodzielnie założyć ciężkie, czarne sznurowane buty i zbiec na dół na śniadanie – talerz błyskawicznej owsianki Ready Brek, okraszonej gorzką konstatacją, że ta mdła breja bynajmniej nie otacza jej widoczną, ciepłą poświatą, jak to obiecywała telewizyjna reklama.

W Yorkshire odpowiedzią na wszystkie problemy była filiżanka herbaty, więc Britt postanowiła zejść do kuchni i ją sobie zaparzyć. Dopiero na dole schodów, kiedy ujrzała niewielką choinkę z lampkami migającymi dziwnie na różowo i czerwono, jak neon motelu w szmirowatym hollywoodzkim filmie,

przypomniła sobie, że to Boże Narodzenie. Zobaczyła też matkę, która – czy to święta, czy nie – już wstała i klęczała teraz w swoim starym nylonowym szlafroku przed kominkiem, rozpalając ogień.

– Dzień dobry, skarbie, dobrze spałaś?

Już miała wyznać, że była to najgorsza noc w jej życiu, ale coś ją powstrzymało i odpowiedziała z uśmiechem:

– Tak, mam, w porządku.

Przyglądając się przez chwilę w milczeniu matce, przypomniała sobie jej zdjęcia w rodzinnych albumach. Matka, teraz wyblakła i znerwicowana, była kiedyś ładna i pełna życia. Na początku małżeństwa promieniała szczęściem. A jednak, kiedy patrzyła na nią, jak klęczy w tym swoim szlafroku, Britt poczuła się w tym ciasnym podmiejskim gniazdku jak intruz. Uświadomiła sobie, z nieznanym dotąd ukłuciem żalu, że jej losy potoczyły się zupełnie klasycznie.

Jej rodzice, wierząc, że wykształcenie to potęga oraz dar, do którego dziewczynki powinny mieć takie same prawa jak chłopcy, zaciskali pasa i oszczędzali, żeby zapewnić jej jak najlepsze możliwości. Zachęcili ją, by poszła do dobrego państwowego liceum, a potem na Oksford. I stopniowo, z każdym nowym osiągnięciem, coraz bardziej się od nich oddalała, aż w końcu doszła do takiego etapu, że nie miała z nimi prawie nic wspólnego.

Gdy tak siedziała, pijąc herbatę, wróciło do niej kolejne wspomnienie, dotąd zepchnięte gdzieś głęboko i wypierane ze świadomości, przynosząc ze sobą mdlące poczucie wstydu, którego nie uległo zatarciu nawet mimo upływu lat.

Dwanaście lat temu, dzień rozdania dyplomów na Oksfordzie, dla rodziców moment, który przekonuje ich, że warto było oszczędzać, poświęcać się i ponosić wszelkie wyrzeczenia. Dzień, w którym ich synowie bądź córki, ubrani w togi i birety, gromadzili się w pełnym rokokowego splendoru Sheldonian Theatre i odbierali dyplomy z rąk kanclerza uniwersytetu, po czym przystępowali do najświętszego ze wszystkich rytuałów: pozowania do zdjęcia, które miało zająć honorowe miejsce na kominku oraz w rodzinnym albumie.

A ona pozbawiła ich tego jedyne momentu, gdy mogli uczestniczyć w jej chwale, ponieważ się ich wstydziła.

Britt, teraz elegancka i wyrafinowana, obracająca się wśród sztywnego towarzystwa na uczelni, nie była w stanie znieść myśli o ojcu w źle dopasowanym garniturze i matce w sukience z krempliny oraz pożyczonym ślubnym kapeluszu, którzy będą błąkać się z zakłopotaniem wśród bogatych biznesmenów i utytułowanych rodziców jej nowych przyjaciół. Dlatego ich zbyła, mówiąc, że nie będzie na uroczystości, bo wyjeżdża na wakacje, a dyplom każe sobie przysłać pocztą.

Mimo to poszła na rozdanie dyplomów. Stojąc w grupie roześmianych znajomych, odwróciła się i zobaczyła jedyną swoją koleżankę z liceum Rothwell

Grammar, również studiującą na Oksfordzie, która przyglądała się jej ze swoimi rodzicami. Britt oblała się zimnym potem, a cały uroczysty dzień zepsuł jej lęk, że jej rodzice mogą jednak odkryć prawdę: że za bardzo się krępowała, by ich zaprosić.

Jeśli nawet się dowiedzieli, nigdy nic na ten temat nie zostało powiedziane. Ale kiedy dziś rano patrzyła na pustą półkę nad kominkiem, gdzie powinno dumnie stać zdjęcie z rozdania dyplomów ich jedynaczki, poczuła taki wstyd, że musiała odwrócić wzrok.

Matka uśmiechnęła się swoim wyblakłym uśmiechem do Britt, przycupniętej na poręczy niewygodnej kanapy w kimonie z surowego jedwabiu, które prawdopodobnie kosztowało więcej niż cały stojący w salonie komplet wypoczynkowy.

– Ciepło ci, skarbie? Za minutkę się rozpali.

Britt patrzyła zafascynowana, jak matka kończy splatać strony starych numerów „Daily Mirror” w zgrabne cegiełki, tworząc podpałkę, i układa ją starannie w palenisku, przykrywając gałązkami i węglem, a potem przykłada zapalnik i słucha syczenia i trzasków, świadczących o tym, że podpałka zajmuje się ogniem. I po raz pierwszy Britt olśniła myśl, że bez względu na to, co ona o tym myślała, jej rodzice są zadowoleni ze swojego życia, czują się bezpieczni dzięki codziennym rytuałom i zdecydowanym przekonaniom, czerpią siłę ze wspólnego działania w żywej społeczności. I że to ona, która tak żarliwie wierzyła w jednostkę, której credo głosiło, że możesz mieć wszystko, czego zapragniesz, jeśli tylko bardzo się postarasz, a jedyną osobą, która naprawdę może ci pomóc, jesteś ty sama – to ona przegrała, bo została porzucona w ciąży.

Po raz drugi, od kiedy wyjechała z Londynu, Britt poczuła się bezbronna i samotna. Wiedziała, że to nie rodzice jej potrzebują – już dawno się nauczyli, by nie oczekiwać zbyt wiele od swojej wyniosłej córki. To ona potrzebowała ich. Jednak w tym domu, gdzie nie okazywało się emocji ani o nich nie rozmawiało, nie wiedziała, jak im to powiedzieć.

Zsunęła się z poręczy kanapy i uklękła obok matki, wpatrując się razem z nią w ogień. W końcu się odezwała.

– Mamo?

– Tak, skarbie?

– Jak następnym razem napalisz w kominku, możesz mi pokazać, jak to się robi?

Matka spojrzała na nią, zaskoczona.

– Oczywiście, skarbie. – Uśmiechnęła się nieśmiało do córki. – Wiesz, że właśnie po raz pierwszy w życiu poprosiłaś mnie o radę?

Zerknęła na Britt, zastanawiając się, czy nie posunęła się za daleko, czy córka nie urwie jej głowy. Ale Britt się uśmiechała.

– Frajerka ze mnie. Och, mammo...

Ku zdumieniu matki, Britt rzuciła się w jej objęcia, zalana łzami, jakby znów była małą dziewczynką.

– Och, mammo, przepraszam... Naprawdę przepraszam...

Matka spojrzała na nią oszołomiona.

– Za co, kochanie?

Britt ujęła dłoń matki, czarną od węglowego pyłu, i przyłożyła ją sobie do policzka.

– Za to, że taka jestem. Że jestem dla was rozczarowaniem...

Matka patrzyła na cienką czarną strużkę, którą łzy zmieszane z pyłem złościły na twarzy jej córki. Przytuliła mocno Britt, czując się po raz pierwszy, odkąd Britt była mała, jak prawdziwa mama, i wiedząc, że to chwila, którą zapamięta na zawsze.

– Och, Britt, Britt. Nie jesteś dla nas rozczarowaniem. – Poczwała, że jej własne łzy mieszają się ze łzami córki. – Kochamy cię.

Kiedy tak obejmowały się z matką, teraz już w milczeniu, Britt zrozumiała pierwszą lekcję na temat rodziny: że jej członkowie cię kochają, czy na to zasługujesz, czy nie.

Kątem oka dostrzegła majaczącą w drzwiach sylwetkę ojca. Stał w staroświeckiej piżamie w paski i przyglądał się im z uśmiechem, a na jego twarzy nie było już widać napięcia i przemęczenia.

– Cześć, dziewczyny. Nie ma to jak sobie popłakać w Boże Narodzenie. Ktoś ma ochotę na herbatę?

David przewrócił się na brzuch w ogromnym łóżu i stwierdził, że chce umrzeć. Głowa pulsowała mu tępym bólem, w ustach mu zaschło i miał dreszcze. Zwlekł się z łóżka i poszedł poszperać w szafce w łazience, w nadziei, że Logan trzymał w niej coś na kaca.

Najwyraźniej jednak Logan używał alkoholu tak jak wszystkiego innego w życiu – nie musząc za to płacić tej ceny, co zwykli śmiertelnicy. Nie było gorzkiego ziołowego likieru Fernet Branca. Nie było tabletek Alka Seltzer. Ani nawet tego nowego specyfiku – jak on się nazywał? Remorse^[9]? Nie, to tylko przemawia przez niego nadczynność gruczołu poczucia winy. Resolve – o, właśnie tak.

Uświadamiając sobie, że jeśli chce dożyć jutra, czego, szczerze mówiąc, nie był pewien, będzie musiał wyjść i zdobyć jakieś antidotum na swój obecny, wysoce toksyczny stan, David przystąpił do porannej toalety. Po umyciu zębów mydłem, bo zapomniał kupić pasty, i wyplukaniu ust wodą toaletową Eau Sauvage, stwierdził, że nadal śmierdzi jak po ochlaju w browarze i że jeśli się nie ogoli, zostanie wzięty za menela i wyrzucony przez portiera z szacownych progów Grosvenor House.

Ubrał się powoli, założył kaszmirowy płaszcz i schował dwie puste butelki po whisky do teczki, po czym udał się na poszukiwanie śmietnika oraz apteki. Po przejściu około dwustu metrów po Park Lane dotarło do niego, że jest drugi dzień świąt i żadna apteka nie będzie czynna. Wciąż mając w teczce puste butelki, skierował się do Hiltona, powodowany przekonaniem, że sieć hoteli szanująca życie, wolność oraz dążenie do szczęścia musi sprzedawać lekarstwa na kaca.

Miał rację. Ściskając w ręku papierową torebkę z paracetamolem, musującymi tabletkami Alka Seltzer oraz dextrosolem na podniesienie poziomu cukru we krwi, udał się do hotelowego baru, by popić medykamenty porządną dawką ziołowego likieru Fernet Branca.

W połowie drogi przez hol wpadł mu w oko kiosk z gazetami i instynktownie skierował się w jego stronę, żeby kupić dzisiejszy numer „Daily News”. Ku jego irytacji, najwyraźniej wszystkie egzemplarze już zostały sprzedane. Po chwili wypatrzył ostatni, wystający zza „Daily Mail”.

Dopiero kiedy wziął gazetę do ręki, zauważył, że całą pierwszą stronę zajmują ogromne zbliżenia wychudzonego mężczyzny w szpitalnym łóżku, nieco nieostre, ale pozwalające z przerażającą łatwością rozpoznać, kogo przedstawiają. Okładka obiecywała więcej zdjęć w środku numeru. Do Davida dotarło, że z bezbłędnym wyczuciem czasu Jim Johnson wybrał Boże Narodzenie na dzień, w którym przegrał wielomiesięczną walkę ze śmiertelną chorobą AIDS.

– Kopę lat – powiedział Logan Green, przeciągając groźnie samogłoski, kiedy wszedł następnego ranka do swojego gabinetu, tym razem bez asysty wszechobecnego Micka Normana, i zastał Davida czekającego nań w pozycji zaczepnej na krawędzi jego ogromnego biurka.

– Gdzie Mick? – Oczy Davida, czujne i przenikliwe jak u drapieżnego ptaka, w zadziwiająco nikłym stopniu zdradzające oznaki ekscesów ostatnich trzech dni, patrzyły prosto w oczy Logana. – Poszedł odebrać twoje rzeczy z pralni?

Logan się uśmiechnął.

– Rzeczywiście, wysłałem go, żeby załatwił pewien drobiazg. – Logan usiadł, nie proponując tego samego Davidowi. – Małe badania rynku. Widzisz, zauważyłem, że w moim kiosku wczorajszy numer „Daily News” sprzedał się już przed dziesiątą rano i zastanawiałem się, czy to tendencja ogólna. – Spojrzał na Davida, instynktownie wiedząc, co go tu sprowadza. – Oczywiście, nie jest to wiarygodny pomiar wielkości sprzedaży, ale wiele mówiący, nie sądzisz? Nie potwierdza twojej wzruszającej wiary w wysokie standardy moralne wspaniałych brytyjskich odbiorców. W każdym razie to interesujące.

– Nie zmienia to faktu, że zamieszczenie tych zdjęć było obrzydliwe.

– No, no, David. Już to przerabialiśmy. Śmierć Johnsona wszystko zmieniła. A ponieważ byłeś nieuchwytny i nie mogłeś nas przekonać o słuszności swoich argumentów, osobiście udzieliłem pozwolenia na druk. I bingo. Nakład

wyprzedany.

David się skrzywił. Czy śmierć Jima Johnsona usprawiedliwiła opublikowanie tych upokarzających, odzierających z godności zdjęć z ostatnich tygodni jego życia? Według Davida nie. Rodzina komika wciąż usiłowała przekonywać, że zmarł na raka, ale kiedy te fotografie pojawiły się w każdym kiosku, trudno będzie podtrzymać te twierdzenia.

– Ma się rozumieć, próbowaliśmy się z tobą skontaktować, ale nikt nie wiedział, gdzie jesteś.

– Nikomu nie powiedziałem.

Logan spojrział na niego z zaciekawieniem.

– David, jeśli masz kryzys wieku średniego, to twoja sprawa. Wolałbym jednak, żebyś go nie miał w godzinach pracy redakcji. – Mówił przyjacielskim głosem, jak miły wujaszek dający dobre rady.

Ale David nie słuchał. Myślał o tym, jak niecałe pół roku temu oskarżył Liz o to samo, tylko dlatego, że zmieniły jej się priorytety i usiłowała działać w zgodzie z nimi. A teraz, zbyt późno, wreszcie zrozumiał, o co walczyła. Widział tak samo wyraźnie jak wcześniej ona, że pracując dla dupków w rodzaju Conrada Marksa czy Logana Greena też musiałeś ubrudzić sobie ręce, a gdy zacząłeś iść z nimi na kompromisy i sprzeniewierzać się swoim wartościom, byłeś skończony.

Przez chwilę zamierzał spróbować przekonać Logana, że gazety powinny okazywać współczucie. Ale to by było jak namawianie geparda, żeby przeszedł na wegetarianizm.

David podniósł wzrok i zobaczył, że Logan go obserwuje. Instynkt, a także lata czytania Loganowi w myślach ostrzegły go, by miał się na baczności. Logan nie szastał życzliwością i współczuciem na prawo i lewo. Do czegoś zmierzał. I nagle David zrozumiał, dlaczego nie ma z nimi Micka Normana. Logan chciał być z nim sam na sam, bo zamierzał go zwolnić. Zapewne po to, aby zastąpić go jakimś bucem w eleganckim garniturze, o moralności dewelopera. Zaskakujące było właściwie tylko to, że David tego nie przewidział.

– Dobrze. – Był zdziwiony własnym spokojem. – Na pewno znajdę kogoś, komu przyda się wypalony trzydziestopięciolatek.

– A to by była szkoda.

David przyjrzał się twarzy Logana. Ależ był z niego przebiegły sukinsyn. Co on znowu kombinował?

– Niby dlaczego, Logan?

– Bo właśnie miałem zaproponować ci pracę.

– W charakterze? Adiustatora w „Tygodniu na Działce”?

Logan uśmiechnął się w irytujący sposób.

– Naczelnego mojego nowego tabloidu.

David zmrużył oczy.

– To jakiś żart? Przecież zatrudniłeś do tego Normana.

– Wiem, ale w ciągu ostatnich kilku miesięcy zdążyłem bardzo dobrze poznać tego młodego człowieka. – Logan wstał i przeszedł na tę stronę biurka, po której znajdował się David. – Nie nadaje się. Owszem, z pewnością jest utalentowany. Ale zachowuje się jak pieprzony cocker spaniel, zawsze gdzieś leci za tym czy innym odjechanym pomysłem. Mick sobie poradzi, kiedy przejmie pałeczkę, ale potrzebuję kogoś z doświadczeniem i rozeznaniami, żeby odpalić pistolet startowy. Posłuchaj, David, inwestuję w tę gazetę dziesięć milionów, a to dopiero początek. Potrzebuję kogoś, kto wie, co robi.

David poczuł lekką ekscytację. Kiedy dołączył do zespołu „Daily News”, gazeta była na rynku już pięć lat, a on od zawsze chciał rozkręcić własny tytuł. Było to najryzykowniejsze z ryzykownych przedsięwzięć, ale jeśli się udało, także najbardziej satysfakcjonujące. No i niekłamaną przyjemnością sprawiłoby mu usadzenie tego pewnego siebie gnojka Normana, tego młodego „geniusza”, któremu się wydawało, że w wieku dwudziestu siedmiu lat wie wszystko o redagowaniu gazet. Od kilku miesięcy widział, że sługusy Greene’a zaczynają traktować Normana jak prawowitego dziedzica, zamiast niego, Davida. Dostrzegał, jak podczas rozmowy odwracają się minimalnie, niemal niezauważalnie, w stronę Normana, zaś jemu w subtelny sposób okazują oziębłość.

A teraz Logan znów oferował mu tron.

Kiedy wydawca z ufnością czekał na jego odpowiedź, David zerknął na leżący na biurku wczorajszy numer „Daily News”. Na nowo zaczął wzbierać w nim gniew, który Logan z taką zręcznością rozbroił, tyle że tym razem silniejszy. W końcu to Logan podjął samodzielną decyzję o wydrukowaniu tych zdjęć. Jeśli David sądziłby, że Logan zostawi go w spokoju i pozwoli mu kierować się swoimi zasadami, to byłby naiwny jak dziewczyna, która kładzie się do łóżka z kobieciarzem i jest zaskoczona, że ten położył rękę na jej udzie.

David zawsze słuchał instynktu i wiedział, co teraz ten instynkt mu podpowiada, nawet jeśli wolałby usłyszeć co innego.

– Przykro mi, Logan, ale nie jestem zainteresowany kierowaniem tą nową gazetą. Uważam, że świat byłby bez niej lepszy. Nie jest to idealna filozofia jak na pierwszego naczelnego. Muszę więc odmówić.

Logan położył nogi na biurku. Szczycił się tym, że zawsze stawiał na swoim. Nie przewidywał możliwości, by ktoś odrzucił jego propozycję.

– Może nie masz wyboru.

– Och, ależ mam.

Logan obserwował go bacznie. David wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Widzisz, Logan, naczelnym „Daily News” też nie chcę już być. Świat stoi więc przede mną otworem. – Wstał i podał wydawcy rękę. – Żegnaj, Logan. Jak mówi chińskie przysłowie: „obyś umarł we własnym łóżku”, czy też, w twoim

przypadku, w cudzym. Powodzenia.

Logan patrzył z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, nieporuszony niczym Budda, jak David wychodzi z gabinetu. Już to wszystko widział, te sztuczki, do których uciekali się naczelni, żeby zdobyć więcej pieniędzy, wyższy status, większą niezależność, nowe bmw. Wiedział, że w ciągu godziny David wróci. Mógł poczekać.

Tym razem jednak się mylił.

David rozejrzył się po gabinecie, z którego kierował gazetą przez ostatnie cztery lata. Zdziwił się, że nie ma tu więcej sentymentalnych pamiątek, które chciałby ze sobą zabrać. Uśmiechnął się, przypominając sobie wszystkie biura i gabinety Liz, zawsze będące pomnikiem jej indywidualności: pełne zdjęć znajomych i rodziny oraz współpracowników z zespołu, poprzczepianych do ścian rysunków satyrycznych, które ją rozśmieszały, naręczy świeżych kwiatów i dziwnych przedmiotów użytych na planie zdjęciowym. Kiedy człowiek wchodził do biura Liz, wchodził do jej życia i od razu czuł się jak u siebie. Tak samo robiła z pokojami hotelowymi, choćby najbardziej ciasnymi i anonimowymi: kupowała bukiet kwiatów, rozwieszała kilka naszyjników, tu położyła jedwabne kimono, tam słomkowy kapelusz, a pokój zaczynał wyglądać bardziej domowo i przytulnie niż wszystkie pozostałe pięćset dziewięćdziesiąt dziewięć identycznych klitek w Holiday Inn, Ramadzie czy Trust House Forte.

Davidowi łatwiej było pozbierać dobytek. Niewiele rzeczy w ogóle chciał zabrać. Nagrodę dla Reportera Roku z czasów pracy w prasie regionalnej, bardzo przez niego cenioną, oraz dwa czy trzy inne trofea, które traktował bez emocji, chociaż większość naczelnych dałaby się za nie zabić; swoją karykaturę autorstwa Johnno, rysownika gazety, przedstawiającą najmłodszego naczelnego na Fleet Street w historii, który zjawia się pierwszego dnia w pracy w krótkich spodenkach, z torbą na ramię i w czapce z daszkiem. No i najcenniejszą rzecz: oprawioną fotografię Jamiego i Daisy.

Przysiadł na chwilę, zastanawiając się, co zrobi, kiedy wyjdzie z redakcji. Wiedział, że mógłby dostać nową pracę choćby jutro, ale u kogo? Tabloidy ściagały się ze sobą, który pierwszy osiągnie poziom dna i rynsztoku, a w żadnej z „lepszych” gazet nigdy nie chciał pracować. Dla Davida dziennikarstwo oznaczało pracę w prasie popularnej, takiej, która sprzedawała się w milionach egzemplarzy i poruszała ludzi. Pisanie głęboko przemyślanych, analitycznych artykułów dla takich tuzów jak „Guardian” czy „The Times”, a nawet redagowanie takich gazet, w ogóle go nie pociągało.

Kiedy tak siedział, zastanawiając się nad swoją przyszłością, ostatni raz zadzwonił na jego biurku telefon. Zakładając, że to Logan, odebrał opryskliwym tonem. Ale to nie był Logan. Dzwoniła Suzan, ta młoda, obiecująca reporterka.

– Cześć, David. Właśnie się dowiedziałam i chciałam powiedzieć, że

siedzimy tu wszyscy jak struci. – David wiedział, że w redakcji gazety nie da się zachować tajemnicy, ale i tak był zaskoczony szybkością, z jaką wieść się rozeszła. – Wiem, że to nie tylko moje zdanie, ale wszystkich w newsroomie: podziwiamy cię i to, co zrobiłeś z tą gazetą. Szczerze mówiąc, mamy tu niezłego pietra. Czy to naprawdę nieodwołalna decyzja?

– Obawiam się, że tak.

Wyraźnie skrepowana, że przeszkadza mu w chwili, gdy wolałby być sam, Suzan nie wiedziała, co powinna teraz zrobić. W końcu dodała pośpiesznie, nieśmiałym, lekko ochrypłym głosem:

– Chciałam tylko powiedzieć, jak bardzo podobała mi się praca z tobą i zapytać, czy kiedy już się zabierzesz do swojego następnego projektu, cokolwiek by to było, mógłbyś dać mi znać, czy potrzebujesz reporterów – zawahała się, zakłopotana, że może brzmi to beczelnie – bo nigdy wcześniej nie pracowałam z naczelnym, dla którego miałabym tyle szacunku.

Niekłamanym podziw w jej głosie omal go nie zgubił. Mało brakowało, a emocje wzięłyby górę i zupełnie by się rozkleił. Dziennikarstwo było jego życiem, fatalnie czuł się na myśl, że może właśnie marnuje swój zawodowy dorobek.

– Dzięki, Suzan. To, co mówisz, dużo dla mnie znaczy. Na pewno dam ci znać, co będę dalej robił. Do widzenia.

Kiedy odłożył słuchawkę, pomyślał przez chwilę o Suzan. Była jedyną młodą reporterką, która rozumiała dziennikarstwo takie, jakim on je znał i kochał. Staż robiła w „Newcastle Journal”, a potem pracowała w „Northern Echo”. Może dziennikarstwo żyje, ma się dobrze i przeniosło się na północ od Watford?

Spakował rzeczy do teczki, dłuższą chwilę potrzymał w ręku fotografię syna i córki. Patrząc na nią, wyciągnął dłoń i pogładził podobiznę Jamiego po włosach. Wciąż czuł się zły na Liz, ale wiedział, że jego życie znalazło się w punkcie zwrotnym.

Dziś po południu pojedzie do Crossways, spotka się z nią i podejmie jeszcze jedną, ostateczną próbę pojednania.

David pokonywał właśnie ostatnie kilka kilometrów dzielące go od kamiennego domku, gdy naraz poczuł, że jego optymizm słabnie. Aż do tej pory napędzała go adrenalina, pragnienie wyznania Liz, w jak wielu sprawach to ona miała rację, a on się mylił.

Zrozumiał też, jak bardzo potrzebuje, by utwierdziła go w przekonaniu, że postąpił słusznie, wychodząc dziś z budynku redakcji. A przede wszystkim pragnął, by dostrzegła, jak bardzo się zmienił.

Kiedy Liz usłyszała niespodziewany chrzęst kół na zwirowanej drodze, wyrzała z przelotnym zainteresowaniem przez okno. Wybierała się z Mel na wyprzedażę do Brighton, ale przyjaciółka miała się pojawić dopiero za godzinę.

Nie mogła to też być jej matka, bo już zdążyła odjechać, zabierając Jamiego i Daisy, którymi miała się dziś opiekować.

Czując mdłości, zobaczyła, że to David. Przyszły tatuś. Czy to dlatego tu przyjechał? Aby taktownie powiadomić ją o swoim dumnym ojcostwie, podczas gdy już plotkowano o nim przy połowie stołów w Londynie?

Był w połowie ścieżki, kiedy otworzyła frontowe drzwi i stanęła w nich, zdecydowana nie dać mu szansy, żeby jej to powiedział. Uprzedzi go.

– Cześć, David. Słyszałam, że należą ci się gratulacje. – Uśmiechnęła się, widząc jego zdumioną minę.

Nie mogła mówić o jego rezygnacji. Przecież nie zdążył jej jeszcze nic powiedzieć. Wieści nie mogły chyba rozchodzić się tak szybko?

– Z jakiego powodu?

– Dziecka, oczywiście. Twojego i Britt. – Zmusiła się do ciągnięcia tematu, chociaż była to dla niej męczarnia. – Podobno ma się urodzić w lecie.

David się skrzywił. Wydarzenia dzisiejszego ranka sprawiły, że wszystko inne wyleciało mu z głowy i zupełnie zapomniał o Britt i ciąży. Zdawał sobie jednak sprawę, że odpowiedzialne za to były nie tylko chwilowe emocje. Owszem, było to irracjonalne poczucie, ale odkąd usłyszał jej wyznanie, iż z zimną krwią zaplanowała poczęcie i że namiętność, która ich łączyła, była tylko środkiem do celu, jej celu, w jakimś sensie widział w tym dziecku wyłącznie sprawę Britt, w której on nie miał udziału.

Wiedział jednak, że Liz w to nie uwierzy ani nie zrozumie, dlaczego odszedł od Britt. Mogła się z tego cieszyć, lecz w jej oczach on i tak będzie egoistą, uciekającym przed odpowiedzialnością. Ale musiał przynajmniej spróbować jej wytłumaczyć.

– Nie wiedziałaś? Rozstaliśmy się z Britt. Odszedłem od niej przed świętami.

Szukał na jej twarzy jakiegoś znaku, że ta informacja sprawiła jej przyjemność. Nic z tego. Liz stała nieporuszona, obojętnie zapinając żakiet, nawet nie zapraszając go do środka.

– Dlaczego, na litość boską?

– Bo nie mogłem tego dłużej znieść. Britt nie chciała dziecka. Uważała je za dość kłopotliwą niedogodność. Chodziło jej tylko o to, żebym nie wrócił do ciebie, to wszystko.

Jeśli miał nadzieję, że ta wiadomość wywoła jakąś reakcję, czekało go rozczarowanie.

– Biedny dzieciak. Nie wyobrażam sobie Britt w roli samotnej matki. Jak ona się czuje?

David popatrzył z zakłopotaniem.

– Nie wiem. Nie widziałem się z nią od tamtej pory. Przyjechałem tu, gnając na złamanie karku, z prezentami dla Jamiego i Daisy, tego dnia, kiedy od niej

odszedłem, ale ty wyjechałaś. W ogóle nie wróciłem do jej mieszkania.

– Nie wyjechałam – poprawiła go zimno Liz. Nie wiedziała, jak potraktować te nowe rewelacje.

– Nie. – Liz usłyszała gorycz w głosie Davida. – Ale ja tak myślałem.

– Nie musisz kłamać tylko dlatego, że zapomniałeś kupić dzieciom prezenty.

David się wściekł.

– Nie kłamię! Mam ci pokazać cholerne paragony, żebyś mi uwierzyła?

– No dobra, przygnałeś tutaj, obładowany prezentami, zostawiając Britt samą w ciąży, i zobaczyłeś, że wyjechałam, to znaczy tak myślałeś. No to dokąd poszedłeś?

– Do mieszkania Logana Greene’ego. Mam klucze. Potrzebowałem czasu, żeby się zastanowić, czego chcę od życia.

– I do jakich wniosków doszedłeś? – Liz bardzo się starała mówić obojętnym tonem.

– Stwierdziłem, że Britt i ja nigdy nie będziemy razem szczęśliwi, mimo dziecka, i że ja nigdy nie będę szczęśliwy bez ciebie i dzieciaków.

Słuchając go, Liz poczuła gwałtowny przyływ złości. Zaczęła przecież w to wierzyć przed świętami. A pięć minut później okazało się, że Britt będzie miała dziecko i że wie już o tym pół Londynu! A teraz, kiedy tylko zaczęto czegoś od niego oczekiwać, David chciał wrócić do żonczki.

– Ho, ho, ale z nas szczęściarze.

Słyszając jadowity sarkazm w jej głosie, lekceważenie jego bólu, niechęć do choćby wzięcia pod uwagę, że on też może cierpieć, David zaczął robić się tak samo zły jak ona.

– Widzę, że kontynuowanie tej rozmowy nie ma sensu...

– Nie, nie ma. I wiesz, na czym polega twój problem, Davidzie? Myślisz, że decydując, że jednak chcesz z nami być, możesz po prostu wymazać cały ból i cierpienie. Ale to tak nie działa. To dziecko nadal istnieje. Ból, który mi sprawiłeś, nie zniknął i zmienił sporo rzeczy. Przykro mi, David, ale taka jest prawda. Już ci nie ufam.

David starał się zapanować nad dziką furia, pod wpływem której chciał złapać Liz i nią potrząsnąć. Kiedy jednak wreszcie się odezwał, głos miał obojętny i spokojny.

– Może w takim razie powinniśmy pomyśleć o rozwodzie?

Liz zaskoczył ten niespodziewany zwrot akcji, ale nie miała zamiaru dać tego po sobie poznać.

David przyglądał się jej uważnie. Nie okazała ani zdziwienia, ani żalu. A jej głos brzmiał niemal kpiąco, kiedy w końcu mu odpowiedziała:

– Dobry pomysł. Możemy za jednym zamachem sprzedać też Holland Park. Może prawnicy dadzą nam zniżkę.

David trzasnął drzwiami od mercedesa, ledwie powstrzymując wściekłość. Nie dała mu szansy, by cokolwiek wyjaśnić. Po prostu uznała, czego się zresztą spodziewała, że jest egoistycznym gnojem uciekającym od odpowiedzialności, i tyle. Pani sędzia Ward skazała go i wydała wyrok. Bez apelacji.

Dopiero kiedy mknął przez wioskę, uświadamiając sobie, że może już nigdy więcej nie zobaczyć tego miejsca, przypomniał sobie, że w całym tym ferworze nawet nie powiedział Liz o swojej rezygnacji z „Daily News”.

– Och, Liz, zrobmy to! Zawsze chciałam! – Mel chwyciła Liz za ramię i pociągnęła ją w kierunku molo. – Proszę! Wszyscy w Londynie chodzą teraz do wróżki!

Liz zastanowiła się przez chwilę. Nie była pewna, czy czuje się na siłach, by akurat teraz zaglądać w przyszłość. A przez ostatnią godzinę marzyła o tym, żeby usiąść sobie wygodnie z dużą szklanką jakiegoś zimnego napoju, najlepiej alkoholowego.

Z drugiej strony, od momentu gorzkiego pożegnania z Davidem tego ranka potrzebowała czegoś na poprawę nastroju. Myślała, że pocieszą ją zakupy ciuchów, ale spędziły cały dzień, włócząc się po wyprzedazach, i chociaż Mel kupiła sobie kaszmirowy sweter odkrywający ramiona, bardzo małą czarną do swojej kolekcji oraz pulower z dekoltem tak głębokim, że Liz podejrzewała, iż każdy spotkany na imprezie facet będzie czuł pokusę, by w nim zanurkować, ona sama nie znalazła niczego, co by jej się naprawdę spodobało. W rezultacie była teraz prawie tak przygnębiona zmarnowaniem całego dnia, jak byłaby wydaniem pokaźnej sumy na coś tragicznego. Jeśli chodzi o zakupy, Liz była o tym przekonana, zawsze jest się na przegranej pozycji.

A teraz Mel chciała iść do wróżki. Stwierdziła, że spróbuje jej to wyperswadować.

– Daj spokój, Mel, przecież to bzdury. Wróżki to tylko stare zdiury przebrane w powłóczyście szmatki, które kasują od ciebie dychę i przepowiadają, że chcesz być bogata i żyć długo i szczęśliwie.

Ale Mel nie dawała za wygraną.

– To już tak nie wygląda. Teraz to prawdziwe profesjonalistki. W sumie bardziej przypominają psychoterapeutów. Z tą różnicą, że pozwalają ci nagrać sesję i zabrać taśmę. No chodź, ja stawiam!

Liz niechętnie pozwoliła Mel zaciągnąć się z bulwaru na molo. Wiatr szarpał jej płaszczem i omal nie wyrwał z rąk Mel jej licznych toreb. Był mroźny, ale cudownie ożywczy. Kiedy szły ostrożnie, podtrzymując się wzajemnie, Liz spojrzała w dół przez szpary między drewnianymi listwami na szare morze i przypomniała sobie, jak w dzieciństwie bała się wchodzić na molo, pewna, że może wypaść przez te szczeliny. Nikt nie był w stanie jej przekonać, że to niemożliwe, by czterolatka przeleciała przez szparę o szerokości niespełna dwóch

centymetrów.

Teraz, gdy była już dorosła, uwielbiała molo i w ogóle nadmorskie miasteczka, zwłaszcza zimą, kiedy orkiestry grały dla grupek emerytów owiniętych w pledy, farba łuszczyła się od wichury, a miasteczko czekało przycupnięte na początek następnego sezonu, na powrót letników, leżaków i sprzedawców lodów.

Na końcu molo, obok kawiarni, znajdował się niewielki salon gier automatycznych – który wydawał się Liz znacznie bardziej kuszący od wizyty u wróżki – tunel strachów, ponury i zamknięty na zimę, oraz mały, dyskretny szyld obwieszający, że tu przyjmuje jasnowidząca Susannah Smith.

Spodziewając się egipskich ciemności i jakiejś Madame Arcati z cygańskimi kolczykami, owiniętej w szale z frędzlami, Liz była zdumiona zarówno widokiem Susannah Smith, jak i jej lokalu. Właściwie należałoby go nazwać gabinetem. Mel miała bowiem rację – przestronna, jasno oświetlona salka z nieskazitelnym beżowym dywanem, fotelami z płowej skóry i biurkiem z jasnego drewna przypominała jako żywo poczekalnię u dentysty na Harley Street albo u modnego londyńskiego psychoterapeuty.

Liz poczuła się dziwnie poirytowana. Z Madame Arcati mogłaby się przynajmniej ponabijać, ale u Susannah Smith czuła się, jakby przyszła zrobić sobie cytologię albo na terapię małżeńską. A gdyby chciała jednego albo drugiego, pomyślała Liz z rozdrażnieniem, zgłosiłaby się do kogoś, kto w ogóle wie, co robi.

Ale największą niespodziankę sprawiła sama Susannah Smith. Była wysoką blondynką, miała najwyżej dwadzieścia siedem lat, urodę stewardesy i jeden z tych neutralnych, bezklasowych akcentów, który oznaczał, że chodziła na lekcje dykcji, żeby ukryć swoje niskie pochodzenie.

Była ubrana w tweedowy kostium w kolorze wrzosu, w rodzaju tych sprzedawanych przez Country Casuals początkującym businesswoman, które chciały zasugerować, że wywodzą się z arystokracji.

Rozczarowana Liz nigdzie nie mogła wypatrzeć kryształowej kuli. Może Susannah z niej zrezygnowała, bo okazało się, że beżowych nie robią. Rozglądając się wokół, Liz stłumiła chichot. Na półce pod oknem stał duży, oprawiony w skórę terminarz, a obok niego drogi telefon bezprzewodowy. Przewidywanie przyszłości było wyraźnie niezłym biznesem.

– Oferuje pani wróżby przez telefon? – zapytała Liz i dostała od Mel łokciem w żebra za brak szacunku.

– Dobry pomysł. – Susannah uśmiechnęła się z niewzruszonym spokojem. – Muszę się nad tym zastanowić. No dobrze, która z pań pierwsza?

– Ona – powiedziała Mel.

– Ona – zaprotestowała Liz.

Susannah była wyraźnie przyzwyczajona do takich przepychanek.

– Dobrze, ja się przygotowuję, a panie same rozstrzygną to między sobą.

W końcu, po dłuższej dyskusji, Mel zgodziła się pójść na pierwszy ogień.

Susannah włączyła dyktafon, a Liz usiadła wygodnie, gotowa na dobrą zabawę. Nie mogła się doczekać, żeby opowiedzieć o tym Ginny.

– Ale nie ma pani kryształowej kuli!

– Nie. Nie używam. – Susannah spojrzała wymownie na mały złoty zegarek, więc Liz ucichła w oczekiwaniu na atrakcje, a jasnowidząca wzięła Mel za rękę i zamknęła oczy.

Bez wątpienia rzuci teraz parę domysłów, by przekonać Mel, że jest w dobrych rękach.

– Ma pani trzydzieści sześć lat. Niezameżna. Mieszka pani w Londynie. Ma pani ambitną pracę na wysokim stanowisku. Kocha pani swoją pracę, ale po raz pierwszy w życiu chce pani czegoś więcej.

Mel gapiła się na nią z otwartymi ustami, ale Liz nie była przekonana. Gdyby powiedzieć coś takiego dowolnej kobiecie po trzydziestce, bez obrączki na palcu, ubranej w takie ciuchy jak Mel, miałyby się duże szanse na trafienie w dziesiątkę.

– Cofnijmy się do pani dzieciństwa. Początkowo było szczęśliwe. Bawiła się pani razem z siostrą.

Liz uśmiechnęła się pod nosem. Mel nie miała siostry. Tak jak myślała, to wszystko mistyfikacja. Poczula niespodziewaną ulgę, że cała ściema tak łatwo wyszła na jaw. Teraz naprawdę mogły się pośmiać. Dyskretnie trąciła Mel łokciem, ale przyjaciółka wpatrywała się uważnie w twarz Susannah i nie zareagowała.

– Bawiłyście się nad wodą?

– Tak – odparła cicho Mel.

– Aż do wypadku.

Dobry Boże, co ta kobieta bredzi?

– Tak.

– Po wypadku pani ojciec się zmienił. Spędzał dużo czasu poza domem. Pani matka wydawała się nieszczęśliwa. Dom nie był już takim szczęśliwym miejscem jak dawniej.

Liz poczuła zimny dreszcz, mimo że w pokoju było ciepło i jasno. Dlaczego Mel traktuje to tak poważnie? To zadziwiające, że ktoś równie cyniczny i twardy jak Mel może wierzyć w te bzdury o przewidywaniu przyszłości. Dlaczego ludzie, nawet tacy racjonalnie myślący jak Mel, wciąż chcieli, wręcz potrzebowali czuć, że nie mają kontroli nad swoim życiem? Spróbowała nadać seansowi lżejszy ton.

– A co z terażniejszością? Widać jakiegoś mężczyznę na horyzoncie?

Susannah spojrzała na Mel i uniosła pytająco brew.

– Chce pani skończyć z przeszłością?

– Tak. – Mel wyglądała, jakby jej ulżyło. – Tak, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu. – Chciała pójść za przykładem Liz i rozluźnić atmosferę. – Czy

pojawi się w moim życiu jakiś mężczyzna?

Susannah popatrzyła na nią karcąco.

– Już się pojawił. Pani o tym wie. On już jest w pani życiu.

– Co to za mężczyzna? – Mel starała się pamiętać, że jest stąpającą twardo po ziemi dziennikarką. Nie powinna połykać haczyka jak pierwsza lepsza naiwna klientka, powinna próbować przyłapać wróżkę na szalbierstwie.

– Jest wolnym duchem – oznajmiła Susannah. – Mężczyzną niespętanym konwenansami.

– Czy to dobry człowiek? – spytała Mel z nadzieją, myśląc o tych wszystkich draniach, w których się dawniej zakochiwała.

– Nie będzie pani bił ani zdradzał, jeśli o to pani chodzi, ale zawsze będzie robił, co chce, a to może być równie bolesne.

Liz poczuła, że zaczyna brakować jej cierpliwości. Co za banialuki. Wróżka nie podała ani jednego konkretnego dotyczącego tego wolnego ducha Mel.

– Przepraszam, ale trochę skąpi pani szczegółów – wtrąciła. – Mogłaby pani mówić nieco konkretniej? Może ma jakieś znaki szczególne?

Liz czekała, pamiętając, jak Mel chwaliła się atrybutami Gartha, ponoć hojnie obdarzonego przez naturę. Tym powinna zagiąć jasnowidzącą panią Smith.

Niewzruszona drwiącym tonem Liz, Susannah zastanawiała się przez chwilę.

– Ma kucyk.

Liz wybuchła śmiechem i radośnie szturchnęła Mel w żebra. Ale Mel była śmiertelnie poważna.

– Zejdziemy się? – zapytała z nadzieją.

– Być może. Ale nie dojdzie do tego, jeśli będzie pani za nim gonić. On teraz przed panią ucieka. Im bardziej go pani ściga, tym bardziej on ucieka. Musi pani zostawić go w spokoju.

– Ale przecież nie mogę! – jęknęła żałośnie Mel. – Jeśli dam mu spokój, nigdy go już nie zobaczę!

– Niech pani pamięta, że jest wolnym duchem. Nie można go ścigać. Musi wybrać.

– Ale czy wybierze mnie?

– To zależy od pani.

Dyskretnie zadzwonił mały staroświecki budzik, dziwnie niepasujący do tego nowoczesnego otoczenia. Susannah otworzyła oczy i wypuściła dłoń Mel. Uśmiechnęła się uprzejmie, wstała. W tej samej chwili rozdzwonił się błyszczący nowy telefon.

– Przepraszam panie na chwilę. – Podniosła słuchawkę i poszła z nią do drugiego pokoju. Liz miała wrażenie, że specjalnie zostawiła je same.

– Co za stek bzdur. Nawet nie masz siostry.

– Owszem, mam – zaprzeczyła Mel.

– Nigdy o niej nie opowiadasz.

– Kiepsko się dogadujemy.

– No a co z tym kucykiem? Nie mów mi, że Garth ma kucyk.

Mel odwróciła się do Liz, uśmiechając się błogo, jak święta Bernadetta, której powiedziano, że może iść do domu z George'em Michaelem.

– Tak. Nie mówiłam ci? Ma.

Liz poczuła nieprzyjemny dreszcz. Wizyta u wróżki nie okazywała się tak zabawna, jak miała nadzieję.

Za nimi rozległ się cichy trzask. Obejrzała się nerwowo. Susannah wróciła. Uśmiechnęła się do Liz z lekkim chłodem skrywanym pod szykownym makijażem. Liz nabrała dziwnego przekonania, że przyszłość, którą jej za chwilę przepowie, nie będzie warta tych dwudziestu funtów.

– No dobrze. – Susannah usiadła za biurkiem i ujęła jej dłoń. – Teraz pani.

Rozdział 24

David jechał krętą wiejską drogą, usiłując rozładować gniew zbyt szybkim pokonywaniem zakrętów. Gdyby Liz straciła panowanie nad sobą, zaczęła rzucać przedmiotami, wrzeszczeć i krzyczeć, jakoś by to zniósł. Też by powrzeszczał i pokrzyczał, aż w końcu, po oczyszczeniu atmosfery, po wyłożeniu wszystkich oskarżeń na stół, oboje by się uspokoili. Ale nie był w stanie poradzić sobie z jej gorzkim sarkazmem ani z podejrzeniem, że Liz żywi do niego większą urazę, niż sama potrafi przyznać.

Uderzyło go, że mężczyźni w sytuacjach konfliktowych wpadają w gniew i są wówczas oskarżani o niedojrzałość. Natomiast kobiety walczą nieczysto za pomocą zjadliwej ironii, drwiny i czepialstwa. Nie miał już teraz wątpliwości, co było podlegszą bronią.

Na zakręcie, nie widząc, czy coś nie jedzie z przeciwka, zaczął wyprzedzać starszą panią jadącą wiekowym morrisem minor. Wiedział, że ryzykuje, ale i tak miał ochotę to zrobić. Pokonał zakręt do połowy, kiedy usłyszał dudnienie silnika nadjeżdżającego traktora. Musiał w ułamku sekundy zdecydować, czy dodać gazu, czy wcisnąć hamulec.

Ogarnęła go potężna fala fatalizmu. Chociaż zawsze całkowicie, bezspornie wierzył w wolną wolę i bycie kowalem własnego losu, teraz z lubością się temu losowi poddał.

Wyminął się z traktorem o centymetry. Kiedy zerknął we wsteczne lusterko, zobaczył, że starsza pani robi znak krzyża w intencji jego zbawienia. Albo swojego.

Jednak po ostatniej kłótni z Liz nic już nie miało znaczenia. Pomysł rozwodu rzucił tylko ot tak, jak zaplątanego w taliu dzokera, żeby zobaczyć jej reakcję. No i zobaczył. Spokojnie podniosła dzokera ze stołu i go wykorzystała.

W tym nastroju dotarł do rozjazdu, który dawał mu prosty wybór: centrum Londynu albo autostrada M1 na północ.

Miał nie więcej niż dwadzieścia sekund, by się zdecydować. Nagle, irracjonalnie, wydało mu się, że wszystko, cała jego przyszłość, nadzieje na szczęście, zależą od tej jednej prostej decyzji.

Susannah przytrzymała mocno dłoń Liz i zamknęła oczy.

– Pani także miała szczęśliwe dzieciństwo. Mieszkała pani na wsi, na farmie z końmi i kurami.

Liz poczuła ogarniający ją niepokój. Rzeczywiście, gdy była mała, spędzała dużo czasu z końmi. Przez całe lata największe, i jedyne, emocje przeżywała na grzbiecie kucyka.

– Ojciec wsadził panią na konia, kiedy miała pani pięć lat. Spadła pani, ale

kazała ojcu od razu posadzić się z powrotem w siodle. Był z pani dumny.

Było to wspomnienie ukryte tak głęboko, że wydobyć go zajęło jej kilka sekund. W końcu stanęło jej przed oczami. Słoneczny wiosenny dzień na Long Sally, jak nazywało się pole obok sadu. Ojciec osiodłał najstarszego i najłagodniejszego konia, jakiego mieli. Ale pięcioletniej Lillibet i tak wydawał się on wielki i przerażający. Na chwilę znów ogarnął ją strach, jakby właśnie siedziała na jego grzbiecie. A potem poczuła falę euforii, kiedy koń pokłusował powoli do przodu, a ojciec ją puścił. Była już naprawdę dorosła! W następnej chwili niespodziewanie doznała przerażającego wrażenia spadania oraz dawno zapomnianej radości, jaką wzbudziła w niej duma jej ojca z tego, że kazała wsadzić się z powrotem na konia.

Kiedy Liz wróciła do terażniejszości, wstrząśnięta uświadomiła sobie, że się boi. Chciała uciekać, a jednocześnie siedziała nieruchomo, jakby przyrosła do fotela. Ale Susannah cały czas trzymała mocno jej rękę.

– Był z ciebie dumny wtedy – powiedziała łagodnie – i jest dumny teraz.

Liz podniosła na nią wzrok. Ojciec nie żył od dziesięciu lat! Przez ułamek sekundy wydawało jej się, że czuje, jak wróżka nieco mocniej ściska jej dłoń, ale Susannah nic nie mówiła. Liz pomyślała o ojcu, którego tak bardzo kochała, i niespodziewanie ogarnął ją spokój, niezabarwiony smutkiem, który zwykle czuła, myśląc o nim.

Susannah znów się odezwała:

– Dokonałaś wielkich zmian w swoim życiu. Czulaś się jak motyl w metalowej klatce, więc ją rozerwałaś. Wymagało to ogromnej siły. Ale nie przyniosło ci spodziewanego szczęścia. Będziesz musiała wprowadzić jeszcze więcej zmian. Ale w końcu będziesz szczęśliwa.

Słuchając Susannah, Liz wreszcie zrozumiała, dlaczego Mel chciała tu dzisiaj przyjść. Obietnica szczęścia, osiągniętego w końcu po bolesnej walce, tak bardzo podnosiła na duchu, że była gotowa odrzucić cały swój racjonalizm, by w to uwierzyć. Musiała w to uwierzyć. Zrozumiała, że słowa jasnowidzącej nie były bynajmniej zachętą do oddawania się biernie w ręce losu, przeciwnie, nakazywały jeszcze bardziej zażarcie walczyć o to obiecane pewnego dnia szczęście.

Czuła się przytłoczona przez emocje, więc spróbowała zmienić temat.

– A co z moim życiem uczuciowym? Czy dla mnie też znajdzie się jakiś wolny duch z kucykiem?

Susannah nie podchwyciła jej kpiącego tonu. Poruszyła tylko leciutko dłonią Liz, jakby chciała odblokować jakiś kanał energii.

– Kochają panią dwaj mężczyźni i obaj panią zranią.

– Och, świetnie – rzuciła Mel ze współczuciem. – Żadna sztuka odgadnąć, kim jest jeden z nich.

– Ale jest pani silna, twarda. – Urwała i przesunęła palcem po dłoni Liz, jakby chciała sprawdzić jakiś zaskakujący fakt. – Jeden z nich jest na rozdrożu w swoim życiu. Może wybrać drogę w pani stronę albo się od pani odwrócić. – Znow zrobiła pauzę. – Odwraca się. – Otworzyła oczy, zamglone i zatroskane i spojrzała na Liz. – Jest pani pewna, że tego właśnie pani chce?

– To nonsens, Mel. Taka tam zabawa, to wszystko!

Lodowaty wiatr otrzeźwiał Liz, wrodzony sceptycyzm pośpieszył jej na ratunek.

– No a co z twoim ojcem, tym koniem i kucykiem Gartha?

– Jakaś forma czytania w myślach i tyle. – Liz szczerzej owinęła się płaszczem, czując na twarzy pierwsze płatki śniegu. – Może jest w stanie odgadnąć, o czym myślimy w danej chwili, ale absolutnie nie ma mowy, żeby potrafiła zajrzeć w przyszłość.

Dziesięć minut później David wyjechał z zatoczki obok drogowskazu i wrzucił lewy kierunkowskaz. W Londynie nic go nie trzymało, a nagle zapragnął znów zobaczyć Yorkshire. Nie chciał jechać do domu – na to jeszcze nie był gotowy – ale połączyć po okolicy znanej mu z dzieciństwa. Kupi buty turystyczne, kurtkę z kapturem, może nawet prosty namiot i śpiwór. Jutro mógł już być na szczytach wzgórz i patrzeć, jak słońce rozświetla Nidderdale Edge.

Gdy dodawał gazu, ogarnęło go przemożne poczucie, że jego przeszłość leży na południu, a przyszłość na bezkresnych, dzikich terenach północy.

Jadąc z powrotem do Crossways, Liz włożyła kasetę z *The Lark Ascending* do samochodowego magnetofonu, żeby się uspokoić. Klasyczna kompozycja Vaughana Williamsa zawsze ją relaksowała i napawała optymizmem. To idiotyzm brać sobie słowa tej japiszońskiej jasnowidzki do serca.

David nie znajdował się w punkcie zwrotnym swojego życia. Pewnie wrócił już do Londynu i jak zwykle siedział przykuty do biurka, redagując swoją bezcenną gazetę i decydując, jakież to podejrzane, żerujące na ludzkiej naiwności historie zafundować narodowi do jutrzejszego śniadania. Jedna kłótnia z nią na pewno nie oderwałaby Davida od Logana Greene'a i nie zahamowała jego drogi w górę korporacyjnej drabiny.

Kiedy muzyka osiągnęła crescendo, Liz zapomniała o wilgotnej, zimnej pogodzie za oknem i wyobraziła sobie późnowiosenne niebo, tak bardzo niebieskie, że trzeba zmrużyć oczy, by na nie patrzeć, i usłyszała śpiew skowronka unoszącego się nad polami wschodniego Sussex. Za pół godziny będzie w domu z Jamiem i Daisy. Napiją się herbaty, a jej matka ukroi im po grubym kawałku ciemnego, pachnącego owocami świątecznego ciasta własnej roboty.

Wreszcie dotarła do Seamington. Do domu. O dziwo, sklep w wiosce jeszcze był otwarty. Przypomniała sobie, że kończy im się mleko, więc zatrzymała się, by je kupić. Ku jej irytacji zostało już tylko to homogenizowane, plastikowe w smaku,

gwarantujące zepsucie filiżanki herbaty mlekopodobne coś, ale przynajmniej mogło się nadać do płatków na śniadanie. Kiedy sięgnęła do torebki, zorientowała się, że zostawiła portmonetkę w samochodzie. Zanim po nią pobiegła, włożyła ręce do kieszeni, bo czasem zdarzało jej się znaleźć tam jakąś zagubioną monetę jednofuntową, a raz nawet trafiła na piątaka. Jej dłoń dotknęła czegoś szeleszczącego, co ze zdumieniem wyciągnęła.

W jaskrawym neonowym świetle nad niewielką zamrażarką zobaczyła, że trzyma w palcach kawałek błyszczącej wstążki, który schowała do kieszeni przed Gwiazdką. Już miała go wyrzucić, kiedy znieruchomiała na chwilę, wreszcie pojmując jego znaczenie. Znalazła wstążkę na ganku tuż przed świętami. Dokładnie tam, gdzie David, jak twierdził, zostawił prezenty.

Przed oczami stanął jej nagle obraz Davida pędzącego z Londynu z bagażnikiem pełnym prezentów dla niej i dzieci. Jednak mówił prawdę. A ona na niego nakrzyczała i obrzucała go przekleństwami. W dodatku w Boże Narodzenie, kiedy siedział sam w mieszkaniu Logana Greene'a, oskarżyła go o zepsucie Jamiemu świąt.

Obiecując sklepikarzowi, że zapłaci za mleko następnym razem, rzuciła się do samochodu, zgarnęła portmonetkę i nie zważając na mróz, pobiegła do starej czerwonej budki telefonicznej stojącej na drugim końcu wioski obok pasującej do niej skrzynki pocztowej – obie stanowiły eleganckie świadectwo harmonii wiktoriańskiego wzornictwa. Otwierając drzwi budki, została katapultowana z powrotem w dwudziesty wiek przez niecenzuralne graffiti i zapach moczu. Ale przynajmniej telefon działał.

Pogrzebawszy w portmonetce, przygotowała sobie cały rząd monet. Nie wiedziała, jak długo zajmie jej mówienie „przepraszam”.

Kiedy poprosiła o rozmowę z naczelnym, była zaskoczona, że połączono ją bezpośrednio. Co prawda było tuż po szóstej, sekretarka Davida pewnie już poszła do domu. Po siedmiu czy ośmiu sygnałach w słuchawce ktoś szorstko się odezwał, a Liz ze zdziwieniem rozpoznała głos Berta.

– Bert? To ty? Miałeś udane święta? Posłuchaj – musiała niemal krzyknąć, bo na linii pojawiły się jakieś trzaski i szumy – jest David? Nie chcę mu przeszkadzać, ale to dosyć ważne.

– David?

Nie rozumiała, dlaczego Bert wydaje się taki zdumiony. Nie chciała przecież rozmawiać z papieżem ani z Mickiem Jaggerem, tylko ze swoim mężem.

– Tak. David. Mój mąż.

– Ale David odszedł.

– Jak to odszedł? Dokąd? Do domu?

– Nikt nie wie. Wczoraj poszedł na spotkanie z Loganem i podał się do dymisji. Nikt z nas go od tamtej pory nie widział.

Liz poczuła, że na moment zamiera jej serce, a potem zaczyna bić tak głośno, że niemal ją ogłusza. David odszedł z „Daily News” i przyjechał prosto do niej. A ona, zamiast dowiedzieć się, dlaczego się u niej zjawił, pokłóciła się z nim i roześmiała mu się w twarz, kiedy zasugerował rozwód.

Kiedy wróciła, dom był pusty, a zastawa do herbaty stała przyszykowana na sosnowym stole przykrytym białym koronkowym obrusem. Jej matka lubiła, kiedy wszystko było jak należy. Prawdopodobnie zabrała dzieci na huśtawki.

Liz rozejrzała się po pokoju, patrząc na znajome, ukochane przedmioty: niebiesko-białą porcelanę, starą kanapę obitą kwiecistym perkalem, poduszki, które sama uszyła, oprawione fotografie Jamiego i Daisy, lecz tak naprawdę ich nie widziała. David odszedł, zniknął, nikt nie wiedział, gdzie się podział. Spróbowała zadzwonić do Britt, w absurdalnej nadziei, że go tam zastanie; chciała po prostu ustalić, gdzie jest, ale jednocześnie gwałtownie pragnęła, by go u Britt nie było – gdyż to by oznaczało, że do niej nie wrócił.

Włączyła się jednak automatyczna sekretarka, a Liz z zabarwioną poczuciem winy satysfakcją odnotowała, że nagranie nie informuje już, iż ani David Ward, ani Britt Williams nie mogą teraz odebrać. Został tylko głos Britt, oznajmiający telefonującemu, że nie ma jej w tej chwili w domu, więc oddzwoni później.

Skoro jednak nie było go u Britt, to gdzie zniknął? Wyjechał na kilka tygodni za granicę, by odpocząć i przeformować szyki? Nie, David był na to zbyt niespokojny. Drażniła go bezczynność. Zawsze już w drugim tygodniu urlopu kupował wszystkie gazety i nie mógł się doczekać powrotu do domu. W takim razie gdzie się podział, na litość boską?

Spróbowała po raz trzeci zadzwonić do ich domu w Holland Park, ale nadal nikt nie odbierał. Chociaż wiedziała, że to niedorzeczne, technicznie niemożliwe, była przekonana, że kiedy wykręcała numer, sygnał brzmiał dziwnie martwo, jakby był nieużywany, i nie miała wątpliwości, że nie ma tam nikogo, kto by podniósł słuchawkę.

Przyszła jej na myśl Mel i jej niekończąca się pogoń za Garthem, setki wiadomości zapychających mu automatyczną sekretarkę i zapisywanych na bloczkach do notatek w całym Londynie. Czy ona też nie powinna odpuścić? Ale to przecież było co innego. Nie uganiała się za Davidem. Po prostu chciała go przeprosić i przyznać, że źle go oceniła. To wszystko.

Aby oderwać się od tych rozmyślań, włączyła telewizor. Uświadomiła sobie, że teraz, kiedy była tylko widzkiem, niepodzielającym obsesji związanego z telewizją fachowca, oczekiwała od niej wyłącznie rozrywki. Właśnie kończył się poprzedni program, leciały napisy końcowe. Nagle wyprostowała się czujnie, rozpoznając znajome nazwiska. To był ten serial według Agathy Christie, który pomagała obsadzać kilka miesięcy temu!

Poczuła ogarniającą ją falę smutku, bo nagle zatęskniła za tą frajdą, jaką

dawało jej wnoszenie w coś trwałego wkładu. Opiekowanie się Jamiem i Daisy oczywiście było ważne, często satysfakcjonujące, ale budowanie zamków z klocków Duplo, które za dziesięć minut zostaną rozwalone, i pieczenie ciast, które zostaną pożarte przy jednym posiedzeniu, miało w sobie coś beznadziejnie tymczasowego.

Nagle przestała mieć ochotę na oglądanie telewizji. Kiedy sięgała po pilota, wpadła jej w oko reklama piwa. Ojciec w średnim wieku i dorosły syn grali razem w piłkę nożną. Rozmawiali o zbliżającym się ślubie syna, który miał się odbyć tego samego dnia co finał Pucharu Anglii, co bardzo nie podobało się ojcu. Syn, najwyraźniej należący do rzadkiego gatunku nowego mężczyzny, uśmiechnął się tylko i stwierdził, że finał będzie też w przyszłym roku. Hasło reklamowe głosiło: „Kronenbourg – inne źródło mocy”.

„Bez sensu – pomyślała Liz – połowa gości by nie przyszła”. Jednak coś w tej reklamie nie dawało jej spokoju. Kiedy wyłączyła telewizor i sięgnęła po książkę, uświadomiła sobie, co. Ojciec i syn mieli północny akcent, a akcja reklamy rozgrywała się w jakimś przemysłowym mieście na północy Anglii.

I już wiedziała, bez cienia wątpliwości, że właśnie tam pojechał David.

– Dzień dobry, Betty. Mówi Liz.

Czekała, aż jej teściowa dojdzie do siebie po szoku, jakiego doznała z powodu pierwszego od pół roku znaku życia od Liz. Wyobraziła sobie Betty siedzącą w jej zadbanym domku, wysprzątanym na śmierć, odkurzonym co do centymetra, wypolerowanym na błysk, przesyconym mdlącą, sztuczną wonią odświeżaczy Air-wick umieszczanych po jednym w każdym pokoju, na wypadek gdyby śmiał do nich przeniknąć jakiś nieproszony zapach ciepła czy życia. Jak na razie szczytowym osiągnięciem życiowym Betty było zdobycie nagrody Mothers Union za najczystsze szafki kuchenne w Kettley. Mary Tudor powiedziała ponoć, że kiedy ją po śmierci rozkroją, na sercu będzie miała wyryte słowo Calais. Betty miałyby tam napis: „Miejsce na wszystko i wszystko na swoim miejscu”.

– Liz? A to niespodzianka. – Bynajmniej nie przyjemna, sugerował jej ton. Liz poczuła wyrzuty sumienia. Powinna była zadzwonić już kilka razy, odkąd rozstała się z Davidem. W końcu Betty i Bill byli dziadkami jej dzieci. Była jednak pewna, że kiedy teściowa dowiedziała się o rozpadzie ich małżeństwa, bez wątpienia natychmiast obwiniła ją i jej karierę. Liz nie czuła się na siłach stawić czoła triumfującemu tonowi Betty, widzącej w tym potwierdzenie słuszności modelu udomowionego macierzyństwa.

– Betty, czy widziałas się może ostatnio z Davidem?

Betty od razu przeszła do defensywy.

– Jest bardzo zajęty. Często nie ma czasu. Przecież wiesz. Przyjeżdżałby częściej, gdyby mógł, zawsze tak mówi. Dlaczego pytasz?

Przez chwilę Liz rozważała, czy nie powiedzieć jej prawdy. Ale David był

ich dumą i chlubą, dzieckiem, w które inwestycja się im zwróciła, bo osiągnął sukces, stał się jednym z najsłynniejszych synów Kettle. A jeśli ceną za to było to, że się nie widywali, przynajmniej Betty była skłonna ją zapłacić. Liz nie miała zamiaru rozwiewać jej złudzeń, informując, że oto jej dumą i chluba rzuciła pracę, zostawiła ciężarną dziewczynę i gdzieś przepadła.

Jeśli David chciał, żeby rodzice się o tym wszystkim dowiedzieli, bez wątpienia niebawem sam im powie.

– Nie możesz się z nim skontaktować w redakcji? – Liz wyczuwała, że Betty pragnie czym prędzej wrócić do dezynfekowania blatów kuchennych.

– Nie ma go tam w tej chwili. Wziął taki jakby urlop naukowy. Jeśli się z nim zobaczysz, mogłabyś go poprosić, żeby do mnie zadzwonił?

– Nie zobaczę się z nim – burknęła podejrzliwie Betty. – Dom rodzinny to ostatnie miejsce, dokąd by przyjechał w Nowy Rok.

„Kto by mu się dziwił” – pomyślała złośliwie Liz, żegnając się pośpiesznie. Pięć minut rozmowy telefonicznej z Betty wpędziło ją w stan depresyjny. Bóg raczy wiedzieć, jak osiemnaście lat takich gadek wpłynęło na Davida.

Emocje z powodu dymisji Davida sprawiły, że kompletnie zapomniała o sylwestrze. Zawsze pilnowała ważnych dat, punktów zwrotnych, rytuałów przejścia i wiedziała, że nie chce spędzać go sama.

Bez wielkich nadziei wykręciła numer Ginny i Gavina. Uśmiechnęła się z ulgą, kiedy usłyszała w słuchawce roześmiany głos Ginny, tchnienie życia i ciepła po pełnym niechęci tonie Betty.

– Pewnie byście nie chcieli... – Nagle Liz zdała sobie sprawę, o co zamierzała poprosić przyjaciółkę i urwała onieśmiewiona, nie chcąc się jej narzucać i zmuszać ją do zmiany planów.

– Pewnie byśmy nie chcieli...?

Liz dokończyła pośpiesznie:

– Pewnie byście nie chcieli przyjechać do mnie, żeby razem świętować Nowy Rok? Zjedlibyśmy kolację, a wy moglibyście zostać na noc, gdybyście chcieli, żebyście nie musieli się martwić o powrót samochodem.

– Jako kierowca – oznajmił Gavin, który odebrał Ginny słuchawkę – powiem, że to najlepsza propozycja, jaką dzisiaj słyszałem!

– Jesteś szczęśliwa, skarbie?

Jeszcze trzy dni temu, przed tą wizytą, Britt za nic w świecie nie potrafiłaby sobie wyobrazić, że jej ojciec zada takie pytanie.

Miała na końcu języka odpowiedź: „Oczywiście, że jestem, tato” i skierować rozmowę na bezpieczniejsze tory. Popatrzyła jednak na niego i zastanowiła się przez chwilę.

Ojciec siedział przy kominku w piżamie, z pledem na kolanach, a twarz miał szarą jak popiół, który matka codziennie rano sumiennie wymiałała z paleniska.

Najbardziej jednak rzucało się w oczy to, że stracił ducha walki. Tak jakby zostawił go na równiutkiej kupce razem z ubraniami na krześle przy łóżku. Oglądanie go w tym stanie niepokoiło ją bardziej, niż mogłaby przypuszczać w najśmielszych wyobrażeniach. Wiedziała bowiem, że to oznaczało, iż miał się gorzej, znacznie gorzej, niż dawał po sobie poznać.

Wzięła go za rękę.

– Czy jestem szczęśliwa? – Obracała to pytanie w głowie i przyglądała mu się z każdej strony, aż spojrzała prawdzie w oczy, czego nigdy wcześniej nie odważyła się zrobić. – Nie bardzo, tato.

– Mimo wszystkich twoich osiągnięć, twojej firmy, która tak dobrze sobie radzi, i w ogóle?

– Może to nie wystarcza.

Poczuła, jak mocniej ściska jej dłoń.

– Ano. Cieszę się, że to widzisz, słonko.

– Tato?

Słyszając zaniepokojenie w głosie córki, spojrzał jej w oczy.

Zawahała się na chwilę. Poczuła nagłe, rozpaczliwe pragnienie, by powiedzieć mu o ciąży, ale bała się, że ta nowa bliskość, ta cudowna zdolność do rozmowy może zniknąć i wróci dawny tata. A ten zacząłby grzmieć o konsumpcyjnym stylu życia i egoistycznych pobudkach.

Z kimś jednak musiała porozmawiać. Będzie po prostu musiała zaryzykować.

Podniosła głowę i spojrzała ojcu prosto w oczy.

– Tato, będę miała dziecko.

Patrzyła, jak rysy mu twardnieją wskutek wywołanego tą rewelacją szoku. Wiedziała, że myśli teraz o wszystkim, co poświęcili, żeby zapewnić jej start, by była inna od szwaczek, które zachodzą w ciążę w wieku siedemnastu lat i wpadają w pułapkę na całe życie.

Wreszcie się odezwał:

– Dziecko? Dziecko, hm? Ożeż kurde!

Widziała po jego minie, że nie zamierzał, jak się obawiała, odgrywać wiktoriańskiego ojca i mówić, żeby jej noga więcej tu nie powstała. Ze zdumieniem uświadomiła sobie, iż traktuje jej wyznanie jako prezent. Dar życia w śmierci. Rozłożył ramiona, wziął ją w objęcia i przytulił.

– Dziecko, hm? – Poklepał ją delikatnie po głowie. – Cieszysz się, skarbie?

Britt uśmiechnęła się i objęła go ramionami, jak mała dziewczynka, która ma jakiś sekret.

– Tak, tato, bardzo. – Ku swojemu zdziwieniu zdała sobie sprawę, że to prawda.

– Wnuk, co? I to w samą porę.

– Och, tato, nie mów tak. – W jej głosie dźwięczał nieklamany ból, który wzruszył go do głębi. – Niedługo wyzdrowiejesz.

– Ano. Może. No to, dziewczyno, jak długo muszę jeszcze pożyć? Kiedy termin?

– W sierpniu.

– Zamierzacie się... tego... ty i ojciec dziecka...?

– Pobrać? Nie, tato. Właściwie to się rozstaliśmy.

Ojciec spojrział na nią, skonsternowany.

– Nie martw się. Wszystko będzie dobrze. Czuję to.

Odwróciła na chwilę wzrok, zbierając się na odwagę, by wypuścić się jeszcze dalej na niebezpieczne wody prawdy.

– Tato, chciałam cię prosić o radę. Gdybyś miał przyjaciółkę i zakochałbyś się w jej mężu, i on by się do ciebie wprowadził na trochę, a potem odszedł. A potem zaproponowano by ci jej stanowisko. Nie to, na którym pracuje teraz, tylko to, które zajmowała wcześniej. I to byłaby cudowna praca. Super stanowisko. Jedno z najlepszych w telewizji... – Urwała, uderzona absurdalnością wizji swojego prawego, zasadniczego ojca, wplątanego w tak mętną sytuację, jaką opisywała. – Przyjąłbyś propozycję?

– Miałaby coś przeciwko temu, że zajęłabyś jej stanowisko, ta przyjaciółka?

– Tak, pewnie by miała.

– To może czułbym, że już dość jej zabrałem.

Britt się uśmiechnęła. Wiedziała, że powie coś takiego. I dokładnie taką decyzję już wcześniej podjęła.

– Wiedzieliście, że Britt jest w ciąży? – Liz podała Ginny i Gavinowi drinki.

Ginny wyglądała na zbulwersowaną.

– Z Davidem?

Liz potwierdziła skinieniem głowy.

– Och, Lizzie, to okropne!

Gavin objął ją ramieniem.

– Biedna Liz. Co za bydlak.

– A teraz ją zostawił.

– Mój Boże.

– Czyli happy end? – zażartował Gavin. Nigdy nie lubił Britt.

– Nie dla Britt. – Liz usiadła na kanapie.

– No nie, daj spokój! – Myśl, że komukolwiek, a już zwłaszcza Liz, miałyby być żal Britt, wyraźnie piekielnie zirytowała Gavina. – Nie martw się o Britt. Kiedy się dowie, że Calvin Klein nie robi śpioszków, pewnie się zdecyduje na aborcję!

Chcąc nie chcąc, Liz zachichotała. Też nie potrafiła sobie wyobrazić Britt w roli matki. Wizja jej kosztownych beżowych kreacji poplamionych bananem czy lepkich paluszków trzymających kurczowo jej kostium od Armaniego wydawała

się zupełnie nieprawdopodobna. Britt była stworzona do zakupów w Harrodsie i Harvey Nichols, a nie w Mothercare i Toys'R'Us. Liz stanął przed oczami obraz dziecka w nieskazitelnym mieszkaniu Britt: biedactwo było ubrane wyłącznie w czerń i biel, żeby pasować do tapety.

I wtedy po raz pierwszy nasza ją myśl, że skoro David ją zostawił, Britt może w ogóle nie zdecydować się urodzić.

Britt siedziała na niewygodnej kanapie w dużym pokoju swoich rodziców, przykryta kraciatym pledem. Było potwornie zimno, a oni oboje już się położyli. Ojciec był jeszcze za słaby, żeby wysiedzieć do północy i zobaczyć w telewizji, jak Big Ben wybija Nowy Rok.

Ścisnęła w rękę kubek herbaty i oglądała tegoroczną tragiczną próbę, nadawaną jak zwykle na żywo ze Szkocji, wymieszania kiltów i białego wrzosu z alternatywnymi komikami i zespołami rock'n'rollowymi na wesołej sylwestrowej balandze.

Sylwestra, często myślała Britt, wymyślono tylko po to, by torturować singli i samotnych. Spędzanie go w pojedynkę skazywało człowieka na towarzyski śmietnik. Nawet jeśli zdążył przekonać samego siebie, że nie chce iść na imprezę, woli pracować albo po prostu być sam, cała ta sztuczna wesołość i zgubne podejmowanie postanowień jakoś się przeciskały przez szparę pod drzwiami i tak czy inaczej wpędzały go w depresję.

Jednak wbrew oczekiwaniom dziś wieczorem Britt nie czuła się przybita. Po raz pierwszy, odkąd pamiętała, czuła się szczęśliwa i bezpieczna. Ojciec wyzdrowieje, skoro ma teraz coś, dla czego warto jeszcze pożyć. A jutro Britt zadzwoni do Conrada Marksa i odrzuci propozycję pracy. Rozkoszowała się przez chwilę nieznanym dotąd blaskiem własnej bezinteresowności.

A najlepsze jest to, że – objęła rękami poduszkę i przycisnęła ją do brzucha – będzie miała dziecko.

Odtąd już nigdy, przenigdy nie będzie musiała być sama.

Liz siedziała na ławeczce w wykuszowym oknie pokoju Jamiego i Daisy i patrzyła na oświetlony księżycem krajobraz. Lada chwila dzwony w kościółku zaczną bić północ, a ona zejdzie na dół, zaśpiewa *Auld Lang Syne* z Ginny i Gavinem, i ten rok, najgorszy w jej życiu, dobiegnie końca.

Uchyliła na kilka centymetrów okno z szybkami w ołowianych ramkach, uważając, żeby nie wpuścić do pokoju za dużo mroźnego powietrza i nie obudzić dzieci, przyklęła i wylała kilka kropel whisky Glenfiddich, którą przyniósł Gavin, na ziemię na dole. Coś w rodzaju libacji. Ofiara złożona starożytnym bogom tego miejsca, by obdarzyli ją częścią swojego spokoju.

Na polu naprzeciwko, przy ścieżce prowadzącej na szlak South Downs Way, stał w blasku księżyca biały koń, jakby oświetlony pojedynczym reflektorem. Liz wydało się, że to dobry znak, symbol życia, przeciwieństwo tamtego rumaka

wyrytego w kredowym zboczu, który miał przypominać wszystkim o martwej miłości.

Kiedy tak patrzyła na cichą nocną scenerię, poczuła, że najwyższy czas zaakceptować, iż miłość między nią a Davidem także umarła, a w jej życiu musi otworzyć się nowy rozdział. Musiała wreszcie przyjąć do wiadomości, że przeprowadzka tutaj tak naprawdę nie była, aż do tej chwili, tym nowym początkiem, którego pragnęła.

Wstając i rozprostowując zdętwiałe nogi, usłyszała, jak zaczynają bić dzwony w kościele w Seamington, tak jak biły od setek lat. Ale dziś ten niosący się po okolicy, rozbrzmiewający echem dźwięk wydawał się przeznaczony specjalnie dla niej, jakby ją wzywał, żeby zaczęła jeszcze raz, tym razem bez oglądania się za siebie.

Wiedziała, że musi przyznać się jeszcze do jednej rzeczy. Tak jak powiedziała Mel: nigdy nie będzie matką karmicielką. Kochała swoje dzieci, ale potrzebowała przynajmniej raz na jakiś czas wyjść z domu, mieć w życiu jakiś ambitny cel. Nigdy już nie postawi swojej kariery na pierwszym miejscu, przed rodziną, ale pora spojrzeć prawdzie w oczy – pracować też musiała.

Britt leżała w wąskim łóżku, w którym spała jako nastolatka, i słuchała dzwonów Zjednoczonego Kościoła Reformowanego w Rothwell, bijących na pożegnanie starego roku i powitanie nowego.

Na dworze było ciemno i cicho. Żadni pijani imprezowicze ani wstawieni sąsiedzi z ciastkami i bryłką węgla, mającą według tradycji przynieść szczęście, nie zapuszczali się do domów mieszkańców Acacia Gardens. Nie było też całowania się w policzki ani okrzyków „Kochana!”, którymi charakteryzowały się londyńskie przyjęcia. W Acacia Gardens przyzwoici ludzie oglądali Big Bena i cicho kładli się spać.

Ale dziś Britt nie uważała ich za ponuraków o wąskich horyzontach. To byli po prostu zwykli ludzie, prowadzący spokojne życie, tak jak jej mama i tata. Kiedy tak leżała z otwartymi oczami, zupełnie rozbudzona, blask latarni oświetlił jej niewielką sypialnię i zdała sobie sprawę, że po raz pierwszy, odkąd zaczęła odwiedzać rodziców po wyprowadzce z domu, rozpakowała walizki i rozrzuciła swoje rzeczy po pokoju, jakby naprawdę należał do niej.

Z uśmiechem przewróciła się na drugi bok i umościła pod kocami. Czowała się dzisiaj nadzwyczajnie pogodzona z życiem.

O piątej nad ranem, na długo zanim na niebie pojawiły się pierwsze brudne smugi światła, a ptaki zaczynały swój pierwszy hałaśliwy występ w roku, Britt poczuła ból.

Na wpół uśpiona, przewróciła się na bok, przyciskając do siebie poduszkę, i spróbowała o nim zapomnieć. Pewnie to niestrawność, pokłosie świątecznego obżarstwa.

A potem przyszła kolejna fala bólu i mdłości, tym razem silniejsza, sprawiając, że jej oczy otworzyły się gwałtownie, dłonie spotniały, a Britt zaczęła błagać, żeby się myliła, żeby to nie działało się naprawdę.

Rozprostowując się i kładąc płasko na plecach, tak jak gdzieś czytała, że trzeba, poczuła, jak ponownie ogarnia ją ból i niepowstrzymanym strumieniem wypływa z niej krew, wsiąkając w pościel i plamiąc jaskrawą czerwienią czystą biel jej jedwabnej piżamy.

Przez chwilę chciała zawołać do matki, żeby zadzwoniła po lekarza. Ale wiedziała, że jest za późno. Że nikt jej już nie pomoże. Że już straciła dziecko.

Rozdział 25

– Może przyszlabyś do pracy w WomanPower?

Ginny wstrzymała oddech, nie śmiać nawet spojrzeć na Liz. W końcu przyjaciółka mogłaby uznać, że WomanPower to zbyt mało ambitne przedsięwzięcie dla kogoś z jej talentem, niepoważna firemka prowadzona przez kompletną amatorkę, hobby gospodyni domowej.

Sęk w tym, że miałyby rację. Ginny rozejrzała się po małym, zabałaganionym biurze z jednym telefonem, spłowiałą farbą na ścianach i starymi szafkami na dokumenty, nie mówiąc już o zatrważająco niekompetentnej osiemnastoletniej recepcjonistce, maszynistce i dziewczynie na posyłki w jednej osobie, która była tak nieatrakcyjna, że nie udało jej się nawet załapać na rządowy staż, ale pewnie dzięki temu zgodziła się na bardzo niską pensję. Na pewno nie było to Metro Television.

Przez chwilę Ginny znów poczuła się przygnębiona. WomanPower to był genialny pomysł, wiedziała o tym, ale jeśli miała być ze sobą brutalnie szczerą, najwyraźniej brakowało jej wyobraźni i umiejętności kierowniczych, żeby ruszyć z nim z miejsca. Natomiast Liz miała i jedno, i drugie. Z nią na pokładzie mogłyby naprawdę rozkręcić firmę. Zdając sobie sprawę, że Liz nie odpowiedziała, Ginny postanowiła trochę bardziej się postarać.

– Oczywiście nie moglibyśmy płacić ci fortuny, ale praca byłaby w niepełnym wymiarze, więc miałybyś czas dla dzieci. Poza tym rzecz jasna nie byłabyś pracownicą. Chciałabym, żebyś została moją współpracownicą.

Liz rozejrzała się, rozważając propozycję. Nie chciała tak szybko szukać pracy i nie zaczęła nawet się zastanawiać, co mogłaby robić. Może jakiś mały telewizyjny konsulting, gdzie mogłaby w ciągu jednego dnia zarobić tyle, ile większość ludzi w tydzień. Ale patrząc na maleńkie biuro Ginny w uroczym, spokojnym miasteczku Lewes, poczuła odrazę na myśl o powrocie do świata telewizji, pełnego ludzi o wybujałym ego i obsesyjnie zapatrzonych we własny pępek. A perspektywa dojazdów do miasta, nawet na jeden dzień, z którego bez wątpienia zrobiłyby się dwa, może z koniecznością spędzenia nocy w jakimś anonimowym hotelu, nagle wydała jej się po prostu przerażająca.

Była głęboko wzruszona, że Ginny zaproponowała jej zostanie współpracownicą w swoim bardzo osobistym przedsięwzięciu. Nie musiała zarabiać kokosów. Mieszkanie w wiejskim domku nieobciążonym kredytem hipotecznym okazało się wyjątkowo tanie w porównaniu z ich wystawnym londyńskim stylem życia. Obliczyła, że da sobie radę, jeśli tylko będzie miała jakieś dochody.

– A o jakiej kwocie myślałaś?

Boże! Sumy, którą wymieniła Ginny, w Metro TV nie zaproponowano by

nawet sprzątacze, która czyściła wychodki. No, ale to nie było Metro. Chwała Bogu. To było WomanPower, a Liz zawsze wierzyła w ten pomysł, od chwili, kiedy po raz pierwszy usłyszała o nim od Ginny. Nawet jeśli firma nie rozwinie się w międzynarodową korporację, i tak fascynującym przeżyciem będzie poznać wszystkie te kobiety, które, tak jak ona, chciały wrócić do pracy i nadal mieć czas dla dzieci.

Ginny przyglądała się minie Liz, i widziała, że schrzaniła sprawę. Nie było mowy, żeby Liz zgodziła się pracować dla kogoś, kto proponuje jej takie nędzne grosze. Pewnie mogła dostać z dziesięć razy więcej, albo i lepiej, gdyby tylko chciała.

Liz wzięła głęboki wdech i podjęła decyzję. Zawsze wierzyła w swój instynkt. Zsunęła się ze starego biurka, otrzepała dres z kurzu, zamknęła z trzaskiem torebkę i ruszyła do drzwi.

Ginny starała się ukryć rozczarowanie, maskując je pogodnym uśmiechem.

– Do widzenia, Lizzie. No trudno. Warto było spróbować.

– Owszem. – Liz objęła przyjaciółkę ramieniem i uściśniła. – Zacznę, kiedy tylko znajdę kogoś do opieki nad dziećmi.

Ginny zagapiła się na nią z otwartymi ustami.

– Lubię wyzwania. – W oczach Liz zapaliły się wesołe iskierki.

– Och, Liz. – Ginny zarzuciła przyjaciółce ręce na szyję i ją przytuliła. – Wyzwanie to tu cię czeka na pewno!

Uśmiechając się na widok radości Ginny, Liz nawet nie podejrzewała, jak wiele było w tym prawdy.

Britt leżała w łóżku, absolutnie nieruchomo, odwrócona twarzą do ściany. Czowała się tak, jakby ktoś ją podniósł i wylał z niej całą duszę, jak mleko, nad którym nikt nie płakał. Z wyjątkiem niej.

Przyszedł lekarz rodzinny, zarumieniony i zakłopotany, bo to on pomagał jej przyjść na świat i leczył ją w dzieciństwie na ospę, a teraz potwierdził ściszym głosem, że poroniła. „Oczywiście, że poroniłam!” – chciała wrzasnąć, rzucając mu swoją zakrwawioną piżamę w twarz, ale właściwie po co? Wszystko przepadło.

Czowała teraz tylko narastającą martwość, paraliżujący letarg, który nie przerodził się w gniew, nawet kiedy lekarz zapytał, czy jest panną, po czym poklepał ją po ramieniu i nietaktownie stwierdził: „W takim razie nie ma tego złego... Prawda?”. Uświadomiła sobie, że ciąża przed zamażpójściem nadal jest w Rothwell napiętnowanym społecznie powodem do wstydu.

Jeszcze nigdy nie czuła się taka samotna. Wiedziała, że rodzice ją kochają i że zrobią wszystko, co w ich mocy, by złagodzić jej ból. Ale na taki ból nikt nie mógł nic zaradzić.

Przez tych kilka krótkich tygodni swojego życia dziecko otworzyło w niej jakieś drzwi. Drzwi do miłości, radości, bliskości, a teraz bólu. Britt zorientowała

się ze zgrozą, że nie może ich zamknąć. Nie potrafiła sobie powiedzieć, że to nie ma znaczenia, że przecież ma swoją karierę, mieszkanie, uporządkowane życie.

Gdy odwróciła twarz do ściany, aby nie widzieć ani lekarza, ani matki, Britt przyszła do głowy jeszcze jedna możliwość, której wcześniej nie przyjmowała do wiadomości. Utrata dziecka mogła być po prostu karą. Rozbiła bardzo zgrane małżeństwo, pozbawiając Jamiego i Daisy ojca, a Liz męża. Zdradziła przyjaciółkę. I taki był skutek.

Co się stało, to się nie odstanie. Ale może nie było za późno, żeby spróbować zmienić się na lepsze. Mogła zacząć już dziś, dzwoniąc do Conrada i odrzucając jego propozycję.

Odwróciła się z powrotem do matki, posłała jej lekki, zmęczony uśmiech i poprosiła o herbatę.

– Jak ci idą poszukiwania idealnej pomocy do dzieci? – zapytała Ginny tonem pełnym nadziei. Odliczała dni do chwili, kiedy Liz będzie mogła zacząć pracę.

– Potwornie. Na ogłoszenie odpowiedziało pięć osób, przy czym żadna z nich nie mówi po angielsku! Jedna służyła wcześniej w izraelskiej armii, druga była fotomodelką, a trzy pozostałe mówiły jak kandydatki w konkursie Miss Świata. – Liz z niesmakiem rzuciła na stół numer „Lady”. – „Chcem pracować z dziećmi, bo som takie słodkie... i czy ma pany samochót... i czy we wiosce jest bar z winem?”. Aaaa!

Ginny poczuła narastającą panikę. Jeśli Liz nie znajdzie nikogo do opieki nad dziećmi, w ogóle nie zacznie pracy w WomanPower.

Nagle coś sobie przypomniała.

– Czekaj, czekaj... Co mówiła ostatnio twoja sąsiadka Ruby? Już wiem. Córka właściciela pubu Plough and Furrow. Idzie do szkoły gastronomicznej i potrzebuje jakiejś dorywczej pracy.

– Brzmi cudownie. – Liz przymknęła oczy i wyobraziła sobie szczęśliwe dzieci i zamrażarkę pełną zapiekanek z mięsa i ziemniaków. – Jak się nazywa?

– Chyba Minty.

Liz sięgnęła po telefon.

– Halo, czy to Plough and Furrow? Mogłabym prosić Minty?

– Jak to, nie chcesz tego stanowiska?

Kiedy asystentka powiedziała Conradowi, że dzwoni Britt Williams, uśmiechnął się z zadowoleniem. Co prawda kazała mu czekać prawie tydzień, ale za to ją podziwiał. Pewność siebie i umiejętność prowadzenia gry na przetrzymanie należały do cech, na których mu zależało. A teraz, kilka dni przed spotkaniem z zarządem, ta głupia pinda mówi mu, że nie chce tego stanowiska!

Conrad zrezygnował z rozluźnionej pozycji z nogami na stole, którą właśnie przyjmował, zerwał się z fotela i zaczął chodzić w tę i z powrotem po grubym

czarnym dywanie, jak wściekła osa, która szuka kogoś, kogo by można użądlić. Ta chciwa krowa chciała pewnie więcej kasy. Wyobraził ją sobie w jednym z tych jej zabójczych kostiumów, jak siedzi za wielkim biurkiem w swoim gabinecie i myśli, że może z nim pogrywać.

– Słuchaj, Britt, o co ci chodzi? Chcesz więcej pieniędzy? To powiedz. Nie wciskaj mi kitu, że nie chcesz tej pracy.

Britt siedziała w przedpokoju bliźniaka swoich rodziców, w koszuli nocnej i puchatych kapciach przypominających świnki morskie, pożyczonych od matki, bo zapomniała swoich, i chciało jej się śmiać. Pustka ostatnich kilku dni zmieniła się w dziwny spokój, swoistą harmonię zen, sprawiającą, że nawet najnormalniejsze rzeczy wydawały się nierzeczywiste, a Conrad zaczął przypominać jej jakąś postać z Flipa i Flapa.

– Nie chcę tej pracy, Conrad.

Conrad zastanowił się przez chwilę. Przez lata wykształcił zabójczo skuteczną technikę, złożoną w jednej trzeciej z wdzięku i w dwóch trzecich z zastraszenia. Nigdy dotąd go nie zawiodła. Teraz instynkt podpowiadał mu, żeby pominąć wdzięk i przejść od razu do tej drugiej części składowej.

– Britt, mieliśmy dżentelmeńską umowę.

– Bzdura! Powiedziałaś, żebym się zastanowiła, a twoja sekretarka zaprosiła mnie wstępnie na spotkanie, to wszystko.

– Spotkanie z całym cholernym zarządem Metro Television! Pojutrze!

– Przykro mi, Conrad, ale nie chcę tej pracy.

– W takim razie będę musiał rozgłosić w branży, że nie można na tobie polegać – zasugerował Conrad sztucznie słodkim tonem. – Że najpierw dajesz słowo, a potem je łamiesz. Niezdecydowanie to w tym biznesie brzydkie słowo, Britt, zwłaszcza jeśli się jest kobietą.

– Grozisz mi?

Widząc, że nic w ten sposób nie wskóra i że Britt może rzeczywiście mówić poważnie, Conrad zaczął wpadać we wściekłość. A kiedy się wściekał, lubił mieć kogo o to obwinić. Właśnie przyszła mu do głowy idealna kandydatka na winowajczynię – cholerna Liz Ward!

Oczywiście! To wszystko jej sprawka. Kiedy Britt wychodziła w Wigilię z jego gabinetu, była gotowa zabić za tę pracę. Widział to w jej oczach. Oczywiście, nie dawała tego po sobie poznać. No, ale krzyczenie „Hurra, co za cudowna praca, akceptuję bez wahania” byłoby trochę obciachem. W każdym razie chciała dostać to stanowisko, oboje o tym wiedzieli. A potem musiała ją dopaść Liz, zacząć jej truć o zdradzie, zawiedzionej przyjaźni oraz odbiciu męża. I ta głupia pinda dała się na to złapać.

– Dobra, Britt, zapomnij o wszystkim, co ci powiedziała Liz Ward. Chciałaś tę pracę przed świętami i nadal ją chcesz.

– Poprawka. Może chciałam ją przed świętami, ale teraz jej nie chcę.
– I ja mam uwierzyć, że nie ma to absolutnie nic wspólnego z Liz Ward?
– Tego nie powiedziałam, Conrad. Ale mogę cię zapewnić, że nie wspomniałam Liz o tej propozycji, a ona oczywiście nie przekonała mnie, żebym ją odrzuciła.

– No to dlaczego, kurwa, mi odmawiasz?

Britt skierowała palce stóp do środka, tak że dwie świnki morskie się pocałowały. Nagle cała sytuacja wydała jej się niesamowicie śmieszna.

– Bo nie chcę tej pracy. I może dlatego – urwała na chwilę, przypominając sobie rozmowę z ojcem – że już dość Liz zabrałam.

Wyobraziła sobie minę Conrada, któremu wreszcie zabrakło argumentów, i zaczęła się śmiać.

– Nie martw się, Conrad. To tylko telewizja!

Z pewnym zaskoczeniem uzmysłowiła sobie, że naprawdę tak myśli.

Conrad chodził wściekły po gabinecie. Tymczasowo dał stanowisko dyrektor programowej Claudii, która teraz spodziewała się potwierdzenia nominacji. Ale on nie tak to sobie zaplanował. Prędzej go szlag trafi, niż będzie siedział u Claudii pod pantoflem tylko dlatego, że miała mięśnie pochwy wyćwiczone jak sportsmenka i potrafiła robić laskę najlepiej w Londynie. Zaczął nawet mieć koszmary, w których uciekał, zlany potem, goniony przed dwie ogromne mięsiste wargi. I wiedział, że są to wargi sromowe Claudii.

Jego plan był zupełnie inny. Gdyby miał pełną swobodę ruchów, w ogóle pozbyłby się Claudii, ale zaangażował ją do pewnych swoich pomysłowych transakcji biznesowych, których Ben Morgan z Niezależnej Komisji do spraw Telewizji może nie uznać za zwykłe środki doraźne, choć przecież nimi *de facto* były. Planował więc dać Claudii kopa w górę. Wymyślić specjalnie dla niej tytuł dyrektor naczelnej do spraw programowych czy jakieś podobne pierdoły, natomiast realną władzę dać Britt. A cholerna Liz Ward wsadziła mu kij w szprychy po prostu z czystej zazdrości. Było tylko jedno rozwiązanie. Musiał dopilnować, by przekonała przyjaciółkę do zmiany zdania.

Jeśli Liz tego nie zrobi, będzie na zawsze skazany na Claudię.

Matka Britt podsluchiwała pod drzwiami łazienki, aż w końcu usłyszała łagodny plusk wody o emalię i miała pewność, że jej córka jest już bezpiecznie w wannie. Britt lubiła długie kąpiele, więc miała co najmniej dwadzieścia minut.

Po cichutku, oglądając się co kilka sekund przez ramię, jakby się spodziewała, że nagle poczuje na nim dłoń córki domagającej się wyjaśnień, zakradła się do pokoju Britt.

Drzwi otworzyły się bezgłośnie – chwała Bogu wtarła trochę smalcu w zawiasy – i Mary wślizgnęła się do środka. Rozglądając się wokół, stanęła jak wryta. Nawet jako nastolatka Britt utrzymywała w pokoju nieskazitelny porządek.

Po podłodze nie wały się płyty, na wierzchu nie leżały kosmetyki Outdoor Girl, w powietrzu nie unosił się zakazany, ale wyraźny zapach dymu papierosowego zamaskowanego odświeżaczem powietrza, nie dobiegała stąd nawet głośna muzyka. Bładoróżowe łóżko zawsze było posłane, poduszki ładnie ułożone, a kolekcja lalek Sindy ustawiona w rzędzie na parapecie.

Sypialnia, do której teraz weszła, w ogóle nie przypominała pokoju Britt: z walizek wysypywały się bluzki, swetry i spódnice, biżuteria i kosmetyki zaśmiecały toaletkę, z szuflad wystawały rajstopy, a w rogu leżała sterta brudnej bielizny. Po raz pierwszy, odkąd jej matka pamiętała, Britt rozpakowała swoją duszę.

Czując się jak przestępca albo matka zrywająca kłódkę z pamiętnika nastoletniej córki, ignorując wszystkie ostrzeżenia: „NIE OTWIERAĆ! SPRAWY PRYWATNE!”, zajrzała do torebki Britt.

Potwornie się czuła, tak myszkując, bała się, że córka może ją przyłapać na grzebaniu w jej rzeczach. Ale, zdaniem Mary, miłość usprawiedliwiała wszystko, a ona widziała, że coś w życiu jej córki jest bardzo nie tak.

Mary Williams była rozsądną kobietą, nie poddała się fali goryczy, którą poczuła, kiedy Britt poroniła. Wydawało jej się to niepotrzebnym okrucieństwem, że przez ponad trzydzieści lat nauczyli się żyć ze swoją wyniosłą, zdystansowaną córką, chociaż jej nie rozumieli, a kiedy wreszcie zamrożone płatki jej duszy zaczęły się rozwijać w ciepłe ich miłości, straciła swoje nienarodzone dziecko.

A teraz to jej dziwne zachowanie: w jednej chwili roześmiana i radosna, za chwilę milcząca i wycofana. Od początku swojego małżeństwa Mary dzieliła się z mężem każdym sekretem. Ale nie tym. Nie lękiem o zdrowie psychiczne córki. Zatrzymała go dla siebie i chciała poszukać jakiejś innej osoby, która lepiej to zniesie, aby jej wyznać swoje obawy. Przyjaciółki. Przyjaciółki Britt, którą mogłaby ostrzec i poprosić, żeby na nią uważała, wyciągnęła do niej pomocną dłoń.

W końcu znalazła to, czego szukała – notes córki z adresami i telefonami. Schowała go do kieszeni spłowiałego fartucha w kwiatki i zaniósła do swojej sypialni.

Oprawiony w skórę notes był ciężki, pękał w szwach od setek nazwisk, adresów i numerów telefonów. Przypomniał jej się ich własny notatnik, kupiony w Woolworths dwadzieścia lat temu i prawie nigdy nieużywany. Numery, które do niego wpisała przez te wszystkie lata, mogłaby policzyć na palcach. Ale w tym domu sam dzwonek telefonu był wydarzeniem, które wywoływało zaskoczenie, a czasami strach. W Rothwell ludzie nadal pukali do sąsiadów, wysyłali dzieci z wiadomością albo tręcali cię w ramię w pubie. Rzadko korzystali z telefonu.

Kiedy kartkowała notes Britt w poszukiwaniu jakiegoś znajomego imienia, ogarnęło ją współczucie dla córki. Może ona i Ted nie mieli wielu nazwisk

w swoim notatniku, ale każde coś dla nich znaczyło. U Britt znaczną część stanowiły tak zwane kontakty. Nazwiska z nazwą firmy w nawiasie, handlowcy, dostawcy, lekarze, dentyści, kluby fitness, kluby squasha. Zatrzymała się na chwilę z uśmiechem, kiedy doszła do „Mamy i Taty”. Ale co z przyjaciółmi Britt? Ludźmi, których znała tak dobrze, że zapisała sobie tylko ich imiona?

W końcu znalazła trzy takie osoby. Ginny, Mel i Liz.

Przypomniała sobie, że od czasu do czasu słyszała te imiona, rzucane w rozmowie. Ale tylko Liz kiedyś poznała osobiście; widziała się z nią jeden jedyny raz, kiedy przyjechała do Londynu na jednodniową wycieczkę i spotkała się z Britt oraz jej przyjaciółką w kawiarni w Selfridges.

Od dawna chciała zobaczyć się ze swoją mądrą córką, która właśnie dostała pracę sekretarki w stacji telewizyjnej, i siedziała jak na szpilkach, czekając, żeby pochwalić się nią przed pozostałymi paniami z grupy. Ale kiedy w końcu Britt i Liz przyszły, jej córka zerkała bez przerwy na zegarek, wyraźnie chcąc już sobie pójść, by nie tracić bezcennej przerwy na lunch na spotkanie z matką i jej nudnymi prowincjonalnymi koleżankami.

Wtedy to Liz była miła i życzliwa, to ona zadawała Mary i jej towarzyszkom pytania, które powinna zadać Britt – o ich domy, rodziny, o to, jak im się podoba Londyn.

I to Liz, przypomniała sobie Mary, czerwieniąc się pod wpływem tego bolesnego wspomnienia, to Liz – nie Britt – dyskretnie zapłaciła rachunek.

W notesie przy jej imieniu były dwa numery, jeden londyński, wykreślony, a drugi z dopiskiem „domek”. Podniesiona na duchu, Mary zapisała oba i wróciła na palcach do pokoju córki, żeby włożyć notes z powrotem do torebki.

Przynajmniej Britt miała jedną dobrą przyjaciółkę, która, Mary była o tym przekonana, chętnie się nią zajmie, kiedy usłyszy, co się stało.

– Do widzenia, mamo, do widzenia, tato.

Britt wrzuciła płaszcz do porsche i sama wskoczyła do środka, starając się nie patrzeć na malujący się na ich twarzach ból. Wiedziała, że chcą, by dodała im otuchy, by im powiedziała, że nic jej nie jest, że wszystko w porządku. Ale nie potrafiła o tym mówić, nie wspomniała ani razu, nie była nawet w stanie objąć rodziców ani dotknąć ich dłoni. Jak gdyby strata dziecka znów otworzyła między nimi przepaść, a bliskość, która zaczęła się między nimi tworzyć, została przekreślona przez ten potworny krwotok.

Jedynym rozwiązaniem, jakie znalazła, był powrót do Londynu i anonimowości, gdzie mogła pogрузić się w żalobie pośród znajomych przedmiotów.

– Zostań, słonko. Jeszcze tylko parę dni!

Ujrzała troskę na twarzy ojca, kiedy wyciągnął do niej rękę. Chciała zareagować, coś odpowiedzieć. Ale tylko się wzdrygnęła, a on opuścił dłoń

w bezradnym geście porażki.

– Och, Britt, skarbie – szepnął, odwracając wzrok. Ten potężny mężczyzna, teraz już przygarbiony, ale wciąż dumny mimo lat ciężkiej pracy pod ziemią, ukradkiem otarł łzę. Nigdy wcześniej nie widziała, żeby płakał. – Gdyby tylko mogło trafić na mnie, zamiast na twoje dziecko.

Miłość w jego głosie sprawiła, że pękła. Słyszała tę rozpacz. Tę bezradność. Otworzyła drzwiczki samochodu i wysiadła.

– Och, tato. Nie mów tak. Ty jesteś tylko jeden jedyny. Zawsze mogę mieć następne dziecko.

– No to się pośpiesz, dziewczyno!

Odwróciła wzrok, nie chcąc usłyszeć tego, co chciał jej powiedzieć – że nie miał zbyt wiele czasu.

– Kocham cię, tato.

– Ja ciebie też kocham, dziewczyno. No, a teraz już zmykaj do tego gniazda rozpusty!

Britt uśmiechnęła się i wsiadła do samochodu. Wiedziała jednak, że w Londynie czekają na nią nie jaskinie rozpusty, lecz bezdenna studnia samotności.

Kiedy samochód Britt odjechał z rykiem silnika, jej matka odczekała dziesięć minut na wypadek, gdyby córka musiała wrócić po coś, czego zapomniała, i poszła na górę po kartkę, starannie złożoną i schowaną w prawej szufladce toaletki. Kartkę z numerem telefonu Liz.

Dzieci bawiły się podejrzanie spokojnie na dole, a Liz w zaciszu swojej sypialni wyjęła z szafy granatowy kostium w prążki i uznała, że jest zbyt onieśmielający. Jeśli miała nagabywać konserwatywnych lokalnych przedsiębiorców, ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała, był styl „zjem wasze jaja na śniadanie”, z jakim uwielbiały się obnosić londyńskie kobiety sukcesu.

Zaciekawiło ją przelotnie, jak sobie radzą bez niej w Metrze. Słyszała o jakichś tarcjach między Claudią a Conradem. No, no. Strata jednej dyrektor programowej może wyglądać na przypadek. Ale dwie to już zdecydowanie niefrasobliwość.

Zarzuciła myśli o telewizji i wróciła do bieżącego zadania. Przydałby jej się taki ładny tweedowy kostiumik jak ten, który miała na sobie Susannah Smith.

Usiadła na chwilę i pomyślała o tym, co przepowiedziała jej wróżka. Mówiła, że Liz musi dokonać kolejnych zmian, no i proszę – właśnie wracała do pracy. Ale z drugiej strony, wytknęła Liz cyniczna część jej „ja”, było to stwierdzenie tak ogólnikowe, że mogło znaczyć absolutnie wszystko.

Co jednak z drugą przepowiednią? Jasnowidząca twierdziła, że kocha ją dwóch mężczyzn i obaj ją zranią. Jak powiedziała Mel, pierwszego odgadnąć nie sztuka. Liz odłożyła kostium. Nie będzie myślała o Davidzie. David należał do przeszłości. Ale co z tym drugim tajemniczym facetem?

Wyglądając kołdrę w kwiatki, skarciła się cierpko w myśli, że takie dywagacje nie mają sensu i najlepiej o tym zapomnieć. Odkąd przeprowadziła się do Sussex, nie udało jej się chyba poznać mężczyzny przed siedemdziesiątką. Mogła sobie najwyżej pomarzyć. A poza tym kolejny facet, który ją zrani, to ostatnia rzecz, jakiej jest teraz trzeba.

Kiedy jednak kilka sekund później zadzwonił telefon, miała niemal przecucie, że usłyszy w słuchawce mężczyznę. Ale odezwał się kobiecy głos. Nieśmiały, niepewny głos z północnym akcentem, który brzmiał, jakby jego właścicielka długo się zbierała, żeby w ogóle zadzwonić.

– Halo, czy mówię z Liz?

Liz miała wrażenie, że gdyby zawołała: „Bu!”, głos po drugiej stronie zniknąłby i nigdy nie wrócił. Powiedziała jednak:

– Tak, tu Liz.

– Mówi Mary Williams, matka Britt Williams.

Matka Britt! Trudno było sobie wyobrazić, że Britt w ogóle ma matkę i ojca. Że dwoje zwykłych ludzi mogło połączyć geny i wyszła z tego Britt. Po chwili przypomniała sobie, że przecież poznała jej matkę jakieś dziesięć czy jedenaście lat temu. Pamiętała miłą, zadbaną, jakby wypłowiałą panią w niewygodnym kostiumie i kapeluszu z kwiatami, jak gdyby cały czas zdziwioną, że mogła urodzić tę zabójczo elegancką, inteligentną młodą kobietę, która najwyraźniej uważała spędzenie pięciu minut w towarzystwie matki za potworny obciach.

Liz przypomniała sobie, że zrobiło jej się żal tej kobiety, która musiała najeść się wstydu przed koleżankami, bo jej własna córka była nią ewidentnie zażenowana.

– Przepraszam, że zawracam pani głowę, ale naprawdę muszę prosić panią o przysługę.

Liz poczuła wzbierającą w niej złość. Ta kobieta chciała ją prosić, żeby zrobiła coś dla Britt!

– Chodzi o moją córkę. – Nie zwracając uwagi na milczenie Liz, chcąc mieć to już za sobą, matka Britt szybko kontynuowała: – Pewnie wie pani o jej dziecku?

– O, tak. – Liz usłyszała swój ostry ton i nie próbowała go powstrzymać. Czy ta cholerna baba oczekiwała od niej gratulacji? „Jak cudownie, będzie pani babcią, musi pani być zachwycona!”.

– O tak, wiem bardzo dobrze.

Matka Britt zniżyła głos, jakby resztę rozmowy miały odbyć w kościele.

– Niestety, w zeszłym tygodniu je straciła.

– Straciła? – Liz w pierwszej chwili nie zrozumiała.

– Tak. Poroniła. Cudem uniknęła wypadku na autostradzie, kiedy do nas jechała, omal nie zginęła. Lekarz mówi, że to był opóźniony szok.

A zatem Britt straciła dziecko. Liz poczuła falę emocji, w której z lekkimi

wyrzutami sumienia rozpoznała satysfakcję.

– Jak ona to znosi?

– Dlatego właśnie dzwonię. Obawiam się, że znosi to źle. Czasami sprawia wrażenie, jakby wszystko było w porządku, jakby nie miała żadnych zmartwień, a potem wpada w ponury nastrój, godzinami się nie odzywa, zamyka się w sobie. Martwię się o nią, jak sobie pomyślę, że będzie samiuteńka w tym swoim mieszkaniu wielkim jak stodoła. Zastanawiałam się, czy...

Liz czekała. Niepewny głos Mary Williams zdradzał, jak łatwo jej wyświadcząc przysługi innym i jak trudno o nie prosić.

– ...czy mogłaby pani mieć na nią oko. Nie znam nikogo innego z jej przyjaciół, a pamiętam, jaka była pani miła. Myśli pani, że mogłaby się nią zająć?

Przez chwilę Liz poczuła przyływ oślepiającej furii. Jak ta kobieta śmie prosić akurat ją, żeby opiekowała się Britt, skoro to właśnie jej mąż był ojcem tego cholernego dziecka?

Po chwili, powstrzymując histeryczny śmiech, zrozumiała. Britt, nigdy specjalnie nieszafująca prawdą, na pewno nie powiedziała matce, z kim była w ciąży.

Liz rozważała przez chwilę, czy nie oświecić swojej rozmówczynie. Ale w stronach pani Williams nie zachodziło się w ciążę z mężem najlepszej przyjaciółki i Liz wiedziała, że ta wiadomość złamałaby jej serce.

– Przykro mi, pani Williams, niestety nie mieszkam już w Londynie.

– Ach tak. – Wyraźnie nie była to odpowiedź, której kobieta się spodziewała. Liz słyszała rozczarowanie w jej głosie i zmiękała.

– Mogłabym poprosić jedną z naszych wspólnych przyjaciółek, Mel, żeby do niej zadzwoniła, jeśli pani sobie życzy.

Liz już sobie wyobrażała reakcję Mel: „Ja miałabym dzwonić do Britt! Chyba żartujesz! No, to straciła dziecko. To tylko pokazuje, że jednak Bóg istnieje!”.

– Och. Cóż, gdyby pani mogła.

Wiedziała, że sprawiła zawód pani Williams, ale trudno, to musiało wystarczyć. W każdym razie, wbrew temu, co mówiła jej matka, o ile Liz знаła Britt, ta siedziała teraz w domu, malowała paznokcie, myślała o swojej karierze i dochodziła do wniosku, że może, koniec końców, jednak dobrze się stało.

Britt otworzyła drzwi do mieszkania i weszła do zalanego słońcem przedpokoju. Myślała, że potknie się o stertę gazet, których prenumeraty zapomniiała anulować, i będzie brodzić po kolana w ulotkach reklamowych, rachunkach i spóźnionych kartkach świątecznych od pełnych nadziei handlowców. Poczta leżała jednak ułożona w równych stosach, gazety były dyskretnie schowane pod bambusowym stolikiem, na którym stała jaskrawoczerwona poinsecja, prezent od jej sprzątaczkę, pani Wills, która najwyraźniej była tu dziś rano. Oczywiście, był

przecież wtorek. U rodziców straciła poczucie czasu.

Britt nie cierpiała poinsecji, kojarzyły jej się z dużym pokojem w klitkowatym mieszkaniu i tanimi bożonarodzeniowymi kartkami, ale na widok tej omal się znowu nie rozpląkała. Tydzień temu uznałaby ją za przejaw żenującego bezguścia. Teraz była wzruszona. Krwistoczerwone liście wydawały jej się dziwnie symboliczne. Memento. Była tym uczuciem zdziwiona, ale cieszyła się, że ją dostała.

Rzuciła walizkę na łóżko i obesła powoli całe mieszkanie, rozświetlone promieniami popołudniowego słońca, wpadającymi przez ogromne okna i zamieniającymi każdy pyłek w drobinę złota. To właśnie światło sprawiło, że zakochała się w tym miejscu. „Jak możesz mieszkać w tym wielkim akwariu?” – pytali niektórzy, przerażeni bezlitosnym blaskiem letniego słońca, nie wyobrażając sobie, że mieliby opuszczać żaluzje, jakby byli nad Morzem Śródziemnym, a nie na londyńskim East Endzie.

„Ale to dlatego – myślała Britt – że nigdy nie byli tu o wschodzie słońca, kiedy całe mieszkanie nabierało delikatnej różowej barwy, ani nie patrzyli, jak słońce powoli chowa się za kościołami Wrena w londyńskim City”.

Powoli przechadzała się od pokoju do pokoju, brała do ręki znajome przedmioty, poprawiała poduszki, głaskała szorstką wełnę białej kanapy. Tak się bała, że wejdzie tu i znajdzie tylko pustkę. Ale ku swojej niebotycznej uldze, poczuła, że krok po kroku wraca do własnego życia.

Uświadomiła sobie, że zaczyna się ściemniać, a ogrzewanie jest wyłączone. Zadrzała z zimna i wstała, żeby je włączyć. Po chwili jednak zmieniła zdanie, uklękła na dywaniku przed ogromnym kominkiem i zaczęła splatać stare gazety w podpałki, które następnie układała równiutko w palenisku, tak jak nauczyła ją jej matka. W końcu przyłożyła zapalną i czekała, aż płomień strzela w górę w zapadających ciemnościach.

Była w domu.

Języki ognia migotały, a Britt przyglądała się ich odblaskowi w mosiężnej osłonie paleniska i w jakimś srebrnym przedmiocie na stoliku obok. Nie kojarząc, co to takiego, wstała i zobaczyła oprawioną w srebrną ramkę fotografię Jamiego i Daisy, którą postawił tu David.

Patrząc na nią w blasku ognia, wiedziała, że musi zrobić jeszcze jedną rzecz, zanim będzie mogła wrócić do swojego dawnego życia, a jeśli jej nie zrobi, nie będzie miała szans na spokój i szczęście.

Pod wpływem impulsu poszła do przedpokoju, wzięła płaszcz i torebkę, zdjęła kluczyki do samochodu z ozdobnego haka wykonanego z beczek na ropę z Haiti, który wisiał przy drzwiach wejściowych, i wybiegła z mieszkania.

Mimo przenikliwego mrozu, spowijającego okolicę lodowatą mgłą, w łazience było ciepło i przytulnie. Kąpiel dzieci była zawsze ulubionym

momentem dnia Liz, zwłaszcza dlatego, musiała przyznać, że na horyzoncie wreszcie było widać zbliżającą się porę snu i mogła niecierpliwie wyczekiwać pięciu minut spokoju przy kominku przed telewizorem, z kieliszkiem wina w ręku. Pod warunkiem, że dzieci rzeczywiście poszły spać.

Była to drażliwa kwestia, aż do chwili, gdy będąc u kresu wytrzymałości, wreszcie skorzystała z rady Ginny i zaczęła bezwzględnie egzekwować wyprawianie ich do łóżek codziennie o stałej porze. Puszczając mimo uszu wszystkie błagania Jamiego, który twierdził, że czuje mrowienie w rękach lub nogach, że złapał go skurcz, boli go brzuch, chce mu się pić albo nie może spać, bo czuje się samotny. Teraz życie było o wiele prostsze. Czasem dopadał ją strach, że okaże się, iż syn mówił prawdę, a mrowienie w nogach było mało znanym objawem – który dobra matka natychmiast by rozpoznała – wirusowego zapalenia opon mózgowych. Jak dotąd jednak Jamie budził się rano żywy, a ona odzyskała wieczory.

Siedząc na dywanie obok wanny, Liz starała się ignorować fakt, że Jamie wspina się po koszu na brudy, żeby napisać swoje imię palcem na zaparowanej szybie łazienkowej szafki, i skoncentrować na wyjmowaniu Daisy z kąpielii oraz owijaniu jej dużym miękkim ręcznikiem. Uwielbiała ten moment, kiedy drobne, wyrywające się z jej rąk ciało czuło, jak otula je pachnące ciepło ręcznika, i pozwalało w końcu zawinąć się w zgrabny tobolek. Może to dzięki wspomnieniom takich chwil jak ta otulanie się ciepłym ręcznikiem kąpielowym zostawało przyjemnością na całe życie, bo kojarzyło się nam z zapachem mydła Camay i cudownym poczuciem bezpieczeństwa, jakie dawały ramiona matki.

Delikatnie wytarła niesforne loki Daisy i pocałowała jej słodkie ramionka. Położyła ją ostrożnie na macie łazienkowej i zaczęła „prychać” w okrągły brzuszek córeczki, wywołując tym salwy szaleńczego śmiechu dziecka. Czy kiedyś, gdy dorosnie, Daisy przyprawi Liz o taki bezradny ból, jaki słyszała w głosie Mary Williams?

Oczywiście, że tak. Bo kiedy tylko kogoś pokochałaś, czy to dorosłego, czy dziecko, wręczałaś mu nóż, którym mógł wykroić ci serce.

Przez ułamek sekundy, całując paluszki u nóg Daisy, zastanawiała się, czy Britt naprawdę cierpi.

„Skądże – powiedziała sobie, zaczynając wyliczankę o małych świnkach. – Britt nie cierpi, bo Britt jest niezdolna do kochania kogokolwiek. Z wyjątkiem siebie”.

Dopiero kiedy przebiła się przez korki, w których tkwili zmęczeni, rozdrażnieni kierowcy, popychani do coraz bardziej agresywnych zachowań myślami o kolacji i serialu czekających zaledwie kilka kilometrów dalej, i zatrzymała się, żeby zatankować, ogarnęły ją wątpliwości. A jeśli Liz jej nie wpuści? Albo dojdzie do jakiejś nieprzyjemnej sceny, po której Britt poczuje się

jeszcze bardziej zgnębiona? Dlaczego Liz miałoby coś obchodzić, że Britt straciła dziecko swoje i Davida? Liz pewnie się roześmieje, kiedy o tym usłyszy, i powie, że dostała za swoje. I będzie miała rację.

Zamyślona Britt nie usłyszała szczęknięcia dystrybutora, wskazującego, że ma już pełny bak. Benzyna zaczęła się wylewać i ściekać po błotniku. Britt nagle się zorientowała, gwałtownym szarpnięciem wyciągnęła pistolet z wlewu i oblała sobie buty. Klnąc, schyliła się, żeby je wytrzeć, i zauważyła, że jej dłoń jest cała czarna od wskaźnika poziomu oleju, który przed chwilą sprawdzała. Czując zbliżający się napad hysterii, wytarła rękę w płaszcz, zostawiając na nim długą, ciemną smugę oleju zaledwie kilka centymetrów od kieszeni.

Przez jakieś dziesięć sekund stała z pistoletem od dystrybutora w ręku, ignorując następnego w kolejce młodego mężczyznę w eskorcie XR3i, trąbiącego na nią gniewnie.

Pojedzie do Liz. Musiała pojechać. Nie mogła po prostu przyjść jutro do biura i robić tego, co zawsze, jak gdyby nic się nie stało. Musiała przeprosić; nieważne, czy Liz przyjmie jej przeprosiny, czy nie.

Gdy szła zapłacić, wyjątkowo nie spojrzała w lustro, koncentrując się na wystawionych przy kasie tandetnych upominkach: puchatych króliczkach z naszywkami „Kochaj mnie”, różnych jaskrawozielonych potworach, karcianych grach, które miały uprzyjemnić podróż, a których po kupieniu użyło się najwyżej raz, kasetach zespołów rockowych, które nigdy się nie przebiły i nie przebiją do pierwszej dziesiątki listy przebojów, przywiedłych kwiatkach.

Chciałaby zatrzymać się w Harrodsie albo Hamleys i kupić jakieś porządne prezenty, ale jeśli w ogóle miała pojechać do Liz, to tylko teraz, w tej chwili, zanim straci odwagę.

Wybrała najmniej ohydny misia, koszulkę z jakimiś bohaterami Disneya oraz bukiet chryzantem w folii, których data ważności została tajemniczo wymazana, zapłaciła kartą kredytową i pobiegła do samochodu.

Liz właśnie wyszła na palcach z pokoju Jamiego i delikatnie zamknęła drzwi, kiedy usłyszała dzwonek. Westchnęła z irytacją. Liczyła na spokojne pół godziny przed telewizorem, zanim upichci sobie szybko makaron. Bóg raczy wiedzieć, kto to mógł być. Może sąsiadka Ruby, której znów się skończyły silk cuty, więc przyszła zapytać, czy Liz nie skoczyłaby po nie do pubu, podczas gdy ona, ze swoim artretyzmem w nodze, usiadłaby przed telewizorem i nasłuchiwała, czy u dzieci wszystko w porządku.

Takie wizyty zaczynały wchodzić Ruby w nałóg, ale Liz nie chciała ich ukrócić, bo za bardzo bawiła ją myśl o Ruby – lat osiemdziesiąt trzy – która nadal paliła dwadzieścia papierosów dziennie i używała wyłącznie masła, podczas gdy wszędzie wokół niepalący, unikający cholesterolu obsesjonaci padali jak muchy. Poza tym lubiła gawędzić z Ruby i dowiadywać się, jak wyglądało życie w wiosce

pięćdziesiąt lat temu. Ruby była niewyczerpaną skarbnicą ludowych tradycji oraz plotek; Liz czuła się dzięki niej częścią prawdziwej wioski, a nie jakiejś anonimowej sypialni dla klas dojeżdżających do pracy.

Schodząc z góry, Liz odsunęła zasłonkę w oknie na podeście i wyjrzała przez nie, uśmiechnięta. Ale uśmiech zamarł jej na ustach, kiedy zobaczyła, kto stoi przed drzwiami.

To nie była Ruby. Na progu jej domu stała Britt.

A raczej kobieta, która wyglądała tak, jak Britt mogłaby wyglądać, gdyby zaczęła źle sypiać. Po charakterystycznej dla niej, kosztownej elegancji nie pozostał nawet ślad – błądą, nieumalowaną twarz znaczyły smugi oleju, które ciągnęły się długą linią po lewej stronie płaszcza, a jego pasek wyglądał tak, jakby przycięty drzwiami zwisał z samochodu przez całą drogę z Londynu. Blond włosy, tłuste i nieumyte, zbiły się w strąki wokół twarzy, a Liz ze zdumieniem spostrzegła ciemniejsze odrosty na czubku głowy Britt. Britt, która zawsze się chwaliła, że jest naturalną blondynką, wywodzącą się w prostej linii od skandynawskich ludzi lodu.

Kiedy Liz zauważyła tandetnego misia i przywiedłe kwiaty, od razu się domyśliła, po co przyjechała Britt. Żeby prosić o wybaczenie. Tłumaczyć, że to nie była jej wina. Że nigdy tak naprawdę nie chciała rozbić małżeństwa Liz.

Liz poczuła tak przemożną wściekłość, że musiała odwrócić się od okna i przytrzymać ściany, bo aż jej się zakręciło w głowie. Znów stanęła jej przed oczami restauracja, gdzie zobaczyła ich po raz pierwszy, i jeszcze raz poczuła gorycz upokorzenia, gdy uświadomiła sobie, że wykorzystało ją dwoje ludzi, których kochała i którym ufała. Nie mogła wybaczyć. Nie potrafiła zapomnieć.

Minęło kilka sekund. Liz usłyszała, jak Britt ponownie puka do drzwi i zobaczyła, że zagląda do salonu, skąd zza perkalowych firanek sączyło się światło, a na kominku wesoło trzaskał i syczał ogień.

Liz zebrała siły i jeszcze raz wyjrzała na zewnątrz. Britt patrzyła teraz do góry, właśnie w to okno, przy którym stała Liz, chowając się za zasłonką. W jej pełnym bezradnego błagania spojrzeniu ujrzała taki ból, że musiała odwrócić wzrok.

W tym momencie zrozumiała, że to nie ona straciła wszystko, lecz Britt. Liz mogła stracić Davida, ale wciąż miała Jamiego i Daisy, a tutaj znalazła spokój i nowe życie. A teraz także WomanPower. Britt nie miała nic. Kochała i zapłacała za miłość swoim szykiem, dumą i zdolnością odcięcia się od cierpienia innych.

Liz stała na nieoświetlonym podeście, z przyspieszonym oddechem, jakby właśnie biegła. Czuła, że Britt wie, iż ona tu jest, że widzi ją, jakby miała okulary na podczerwień, a Liz była źródłem ciepła, świecącym na czerwono w ciemnościach.

Nawet jeśli Britt domyśliła się jej obecności, w żaden sposób tego nie okazała. Po prostu odwróciła się i pokuśtykała, jakby bolało ją całe ciało,

z powrotem do samochodu.

Przez ułamek sekundy Liz poczuła irracjonalną pokusę, by za nią pobiec. Stała jednak nadal bez ruchu, rozdarta między litością a gniewem, aż na dole zaczął dzwonić telefon.

– Conrad Marks? – zapytała Liz jego sekretarkę z niedowierzaniem, starając się opanować zdumienie w swoim głosie. – Conrad Marks chce rozmawiać ze mną?

Po chwili w słuchawce odezwał się Conrad, tym znajomym, sztucznie słodkim, a jednocześnie groźnym tonem. Wystarczyło, żeby zapytał cię o zdrowie, a już rzucałaś się sprawdzać swoje składki na ubezpieczenie.

– Liz, kochana, jak tam wiejskie życie? Było mi bardzo przykro, kiedy dowiedziałem się o tobie i Davidzie.

„Jasne” – pomyślała Liz. Doskonale sobie wyobrażała, jak Claudia go o tym informuje. Biedna Lizzie, odchodzi z pracy, żeby się bawić w dom, właśnie w momencie, kiedy mąż się wyfruwa z gniazdko.

– Masz do mnie jakąś sprawę, Conrad? – To, że jej były szef dzwonił w celach towarzyskich, było mniej więcej tak prawdopodobne, jak wizyta królowej, która wpada na herbatkę. – Jestem w tej chwili trochę zajęta.

– Ho, ho. Babska robota nigdy się nie kończy. Zawsze są pieluchy do namoczenia. Dzieci do wykąpania. Dżem do zrobienia. Prowadzisz bujne i pracowite życie, Liz.

– Nikt już nie pierze pieluch, Conrad, wszystkie są jednorazowe – warknęła Liz. Czego on chciał, do diabła? – Nie oglądasz własnych przerw na reklamy?

Nagle ją olśniło. Może dzwonił w sprawie Britt, aby jej powiedzieć, że Britt miała załamanie nerwowe albo uciekła z budżetem jednego z seriali Metra. Jej niezwykle wygląd musiał mieć jakieś wytłumaczenie.

– Po co dzwonisz, Conrad? Chodzi o Britt?

W głosie Conrada zabrzmiała irytacja. Lubił panować nad rozmową.

– Owszem, właśnie o nią.

– A co się stało? – zapytała ostrożnie Liz. Nie miała zamiaru przyznawać się, że Britt właśnie przed chwilą stała przed jej drzwiami i wyglądała jak Lady Makbet.

– Naciskałaś ją, Lizzie.

– Niby w jakim celu, Conradzie?

– Bo nie chcesz, żeby została dyrektorem programową Metro Television.

– Nie wiedziałam, że jej to zaproponowałeś.

A więc to prawda. Claudia miała zostać wymieniona na bardziej bezwzględny model.

– Owszem. W Wigilię złożyłem jej ofertę i byliśmy prawie dogadani.

– A potem ona zmieniła zdanie.

– Przecież wiesz, że tak.

– I ty myślisz, że to przeze mnie?

– Jakżeby inaczej. – Conrad zaczynał mówić coraz bardziej gniewnym tonem. Za piętnaście minut szedł na premierę i musiał jeszcze przed wyjściem przekonać Liz, żeby przemówiła Britt do rozumu. Wtedy spotkanie z zarządem mogłoby się odbyć planowo, a on mógłby zacząć urabiać Claudię.

– Nie wiem, co jej nagadałaś, pewnie coś o lojalności, honorze i takich tam pierdołach, ale zadzwoniła do mnie w zeszłym tygodniu i nagle mi odmówiła. Wtedy założyłem, że to taka sztuczka, żeby wydębić lepsze warunki, więc podwyższyłem stawkę.

Liz niemal słyszała, jak Conrad zerka na zegarek.

– Złożyłem jej propozycję nie do odrzucenia, a ona ją odrzuciła. I ty mi mówisz, że to nie przez ciebie?

– Co jej zaproponowałeś?

Conrad rozważył sytuację. Jeśli powie prawdę, Liz może poczuć się dotknięta, że Britt dostała lepszą ofertę niż ona. Postanowił wykręcić się od konkretów.

– Trochę więcej pieniędzy, trochę więcej udziałów.

Co oznaczało, jak Liz dobrze wiedziała, znacznie więcej pieniędzy i znacznie więcej udziałów. Dlaczego jednak, do licha, Britt odmówiła, dostając takie warunki? Conrad miał rację. To była propozycja, której się nie odrzuca. Po chwili przypomniała sobie telefon od matki Britt i nagle wszystko ułożyło się w logiczną całość.

– Mylisz się, Conradzie. Britt nie odmówiła ci przez wzgląd na mnie.

– Skąd wiesz?

– Bo to by było bezinteresowne, a Britt nigdy w życiu nie zrobiła niczego bezinteresownego.

– W takim razie dlaczego odmówiła? To była najlepsza oferta, jaką mogła dostać.

– Chyba się domyślam.

– No, mów, Liz, przestań się wygłupiać. O co chodzi?

– Matka Britt dzwoniła dzisiaj do mnie.

– No i...?

Liz się zawahała. Nie była pewna, czy powinna powiedzieć Conradowi prawdę, ale nie czuła szczególnej lojalności wobec Britt. Bo dlaczego miałyby czuć?

– Britt tydzień temu poroniła.

– Poroniła? – Zgroza w głosie Conrada była niemal komiczna. – Chcesz powiedzieć, że była, kurwa, w ciąży, kiedy jej zaproponowałem to stanowisko?

– Mało brakowało, Conrad, a jeszcze byś musiał dać jej urlop macierzyński.

Pełne przerażenia milczenie Conrada wyraźnie wskazywało, że oto podjął decyzję, aby w przyszłości zatrudniać wyłącznie mężczyzn.

– Cześć, Conrad. Owocnych łowów.

Chciała odłożyć słuchawkę. Ale on jeszcze nie skończył.

– Liz. Liz, zanim się rozłączysz, mam jeszcze jedno pytanie.

Liz poznała po głosie, że Conrad się uśmiecha. Doświadczenie podpowiadało jej, że szykuje się do zadania śmiertelnego ciosu.

– O co chodzi, Conrad?

– Jeśli Britt odrzuciła ofertę pracy, ponieważ właśnie poroniła, to dlaczego mnie powiedziała, że powodem jest to, że już dość ci zabrała?

Liz siedziała przy kominku, wciąż trzymając w lewej dłoni słuchawkę. Czy Britt rzeczywiście odmówiła, rezygnując ze stanowiska, którego przecież musiała rozpaczliwie pragnąć, bo chciała się z nią pogodzić? Przypominając sobie jej udręczoną, bladą twarz spoglądającą na nią z dołu, Liz była niemalże gotowa w to uwierzyć.

Zerwała się z krzesła, pobiegła do drzwi frontowych i włączyła światło na ganku. Nie zatrzymując się nawet, by założyć ciepłą kurtkę, pobiegła ogrodową ścieżką. Jasny reflektor wycinał w mglistej nocy świetlisty korytarz, od ganku, przez całą ścieżkę, aż do drogi. Obie były puste.

Liz dostrzegła tylko wielki, zielony plastikowy pojemnik na śmieci należący do Ruby, z napisem „Samorząd Hrabstwa East Sussex” oraz ostrzeżeniem „Nie wrzucać gorącego popiołu”, który sąsiadka wystawiła, przygotowany do jutrzejszego wywozu.

Liz przypomniała sobie, że jeszcze nie wystawiła własnych śmieci. Podniosła pokrywę. Wśród czarnych worków i starych dekoracji świątecznych leżały pluszowy miś i zwiędły bukiet chryzantem.

Rozdział 26

Liz stała na środku drogi i otrzepywała czerwony kaftanik misia z obierek brukselki. Miś był podróbką Kubusia Puchatka, a producentom z Hongkongu czy Tajwanu nie udało się oddać na jego pyszczku wyrazu uroczego samozadowolenia, charakteryzującego oryginał. Ale autentyczny Kubuś aż tak by jej nie wzruszył. Czyżby Britt wreszcie się nauczyła, że nie trzeba mieć samych najlepszych rzeczy?

Czy Conrad mówił prawdę? Patrząc na wyszyty uśmiech misia, nagle poczuła pewność, że tak. Motywy Conrada tym razem były szczerze. Po prostu chciał ją zranić.

Z misiem w ręku zaczęła powoli wracać ścieżką w stronę domu, kiedy nagle oświetliły ją reflektory samochodu. Ze zdumieniem spostrzegła, że to czerwone porsche. Britt musiała źle skręcić i wjechać w Palmer's Lane, która kończyła się ślepo na wiejskim podwórzu.

Tym razem Liz się nie wahała. Wciąż trzymając misia, podbiegła do auta i zawołała:

– Britt, Britt! – Zdała sobie sprawę, że nie wie, co powiedzieć dalej. Twarz Britt nadal była maską bólu. Liz wyciągnęła w jej stronę groteskową zabawkę. – Dzięki za misia. Daisy się spodoba. – Znów się zawahała. – Chciałabyś wejść na drinka?

Britt zatrzymała się na środku drogi i wyskoczyła z samochodu. Wilgotne włosy kleiły się jej do czoła, oczy były zaczerwienione i podpuchnięte.

– Przepraszam, Liz, nie potrafię ci nawet powiedzieć, jak bardzo. Za ten cały cholerny melanz.

Liz zrozumiała prawdę, której wcześniej nie знаła. Że łatwo wybaczyć komuś, kto stracił wszystko.

– Och, Britt. Przykro mi z powodu dziecka. Możesz w to nie wierzyć, ale naprawdę ci współczuję.

Britt spojrzała na przyjaciółkę; czuła, że Liz, o dziwo, mówi szczerze. Dostrzegła też jednak z przerażającą jasnością, jak bardzo dziecko zraniłoby Liz, chociaż teraz próbowała być wielkoduszna.

– Wiem. – Wyciągnęła rękę do Liz. – Ale może nie ma tego złego.

Przytuliły się na krótką chwilę i po raz pierwszy od wielu tygodni Britt poczuła spokój.

David oparł się o słupek naprzeciwko poczty w maleńkiej wiosce Blackshaw Head. Uderzał dłońmi o siebie i chuchał w nie, aby się rozgrzać w ten chłodny styczniowy poranek. Zimno mu nie przeszkadzało, właśnie taką pogodę lubił najbardziej. Ogromne puste niebo, w głębokim zimowym odcieniu błękitu, czyste i bezchmurne, wschodzące słońce, które rzucało długie cienie. „Prawdziwy Boży

poranek” – pomyślał i wciągnął głęboko do płuc świeże wiejskie powietrze.

Rozglądając się wokół, zdziwił się, że wioska jest opustoszała. Co się stało z tymi farmerami, którzy powinni wstawać o pierwszym brzasku, aby doić krowy i nosić bele siana głodnym owcom, które widział na wzgórzach, zbite w kupę, by było im cieplej?

Wszyscy zapewne jeszcze leżą w łóżkach, na ich podwórkach stoją volva kombi, a na ich kontach w banku rosną dopłaty z EWG.

Uśmiechając się do siebie, David zastanawiał się, czego właściwie oczekiwał. Żony farmera, rumianej jak jabłuszko, z koszykiem jajek pod pachą, która zaprasza go do przytulnej kuchni, wypełnionej zapachem piekącego się chleba, i częstuje plasterkami bekonu tak świeżego, że na skórcie są jeszcze włoski, oraz ciepłym mlekiem prosto od krowy?

David wychował się w górniczym miasteczku, więc zdawał sobie sprawę z tego, że jego wiedza na temat rolnictwa pochodzi głównie z oglądanych wraz z Jamiem filmów o listonoszu Pacie. To Liz była dziewczyną ze wsi, nie on. A Blackshaw Head to nie Greendale. Postanowił zostawić w spokoju farmerów i przyjrzeć się mapie.

Od Selden Bridge i śniadania dzieliło go tylko osiem kilometrów. Złożył mapę, schował ją z powrotem do plastikowego woreczka na szyi, po czym zapiął kurtkę i ruszył w drogę.

Szlak prowadził zygzakiem stromo w górę przez las, pod wielkimi szarymi skałami, mijał dawną rezydencję Eastwood Old Hall i piął się w górę do Great Rock po łagodnie pofałdowanych polach o ziemi twardej jak metal aż do Heptonstall Village. David zaczynał już odczuwać zmęczenie i głód; miał wrażenie, że jego plecak waży dwa razy więcej, niż kiedy wyruszał, dlatego z westchnieniem ulgi ujrzał rozciągające się w dole miasteczko Selden Bridge, do którego prowadziła stroma utwardzona droga, biała od szronu, ale na szczęście ogrodzona po obu stronach barierkami z poręczą.

Mimo mrozu, który sprawiał, że zejście było niebezpieczne, David przyspieszył kroku, niemal czując smak jajek na bekonie, grzanek i kaszanki, czekających na niego w jakiejś knajpce w dolinie. Ześlizgując się ścieżką, zaczął śpiewać piosenkę z czasów, kiedy był skautem – nawet nie wiedział, że ją pamiętał – i wreszcie rozpoznał uczucia, których doświadczał. Radość. Ulga. Euforia. Po piętnastu latach na linii frontu na Fleet Street poczuł się, jakby wypuszczono go z klatki. Być może później dopadną go depresja i strach z powodu zrobienia tak radykalnego, szalonego kroku, ale w tej chwili wiedział dokładnie, jak się czuje. Był szczęśliwy, jakby właśnie wyszedł z wojska.

Powinien jednak spojrzeć prawdzie w oczy w jednej drobnej kwestii. Nie będzie dziś spać w jednoosobowym namiocie na wzgórzach. Znajdzie sobie miły, przytulny pensjonat. Był już zdecydowanie za stary na to, żeby bawić się w skauta.

Mimo porannego chłodu Liz odkręciła szyberdach, żeby wpuścić do środka blade zimowe słońce, i włączyła radio. *Wiadomości o dziewiętej* BBC zaczęły informować ją o oblężeniach, porwaniach i atakach terrorystycznych na łatwe cele, aż po trzydziestu sekundach, z lekkim poczuciem winy, wyłączyła odbiornik. Miała zbyt dobry nastrój, by pozwolić go sobie popsuć wiadomościami o śmierci i zniszczeniu. Wrzuciła do magnetofonu kasetę Paula Simona i śpiewała do wtóru.

Był to jej pierwszy dzień w WomanPower i sama była zaskoczona swym radosnym podnieceniem, pod którego wpływem pogłodziła muzykę i, chociaż zwykle prowadziła auto ostrożnie, mocniej wcisnęła gaz. Przypomniała sobie, jak pięć lat temu Britt zapytała ją, czy patrzy na swoje odbicie w oknach wystawowych, kiedy czeka w samochodzie na światłach, a ona odparła ze zdumieniem: „Nie, oczywiście, że nie”. Ale dziś spojrzała. Zobaczyła uśmiechniętą elegancką kobietę z lśniącymi włosami obciętymi na pazia, w ciemnych okularach i płaszczu wyglądającym na drogi, z postawionym kołnierzem.

„Jesteś jak te młode puste lale z szalową fryzurą, w okularach przeciwsłonecznych i z muzyką ustawioną na cały regulator – zbeształa się w myślach. – Robisz z siebie widowisko”. Ale nie przestała. Odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się tak, że niemrawi kierowcy z syndromem „O Boże, znów poniedziałek” w innych samochodach odwracali się i patrzyli na nią, jakby zwariowała.

Ale ona nie zwariowała. Była trzydziestokilkuletnią kobietą, która kochała swoje dzieci, jednak przekonała się, że potrzebuje w swoim życiu także czegoś innego i właśnie jechała, by zacząć pierwszy dzień w nowej pracy. Siedząc za kierownicą, miała przemożne poczucie, że, choć to banał, naprawdę jest to pierwszy dzień reszty jej życia. Nie potrzebowała wróżki, by być pewną, że tym razem wszystko się uda.

David siedział przy stoliku, czując po raz pierwszy od wielu dni błogie ciepło i sytość, z półlitrowym kubkiem mocnej herbaty w dłoni – to właśnie w Yorkshire oznaczała pozycja „duża herbata” w menu – i przeglądał stos gazet rozłożonych na blacie. Była dziesiąta i miał całą knajpę dla siebie, bo zaczynający rano pracę robotnicy już dawno zjedli śniadanie, a jeszcze nie wpadli na kanapkę z bekonem, którą zwyczajowo posilali się o jedenastej.

Kupił gazety z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że był uzależniony od wiadomości i nawet gdyby został sam, bez grosza przy duszy, na pustyni Gobi, znalazłby jakiś kiosk i pożyczył lokalną gazetę. Po drugie – ponieważ musiał zdecydować, czy chciałby pracować w którejś z nich.

Skromność nie jest cechą wyróżniającą naczelników ogólnokrajowych dzienników, a David znał swoją wartość. W Greene Communications nie znajdzie zatrudnienia, ale nie był to jedyny koncern prasowy w kraju. Logan bez wątplenia puścił w obieg kłamstwo, że David nie zrezygnował sam, lecz został zwolniony, ale

tak naprawdę nie miało to znaczenia.

Naczelnicy gazet zawsze powstawali z martwych, choć w przeciwieństwie do Łazarza często spędzali w grobie znacznie więcej czasu niż cztery dni. Pewien weteran Fleet Street był zwalniany – za każdym razem z sutą odprawą – tak często, że zaczęto mówić, iż zamiast w czepku, urodził się z nożem w plecach.

David wziął kolejną wielką pajdę białego tostowego chleba, grubo posmarowaną masłem, i ugryzł kęs ze smakiem. Cudownie było znaleźć się z powrotem w domu, gdzie masło oznaczało coś żółtego, pysznego i śmiertelnie niezdrowego, a nie preferowaną przez mieszkańców południa kraju nijaką margarynę słonecznikową czy jakieś niskotłuszczowe smarowidło, które sprawiało, że tost robił się wilgotny i tłusty.

Ale czy chciał znowu pracować dla wydawcy pokroju Logana Greene'a, któremu tak naprawdę zależało nie tyle na redaktorze naczelnym, ile na sługusie?

David z niesmakiem rzucił na stół numer „Daily News” i sięgnął do kieszeni po drobne, żeby zapłacić za śniadanie. W tym momencie przypomniał sobie z irytacją, że ostatnie kilka funtów wydał na gazety.

Będzie musiał skoczyć do bankomatu i wrócić. Uśmiechnął się pod nosem, wyobrażając sobie, co by się działo, gdyby był na służbowym śniadaniu w Ritzu albo Savoyu i zapomniał kart kredytowych. Ale tutaj życie było dużo prostsze.

Przeszedł na drugą stronę ulicy do bankomatu przed bankiem NatWest i wstukał PIN. Automat posłusznie wypluł mu sto funtów prosto do rąk. Tutaj za taką sumę przeżyje dwa tygodnie. W Londynie rozeszłaby się w dziesięć minut.

Kiedy wracał do restauracji, wpadła mu w oko reklama lokalnej gazety, więc zajrzał do kiosku, żeby kupić dzisiejszy numer. Dziennik „Selden Bridge Star” leżał wetknięty między magazyn dla panów „Big Ones” a motoryzacyjny „Auto Car Weekly”. Kiedy sięgał po gazetę, usłyszał fragment rozmowy, który sprawił, że na chwilę znieruchomiał, a w jego rozgorączkowanym umyśle zaczął nieśmiało kielkować zupełnie szalony pomysł.

– Witamy w WomanPower! – Ginny strzepnęła kurz z wiekowego biurka jedną ze swoich kozuszkowych rękawiczek i szerokim gestem omiotła maleńkie, nieefektywne biuro.

Liz odpowiedziała jej uśmiechem, usiłując nie myśleć o Jamiem i Daisy i o tym, czy dogadują się z Minty. Starła się zignorować łuszczącą się farbę, wysłużone szare szafki na dokumenty z niedomykającymi się szufladami, biurka, które wyglądały, jakby były nie z drugiej, a z trzeciej albo czwartej ręki, i wyobrazić sobie to miejsce po odmalowaniu i kupieniu kilku tanich czarnych biurek ze sklepu The Reject Shop.

Uważała, że wygląd biura jest bardzo ważny. Była przekonana, że jeśli chcesz, by ludzie ciężko i dobrze pracowali, musisz zapewnić im odpowiednie środowisko. Nie musiało się to wcale wiązać z dużymi wydatkami. Zwykle

malowanie, wykładzina dywanowa, może z ekspozycji, kilka plakatów. Nie będzie ich stać na świeże kwiaty, ale modne sklepy z upominkami sprowadzały dziś kapitalne lilie i tulipany z kolorowych materiałów, które wyglądały weselej niż prawdziwe.

Liz rozejrzała się po pomieszczeniu, obliczając w myślach, ile będzie kosztowało przekształcenie go z obskurnej nory w miejsce, które wzbudzi zaufanie klientów. Uznała, że jeśli Gavin zająłby się malowaniem, dałoby się to zrobić za pięćset funtów. I byłaby to dobra inwestycja.

– Jak u licha ściągasz potencjalnych klientów do tej nory, Ginny? Nie uciekają prosto do Brook Street Bureau po jednym rzucie oka?

Ginny nie odpowiedziała, ale wyglądała na zakłopotaną i natychmiast zmieniła temat.

– Poznałaś Kim, naszą wielozadaniową asystentkę?

Liz zmierzyła Kim wzrokiem. Dziewczyna była gruba, nieładna i nosiła minispódniczki, które przyjaciółki powinny jej zdecydowanie odradzić. W ujmujący sposób łączyła apatię z niechęcią do niesienia pomocy.

Liz uznała, że w przypadku Kim wielozadaniowość oznaczała zapewne, że dziewczyna robiła dużo różnych rzeczy źle.

– No to zaczynamy! – Liz rozproszyła trochę kurz na swoim biurku i położyła teczkę. – Kim, mogłabyś mi przynieść listę klientów oraz kopię rachunku zysków i strat WomanPower?

Kim z wyrazem osłupienia na twarzy podeszła powoli do sfatygowanych szafek na dokumenty, po czym pochyliła się nad nimi, eksponując tak dużą część swoich ud, jak kandydatka w konkursie Miss Świata, oraz nieapetyczne, szarawe majtki. Liz odwróciła wzrok.

– Niestety, nie mogę tego znaleźć – oznajmiła dziewczyna bez cienia zdziwienia w głosie.

Liz zwróciła się do Ginny, usiłując ukryć zniecierpliwienie:

– Ginny, masz listę klientów u siebie w szufladzie?

Ginny spojrzała na nią, czerwieniąc się.

– Listę klientów? Co dokładnie masz na myśli?

Liz starała się mówić bez irytacji. W końcu Ginny nie miała żadnego doświadczenia biznesowego.

– Listę wszystkich firm, dla których znajdujesz pracowników – wyjaśniła cierpliwie.

– Aha, rozumiem.

– Zatem gdzie ona jest?

Ginny podeszła do niej i usiadła na brzegu biurka.

– Właściwie to jej nie mamy.

– Ale dlaczego? Jak, u licha, nie gubisz się w informacjach o swoich

klientach i ich wymaganiach? – Rozejrzała się. – Powinnaś mieć komputer, byłby idealny do takiej firmy. Chyba masz przynajmniej kartotekę z fiskalami?

– Ginny wyglądała na speszoną.

– Cóż, na razie udaje mi się mieć to wszystko w głowie.

– Ginny, chyba oszalałaś! Nigdy niczego nie zapominasz? Musisz mieć mózg jak komputer.

– No, jak dotąd nie było to takie trudne.

– Jak to?

– Ginny wzięła głęboki wdech.

– Bo na razie załatwiliśmy pracę tylko kilkudziesięciu osobom, a w większości była to praca tymczasowa na zastępstwo.

– Liz popatrzyła na nią oniemiała. Musiała się przestyszeć.

– Ale przecież działacie od ponad dwóch miesięcy!

– Wiem. Jakoś powoli nam idzie. – Ginny uśmiechnęła się ujmująco. – Ale teraz się rozkręci, skoro mamy ciebie.

– Liz zamknęła oczy i usiłowała nie myśleć o baloniastych udach Kim i niepoprawnym optymizmie Ginny.

– W co ona właściwie się wpakowała, decydując się zaangażować w WomanPower?

– Słyszałaś o „Star”? – Głowa kioskarza wyłoniła się zza Mount Everestu niesprzedanych gazet. Przechylił się przez ladę, zastawioną tytoniem Old Holborn, zwróconymi kuponami zakładów sportowych oraz słoikami landrynek, żeby przekazać klientowi wyjątkowo soczystą plotkę. – Likwidują się, chyba że znajdą kupca, który ich przejmie. Wszystko przez tę darmówkę, to ona zabrała im czytelników.

– Klient wciągnął gwałtownie powietrze, wydając syczący odgłos wyrażający szok i oburzenie.

– Bez „Star” to już nie będzie to samo. Ta gazeta wychodziła, jak jeszcze byłem mały.

– Ponad sto lat.

– Ile za nią chcą?

– Zobacz. Jest ogłoszenie w numerze z zeszłego tygodnia. – Przekartkował gazetę. – O, tu. Ćwierć miliona. Ale założę się, że będzie można się targować. – Kioskarz wyszczerzył się do bezzębnego klienta. – A co, Stan, zgłosisz ofertę?

– I obaj wybuchli śmiechem.

– Przepraszam – wtrącił się David, wskazując ogłoszenie i myśląc gorączkowo. – Skończyli panowie czytać?

– Ano. – Kioskarz podał mu stary numer.

– To dobra gazeta?

– Kiedyś była. Jedna z najlepszych. Dziesięć lat temu kupowało się ją

w każdym domu. Teraz, jak wszystkim przysyłają „Messengera” za darmo, większości ludzi się nie chce. – Po raz pierwszy spojrzął na Davida. – A co, pan zainteresowany?

David się uśmiechnął.

– Być może. – Lawirując między stertami gazet i czasopism, ruszył do drzwi, a obaj mężczyźni przyglądali mu się ciekawie.

– Nie wygląda jak Rupert Murdoch, co?

– Nie wiem, jak wygląda Rupert Murdoch, ale założę się, że kurtkę wkłada na dobrą stronę.

David usłyszał chrapliwy śmiech, który szybko przerodził się w atak kaszlu palacza.

Spojrzął na swoją jaskrawopomarańczową kurtkę. Była założona na lewą stronę. Zdjął ją powoli i przewrócił z powrotem na prawą, idąc z powrotem do knajpki, na nowo sprężystym krokiem, żeby zapłacić za śniadanie.

„Tylko spokojnie, tylko spokojnie” – myślała Liz, wspominając totalną katastrofę, jaką był jej pierwszy dzień powrotu do świata pracy. Tak bardzo się na to cieszyła. A co się okazało? Że Ginny znakomicie sobie radziła z przekonywaniem kobiet, żeby zapisały się do WomanPower, ale firma nie miała żadnego systemu organizacji i właściwie żadnych klientów. Po dwóch miesiącach działalności była dokładnie tym, czym wtedy, gdy Ginny opowiedziała im o niej po raz pierwszy: dobrym pomysłem na papierze. Z jedną istotną różnicą, o której myśl Liz starała się na razie od siebie odsunąć, ale ta ciągle wypływała na wierzch, jak zepsute jabłko w beczce stęchłej wody.

Aby założyć WomanPower, Ginny wzięła kredyt na pokaźną sumę. Ale dyrektor banku nie udzielił jej pożyczki z dobroci serca ani dlatego, że jego zdaniem należało zachęcać kobiety do powrotu na rynek pracy. Ginny dostała kredyt, ponieważ złamała fundamentalną zasadę, której nauczono Liz na studiach biznesowych. Zgodziła się, by jej dom, ta ciepła, przytulna przystań miłości i gościnności, został zabezpieczeniem kredytu.

Zatem jeśli Liz nie uda się uratować WomanPower, Ginny cholernie szybko straci go na zawsze.

Czując się niemal fizycznie przygnieciona odpowiedzialnością, którą, niczego nie podejrzewając, na siebie przyjęła, Liz skręciła w wąską drogę prowadzącą do Crossways, do Jamiego i Daisy. Miała za sobą tak koszmary dzień, że wcale by się nie zdziwiła, gdyby zobaczyła dzieci czekające na nią w drzwiach, zapłakane i oskarżające ją o oddanie ich na pastwę okrutnej obcej baby.

Frontowe drzwi były jednak zamknięte. Gdy była już blisko nich, wykończona fizycznie i psychicznie, usłyszała dobiegający ze środka domku huragan dziecięcego śmiechu. Stała przez chwilę z ręką na klamce i pozwoliła, by

otoczył ją ten cudowny dźwięk, kojący i przywracający siły jak chłodny prysznic po długim, upalnym dniu. Minty najwyraźniej okazała się strzałem w dziesiątkę.

David siedział nad drugim tego dnia półlitrowym kubkiem herbaty w Bridge Café i uśmiechał się do roztaczającej matczyną aurę kelnerki, która podsuwała mu chrupiące ciasteczka z rodzynkami, tartę z budyniem i ciasto z bakaliami. Wyobraził sobie odpowiednik takiej restauracyjki na południu – wszędzie walałyby się brudne filiżanki i talerze, a masło i dżem podawano by prosto z lodówki, w maleńkich pojedynczych porcjach, którymi nawet pchła by się nie najadła.

Kiedy tylko zszedł po stromej, śliskiej ścieżce do Selden Bridge, David poczuł się tu swojsko i swobodnie. Nie można powiedzieć, że miał wrażenie, jakby wrócił do domu, bo jego rodzinne strony leżały sześćdziesiąt kilometrów stąd, za Górą Pennińskimi. Ale równie dobrze mogłoby to być sześćset kilometrów, tak odmienna panowała tu atmosfera. Mieszkańcy Kettley byli przyjaźni w porównaniu z londyńczykami, ale z natury małomówni i raczej trzymali się z dala od innych. Tutaj, jak się przekonał w ciągu jednego poranka, ludzie rozmawiali z obcymi na ulicy. Zupełnie przypadkowe, nieznające się osoby wymieniały się informacjami i poglądami, udzielały rad, wskazywały drogę, jeszcze zanim zdażył o to poprosić.

Mieszkańców południowej Anglii, z ich obsesją na punkcie prywatności, zawsze otaczających się żywopłotami wysokimi na trzy metry, doprowadzałoby to do absolutnego szału. Ale jemu się podobało. Czuło się tutaj, że ludziom nie jest wszystko jedno.

Dopijając herbatę, David zsumował liczby, zapisane na odwrocie koperty, którą dała mu pogodna kelnerka. Wziął do ręki kupiony wcześniej numer „Financial Timesa” i otworzył na stronie z kursami akcji.

Gdyby sprzedał mercedesa i wszystkie swoje udziały w Greene Communications, prawie by mu starczyło. Potrzebowałby jeszcze jakichś dwudziestu tysięcy, a żeby je zdobyć miał trzy możliwości: mógł wziąć kredyt, spieniężyć swoje udziały w funduszu emerytalnym albo sprzedać dom w Londynie.

Odstawił kubek z herbatą i zagapił się w dal. Sprzedać dom w Londynie. Odsuwał od siebie narzucającą się z nieubłaganą logiką myśl o pozbyciu się domu w Holland Park, ale teraz, kiedy odszedł z Greene Communications, szaleństwem byłoby go nie sprzedać, chociażby po to, aby już nie spłacać hipoteki. Gdyby widział choć cień szansy na to, że wróć do siebie z Liz, może sytuacja wyglądałaby inaczej. Ale szansy nie było. Liz dała mu to aż nazbyt jasno do zrozumienia.

Przypomniał sobie zjadliwy sarkazm w jej głosie i poczuł, jak znów zaczyna go dopadać znajomy gniew i rozgoryczenie, ale szybko się z tego otrząsnął. To wszystko należało już do przeszłości.

Przyszłość była tutaj. W Selden Bridge. Gdzie gruboziarniste piaskowce wrzosowisk nie wydawały mu się wcale szare i złowrogie, lecz przeciwnie – jakby

przyjazne. Wróciła kelnerka z propozycją kolejnej dolewki. David się uśmiechnął. A pełni najlepszych chęci miejscowi dosłownie zalewali go dobrocią i gorącą słodką herbatą.

Napisze do Liz i zobaczy, czy ona się zgodzi. Ale najpierw znajdzie kogoś, kto zawiezie jej te cholerne gwiazdkowe prezenty.

Rozglądając się po odnowionym biurze, Liz poczuła, że nastrój poprawia jej się przynajmniej o kilka oczek. Tak jak to sobie wyobrażała, wystarczył jeden weekend ciężkiej harówki z pędzlem malarskim w dłoni oraz trochę porządnych mebli za kilkaset funtów, by to miejsce zmieniło się nie do poznania.

Odprawiły też Kim i zastąpiły ją osiemnastolatką o imieniu Dawn. Ginny uważała, że Liz musiała chyba oszaleć, żeby zatrudnić dziewczynę bez żadnych kwalifikacji poza bystrą, żywą osobowością, zapałem do nauki oraz tak głęboką wdzięcznością za danie jej szansy, że zostawała w biurze dopóki wszyscy nie wyszli, tak na wszelki wypadek, gdyby miała się do czegoś przydać.

Biuro, ze ścianami świeżo pomalowanymi na jasnoszaro, czarnymi meblami oraz akcentami czerwieni w postaci plastikowych tacek na dokumenty i przyborników na biurka, wyglądało całkiem elegancko. A dziś rano Dawn przyniosła gwóźdź programu – dwie duże olejne abstrakcje, namalowane przez jej brata, niedoszłego absolwenta szkoły sztuk pięknych. Jeśli człowiek się zbyt uważnie nie przyglądał, mógł pomyśleć, że jest w jakiejś modnej agencji reklamowej w Covent Garden.

Jednak podekscytowanie nie przesłaniało Liz świadomości, że na razie tylko przestawiały leżaki na „Titanicu”. W drodze do pracy odbyła ze sobą poważną rozmowę i postanowiła, że daje sobie trzy miesiące, nie więcej, żeby rozkręcić interes, bo w przeciwnym wypadku WomanPower będzie skończone.

– No dobra. – Liz uderzyła pięścią w swoje nowe biurko. – Zabieramy się do roboty.

Przez ostatnie trzy dni czytała wszystko, co jej wpadło w ręce, o agencjach pośrednictwa pracy, studiowała drobne ogłoszenia i zaglądała w okna konkurencji, aż zaczęło jej się wydawać, że lada moment zainteresuje się nią policja. Teraz uznała, że nadeszła pora, by trochę ułatwić sobie zadanie.

– Czas wykazać odrobinę inicjatywy! – Ginny popatrzyła na nią, zaskoczona. – Postanowiłam więc poprosić Rossa Slatera o kilka wskazówek, jak rozkręcić agencję pośrednictwa pracy!

– Rossa Slatera? To przypadkiem nie ten milioner, który prowadzi World of Work? Nigdy nie doradzi konkurencji!

Liz uśmiechnęła się szeroko.

– Doradzi, jeśli będę udawać reporterkę!

Na twarzy Ginny odbiła się zgroza.

– Ale to przecież nieuczciwe!

– Troszeczkę. Ale będzie warto. Ross Slater w pół godziny może powiedzieć mi więcej, niż ja sama, zbierając doświadczenia, dowiem się przez cały rok. – Zaśmiała się. – Oczywiście nie podam mu prawdziwego nazwiska. A poza tym, jeśli dobrze się spiszę, Bert z „Daily News” zapewne to opublikuje.

– Slater nie sprawdzi twojej tożsamości?

– Wątpię. Ludzie sukcesu są bardzo próżni i uwielbiają udzielać wywiadów. Będę po prostu musiała zaryzykować. Najwyżej mnie wyrzuci.

Zanim Ginny zdążyła zgłosić jeszcze jakieś obiekcje, Liz sięgnęła po telefon i wykręciła numer.

– Halo, czy to biuro pana Slatera? Nazywam się Susannah Smith, dzwonię z „Daily News”. Przygotowuję cykl artykułów o pierwszej dziesiątce brytyjskich przedsiębiorców i bardzo bym chciała, żeby pan Slater się w nim znalazł.

– A zatem, panno, yyy... Smith, o czym chciałaby pani napisać w tym artykule?

Liz upiła łyk kawy z ciemnozielonej francuskiej filiżanki ze złotymi zdobieniami. Starła się nie dać onieśmielić siedzącemu naprzeciwko niej mężczyźnie. Miał około czterdziestu pięciu lat, wysportowaną sylwetkę, nosił koszulkę polo i lekki garnitur – w lutym! – i był opalony, jakby właśnie wrócił z Indii Zachodnich. Liz określała ten styl jako „guru designu z lekką domieszką cudownego dziecka handlu detalicznego”. Do tego w jego akcencie słyhać było ślad cockneya. Jednak mimo swojego szorstkiego uroku Ross Slater wydał jej się niespodziewanie niepokojącym człowiekiem.

Poznała w swoim czasie wielu bogatych mężczyzn i bardzo dobrze wiedziała, że trzeba być niezłym sukinsynem, żeby dotrzeć na sam szczyt, ale w zachowaniu Rossa Slatera było coś jednocześnie magnetycznego i jakby groźnego, co sprawiało, że cała odwaga ściekała jej po kręgosłupie, tworząc małą kałużę na podłodze. Zaczęła się zastanawiać, czy to naprawdę był taki świetny pomysł, żeby go okłamać i podać fałszywe nazwisko.

Unosząc podbródek, Liz spojrzała mu prosto w oczy i spróbowała pomyśleć o domu Ginny, który zostanie przejęty przez bank, jeśli ona nie znajdzie sposobu na uratowanie WomanPower.

– Przede wszystkim interesują mnie rady dla początkujących.

– Aha. – Wydawał się sceptyczny.

– Prawda jest taka, że każdy idiota myśli, że mógłby zostać Rossem Slaterem, gdyby tylko dostał szansę, a ja staram się pokazać umiejętności potrzebne do zarabiania pieniędzy, to, jak samemu się te szanse tworzy. – Uśmiechnęła się do niego, on odpowiedział tym samym i wyglądał, jakby się rozluźnił. – Jak pan zaczął z World of Work?

– Z debetem na dwa tysiące funtów, w obskurnym biurze na najnudniejszym z przedmieść Londynu.

Liz szybciej zabiło serce. Jeśli on potrafił w ciągu pięciu lat zbudować największą agencję w Wielkiej Brytanii, mając tak skromne początki, to ona mogła przynajmniej ocalić WomanPower!

– Jak duża jest teraz pańska agencja?

– Ma sto oddziałów. W każdym większym mieście w kraju.

Liz uznała, że pora skoczyć na głęboką wodę.

– A zatem – zapytała pogodnie – jakie rady dałby pan komuś, kto zaczyna w branży pośrednictwa pracy?

Ross Slater zastanowił się przez chwilę.

– Po pierwsze: dowiedz się, kim są twoi potencjalni klienci i jaką działalnością się zajmują. Nie ma sensu mieć w bazie dwustu spawaczy, jeśli wszystkie firmy chcą programistów komputerowych. Po drugie: dowiedz się, jakich klientów ma konkurencja, a następnie ich przejmij...

– Jak by pan to zrobił?

– Doprawdy, panno Smith, cóż za brak wyobraźni. Trzeba się u nich zatrudnić.

Liz była zafascynowana. Nigdy by na coś takiego nie wpadła.

– Po trzecie: musisz mieć pewność, że pracownicy w twojej bazie są dobrzy. Że naprawdę potrafią to, co mówią, że potrafią. Jeśli dziewczyna twierdzi, że pisze na komputerze w tempie stu dwudziestu słów na minutę, upewnij się, czy nie ma na myśli stu dwudziestu słów na godzinę.

Zapadło milczenie. Liz podniosła głowę znad notatek i stwierdziła, że Ross Slater przygląda się wąskiemu pasczkowi bladej skóry na jej palcu, w miejscu, gdzie była obrączka, którą zdjęła tuż przed przyjściem.

– To wszystko? – Przykryła lewą dłoń prawą.

– Nie. Ostatnia i najważniejsza rzecz. Nawiązuj lokalne kontakty. Wyjdź z biura, poszukaj klientów, nie czekaj, aż sami przyjdą do ciebie, bo oni zawsze pójdą do firmy, o której już słyszeli.

Wstał, dając Liz wyraźnie do zrozumienia, że to koniec wywiadu. Minęło dokładnie dwadzieścia minut.

– Ostatnie pytanie. – Liz zdumiał jej własny tupet. – Czy agencja specjalizująca się w półetatowych pracownikach mogłaby się przyjąć na rynku?

Spojrzał na nią z ciekawością.

– Dlaczego pani pyta?

Liz uśmiechnęła się skromnie.

– Taki mój konik, to wszystko. Zawsze mi się wydawało, że to niezły pomysł w obecnych czasach, kiedy tyle się mówi o przyciąganiu kobiet z powrotem na rynek pracy.

– Bez szans, obawiam się. Zbyt wąska specjalizacja.

Nieemożliwe, musiał się mylić. Po prostu dotąd nie brał pod uwagę pracy

w niepełnym wymiarze, i tyle. Liz była pewna, że WomanPower to dobry pomysł.

Tak bardzo była pochłonięta utwierdzeniem się w przekonaniu o szansach WomanPower na sukces, że nie zauważyła, iż Ross Slater już podszedł do wyjścia i chciał ją pożegnać.

– Do widzenia, pani Ward. – Przytrzymał jej drzwi, a kąciki jego ust uniosły się w przesłodzonym uśmiechu. – I powodzenia z agencją.

– Cześć, Suzan, mówi David Ward.

– David? Co słychać? – Suzan położyła nogi na biurku w zatłoczonym newsroomie i wzięła do ręki jakiś komunikat prasowy, próbując ukryć podniecenie i mówić swobodnym tonem. – Co u ciebie?

David się uśmiechnął. Niczego jeszcze nie sfinalizowano, ale rozejrzał się po redakcji „Selden Bridge Star” i spodobało mu się to, co zobaczył. Spodziewał się przestarzałych maszyn i zasiedziałego zespołu, który nawet miejsca spinaczy na biurku będzie bronił jak niepodległości, ale został mile zaskoczony. Miał jednak jeszcze dużo do zrobienia i nie chciał, żeby jakieś plotki schrzaniły mu transakcję. Poza tym cyniczni pismacy z „Daily News” pomyśleliby pewnie, że wreszcie zupełnie mu odbiło. Dla nich znany świat kończył się w okolicach Wembley.

– W porządku. Bardzo dobrze. – Ciekawe, czy ona też pomyśli, że zwariował. – Zabrzmiał to jak banał, ale wróciłem do korzeni. Niesamowite, jak dobrze może człowiekowi zrobić kilka dni na świeżym powietrzu w Yorkshire. Czuję się znakomicie.

Suzan się uśmiechnęła. Ten świetny nastrój słychać było w jego głosie.

– Co mogę dla ciebie zrobić? – zapytała.

David czuł się zakłopotany, chcąc prosić Suzan o przysługę, ale była jedyną osobą, jaka mu przychodziła do głowy.

– Czy mogłabyś zawieźć paczkę z prezentami moim dzieciom w Sussex? To miła przejażdżka, ładna okolica. – Wziął wahanie Suzan za irytację. – Podejrzewam, że jesteś bardzo zajęta. Na pewno znajdę kogoś innego...

– Nie, nie, oczywiście, zawiozę. – Suzan zastanowiła się, dlaczego czuła instynktowną niechęć na myśl o poznaniu żony i dzieci Davida. – Gdzie są te prezenty?

– W holu w moim domu w Holland Park. Przyślę ci klucz z adresem. Wielkie dzięki.

Odłożył słuchawkę i wyobraził sobie radość na twarzy Jamiego, kiedy otworzy Protonowy Plecak Pogromców Duchów. Ulżyło mu, że znalazł rozwiązanie dręczących go problemów praktycznych.

Nie przyszło mu do głowy, żeby zastanowić się, co może pomyśleć Liz, kiedy na jej progu pojawi się piękna młoda kobieta z paką prezentów dla Jamiego i Daisy.

– Połapał się! Właśnie wychodziłam z tego cholernego pokoju, kiedy nazwał

mnie panią Ward! Myślałam, że padnę trupem!

Liz rzuciła się, chichocząc, w objęcia Ginny, ale wciąż czuła, jak zrobiło jej się zimno i spotniały jej dłonie, kiedy uświadomiła sobie, że Ross Slater cały czas wiedział, kim ona jest.

– Jak się domyślił?
– Pewnie zadzwonił do „Daily News”, a potem pobawił się w detektywa.
– To dlaczego się z tobą spotkał?
– Boże, Ginny, nie wiem! Może żeby zabawić się moim kosztem? Prężyć mięśnie milionera? A może chciał mnie zniechęcić. Próbował, bo stwierdził, że WomanPower nie wypali. To jest jednak dziwny człowiek – dał mi też parę przydatnych wskazówek, do których czym prędzej się zastosujemy.

Liz przestała myśleć o Rossie Slaterze i wyciągnęła z teczki notes. Nie mogła się doczekać, by przejść od słów do czynów.

– Ty, Ginny, zatrudnisz się w agencji Nine to Five i ukradniesz im wszystkie kontakty. Dawni przetestuje szybkość pisania na komputerze tej nędznej garstki kandydatek, które wykazały choć cień pragnienia, żeby znaleźć pracę za pośrednictwem WomanPower. A ja, biedna frajerka, spróbuję wyszukać nam jakichś klientów!

– I wzajemnie, nadęta krowo!

Liz rzuciła z trzaskiem słuchawkę i zakląła szpetnie. Spędziła przy telefonie dwa bezowocne, frustrujące dni, podlizując się protekcyjnym asystentkom i wyniosłym sekretarkom, które najwyraźniej uważały, że robią jej wielką przysługę samym podnoszeniem słuchawki i informowały ją, że nie, dobry Boże, nie, nie mogła rozmawiać z kierowniczką działu kadr, dyrektorem do spraw rekrutacji czy inną szychą od zatrudniania i zwalniania.

Po dwóch dniach Liz przysięgła sobie, że już nigdy w życiu nie będzie niegrzeczna dla akwizytorów okien z podwójnymi szybami czy doradców funduszy emerytalnych, którzy do niej zadzwonią.

Przyzwyczajona do tego, że magiczne słowo „telewizja” otwiera wszystkie drzwi, Liz nie mogła uwierzyć, jak trudno zwykłemu śmiertelnikowi porozmawiać z kimkolwiek na kierowniczym stanowisku. Skontaktowanie się z kadrową jakiejś firemki specjalizującej się w artykułach hydraulicznych albo zgrzewaniu punktowym było nieznacznie trudniejsze niż połączenie się z pałacem Buckingham.

Liz popatrzyła na długą listę numerów, pod które jeszcze miała zadzwonić, i opadła na oparcie swojego nowiutkiego biurowego fotela. Musiała spojrzeć prawdzie w oczy. Ta metoda się nie sprawdzała. Trzeba będzie spróbować czegoś innego.

Wiedziała, że gdyby tylko mogła rzucić jakimś nazwiskiem albo gdyby już kiedyś poznała pana kierownika, choćby przelotnie, sytuacja wyglądałaby inaczej.

Ross Slater mógł sobie gadać o nawiązywaniu lokalnych kontaktów, ale jak, do diabła, miała kogokolwiek poznać? Wstąpić do Klubu Rotariańskiego albo do masonów?

– Wiem, może zorganizujemy imprezę? Naprawdę straszną, na którą zaprosimy wszystkich kierowników działu kadr, żywych lub martwych, jakich uda nam się wygrzebać? – Ginny właśnie wróciła po tygodniu szpiegowania u konkurencyjnego biura Nine to Five, pełna energii i skradzionych pomysłów, i wyraźnie czuła się gotowa na wszystko.

Po chwili zastanowienia Liz stwierdziła, że to całkiem niezły pomysł. Wszystko, naprawdę wszystko będzie lepsze od bycia spławioną przez kolejną zadzierającą nosa recepcjonistkę. Przynajmniej w lokalnej gazecie pojawi się ich zdjęcie. Mogły to wykorzystać, wykupując ogłoszenie na tej samej stronie, żeby zaprezentować swoje usługi. Byłaby to skromna, bo skromna, ale zawsze premiera WomanPower. Ale żeby te konieczne wydatki miały uzasadnienie, musiały mieć pewność, że gazeta o nich napisze.

– Wiem. – Ginny zerwała się z krzesła i zaczęła podciągać spódnice, odsłaniając nogi. – Zaangażujemy modelkę. Posadzimy ją przy maszynie i każemy jej pokazywać nogi do kamery. No wiesz. Stary, dobry nudny numer z seksowną sekretarką. Na coś takiego muszą się złapać.

– Ginny – Liz podskoczyła i objęła przyjaciółkę – może daleko ci do bycia feministką, ale jesteś absolutnie genialna!

Jednak kiedy obliczyły, ile to będzie kosztować, Liz zaczęła tracić zimną krew. A jeśli to nie wypali? Kolejnych kilkaset funtów wyrzuconych w błoto.

Z drugiej strony, coś musiały zrobić.

Przygnębiona, włączając się w drodze do domu w sznur samochodów wyjeżdżających z Lewes o wpół do szóstej, starała się wyrzucić z głowy wszystkie myśli o WomanPower. Na szczęście jutro miała wolny dzień i mogli pójść na wycieczkę na wzgórze Firlle Beacon. Daisy będzie drzemać w nosidełku, a Jamie będzie biegł przed nimi, szukając odpowiedniego miejsca na robienie fikołków na twardej, zamrożonej ziemi. Boże, dzięki Ci za dzieci! Za natychmiastowość ich żądań, za to, że potrzebują cię teraz, nie za pięć minut, kiedy skończysz czytać artykuł albo posprzątasz szafkę w kuchni. Przypomniała sobie cytat z lady Antonii Fraser, której udało się urodzić niezliczoną liczbę dzieci, a oprócz tego napisać niezliczoną liczbę książek. Jak powiedziała, bycie pracującą matką ma tę zaletę, że jeśli w pracy źle ci się wiedzie, to przynajmniej masz dzieci.

Tego dnia Liz dokładnie wiedziała, co lady Fraser miała na myśli.

– Mamo! Mamo! Auu! Masz zimne policzki!

Ledwo zdążyła otworzyć drzwi, wniebowzięty Jamie rzucił się jak wystrzelony z katapulty prosto w jej ramiona, mijając roześmianą Minty i omal nie przewracając Liz.

– Cześć, kochanie, dobrze ci minął dzień?

– Superpyszenie! Pojechaliśmy do Burger Kinga i Daisy i ja zjedliśmy whoppera, a Daisy dała mi swojego ogórka, bo jej nie smakował, i piłem coca-colę, i dali nam za darmo Supermana w aucie!

Wykończona ciężkim dniem Liz zdjęła płaszcz i powiesiła go na poręczy schodów, mimo że wieszak był tylko pół metra dalej; nagle jednak te pół metra wydało jej się połową kilometra. Zadała sobie pytanie, po co w ogóle przeprowadzała się z dziećmi sto pięćdziesiąt kilometrów od Londynu, w sam środek jednej z najpiękniejszych wiejskich okolic na świecie, skoro one wołały siedzieć w Burger Kingu.

Zgarnawszy dzisiejszą pocztę, która przyszła, kiedy Liz zdążyła już wyjść do pracy, podziękowała Minty i padła na sofę, sadzając sobie Jamiego na jednym kolanie, a Daisy na drugim.

– Ja otwozie! Ja otwozie! – domagała się Daisy, sięgając po stosik kopert. Liz podała jej wyciąg z banku. Mogła go sobie podrzeć z przyjemnością. Jak zwykle przyszły same rachunki i ulotki reklamowe. Z wyjątkiem jednego listu, ze stemplem z Selden Bridge.

Wyplątała się delikatnie z objęć dzieci, wrzuciła do magnetowidu jakiś film Disneya, przypominając sobie z poczuciem winy, co pisały poradniki: że nigdy, przenigdy nie wolno traktować wideo jak opiekunki do dziecka. Następnie, zostawiając dzieci pod opieką magnetowidu, wymknęła się do kuchni i usiadła przy sosnowym stole.

Patrząc na znajome przedmioty: ładną porcelanę, ceramiczne figurki psów ze Staffordshire na półeczce nad agą, koszyk kwiatów na środku stołu, poczuła się silniejsza. Była tu szczęśliwa. Dlaczego w takim razie perspektywa otwarcia tego listu napawała ją taką niechęcią? Co takiego mógł mieć do powiedzenia David, co by zraniło ją jeszcze bardziej niż dotąd?

Lekko drżącymi dłońmi rozerwała kopertę. List był krótki i rzeczowy. David myślał o zakotwiczeniu się w jakimś miasteczku o nazwie Selden Bridge i czy w takim razie, skoro żadne z nich raczej nie będzie tam mieszkać, nie czas wystawić dom w Londynie na sprzedaż, jak najszybciej?

Ostrożnie odłożyła list. Była to zupełnie rozsądna propozycja, a Liz mogła się tylko dziwić, że nie wysunął jej wcześniej. Ale skąd ten nagły pośpiech? Może chodziło o pieniądze, skoro rzucił pracę u Logana, ale nie mogła się oprzeć wrażeniu, że jest w tym coś więcej, coś, o czym jej nie napisał.

Instynktownie wstała i oparła się na chwilę o agę, mając nadzieję, że jej kojące ciepło odeгна nagły chłód, który poczuła, chociaż kuchnia była nagrzana. Stojąc przy piecu, doznała dziwnego wrażenia, że jakieś drzwi się zamykają, a ona zostaje po ich niewłaściwej stronie.

Była tak zamyślona, że nie usłyszała delikatnego, jakby niezdecydowanego

pukania do drzwi frontowych. Ocknęła się dopiero, kiedy Jamie wpadł do kuchni, z błyszczącymi radosnym podnieceniem oczami.

– Mamo! Mamo! Pod drzwiami stoi pani z mnóstwem prezentów i mówi, że to dla mnie i dla Daisy od taty!

Przez chwilę Liz zastanawiała się, czy Jamie mówi o Britt, ale uświadomiła sobie, że Britt była ostatnią osobą, która przywiozłaby prezenty od Davida. Zżerana ciekawością, poszła za Jamiem do salonu.

Rozdział 27

Przy kominku, obładowana prezentami, w skórzanej parce z futrzanym kapturem obramowującym jej śliczną, delikatnie opaloną twarz, stała jedna z najpiękniejszych dziewczyn, jakie Liz kiedykolwiek widziała. Była szczupła i wysoka jak modelka, nawet w płaskich sportowych butach. Krótkie ciemne włosy oprószył śnieg, a wielkie brązowe oczy lśniły jeszcze od siarczystego mrozu. Uśmiechnęła się do Liz i Jamiego z nieudawaną życzliwością.

– Dzień dobry, jestem Suzan. David prosił mnie, żebym to podrzuciła. Mam nadzieję, że nie przyjechałam nie w porę?

Jamie podbiegł i zaczął odbierać od niej prezenty. Kiedy Suzan się schyliła, Liz ponownie jej się przyjrzała. Oprócz jej niewątpliwej, promiennej urody, wyróżniały ją dwie rzeczy: młody wiek, który Liz oceniła na dwadzieścia jeden albo dwadzieścia dwa lata, oraz ton głosu, kiedy mówiła o Davidzie. Dziewczyna była w nim ewidentnie zakochana.

David podpisał się na trzech egzemplarzach umowy i uściśnął dłoń dyrektora generalnego Star Newspapers oraz jego prawnika.

Wszystko poszło zadziwiająco gładko. Kiedy dostał raport z firmy zajmującej się badaniami rynku, którą zatrudnił, żeby oceniła rozwojowy potencjał gazety, kiedy po raz drugi obszedł redakcję i spotkał się z zespołem, a także przeanalizował rachunek zysków i strat gazety, nie potrzebował wiele czasu na decyzję. A teraz, kiedy została podjęta, nie wiedział, czy jest bardziej podekscytowany, czy przerażony. Został wydawcą! Może nie było to nic na miarę Greene Communications, ale gazeta należała do niego i tylko od jego umiejętności zależało, czy przetrwa, czy padnie.

Kiedy strach zelżał, a na pierwszy plan wysunęła się ekscytacja, poczuł, że musi komuś o tym powiedzieć. Liz. Ona zrozumie. Przez kilka miesięcy budowała Metro. A to będzie jak Metro bez Conrada! Jak Greene Communications bez Logana, który siedział mu na ramieniu i subtelnie, a czasem wręcz przeciwnie, kierował gazetę w tę stronę, w którą to on chciał.

Uśmiechnął się do siebie i sięgnął po telefon.

– Liz? Liz, tu David. Dostałaś mój list? Słuchaj, mam dobre wieści i chciałem, żebyś była pierwszą osobą, która się o tym dowie.

Liz siedziała, ściskając telefon w dłoni. Jej knykcie odcinały się bielą od ciemniejszego odcienia słuchawki. Nie musiał jej mówić. Już wiedziała. Zakochał się. Dlatego tak nagle zaczęło mu zależeć na szybkiej sprzedaży domu. Wiedziała to od chwili, w której zobaczyła Suzan.

– Liz, kupiłem gazetę! „Selden Bridge Star”. Jest mała, ale ma wielki potencjał, no i będę swoim własnym szefem! Nie będzie już Logana dyszącego mi

w kark. Liz? Nic nie powiesz?

Liz siedziała w milczeniu. A co z drugą wiadomością? Czy David zamierzał poczekać, że o tej też się dowie, wchodząc do jakiejś restauracji?

– A czy twojej nowej wybrance spodoba się w... gdzie to mówiłeś... w Selden Bridge? – spytała. Słyszała gorycz w swoim głosie, sarkastyczny ton ponurej, zrządzającej żony, ale nie potrafiła nic na to poradzić. Jak śmiał tu przysyłać swoją narzeczoną, tę... tę małą, z prezentami dla dzieci! – Sprawiała na mnie wrażenie typowej dziewczyny z miasta. W jej wieku pewnie będzie tęsknić za nocnym życiem.

W słuchawce zapadło pełne osłupienia milczenie. O co, do diabła, chodziło Liz? Aż nagle go olśniło i wydało mu się to tak absurdalne, że się roześmiał.

– Chodzi ci o Suzan? Nie jest moją nową wybranką, na litość boską. To tylko znajoma, reporterka z „Daily News”.

Liz wiedziała, że powinna trzymać język za zębami, ale nie mogła się powstrzymać. Chciała przypuścić atak i celnie go ugodzić.

– A czy jej ktoś o tym powiedział? Bo ewidentnie jest w tobie zakochana. Kompleks ojca, bez wątpienia. Pewnie pieprzyła się ze swoim promotorem, z poprzednim szefem, a teraz twoja kolej.

O, cholera. Dlaczego to powiedziała? Po prostu Suzan była taka młoda i piękna i akurat weszła w momencie, kiedy Liz, zmartwiona kondycją WomanPower, czuła się grubą nieudacznicą.

– Liz, o czym ty mówisz?

Liz słyszała, jak jego głos staje się zimny, jak wyparowuje z niego cały entuzjazm, i z całego serca zapragnęła cofnąć to, co powiedziała. Ale było już za późno.

– Słuchaj, nie ma sensu tego drażnić. Suzan jest moją znajomą i dawną koleżanką z pracy, to wszystko. Może lepiej, żebyśmy w ogóle nie rozmawiali, jeśli jesteś w takim nastroju. Powiem mojemu prawnikowi, żeby do ciebie zadzwonił w sprawie domu...

Swojemu prawnikowi! Nie potrzebowali prawników. Byli cywilizowanymi ludźmi.

– David, przepraszam. Ja...

Ale już się rozłączył. Zachowała się jak skończona idiotka. David nie kochał się w Suzan, poznała to po jego tonie. Pomyliła się. A teraz poddała mu tę myśl, zasiała ziarno, które może wykiełkować, kiedy David zacznie się zastanawiać, czy nie miała racji. O Boże...

Liz odłożyła słuchawkę i siedziała w lodowatej ciemności w przedpokoju, analizując rozmowę słowo po słowie. Znów słyszała entuzjazm i ekscytację w jego głosie, kiedy mówił o kupnie gazety. A ona nic nie powiedziała, nawet mu nie pogratulowała. Zaczęła się pieklić jak zazdrosna żona. A nie była żoną. Już nie.

Musiła go przeprosić, przynajmniej życzyć mu powodzenia. Sięgnęła po telefon i zatrzymała się w pół gestu.

W swojej furii i zazdrości nie zapytała go o numer.

Wciąż wściekły z powodu reakcji Liz, David szedł przez mokre, srebrzystoszare ulice Selden Bridge i nie mógł się nadziwić, że można nastawiać tyle domów jeden na drugim na stromym zboczu. Piętrusy, tak je nazywano, kiedy je budowali na przełomie wieków. Davidowi wydawało się, że każdy dom ma nad sobą pięćdziesiąt innych, a ich ciemne, kryte łupkiem dachy, lśniące od deszczu, tworzyły misterny wzór. Niesamowite, że nie zjechały wszystkie po zboczu wzgórza i nie zwały się na jedną wielką łupkową kupę.

Echo jego kroków na mokrym chodniku uświadomiło mu, że nikogo tu nie zna. Ale to go nie martwiło. Wiedział, że nawiąże znajomości, kiedy tylko przejmie gazetę. Na rogu ulicy, którą szedł, dostrzegł jasno oświetlony pub, więc wstąpił do środka i zamówił kufel old peculiara z browaru Theakston. Warto było przeprowadzić się do Yorkshire choćby dla tutejszego piwa! Na lewo od baru zauważył automat telefoniczny i, pod wpływem impulsu, zadzwonił do „Daily News”. Już jej tam nie będzie. Było zdecydowanie za późno.

Po sześciu czy siedmiu sygnałach David już miał odłożyć słuchawkę, kiedy ktoś odebrał.

– Halo, redakcja.

To była ona. Brzmiała, jakby była czymś zaabsorbowana, jakby odciągnął ją od jakiegoś sensacyjnego materiału.

– Pracujesz do późna.

– David! – Usłyszał radość w jej głosie i poprawiło mu to nastrój. – Wiesz, jak to jest, siedzę nad materiałem, który lada chwila ma się ukazać.

Tak. Rzeczywiście wiedział. Bardzo dobrze pamiętał to radosne podniecenie. I miał nadzieję, że już wkrótce znów je poczuje.

– Chciałem ci podziękować i przekazać dobre wieści.

– Jakie? – zapytała, zaintrygowana.

Niemal słyszał, jak się uśmiecha.

– Właśnie kupiłem gazetę. „Selden Bridge Star”!

– David! To niesamowite! – Entuzjazm i ekscytacja w jej głosie były tak gorące, że mógłby ogrzać sobie nimi dłonie. – Ale ekstra! Twoja własna gazeta! Masz zamiar sam być naczelnym, czy będziesz mówił jakiemuś biedakowi, co ma robić?

Właśnie to pytanie dręczyło Davida przez cały dzień. Nagle poczuł, że zna odpowiedź.

– Sam będę naczelnym. Przynajmniej na razie.

– David, to świetnie, naprawdę wspaniale! – Urwała na chwilę, po czym podjęła jak najłżejszym tonem: – Nie będzie ci przypadkiem potrzebna redaktorka

działu kobiecego?

– Popatrz! To Peter Glenning – syknęła Ginny do ucha Liz, kiedy witały gości na przyjęciu WomanPower, wymieniając uściski dłoni z kolejnymi biznesmenami. – Kieruje Glenningtree, to największy pracodawca na południowym wschodzie. Ho, ho, prawdziwy zaszczyt nas kopnąć.

– Pewnie słyszał o twoich kuleczkach krewetkowych – syknęła Liz w odpowiedzi.

Ginny zachichotała. Od paru dni biegała jak kot z pęcherzem, pożyczając wszystkie piekarniki we wschodnim Sussex, żeby upichcić setki małych szaszłyczków satay z pikantnym sosem z chili i orzechów ziemnych, miniaturowe quiche, minipizze oraz swoje słynne rozpluwające się w ustach kuleczki krewetkowe.

Wysłały sto pięćdziesiąt zaproszeń, spodziewając się, że tak jak na londyńskich imprezach PR-owych, tylko jedna czwarta adresatów w ogóle odpowie, połowa ani nie odpowie, ani nie przyjdzie, a pozostała jedna czwarta wpadnie spóźniona i wstawiona, przyprowadzając ze sobą kogoś przypadkowo poznanego w pubie.

Oniemiały, bo odpowiedzieli wszyscy i wszyscy przyszli.

Liz rozejrzała się po tym morzu szarych garniturów, przełamanym tylko tu i ówdzie śmiałym odstępstwem od rutyny w postaci sportowej marynarki albo nylonowej koszuli. Boże, wyglądali na nudziarzy. Pewnie co drugi miał na imię Brian i spędzał weekendy na wyjazdach z przyczepą kempingową.

Tylko jeden się wyróżniał.

Pograżony w rozmowie z Peterem Glenningiem stał ktoś, kto wyglądał, jakby trafił na niewłaściwą imprezę. Trzydzieści kilka lat, wysoki i opalony, z lśniącymi brązowymi włosami i uderzającymi zielonymi oczami – facet był tak niesamowicie atrakcyjny, że Liz omal nie zapomniała, co ma dalej mówić.

I chociaż zwróciła uwagę na ręcznie szyty tweedowy garnitur, modnie poprządkany fioletową nitką, na nienaganną błękitną koszulę i półbuty od Gucciego, to największe wrażenie zrobiła na niej jego fizyczność.

Nie była to nadęta samczość obsesyjnego bywalca siłowni, lecz wrażenie, że oto ma się do czynienia z mężczyzną, którego ciało, zamiast stanowić zwykłe męczące ograniczenie dla ducha, jest czymś wspaniałym i cudownym.

W końcu dostrzegł, że na niego patrzy, i odwrócił się lekko w jej stronę. Od razu uświadomiła sobie, kogo jej przypominał: jakiegoś arystokratę z włoskiego obrazu. Te brązowe lśniące włosy, obcięte tuż poniżej uszu, kojarzące się ze średniowieczem, ta skóra o śródziemnomorskim migdałowym odcieniu, ta wielkopańska mina młodego księcia.

A potem się uśmiechnął. Tak prowokacyjnie i znacząco, że zrozumiała, iż się myliła. Przypominał jej nie Medyceusza czy Borgię, ale upadłego anioła.

„Dobra, dobra – niemal słyszała w głowie głos Mel – nie ściemniaj. Po prostu facet ci się podoba”.

I, jak zwykle, Mel miałyby rację.

Kiedy pięć minut później Ginny trąciła ją łokciem, by jej przypomnieć, że pora na przemówienie, Liz nachyliła się i szepnęła przyjaciółce do ucha:

– Kto to? – Wskazała dwóch mężczyzn tak subtelnie, jak tylko potrafiła.

– A, ten! – Ginny podążyła wzrokiem za spojrzeniem Liz. – Przecież już ci mówiłam. To Peter Glenning, prezes Glenningtree Enterprises.

Liz kopnęła ją dyskretnie.

– Ginny, nie ten! Wiesz, o kim mówię!

– A, ten. – Kąciki ust Ginny drgnęły podejrzenie. – Chodzi ci o najseksowniejszego faceta, jakiego widziałas poza stronami „Playgirl”? Trzeba było tak od razu.

– No, to kim on jest?

– Nie mam zielonego pojęcia. – Ginny uśmiechnęła się szelmowsko. – Ale na pewno się dowiem.

Chociaż wiedziała, że powinna szukać notatek, Liz nie mogła się powstrzymać przed rzuceniem jeszcze jednego ukradkowego spojrzenia na nieznanego, żeby się upewnić, czy rzeczywiście jest tak atrakcyjny, jak jej się wydawało. Rzeczywiście był. Z niechęcią wzięła się w garść. Czas na jej przemówienie.

Jedna z lekcji, których Liz nauczyła się od Conrada, brzmiała: jeśli masz wygłosić mowę na przyjęciu, postaraj się, żeby była jak najkrótsza. Widziała kiedyś, jak prezes Metra wygłaszał przemówienie wychwalające cud, jakim jest Metro Television, przed grupą zaproszonych dziennikarzy, które było tak długie i nudne, że wszyscy potem bezlitośnie obsmarowali w swoich gazetach i jego, i stację. Nie miała zamiaru popełnić tego samego błędu.

Po zaledwie pięciominutowym, zwięzłym przedstawieniu agencji WomanPower i świadczonych przez nią usług oraz jednym zaskakująco zabawnym żarcie Liz zeszła z mównicy wśród szczerego aplauzu. Poprosiła tylko, żeby każdy gość zostawił swoje dane kontaktowe, tak aby teraz mogli zapomnieć o interesach i zjeść dobry lunch.

Rozglądając się wokół, Liz zastanawiała się, czy lakoniczność jej wystąpienia nie wynikała przynajmniej częściowo z chęci wywarcia wrażenia na mężczyźnie w tweedowym garniturze, a także jak najszybszego udania się w jego kierunku.

Miała jednak pecha. Jak najdyskretniej rozejrzała się po sali i stwierdziła, że już go tu nie ma. Ku swojemu zdumieniu Liz poczuła potężne rozczarowanie.

Podeszła po cichu do drzwi i pod pozorem sprawdzenia, jak sprawy stoją, zerknęła na podkładkę do pisania z przypiętą kartką, żeby sprawdzić, czy zostawił

swoje nazwisko, tak jak prosiła. Ale jak dotąd wpisały się tylko trzy osoby: dyrektor do spraw rekrutacji z Kent & Sussex Brick Company, Peter Glenning oraz kierownik działu kadr z lokalnego oddziału London Rubber Company.

– Może zjesz satay? – Tuż obok niej wyrosła Ginny. – Jest gorący i pikantny.

– Dziękuję ci, Virginio, ale w tej chwili nie mam ochoty na nic gorącego i pikantnego.

– Nie? – Ginny wręczyła jej szaszłyczek, patrząc w ślad za jej spojrzeniem na miejsce, w którym stał wcześniej tajemniczy gość. – Co ty powiesz?

– Boże, co za pobożowisko! – Liz była przerażona stanem sali. Ze względów oszczędnościowych postanowiły nie zatrudniać kelnerek, użyć papierowych talerzyków i kubków i wynająć tylko barmana. Dzięki temu sto funtów zostało im w kieszeni, ale teraz musiały same posprzątać.

Kiedy kręciły się z Ginny wśród resztek pasztecików z wydłubanym nadzieniem i wyjmowały pety silk cutów z niedopitych drinków, Liz zaczęła się zastanawiać, czy nie były to pozorne oszczędności.

– Ożeż kurde! – pisnęła Dawn, nowa sekretarka, która im pomagała, wierna do końca. – Popatrzcie na to. Co za marnotrawstwo!

Dawn wyciągnęła w ich stronę talerz z sernikiem agrestowym. Został tylko jeden kawałek, a kiedy Ginny i Liz przyjrzały się bliżej, zrozumiały, dlaczego. Na środku tkwił wciśnięty niedopałek cygara.

– Kto by coś takiego zrobił z zupełnie dobrym sernikiem? – dziwiła się Dawn, wsadzając palec w część ciasta niezbrukaną popiołem. Wiernie przestrzegала doktryny biurowego postu, więc była potwornie głodna.

Ginny i Liz popatrzyły na siebie. Obie jednocześnie przypomniały sobie, jak ich wytworny gość odgryzł końcówkę cygara Romeo y Julieta i wypluł ją na podłogę.

– Peter Glenning!

Liz usiadła i wymacała pod stołem jedyną butelkę wina, która umknęła uwadze stu pięćdziesięciu spragnionych menedżerów średniego szczebla, i ją otworzyła.

– Chyba najwyższy czas, żeby pan Glenning dowiedział się, że nie ma czegoś takiego jak darmowy lunch.

– Racja! – Ginny pociągnęła spory łyk sauvignon. – Pokażemy tym draniom! – Wzniosła kieliszek i stuknęła się z Liz. – Za WomanPower! Pół etatu, pełny profesjonalizm!

– Wiesz co, Ginny? – Liz się uśmiechnęła. – Chyba właśnie wymyśliłaś nasz slogan.

– No dobra, panie Glenning – oświadczyła bojowo Ginny, grzebiąc w torebce. – Gdzie ta komórka? Do tej pory zdążył już strawić lunch. – Zagląając do kalendarzyka, wybrała numer i przyłożyła telefon do ucha.

– Mówi Virginia Walker z WomanPower. Czy mogłabym rozmawiać z panem Glenningiem?

Wszystkie trzy wstrzymywały oddech na, jak im się wydawało, kilka godzin, aż w słuchawce ponownie odezwał się zaskakująco życzliwy głos sekretarki Petera Glenninga.

– Niestety pan Glenning jest w tej chwili nieco zajęty, ale chętnie się z panią spotka w następny czwartek o trzeciej, jeśli to pani pasuje.

Liz chwyciła telefon.

– Tak – powiedziała spokojnie, wyrzucając wolną rękę nad głowę, z dłonią zacisniętą w pięść w geście zwycięstwa, niczym Rocky Balboa. – To by nam bardzo pasowało!

Była tak podekscytowana, że zapomniała zapytać, kim był tajemniczy znajomy Petera Glenninga.

– Widziałas już zdjęcie w gazecie? – Mina Ginny mówiła wyraźniej niż słowa, że ich eksperymenty PR-owe nie okazały się zbyt udane.

Liz nieufnie wzięła do ręki najnowszy numer „East Sussex Clarion”.

Zobaczyła szeroką na trzy szpalty fotografię wynajętej przez nią modelki, siedzącej przy komputerze. Liz nie mogła wyjść z podziwu, jak jej się udało wyeksponować dekolt tak głęboki, że można było w nim utonąć i jednocześnie odsłonić prawie całe udo oraz pokazać, jako wisienkę na torcie, kawałeczek czarnych koronkowych majtek. Nic dziwnego, że zdjęcie trafiło na pierwszą stronę. Jeśli w ogóle przypominała sekretarkę, to tylko taką z sekstelefonu, gdzie płaci się piąta, żeby dysząca w słuchawkę pani opowiadała, jak Karen posegreguje twoje faktury.

– O mój Boże, wygląda jak prostytutka!

– Wiem. – Ginny zaczęła chichotać. – I to nawet nie luksusowa!

– Ktoś dzwonił, odkąd to się ukazało?

– Tylko jeden facet, który nie chciał podać nazwiska, za to prosił o jej telefon.

– Boże, mam nadzieję, że to ludzi nie odstręczy.

– *À propos* „stręczy”. Zawsze możemy zapomnieć o WomanPower i założyć agencję towarzyską.

– Może się okazać, że będziemy musiały. – Liz usiłowała mówić lekkim tonem, by nie martwić Ginny, ale sytuacja wyglądała kiepsko. Miała nadzieję, że impreza inauguracyjna będzie przełomem, którego potrzebowały, ale ku ich przerażeniu ze wszystkich stu pięćdziesięciu gości tylko kilkunastu zostawiło dane kontaktowe, w tym jedna osoba pracująca dla Petera Glenninga.

Poczuła, że na myśl o czwartkowym spotkaniu z Glenningiem ze stresu ścisną ją w żołądku. Z chwili na chwilę robiło się coraz ważniejsze. Zwłaszcza po tym fiasku rozpaczliwie potrzebowały, żeby ktoś potraktował je poważnie. Jak to

powiedział Ross Slater? Trzeba poszukać informacji o swoich klientach. Dowiedzieć się, czego potrzebują, jeszcze zanim oni sami to sobie uświadomią.

Wzięła płaszcz i ruszyła do drzwi.

– Dokąd się wybierasz?

– Do Londynu. A dokładniej do rejestru spółek handlowych. W końcu jestem dziennikarką. Pod koniec dnia mam zamiar wiedzieć o Glenningtree więcej niż sam Peter Glenning.

– Owocnych łowów. – Ginny podniosła słuchawkę i zaczęła wybierać numer do jednej z pozostałych osób na liście. Spojrzała na przyjaciółkę i się uśmiechnęła.

– Liz?

– Mmm?

– Miejmy nadzieję, że nie czyta „East Sussex Clarion”.

– Dzień dobry. Pani Ward, prawda?

Peter Glenning uśmiechnął się wilczo, dodając sobie trzeci podbródek do dwóch, które już trzęsły się za każdym razem, gdy zaciągał się grubym cygarem, trzymanym między mięsistymi wargami.

– A to jest...?

– Moja współpracowniczka, Virginia Walker. Prowadzimy agencję razem.

Z zadziwiającą gracją jak na tak grubego człowieka Peter Glenning podsunął krzesło dla Ginny, po czym wycofał się za swoje ogromne mahoniowe biurko.

– Nie przeszkadzałyby paniom, gdybym zdjął marynarkę? Strasznie tu duszno. – Glenning zrzucił marynarkę od garnituru z szarej flaneli, odsłaniając metkę Huntsman, Savile Row. Ponieważ Liz nie czuła szczególnej duchoty, uznała, że albo próbował stworzyć atmosferę nieprzyjemnej poufałości, albo pochwalić się metką, będącą symbolem statusu. Pod spodem miał czerwone szelki i wilgotne plamy pod pachami. Po pokoju rozszedł się nagle zapach potu. Peter Glenning z pewnością należał do mężczyzn, którzy uważali, że używanie mydła jest oznaką zniewieściałości.

– A zatem, drogie panie, co mogę dla was zrobić?

Liz musiała przez chwilę walczyć z uczuciem słabości, wywołanym przez zapach potu, dymu z cygara oraz świadomość, jak wiele, idiotycznie wiele zależy od tego spotkania.

– Mam nadzieję, panie Glenning, że to my możemy coś zrobić dla pana. – Modliła się w duchu, żeby jej uśmiech wyrażał pewność siebie, której w istocie nie miała. – Przyjrzałam się trochę działalności Glenningtree i przyszło mi do głowy kilka sposobów...

– Ależ – przerwał jej Glenning w pół słowa z kolejnym ze swoich wilczych uśmiechów – proszę mi mówić Peter. – Pochylił się w jej stronę i skierował na nią całą swoją uwagę. – O czym to pani mówiła?

Zgodnie z jego zamiarem Liz straciła wątek. No właśnie, o czym to ona, do

cholery, mówiła? Od kilku tygodni Daisy budziła się dwa razy w ciągu nocy, w efekcie czego Liz, jeśli choćby na sekundę się zdekoncentrowała, natychmiast zapominała, co chciała powiedzieć.

Po krótkiej chwili ciszy Ginny trąciła ją łokciem.

– O tym, czego się dowiedziałas o działalności Glenningtree.

– Ach, tak. I wydaje mi się, że WomanPower mogłoby się okazać pomocne w kilku obszarach.

– Proszę mnie oświecić.

Czy to tylko jej wyobraźnia, czy w jego tonie słychać było zawołowany sarkazm?

– Na przykład wasz dział ubezpieczeń. Zauważyłam, że zatrudniacie głównie kobiety i macie bardzo wysoką rotację personelu. Popytałam o to, bardzo dyskretnie, i okazało się, że miejscowym kobietom z dziećmi trudno jest dopasować się do godzin pracy firmy. Pozwoliłam więc sobie opracować alternatywny elastyczny grafik, dzięki któremu pracowniczki znacznie dłużej zagrzewałyby miejsce w pańskiej firmie i dobrze by pracowały, bo byłyby panu wdzięczne.

– Proszę, proszę. – Sarkazm był tym razem bardziej otwarty.

Liz postanowiła go zignorować.

– Zauważałam też, że chociaż dziewięćdziesiąt procent zatrudnionych to kobiety, na szczeblach kierowniczych są sami mężczyźni i zastanawiałam się, dlaczego. – Liz pilnowała, żeby w jej głosie nie było ani cienia agresji czy krytycyzmu. – Pomyślałam, że może dlatego, że nie był pan w stanie znaleźć kandydatek z odpowiednimi kwalifikacjami, więc może następnym razem, kiedy będzie pan szykował się do obsadzenia takiego stanowiska, mogłabym przesłać kilka CV. Mamy w naszej bazie bardzo wysoko wykwalifikowane kobiety. Księgowe, konsultantki do spraw marketingu, najróżniejsze specjalistki...

– Pani Ward – przerwał jej Peter Glenning, a Liz zauważyła, że jego ton przeszedł z sarkazmu do gburowatości – w mojej kadrze zarządzającej nie ma kobiet, ponieważ wiem z doświadczenia, że na kobietach nie można polegać. Wychodzą za mąż. Rodzą dzieci. Dziecko rozboli brzusek i już racjonalna profesjonalistka zmienia się w osobę, która musi lecieć do domu, żeby potrzymać pocięgę za rączkę.

„O Boże! – pomyślała Liz – znowu te same stare argumenty”. Dlaczego pracodawcy nigdy nie dostrzegali plusów pracujących matek, zamiast wciąż marudzić o ich minusach? Te były przecież wystarczająco oczywiste.

– Z całym szacunkiem, panie Glenning, pracujące matki nie latają co pięć minut do domu. – Liz miała gorącą nadzieję, że Peter Glenning nigdy nie spotka Conrada, który mógłby tego nie potwierdzić. – A jeśli czasem wezmą pół godziny wolnego w nagłym wypadku, rekompensują to z nawiązką. – Mówiła spokojnym,

przyjaznym głosem, chociaż miała ochotę dać mu w pysk, ażby mu się podbródki zatrzęsły. – W rzeczywistości pracujące matki są znakomitą inwestycją. Nie chodzą na długie lunche, nie plotkują przez telefon, nie chodzą na drinka po pracy, nie wdają się w biurowe romanse, żeby oderwać się od myśli o zarabianiu pieniędzy dla pana. Po prostu przykładają się do pracy i wykonują ją dobrze.

Glennig nic nie powiedział, ale po jego minie widziała, że nie był przekonany.

– A zatem uważa pani, że powinienem zlecić WomanPower znalezienie jakichś świetnie wykwalifikowanych kobiet, które by zasiliły moją kadre zarządzającą?

Liz skinęła głową. Może jednak coś do niego trafiło.

Peter Glennig sięgnął po coś pod biurko.

– A czy będą tak wyglądały, pani Ward?

O Jezusie, trzymał w ręku numer „East Sussex Clarion”.

Zerknął na prowokacyjną pozę modelki, a potem z powrotem na Liz.

– Obawiam się, pani Ward, że zawsze uważałem, że miejsce kobiety jest w sypialni, a nie w dyrektorskim gabinecie. A teraz, jeśli mi panie wybaczą, mam umówione spotkanie.

– Pracujące matki niby nie piją po pracy? – Ginny rozlała im resztę z butelki do kieliszków i objęła Liz ramieniem. – Co za bydlak! A jak na ciebie spojrzal, kiedy mówił, że miejsce kobiety jest w sypialni! Cały czas świetnie się bawił. Myślałam, że się spuści na to zdjęcie w „East Sussex Clarion”.

– O Boże, Ginny, nawaliłam! To było takie ważne, żebyśmy zdobyły jakieś zlecenia od tej świni. A ja zapomniałam, co powiedzieć, i wyszłam na idiotkę!

– Nieprawda. Byłaś kapitalna. Spokojna i pewna siebie. Po prostu nie był zainteresowany. Dla niego równie dobrze mogłabyś recytować książkę telefoniczną! Zabawił się naszym kosztem! Nie chciał, żebyśmy mu kogokolwiek znajdowały. Nie lubi kobiet i kropka. A już szczególnie kobiet sukcesu.

– Podobnie jak każdy inny dyrektor generalny, z którym rozmawiamy. Ginny, udało nam się znaleźć pracę tylko dla garstki ludzi!

– Wiem, ale musimy dać sobie czas.

– Czas! Ginny, my nie mamy czasu!

„Lepiej zacznij pakować walizki – omal nie krzyknęła – jeśli szybko do czegoś nie dojdziemy”. Ale się powstrzymała. Nie było sensu panikować. Dała sobie trzy miesiące i wciąż jeszcze miała dwa. Nie było to wiele czasu, ale musiało wystarczyć.

Potrzebowały tylko jakiegoś cudu. Liz wbiła wzrok w dno kieliszka. Wystarczyłyby mały cudzik, nie miała przesadnych wymagań. Byle tylko nastąpił szybko.

Liz obudziła się i przeciągnęła. Ułożyła poduszki w stosik na brzegu

szerokiego łóżka, oparła się o nie i spojrzała na swój ulubiony widok na sad, dolinę i zamglone morze na horyzoncie. Herbata byłaby dopełnieniem ideału, ale wiedziała, że jeśli wyjdzie z sypialni, to albo Jamie, albo Daisy usłyszą jej kroki na schodach i nic już nie zostanie z jej błogiej chwili spokoju.

Poczuła lekkie ukłucie winy, że tak dobrze się czuje sama, bez nich, ale co tam, to jest jej wolny dzień i spędzą go razem. Czysta rozkosz! Jedyna decyzja, jaką musiała dziś podjąć, to jakiego koloru dres założyć i gdzie pójść na podwieczorek. Uświadomiła sobie z pewnym zdziwieniem, że powrót do pracy dał jej coś niezwykle cennego, czego się nie spodziewała: poczucie, że gdy nie pracowała w WomanPower, miała wakacje. Kiedy siedziała cały czas w domu, mimo szczerych chęci czuła się jak w klatce. Ale spędzanie części tygodnia w domu dodawało smaku pracy, zaś praca sprawiała, że czas wolny stawał się tym cenniejszy.

Dziesięć minut później wyskoczyła z łóżka, wciągnęła swoje ulubione jaskraworóżowe spodnie od dresu i bluzę, poszukała adidasów i zeszła po cichu na dół. Przyrządzi im specjalne śniadanie. Dzisiaj był dzień Jamiego – to on wybrał wszystko, co będą robić.

Kiedy położyła na blacie chleb, jajka i syrop klonowy, żeby zrobić jego ulubione francuskie tosty, rozdzwonił się telefon. Zerknęła zaskoczona na zegarek. Ósma trzydzieści. Podniosła słuchawkę jedną ręką i przytrzymała ją brodą, drugą zdejmując patelnię z ognia. Ciężka patelnia była znacznie gorętsza, niż się spodziewała. Z okrzykiem bólu upuściła ją na wyłożoną kafelkami podłogę.

– Kuźwa! – wrzasnęła, kiedy patelnia uderzyła ją w stopę.

– Spokojnie – powiedział kpiąco głos w słuchawce – oddzwonię za pięć minut.

Zrobiła krok nad patelnią, ciągle leżącą na podłodze w wyjątkowym odcieniu wypalanej prowansalskiej cegły, w której pod wpływem uderzenia pękł jeden z kafelków. Już kiedy urządziła kuchnię, musiała czekać kilka miesięcy na dostawę, więc wiedziała, że kafelek był nie do odkupienia.

Ten głos. Nigdy wcześniej go nie słyszała, jednak od razu wiedziała, do kogo należy. Dzwoniący nie przedstawił się, ale nie musiał. Doskonale wiedziała, kim jest.

Nie śmiać nawet podnieść filiżanki kawy, w razie gdyby ona też wypadła jej z trzęsących się z emocji rąk, Liz usiadła na brzeżku sosnowego kuchennego krzesła nad leżącą na ziemi patelnią i czekała na dzwonek telefonu.

Rozdział 28

– Zawsze pani klnie na tych, którzy do pani dzwonią, czy może ósma trzydzieści to dla pani za wcześnie?

– Właściwie to upuściłam patelnię, uderzyła mnie w stopę i rozbiła jeden z moich ulubionych kafelków.

– Zazwyczaj tak właśnie działam na kobiety.

Uśmiechnęła się. W ustach większości mężczyzn ten żart brzmiałby niezręcznie albo świadczyłoby o próżności, ale jemu udało się uderzyć w odpowiednią nutę parodii, tak że wyszło całkiem zgrabnie.

– Przepraszam. Nawet się nie przedstawiłem. Nick Winters. Byłem na pani imprezie kilka dni temu.

Liz powstrzymała się od przyznania, że bardzo dobrze go pamięta, że mogłaby opisać jego oczy, włosy, uśmiech, nawet odcień jego tweedowego garnituru, a także podać dokładną godzinę, o której się zjawił i o której wyszedł.

Starła się mówić spokojnym głosem i modliła się w duchu, żeby nie rzuciło się na nią dwoje wrzeszczących dzieci, zanim on się rozłączy.

– Słucham pana, panie Winters.

– Chodzi o Petera Glenninga. Słyszałem, że wczoraj miała z nim pani przeprawę.

– Owszem, można tak powiedzieć.

– Drogą Peter. Przy nim Ebenezer Scrooge wychodzi na światłego pracodawcę, realizującego politykę równouprawnienia.

– To pański przyjaciel? – Starła się nie okazywać zdziwienia, ale z trudem przychodziło jej wyobrażenie sobie wyluzowanego Nicka Wintersa, jak wymienia się z Peterem Glenningiem przy kieliszku opowieściami o tych strasznych pracownikach.

– Nie. Tylko znajomy. Ale mam o nim pewne informacje, które, jak sądzę, mogą się pani przydać.

– Intrygujące. Czy każe się okładać brzożowymi witkami i ma słabość do małych chłopców?

Roześmiał się, a Liz odetchnęła z ulgą. Nie cierpiała mężczyzn bez poczucia humoru.

– Nic aż tak fascynującego. Ale wolałbym nie mówić o tym przez telefon. Może zechciałaby pani przyjść do mojego biura, a ja wszystko pani wyłuszczyć?

Z wielu powodów chciała powiedzieć: „Tak. Oczywiście. W każdej chwili. Natychmiast”. Przypomniała sobie jednak, że dziś jest dzień Jamiego, na który czekał cały tydzień. Taką zawarła ze sobą umowę. Miała pracować trzy dni w tygodniu, a reszta należała do Jamiego i Daisy.

– Może być w poniedziałek?

– Jasne. – Ucieszyła się, bo wyczuła w jego głosie cień niezadowolenia. – Mogłaby pani przyjechać do mnie do domu? Old Rectory w Firle. Prowadzimy tam agencję wynajmu wiejskich domków. Na pewno pani trafi. O dziewiątej nie będzie za wcześnie?

– Dziewiąta mi pasuje. Do zobaczenia.

Kiedy odkładała słuchawkę, mignęło jej pytanie, kim są ci „my”. Miała ogromną nadzieję, że nie miał na myśli żony. Tak czy inaczej, niebawem się dowie.

Nie zadając sobie trudu, by choćby rzucić okiem na uszkodzony kafelek – chociaż w normalnych okolicznościach oglądałaby go z bólem serca – podniosła patelnię z podłogi, nucąc pod nosem. Poszukała drewnianej łyżki i zaczęła walić nią w patelnię, żeby wezwać Jamiego i Daisy na dół na śniadanie.

Z radosnym okrzykiem Jamie zbiegł po schodach, przeskakując po dwa stopnie. Wiedział, że ma przed sobą cały dzień z mamą i rzucił się jej w ramiona. Ciemne włosy sterczały mu do góry jak u Tintina.

Podniosła go i zakręciła nim, śmiejąc się.

– Słuchaj, mamó – powiedział nagle tonem burkliwego ojca zwracającego się do głupiutkiej córki. – Dobrze się czujesz? To znaczy nie zaczęłaś popijać ani nic takiego?

– Nie, Jamie. – Liz padła razem z nim na szmaciany dywanik. – Nic z tych rzeczy.

Liz zatrzymała się przed Old Rectory dokładnie o 8.57 i rozejrzała się z zachwytem wokół. Był to po prostu jeden z najpiękniejszych domów, jakie widziała. Ogromny, utrzymany w stylu królowej Anny, o doskonałych proporcjach, z charakterystyczną dla Sussex fasadą z krzemienia i spadzistym dachem krytym złocistą dachówką, otoczony nieco ponad hektarowym, cudownym ogrodem. Każdy szczegół był tu idealny, od ozdobnej kamiennej bramy, rzeźbionej w owoce i zwieńczonej kulą, za którą widziała rabatkę z bylinami, wciąż pełną kolorów, nawet o tej najbardziej surowej porze roku, aż po uroczy biały frontowy portyk. Agencja Dream Cottages musiała świetnie prosperować.

Liz wyciągnęła rękę do dzwonka, nie mogąc się doczekać, aż zobaczy wnętrze domu. Nie tylko po to, żeby się przekonać, czy jest jakaś pani Winters, ale także aby dowiedzieć się czegoś więcej o samym gospodarzu. Półbuty od Gucciego i rolex, które zauważyła na przyjęciu, sugerowały pewne zamiłowanie do szpanerstwa.

Czy tak jak wielu przedsiębiorców nuworyszy zerwał boazerię i zainstalował dwadzieścia dziewięć łazienek oraz garderoby tak wielkie, że wystarczyłyby dla Imeldy Marcos?

Nacisnęła dzwonek. Ze zdziwieniem zobaczyła, że otwiera jej Nick Winters we własnej osobie, w niebieskich džinsach i koszulce polo. Dwa górne guziki były

odpięte, eksponując kilka centymetrów karmelowej opalenizny. Przypominając sobie usilnie w duchu, że nie cierpi facetów, którzy rozpinają dwa górne guziki, weszła energicznym krokiem do holu.

Postawiła teczkę obok dużego marmurowego stołu z nogami zakończonymi złotymi lwimi szponami i rozejrzała się dokoła. Wnętrze było olśniewające.

– Jaki wspaniały dom!

– Dziękuję. – Znów ten kpiący uśmiech. – Napije się pani kawy?

– Z chęcią – odparła Liz, wiedząc, że gdyby zaprosił ją na górę, żeby obejrzała jego kolekcję motyli, zapewne odpowiedziałyby tak samo.

Unikając jego wzroku, poszła za nim do salonu, myśląc, że nie ma nic banalniejszego niż kobieta, która zapomniała dotyk ciała mężczyzny, sądziła nawet, że jej go nie brakuje, ale nagle z absolutną pewnością odkrywa, jak bardzo się myliła.

Salon był ogromny, dominowały w nim okna sięgające od podłogi do sufitu i drzwi balkonowe prowadzące do ogrodu. Słońce wpadało do środka, rozświetlając dwie kanapy obite spłóviałym perkalem. Przy kominku drzemał wiekowy labrador. Wszędzie stały wysłużone antyki, dopełniając atmosferę wysmakowanej wiejskiej rezydencji. Nick Winters był najwyraźniej subtelniejszy, niż sugerował to jego wygląd. Chyba że wystrój wnętrza był dziełem kogoś innego. Ale kogo? Poczula lekki niepokój. Jego żony, oczywiście.

Ale chociaż wszędzie stały świeże kwiaty, Liz nie widziała śladów kobiecej ręki. Żadnych magazynów ani lekkich czytadeł, z którymi kobieta mogłaby zwinąć się w kłębek na kanapie. Żadnych pamiątek ani bibelotów. Pokój był jednocześnie ciepły i dziwnie anonimowy. Może dzięki pewności siebie wynikającej z jego atrakcyjności fizycznej Nick nie musiał utwierdzać się we własnej wartości poprzez znaczenie terenu.

Poczula niemal wdzięczność, kiedy wyszedł po kawę. Dawało jej to szansę, żeby się dyskretnie rozejrzeć. Gdybyż tylko była tu Mel... Mel z zawiązanymi oczami potrafiła wywęszyć kawalera w sali pełnej żonatych mężczyzn. Spędziły kiedyś wesoły wieczór w barze z winem, analizując stan cywilny wszystkich obecnych w lokalu panów. Jakich charakterystycznych znaków kazała jej wtedy szukać Mel?

Obrączka? Przypomniała sobie lewą dłoń Nicka. Bez obrączki. Jednak na braku obrączki, zdaniem Mel, nie można było polegać. Żaden dziwkarz i tak nigdy jej nie nosił. Czy miał świeżo wyprasowaną koszulę? O, to już był zły znak. Chociaż mógł po prostu oznaczać dobrą pralnię albo oddaną sprzątaczkę. A co z kosztownymi symbolami statusu? Takimi jak markowe okulary przeciwsłoneczne, discmany, zabawki, na które nie stać mężczyzn z dziećmi i kredytem hipotecznym?

Para okularów Ray-Ban wyglądała zza wazonu z kwiatami na stoliku z boku.

Nie było źle.

Ale co według Mel było ostatecznym sprawdzianem?

Foteliki samochodowe. Na podjeździe stało bmw z opuszczanym dachem. Czy należało do niego? Jeśli tak, to w porządku. Było nieskazitelnie czyste. Żadnych paczek po chipsach ani dziecięcych fotelików. Aha! wytknęłyby Mel, ci cwańsi chowają je w bagażniku.

Zlustrowała wzrokiem półkę nad kominkiem w poszukiwaniu ślubnych fotografii albo uroczych zdjęć dzieci w ubrankach à la mały lord Fauntleroy. Ale niczego takiego tam nie było. Tylko jeden czarno-biały portret, zrobiony w latach pięćdziesiątych, przedstawiający bardzo elegancką kobietę w sukni od Hartnella. Może to jego matka? Coraz lepiej.

Przypomniała sobie ostatnią barierę, wymienioną przez Mel. Czy używał tego budzącego postrach słowa, kładącego kres niewinnym dziewczęcym marzeniom: „my”? Liz usiłowała odtworzyć w pamięci ich krótką rozmowę. Nie. Na pewno nie mówił „my”. A potem uświadomiła sobie, że użył pierwszej osoby liczby mnogiej przez telefon. Będzie musiała jeszcze trochę powęszyc.

Wrócił z pustymi rękami. Najwyraźniej miał gosposię.

– A gdzie odbywa się cały brudny interes? – zapytała Liz zafascynowana. Nie widziała żadnego szyldu agencji, ale przecież firma krzak składająca się z biurka w pokoju gościnnym nie wystarczyłaby na utrzymanie tego wszystkiego.

– W dawnym spichlerzu za nami. – Wskazał przebudowany budynek. Całą boczną ścianę zajmowało wielkie okno, za którym siedziały przy komputerach rzędy kobiet.

– Dobry Boże! – Liz była zaskoczona rozmachem przedsiębiorstwa. – Ile osób pan zatrudnia?

– Około czterdziestu.

Nic dziwnego, że było go stać na mieszkanie w takim komforcie. Wynajem wiejskich domów musiał być lepszym biznesem, niż jej się wydawało.

Dwie minuty później rozległo się pukanie do drzwi i weszła kobieta w niebieskim nylonowym fartuchu, o matczynym wyglądzie, najwyraźniej gosposia. Przyniosła kawę i domowe ciasteczka.

Nick nalał Liz filiżankę kawy i podał jej talerz z ciastkami, jeszcze ciepłymi, prosto z piekarnika. Powalczyła chwilę ze sobą i przegrała.

– Znakomicie. – Kolejny prowokacyjny uśmiech. – Lubię, jak kobieta je. – Upił łyk kawy i schylił się, żeby podrapać labradora za uszami. – Zwłaszcza jeśli mam zamiar zabrać ją na kolację. Nie znoszę kobiet, które zamawiają najdroższą potrawę w menu i zostawiają ją nietkniętą.

Liz zaniemówiła. Ależ ten facet miał tupet!

W swoim oburzeniu jakoś zapomniała, że przez ostatnie pół godziny zastanawiała się, jak zaciągnąć go do łóżka. Zanim jednak zdążyła obmyślić ciętą

ripostę, on nagle porzucił kokieteryjny ton i wszedł w skórę rzutkiego, rzeczowego biznesmena.

– No dobrze. Porozmawiajmy o panu Peterze Glenningu. Mam informację, która, jak sądzę, naprawdę panią zainteresuje.

Mimo irytacji Liz była zaintrygowana.

– A mianowicie?

– Peter Glenning jest właśnie w trakcie utrzymywanej w ścisłej tajemnicy i delikatnej procedury składania oferty przejęcia Southern Life Insurance. Albo go to zrujnuje, albo uczyni bardzo bogatym człowiekiem. Żeby to przeprowadzić z sukcesem, potrzebny mu zaufany doradca finansowy, który będzie go trzymał za rękę i negocjował warunki.

– No i? Przecież ma chyba dyrektora finansowego?

– W rzeczy samej. Ale nie wie, że jego dyrektor finansowy ma zamiar zmienić barwy klubowe.

– Skoro to wszystko takie tajne, to skąd pan o tym wie?

– Ponieważ – Nick urwał na chwilę i wyszczerzył zęby w uśmiechu – będzie pracował dla mnie.

Liz natychmiast pojęła.

– Wobec tego biedny pan Glenning będzie rozpaczliwie potrzebował nowego dyrektora finansowego, nie mając chwili do stracenia.

– Właśnie. Będzie chciał mianować kogoś maksymalnie szybko i dyskretnie. Ogłoszenia w „Financial Timesie” nie wchodzi w grę. Czy ma pani w WomanPower kogoś odpowiedniego, pani Ward?

Tym razem to Liz się uśmiechnęła. Tak się składało, że miała osobę, która idealnie pasowałaby na to stanowisko. Gdyby tylko potrafiła przekonać Petera Glenninga, żeby wziął pod uwagę kobietę, w dodatku mającą pracować na niepełny etat. Będzie do tego potrzebowała całego swojego kunsztu. Poczula nagłe uderzenie adrenaliny. Uda jej się. Jeśli nie, mogła już się żegnać z WomanPower i zacząć szukać Ginny jakiegoś lokum.

Ale najpierw musiała zadać Nickowi Wintersowi jeszcze jedno pytanie.

– Dlaczego pan mi to wszystko mówi? Przypuszczam, że to bardzo poufne informacje?

– Owszem. No cóż, pani Ward, powody są dwa. Po pierwsze, uważam Petera Glenninga za pompatycznego buca, który mógłby się od kobiety wiele nauczyć.

– A po drugie?

– Po drugie... – Zawiesił głos i twarz rozświetlił mu powoli bezczelny uśmiech, za sprawą którego jej oddech szaleńczo przyspieszył. Miała nadzieję, że tego nie słyhać. – Nie potrafię sobie wyobrazić niczego bardziej ekscytującego niż to, że będzie pani moją dłużniczką.

Liz wiedziała, że powinna być wściekła. Nick Winters zachowywał się

skandalicznie. Ale ze zgrozą stwierdziła, że wcale nie jest wściekła. Przeciwnie, bardzo jej się to podoba. Starając się przyjąć rzeczowy ton, wstała i podała mu rękę.

– Do widzenia, pani Ward. Mam nadzieję, że będziemy się częściej widywać.

– Do widzenia, panie Winters. – Przytrzymał jej dłoń o sekundę za długo, a ona poczuła nagłą, obezwładniającą falę pożądania. Po raz pierwszy spojrzała mu prosto w oczy i powoli się uśmiechnęła. Nawet jeśli stosował te same oklepane sztuczki wobec co drugiej kobiety w Sussex, nie miało to dla niej znaczenia. – Ja również.

W chwili, kiedy Nick zaczął otwierać drzwi wejściowe, ze spichlerza wyszedł siwowłosy mężczyzna ubrany w czerwony kaszmirowy kardigan i stare żeglarskie spodnie. Na stopach miał czarne espadryle.

Nick odwrócił się do niego z uśmiechem.

– Henry. Pozwól, że cię przedstawię. To jest Elizabeth Ward, która na swoje nieszczęście rozkręca firmę w Lewes. Henry Carlisle, mój wspólnik. Mieszka w Dower House. To ten dom, który minie pani po drodze.

Liz spojrzała na starszego mężczyznę z ciekawością. To była pierwsza wzmianka o partnerze biznesowym Nicka Wintersa.

– Cała praca spada na barki Henry’ego... – zaczął Nick.

– ...dzięki czemu Nick może bez przeszkód czarować klientów – dokończył jego wspólnik z uśmiechem.

„Założę się, że czaruje, ile wlezie” – pomyślała Liz, natychmiast trzeźwiejąc po uderzającej do głowy mieszance flirtu i aluzji. Nieważne, jak dużą będzie czuła pokusę, nie miała zamiaru dać się złapać na ewidentny czar Nicka Wintersa.

– Do widzenia, panie Winters.

– Proszę mi mówić Nick. Nie zapomniała pani czegoś?

Odruchowo spojrzała w dół, na swoją teczkę. Trzymała ją w ręku.

– Nie wydaje mi się.

– Sądziłem, że chce się pani rozejrzeć po Dream Cottages.

Liz czuła, że już jej wystarczy dominującej, zniewalającej fizycznej obecności Nicka Wintersa jak na jeden dzień.

– Dziękuję, panie Wint... Nick. Ale obawiam się, że muszę pędzić na spotkanie.

– Zatem może następnym razem. Powodzenia z Peterem Glenningiem.

Nagle poczuła, że nie okazuje należytej wdzięczności za pomoc, która niewątpliwie może doprowadzić do tak im potrzebnego przełomu. Uśmiechnęła się.

– Wielkie dzięki.

– Zadzwoń, żeby dowiedzieć się, jak poszło.

Idąc do samochodu, Liz miała pewność, że rzeczywiście zadzwoni. A ta

świadomość budziła w niej mieszane uczucia. Był najatrakcyjniejszym mężczyzną, jakiego poznała od lat. A jednak miał w sobie coś, co nie do końca potrafiła określić, a co budziło jej niepokój.

– Pani Ward, czym mogę pani służyć tym razem? – Peter Glenning spojrział wymownie na zegarek. – Mam następne spotkanie za piętnaście minut. Zgodziłem się z panią zobaczyć tylko dlatego, że siedziała pani przed moim gabinetem i nie chciała się ruszyć, jak powiedziała mi moja sekretarka, przez ponad dwie godziny. Nie chciałbym robić sceny, ale naprawdę będzie pani musiała wyjść.

– Dobrze. – Liz nie miała zamiaru pozwolić, żeby ją zastraszył. – Piętnaście minut w zupełności wystarczy.

Usiadła i energicznym ruchem otworzyła teczkę.

– Chciałabym, żeby spojrzął pan na jedno CV.

– Och, doprawdy, pani Ward, już to przerabialiśmy. Nie potrzebuję żadnej z pani klientek wśród mojego personelu.

– To dość szczególna klientka. Nazywa się Helen Stevens i do niedawna kierowała działem fuzji i przejęć First Intercontinental. Przeszła tam z North American Life, czyli, jak pan wie, jednej z najlepiej prosperujących firm ubezpieczeniowych na świecie. Helen przeprowadziła First Intercontinental przez dwa duże przejęcia i jedną fuzję, a także zwiększyła zyski banku o siedem milionów dolarów w ciągu niecałych trzech lat.

Wręczyła mu CV. Glenning patrzył na nią osłupiały.

– Fascynujące. Ale co to ma wspólnego ze mną?

– Helen chciała zostać pana dyrektorem finansowym.

Glenning miał taką minę, jakby nie wierzył własnym uszom.

Liz postanowiła pociągnąć sprawę do końca, zanim straci zimną krew.

– Jakie jest wynagrodzenie na tym stanowisku?

– Trzydzieści tysięcy. – Glenning wyglądał, jakby chciał ugryźć się w język, zirytowany, że zdradził tę informację.

Liz się skrzywiła.

– W First Intercontinental zarabiała osiemdziesiąt. Ale w końcu tutaj pracowałaby tylko trzy dni w tygodniu.

Niedowierzenie Petera Glenninga zmieniło się w sarkastyczny śmiech.

– Proponuje pani, żeby zatrudnił tę kobietę na stanowisku dyrektora finansowego z pensją trzydzieści tysięcy funtów za trzydniowy tydzień pracy?

– Oczywiście ze zwyczajowymi dodatkami. Prywatna opieka zdrowotna, samochód służbowy, sześć tygodni urlopu, bezpłatne ubezpieczenie na życie. Prowadzi pan program akcjonariatu pracowniczego?

– Pani Ward, czy pani zupełnie zwariowała? Ja już mam dyrektora finansowego.

Liz uśmiechnęła się triumfalnie.

– Nie, panie Glenning, obawiam się, że nie ma pan. Jak sędzę, przekona się pan wkrótce, że osoba obecnie zajmująca to stanowisko zamierza złożyć wypowiedzenie. Poważny nietakt. W dodatku kiedy chce pan przejść Southern Life Insurance.

Peter Glenning wypluł cygaro. Jak z satysfakcją zauważyła Liz, jego nos przybrał kolor przejrzałego pomidora, a żyłka na skroni zaczęła mu lekko pulsować.

– Czy to jakiś kolejny idiotyczny chwyt reklamowy?

– Skądże. Dlaczego go pan nie zapyta?

Bez słowa zaczął wciskać raz po raz guzik na biurku. Za każdym przyciśnięciem rozlegał się krótki dźwięk. Brzmiało to tak, jakby po gabinecie latała rozzłoszczona osa.

– Veronica. Daj mi tu Jacka Godstone’a. Powiedz mu, że chcę go natychmiast widzieć. Natychmiast!

Przez dwie czy trzy minuty napięcie było nie do zniesienia. Liz starała się nie patrzeć, zafascynowana, na pulsującą żyłkę na czole Glenninga, odmierzającą sekundy, aż wreszcie rozległo się pukanie do drzwi i do środka wszedł pewny siebie trzydziestoletni mężczyzna.

– Chciał się pan ze mną widzieć, panie Glenning.

– W rzeczy samej, Jack. – Glenningowi oczy zwężyły się w szparki i przypominał teraz wściekłego knura. – Właśnie zostałem poinformowany o nieprzyjemnej plotce, jakobyś zamierzał niebawem nas opuścić, więc pomyślałem, że dam ci szansę, żebyś mnie uspokoił.

– Ach. – Jack Godstone wyglądał na zmieszanego, ale nie przerażonego, co Liz stwierdziła z ulgą. – No cóż. Właśnie miałem poprosić pańską sekretarkę, żeby umówiła mnie na spotkanie dziś po południu, bo chciałem powiedzieć to panu osobiście.

Liz wydawało się, że Glenning zaraz eksploduje. Popękane naczynka na jego twarzy napęły się krwią i zmieniły odcień cery z niekorzystnej czerwieni na żywy fiolet. Liz miała nadzieję, że pan prezes nie dostanie zawału, bo wtedy wszystkie jej starania poszłyby na marne.

Glenning usiadł ciężko i spróbował wykrzesać z siebie autorytatywny ton.

– W takim razie natychmiast zabierz swoje rzeczy z biurka. Jim z ochrony przyjdzie za pół godziny, żeby wyprowadzić cię z budynku.

Liz odczekała może trzydzieści sekund, zanim ponownie podała mu CV.

– Czy teraz zechciałby pan to przeczytać? Gdyby Helen zaczęła pracę w poniedziałek, nikt by się nie zorientował, mogłaby po prostu powiedzieć, że cały czas szykowałą się do przejścia tej transakcji. Z jej doświadczeniem przeszłoby to gładko, nikt by okiem nie mrugnął. W przeciwnym razie będzie pan musiał poszukać kogoś odpowiedniego i wieści się rozejdą. Może nawet pojawi się artykuł

w lokalnej gazecie... – Uśmiechnęła się i zawiesiła głos.

– Pani Ward, czy pani mi grozi?

– Panie Glenning. Gdzieżbym śmiała.

– Owszem, pani Ward, jestem przekonany, że śmiałyby pani. Kiedy mogę się spotkać z tą pani finansową fachurą?

Liz usiłowała stłumić uśmiech i nie przybierać zbyt triumfalnego tonu.

– Tak się składa, panie Glenning, że czeka na parkingu.

– Za WomanPower! Pół etatu, pełny profesjonalizm!

Korek wystrzelił z butelki szampana z taką siłą, że trunek ochlapał arcydzieło brata Dawn na ścianie, ale żadna z nich nie zwróciła na to uwagi. Peter Glenning zgodził się przyjąć Helen Stevens na trzymiesięczny okres próbny, a WomanPower wreszcie wyszło na prostą.

Dawn zaczęła tańczyć kankana na stosie arkuszy kalkulacyjnych, a Ginny zonglowała dwoma przybornikami na biurko, kiedy dyskutowały, jak wysokie honorarium pobrać. Najwyraźniej ciężka praca nie mieściła się w planach na to popołudnie, ale była już szesnasta w piątek, a one mogły wreszcie przyznać, jak bardzo potrzebowały takiego sukcesu, jak blisko były utraty ducha.

W środku tego chaosu zadzwonił telefon. Liz podniosła słuchawkę. Kiedy zorientowała się, kto mówi, nieświadomie oblała się lekkim rumieńcem i odwróciła tyłem do towarzystwa, zatykając sobie ucho, żeby odgrodzić się od zgiełku.

– Dzień dobry. Mówi Nick Winters. – Jakby Liz miała jakieś wątpliwości. – Właśnie usłyszałem dobrą nowinę. Może miałabyś ochotę na kolację, żeby to uczcić?

Liz ze zdziwieniem poczuła, że się waha. Uświadomiła sobie, że wystraszyła ją siła jej reakcji na niego. Co jeśli pójdą na kolację, nawet trafią do łóżka, a potem nigdy go już nie zobaczy? Była za stara, żeby zachowywać się jak nastolatka, bez przerwy czekać, aż jakiś facet zadzwoni, tak jak Mel. Była zadowolona ze swojej pracy, domu i dzieci. Miała wystarczająco dużo w życiu bez ryzykowania, że znów zostanie zraniona. A z Nicka wyraźnie był niezły numer.

– Nick, przepraszam, jestem dosyć zmęczona...

Urwała na chwilę, bo Ginny wręczyła jej duży karton z nabazgraną flamastrem wiadomością.

„ZGÓDŹ SIĘ – głosił napis – BO ZASTRZELE CI DZIECI”.

– To znaczy, chciałam powiedzieć – próbowała kopnąć Ginny, która jednak przytomnie usunęła się poza jej zasięg – że jestem dosyć zmęczona, więc dziś wieczorem odpada, ale może pasowałoby ci jutro?

Odkładając z uśmiechem słuchawkę przy aplauzie Ginny i Dawn, Liz uświadomiła sobie, że po raz pierwszy od pięciu miesięcy przez cały dzień ani razu nie pomyślała o Davidzie.

Wyjmując z szafy czerwoną jedwabną sukienkę, którą wybrała na wieczór,

Liz powiedziała sobie stanowczo, że dość tego zamartwiania się. Może Nick był właśnie tym, czego jej trzeba.

Kiedy jednak zaczęła się szykować, po raz pierwszy zdała sobie sprawę, jak bardzo rozstanie z Davidem podkopało jej poczucie atrakcyjności. Usiłowała przekonać samą siebie, że romans Davida z Britt był skutkiem ich szalonego trybu życia, ale w głębi duszy wiedziała, że chodziło o coś więcej. Nieprzypadkowo Britt była od niej szczuplejsza i bardziej elegancka. Poza tym była blondynką. Liz musiała przyznać przed samą sobą, że David zostawił ją po dwunastu latach małżeństwa dla atrakcyjniejszej kobiety.

A teraz to ona wydała się komuś pociągająca. I to najbardziej zachwycającemu mężczyźnie, jakiego w życiu poznała. Najwyższy czas, żeby pozwoliła mu, by poprawił jej samopoczucie i samoocenę.

Przerwała na chwilę rozmyślenia, starając się zdecydować, którą bieliznę włożyć: seksowną czy praktyczną? Uśmiechając się do siebie, wyjęła z szuflady jedwabne figi w kolorze kości słoniowej, których jeszcze nigdy na sobie nie miała, i przyłożyła je do policzka. Chociaż w pokoju było zimno, jedwab był ciepły w dotyku i pachniał delikatnie lawendą. To połączenie sprzeczności – tu zmysłowość jedwabiu, tam klasyczność lawendy – robiło dziwnie erotyczne wrażenie.

Nadal się uśmiechając, włożyła figi. Ale kiedy obejrzała się w wysokim lustrze, poczuła, że cała przyjemność znika. Kobieta patrząca na nią z odbicia wydała jej się po prostu groteskowa. Trzydziestosześcioletnia matka dwójki dzieci, która powinna zrzucić kilka kilogramów, wbita w jedwabne majtki, odrobinę przyciasne.

Zerwała je z siebie i wygrzebała z szuflady zwykłe bawełniane. Niedoczekanie, żeby się wygłupiała z jedwabnymi majtkami. Dlaczego, na litość boską, dała się na to namówić Ginny? Nie cierpiała tego zamartwiania się, czy aby nie ma zwiotczałych ud i zbyt wyraźnej oponki. Już to przerabiała w wieku osiemnastu lat i wtedy też było to straszne.

Nagle uświadomiła sobie prawdę. Straciła odwagę. Przez dwanaście lat była wierna jednemu mężczyźnie i sama myśl o zbliżeniu z innym, zwłaszcza tak pięknym jak Nick Winters, nagle wydała jej się nie tyle podniecająca, ile przerażająca. Pewnie był przyzwyczajony do szczupłych dwudziestolatek o skórze jak jedwab i pośladkach jędrnych niczym chrupiące jesienne jabłka, w które aż chce się wgryźć z apetytem, a nie do starych spadów wepchniętych w majtki midi kupione w Marks & Spencer.

Usiadła na łóżku, poddając się fali wspomnień. Seks i singielka. Od pierwszych ukradkowych macanek przez nieprzystojne przeniesienie się z kanapy do sypialni po wątpliwości, które cię ogarniały, gdy poczułaś ten jedyne w swoim rodzaju aromat stęchłego powietrza, starych skarpet i esencji skotłowanej pościeli.

A najgorsze jeszcze przed tobą. Każdy mężczyzna, kiedy wreszcie zaciągnął cię do łóżka, koniecznie chciał iść na całość i przekraczać bariery, nawet jeśli znalazł się od pięciu minut, i robić rzeczy tak szokująco intymne, że liczyłaś sekundy, aż schowa ten język, a ty będziesz mogła podciągnąć kołdrę i zadzwonić po taksówkę.

A jeszcze czekał cię następny dzień, w którym, chociaż nie chciałaś go już więcej widzieć, jednocześnie byłaś przerażona, że nie zadzwoni, bo to by oznaczało, że matka miała rację. Do dupy z rewolucją seksualną. Chodziło mu tylko o jedno! Zostałaś wykorzystana i wyrzucona jak stara rękawiczka. I to on rzucił cię pierwszy, zanim ty zdążyłaś to zrobić, niech go szlag.

Jak mogła marzyć, żeby znów przez to wszystko przechodzić? Poszukała w notesie numeru Nicka, przy okazji zerkając na zegarek. Siódma trzydzieści! On tu będzie za dziesięć minut, a ona nawet jeszcze się nie ubrała.

Zapomniała o wszystkich wątpliwościach, starając się nie zrobić sobie dziury w ostatniej parze rajstop, wygładziła bawełniane majtki i założyła wygodny biały biustonosz. Wciągnęła przez głowę jedwabną sukienkę, do tego obcasy i odrobina czerwonej szminki. Znów przejrzała się w lustrze.

Czerwony jedwab opinał jej kształty, podkreślał szczupłość talii i krągłość ciężkich piersi. A także kamuflował wypukłość zbyt dużego brzucha oraz nieco zbyt obfite uda. Uśmiechnęła się. A niech tam! Jak powiedziała kiedyś Joan Collins – nieźle jak na starą babę!

Kiedy tak czekała na dzwonek do drzwi, przypominała sobie drugą stronę medalu. To cudowne podenerwowanie. Emocje towarzyszące pierwszej randce, kiedy wszystko może się zdarzyć. Zbyt poważnie to traktowała. Jeśli nie będzie chciała iść z nim do łóżka, przecież Nick nie zaciągnie jej tam za włosy, wrzeszczącej i wierzgającej, i nie zbałamuci. W końcu, jak jej bez przerwy powtarzano w szkole prowadzonej przez siostry zakonne, wszystko zależało od niej. Będzie po prostu musiała pilnować swojego wianka.

A przypominając sobie patrzące prowokacyjnie zielone oczy Nicka i jego gładką, opaloną skórę, kuszącą jak jabłko w polewie toffi na patyku, miała tylko nadzieję, że nie będzie to zbyt trudne.

Kiedy wreszcie rozległ się dzwonek do drzwi, podskoczyła i zbiegła na dół, zanim Jamie zdąży wstać z łóżka i stanąć na szczycie schodów, żeby zobaczyć, kto to.

Potrzebowała odrobiny dobrej zabawy. A Nick Winters był akurat facetem, który mógł jej to zapewnić.

Rozdział 29

– A co z panem Wardem? Jesteście rozwiedzeni?

Siedzieli przy stoliku koło okna, wychodzącego na strumyk przy młynie wodnym, przebudowanym na piękną restaurację. Stała niecałe pięć kilometrów od jej domu, ale Liz nigdy o niej nie słyszała. Kolacje w knajpach nie były ostatnio częścią jej życia.

Podniosła swój kieliszek z winem. Nick najwyraźniej nie lubił owijać w bawełnę. A jednak w pewien sposób ta bezpośredniość się jej podobała. Ułatwiała sprawę.

– Jeszcze nie – odpowiedziała.

Spojrzał na nią zdziwiony.

– Dlaczego? – zapytał.

Przez chwilę zastanawiała się, czy nie powiedzieć mu o Britt, ale nie chciała wyjść na ofiarę, zdradzoną żonę, która będzie wdzięczna za każdą rzuconą jej kość.

– David przeprowadził się na północ. Żadne z nas nie ma nikogo innego, więc jakoś po prostu nie było o tym mowy.

Przypomniała sobie Suzan, która wkroczyła do jej salonu obładowana prezentami, i zadała sobie pytanie, czy to, co mówi Nickowi, jest prawdą. Jeśli wtedy nie byli kochankami, to teraz może już są. Dlaczego myślała o Davidze, na litość boską, kiedy siedziała naprzeciwko najbardziej szalowego faceta, jakiego poznała od lat?

– Ale nie macie zamiaru do siebie wrócić? – Zauważyła, że zabrzmiało to bardziej jak stwierdzenie niż pytanie.

– Na pewno nie.

– To dobrze. – Uniósł kieliszek w geście toastu. – Lubię wiedzieć, na czym stoję.

– A na czym stoisz? – Zdziwiła się swoją szczerością. Bezpośredniość wyraźnie była zaraźliwa.

Zielone oczy przez chwilę patrzyły prosto na nią. Były hipnotyzujące, świetliste, przypominały jej jakiś kamień półszlachetny, a takie lubiła najbardziej. Diamenty i szmaragdy kojarzyły jej się z bogatymi staruszkami. Opale, turkusy i kamienie księżycowe były bliższe prawdziwemu życiu.

– U progu czegoś wyjątkowego, mam nadzieję. A ty?

Już miała się roześmiać i powiedzieć: „Założę się, że mówisz to wszystkim dziewczynom”, ale coś ją powstrzymało, jakieś przecucie, że bynajmniej wszystkim tego nie mówił. Uśmiechnęła się delikatnie; rozumiała powagę chwili, ale jednocześnie czuła, że sprawy toczą się trochę za szybko.

– Ja lubię wybadać teren, zanim się zdecyduję.

– Bardzo rozsądnie. – Roześmiał się i podparł twarz dłonią, kładąc łokieć na stole. – Ja natomiast zawsze byłem wyjątkowo dobry z geografii i od razu wiem, że odkryłem moją Amerykę.

Liz wstrzymała oddech. Czy zrobił świadomą aluzję do jej ulubionego wiersza, mistrzowskiego erotyku Johna Donne’a, czy to tylko czysty przypadek, że użył podobnego sformułowania?

Nagle wróciły do niej wspomnienia jej nastoletniej namiętności do Donne’a. Podczas gdy jej koleżanki wdychały do Micka Jaggera albo Jacka Nicholsona, jej idolem, jej marzeniem był Donne. A kiedy samotna i zaintrygowana intensywnym przebudzeniem swojego młodego ciała marzyła o mężczyźnie, który wprowadziłby ją w zakazany świat cielesnych rozkoszy, tym mężczyzną był Donne.

Od razu przypomniały jej się wersy *Na idącą do łóżka*, dziś tak samo przejmujące i porywające jak wtedy, gdy zostały napisane ponad trzysta lat temu.

Pozwól dłoniom, niech błędzą jako dwaj włóczędzy

Z tyłu, z przodu, powyżej, poniżej, pomiędzy.

O, Ameryko moja! Mój ładzie nieznany,

Oby zawsze przeze mnie tylko zaludniany^[10].

To musiał być przypadek. Nic nie wskazywało na to, by Nick Winters znał się na poezji. Wyglądał, jakby więcej czasu spędził na boisku niż w bibliotece. Podniosła wzrok i zobaczyła utkwione w niej oczy, które domagały się, by odwzajemniła spojrzenie.

Naraz się uśmiechnął. Powolnym, leniwym uśmiechem, któremu nie sposób się było oprzeć i który od razu rozładował pretensjonalność tej chwili.

Też się uśmiechnęła. Chyba oszalała, żeby wyciągać tak daleko idące wnioski z tej rozmowy. Nick był atrakcyjny i czarujący, ale żaden z niego intelektualista.

Nick wznosił kieliszek.

– Za Johna Donne’a – powiedział, uśmiechając się do niej przez blask bijący od ciemnoczerwonego wina, jakby czytał jej w myślach – największego angielskiego poetę.

Dla Liz był to prawdziwy cud. Czują, że na nowo wstąpiło w nią życie. Nick Winters nie przypominał żadnego z innych znanych jej mężczyzn. Jej wychowaniu przyświecało powiedzenie angielskich wyższych sfer: „Nigdy nie ufaj mężczyźnie, który jest zbyt przystojny lub zbyt dobrze ubrany”, a on był jego żywym zaprzeczeniem.

Z żadnym facetem nigdy nie rozmawiała tak swobodnie – wydawał się nią niesłychanie zainteresowany, chciał wiedzieć wszystko o jej życiu od dnia, w którym się urodziła, w najdrobniejszych szczegółach. Przyzwyczajona do zdecydowanych poglądów i głębokich namietności Davida nie mogła uwierzyć, że poznała tak wyrozumiałego mężczyznę. Zastanawiała się, co by go mogło zszokować, czy choćby wzbudzić jego dezaprobatę, i nic nie wymyśliła. Żyj i pozwól żyć, taką wyznawał filozofię. Po prostu brał ludzi takimi, jakimi byli. Zwłaszcza kobiety.

Co do tego, że brał je często, nie miała złudzeń. Wszędzie, dokąd poszli, kobiety dosłownie się na niego rzucały. A jednak kiedy podjęła jedną z najtrudniejszych decyzji w swoim życiu i tej pierwszej nocy odmówiła pójścia z nim do łóżka, przyjął to ze zdumiewającym spokojem i nawet nie próbował jej przekonać, by zmieniła zdanie.

Chociaż było to irracjonalne, poczuła się niemal obrażona. Potem jednak zdała sobie sprawę, że jest wdzięczna, iż to jej zostawił ustalenie tempa. Mając świeżo w pamięci bolesny błąd, nie śmiała komplikować sobie zdolności oceny sytuacji seksem, zwłaszcza takim, jaki, była pewna, zaoferuje jej Nick. Wiedziała, że kiedy tylko wskoczy z nim do tego głębokiego, mętnego basenu, nie będzie już chciała wypłynąć, by zaczerpnąć powietrza. Musiała mieć co do niego pewność, zanim w ogóle stanie na trampolinie.

Kiedy nadejdzie właściwy moment, będzie wiedziała.

Zamiast się kochać, śmiali się i barszkowali, ciesząc się jak dzieci. Nick planował różne romantyczne niespodzianki, przysyłał jej po jednej czerwonej róży, porywał na śniadania na plaży z piknikowym koszem i szampanem, a od czasu do czasu znajdowała gdzieś w domu jakiś drobiazg zostawiony przez Nicka, żeby jej o nim przypominał. Był najbardziej romantycznym mężczyzną, jakiego spotkała. Po kilku tygodniach dziwiła się, jak w ogóle, odkąd wyniosła się z Londynu, mogła się obyć bez niego, bez jego kpin i wspólnego śmiechu.

Mel nie musiała jej mówić, że zaczęła się zakochiwać.

– No to opowiadaj, jaki on jest? Tak pięknie wyglądasz, że powinnaś go sprzedawać w butelkach! Zbiłabyś fortunę!

Mel patrzyła na przyjaciółkę z podziwem. Był początek maja, siedziały w ogrodzie. Przez Anglię przetaczała się pierwsza fala upałów, więc na trawniku stał już dmuchany basen, a Daisy piszczała z zachwytem, kiedy Jamie psikał w nią z pistoletu na wodę.

Liz jeszcze nigdy nie wyglądała tak dobrze. Włosy jej urosły i opadały na ramiona, kojarząc się Mel z Marią Schneider w *Ostatnim tangu w Paryżu*, wzorem dla miliona kobiet, które posłusznie zanosily jej zdjęcie do fryzjera i prosiły, żeby je przemienił w uwodzicielską seksbombę, choćby nawet materiał wyjściowy był mało obiecujący.

Skóra Liz była opalona i usiana piegami. Pod jedwabną bluzką khaki na cienkich ramiączkach nie miała stanika. Wyglądała szałowo. Jakby rozświetlało ją wewnętrzne światło, które ktoś zapalił. A Mel nie mogła się doczekać, żeby poznać mężczyznę, którego dziełem to było. Przez chwilę jej myśli pobiegły do Gartha – czy ona też by tak wyglądała, gdyby razem mieszkali? Na razie posłuchała rady wróżki i przestała się za nim uganiać – no, prawie. Jak dotąd nie spowodowało to żadnej zmiany. Westchnęła.

– No, dalej, powiedz cioci Mel. Na czym polega jego sekret? Namaszcza cię olejkiem migdałowym i zajeżdża prawie na śmierć? Jest najlepszym kochankiem, jakiego miałaś?

Liz się zarumieniła. Prawda o wiele bardziej zszokuje Mel.

– No, właściwie to, hm...

– Hm... co? Hm... tak czy hm... nie?

– Hm... nie wiem. Właściwie to nigdy się nie kochaliśmy.

Po raz pierwszy od miesiący Mel zabrakło słów. Po dłuższej chwili powtórzyła słabym głosem, jakby chciała się upewnić, czy dobrze usłyszała:

– Właściwie to nigdy się nie kochaliście? Na litość boską, dlaczego?

– Chyba po Davidzie po prostu się bałam. Nie chciałam się śpieszyć. Nie chciałam dać się zranić, ani zranić Jamiego i Daisy. Chciałam mieć najpierw pewność.

Do Mel stopniowo docierała prawda.

– Chcesz powiedzieć, że wyglądasz tak dobrze bez seksu? – Uszczypnęła się w cellulit na udzie. – Może właśnie tu popełniam błąd.

Liz uśmiechnęła się i pochyliła do przodu, czując ciepło słońca na odsłoniętych ramionach.

– Nie chodzi tylko o Nicka. O niego też, oczywiście, ale bardziej o całokształt. Dzieci się zaaklimatyzowały. WomanPower dobrze sobie radzi. Uwielbiam tę okolicę. Jestem szczęśliwa. Po raz pierwszy od lat jestem naprawdę szczęśliwa.

– A jakież to magiczne zaklęcie, Kopciuszku, jeśli mogę zapytać, sprowadziło cię od milionera do pucybuta i uszczęśliwiło nawet bez udziału fiuta księcia z bajki?

– Właściwie to proste. A może bardzo skomplikowane. Po prostu praca już mną nie rządzi, to wszystko. No dobra, niepracowanie w ogóle było błędem. Psioczyłam na dzieci i czułam się jak w klatce. Ale teraz, kiedy przez pół tygodnia mam WomanPower, a przez resztę dzieciaki, to czysta błogość! Praca jest częścią mojego życia, ale nie całym życiem!

Mel słyszała radość w głosie przyjaciółki i aż ją uściśnęła. Tylko Liz potrafiła mówić tak szczerze o swoim szczęściu, bez triumfalnego tonu. Ten Nick musi być niezłym gościem.

Patrzyła, jak jej przyjaciółka schyla się i sadza sobie Daisy na kolanie. Nie mogła się nadziwić, że to ta sama, zestresowana kobieta z podkrążonymi oczami, którą była niecały rok temu. Teraz była spokojna i rozluźniona, nigdy nie wyglądała piękniej. A z mózgu bynajmniej nie zrobił jej się kisielek. Współprowadziła firmę.

Mel pomyślała o swoich robiących karierę koleżankach, zmęczonych i z wiecznym poczuciem winy, jeśli miały dzieci, albo ogłuszonych tykaniem biologicznego zegara, jeśli odkładały macierzyństwo, i zastanawiała się, nie po raz pierwszy, czy Liz jednak nie ma racji. Była to herezja, ale równie dobrze mogło to być prawdą.

Niespodziewanie pomyślała o Britt. Dotarło do niej, że wyrzekła się mężczyzn i rzuciła w wir pracy, żeby zapomnieć o stracie dziecka. Biedna Britt. Stereotypowa pracoholiczka.

Daisy ciągnęła mamę za włosy, tak że Liz głośno pisnęła. Przewróciła się razem z małą na trawę; matka z córką utworzyły obrazek swobodnego, naturalnego szczęścia. Mel uśmiechnęła się i szturchnęła ją lekko.

– Pamiętasz, co mówiłaś, że nie jesteś gotowa na pójście do łóżka?

– Tak.

– Posłuchaj ekspertki, Lizzie, mnie wydajesz się zupełnie gotowa.

– Spędziłam weekend z moją przyjaciółką Liz Ward, wiecie, tą, która rzuciła karierę w telewizji dla macierzyństwa, i myślę, że jednak coś jest na rzeczy.

Mel potoczyła wzrokiem po dwudziestu akolitykach „Feminy”, zebranych w sali posiedzeń na cotygodniowym kolegium redakcyjnym. Wiedziała, że spała ją za to na stosie, ale zawsze uważała się za prawdziwą Joannę D’Arc.

Unikała jednak patrzenia w oczy Olivii. Nie chciała, żeby mleko w kawie się zwarzyło, zanim będzie miała okazję ją wypić.

– Zanim się złapiecie za głowy, posłuchajcie przez sekundę. Liz mówi coś nowego. Nie twierdzi, że wszystkie kobiety powinny znów zostać kurami domowymi. Tylko że kobiety chcą równowagi w życiu, a nie sukcesu za wszelką cenę. A kiedy tak patrzę tu na nas wszystkie, myślę, że może mieć rację!

Zwróciła się do koleżanki siedzącej po jej prawej stronie.

– Dlaczego nie zdecydowałaś się na dzieci, Marie? Bałaś się, że nie dotrzesz na szczyt, jeśli je urodzisz? A ty w ogóle widzisz swoje, Jane? Ile niań miał Jack, Elaine, dziewięć czy dziesięć? Chcę tylko powiedzieć, czy jesteśmy pewne, że znalazłyśmy właściwą odpowiedź?

Wracając od Liz, przez całą drogę Mel szlifowała pewien pomysł. A teraz przyszła pora, by go obwieścić.

– Myślę, że „Femina” powinna poświęcić temu tematowi cały wrześniowy numer. Świetnie by to wyglądało na okładce. *SUKCES: KOBIETY LICZĄ KOSZTY*. Może to brzmi zbyt negatywnie. W takim razie: *RÓWNOWAGA*:

SŁOWO KLUCZ LAT DZIEWIĘĆDZIESIĄTYCH. To by była bomba! Mogłybyśmy zrobić ankietę, dowiedzieć się, czego kobiety naprawdę chcą. Wywołalibyśmy prawdziwe poruszenie!

Mel dała się ponieść entuzjazmowi i nie zauważyła, że wszystkie twarze zwróciły się w stronę szczytu stołu.

Olivia siedziała tam zeszywniała. Mel złamała dwa podstawowe przykazania „Feminy”. Zakwestionowała jej filozofię i zlekceważyła jej założycielkę. Nawet jeśli zespół ją popierał, nikt nie odważył się powiedzieć tego głośno.

Na ułamek sekundy zapadła całkowita cisza. A potem na drugim końcu stołu ktoś zaczął bić brawo. Stopniowo dołączyły się dwie czy trzy osoby, aż w końcu klaskali prawie wszyscy.

Mel pochyliła się do przodu, żeby zobaczyć, kto zaczął.

Jej serce fiknęło kozła i nawet zdołała zapomnieć, że ten aplauz prawdopodobnie przypieczętował koniec jej kariery w „Feminie”. Na drugim końcu stołu w pogniecionych niebieskich džinsach i brzoskwińowej bluzie, z twarzą rozświetloną ciepłym, pełnym otuchy uśmiechem, siedział Garth.

Na dworze było tak gorąco, że Liz postanowiła urządzić piknik na trawniku. Daisy już radośnie baraszkowała na kocu z Nickiem, ale Jamie, jak zwykle, trzymał się na dystans. Przyglądała mu się przez chwilę z troską. Nie lubił Nicka. Właściwie było to zrozumiałe. Mimo ich wysiłków, by jakoś złagodzić cios, widział w Nicku zagrożenie, faceta, który miał mu zastąpić ojca.

Ale czy rzeczywiście? Liz zorientowała się, że zaczęła nieświadomie oceniać Nicka jako kandydata na męża. Był bardzo fajnym, zabawnym i bezproblemowym człowiekiem. Wydawało się, że nic nie jest w stanie osłabić jego niewymuszonego wdzięku. Czasem jednak zastanawiała się z lekkim ukłuciem niepokoju, czy to dlatego, że niczego nie brał poważnie, nawet swojej firmy. Całą czarną robotę i podejmowanie decyzji zostawiał Henry’emu, sam zaś poświęcał się temu, co według niego było w życiu naprawdę ważne, na przykład wyborowi lokalu na kolację.

Czasami zadawała sobie pytanie, dlaczego Henry to znosi. Ale Henry w ogóle był kochany. Jednym z najprzyjemniejszych skutków ubocznych spotkania Nicka było poznanie Henry’ego. Życzliwego, niezawodnego, serdecznego Henry’ego, który zawsze traktował jej dzieci jak swoje wnuki. Szkoda, że nigdy się nie ożenił i nie miał własnych.

Rozpakowując piknikowy koszyk, nagle uświadomiła sobie, w jak idiotycznym położeniu się znalazła. Zastanawiała się, czy kupić warzywniak, choć jeszcze nie spróbowała owoców.

Popatrzyła na smukłe, opalone ciało Nicka, na lśniące ciemne włosy, opadające na jego niezwykle zielone oczy i wiedziała, że Mel miała rację.

Była gotowa.

Nagle zupełnie straciła apetyt. Na jedzenie. Zobaczyła, że chociaż bawił się z Daisy, przyglądał się jej i odgadł, o czym myślała.

Kiedy Daisy podskoczyła i odbiegła w poszukiwaniu Jamiego, uśmiechnął się do niej, wiedząc, że czas wreszcie nadszedł.

– Może przyjdiesz do mnie w sobotę – powiedział od niechcienia. – Ugotuję kolację – urwał i popatrzył na nią z nagłą powagą. – I mogłabyś zostać na noc.

Pochylił się w jej stronę, wiedząc, że nie będzie chciała, żeby całował ją przy dzieciach, i utkwiał w niej tak prowokujące spojrzenie, że poczuła wyraźne, choć zapomniane ukłucie pożądania.

Kiedy kilka sekund później zadzwonił telefon, poczuła niemal ulgę, że może uciec od tego nieznośnego napięcia, i pobiegła do domu odebrać. Zamarła, kiedy usłyszała, kto mówi.

– Cześć, Liz, tu David. Znalazł się chętny na Holland Park. Masz chwilę, żeby o tym porozmawiać?

Liz usiłowała pozbierać myśli. To, że David objawił się akurat w tym momencie ze wszystkich możliwych, wydawało się tak potwornie niestosowne, że chwilę potrwało, zanim oprzytomniała.

– Och. Cześć, David. Tak, oczywiście.

Nie wiedziała, czy zrobił to celowo, ale Nick wszedł za nią do środka, usiadł koło niej w chłodnym mroku przedpokoju i zaczął bardzo delikatnie gładzić palce jej wolnej dłoni. Była zdumiona, że tak niewinny gest może być tak zmysłowy. Poczowała przyjemne mrowienie i lekkie podniecenie, a jednocześnie bezskutecznie usiłowała skoncentrować się na tym, co mówił David.

– Liz. Liz? Wszystko w porządku?

Nagle David, chociaż oddalony o prawie pięćset kilometrów, domyślił się. Ktoś u niej był. Miała taki głos, jakby się kochali. Zerknął na zegarek. Południe. Może byli jeszcze w łóżku.

I chociaż wiedział, że miała pełne prawo wziąć sobie kochanka, z pewnością większe niż on, poczuł tak oślepiającą zazdrość, że miał ochotę ją skłąć, obrazić, zranić za mówienie tym lekko zachrypniętym, podnieconym głosem. Głosem, jakim do niego nigdy nie mówiła.

Bez namysłu znalazł sposób, żeby to zrobić.

– A tak przy okazji, mówiłem ci, że poprosiłem Suzan Brown, żeby tu przyjechała i dołączyła do zespołu?

– Nie, David, nie mówiłeś. – Usłyszał, jak jej głos twardnieje i traci rozmarzony ton. Poczował mieszaną wstyd i satysfakcji. Dlaczego jej to powiedział? Nawet jeszcze nie zaprosił Suzan do współpracy, chociaż wiedział, że gdyby to zrobił, przyjechałaby bez wahania.

– Mam nadzieję, że będziecie razem bardzo szczęśliwi. – Liz trzasnęła

sluchawką, a David uśmiechnął się, wyraźnie z siebie zadowolony.

Liz leżała w gorącej, aromatycznej kąpieli i myślała o czekającym ją wieczorze. Dziwne to było doznanie, ta świadomość, że dziś będzie Ta Noc.

Tak musiały się czuć nieśmiałe panny młode, w czasach sprzed seksu przedmałżeńskiego i podwójnych jacuzzi, gdy czekały na noc poślubną, żeby dowiedzieć się, czy seks będzie dla nich błogosławieństwem, czy przekleństwem.

Ona akurat nie miała żadnych wątpliwości, ale i tak czuła tremę. Co jeśli tak długie zwlekanie rozbudziło w niej oczekiwania ponad wszelką miarę i wszystko skończy się niewypałem zamiast fajerwerków? Mogłaby wtedy winić tylko siebie, że zmieniła tę pierwszą noc w jakiś sakrament, zamiast po prostu zrobić to, na co oboje mieli ochotę już kilka miesięcy temu.

Będzie po prostu musiała spróbować o tym wszystkim zapomnieć i zachowywać się naturalnie. Wyszła z wanny i owinęła się dużym ciepłym ręcznikiem. Siedząc na macie łazienkowej, nasmarowała się dokładnie truskawkowym balsamem nawilżającym z Body Shopu i pomalowała paznokcie u nóg na czerwono.

Uśmiechając się do siebie, kopnęła białe bawełniane majtki pod kosz z brudną bielizną i wzięła wiszące na drzwiach jedwabny biustonosz i figi w kolorze kości słoniowej. Tym razem nie miała oporów, żeby je założyć.

Sięgnęła po rozpylacz z perfumami Rive Gauche i psiknęła odrobinę na skórę na nadgarstkach, za uszami i na szyi. Przypomniała sobie radę Coco Chanel, że kobieta powinna perfumować się tam, gdzie spodziewa się być całowana, więc zsunęła jedwabne majtki i spryskała się między nogami.

Z lekką treścią zdjęła z wieszaka sukienkę z zielonej tafty i założyła ją. Nawet ona, przyglądając się sobie sceptycznie, musiała przyznać, że kiecka wygląda szalowo. Wyglądając ją i zakładając nowe zielone buty na wysokich obcasach, usiłowała wziąć się garść.

„Zachowuj się naturalnie”. Serio? W takim razie pewnie ją aresztują.

Akurat zdążyła się wyszykować, kiedy zabręczał dzwonek przy drzwiach. Jamie, dzięki Bogu, powinien już mocno spać. Jej matka została u nich na noc, a Liz powiedziała Nickowi, żeby przyjechał długo po porze, o której kładła syna do łóżka.

Jednak kiedy się odwróciła, okazało się, że Jamie nie śpi. Stał i patrzył na nią.

– Dlaczego wyglądasz tak... – Zrobił skonsternowaną minę, jakby nie mógł znaleźć właściwego słowa.

– Pięknie? – podsunęła Liz.

– Okropnie – poprawił ją Jamie. – Wyglądasz jak jedna z tych dziewczyn, które stoją przed dworcem.

Jej syn mówił jej, że wygląda jak dziwka.

Odwróciła się na pięcie, zła i zdenerwowana. Zrozumiała, że się domyślił. Wiedział, że ma się stać coś, co odmieni jej życie. I chciał ją za to zranić.

Uklękła, objęła go i przypomniała sobie, że David zachował się tak samo. Jak mały chłopiec, który boi się, że zostanie skrzywdzony, więc próbuje pierwszy zadać cios.

Jakby przewidział jej lęki, Nick przez cały wieczór dbał, by nastrój był lekki i żartobliwy. Znakomicie gotował i bez wysiłku przyrządził sałatkę na ciepło z olejem z orzechów włoskich oraz lekki jak piórko mus z homara, jednocześnie gawędząc z Liz w swojej przestronnej kuchni, podczas gdy ona sączyła białe wino i starała się skupić na rozmowie.

Później usiedli naprzeciwko siebie na dwóch kanapach w salonie, pili świeżo zaparzoną kawę i słuchali muzyki, a on wciąż nawet nie spróbował jej dotknąć.

Spoglądając dyskretnie na zegarek, zastanawiała się, czy może zmienił zdanie, jak pan młody, który zakłada ślubny garnitur, a potem oddala się w nieznanym kierunku.

Już zaczynała się czuć trochę głupio w taftowej sukience i jedwabnych majtkach, kiedy Nick usiadł obok niej. Delikatnie ujął jej rękę w nadgarstku i pocałował, zaciągając się perfumami. „Poczekaj, aż zobaczysz, gdzie jeszcze się spryskałam” – pomyślała, uśmiechając się do siebie, i spojrzała mu w oczy. Boże, ależ go pragnęła!

– To co, pani Ward, pójdziemy na górę?

Wzięła jego twarz w dłonie i mocno pocałowała.

– Myślałam, że już nigdy nie zapytasz!

– Może jesteś fanką Donne’a, ale najwyraźniej nie czytasz lorda Chesterfielda!

– A ty czytasz? Dlaczego? – Liz znów go pocałowała.

– Bo daje bezcenne rady dotyczące sztuki uwodzenia, do których zawsze staram się stosować. – Uśmiechnął się przekornie. – Z młodymi damami można próbować od razu po posiłku. Ale w przypadku starszych matron radzi się poczekać, aż kolacja się uleży.

Liz podniosła jedną z poduszek i zaczęła walić go nią po głowie, aż ją jej zabrał, a protestującą Liz zaniósł na górę do łóżka.

Rozdział 30

Liz leżała w rzeźbionym drewnianym łóżku Nicka, jej ubranie było porozrzucane po podłodze sypialni, a ona patrzyła pożądliwie, jak on rozpina koszulę i dżinsy.

Marzyła o tej chwili od kiedy zobaczyła go po raz pierwszy na imprezie WomanParty, a teraz, gdy ten moment nadszedł, cieszyła się, że zaczekali. Trzy miesiące temu byłby to tylko seks. Może dobry seks, dający satysfakcję, udany. Ale i tak obudziliby się jako obce sobie osoby, ich ciała byłyby zaspokojone, podczas gdy serca i umysły dopiero by się poznawały I jak się często zdarza, więcej mogliby się nie spotkać.

Ale jutro obudzą się jako kochankowie i przyjaciele.

Uśmiechnął się na widok powagi malującej się na jej twarzy, wszedł do łóżka i zaczął ją czule głaskać, delikatnie wodząc dłońmi po konturach jej ciała.

Nagle na powrót skrępowana, próbowała podciągnąć prześcieradło, żeby ukryć swój zwiotczały brzuch, w którym nosiła dwoje dzieci i który, w przeciwieństwie do brzucha Yasmin Le Bon czy Jane Fondy, nie odzyskał elastyczności w ciągu dwóch tygodni ani nawet dwóch lat.

– Nie, zostaw. – Odkrył ją i położył jedną dłoń na wypukłości jej brzucha, a drugą gładził jej pełne piersi. – Uwielbiam twoje ciało. Znajdę drogę.

Potem już się nie odzywał i ona również milczała. Poddała się potężnej fali przyjemności, która ją zalała, i zapomniała o wszystkim: o swoim ciele, w którym mieszkało kiedyś nowe życie, o tremie, nawet o tym, gdzie jest, i, co musiała ze wstydem przyznać, także z kim jest.

Kiedy polizał palce i delikatnie je w nią wsunął, po czym schylił głowę i zaczął pieścić językiem ten drobny punkcik pożądania, jęknęła i zamknęła oczy, wymazując ze świadomości wszystko poza szaleńczą rozkoszą i przypomniała sobie, jak bardzo przyjemność może być bliska bólu.

A kiedy wreszcie wydawało jej się, że już dłużej nie może, że osiągnęła granicę rozkoszy i ją przekroczyła, a potem przekroczyła ją jeszcze raz, i wstrząsał nią spazm za spazmem, aż poczuła, jak między piersiami ścieka jej pot, a oddech jest szybki jak u biegaczki, on skądś wiedział, że już czas, a ona poczuła niespodziewaną ulgę, jakby teraz jej ciało potrzebowało, żeby je dosiąść i wbić w pościel. Chętnie poddała się więc szybkiemu, dzikiemu spółkowaniu, zwieńczonemu eksplozją spełnienia.

Dopiero kiedy skończyli i leżeli splątani w łóżku, które napatrzyło się przez wieki na seks, ale nigdy tak wspaniały jak ich, zauważyła, że wcześniej założył prezerwatywę, która teraz leżała mokra i zimna między nimi.

Pomyślała, że to świadczy o rozsądku w tych niebezpiecznych czasach

i prawie, ale niezupełnie, udało jej się stłumić lekkie poczucie obrazy, które mignęło na sekundę jak lecący łabędź przesłaniający jasny słoneczny blask jej ponownego rozbudzenia.

– Dzień dobry, pani Ward. Proszę mi odpowiedzieć na jedno pytanie. Jak mogę panią uszczęśliwić?

Liz otworzyła oczy i zobaczyła Nicka w japońskim kimonie, który uśmiechał się do niej i podawał jej filiżankę herbaty.

Odwzajemniła uśmiech, biorąc od niego naczynie.

– Co to za herbata? Lapsang Souchong czy British Rail?

– British Rail, obawiam się.

– To już mnie uszczęśliwiłeś.

– Pytam poważnie. Co naprawdę by cię uszczęśliwiło?

Liz była zaskoczona. Nigdy wcześniej nie spotkała mężczyzny, który chciał ją uszczęśliwić. Zazwyczaj chcieli, żeby to ona uszczęśliwiła ich i zakładali, że to jednocześnie uszczęśliwi ją.

– No dobra. Co by mnie uszczęśliwiło? – Ujęła jego dłoń w swoją i przyłożyła ją sobie do policzka. Zastanowiła się przez chwilę nad odpowiedzią. – Życie, w którym miałabym wystarczająco dużo pracy, żeby zachować sprawność umysłową, i dość czasu, by cieszyć się moimi dziećmi, przyjemnościami, seksem, jedzeniem i miłością – nie zapominajmy o miłości. I jeszcze uprawą ogródka. Bardzo polubiłam moje róże. To jedna z pierwszych oznak starości!

– Nie są to przesadnie wygórowane żądania. – Ujął jej dłoń i pocałował.

– Tak? Dlaczego w takim razie tak trudno to osiągnąć?

– Wcale nie. Teraz, kiedy mnie poznałaś, już nie. – Wyjął jej filiżankę z ręki i pocałował tak mocno, że zapomniała o wszystkim, z wyjątkiem tego, jak bardzo chciała mu wierzyć.

– Ginny, masz chwilę? – Liz wyjrzała ze swojego gabinetu i patrzyła, jak Ginny żegna się z młodą kobietą, która właśnie zapisała się do WomenPower, bo jej najmłodsze dziecko szło do przedszkola.

Liz się uśmiechnęła. Ginny świetnie sobie radziła w rozmowach z kandydatkami, sprawiała, że od razu czuły się swobodnie, zawsze wiedziała, czy nie wyolbrzymiają swoich umiejętności, a także – co było znacznie trudniejsze – potrafiła się dowiedzieć, czy mają jakieś ukryte talenty, które się marnują.

Może to dzięki temu, że sama dopiero co odkryła własne ukryte talenty w życiu biurowym, więc potrafiła wczuć się w sytuację setek kobiet, z którymi rozmawiała. Liz ponownie się uśmiechnęła. Cudownie było widzieć Ginny czerpiącą taką radość z pracy i ewidentnie doskonale sobie z nią radzącą. Nastąpił między nimi naturalny podział obowiązków. Ginny ze swoją otwartą życzliwością zajmowała się rekrutacją kandydatek, a Liz znająca biznesowe realia znajdowała pracodawców i wyszukiwała nowych klientów. Co jakiś czas czuła, że tęskni za

jakimś kreatywnym działaniem, jakim niegdyś było dla niej robienie programów. Ale życie nigdy nie jest doskonałe, a ona zawsze mogła wyżywać się twórczo z Jamiem i Daisy. Ściana ich pokoju zabaw dobitnie o tym świadczyła.

Weszła Ginny i Liz zamknęła za nią drzwi.

– Pomyślałam, że będziesz chciała to zobaczyć. – Liz wskazała jej leżący na biurku dokument.

– Co to jest?

– Spłata pierwszej raty kredytu. Zrobię ją dzisiaj.

Ginny zamknęła oczy.

– Boże, co za ulga!

Liz pociągnęła ją za rękę.

– Jest coś jeszcze, co może cię zainteresować.

Zaprowadziła zdumioną Ginny na zewnątrz, a potem kilka alejek dalej, na główną ulicę handlową Lewes. Stały przed wciśniętym między aptekę Boots a sklep Woolworths dużym salonem wystawowym sklepu elektrycznego.

– Zawsze mi suszysz głowę, żebyśmy się rozwijały, prawda? Za miesiąc to miejsce się zwalnia. Dziś rano dzwoniли do mnie z agencji nieruchomości. Co o tym sądzisz?

– Rewelacja! Ale czy naprawdę nas na to stać?

– Tak, Ginny, sądzę, że tak. Właściwie jeśli będzie nam szło tak jak ostatnio, mogłybyśmy pomyśleć o otwarciu filii w Brighton.

Kiedy wróciły do biura, w recepcji zastały siedzącego na biurku Nicka z butelką szampana w rękach, a cała praca zamarła, bo piętnaście rekrutek tłoczyło się wokół niego z kieliszkami.

Liz uśmiechnęła się i pokręciła głową. Od tamtej pierwszej nocy miesiąc temu przychodził do biura co najmniej dwa, a czasem trzy razy dziennie, dzwonił, ucinając sobie z nią dłuższe pogawędki, żeby powiedzieć, jak bardzo ją kocha. Było to cudowne, ale zarazem męczące.

– Co dzisiaj świętujemy?

– Fakt, że przyszedłem zabrać cię na lunch.

– Och, Nick, przykro mi, kochanie. Mam służbowy lunch w Brandon's Chemicals. Z szuchami z dyrekcji. Nie wykręcę się z tego tak w ostatniej chwili.

Nick popatrzył na nią buntowniczo.

– Ale to tylko nudne, stare przyki z kadr. – Łypnął na nią znacząco. – Ze mną będziesz się znacznie lepiej bawić.

Usłyszała stłumiony chichot jednej z rekrutek.

– Na pewno masz rację. Ale, niestety, oni zaprosili mnie pierwsi. – Wolałaby nie brzmieć jak belferka. Zauważyła jednak, że wielu ludzi rozmawiających z Nickiem przybierało taki ton. Delikatnie zepchnęła go z biurka. – Poza tym to ważne. Dotychczas wstrzymywali się z zatrudnianiem kobiet, a teraz mają zacząć.

Z naszym pośrednictwem.

Nick zwrócił się do Dawn.

– To może ty ze mną pójdziesz, Dawnie? Strasznie by było szkoda zmarnować rezerwację.

Dawn spojrzała na Liz, wyraźnie zakłopotana.

– Idź – powiedziała Liz z lekkim poirytowaniem – Nick ma rację. Znacznie ciekawiej spędzisz czas niż ja.

Kiedy wróciła o czwartej, zadowolona z siebie, bo człowiek z działu kadr Brandon's Chemicals okazał się o wiele bardziej otwarty i konkretny, niż się spodziewała. Dawn wciąż nie było, za to rosła sterta wiadomości, a telefony się urywały. Tym razem poczuła falę silnej irytacji. Wiedziała, że nie powinno ją obchodzić, co sobie myśli reszta biura, ale nie mogła nie zauważyć, jak ludzie zerkają to na nią, to na zegar. Cholerny Nick!

Było to tak niepodobne do Dawn, że o wpół do piątej Liz zaczęła się trochę niepokoić, więc postanowiła sprawdzić, czy Nick wrócił do domu i do Dream Cottages. Nie zdziwiła się zbytnio, kiedy telefon odebrał Henry.

– Nie wrócił jeszcze, Henry?

– Nie, jeszcze nie.

– Wciąż jest na lunchu?

– Bóg raczy wiedzieć, złotko. Znasz go. Pojawia się i znika.

– Nie masz czasem ochoty go zabić, Henry? Gdyby Ginny urywała się codziennie na czterogodzinne lunchy, nie wiem, czybym to zniosła.

– Przyzwyczyłem się – powiedział Henry cierpliwym tonem osoby cierpiącej w milczeniu.

– Dlaczego ty to znosisz, Henry?

– A ty?

Jego pytanie zaskoczyło Liz. Nie zdawała sobie sprawy, że musi znosić jakieś szczególnie utrapienia. Na razie przyjemność, którą czerpała z towarzystwa Nicka, znacznie przeważała nad drobnymi niedogodnościami w rodzaju utraty sekretarki na pół dnia. Zastanawiała się przez chwilę, co Henry ma na myśli.

– Jak dobrze tak naprawdę znasz Nicka? – zapytał cicho.

– Dość dobrze, jak sądzę.

– No to masz dziś pierwszą lekcję. Nick lubi chodzić własnymi drogami.

Usłyszała w zmęczonym życiem głosie Henry'ego niewypowiedzianą litanię przegapionych spotkań, niedotrzymanych obietnic i drobnych przykładów niesolidności, zbyt licznych, żeby je wymieniać. Uświadomiła sobie, że Henry ją ostrzega, w najdyskretniejszy możliwy sposób.

– Czytasz Noëla Cowarda, Liz?

– Tylko te oczywiste rzeczy.

– To może nie znasz tej jego rady?

- Jakiej? – Liz poczuła leciutki cień zaniepokojenia.
- Nie oczekuj, że ludzie się zmieniają bardziej, niż są w stanie.

Liz uśmiechnęła się cierpko do siebie. Dobra rada. Zdała sobie sprawę, co jej przypomina ta rozmowa.

Dwoje dorosłych mówiących o uroczym, ale krnąbrnym dziecku.

– Liz! Liz! – syknęła do niej Ginny z drugiego końca gwarne go biura, kiedy wreszcie odłożyła słuchawkę. – Dzwoni ktoś z „Daily Mail”. Chcą napisać artykuł o WomanPower!

W ciągu kilku miesięcy WomanPower rozwijało się w zawrotnym tempie. Teraz spotykał je ostateczny dowód uznania: zainteresowanie mediów.

Odebrała i powiedziała bardzo spokojnie, głosem sugerującym, że codziennie rozmawia z ogólnokrajowymi dziennikami:

– Halo, tu Liz Ward. Kiedy chcieliby państwo przyjechać? W przyszłym tygodniu? Dobrze. Do zobaczenia we wtorek.

Bardzo ostrożnie, jakby słuchawka była ze szkła, odłożyła ją na widełki. A potem wrzasnęła z całej siły z radości, próbując wyrzucić nogę wysoko w powietrze, mimo że miała na sobie wąską ołówkową spódnicę, jednocześnie podnosząc w górę zaciśniętą pięść, i w efekcie omal się nie przewróciła. Za jej plecami otworzyły się drzwi i do środka wsunęła się Dawn. Wyglądała na skruszoną i bardzo, bardzo pijaną.

Mel wyszła ze spotkania z redaktorką działu mody, na którym omawiały pomysły na materiał o kostiumach kąpielowych. Czowała się jak mokra ścierka do naczyń. Co za kretynka z tej redaktorki. Jak wszystkie modowe maniaczki miała w głowie zgniecione kupony zniżkowe do Brownsa zamiast mózgu.

Kiedy redaktorka zaproponowała, żeby zrobili sesję z kostiumami na manekinach, Mel, wyobrażając sobie te kapitalne odlewy gipsowe z lat pięćdziesiątych, pomyślała, że to świetny pomysł. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że ta nieuleczalna idiotka nie powiedziała wcale manekiny, tylko mumie^[11].

„No tak, wiesz, mumie, Niewidzialny Człowiek w figach typu tanga i tak dalej. Ekstra”. Po raz chyba setny Mel była skłonna zgodzić się z teorią mówiącą, że dziennikarstwo modowe to jedna wielka ściema, którą chude i kompletnie obłąkane babki wciskają grubym i stosunkowo normalnym. Mumie! Boże Wszechmogący! Następnym razem pewnie będą zwłoki. Pokręciła głową, żeby otrząsnąć się z tej nieprzyjemnej myśli i dostrzegła samoprzylepną karteczkę, alarmującą swą żółcią z ekranu komputera. OLIVIA CHCE ZJEŚĆ DZIŚ Z TOBĄ LUNCH. W RITZU O 13.00.

Cała Olivia. Żadnego „proszę” czy „dziękuję”, tylko „masz tam być”. Która to godzina? Piętnaście po dwunastej. Chryste Panie, miała już mało czasu. Wezwała sekretarkę i kazała jej odwołać wszystkie spotkania. Potem schyliła się

i wyciągnęła z szuflady miniaturową buteleczkę remy martin oraz dwa duże niebieskie worki na pranie.

Pociągnęła solidny łyk brandy i wzięła się do roboty.

Kiedy chuda jak chart Olivia wkroczyła do restauracji w Ritzu, kołysząc biodrami i szeleszcząc kosztownym kostiumem od Chanel, jakby miał podszewkę obszytą pięćofuntowymi banknotami, Mel już siedziała przy najlepszym stoliku z widokiem na St James's Park, dzięki uprzejmości Louisa, zaprzyjaźnionego *maitre d'hôtel*.

Kiedy Olivia podała mu płaszcz, Mel rozejrzała się dokoła, podziwiając zmysłowe malowidła ścienne, iluzjonistyczne efekty, wielkie żyrandole, złożone girlandy i wspaniały widok na park. Ludzie mówili, że Ritz ma najpiękniejszą salę jadalną w Europie, a ona nie miała zamiaru się spierać. Nie mogła sobie wyobrazić lepszego miejsca na to, co ją czekało.

– Melanie, cześć, kochana! – Olivia posłała jej tak sztucznie słodki uśmiech, że Mel omal nie zwymiotowała na kunsztowny stroik z kwiatów na stole. – Co zamawiasz do jedzenia?

Mel wychowano w przekonaniu, że zamawianie dań w restauracji nie miało nic wspólnego z preferencjami kulinarnymi – chodziło wyłącznie o umiejscowienie się na drabinie społecznej. Kiedy wybierzesz najdroższe, wydasz się pazerna, kiedy najtańsze – skąpa. Niepisane reguły awansu społecznego w Golders Green głośiły, że należy zawsze wybierać coś ze środka.

Pieprzyć dzisiaj tę zasadę. Poszukała najdroższego dania w karcie. Aha!

Unikając wzroku Olivii, zwróciła się bezpośrednio do kelnera:

– Dzięki, Louis. Poproszę kawior i homara.

Lekkie prychnięcie wskazywało, że Olivia najwyraźniej zakrztusiła się szampanem.

Kelner popatrzył na nią.

– A co dla pani?

– Dziękuję, Louis. Dla mnie bez przystawki. Mała grillowana sola, jak zwykle.

Kelner odszedł.

– Powiedz mi, Olivia, czy ty w ogóle masz jakieś słabostki?

Olivia pochyliła się do niej konfidencko. Może za chwilę jej wyzna, że jest kokainistką albo chociaż zakupoholiczką.

– Prawdę mówiąc – Olivia zniżyła głos i się rozejrzała – mam ogromną słabość do sucharków z mąki i wody.

– Nie żartuj.

– Serio. – Olivia sprawiała wrażenie, jakby zdradzała jej życiowy sekret. – Mają tylko po osiemnaście kalorii, więc jeśli zjesz całą paczkę, to wchłoniesz zaledwie trzysta sześćdziesiąt kalorii.

Mel zaniemówiła. Czy ktokolwiek, nawet Olivia, mógł zjeść całą paczkę sucharków? Kto by w ogóle chciał? W końcu, bądźmy szczerzy, trzysta sześćdziesiąt kalorii to więcej niż batonik Mars.

Zerknęła na zegarek. Było piętnaście po pierwszej, zatem Olivia zapewne nie poruszy zasadniczego tematu przed drugą. Mel zjadła w życiu nieprzeliczoną ilość służbowych lunchów, więc doskonale знаła obowiązujące formy. Takie obiady rozgrywały się według stałego schematu, który zmieniało się na własne ryzyko. Najpierw aperitif i plotki o tym, kto awansuje, a kto poleci. Następnie przy niedopieczonej kaczkę i wodzie mineralnej można porozmawiać o interesach, ale tylko bardzo ogólnie. Żadnego deseru, naturalnie. W końcu espresso albo, dla nieodchudzających się hedonistek – cappuccino. Dopiero wtedy można wyjąć organizery i rzucić się sobie do gardeł.

Dokładnie o 14.03 Olivia odsunęła na bok filiżankę po kawie i pochyliła się do Mel.

– Melanie, chyba pora, żebyśmy porozmawiały. Obserwuję cię od kilku tygodni i wiesz, co stwierdziłam?

– Że jestem niezwykle utalentowaną redaktorką i chcesz mnie awansować?

Olivia zignorowała tę uwagę.

– Że nie wierzysz już w „Femineę”, Melanie.

Mel zastanawiała się, czy powinna zaprzeczyć. Ale to była prawda. Mogła wierzyć w „Femineę”, która ośmielała się zakwestionować własną filozofię, ale nie w „Femineę”, która nie chciała przyznać, jak wygląda rzeczywistość, mimo że te właśnie dawały jej w twarz, i dalej głośno, tak jak Olivia, że jedynym prawdziwym zbawieniem dla kobiety jest wyłącznie praca.

Olivia wzięła ją za rękę, co wywołało przerażenie Mel. Dłoń Olivii była chłodna i gładka, jak wypolerowany drogi kamień.

– Wiem, że to będzie dla ciebie wstrząsem, droga Mel, ale myślę, że nadszedł czas, abyśmy się z tobą pożegnali, zanim zrobi się nieprzyjemnie. Przecież nie chcemy krwi na ścianach, zwłaszcza twojej, po tym wszystkim, co zrobiłaś dla „Feminy”, prawda?

Olivia sięgnęła do torby i wręczyła Mel kopertę.

– To twoja dwuletnia pensja. Ale mam jeden mały warunek.

Mel była ciekawa, co takiego było dla Olivii tyle warte.

– Nie możesz pod żadnym pozorem rozmawiać z prasą o tych twoich obłąkańczych pomysłach.

Boże, ona musi być naprawdę drażliwa na tym punkcie. Sto patyków, żeby nie mówić o czymś, co było oczywiste.

Ale Olivia jeszcze nie skończyła.

– Poza tym musisz odejść natychmiast. Nie ma potrzeby, żebyś wracała do redakcji. Twoje rzeczy prześlę ci później.

Mel wzięła kopertę i wstała.

Nie miała zamiaru pozwolić Olivii mieć ostatniego słowa.

– Nie trudź się, Olivia. – Sięgnęła pod stół i wyciągnęła spod śnieżnobiałego obrusu dwa wypchane niebieskie worki. – Zaoszczędziłam ci kłopotu.

– Hej! Chcą zrobić ze mną wywiad w Radio Brighton!

– Ginny, to wspaniale! – Liz uśmiechnęła się, widząc, że przyjaciółka jest jednocześnie dumna i zdenerwowana. – Mam tylko nadzieję, że damy sobie radę z dodatkowymi zleceniami.

Liz rozejrzała się po ich nowiutkim biurze na samym środku High Street w Lewes, między Woolworths a Bootsem, i nie mogła się nadziwić, że WomanPower wciąż tak szybko się rozwija.

Słyszała wokół satysfakcjonujące pikanie komputerów, przy których siedziało osiem nowych rekrutek, które przepytwały kandydatki do pracy i dopasowywały je do firm potrzebujących pracowników.

Dawn okazała się znakomitą kierowniczką biura i poradziła sobie z przeprowadzką bez żadnych zgrzytów, a nawet udało jej się zmusić firmę telekomunikacyjną, żeby założono im nowe linie telefoniczne bez kolejki. Usiłowała odpokutować lunch z Nickiem, pracując po dwanaście godzin dziennie.

Jednak prawdziwym objawieniem ostatnich kilku miesięcy okazała się Ginny. W osobie, która z pozoru znała się tylko na robieniu powideł i suszeniu kwiatów, krył się przedsiębiorczy, rasowy handlowiec. W miarę jak mijały tygodnie, kostiumy Ginny robiły się coraz szykowniejsze, jej sposób bycia coraz bardziej stanowczy i zdecydowany, a terminarz coraz bardziej wypełniony.

Liz zauważyła jednak coś jeszcze, co zaczynało ją trochę niepokoić. Ginny już prawie wcale nie mówiła o Amy, Benie i Gavinie.

– Cześć, Liz, tu Mel.

Liz wyprostowała się przy biurku. Mel nigdy nie dzwoniła do niej w ciągu dnia. I czy tylko jej się wydawało, czy przyjaciółka lekko bełkotała?

– Mel, co tam? Brzmisz jak Peter O’Toole, kiedy miał zły dzień.

– Właśnie byłam na lunchu z Olivią.

– I co, było aż tak strasznie?

– Tak sobie. Dała mi sto tysięcy.

– Za co?

– Za moje stanowisko.

– Och, Mel, wylała cię! Tak mi przykro!

– Pożegnała, kochana, bardzo cię proszę. Nie zwalnia się pracowników, ani nie wylewa, tylko się ich żegna. Powinnaś to wiedzieć w swojej branży.

– Och, Mel, pożegnała cię! Tak mi przykro!

– Och, Lizzie – jęknęła Mel – „Femina” była całym moim życiem!

– Może przyjedziesz tutaj na kilka dni, a my cię przekonamy, że w życiu

liczą się jeszcze inne rzeczy poza pracą.

– Dobra. A teraz przepraszam. Idę kupić skrzynkę białego wina, a następnie się z nią rozprawić, najlepiej dziś wieczorem.

– To kup też od razu alka seltzer.

– O Boże, Lizzie, jesteś taka zorganizowana. Nie można od razu kupować tabletek na kaca. To psuje całą zabawę!

Liz pożegnała się i odłożyła słuchawkę. Właśnie wpadła na genialny pomysł.

Mel skończyła drugą butelkę, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi. Zesztywniała jak przestraszony królik. Wszystkie jej przyjaciółki były zdecydowanie zbyt zajęte, żeby tak po prostu wpaść, nie miały na tyle dużych okienek w swoich napiętych grafikach, żeby zmieściła się w nich niezaplanowana wizyta u Mel. Zwłaszcza teraz, kiedy nie miała już nawet żadnej władzy.

Pełna podejrzeń, podniosła się i poszła korytarzem do drzwi wejściowych. Znając jej szczęście, pewnie jakiś cwaniaczek usłyszał o zastrzyku gotówki, który dostała, i przyszedł ją zamordować. Wyrzała przez wizjer.

O mój Boże! To Garth! Poczowała się nagle trzeźwa jak świnia i popędziła do lustra w holu, żeby na siebie spojrzeć. Kiedy tylko wróciła z Ritza, zdjęła elegancki kostium, zmyła makijaż, wskoczyła do wanny z najgorętszą wodą, jaką była w stanie znieść, i umyła włosy. Tak jakby chciała zmazać z siebie wszystkie ślady „Feminy” i Olivii. Potem włożyła swoje najstarsze dżinsy i wytrąbiła dwie butelki wina, zagryzając dużą paczką minibatoników Mars. Jeśli dołożyć do tego płacz, mogła szczerze stwierdzić, że nigdy nie wyglądała gorzej. Co, do diabła, miała teraz zrobić?

Może jeśli go zignoruje, Garth sobie pójdzie.

Ale Garth najwyraźniej nie miał takiego zamiaru. Dziesięć minut później wciąż stał pod drzwiami, z łokciem na dzwonku, krzyząc do niej przez otwór na listy:

– Mam wiadomość od Olivii!

Niechętnie uchyliła drzwi na kilka centymetrów, ale nie zdjęła łańcucha i starała się w miarę możliwości pozostać niewidoczna.

– No, co to za wiadomość?

– Że potrzebujesz teraz jurnego młodego faceta, który oderwie cię od myśli o kłopotach i zrobi masaż karku.

– Gówno prawda! Gdyby Olivia знаła jakiegoś jurnego młodego faceta, zatrzymałaby go dla siebie!

– No, ale chcesz?

– Niby czego?

– Żeby jurny młody facet pomasaował ci kark?

Spojrzała przez szparę w drzwiach na fragment klatki piersiowej Gartha, wyglądający spod czarnej skórzanej kurtki. Przypomniała sobie twardość jego ud

i jego smukłe ciało na jej ciele. Otworzyła drzwi i się o nie oparła.

– To wszystko, co masz do zaoferowania? – Przyciągnęła go do siebie i, uśmiechając się, zaczęła rozpinąć mu guziki.

„Przestań się tak szczerzyć – skarciła się w myślach Mel – musisz wyglądać jak wioskowy głupek!”. Ale kiedy następnego ranka leżała w swoim łóżku i przyglądała się twarzy Gartha, poczuła, że na usta wypełza jej kolejny uśmiech bezwstydного samozadowolenia. Garth był taki piękny! I, jak się okazało, wcale nie był gnojkiem. Czuł się osaczony, poza tym nie mógł sobie poradzić z tym, że przeleciał swoją szefową. Po prostu. W każdym razie była gotowa uwierzyć mu na słowo i dać drugą szansę.

Zadzwoił telefon, przerywając fantazje Mel gdzieś pomiędzy oświadczeniami a ślubem w białej sukni.

– Cześć, Mel. Tu Liz. Wiem, że pewnie zabrzmiało to dla ciebie jak czyste wariactwo, ale zastanawialiśmy się z Ginny, czy skoro nie masz pracy, nie chciałabyś dołączyć do nas w WomanPower? Tak szybko się rozwijamy, że potrzebujemy naprawdę dobrego PR-u, i pomyśleliśmy o tobie. Mogłybyśmy włączyć cię do zespołu, gdybyś chciała. Co ty na to?

Mel zaniemówiła.

– Ja? Miałabym zamieszkać na wsi? Gdzie nie ma kanapek z soloną wołowiną ani Heal's, ani tureckich knajp otwartych całą dobę?

– Mel, kiedy ostatnio byłaś w takiej tureckiej knajpie?

– Nie pamiętam. Ale nie o to chodzi. Jeśli nabiorę ochoty na meze o trzeciej nad ranem, to mogę je sobie zjeść. Jestem mieszczuchem, Liz; śmieci, uliczni bandyci i wolne taksówki, które się nie zatrzymują, podnoszą mnie na duchu. Nie mogłabym żyć w ciszy, spokoju i bez McDonalda.

– Ja bym mógł – wtrącił Garth, który zaczął ją całować po rękę, coraz wyżej i wyżej. – Uważam, że to genialny pomysł.

Spojrzała na niego, zaskoczona. Nawet nie zauważyła, kiedy się obudził.

– Wychowałem się na wsi – nie dawał za wygraną. – Urodziłem się w Suffolk.

– Ty? Nie ściemniaj. – Mel zakryła ręką mikrofon. – Ty jesteś z działu z zabawkami dla dorosłych w Harrodsie! Zamówiłam cię tydzień temu.

W ramach zemsty zaczął ją laskotać.

Liz czekała, aż usłyszy jakąś sensowną odpowiedź, ale dobiegły ją tylko stłumione chichoty i okrzyk: „Przestań, przestań!”. Potem Mel upuściła słuchawkę. W tle Liz słyszała, jak męski głos śpiewa bardzo głośno piosenkę *I'm Gonna Be a Country Girl Again*. Nikt nie musiał jej mówić, że sprawy Mel wyglądają coraz lepiej.

Kiedy pierwszy numer nowego, lepszego „Selden Bridge Star” schodził z maszyn drukarskich, David czuł euforię, jakiej nie doznał już od lat. Jako

redaktor naczelny i wydawca w jednej osobie miał całkowitą swobodę; mógł pisać, o czym chce, i nikt nie był w stanie zabronić mu publikacji materiału, który następował komuś ważnemu na odcisk, albo zmusić go do zamieszczenia na łamach czegoś, co uważał za niesmaczne. Był to może drobiazg, ale miał uderzający do głowy, mocny smak wolności.

Pomyślał o wczorajszym kolegium redakcyjnym. Niektórzy z młodych reporterów mieli doskonale pomysły, a redaktor wiadomości był tak młody i napalony, że David musiał go hamować. Był tylko jeden problem: dział kobiecy. Redagowała go siwowłosa megiera, która w swoich koncepcjach na temat kobiet i tego, co je interesuje, zatrzymała się gdzieś w roku 1934. Rozwiązanie nasuwało się samo. A jednak za każdym razem, kiedy sięgał po telefon, żeby zadzwonić do Suzan Brown i zaproponować jej to stanowisko, coś go powstrzymywało.

Powiedział Liz, że Suzan będzie dla niego pracować, ale prawda była taka, że nawet jej o to nie poprosił. Nie wiedział, dlaczego. Może chodziło tylko o dumę, o to, że nie chciał, by Liz jednak miała rację albo o jego własne wątpliwości odnośnie do angażowania się w relację z kimś tak młodym jak Suzan. A może nawet o jakąś niedorzeczną lojalność wobec Liz.

Cóż za absurd. Nagle poczuł osłepiającą wściekłość na wspomnienie jej rozmarzonego, rozerotyżowanego głosu. Podniósł słuchawkę i zaczął wykręcać numer „Daily News”.

– Ależ Liz, to byłoby szaleństwo nie otworzyć filii w Londynie! Może nie teraz, ale za pół roku. – Ginny wyskoczyła zza biurka i zaczęła chodzić w tę i z powrotem. – To oczywisty krok. Jeśli nie stworzymy oddziału w Londynie, nigdy nie będziemy w stanie konkurować z Nine to Five czy World of Work.

Liz podniosła wzrok znad raportu, który czytała. Spojrzała na przyjaciółkę z niepokojem w oczach.

– Ginny, ale czy my chcemy z nimi konkurować? Myślałam, że cała idea WomanPower polega na tym, że to ma być mała firma, bo tylko wtedy możemy obie pracować na pół etatu i mieć czas dla dzieci.

– Masz rację. Chyba. Tylko że WomanPower ma taki potencjał, że aż zbrodnią byłoby go zmarnować.

Liz wiedziała, o co chodzi Ginny. WomanPower odnosiło większy sukces, niż im obu się śniło. Ale Liz czuła, że gdzieś w tyle znów czai się widmo pracy, która może przejąć kontrolę nad jej życiem, jeśli tylko jej na to pozwoli.

Problem w tym, że chociaż ona sama aż za dobrze знаła cenę sukcesu, Ginny nie miała o niej pojęcia. Wciąż miała w sobie gorący entuzjazm neofitki. A Liz doskonale ją rozumiała. Wiedziała, jak bardzo ekscytujące jest odkrycie, że drzemią w tobie inne talenty oprócz bycia czyjąś żoną albo matką. Bardzo nie chciała tłumić tej euforii swej przyjaciółki.

Zerknęła na zegarek. Szósta trzydzieści. Jak tak dalej pójdzie, nie zdąży na

porę kąpieli.

– Chodź, Ginny, podwiozę cię.

– Nie trzeba, mam jeszcze parę rzeczy do zrobienia.

– No chodź.

– Dobrze, już dobrze. – Ginny uśmiechnęła się do niej. – Przekonałaś mnie.

Liz absolutnie nie była gotowa na widok, który ujrzała, kiedy pół godziny później zatrzymały się przed domem Ginny. Pogoda była od pewnego czasu chłodna i deszczowa, a dom stał pogrążony w ciemnościach, lodowato zimny. Wyczuwając zdziwienie Liz, Ginny pobiegła przodem i pośpiesznie zaczęła rozpalać kominek.

Największym szokiem była jednak kuchnia. Zimno wydawało się sączyć z kafelków na podłodze, aż Liz odruchowo zaczęła przestępować z nogi na nogę, żeby się rozgrzać.

– Cholera! – powiedziała Ginny przepraszająco. – Musiałam zapomnieć nagrzać piec.

– Gdzie dzieci?

– A jaki mamy dzisiaj dzień?

– Wtorek.

– W takim razie opiekunka odbiera je z przedszkola, a Gavin przywozi je, wracając. – Sięgnęła do zamrażarki po quiche ze sklepu Marks & Spencer i wstawiła danie do mikrofalówki. – Ja je odbieram w środy i piątki. Chcesz się czegoś napić?

Liz zawahała się na ułamek sekundy. Może powinna zostać i spróbować przekonać Ginny, żeby trochę przystopowała?

Ale właściwie dlaczego? To życie Ginny, nie jej. Poza tym Ginny uważałyby pewnie za szczyt hipokryzji, gdyby Liz zaczęła się wtrącać.

– Nie, dzięki. Muszę wracać do domu. Też jestem spóźniona.

Wzięła swoją torebkę, którą położyła na jednym z kuchennych krzeseł, i ruszyła do drzwi, ciesząc się na myśl o swoim ciepłym domu, gdzie właśnie zaczynała się pora kąpieli, a Minty powiesiła pewnie dwie piżamki na adze, żeby się ogrzały. Przystanąła na chwilę, bo w oko wpadła jej makatka, która miała tak ogromny wpływ na jej decyzję o tym, by odmienić swoje życie.

Czy drewniany, czy murowany

Z samej miłości dom zbudowany

Czytając ten napis, wyhaftowany delikatnym ścięciem ponad sto lat temu, ujrzała z całą jasnością, ile sukces WomanPower już kosztował Ginny. Jej dom, dawniej ostoja ciepła i szczęścia, stawał się zwykłymi czterema ścianami. Liz wiedziała, że właśnie ginie coś niezmiernie cennego i że musi coś powiedzieć,

zanim będzie za późno.

Jednak jak mogła pouczać Ginny? Ona, która czasem całymi miesiącami prawie nie widywała dzieci? Która była kiedyś taka pewna, że każda kobieta ma prawo mieć wszystko. Taki wykład wygłoszony akurat przez nią byłby doprawdy śmieszny.

– Ginny – zaczęła z wahaniem, odstawiając z powrotem torebkę i starając się mówić lekkim, beztróskim tonem. Wiedziała, że Ginny będzie wrażliwa na tym punkcie. – Nie sądzisz, że trochę przesadzasz z WomanPower? Jesteś w pracy niemalże cały czas, a nie tylko przez połowę tygodnia...

Zastanawiała się, co powiedzieć dalej, żeby nie wyjść na świętszą od papieża.

W końcu problem rozwiązał za nią Gavin, który wszedł do kuchni z Benem i Amy na rękę.

Spojrzał na danie z mikrofalówki trzymane przez Ginny.

– O nie – jęknął ze znużeniem. – Znowu ten cholerny quiche!

– No, to jak ci się podoba?

David właśnie oprowadził Suzan po redakcji i wręczył jej pierwszy numer.

Przeglądała gazetę przez kilka minut. Potem podniosła wzrok i się uśmiechnęła.

– Ma ogromny potencjał.

David się roześmiał.

– Czyli uważasz, że to prowincjonalna chała!

Suzan spojrzała na niego z wahaniem. Nie chciała patrzeć, jak to radosne podniecenie znika z jego twarzy, a także nie chciała przyznać przed samą sobą, że teraz, kiedy już się tu znalazła, żałowała swojej decyzji.

– No, na pewno różni się od „Daily News”!

– Bogu dzięki, że chociaż tyle. Oczywiście, że to chała, Suzan. To pierwszy numer, a zespół od lat pracował w „Wiadomościach Pipidówka”. Nagle ktoś ich prosi, żeby przygotowali coś świeżego, nowego i ambitnego. W sumie, jeśli wziąć to wszystko pod uwagę, nie wyszło im tak źle. Ale za trzy miesiące nikt z nas nie pozna tej gazety. A doprowadzenie do tego będzie zależało w równej mierze od ciebie, jak ode mnie!

– Tak. – Uśmiechnęła się z ulgą, że wciąż był tym samym Davidem, szczerym i bystrym. I że nie było prawdą to, co mówili pismacy w lokalnym pubie obok siedziby „Daily News”, zwanym pieszczotliwie Nożem w Plecy (bo to głównie się tam działo): że mu odbiło.

Na szczęście, Suzan nie wiedziała o drugiej plotce, którą sobie powtarzano w Nożu: że może być tylko jeden powód, dla którego poleciała jak na skrzydłach do cholernego Selden Bridge. I że sekretarz redakcji zbierał zakłady, jak długo potrwa, zanim stanie się to, co się stać musi.

Suzan postawiła torebkę na swoim nowym biurku i się uśmiechnęła.

– No, to do roboty.

David uśmiechnął się w odpowiedzi, a w kącikach jego niebieskich oczu pojawiły się wesołe zmarszczki. Znał Suzan na tyle dobrze, by wiedzieć, o czym myślała. Uważała, że popełniła straszny błąd, ale i tak zamierzała zrobić, co w jej mocy. To właśnie najbardziej mu się w niej podobało. Jej determinacja.

Kiedy sięgnęła po telefon, żeby zadzwonić po raz pierwszy jako redaktorka działu kobiecego „Selden Bridge Star”, nagle uświadomił sobie, kogo mu przypominała. Liz. Miała tę samą ikrę, tę samą zawziętość, by wyciągnąć coś pozytywnego z niepomysłnej sytuacji. Było nawet coś w krągłości jej policzków i sposobie, w jaki trzymała głowę, co przypominało mu Liz sprzed lat, kiedy też zaczynała w lokalnej gazecie, zresztą bardzo podobnej do tej.

David odwrócił się gwałtownie, zły na siebie. Musiał w końcu zapomnieć o Liz. Kiedy podniósł wzrok, zobaczył, że Suzan mu się przygląda i się uśmiechnęła. Naprawdę była piękną dziewczyną.

– Cześć, Ginny. – Liz przysiadła na krawędzi biurka przyjaciółki następnego dnia rano i uśmiechnęła się z lekkim zakłopotaniem. – Słuchaj, przepraszam cię za wczoraj. Może pójdziemy na lunch i pogadamy, jak by to zrobić, żeby nas wszystkich odciążyc w pracy?

Ginny popatrzyła na nią zimno.

– Przepraszam, Liz, ale jestem dziś zajęta. – Jej ton sugerował, że będzie zajęta zawsze, kiedy Liz poprosi ją o spotkanie.

Liz wzięła teczkę i poszła do swojego gabinetu. W środku oparła się o drzwi, zamknęła oczy i mimo wszystko starała się mieć nadzieję, że ceną, jaką przyjdzie im zapłacić za sukces WomanPower, nie będzie ich przyjaźń.

Z głównej części biura dobiegły ją odgłosy jakiegoś zamieszania. Chyba nie pojawił się już jakiś niezadowolony klient? Może wszedł jakiś włóczęga z ulicy? Zapominając o Ginny, uchyliła drzwi.

Na środku biura stał Gavin, trzymając jedną ręką Bena, a drugą Amy. Liz jeszcze nigdy nie widziała go tak rozzłoszczonego.

– Na litość boską, Ginny, co się z tobą dzieje? Ben miał dzisiaj iść do szpitala na badania w związku z astmą. Czekaliśmy na tę wizytę od paru miesięcy, a teraz właśnie zadzwonili ze szpitala, żeby się zapytać, gdzie jest Ben.

Ginny patrzyła na nich z nieszczęśliwą miną.

– Przepraszam. Byłam taka zajęta, że zapomniałam.

– Tak jak zapomniałaś odebrać ich od opiekunki w zeszłym tygodniu? Na litość boską, Ginny, prawie w ogóle cię nie widzimy. Nie liczymy się już dla ciebie w porównaniu z twoją błyskotliwą karierą?

– Rany boskie, Gavin, nie bądź śmieszny. A w ogóle to dlaczego ty nie możesz go chociaż raz zabrać do szpitala, dlaczego to zawsze muszę być ja?

Widząc, jak jego rodzice krzyczą na siebie na oczach tych wszystkich obcych ludzi, Ben, zawsze dzielny i dorosły ponad swój wiek, nagle się rozpłakał, a Amy poszła w jego ślady.

Ginny jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę z tego, gdzie jest i co się dzieje. Przytuliła mocno Amy i poklepała ją po główce.

– Nie martw się, kochanie, wszystko jest w porządku.

Zauważyła Liz, stojącą w drzwiach swojego gabinetu, i chyba po raz pierwszy zrozumiała, co przyjaciółka próbowała jej powiedzieć.

– Och, Lizzie. – Podbiegła do niej, a Liz objęła Ginny i Amy, sama wzruszona niemal do łez. – Nic nie jest w porządku, prawda? Co my teraz zrobimy?

– Nie wiem, Ginny. Ale coś wymyślimy.

Wiedziała, że będą musiały znaleźć rozwiązanie. WomanPower to był genialny pomysł. Ale stawał się potworem, który pochłonie ich życie, jeśli mu na to pozwolą.

– Po pierwsze, potrzebujemy więcej ludzi. Więcej wodzów i więcej wojowników. – Liz przez całą noc rozmyślała, co zrobić z WomanPower.

– Na przykład kogo?

– Na początek Mel. Już z nią gadałam i jest chętna w to wejść.

Ginny skrzywiła się sceptycznie.

– Mel za nic nie wyjedzie z Londynu. Jest częścią krajobrazu. Jak Pałac Buckingham, tylko z mniejszą klasą.

– Tak było przed Garthem.

– A kim jest ten Garth? Brzmi jak jakaś postać z He-Mana.

– Nigdy go nie poznałam. Ale to prawdziwa miłość, jak twierdzi Mel, a Garth marzy, żeby znów żyć na wsi.

– O mój Boże, tylko mi nie mów, że to jeden z tych młodych gości z wyższych sfer w zielonych kaloszach i w dżipie, którzy chcą tu przyjechać i odgrywać pana dziedzica?

– Nie sądzę. Z tego, co mówi Mel, wynika, że Garth to raczej ktoś w typie strażnika Teksasu.

– No, to już coś.

– Ale nawet jeśli Mel do nas dołączy, to nie wystarczy. – Liz gryzła w zamyśleniu koniec ołówka. – Potrzebujemy jakiegoś doradcy, kogoś, komu możemy ufać, kto prowadził własną firmę i mógłby nam powiedzieć, czy rzeczywiście da się kierować WomanPower na takich warunkach, na jakich nam zależy. Właściwie – Liz popatrzyła przez chwilę na swoje dłonie – to mam już kogoś na myśli.

– Kogo?

– Britt.

Ginny aż poderwała głowę.

– Britt? – pisnęła cienko.

– Tak, Britt – potwierdziła stanowczo Liz. – Pamiętasz Britt? Wysoka, blond włosy, odbiła mi męża.

– Dobra, zgadzam się. Pod dwoma warunkami. – Britt siedziała naprzeciwko Liz przy okrągłym stole, przy którym w WomanPower odbywały się ważne spotkania.

Liz poczuła, jak ogromny kamień spada jej z serca. Britt im pomoże. Była najlepszą businesswoman, jaką Liz знаła. I chyba miała się już znacznie lepiej. Najwyraźniej rzuciła się w wir pracy, żeby zapomnieć o poronieniu. Znowu była dawną Britt, tyle że miłszą. Dużo miłszą.

– A co to za warunki?

– Po pierwsze, dostanę pełny dostęp do waszych finansów, aż do ostatniego pensa wydawanego na spinacze. A po drugie...

Urwała na chwilę.

– Po drugie?

– Że mnie nie znieawidzicie, jeśli będę wam musiała powiedzieć jakąś trudną prawdę.

– Trudne prawdy to właśnie to, czego nam trzeba.

Britt wbiła wzrok w swoją kawę.

– Liz, chciałam powiedzieć jeszcze jedną rzecz. Dziękuję, że mnie poprosiłaś.

– Dziękuję, że się zgodziłaś.

Ich oczy spotkały się na sekundę, złączone zaufaniem.

Kiedy Liz poszła po raporty potrzebne Britt, zza drzwi wyjrzała Ginny.

– Cześć, Britt. Kiedy zaczynasz?

– Od poniedziałku.

– Może wolałabyś od niedzieli? Przyjdź do nas na lunch. Chcemy wskrzesić z Gavinem ten mały rytuał, żeby wzmocnić nasze niedomagające małżeństwo. Koktajle Pimm's o dwunastej. Jedzenia jak dla pułku wojska, a potem odsypianie w fotelach z niedzielnymi gazetami.

– Dzięki, Ginny, brzmi bajecznie, ale nie wiem, czy będę mogła. Miałam pewne plany.

– Szkoda – zniżyła głos do szeptu – bo ominie cię spotkanie z Panem Idealnym. Liz ma go wreszcie przyprowadzić i oficjalnie przedstawić.

– W takim razie – odszepnęła Britt z uśmiechem – będę musiała rzucić wszystko i przyjechać. Patrząc na Liz, nie mogę się doczekać, żeby go poznać.

W ciągu najbliższych dni pogoda zdążyła się znowu zmienić i w rezultacie niedziela była jednym z tych idealnych letnich dni, które wzbudzają we wszystkich patriotyczne uczucia i każą wierzyć w Anglię, zieloną krainę. Słońce świeciło od

wczesnego ranka, niebo było błękitne, a wysoko po nim płynęły puchate chmurki, takie jak na poszewce kołdry Jamiego.

Goście Ginny wysypali się przez drzwi balkonowe do ogrodu, a dzieci szalały w sadzie.

Britt przyglądała się Liz, zadziwiona zmianą, jaka w niej zaszła w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Zrzuciwszy troski dotyczące WomanPower na barki Britt, przynajmniej na tydzień czy dwa, promieniała szczęściem jak bohaterka hollywoodzkiego musicalu, która wie, że wszystko się dobrze skończy.

Britt dyskretnie rozejrzała się w poszukiwaniu mężczyzny, którego zasługą to było. Znała większość gości, ale dostrzegła faceta zatopionego w rozmowie z Gavinem, którego widziała po raz pierwszy. Był wysoki i przystojny, miał niezwykle zielone oczy, a ciuchy tak subtelnie eleganckie i drogie, że wyglądał, jakby zszedł z planu jakiejś reklamy, może martini albo któregoś z nowych modnych piw.

Przez chwilę pomyślała o Davidzie, leżącym bez butów na jej białej sofie i wpatrzonym w ryczący telewizor. Wtedy miału mu za złe to niechlujstwo, ale teraz, w zestawieniu z nieskazitelnym Nickiem Wintersem, David wydawał się jej w jakiś sposób prawdziwy, trójwymiarowy.

Co ją tak niepokoiło w Nicku? Był oszałamiający, piękny i bogaty i Liz była z nim szczęśliwa. Skoro był taki idealny, to dlaczego dotychczas żadna sprycula go nie usidliła, nie przeprowadziła się z nim do rezydencji w stylu Tudorów z basenem i nie rodziła mu co roku dziecka, żeby utrudnić rozwód?

Nagle ktoś chwycił ją za rękę i pociągnął w jego stronę. To była Liz.

– Nick, musisz poznać Britt.

Britt poczuła na sobie spojrzenie przenikliwych zielonych oczu. A potem Nick się uśmiechnął. Ale nie był to ciepły, kpiący uśmiech, który tak uwielbiała u Davida. Uśmiech Nicka wydawał jej się świadomie czarujący, jakby ten urok był nie tyle naturalną cechą, ile raczej użyteczną walutą.

Nick wskazał stojącego obok starszego mężczyznę w czerwonym kaszmirowym kardiganie.

– Poznałeś już mojego współnika, Henry’ego Carlisle’a?

Britt uśmiechnęła się do tego starszego faceta, a jej uwagi nie uszły pięknie wypielęgnowane paznokcie, nienagannie wypastowane buty oraz otaczająca go aura znużonej cierpliwości. I nagle mnóstwo kawałków układanki wskoczyło na swoje miejsce.

– To co myślisz o Panu Idealnym?

Ciekawa reakcji Britt, Mel zapomniała, że miała już nigdy w życiu z nią nie rozmawiać, i przysiadła na poręczu jej fotela, omal nie rozlewając drinka.

Britt wyjrzała do ogrodu, gdzie stali roześmiani Nick i Liz, rozświetlona blaskiem słońca złota para.

– Liz jest przy nim bardzo szczęśliwa.

– Tak. – Mel pociągnęła łyk wina i obserwowała ich znad kieliszka, a w jej głosie dało się wyczuć leciutkie napięcie. – Rzeczywiście jest, prawda?

– À propos. – Britt uśmiechnęła się do Mel z autentyczną radością. – Gratulacje. Podobno będziesz pracować w WomanPower?

– Tak, szaleństwo, co? Będę zajmować się PR-em i ogólnie pomagać. Nie wiem, czy wytrzymam pięć minut. Jestem mieszcuchem do szpiku kości. Ale Garthowi ten pomysł bardzo się podoba. Wiesz, całe to polowanie, strzelanie i łowienie ryb.

Britt usiłowała wyobrazić sobie Gartha w pumpach do kolan, ze strzelbą przewieszoną przez ramię, ale się poddała. Z tego, co Mel mówiła o hojnym wyposażeniu Gartha przez naturę, można było wnioskować, że pewnie by się potykał o własny sprzęt.

Mel nagle sobie przypomniała, że obiecała poroznosić przekąski, więc zerwała się z poręczy fotela. Jeśli Ginny zaniedbała kuchnię, by stać się ambitną panią dyrektor, to dziś się z pewnością zrehabilitowała. Mel ledwie mogła się powstrzymać przed skosztowaniem apetycznych miniquiche'ów ze szparagami, krewetek i ostryg zawiniętych w plastry bekonu, kiedy ruszyła z tacą do ogrodu.

Wsuwając sobie do ust przepiórcze jajko na toście, Mel rozejrzała się z poczuciem winy. Ale w salonie nie było żadnych gości. Słońce wywabило wszystkich na dwór i Mel ruszyła ich śladem.

Pół metra przez drzwiami na taras stanęła jak wryta. Tuż za nimi zobaczyła Nicka, który był sam. Liz pewnie wstała, żeby przynieść coś do picia, a on obserwował ją z tak namiętną tęsknotą, że Mel stała jak sparaliżowana, gapiąc się na niego.

Szczęściara z tej Liz! Wzdychając z zazdrością, Mel wyszła na taras z talerzem przekąsek. Ale Liz nigdzie nie było widać. Zapewne poszła z Jamiem na spacer po sadzie.

Rozdział 31

Liz obudziła się i rozejrzała leniwie po sypialni Nicka. Słońce przeświecało przez zasłony i nadawało dębowej boazerii barwę starego złota. Wyciągnęła rękę i jej dotknęła. Była ciepła, mimo że na dworze panował jeszcze poranny chłód.

Uwielbiała budzić się tutaj, w tym pięknym domu ze skrzypiącymi podłogami, pokojami pełnymi słońca i bogato zdobionymi gipsowymi sufitami. Zazwyczaj każdego wieczoru wracała do domu, żeby Jamie i Daisy za nią nie tęsknili, ale dzisiaj była sobota i dzieci zostały na noc u Ginny.

Przewróciła się na drugi bok, żeby obudzić Nicka pocałunkiem, ale okazało się, że druga połowa łóżka jest pusta. Poczła irracjonalne ukłucie paniki. Czy Nick przepadł, zniknął, odszedł bez słowa? Nagle uświadomiła sobie, jak bardzo by jej go brakowało. Może czasem doprowadzał ją do szału – jak wtedy, gdy zabrał Dawn na lunch i narobił Liz wstydu przed wszystkimi pracownikami, a następnego dnia przysłał tak ogromny bukiet kwiatów, że poczuła się jeszcze bardziej zażenowana, bo wszyscy się zastanawiali, za co właściwie aż tak ją przeproszał. Ale zaczynała się uczyć, że to typowe zachowania Nicka. Uważał, że wspaniały gest i romantyczna niespodzianka mogą wszystko wynagrodzić.

Usłyszała, jak wchodzi po szerokich schodach. Kilka sekund później drzwi się otworzyły i stanął w nich z tacą ze śniadaniem, przykrytą lśniącem białym obrusem, na którym leżała róża.

Poczła kawę i croissanty i nie mogła powstrzymać uśmiechu, siadając w łóżku oparta o poduszki. Kolejny idealny poranek. Niesamowite, ile sobie czasem zadawał trudu, żeby dopilnować, by wszystko było perfekcyjne. Każdy hotel piękny, każdy widok olśniewający, każdy posiłek pyszny.

Kiedy ugryzła ciepłego croissantu, zastanowiła się przez chwilę, jak Nick by sobie poradził, gdyby zepsuł się samochód, którym jechaliby z Jamiem i Daisy albo gdyby jedzenie okazało się paskudne, albo w hotelu był problem z rezerwacją. Ale może takie rzeczy Nickowi się nie zdarzały.

Popatrzyła na zegarek i pocałowała go czule.

– Muszę lecieć do domu.

Nick się uśmiechnął. Tym czarującym uśmiechem, który flirtował z samozadowoleniem, ale w samą porę potrafił się wycofać.

– Ach, ależ nie idziesz do domu.

– Jak to nie? Muszę odebrać Jamiego i Daisy.

– Nie musisz. Zostają dalej u Ginny.

Jego kpiąca mina doprowadzała ją do szału.

– Niby po co?

Przysiadł na krawędzi łóżka, nie mogąc już dłużej wytrzymać.

– Ponieważ ty i ja wyjeżdżamy na długi weekend.

Liz zakrztusiła się kawą.

– Ale ja nie mam żadnych ciuchów.

– Owszem, masz. – Sięgnął pod łóżko i wyciągnął walizkę. – Ginny cię spakowała.

Liz ukryła twarz w dłoniach. Nie mogła uwierzyć, że Nick mówi poważnie. Musiała przyznać jedno – życie z nim nigdy nie było nudne ani przewidywalne.

– No to dokąd jedziemy?

Tym razem samozadowolenie w jego głosie było ewidentne, ale ujmujące, jakże ujmujące.

– To tajemnica.

Liz wyglądała przez okno, za którym przesuwały się wiejskie krajobrazy, i z radości objęła się ramionami. Omijali Londyn od północnego wschodu. A zatem Anglia Wschodnia. Cudownie! Uwielbiała wybrzeże Suffolk, dzikie, samotne, z niekończącymi się pustymi plażami i niezwykłym światłem, które inspirowało tylu malarzy. Milion kilometrów od jej cichego, łagodnego Sussex.

Prawie dwie godziny później, tuż przez miasteczkiem Woodbridge, Nick skręcił w lewo w wąską wiejską drogę i prawie natychmiast zjechał na ukryty podjazd, który prowadził do zapierającej dech w piersiach rezydencji ziemskiej z czasów Tudorów. Był to doskonale zachowany ceglany budynek z sześcioma szczytami obrośniętymi bluszczem i z wysokimi stylowymi kominami. Dyskretny szyld oznajmiał, że oto stali przed Sackville Hall Country House Hotel.

Chociaż dwór sam w sobie był niesamowity, to jednak największe wrażenie zrobiło na Liz jego podobieństwo do innego, świetnie jej znanego budynku. Sackville Hall był większą, wspanialszą wersją jej rodzinnego domu, Five Gates Farm.

– Coś ci przypomina?

– Och, Nick, jest nadzwyczajny!

– Tak myślałem, że ci się spodoba. – Wyciągnął rękę i pogłaskał ją po włosach. – Poczekaj, aż zobaczysz pokój. Mam tylko nadzieję, że będzie taki jak w prospekcie.

– Numer siedem, sir? – odezwał się z uśmiechem kierownik hotelu. – Sypialnia Tudorów, nasz najlepszy pokój.

Poprowadził ich obok Great Hall, sali o rzeźbionych ścianach, gdzie inni goście jedli podwieczorek, obok akwarium pełnego żywych homarów, złowionych tego dnia w pobliskim Aldeburghu, i dalej na górę wyłożoną boazerią klatką schodową do ich pokoju.

Kiedy otworzył drzwi i odsunął się na bok z dumą, Liz westchnęła z zachwytem. W pięknym wnętrzu dominowało największe łóżko z baldachimem, jakie kiedykolwiek widziała.

– To najstarszy mebel w naszym domu – rozpromienił się kierownik. – Powstało w 1587 roku. Jest tak duże, że nikomu nigdy nie udało się wynieść go z budynku. – Zniżył głos, przechodząc od dumy do respektu. – Królowa Elżbieta I zatrzymywała się ze swoim dworem w Sackville Hall. I spała w tym łóżku.

Liz nie mogła w to uwierzyć.

– Och, Nick, jesteś niesamowity! – Zarzuciła mu ręce na szyję, a kierownik dyskretnie się wycofał. – Tylko ty potrafisz znaleźć łóżko, w którym naprawdę spała królowa Elżbieta!

Liz wychyliła się przez okno z szybkami w ołowianych ramkach w kształcie rombów i popatrzyła na rozległe trawniki opadające ku jeziorku. Jedna czy dwie osoby już usiadły na aperitif na białych żelaznych krzesłach pod ogromnym kasztanem rosnącym tuż nad wodą.

– Cóż to za zachwycający dom. Jak myślisz, ile ma lat? Piętnasty wiek? Spójrz na te ceglane kwiatony...

Ale Nick nie pozwolił jej dokończyć zdania. Odwrócił ją delikatnie, przyparł do okna i zaczął całować, aż straciła zainteresowanie architekturą Tudorów. Kiedy poczuł, że jej ręka oplata mu szyję, zaniósł ją do ogromnego łóża.

– A teraz, milady...

Uśmiechnął się uwodzicielsko i zaczął rozpinać jej guziki. Było idealnie. Królewskie łóżko. Ten hotel. A teraz to.

Poczuła, jak budzi się w niej pożądanie, jak ją ogarnia, tak że przyciągnęła go do siebie, rozpięła mu rozporek i szybko wprowadziła go w siebie, nie czekając nawet, aż się rozbiorą. Dopiero potem powoli, bezwstydnie, zdjęła mu koszulę i dżinsy i całowała jego palce u nóg, po tym, kiedy zdjęła mu najpierw jeden but, potem drugi. Podniosła wzrok i popatrzyła na niego z tak wyzywającym uśmiechem, że zsunął się z łóżka na podłogę koło niej i popchnął ją na miękkim dywan najlepszej sypialni w Sackville Hall Hotel.

– Wstawaj, śpiochu, przywdziej strojną toaletę. Rychło wybije pora koktajlu! – Nick klepnął ją bezceremonialnie w tyłek. – Właśnie zamówiłem ci homara na kolację.

Liz obudziła się i stwierdziła, że wciąż leży na podłodze, tyle że przykryta kocem, który Nick zapewne znalazł w przepastnej szafie. Spojrzała na zegarek. Wpół do ósmej! Gdzie się podziały ostatnie dwie godziny? Nawet się nie rozpakowała!

– Daj mi pięć minut. Wezmę szybki prysznic. Ty już zjedź na dół i zamów coś do picia.

Pocałował ją w ramię i wymknął się cicho do jadalni.

Liz zerwała się i pognęła pod prysznic. Gorący strumień wody orzeźwił ją w kilka sekund. Miała nadzieję, że Ginny spakowała jej odpowiednie ciuchy.

Bogu dzięki, w walizce była jej najszykowniejsza czarna sukienka, a także

przezroczyście czarne rajstopy i buty na obcasach. Kochana Ginny dorzuciła nawet koronkowy komplet bielizny. W niecałe pięć minut ubrała się, spryskała perfumami i była gotowa.

Już od tygodni nie czuła się taka szczęśliwa, zapomniała o WomanPower i wszystkich związanych z firmą troskach. Ruszyła w dół po schodach, kierując się do Great Hall, gdzie czekał na nią Nick. W połowie drogi zatrzymała się na podeście, żeby przyjrzeć się jednemu z gargulców wyrzeźbionych w wytwornej boazerii, usiłując rozpoznać, czy przedstawiał on mnicha czy rycerza. Odwróciła się ze zdziwieniem, bo usłyszała dobiegające z dołu podniesione głosy. Zapewne któryś z gości zgłaszał jakąś skargę.

Kiedy pokonała ostatnie kilka stopni, stwierdziła ze zgrozą, że tym gościem był Nick. Klócił się z wyrostkiem w stroju kelnera, który wyglądał na tak młodego i niedoświadczzonego, że Liz domyślała się, iż pewnie pomaga w hotelu w ramach pracy wakacyjnej.

– Bardzo mi przykro, sir, naprawdę pana przepraszam. Ale to była pomyłka. Ostatni homar został zarezerwowany przed państwa przyjazdem.

– To skandal. Powiedzieliście mi, że możemy zjeść na kolację homara i mam taki zamiar! – Nick mówił tak głośno, że wszystkie pary w holu odwracały się, by na niego spojrzeć. Boże, nie znosiła takich scen; jak, do licha, mogłaby go powstrzymać?

– Niezmiernie mi przykro, sir. – Liz zobaczyła, że kelner rozgląda się nerwowo, ewidentnie przerażony wizją, że lada chwila pojawi się kierownik. – Może moglibyśmy państwu zaproponować chateaubriand béarnaise. To specjalność szefa kuchni.

– Nie chcę cholernego steka. Chcę homara.

Liz patrzyła zszokowana. Nick zachowywał się jak Jamie.

– Nick. Nick, kochanie, ja uwielbiam chateaubriand.

– A ja nie. Poza tym zamówiłem wino, które nie będzie pasować do steka!

Ze zgrozą stwierdziła, że Nick zaczął krzyczeć. Stanowczym gestem wzięła go pod rękę.

– Może moglibyśmy zobaczyć menu w Great Hall? – Pomyślała, że kieliszek sherry i przeglądanie karty przy trzaskającym ogniu na kominku powinny go uspokoić.

Ale się myliła.

– Nie chcę oglądać menu, chcę się widzieć z kierownikiem.

Wyrostek wyglądał, jakby za moment miał rzucić się na kolana i błagać Nicka, żeby zgodził się na stek.

Liz zaczęła tracić cierpliwość.

– Nick, to tylko kolacja, na litość boską! Na pewno w menu jest mnóstwo pysznych rzeczy.

Ale Nick się nie poddawał.

– Nie o to chodzi! Pokój kosztuje dwieście cholernych funtów, a obsługa jest gorsza niż w knajpie na dworcu!

– Przepraszam...? – Liz odwróciła się i zobaczyła parę starszych Amerykanów. – Może chcieliby państwo naszego homara? Jesteśmy z Maine i dla nas to trochę jak fasola w sosie pomidorowym, jemy go codziennie.

Amerykanka o aparycji miłej babci uśmiechnęła się do nich życzliwie.

– Spróbujemy rostbefu. Właściwie to bardziej angielskie.

Liz zaczerwieniła się aż po korzonki świeżo wyszczotkowanych włosów.

– Bardzo państwu dziękujemy, to szalenie miło z państwa strony. Ale nie moglibyśmy...

Zanim zdążyła dokończyć zdanie, Nick odwrócił się do Amerykanów rozpromieniony.

– Jakże wspaniałomyślnie z państwa strony. – Uśmiechnął się swoim najbardziej rozbrajającym uśmiechem. – Rozumieją państwo – dodał, jakby to wszystko tłumaczyło – zamówiłem już entre deux mers, a tego nie da się pić do steka.

Dziękując raz jeszcze, Nick, wyraźnie zaniepokojony, że dług wdzięczności może obligować go do dłuższej rozmowy ze starszymi Amerykanami, zaprowadził Liz do jadalni na kolację, która – jak się obawiała – mogła jej stanąć kością w gardle.

– Głupie stare przyki – mruknął pod nosem – pewnie i tak piją do homara coca-colę.

Liz nie odważyła się spojrzeć za siebie, żeby sprawdzić, czy mili starsi państwo usłyszeli te słowa.

Później tego wieczoru, po znakomitej, ale zjedzonej w potwornym napięciu kolacji złożonej z coquilles St Jacques oraz homara z Aldeburgha w topionym maśle, ku bezgranicznej uldze Liz Nick częściowo się zrehabilitował, przesyłając Amerykanom butelkę szampana i zapraszając ich, by dołączyli do niego i Liz w Great Hall na kawę. Tam, przy kominku, pijąc kawę i racząc się likierami, przystąpił do oczarowywania ich prześmiesznymi opowieściami o życiu brytyjskich wyższych sfer, a nawet, co zdumiało Liz, na koniec wieczoru wręczył im swoją wizytówkę z numerem telefonu.

W Selden Bridge David z trzonym zespołu „Star” siedzieli do późna, żeby przygotować do druku rozszerzony numer. Rozejrzał się po jasno oświetlonej redakcji z równymi rzędami komputerów, ze stanowiskami z białej melaminy do robienia makiet oraz podłogą przykrytą grubą wykładziną. Przyjemne miejsce do pracy; w niczym nie przypominało gazet, w których zaczynał, mających więcej wspólnego z szatańskimi młynami Blake’a^[12] niż z tym cichym, czystym otoczeniem.

Przez chwilę wspominał szczęk gorącego metalu, stukot staroświeckich maszyn do pisania i pomruk maszynistek, powtarzających dyktowane im teksty reporterom stojącym gdzieś daleko w budce telefonicznej i mającym nadzieję, że przed ostatnim akapitem nie skończą im się monety. Teraz podobno wszyscy reporterzy mieli supernowoczesne urządzenia w swoich samochodach, a maszynistki wysyłano na emeryturę.

Najbardziej jednak wrył mu się w pamięć terror wprowadzany przez drukarzy. Do dziś pamiętał odczuwany w młodości strach przed dotknięciem czegokolwiek w ich królestwie.

„Co ty, kuźwa, robisz, kolego?” – ryczeli drukarze, jeśli tylko podniosło się choćby jedną stronę maszynopisu. Teraz, dzięki nowej technologii, dziennikarze robili to wszystko sami na swoich komputerach. I nikt specjalnie drukarzy nie oplakiwał. Przez lata branża prasowa była przez nich zdominowana. A jednak David tęsknił za niektórymi rzeczami sprzed rewolucji technologicznej. Praca w gazecie wiązała się wtedy z pewnym radosnym podnieceniem, którego w nowych redakcjach, wygodnych i cichych jak biuro podróży, nie da się odtworzyć.

David czytywał numer, który zszedł z maszyn, i z przyjemnością zauważył, jak bardzo poprawił się dział kobiecy w ciągu tych kilku tygodni, odkąd do zespołu dołączyła Suzan. Dział stawał się najpopularniejszą częścią gazety, przychodziło do niego mnóstwo listów i wyglądało na to, że przyciąga nowych czytelników. David myślał nawet o rozszerzeniu go na dodatkowe strony.

Suzan miała prawdziwy talent. Była energiczna i pełna entuzjazmu, zawsze gotowa zakasać rękawy, a do tego znakomicie pisała; miała styl, który mógł ją wynieść na szczyty. Zastanawiał się, dlaczego właściwie przyjęła jego propozycję. Siedziała w robocie w sobotę o dziesiątej wieczorem w jakiejś małej prowincjonalnej gazecie. Czyżby rzeczywiście z jego powodu?

Uśmiechnął się do niej, gdy pakowała swoje rzeczy do przepastnej torby na ramię. Reporterski notatnik, teczki z dokumentami, długopisy i wysłużony notes z kontaktami, który wszędzie ze sobą nosiła, chociaż się rozpadał i miał ze sto doklejonych taśmą stron, bo była zbyt niecierpliwa, żeby kupić nowy i skrupulatnie przepisać wszystkie numery telefonów. Włożyła wielki wojskowy szynel, dziwnie kontrastujący z krótką spódniczką i będącymi jej znakiem rozpoznawczym martensami, i odpowiedziała mu uśmiechem.

– Chodź, David – powiedziała, kiedy ostatni dziennikarze trzasnęli drzwiami. – Jeszcze godzina do zamknięcia pubów. Wypijmy sobie po piwie. Zasłużyliśmy.

O dziewiątej trzydzieści następnego ranka, kiedy Liz wynurzała się powoli ze snu po nocy pełnej upojnego seksu i zastanawiała się, czy nie spóźnili się na śniadanie, rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju wszedł kelner z tacą – na

szczęście nie ten, który brał udział we wczorajszej scysji. Dyskretnie postawił tacę na stole pod oknem wychodzącym na jezioro i wyszedł.

Patrząc na nienaganny biały obrus, jej ulubione róże Pink Sonja, małą butelkę szampana i dwa kieliszki, Liz sięgnęła po jedwabny szlafrok i wreszcie zauważyła czarne skórzane pudełeczko, umieszczone na środku koszyka z pieczywem.

– No, otwórz – uśmiechnął się Nick.

W pudełeczku był przepiękny pierścionek. Z olbrzymim brylantem otoczonym mniejszymi, w kształcie kwiatu.

– Och, Nick, jest idealny!

– Nie do końca. – Wziął od niej pierścionek i wsunął jej na palec.

– Pani Ward, wyjdzie pani za mnie?

Liz zachwyciła się czystym mistrzostwem tej chwili. Nick minął się z powołaniem. Powinien był zostać reżyserem teatralnym. Tylko że tym razem odtwórczyni głównej roli dostała niewłaściwy scenariusz.

– Bardzo bym chciała. Ale najpierw muszę zapytać pana Warda.

Miał to być żart, ale błysk irytacji w oczach Nicka uświadomił jej popełniony błąd. Dlaczego, na litość boską, powiedziała coś tak głupiego?

Zastanowiła się przez chwilę nad jego propozycją. To była poważna decyzja. Nick potrafił być zarówno cudowny, jak i doprowadzać ją do szału. Dzięki niemu jednak znów czuła, że żyje. Próbowwała żyć z kimś pełnym pasji i poważnym, i nie wypaliło. Natomiast Nick był uroczym lekkoduchem, z którym życie stawało się romantyczną, nieprzewidywalną przygodą. Można trafić gorzej.

– Poprawka. Tak, panie Winters, wyjdę za pana.

Kiedy dołączyli do sznura samochodów wracających po weekendzie z wiejskich ustroni, Liz zaczęła się zastanawiać, jak przekazać wiadomość o zaręczynach Jamieu i Daisy. Mała uwielbiała Nicka, ale Jamie nadal tęsknił za ojcem. Będą musieli trzymać to w tajemnicy, przynajmniej dopóki David nie zgodzi się na rozwód. Liz ponosi pierścionek przez to popołudnie, a potem go zdejmie.

David. A jak on przyjmie tę wieść?

Patrząc przez okna na ponure zaplecza supermarketów budowlanych i gigantycznych magazynów meblowych znaczących przedmieścia Londynu, Liz wyobraziła sobie, jak David się pieni, ciska gromy i rzuca słuchawką, kiedy mu powie, że chce rozwodu.

Z jakiegoś irracjonalnego powodu ta myśl sprawiła jej niespodziewaną przyjemność.

– Wejdz jeszcze na ostatnią filiżankę herbaty. Nie mogę znieść myśli, że ten cudowny weekend się kończy.

Liz chciała już wracać do Jamiego i Daisy, ale Nick usilnie nalegał, żeby

koniecznie do niego wstąpiła. Roześmiała się na widok jego ujmującego uśmiechu i potargała mu włosy, zupełnie jak Jamiemu. Pół godziny jej przecież nie zbawi.

Kiedy czekali w salonie na herbatę, zauważyła, że w wazonach stoją kwiaty, a na kominku buzuje ogień. Ta gospoia Nicka była warta swojej wagi w złocie. „Mam nadzieję, że zostanie, kiedy się pobierzemy” – pomyślała Liz. Co za dziwna myśl. Pewnego dnia będą tutaj mieszkać.

Pojawiła się gospoia w towarzystwie Henry’ego.

– Henry! – Nick wstał uśmiechnięty. – Chodź, napijesz się z nami herbaty.

Nieco niechętnie, jak się zdawało Liz, Henry usiadł koło niej na kanapie.

– Mieliście dobry weekend?

– Wspaniały – odpowiedział swobodnie Nick, koncentrując się na nalewaniu herbaty. – Zaręczyliśmy się. Liz, pokaż Henry’emu pierścionek.

Wyciągając rękę do Henry’ego, Liz spoglądała z uśmiechem na pierścionek, urzeczona brylantami, które mieniły się tęczo w blasku ognia. Nie widziała więc wyrazu strasznego bólu, który wykrzywił twarz Henry’ego, kiedy ten zmusił się, by się pochylić i popatrzeć na pierścionek.

– No, Henry. – Nick skończył nalewać herbatę i podał mu filiżankę. – Nie pogratulujesz nam?

Rozdział 32

– Zareczyłaś się? Wczoraj się zareczyłaś? – Mel starała się, żeby w jej głosie nie było słycać szoku, chociaż czuła się jak ogłuszona.

Liz uśmiechnęła się nieśmiało do swoich trzech przyjaciółek i położyła na okrągłym stole w gabinecie czarne skórzane pudełeczko. Olbrzymi brylant mrugał do nich znacząco z niebieskiej aksamitnej wyściółki.

– Wow! Założę się, że nie kupił go z katalogu Argos! – Ginny podniosła pierścionek, obróciła do światła i patrzyła, jak kosztownie się mieni. – Och, Lizzie, jest piękny! – Objęła przyjaciółkę. – Tak się cieszę! Zaslugujesz na dobrego faceta!

Liz przeniosła wzrok z pierścionka na Britt i Mel.

– A wy mi nie pogratulujecie?

Nieświadomie wymieniły spojrzenia i na chwilę zapadła cisza, zanim Mel odpowiedziała:

– Może jestem staroświecka, ale czy przypadkiem nie masz już męża?

– Tylko teoretycznie. Poza tym David musi się zgodzić na rozwód.

– Naprawdę? – Mel popatrzyła na nią sceptycznie. – Mnie się zawsze wydawało, że ma nadzieję na łzawe pojednanie w ostatnim akcie.

– Nonsens. Żyje z tą małolată w Snelden Bridge.

– Selden Bridge – poprawiła Mel. – A ona nie jest małolată. I o ile mi wiadomo, wcale razem nie mieszkają. Dziewczyna redaguje dział kobiecy.

– Jasne. A widziałaś, jak wygląda? I niby dlaczego miałyby rzucać błyskotliwą karierę i wynieść się do jakiejś zabitej dechami prowincjonalnej dziury, jeśli się w nim nie kocha?

– Liz, czyżbym wyczuwała tu postawę psa ogrodnika?

– Oczywiście, że nie. Cieszę się jego szczęściem.

– Naprawdę? No to miejmy nadzieję, że on cieszy się twoim. Powiedziałaś mu już?

Liz wzięła do ręki jakąś teczkę i przesunęła ją bez celu po biurku.

– Jeszcze nie.

– To może lepiej mu powiedz, zanim twój Richard Gere zarezerwuje ustronie na miesiąc miodowy?

– Ha! Cóż to była za świetna decyzja, żeby wam się przyznać.

Mel wzruszyła ramionami i wreszcie udało jej się uśmiechnąć.

– Gratulacje, Lizzie. Mam nadzieję, że będziesz naprawdę szczęśliwa. – Mel żałowała, że nie potrafi wykrzesać z siebie więcej entuzjazmu. Na niczym jej tak nie zależało, jak na szczęściu Liz.

– A ty, Britt? Też zamierzasz mi palnąć kazanie?

– Oczywiście, że nie – odparła cicho Britt. – To cudowna wiadomość. – Liz

zauważyła, że Britt wygląda, jakby bardzo chciała zmienić temat. Usiadły już przy okrągłym stole konferencyjnym. – Wiem, że ślubne plany są znacznie ciekawsze – mówiąc to, Britt otworzyła aktówkę i wyjęła z niej dużą teczkę – ale może któraś z was chce posłuchać o przyszłości WomanPower?

Liz odłożyła pierścioneł do pudełeczka i zamknęła je z wściekłym trzaśnięciem. Nie miała zamiaru pozwolić, by ta chłodna reakcja zepsowała jej taką chwilę. Pewnie były zazdrosne. Szczęście innych zawsze wytrąca z równowagi. Zmusza cię do przyjrzenia się własnemu życiu pod lupą, a często to, co tam zobaczysz, wcale ci się nie podoba.

Schowała pudełeczko do torebki i uśmiechnęła się z politowaniem do przyjaciółek. Nie były zakochane, biedaczki. Ale ona była, a miłość na szczęście czyni człowieka wielkodusznym. Wybaczyła im.

– Mówiąc brutalnie, musicie zdecydować, czy prowadzicie firmę, czy bawicie się w sklep.

Britt bała się tego spotkania, bo wiedziała, że to, co ma im do powiedzenia, nie będzie tym, co jej przyjaciółki chciały usłyszeć. Ale miała też świadomość, że muszą tego wysłuchać, czy im się to podoba, czy nie.

– Plus jest taki, że WomanPower to świetny pomysł i olbrzymi sukces. Mogłybyście rozwinąć wasz biznes w świetnie prosperującą superkorporację. – Powiodła wzrokiem po twarzach trzech obserwujących ją uważnie kobiet. – Dla większości firm to byłby miód na serce i muzyka dla uszu. Ale WomanPower różni się od większości firm. Zaczęło się właściwie jako hobby i chcecie je prowadzić, pracując na pół etatu.

Britt wstała. Była przyzwyczajona do przedstawiania trudnych prawd twardym biznesmenom, ale nie swoim najlepszym przyjaciółkom.

– Obawiam się, że przed wami trudny wybór. Przeanalizowałam każdy aspekt działalności WomanPower i jestem przekonana, że istnieje tylko jedno rozwiązanie: obie musicie zaangażować się w pełnym wymiarze. Albo znaleźć kogoś na stanowisko dyrektora generalnego.

– Ale przecież już mamy dyrektora generalną: Liz! – zaprotestowała Ginny.

– Dyrektora generalną, która właśnie się zaręczyła, która lubi wyjeżdżać na długie weekendy i chce poświęcać czas dzieciom. – Britt wzruszyła ramionami, usiłując jakoś złagodzić cios.

– Co właściwie sugerujesz? – Tym razem to Liz się zdenerwowała. – Że nie traktuję swojej pracy poważnie? Kiedy dołączyłam do WomanPower, nie miałyśmy praktycznie żadnych klientów! Ginny omal nie straciła domu, na litość boską!

Britt chwyciła mocno oparcie krzesła.

– Wiedziałam, że tak będzie. Ściągacie mnie, żebym wam powiedziała prawdę, a kiedy to robię, wkurzacie się na mnie! Liz, nie sugeruję, że nie zależy ci

na WomanPower. Doskonale sobie radzisz. Ale WomanPower robi się za duże. A niestety takie są realia w biznesie, że nie można stać w miejscu. Kto się nie rozwija, ten się zwija.

– Dlaczego? – zapytała Ginny. – Dlaczego musimy koniecznie się rozwijać? Dlaczego nie możemy po prostu działać tak jak dotąd, z dwoma oddziałami, prowadząc firmę we dwie z Liz?

– Dlaczego zaczęłaś pracować Bóg wie ile? Czemu twój terminarz się coraz bardziej wypełniał? Bo jesteście rozwijającą się firmą! – Britt sięgnęła pod krzesło i wyjęła dwa pudełka. – Wiecie, co to jest? Listy pozostawione bez odpowiedzi! A wczoraj słyszałam, jak jedna z waszych rekrutek rzuciła słuchawką, rozmawiając z klientem. Wiecie, dlaczego? Bo miała czterech innych na linii. Biedaczka rwała sobie włosy z głowy. Nie możecie dalej działać w ten sposób. Przykro mi, ale prawda jest taka, czy wam się to podoba, czy nie, że padłyście ofiarą własnego sukcesu!

Liz popatrzyła Britt w oczy.

– Czyli chcesz nam powiedzieć, że mamy prosty wybór. Nic nie zmieniać i patrzeć, jak WomanPower upada, albo zatrudnić kogoś, kto będzie prowadził firmę za nas?

Britt poczuła wdzięczność, że Liz przynajmniej wydaje się gotowa, by spojrzeć prawdzie w oczy.

– Dokładnie o to mi chodzi.

– Ale kogo? Przecież możemy przyjąć niewłaściwą osobę. Kogoś, kto będzie uważał WomanPower za zwykłą firmę, kto nie zrozumie, co ona dla nas wszystkich znaczy.

– No to znajdźcie właściwą osobę.

Liz wstała, podeszła do okna i popatrzyła ponad dachami Lewes na rozciągające się w oddali wapienne wzgórza. Przecież czegoś takiego się spodziewała. Po prostu odsuwała to od siebie z powodu Nicka i zaręczyn.

– Może to nie najlepszy moment, żeby wam o tym przypominać – wszystkie spojrzały na Mel, która do tej pory się nie odzywała, czując, że to tak naprawdę ich show, a ona jest tylko nową dziewczyną w zespole – ale mam nadzieję, że nie zapomnieliście o tej PR-owej trasie objazdowej, którą zgodziłyśmy się zrobić wspólnie z Komisją do spraw Biur Pośrednictwa Pracy? Zaczyna się za niecałe dwa tygodnie.

– O Boże, kompletnie wyleciało mi to z głowy! – Liz odwróciła się z powrotem do pozostałych. – I to akurat teraz, kiedy Britt zauważyła, że nie wyrabiamy się z bieżącymi zleceniami!

– Będziemy musiały odwołać – stwierdziła beznamiętnie Ginny.

– Nie, tego bym nie robiła. Już samo to, że instytucja rządowa was zaprosiła, jest niesamowite. Gdybyście się wycofały, wyglądałoby to fatalnie. – Britt

w zamyśleniu przygryzła obsadkę długopisu. – Cóż, jest jeszcze jedno możliwe rozwiązanie.

Mel westchnęła z ulgą. Czułaby się jak skończona idiotka, gdyby musiała odwołać te wszystkie spotkania i konferencje, które zaplanowała z rządową komisją.

– No, jakie?

– Słyszaliście o Rossie Slaterze?

Ginny spojrzała na Liz, wyraźnie zdziwiona.

– Czy to nie ten, z którym przeprowadziłaś ten niby-wywiad, Liz? – zapytała. – Ten guru, który prowadzi World of Work?

– Co z nim? – Liz wciąż czuła się speszona na samo wspomnienie o Rossie Slaterze.

– Krąży plotka, że chce wam złożyć ofertę.

– Jaką ofertę?

– Trudno powiedzieć. Ale wiem od moich znajomych w City, że węszy od paru tygodni. Wygląda na to, że uważa, iż WomanPower ładnie by mu pasowało do portfela inwestycyjnego.

– I co by to oznaczało? – zapytała zdezorientowana Ginny.

– To by znaczyło – Britt skrzyżowała ramiona i oparła się o krzesło – że mogłybyście rzucić pracę w WomanPower i zasilić grono bogatych próżniaków!

– Ależ to byłaby rewelacja! To rozwiązałoby chyba wszystkie twoje problemy? Sprzedajecie firmę Rossowi Slaterowi, stajecie się bogate i nie musicie już w ogóle pracować! – Nick uśmiechnął się szeroko i ścisnął jej rękę. – Moglibyśmy kupić jacht! Popłynąć w rejs po Morzu Śródziemnym! To brzmi jak mój ideał!

Liz spojrzała ponad stolikiem kolejnej doskonałej restauracji na przystojną twarz Nicka. Dla niego wszystko było takie proste. Żadnych wzburzonych mórz wewnętrznego rozdarcia, żadnych zdradliwych prądów winy czy żalu. Dla Nicka życie było żegluga po spokojnych wodach. Robił to, co było najłatwiejsze i najprzyjemniejsze. Zazwyczaj uwielbiała jego beztroski urok. Ale dziś ją zirytował.

– Ależ Nick, ty nic nie rozumiesz! Ja kocham WomanPower. Wierzę w tę firmę. Jest wyjątkowa! Nikt inny nie pomaga kobietom z dziećmi w znalezieniu porządnej pracy. Udaje nam się nawet przekonywać firmy, żeby im przyzwolicie płaciły! Kobiety nie muszą już przeproszać za to, że są matkami!

Liz pociągnęła łyk wina i nagle uświadomiła sobie – co było przygnębiającą myślą – że Nick naprawdę tego nie rozumie. A na ile ich idee trafią do przekonania Rossowi Slaterowi? Może je po prostu potraktuje jak sentymentalizm, nieodpowiednią metodę prowadzenia biznesu? Jakoś nie mogła sobie wyobrazić Slatera stojącego na głowie, żeby walczyć o elastyczny czas pracy dla matek.

– Po prostu nie jestem pewna, czy mogłabym powierzyć WomanPower Rossowi Slaterowi.

Nick podniósł wzrok znad menu, zaskoczony gwałtownością jej reakcji.

– No to nie sprzedawajcie. Przecież nikt was nie zmusi. – Zerknął z powrotem w kartę, jakby rozmawiali o liście zakupów albo uzgadniali, dokąd by tu pójść coś zjeść. – Poza tym na razie nawet nie złożył wam propozycji. – Wyczuł jej dezaprobatę i wziął ją za rękę. – Natomiast ja tobie owszem. Kiedy zamierzasz poprosić tego swojego męża o rozwód?

Liz spojrzała na niego ze skruchą.

– Tak się składa, że jadę w przyszłym tygodniu w objazdową trasę PR-ową. Mel to zorganizowała: WomanPower razem z Komisją do spraw Biur Pośrednictwa Pracy, seria konferencji o zatrudnieniu kobiet, duża sprawa, dobra dla naszego wizerunku. Zaczynamy w Londynie i będziemy jeździć po całym kraju. Pomyślałam, że przy okazji wpadnę do Selden Bridge i z nim pogadam.

– Świetny pomysł. A potem będziemy mogli powiedzieć Jamiemu i Daisy.

– Tak – odparła Liz z powątpiewaniem. Do tego akurat zupełnie jej się nie śpieszyło. Ale najpierw musiała wyjaśnić sprawę z Davidem.

– No to co jeszcze mamy na tapecie oprócz zawodów psów pasterskich i konkursu rzutów kaloszem do celu? – David rozejrzał się po przejętych młodych twarzach, zgromadzonych wokół niego na cotygodniowym zebraniu. Wiedział, że jeszcze się nie przyzwyczaili do jego ironicznego poczucia humoru i czasem brali jego żarty dosłownie.

Redaktor wiadomości spojrzał na kartkę maszynopisu.

– Będzie demonstracja rodziców w podstawówce Prittleya, bo szkoła nie ma wystarczającej liczby nauczycieli i ciągle odsyłają dzieci do domu.

– Trudno ich winić. Nic dziwnego, że dzieciaki nie potrafią dzisiaj przeczytać nawet menu w McDonaldzie. I co jeszcze?

– Śmieciarze grożą strajkiem, jak nie dostaną podwyżek.

– Co w tym nowego? Ale lepiej śledźmy tę sprawę, dla czytelników śmieci są ważne. Coś jeszcze? Coś nieco bardziej spektakularnego? Wiem, że to nie „The Sun”, ale nie wierzę, że w Selden Bridge nikt się w nic nie miesza, tylko wszyscy codziennie grzecznie zmagają paciorek. Może jakaś mała korupcja? Grzeszne uczynki w wydziale planowania?

Młody reporter z drugiego końca stołu podniósł rękę, jakby zgłaszał się do odpowiedzi na lekcji. Wyglądał na jakieś siedemnaście lat. To pewnie po prostu David się starzał. Nawet policjanci wydawali mu się ostatnio młodzi, co podobno jest pewną oznaką zaawansowanego wieku.

– Pracuję nad interesującym materiałem, David. Słyszałeś o M & X Developments?

– Czy to nie ci cwaniacy od nieruchomości? Kupują stare budynki

i przerabiają je na winiarnie i restauracje?

– Właśnie. W Liverpoolu zrobiła się draka, bo odmówiono im pozwolenia na przebudowę starego magazynu, który następnie spłonął w tajemniczych okolicznościach.

– I co dalej? Nie mów! W magiczny sposób dostali pozwolenie na budowę!

– Tak jest. A teraz M & X usiłuje kupić starą gręplarnię nad kanałem i przerobić ją na bar z winem oraz, nie śmiecie się, marinę. Dwa miesiące temu odmówiono im pozwolenia, jeśli nie wybudują do tego jakichś tanich mieszkań.

– Zgodzili się?

– Nie, stwierdzili, że to byłoby dla nich nieopłacalne.

– Innymi słowy, nie zarobiliby na tym na kolejne porsche!

– Dokładnie. No i wczoraj w nocy wybuchł tam pożar. Na szczęście ochroniarz zauważył ogień i wezwał strażaków, którzy ugasili budynek. Obyło się bez większych szkód.

– Cholera jasna! – David poczuł znajome dziennikarskie emocje, których ciągle doznawał, nawet po piętnastu latach w zawodzie. – I myślisz, że chłopaki z M & X Developments będą szukać kogoś, komu mogą za to dokopać?

Reporter skinął głową.

– No, to jest dobry materiał! – David zerwał się z miejsca i zaczął chodzić po pokoju, już układając w głowie nagłówek na pierwszą stronę.

Wrócił myślami do zebrania.

– Mamy jeszcze coś w programie, czy powinniśmy ruszyć w teren w pogoń za cwaniakami deweloperami? – David, pełen zapału, zaczął zbierać papiery.

– Chwileczkę, nie omówiliśmy działu kobiecego!

David zrobił skruszoną minę.

– Przepraszam, Suzan. Rzeczywiście. Masz coś konkretnego do przedyskutowania?

– Tak, prawdę mówiąc, mam. Potrzebuję dodatkowej strony.

– Po co? Chyba księżna Diana nie złoży niespodziewanej wizyty na zimnej północy?

– Gdyby miała złożyć, uciekłabym stąd pierwszym pociągiem. Nie, to coś znacznie ważniejszego niż królewskie wizyty. Chciałam zrobić rozkładówkę o kobietach i rynku pracy.

– Dlaczego teraz? Dlaczego w Selden Bridge?

– Bo chcę to podłączyć pod konferencję w Leeds w przyszłym tygodniu.

– A co to za konferencja? – Wydawało mu się, że Suzan dziwnie skąpi szczegółów.

– No, po prostu konferencja o kobietach i zatrudnieniu, ale brzmi interesująco.

– Kto ją organizuje?

– Komisja do spraw Biur Pośrednictwa Pracy.

Redaktor wiadomości popatrzył na nich i się uśmiechnął. Rzucił Davidowi komunikat prasowy, dodając:

– We współpracy z prywatną firmą o nazwie WomanPower.

David poczuł się, jakby ktoś go walnął pięścią w brzuch. Myślał, że tutaj, ponad pięćset kilometrów od Londynu, był na własnym terytorium, daleko od Liz. Zerknął na komunikat prasowy. Miała nawet przemawiać.

Podniósł wzrok i zobaczył, że Suzan przygląda mu się uważnie.

– Chciałabym tam pojechać – rzuciła wyzywająco.

– Nie ma takiej potrzeby. – David unikał jej spojrzenia, przekładając papiery. – Ja pojedę. I tak będę w czwartek w Leeds, więc tam zajrzę.

Wstał, zakończył zebranie i wyszedł z redakcji.

Suzan zastanawiała się przez chwilę, po czym przebiegła przez newsroom, a jej krótka czerwona sukienka z lycry elektryzowała się od nowej wykładziny. Dotarła do szklanego przepierzenia, oddzielającego gabinet Davida od newsroomu.

Drzwi pilnowała jak cerber – wyjątkowo źle ubrany – jego sekretarka o wyglądzie matrony i rozwiniętym instynkcie opiekuńczym.

– Ruth, co David ma w kalendarzu na czwartek?

Kobieta zlustrowała wzrokiem długie nogi Suzan, których sukienka z lycry prawie nie zakrywała, jej barbarzyńskie mosiężne kolczyki i ciężkie martensy, i wyczuła pismo nosem. Odkąd Suzan się tu pojawiła, jej ubrania robiły się stopniowo coraz bardziej wyzywające, a Ruth słusznie podejrzewała, że miało to zwrócić uwagę Davida. I chociaż podobała jej się zadziorna życzliwość dziewczyny, instynktownie potępiała jej starania. Suzan była za młoda dla Davida. Powinna uganiać się za którymś z młodych reporterów. A poza tym, chociaż David nic nie mówił o żonie, Ruth zauważyła oprawioną w srebrną ramkę fotografię dzieci na jego biurku i to jej wystarczyło.

Starannie zakryła dłonią zapisane plany na czwartek.

– Dlaczego pytasz?

Suzan uśmiechnęła się promiennie.

– Po prostu muszę umówić go na jedno spotkanie, a powiedział, że jedzie tego dnia do Leeds.

Ruth popatrzyła na nią, zaskoczona.

– W takim razie pewnie jedzie. Przyjdź później, zapytam go.

Suzan uśmiechnęła się słodko.

– Nie przejmuj się, Ruth. To nic ważnego. – Po czym odwróciła się, obciągnęła sukienkę, prawie nadając jej przyzwoitą długość, i odeszła.

„Mam nadzieję, że się nie schyli w tej kiecce, bo jeszcze ją aresztują” – pomyślała Ruth. Nie mogła pogodzić się z faktem, że w dzisiejszych czasach miłe dziewczyny wyglądały jak dziwki. Może dziwki wyglądały jak nauczycielki

szkółki niedzielnej?

Kiedy tylko Suzan sobie poszła, Ruth spojrzała do kalendarza. David miał na cały czwartek zaplanowane spotkania i nie mówił jej, że ma je odwoływać. Ruth szczyła się swoją dyskrecją, mimo wszystko jednak zaczęła się zastanawiać, co jej szef kombinuje.

Liz odkręciła kurki w łazience przylegającej do jej pokoju i szybko zrzuciła ubranie. Bez względu na to, jak często podróżowała, wciąż uwielbiała hotele, nigdy się z tego nie wyleczyła. Często słyszała, jak koleżanki narzekają na przygnębiającą monotonię noclegów w pięciogwiazdkowych hotelach, ale dla niej po zarwanych nocach i porannym wstawaniu był to istny raj. Przez całe dwanaście godzin mogła myśleć wyłącznie o sobie! W hotelach uwielbiała wszystko. Obsługę pokoi. Minibar z miniaturkami alkoholi, puszyste białe szlafroki, ciasteczka przy łóżku, a najbardziej – małe buteleczki szamponu i płynu do kąpieli. Chociaż wiedziała, że to haniebnie prymitywne, nigdy nie mogła się powstrzymać przed schowaniem ich do swojej kosmetyczki.

Słyszała kiedyś, jak Bill Cosby podaje definicję intelektualisty: jest to ktoś, kto może słuchać uwertury do *Wilhelma Tella*, nie myśląc o *Jeźdźcu znikąd*. Może wyrafinowanym światowcem jest ktoś, kto nie kradnie buteleczek z płynem do kąpieli?

Jeszcze kilka minut i będzie mogła wymoczyć się w ziołowej pianie i zapomnieć o stresie towarzyszącym jej podczas ostatnich kilku dni parszywej trasy PR-owej. Gdyby wiedziała, jak to będzie wyglądało, nigdy by się nie zgodziła na tę trwającą cały tydzień torturę, nieważne, jak ważna była dla ich wizerunku. Ale Mel jakoś nie wspomniała, że Liz będzie udzielać ośmiu wywiadów dziennie, a do tego prowadzić spotkania. Dotarli dopiero do Birmingham, a ona już była skonana.

A najgorsze, że czuła się hipokrytką, mówiąc kobietom, jak to fajnie będzie wrócić do pracy. W końcu jej ten powrót nie wyszedł idealnie. Była lepszym przykładem problemu niż jego rozwiązania. Odeszła z Metra, a teraz się okazało, że WomanPower nie przetrwa, jeśli nie będzie pracowała na pełen etat. A w takim wypadku wróciłyby do punktu wyjścia. Będą musiały zatrudnić dyrektora generalnego, tak jak radziła Britt. Tylko kogo?

Właśnie miała wejść do wanny, kiedy przypomniała sobie o Davidzie i o danej Nickowi obietnicy, że się z nim spotka. Z dziesięć razy powtarzała sobie, żeby do niego zadzwonić, ale zawsze znajdowała jakąś wymówkę. Pojutrze będą w Leeds, tylko godzinę drogi od Selden Bridge. Nie mogła dłużej tego odkładać.

Opadła na wielką, miękką jak gąbka sofę, która otuliła ją kusząco. Och, położyć się spać, teraz, w tej chwili! Zmusiła się, żeby usiąść i wykręcić numer.

W słuchawce właśnie odezwał się sygnał, kiedy rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju wpadła Mel.

– Super, że jesteś! Lizzy, aniele, myślisz, że dałabyś radę udzielić jeszcze jednego malusieńkiego wywiadu przed kolacją? Potrwa tylko pięć minut, przysięgam!

– Mel, ale ja jestem w szlafroku!

– Nic nie szkodzi.

Zanim Liz miała szansę powiedzieć coś więcej, Mel odwróciła się do kogoś czekającego w korytarzu.

– Dobra, chłopaki, możecie wejść. Ale tylko pięć minut!

Liz ze zgrozą malującą się na twarzy szczelniej owinęła się szlafrokiem.

Mel usiadła obok niej na łóżku.

– Nie musisz się ubierać. – Mel ścisnęła Liz pokrzepiającym gestem za ramię. – To tylko radio!

David siedział z tyłu sali za palmą w doniczce i patrzył na stojącą na podwyższeniu Liz. Na widowni było około dwustu osób, głównie kobiet, i około dwudziestu dziennikarzy. Przy scenie denerwująco mrugała kamera telewizyjna, ale Liz wydawała się nią zupełnie niespeszona. No, oczywiście, w końcu długo pracowała w telewizji.

Wyglądała cudownie. Miała świetnie dobrane ciuchy. Pozbyła się biznesowych kostiumów i postawiła na bardziej miękki, kobiecy styl. Teraz też miała na sobie kostium, ale dopasowany, a nie męski w kroju, do tego jedwabną bluzkę w kolorze wrzosu z koronkowym kołnierzykiem. Druga kobieta na scenie była ubrana w błyszczący kostium w ohydny jaskrawoniebieskim odcieniu i koszulę w paski z dużą kokardą. David uśmiechnął się, przypominając sobie, jak Liz kiedyś powiedziała, że gdyby założyła taką kokardę, to on by ją nią udusił.

Mimo że przemawiała, wyglądała na odprężoną, uśmiechała się, odpowiadając na trudne pytania, żartowała z reporterami i przedstawiała swoje argumenty bez cienia agresji. Jak mógł kiedykolwiek pomyśleć, tylko dlatego, że chciała innego życia, że zmienia się w jego matkę?

Czykolwiek będzie się zajmowała, Liz zawsze pozostanie niezależna. Proszę, oto prowadziła WomanPower, świetnie prosperującą firmę, a jednocześnie opiekowała się Jamiem i Daisy. Myślenie o nich wciąż sprawiało mu ból, więc skupił się na Liz. Naprawdę zrealizowała swoje marzenie. A on nie był jego częścią.

Doszły go nawet słuchy, że kogoś poznała. Jakiegoś wygadanego biznesmena, który wyglądał jak gracz polo. Czy to dzięki niemu bił od niej taki blask? Jej oczy błyszczały, a opalona, piegowata skóra wydawała się lśnić. Schudła, a kiedy się uśmiechała, było w niej coś dziewczęcego, czego nigdy wcześniej nie dostrzegł.

Prawda była taka, że Liz jest szczęśliwa.

Poczuł tak intensywne ukłucie bólu, że kiedy spojrział na trzymany

w dłoniach komunikat prasowy, zobaczył, że nieświadomie go zgniótł. Ależ z niego cholerny idiota. Chciał, żeby byli superparą, gwiazdami mediów, i nigdy nie zadał sobie pytania, jak to wpłynie na nich czy na dzieci. Chciał władzy i sukcesów, chciał też seksu, bo seks dowodził jego potęgi. A kiedy wreszcie przejrzał na oczy, było za późno. Jak na ironię, teraz mieli ze sobą więcej wspólnego, niż kiedy jeszcze byli prawdziwym małżeństwem.

Boże, ależ spał swoje życie! A teraz jeszcze ta sprawa z Suzan. Dlaczego ściągnął ją do Selden Bridge? Bo wiedział, że jest w nim zakochana i chciał się dowartościować? Bo pochlebiało mu, że może się w nim zadurzyć taka młoda i piękna dziewczyna? Britt już go dowartościowywała i chyba się przekonał, że to nie wystarczyło.

Ale Suzan to nie Britt. Była pełna entuzjazmu, miła, dobra i wzruszająca. No i go kochała. Może wyszłoby im to na dobre, gdyby ułożył sobie z nią życie?

David usłyszał dobiegający ze wszystkich stron charakterystyczny szelest papierów i zorientował się, że konferencja zaraz się skończy. Musiał się stąd ewakuować, zanim Liz go zobaczy. Nie ma sensu się tutaj czaić. Nie chciała, by do niej wracał. Miała teraz nowe życie. Podobnie jak on.

Postawił kołnierz płaszcz i wymknął się cicho z tylnego rzędu, po czym skierował się do wyjścia. Kiedy dotarł do drzwi obrotowych, poczuł nieodpartą pokusę, żeby ostatni raz obejrzeć się za siebie.

Ale się jej oparł. Położył dłoń na wypolerowanej mosiężnej klamce i pchnął drzwi. Za jego plecami rozległ się na wpół znajomy głos, który scenicznym szeptem powiedział:

– Cześć, nieznajomy. Chcesz się wymknąć nawet bez przywitania?

Odwrócił się, zaskoczony.

Oparta o drewniany filar, z oczami błyszczącymi szelmowsko na widok jego zakłopotania, stała Mel.

Rozdział 33

– Jak się mają Jamie i Daisy?

David przedzierał się przez zakorkowane ulice Leeds, a Liz siedziała obok niego na siedzeniu pasażera. W oczach innych kierowców, pomyślał gorzko, muszą wyglądać jak zwyczajne małżeństwo w drodze do domu albo do supermarketu. Jakże pozory mogą mylić.

– Dobrze.

– Bez przerwy za nimi tęsknię.

– Naprawdę?

– Myślałem, że mogliby przyjechać do mnie na jakiś czas, skoro już się tu urządziłem.

Urządził się. Z kim? Przyszła jej na myśl Suzan, co sprawiło, że jej odpowiedź zabrzmiała ostro i nieprzyjemnie, jak nóż trący o kamień.

– Są za mali, żeby podróżować.

– Przyjechałbym po nich.

– Za daleko. To chyba nie byłoby praktyczne.

– Liz, to nie fair.

– Chyba masz rację. No dobra, porozmawiamy o tym. – Próbowwała rozładować nagłe napięcie, kiedy skręcali w lewo w kierunku autostrady w ulewnym, zacinającym deszczu, który wziął się nie wiadomo skąd. – A jak ci idzie w „Selden Bridge Star”?

– Świetnie. Nie jest to Fleet Street. Ale właśnie to mi się w tym podoba. – Uśmiechnął się, niepewny, czy Liz zrozumie.

Spojrzała na niego z zaciekawieniem.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś, że odszedłeś z „Daily News”?

– Nie sądziłem, że cię to zainteresuje. – Patrzył na drogę, ale słyszała gorycz w jego głosie.

– Oczywiście, że mnie to interesuje. Dlaczego odszedłeś?

– No wiesz, zwykły banał. Facet w średnim wieku traci rodzinę i odkrywa tradycyjne wartości. Dochodzi do wniosku, że nie chce odzierać innych z prywatności. Chce szukać w ludziach dobra. Niezbyt zdrowe podejście jak na naczelnego tabloidu.

– Naprawdę odkryłeś tradycyjne wartości? – David słyszał zdziwienie w głosie Liz.

– Chyba tak, inaczej by mnie tu nie było. Widocznie tęskniłem za czymś solidnym i przyzwoitym. – Roześmiał się z zażenowaniem, świadomy, że Liz przygląda mu się badawczo. – Raczej nie mogło chodzić o pieniądze.

Liz patrzyła na niego, jak lawiruje w popołudniowych korkach. Wyglądał

młodziej, miał jakby więcej entuzjazmu. Wyrwanie się z bezwzględnego świata prasy tabloidowej dobrze mu zrobiło. A może to po prostu dzięki rzadszemu zarywaniu nocy i skończeniu z zakrapianymi lunchami na koszt firmy. Cokolwiek to było, służyło mu wyraźnie.

Odwzajemnił jej spojrzenie, po czym z zakłopotaniem odwrócił wzrok.

– No, dość o mnie. Co u ciebie? Wyglądasz wspaniale, a WomanPower jest wielkim sukcesem.

– Tak.

– Masz to, o czym marzyłaś. Znalazłaś równowagę między pracą a dziećmi.

– Bzdura!

David spojrział na nią, zaskoczony, co spowodowało, że zbliżył się za bardzo do samochodu jadącego przed nimi. Liz instynktownie wyciągnęła rękę i dotknęła jego dłoni na dźwigni zmiany biegów. Wzdrygnął się, a ona cofnęła dłoń, zdziwiona gwałtownością jego reakcji.

– Dlaczego bzdura? – zapytał.

– Bo WomanPower znalazło się w trudnej sytuacji. Britt twierdzi, że musimy pracować na cały etat, a może i na półtora, albo zatrudnić dyrektora generalnego z zewnątrz, który będzie zasuwał za nas.

Uświadomiła sobie, że David nie słucha.

– „Britt twierdzi” – powtórzył cicho. – Nie wiedziałem, że znów przyjaźnisz się z Britt. Jak ona się czuje?

– Tak sobie. Chyba jeszcze do końca nie doszła do siebie po stracie dziecka.

David omal nie zjechał z drogi. Ledwo rzuciwszy okiem za siebie, zjechał do zatoczki.

– O mój Boże. – Opuścił głowę, aż dotknęła kierownicy. – Nie powiedziała mi, że straciła dziecko...!

Kiedy przeszli razem przez oszklone drzwi „Selden Bridge Star”, Liz poczuła, jak redakcja ożywa. Tak samo było w „Daily News”. Obecność Davida była iskrą, która sprawiała, że wszystko zaczynało palić się równym płomieniem.

Zdejmowano nogi z biurek, kubki po kawie lądowały w koszu, egzemplarze „Sporting Life” znikwały pośpiesznie upychane w szufladach i czym prędzej rozdzwaniały się telefony w sprawach, które od rana odkładano.

Poszła za Davidem do jego gabinetu, nie mogąc się nadziwić, że potrafi odpowiedzieć na osiem pytań naraz i najwyraźniej ma w głowie cały układ graficzny gazety, aż do ostatniego centymetra ostatniej szpalty.

Na ścianach jego gabinetu, wyeksponowane z taką dumą, jakby były to pierwsze strony „The Sun” czy „Daily Mail”, wisały numery „Selden Bridge Star”. Tak jak w „Daily News”, David miał swój własny komputer, zatem mógł zmieniać nagłówki aż do ostatniej chwili przed oddaniem numeru, co nieodmiennie irytowało adiustatorów.

Na jego biurku stała tylko jedna osobista rzecz: fotografia Jamiego i Daisy w srebrnej ramce. Liz wzięła ją do ręki i się uśmiechnęła. Niesamowite, jak bardzo się zmienili w tak krótkim czasie.

David usiadł w czarnym skórzanym fotelu, który podarowała mu, kiedy awansował na naczelnego „Daily News”.

– Podobno możesz niedługo zostać bogaczką.

Liz, zaskoczona, oderwała wzrok od fotografii. Skąd wiedział, że zamierza wyjść za Nicka? Przecież jeszcze mu nie powiedziała.

David zdjął płaszcz i rzucił go na krzesło. Przynajmniej pod jednym względem się nie zmienił.

– Słyszałem, że Ross Slater chce kupić WomanPower. Zamierzacie mu sprzedać firmę?

Boże Wszechmogący. Ross Slater jeszcze nawet nie złożył oferty, a David już o tym wie.

– Nie wiem. Myślisz, że powinniśmy?

– To zależy, jak bardzo chcecie zostać bogate. – Podniósł z biurka przycisk do papieru i zaczął przerzucać go z ręki do ręki. – I ile znaczy dla was WomanPower.

– Bardzo dużo. Zbudowałyśmy wszystko od zera. To nie jest jakaś tam sobie firma, David, to coś wyjątkowego!

– To dlaczego w ogóle bierzecie pod uwagę możliwość sprzedania jej takiemu rekinowi jak Slater?

– Musimy coś zrobić. Po prostu nie dajemy już rady. Firma robi się dla nas za duża. Już pracuję więcej, niżbym chciała. Małżeństwo Ginny omal się nie rozpadło. – Liz wstała i wyjrzała przez okno na krajobraz zdominowany przez szary piaskowiec. – Britt uważa, że jeśli Slater złoży nam ofertę, pozwoli nam zostać w charakterze dyrektorek na pół etatu. Naturalnie to bardzo kuszące. WomanPower byłoby odpowiednio zarządzane, ale my nadal miałybyśmy coś do powiedzenia. Może byłoby to najlepsze rozwiązanie.

David odłożył z trzaskiem przycisk do papieru.

– Widać, że nie znasz Rossa Slatera. To biznesmen, Lizzie, nie działacz opieki społecznej. Nie będzie chciał, żebyście wisiały mu u szyi, wyklócając się o elastyczny czas pracy albo urlopy w czasie szkolnych wakacji dla swoich bezcennych kobiet. Nie ma znaczenia, co wam naobiecuje, żeby was przekonać do sprzedaży.

– Dużo wiesz o Rossie Slaterze.

David wstał i oparł się o fotel.

– Owszem. Kiedy byłem młodym reporterem w Bradford, zgłosił się do mnie pewien starszy człowiek. Przez czterdzieści lat budował swoją firmę i właśnie ją sprzedał Rossowi Slaterowi. Nie był nawet pewny, czy chce ją sprzedać, ale Slater

go przekonał: zaproponował mu miejsce w zarządzie, chciał, żeby mu doradzał, mówił, że takiego doświadczenia nie da się kupić. – David zaśmiał się gorzko na to wspomnienie i zamknął na chwilę oczy. – W ciągu pół roku staruszek został wypchnięty z własnej firmy. Wtedy do mnie przyszedł. Ale ja nie mogłem nic zrobić. Trochę powęszyłem wokół Slatera, zadałem mu parę kłopotliwych pytań, i to wszystko. Cała operacja była zupełnie legalna. Staremu pękło serce. Rok później już nie żył.

Liz przysunęła się bliżej, poruszona gniewem Davida. Po tylu miesiącach wyluzowanych odzywek Nicka czuła się teraz tak, jakby nagle jadła solone masło po długim zadowalaniu się niskotłuszczową margaryną.

– Lubieś go, prawda? Tego staruszka?

David wzruszył ramionami.

– Tak, lubiłem. Był z niego świetny gość. Bystrzacha jakich mało. Zostawił mi nawet trochę akcji. Jeszcze je gdzieś mam. On miał ponad milion, kiedy umarł, i nigdy nie skorzystał nawet z pensa z całej tej fortuny.

Liz oparła się pokusie, żeby znów dotknąć jego dłoni. Wspomnienie o starym człowieku, którego wykorzystano, budziło w nim autentyczny gniew. Zupełnie jak w dawnym Davidzie. Davidzie, za którego wyszła.

Jakby wyczuł jej nastrój, obszedł biurko i przysiadł na nim przed nią.

– Liz, przepraszam. Przykro mi z powodu Britt i dziecka. A przede wszystkim przykro mi, że spieprzyłem to, co łączyło nas i dzieci. Musiałem ci sprawić strasznie dużo bólu. Boże, tyle razy tego żałowałem...

Usłyszała, że łamie mu się głos. Po raz pierwszy przepraszał ją wprost, z taką otwartością. Liz spojrzała mu w oczy i wiedziała, że tym razem mówi szczerze. Uległa pokusie i ujęła jego rękę.

Dostrzegła, że za szklaną ścianą ktoś ich obserwuje i miała dziwne wrażenie, że ta osoba monitoruje ich jak żywy licznik Geigera, pilnując przekroczenia niebezpiecznego poziomu intymności.

Kilka sekund później drzwi się otworzyły i do środka wpadła dziewczyna, która przywiozła prezenty dla Jamiego i Daisy.

Miała na sobie krótką czarną sukienkę opinającą jej ciało jak kostium kąpielowy, wielkie kolczyki w kształcie grotu strzały, jakich nie powstydzilaby się oblubienica wikingów, grube czarne rajstopy i martensy. Wyglądała ekstrawagancko, buntowniczo i bardzo, bardzo seksownie. Już samo patrzenie na nią sprawiło, że Liz poczuła się staro.

– Przepraszam, że przeszkadzam. Dave, dzwonią prawnicy w sprawie pozwu o zniesławienie w związku z tym artykułem o M & X. Są wściekli. – Posłała Liz pełne litości spojrzenie, mówiące, że ona, nieszczęsna idiotka, nigdy nie będzie częścią tego ekscytującego, spektakularnego świata prasy, napiętych terminów i pozwów o zniesławienie. Liz z trudem stłumiła uśmiech.

„Dave”. Przez dwanaście lat małżeństwa ani razu nie powiedziała na niego „Dave”. Te cztery litery zdawały się wykluczać ją z jego nowego życia bardziej niż dzieląca ich odległość czy nowe przedsięwzięcia, w których nie miała udziału.

Dostrzegła także bezgraniczny podziw w oczach Suzan, gdy młoda reporterka patrzyła na Davida, i zobaczyła, że on też go dostrzeża i uśmiecha się z wdzięcznością. A więc to tak sprawy stoją. Od początku miała rację.

– Przepraszam, Suzan, zostaw nas na chwilę. – Liz stanowczym gestem ujęła dziewczynę za łokieć, wyprowadziła za szklane drzwi, po czym je zamknęła. – Nie zajmę naczelnemu wiele z jego cennego czasu.

Odwróciła się do Davida, który zastygł, zaskoczony, w pół ruchu, szukając notatek.

– Jeszcze jedna ostatnia rzecz, zanim będziesz musiał lecieć, Davidzie. – Liz sięgnęła po płaszcz i zaczęła go zakładać. – Czy wspominałam, że chcę rozwodu?

– Liz! Bogu dzięki. Zdążyłaś w samą porę. Pociąg odjeżdża za dwadzieścia minut!

Liz odwróciła się, oszołomiona, od obitego czerwonym aksamitem kontuaru w recepcji, który bardziej pasowałby do nowoorleańskiego burdelu, i wlepiła wzrok w Mel, stojącej w kostiumie i płaszczu pośród ogromnej sterty bagaży. Liz rozpoznała także własne walizki.

– Dlaczego nas spakowałaś? Myślałam, że mamy następną sesję dziś po południu?

– Miałyśmy mieć. – Mel wyjęła jej klucz do pokoju z ręki i oddała go recepcjonistce. – Właśnie ją odwołałam. I jutrzejszą konferencję w Newcastle też. Wracamy do domu.

Nagle na Liz spadło potworne przeczucie.

– Chyba nic się nie stało dzieciom? Nie miały żadnego wypadku? – Z przerażającą jasnością wróciło do niej wspomnienie tego dnia, kiedy Jamiego potrafił samochód. W swoim nowym życiu miała się nimi opiekować, być blisko. A gdzie teraz była? W cholernym Leeds, prawie pięćset kilometrów od domu!

– Uspokój się. Jamiemu i Daisy nic się nie stało. – Mel pociągnęła ją do wyjścia, wznosząc oczy ku niebu. Matczyne poczucie winy. Jezu, komu to potrzebne! Liz wyjechała na kilka dni i spodziewała się, że Bóg ją ukarze za ten skandaliczny egoizm! – Nie było żadnego wypadku. Chyba że tak nazwiesz złożenie przez Rossa Slatera oferty wykupu WomanPower.

Słowa Mel podziały na nią jak kubek zimnej wody. Stało się. Naprawdę do tego doszło.

Jadąc taksówką, patrzyła przez okno na szare ulice i cieszyła się, że wraca do domu. Do Jamiego i Daisy. Do Nicka. Do Crossways w początkach jesieni. W ogrodzie będzie jeszcze pachniało kapryfolium, a na krzakach żywopłotu wokół domku będą się pysznić jeżyny.

Pomyślała o Davidzie i o tym, jak nie była w stanie się powstrzymać przed spojrzeniem ukradkiem na jego twarz, kiedy zamykała oszklone drzwi jego gabinetu. Co spodziewała się zobaczyć? Patrzące błagalnie oczy? Rozpaczliwą próbę, żeby ją zatrzymać i prosić, by zmieniła zdanie?

Ale jego twarz była pusta, bez wyrazu. Liz zauważyła, że Suzan nie odrywa wzroku od jego oczu. Suzan wiedziała, że nie powinna się teraz uśmiechać. Wiedziała, że gra jeszcze nie jest skończona, że jeszcze nie wygrała. Ale niedługo wygra. Była sprytną dziewczyną. Pewnie go namówi na ślub w bieli.

Musi przestać o tym myśleć. David należał do przeszłości. Nick był przyszłością. Wstała i zaczęła się przeciskać przez tłum pasażerów w stronę wagonu restauracyjnego. WomanPower nie było stać na pierwszą klasę – na razie.

Stojący za kontuarem barman, który wyglądał, jakby skonsumował więcej miniaturowych butelek haig and gordons, niż sprzedał, kołysał się w kierunku przeciwnym do ruchu pociągu, rozsmarowując brud w szklance potwornie uwalaną ścierką.

– Coś podać, panienko?

Liz uśmiechnęła się do niego za tę panienkę i wskazała małe buteleczki szampana. Pewnie będą ciepłe i koszmarnie drogie, ale musiała jakoś uświetnić ten punkt zwrotny w swoim życiu. Miała zostać rozwódką.

– Ile ma pan tych małych szampanów?

Podał jej siedem.

– Jakaś balanga?

– W pewnym sensie.

Szampan był zaskakująco zimny, a barman, zachwycony odmianą po zamawianym zazwyczaj małym jasnym, wczuł się w klimat i wyjął skądś wiaderko z lodem oraz starą paczkę orzeszków ziemnych.

Unikając ciekawskich spojrzeń biznesmenów, wyraźnie zastanawiających się, czy jest panią podejrzaną konduity w podróży z kochankiem, Liz przepchnęła się z powrotem do swojego wagonu. Kupowanie szampana w małych butelkach w pociągach British Rail było jak odpalanie papierosa od banknotu pięciofuntowego, ale jak szaleć, to szaleć. Wracając do domu i prawdopodobnie zostanie jej zaproponowana duża suma pieniędzy. W dodatku czekał na nią Nick.

Kiedy otworzyła drzwi do wagonu, przypomniała sobie radę Nicka: „Sprzedajcie, to będzie spełnienie marzeń. Nie będziesz musiała pracować”. A David doradził jej coś dokładnie przeciwnego. Który z nich miał rację?

Postawiła kieliszki i wiaderko z szampanem na stoliku i zaczęła otwierać jedną z butelek.

– Co świętujemy? Nie, nie mów mi. Pogodziliście się? Wiedziałam, że jeśli spędzicie razem pięć minut, będzie się szykował drugi miesiąc miodowy. – Mel miała świadomość, że szanse na to są raczej nikłe, ale i tak postanowiła

zaryzykować. – To jaki wzniesiemy toast?

Liz naląła szampana do dwóch kieliszków i podała jeden Mel.

– Za mój rozwód, zbliżający się wielkimi krokami!

– David się zgodził? – Mel bardzo się starała, by w jej głosie zabrzmiał entuzjazm. David chyba zwariował.

– Jeszcze nie. Ale się zgodzi.

– Mam ci gratulować?

– Oczywiście!

– Tak? To dlaczego płaczesz?

Na parkingu koło dworca w Lewes czekało na nich czerwone bmw Mel, krzepiąco krzykliwe jak zawsze, ze wszystkimi lśniąco gadżetami na swoim miejscu.

– Co mi się podoba na wsi – ton Mel sugerował, że lista rzeczy, które jej się nie podobają, jest znacznie dłuższa – to szacunek do samochodów. Nie kradną ci kół za każdym razem, kiedy się zatrzymasz, żeby zadzwonić.

Ale Liz nie słuchała. Myślała o Nicku i wyobrażała sobie jego minę, kiedy mu powie, że David nie będzie robił problemów z rozwodem. Uświadomiła sobie, jak bardzo za nim tęskni.

Może wyniósł hedonizm do rangi stylu życia, ale dzięki temu zawsze fajnie się czuła w jego towarzystwie. Czasem irytowało ją to, że nigdy nie traktował niczego poważnie, ale dziś pragnęła właśnie tych jego łagodnych kpín.

Mogła jechać prosto do domu, do Jamiego i Daisy, ale o tej porze będą już spali. Poza tym wiedziała, że – tak, to było bardzo egoistyczne z jej strony – najbardziej chce zobaczyć Nicka. Potrzebowała, żeby ją przytulił i się z nią kochał, by odpędzić chandrę, która spadła jak młotek na ostatni gwóźdź do trumny jej małżeństwa. Nie chciała myśleć, chciała tylko czuć. Być wyuzdaną i rozwiązłą, lecz bezpieczną ze świadomością, że on ją kocha i że zrozumie. Chciała, żeby jej opowiedział o cudownym życiu, jakie będą razem wiedli.

Kiedy jechały w kierunku Seamington, odwróciła się do Mel, starając się ukryć swoje podniecenie.

– Mel, nie chcę jeszcze wracać do domu. Możesz mnie podrzucić do Nicka? Wpadnę i zrobię mu niespodziankę.

Mel miała na końcu języka, że nie wszyscy lubią niespodzianki i że Nick może właśnie należeć do takich ludzi, ale słyszała niecierpliwe wyczekiwanie w głosie Liz, więc skarciła się w duchu za te idiotyczne wątpliwości.

Zadrżała jednak w zimnym wieczornym powietrzu, które niemal z dnia na dzień zmieniło się z letniego w jesienne.

– Może najpierw wrócisz do siebie, zobaczysz Jamiego i Daisy i zadzwonisz do Nicka. Jeśli będzie w domu, to cię podrzucę.

Liz się roześmiała.

– Ale to by było bez sensu. Jamie i Daisy będą już spać. A my przejeżdżamy właściwie tuż przed jego drzwiami. – Przyjrzała się uważnie przyjaciółce. – Nie lubisz go, prawda?

– Nie wychodzę za niego za mąż.

– Nie o to pytam. Dlaczego go nie lubisz?

– Liz, na litość boską, tak sobie tylko mówiłam. Nie bądź taka drażliwa.

Liz uświadomiła sobie, że Mel ma rację. Na punkcie Nicka rzeczywiście była drażliwa. Starła się, by jej głos brzmiał obojętnie.

– Co ci się w nim nie podoba?

Mel się poddała. Raczej nie mogła powiedzieć prawdy, a mianowicie, że jej zdaniem Nick był próżną, egoistyczną miernotą. Ale mogła tak czy inaczej wbić nóż na kilka centymetrów. Zastanowiła się przez chwilę, usiłując sprecyzować powód swojej instynktownej nieufności do tego człowieka.

– Nie potrafię go sobie wyobrazić z jajkiem na krawacie.

– A kto by chciał faceta z jajkiem na krawacie? Na pewno nie ty!

– Wiesz, o co mi chodzi.

Problem w tym, że Liz faktycznie wiedziała.

– A Davida z masłem ściekającym z podbródka pewnie umiesz sobie wyobrazić – powiedziała zaczepnie.

– Nigdy nie sądziłam, że to powiem, ale owszem, umiem – odparła Mel.

Zbliżały się do skrzyżowania w prawo na Firle. Podjazd domu Nicka znajdował się zaledwie czterysta metrów stąd. Czy powinna tam jechać? Cholerna Mel, prawie ją zniechęciła. No, dobrze – teraz albo nigdy.

– Możesz mnie tu wysadzić. W salonie pali się światło. Musi być w domu. – Wysiadła i nachyliła się do okna. – Jedź, Nick mnie odwiezie.

Patrzyła, jak Mel zawraca, po czym ruszyła na piechotę podjazdem. Wszędzie pachniało kapryfolium, woń była jeszcze mocniejsza i słodsza niż za dnia, różowo-żółte kwiaty pleniły się w żywopłotach i wiły wokół białych żelaznych słupków bramy prowadzącej do Old Rectory.

Pod jej stopami chrzęścił żwir. Zatrzymała się na chwilę w ciemnościach i zaciągnęła się zapachem kwiatów. Pomyślała o jesieni. Niedługo zaczną opadać liście. Dzika róża już miała owoce, a jabłonie w sadzie Nicka uginały się pod ciężarem jabłek, tak czerwonych i lśniących jak to zatrute z *Królewny Śnieżki*.

Za kilka miesięcy, może za rok, będzie mieszkała tutaj, zrywała białe stokrotki i róże do bukietów i stroików, z koszykiem przewieszonym przez ramię, w starym słomkowym kapeluszu. Pani na włościach. Uśmiechnęła się. Możesz pęknać z zazdrości, Mario Antonino.

Kiedy doszła do drzwi, zastanowiła się, czy zadzwonić, ale uznała, że ciekawiej będzie obejść dom z tyłu i zaskoczyć Nicka. Kuchenne drzwi powinny być jak zwykle otwarte.

Kuchnia była ciemna, ale wysprzątana, nawet ścierki wisiały w równym rządku, a szmatki do mycia naczyń leżały złożone na zlewie. Czuć było lekki zapach środka dezynfekującego, antyseptyczny i krzepiący, jak w gabinecie szkolnej pielęgniarki. Nick wyraźnie dał gosposi wolny wieczór. Ale światła w holu były włączone, a Liz zauważyła, że jedna żarówka się przepaliła – jedyna skaza w tym idealnym otoczeniu, lecz jak pryszcz na twarzy olśniewająco pięknej kobiety, tym bardziej widoczna.

Przeszła przez hol, a stary perski dywan tłumiał jej kroki. Spod drzwi salonu szczyło się niebieskawe światło. Pomyślała, że telewizor jest włączony.

Kiedy zacisnęła dłoń na klamce, usłyszała głosy i zatrzymała się na chwilę, starając się rozpoznać przed wejściem, do kogo należą.

Przekręciła klamkę.

Zastanawiała się później, jak wyglądałoby jej życie, gdyby pojechała tego wieczoru do domu. Ale wtedy tylko się uśmiechnęła i otworzyła drzwi.

Rozdział 34

Na chwilę zastygła w bezruchu na progu.

To, co zobaczyła, było w pewnym sensie zupełnie niewinną sceną. A jednak ten obrazek świetnie pokazywał bezmyślny hedonizm Nicka.

Nick leżał na brzuchu na kanapie. A obok niego, na dywanie przy kominku, klęczał Henry i robił mu masaż.

Żaden z nich jej nie słyszał. Gdy dobiegły ją pełne rozkoszy dźwięki wydawane przez Nicka, kiedy palce Henry'ego rozmasowywały napięte mięśnie jego pleców, uderzyło ją, jak bardzo seksualną czynnością może być masaż.

Nick miał zamknięte oczy, na jego twarzy malował się wyraz głębokiego zadowolenia i od czasu do czasu wydawał z siebie cichy jęk bólu lub ekstazy. Jakie to podobne do Nicka – nie dbać o to, kto mu sprawia przyjemność, tylko po prostu położyć się i poddać chwili.

W końcu usłyszała swój własny głos, chociaż z trudem go rozpoznawała, jakby mówił ktoś inny.

– Cóż za wzruszająca scenka. Stary, wierny przyjaciel rozmasowuje bóle i dolegliwości młodego panicza. No, ale w końcu masz bardzo trudne życie, pełne obowiązków, prawda, Nick?

Henry zerwał się na równe nogi, przestraszony, przewracając filiżankę herbaty. Na jego twarzy malowało się takie poczucie winy, jakby nakryła ich razem w łóżku.

Nick tylko usiadł, zwinnie i z wdziękiem, i poklepał siedzisko kanapy obok siebie.

– Liz, kochanie. Nie spodziewałem się, że wrócisz dzisiaj.

– Najwyraźniej.

Nick zignorował jad w jej głosie, a może, jak gorzko pomyślała, w ogóle go nie zauważył.

– Potwornie bolała mnie głowa, a Henry zaproponował masaż. Wiesz, że Henry ma ręce, które leczą? – Posłał jej swój najbardziej ujmujący uśmiech. – Ludzie przyjeżdżają do niego z całej okolicy.

– Daruj sobie, Nick. Nie interesują mnie twoje tłumaczenia.

– Liz... – usłyszała błagalny ton. Lecz nie Nicka, a Henry'ego. – To nie było to, co pomyślałaś.

– A co sobie pomyślałam, Henry?

Henry odwrócił wzrok i wzruszył ramionami. Wydał się Liz nieskończenie żalony. Jak stary pies, który do niczego nie jest już przydatny, ale nadal czeka przy stole na okruszki czułości lub przyjemności, które Nick raczy mu rzucić. Zrozumiała, dlaczego Nick chciał tu wrócić – wtedy, po zaręczynach – i pokazać

pierścionek. Biedny Henry.

Do Nicka, jak sobie uświadomiła, nie czuła nic poza martwą, głuchą pustką.

Patrząc na niego, na ten niewymuszony, prowokacyjny uśmiech, na to wzruszenie ramion, jakby został przyłapany na jakimś drobnym towarzyskim *faux pas* – na przykład zapomniał imienia gospodarza albo użył niewłaściwego noża – po raz pierwszy zrozumiała prawdę o tym człowieku.

Był jak dziecko, przyzwyczajone do stawiania na swoim po prostu dlatego, że jest dzieckiem, które dorosło i nagle odkryło, że ma inną, znacznie potężniejszą broń – swoją seksualność. I od tamtego pamiętnego dnia nigdy nie przepuściło okazji, żeby jej użyć, zarówno wobec kobiet, jak i mężczyzn.

Zaciekawiło ją przez chwilę, czy Nick i Henry byli kiedyś kochankami, czy też Nick po prostu go wykorzystywał.

Uświadomiła sobie ze znużeniem, że to bez znaczenia. Nie mogła wyjść za Nicka.

Miała już dwoje dzieci. Nie potrzebowała trzeciego.

Czując w sobie otępiającą pustkę, odwróciła się do wyjścia. Nick próbował złapać ją za rękę i zatrzymać, ale odepchnęła jego dłoń. Wiedziała, że na swój sposób ją kochał. Ale dziś rozumiała, że to nie wystarczy.

Powoli wyszła z pokoju i otworzyła frontowe drzwi. Dopiero teraz w pełni dotarło do niej znaczenie tego, co widziała. Zostawiwszy drzwi otworem, pobiegła zwirowaną ścieżką do drogi, myśląc tylko o tym, że musi stąd uciec, napełnić płuca świeżym powietrzem i poczuć zimny wiatr na rozpalonych policzkach.

Nagle uzmysłowiła sobie, że nie ma samochodu, że dochodzi północ, do najbliższej budki telefonicznej ma ponad trzy kilometry, a do domu jeszcze dalej.

Lecz to nie miało dla niej znaczenia. Nic się nie liczyło poza świadomością własnej głupoty, poza tym, że zaślepiona swoją namiętnością nie dostrzegала prawdy. Szła wiejską drogą, potykając się w kompletnych ciemnościach, i nie czuła strachu. Z krzaków mógłby wyskoczyć gwałcieciel, a ona tylko zaśmiałaby mu się w twarz. Nikt nie mógł jej skrzywdzić bardziej, niż już została skrzywdzona.

– Wiedziałaś! Wiedziałaś od początku! I nic mi nie powiedziałaś!

Britt słyszała ból w głosie Liz, kiedy rozmawiały następnego ranka, stojąc nieco z boku, z dala od pozostałych, przed biurem Rossa Slatera.

– Nie wiedziałam, Liz, domyślałam się tylko, że coś ich łączy, to wszystko. Mogłam się mylić.

– Ale się nie myliłaś, prawda? Och, Britt, co ja teraz zrobię?

– Zapomnisz o nim. Masz Jamiego i Daisy. Masz piękny dom. A dzisiaj może się okazać, że będziesz bogata! – Ujęła dłoń Liz. – W końcu to był tylko facet! – Uśmiechnęła się cierpko. – A jakie oni mają znaczenie?

Liz odwzajemniła uśmiech. Obie wiedziały, że w ich życiu, czy im się to podobało, czy nie, mężczyźni odegrali aż zbyt dużą rolę.

Britt miała jednak rację. Są jeszcze dzieci, jest dom. Wczoraj wieczorem Liz podjęła decyzję. Nie chciała dołączyć do grona bogatych próżniaków. Widziała, co się dzieje z takimi ludźmi, jak dryfują bez celu z lekcji tenisa na konsultacje z architektem wewnątrz, a potem do fryzjera, odliczając minuty do szóstej i pierwszego dżinu z tonikiem. Nie miała zamiaru sprzedawać firmy Rossowi Slaterowi, bez względu na to, ile by zaoferował, bo w tej chwili potrzebowała WomanPower bardziej niż kiedykolwiek.

Czekając z przyjaciółkami w pretensjonalnej siedzibie World of Work, usiłowała wymazać z pamięci poprzedni wieczór i skoncentrować się na spotkaniu, które miały przed sobą. Reszta będzie polegać na niej, musiała jakoś się otrząsnąć ze śmiertelnego rozgoryczenia, które kazało jej kwestionować, czy w ogóle coś się jeszcze liczy.

Dokładnie o dziesiątej zjawiła się sekretarka Rossa Slatera i zaprowadziła je nie do jego gabinetu, gdzie Liz już kiedyś była, tylko do sali posiedzeń. Najwyraźniej traktowano je z wszelkimi honorami.

Spodziewała się mahoniowego forniru i staroświeckich rycin ze scenami z polowań, ale sala była gustowna i stylowa, w kolorze terakoty, z malowanymi egipskimi kolumnami. Liz rozpoznała prace Rory'ego O'Leary'ego i starała się nie okazywać, że zrobiło to na niej wrażenie. Trump Tower. Rosyjskie herbaciarnie Nowego Jorku. Pałace w Abu Zabi. Oraz główna siedziba World of Work. Artysta nigdy nie zdradzał swoich cen. A jeśli już pytałeś, to znaczyło, że cię na niego nie stać.

Stolik przy ścianie w pierwszej chwili wydał jej się dowcipnym przykładem malarstwa iluzjonistycznego, ale ponieważ stała na nim złota kawiarka i pięć filiżanek, musiał być prawdziwy. Pięć filiżanek. A ich było cztery. Ona sama. Ginny. Mel. I Britt, w charakterze doradczyni. Ross Slater najwyraźniej nie potrzebował doradców. Był człowiekiem, który sam decydował, co chce robić, i to robił.

Sekretarka zdążyła nalać im kawy, kiedy zjawił się Slater, sam, opanowany i czarujący jak zawsze, w drogim, ręcznie szytym garniturze. Tylko brylant mrugający do nich z ciężkiej złotej oprawy sygnetu oraz lekkie spłaszczanie samogłosek wskazywały, że wychował się raczej na londyńskim East Endzie niż w Eton.

Usiadł, spokojny i odprężony w tej scenerii, która mówiła: „Aha! Myślałyście, że mnie znacie, że jestem kramarzem, który zgrywa ważniaka, ale mnie nie wolno lekceważyć”. Liz zrozumiała, dlaczego ściągnął je tutaj, zamiast przyjechać do nich. Chciał się popisać swoją władzą i gustem, pokazać im, że nie jest jakimś anonimowym konglomeratem, ale człowiekiem z wizją, indywidualnością w korporacyjnym wszechświecie.

Kiedy Liz przedstawiła go pozostałym, widziała, że już mu się to udaje.

Przyjaciółki obserwowały go zafascynowane, czekając na jego pierwszy ruch.

Gdy już wiedział, że wszystkie oczy są zwrócone na niego, odchylił się w swoim skórzanym fotelu i bardzo swobodnym tonem zaczął przedstawiać swoją ofertę.

– Jak panie wiedzą, chcę kupić WomanPower i chciałbym wyjaśnić paniom, dlaczego, i, oczywiście, także dlaczego powinnyście mi sprzedać firmę. – Uśmiechnął się rozbijająco. – WomanPower odniosło olbrzymi sukces. Nie dałoby się kupić takiego rozgłosu i reklamy, jaka jest w tej chwili waszym udziałem. Media was kochają. Rząd prosi o radę i współpracę. Jesteście kobietami i pracujecie. Ale nie zbijacie na tym kapitału. – Powiódł po nich wzrokiem. – A jak wynika z moich informacji, dzieje się tak dlatego, że tak właśnie chcecie. Chcecie pozostać małą firmą, żeby mieć zarówno życie rodzinne, jak i prowadzić interes.

Z tej przemowy wynikało, że Ross Slater dobrze się przygotował. Kto mu o tym powiedział? Kierowniczka biura Dawn po kilku drinkach i mnóstwie pochlebstw? Przecież nie żadna z ich czwórki. Tylko Liz się z nim wcześniej spotkała.

– Może się panie zdziwią, ale bardzo się z taką postawą solidaryzuję – stwierdził.

„Jasne – pomyślała Liz. – Facet, który pracuje siedem dni w tygodniu, któremu rozpadły się trzy małżeństwa, bo go wiecznie nie było, na którego w domu czeka miły, ciepły helikopter”.

– Ale obawiam się – ciągnął – że życie tak nie wygląda. Klienci nie rozumieją, że wakat w ich firmie nie zostaje obsadzony, bo wy chcecie odebrać dzieci z przedszkola. – Liz zauważyła, że głos mu stwardniał. Brzmiał teraz jak surowy, ale sprawiedliwy dyrektor szkoły. – Niektórzy wasi klienci zaczynają się irytować. Przebąkują nawet o niekompetencji. Listy pozostawione bez odpowiedzi. Nieodebrane telefony.

Liz zerknęła na Britt. Mówił to, co ona. Niemal jakby napisała mu tekst.

Poczuła nagły przyływ paniki. Britt chyba nie przekazywała mu informacji? W końcu to ona pierwsza się dowiedziała, że jest zainteresowany kupnem WomanPower. Mogłaby zainkasować pokaźne honorarium za konsultacje, gdyby dobili targu. Przypomniała sobie jednak udręczoną twarz Britt, patrzącą na nią spod drzwi domku, podczas gdy ona chowała się w środku, Britt w tak oplakany stan, że nawet Liz, która mogła mieć do niej tyle żalu, była poruszona. Nie. Britt by tego nie zrobiła. Nie teraz.

Zerknęła na przyjaciółkę. Ale Britt na nią nie patrzyła. Z niezmaconym spokojem słuchała Rossa Slatera.

– Jeśli tak dalej pójdzie, dałbym wam jakieś sześć miesięcy.

Po raz pierwszy Britt spojrzała na niego, tak jakby powtarzał jej prognozę. Pół roku!

– WomanPower rozpadnie się jak domek z kart. Musicie natychmiast zacząć działać, wykorzystać swoje osiągnięcie! Elastyczna praca to idea, której czas właśnie nadszedł! Nie tylko dla kobiet. Wszyscy chcą w życiu więcej równowagi i harmonii. W latach osiemdziesiątych ludzie przedawkowali pracę. Siedemdziesiąt godzin tygodniowo! Osiemdziesiąt godzin tygodniowo! I po co? Mają pieniądze, ale nie mają czasu. Teraz chcą odzyskać swoje życie.

Wstał i zaczął chodzić po sali.

– Jeśli dołączycie do World of Work, będziecie mogli przedstawić swoją ideę na głównej ulicy każdego miasta w kraju! Pomyślcie o wszystkich ludziach, którym pomożecie!

Słyszały ekscytację w jego głosie, chęć, by dostać do rąk pomysł, który ma potencjał, i go rozwinać, zapał, który uderzał do głowy i był zaraźliwy. Wbrew sobie Liz poczuła się porwana jego entuzjazmem.

Może miał rację. Może WomanPower mogłoby więcej działać, gdyby było w każdym mieście. Ogarnęła ją euforia, kiedy wyobraziła sobie, że WomanPower staje się tak sławne jak Brook Street Bureau albo Body Shop. Może jednak powinny sprzedać firmę?

Ross Slater zatrzymał się i oparł o swój fotel.

– Wiem, co sobie myślicie. WomanPower to nasze dziecko, a ten człowiek, ten milioner, dla którego nasza firma jest tylko kolejną cegiełką w jego imperium, chce nam ją zabrać. Ale mnie na tej firmie zależy. Uważam, że jest wyjątkowa, jedyna w swoim rodzaju, i chcę zachować to indywidualne podejście do kobiet, tę troskę i ciepło! – Liz wyczuła, że Slater zaraz zagra swoją atutową kartą. – Na pewno nie chcę też was wykluczać. Chciałbym, żebyście obie, Ginny i pani, Liz, zostały w firmie jako dyrektorki na pół etatu. Zbyt wiele razy widziałem, jak firma odkupiona od osoby, którą ją stworzyła, rozpada się w ciągu kilku miesięcy. Ja was potrzebuję! Chcę WomanPower, ponieważ wiem, co moglibyśmy razem zrobić z tą firmą.

Przez sekundę Liz słyszała pobrzmiewające w jego słowach echo obietnicy złożonej tamtemu starszemu, o którym opowiedział jej David: „Nie mógłbym kupić takiego doświadczenia jak pańskie”.

Ale nawet ona nie była przygotowana na to, co miały za chwilę usłyszeć.

– Bardzo mi zależy na WomanPower. – Urwał i popatrzył na nie kolejno, oceniając reakcję na jego słowa. – I jestem gotowy zapłacić za waszą firmę dwa miliony funtów.

Liz usiłowała stłumić głośne westchnienie. Dwa miliony! A do niej należała prawie połowa! Starła się odpędzić wizje basenów i rejsów i słuchać tego, co mówił Slater.

Dał znakomite przedstawienie. Pomyślał o wszystkim. Była to, jak uświadomiła sobie Liz z lekkim przerażeniem, oferta, którą bardzo trudno będzie

im odrzucić.

Liz zapięła teczkę i zdała sobie sprawę, że Ross Slater się jej przygląda. Dotarło do niej, że Slater bardzo dobrze rozumie sytuację. Że to ona, nie żadna z pozostałych, będzie jego przeciwniczką.

Zbliżył się do niej z uśmiechem. Od razu przypomniała sobie, dlaczego jego chłodny urok tak ją zaniepokoił podczas ich pierwszego spotkania. Był to urok wojskowego buta. Slater był typem mężczyzny, który podejmował decyzje za ciebie, od zamawiania ci kolacji po porządkowanie twojego życia. Niektóre kobiety pewnie były tym zachwycone, ale Liz do nich nie należała.

Ruszyła do wyjścia, kiedy poczuła, jak jego dłoń przytrzymuje ją za łokieć, podczas gdy jej przyjaciółki poszły przodem.

– Pani Ward. Czy słusznie mi się wydaje, że była pani żoną Davida Warda, tego dziennikarza?

– Nadal jestem jego żoną – poprawiła Liz, sama nie wiedząc, dlaczego zadaje sobie ten trud.

– Rozumiem. Ale mieszkacie osobno? Pani mąż jest bardzo upartym i wytrwałym człowiekiem. – Słyszała zawołaną irytację w jego głosie.

– Jak każdy dobry dziennikarz.

– Możliwe. Obawiam się, że nie mam zbyt wielkiego szacunku dla dziennikarzy. Ale akurat co do mnie się mylił. Posłuchał smutnego starego człowieka, który żywił do mnie urazę.

Liz zastanowiła się, czy powinna się przyznać, ile wie.

– I ta uraza nie miała nic wspólnego z tym, że wypchnął go pan z zarządu jego byłej firmy?

Slater się roześmiał.

– To niedorzeczne, jak już mówiłem wtedy pani mężowi. Staruszek nie był w najlepszej formie, to wszystko. Pamięć mu szwankowała. Nie był zdolny zasiadać w zarządzie.

Liz przypomniała sobie, jak go opisywał David. „Bystrzacha jakich mało”.

Ross Slater przysunął się odrobinę bliżej i zniżył głos.

– Mam nadzieję, pani Ward... Czy może powinienem nazywać panią Susannah Smith? Mam nadzieję, że kiedy będzie już po wszystkim, zje pani ze mną kolację. – Otworzył jej drzwi. – Podoba mi się pani styl.

Gdy Liz szła do wyjścia, przypomniała sobie wyraz twarzy Davida, kiedy opowiadał jej o staruszku. To był ten dawny David, pełen pasji i gniewu.

Wiedziała, w czyją wersję wierzyć. Miała tylko nadzieję, że uda jej się przekonać do tego resztę.

– Wow! Co za propozycja. Pomyślał o wszystkim!

Mel wzięła do ręki oficjalną ofertę w specjalnym segregatorze i przekartkowała.

– Spełnienie marzeń! WomanPower na głównej ulicy w każdym mieście – entuzjasmowała się Ginny. – Dyrektorki na pół etatu! Dwa miliony funtów! Gavin będzie mógł zrezygnować z dojazdów i pracować w domu! Nie będziemy musieli go sprzedawać!

Słyszając ulgę w głosie Ginny, Liz zaczęła czuć ucisk w żołądku i zimne dreszcze, jakby miała się rozchorować na grypę. Nie była to jednak grypa, lecz świadomość, że będzie musiała wylać kubeł zimnej wody na rozpalone głowy przyjaciółek. Widziały w Rossie Slaterze zbawcę. Rycerza na białym koniu, który przybędzie i rozwiąże wszystkie ich problemy, zasypie je deszczem pieniędzy i doda im otuchy swoją męskością. „Wszystko już dobrze, skoro ja tu jestem, kochanie. Może pójdziesz kupić sobie nową sukienkę, a ja tymczasem opanuję sytuację”.

Jak, do diabła, miała je przekonać, że Ross Slater nie był zbawcą, tylko kryjącym się w trawie wężem?

– O, tak, pomyślał o wszystkim – wtrąciła Liz. – Ale czy dotrzyma słowa? Ross Slater jest przedsiębiorcą, jednoosobową orkiestrą. Decyzje podejmuje sam. Nie przyprowadził nawet żadnych doradców na spotkanie. Każdy inny przyszedłby otoczony wianuszkiem księgowych, dyrektorów personalnych, ludzi z działu fuzji i przejęć. A on przyszedł sam. Dlaczego? Bo kieruje się instynktem, sam decyduje o wszystkim. Nie będzie chciał nas słuchać! Jeśli mu się sprzeciwimy, pozbędzie się nas i zrobi to, co będzie chciał. Taki z niego demokratą jak z Attyli, króla Hunów!

Liz wiedziała, że nakłuwa balon ich marzeń i oczekiwań, ale ktoś to musiał zrobić, zanim oddadzą WomanPower Slaterowi i będą mogły tylko bezradnie patrzeć, jak rozmontowuje wszystko, co firma sobą reprezentowała.

Ginny przestała się uśmiechać i odwróciła się do niej.

– W takim razie dlaczego zaproponował nam, żebyśmy były dyrektorkami? Nie musiał tego robić. – Liz wiedziała, że Ginny nie jest przekonana.

– Bo chce nas namówić na sprzedaż! A jest bardziej prawdopodobne, że się zgodzimy, jeśli będziemy myślały, że wciąż będziemy miały coś do powiedzenia.

– Jesteś pewna, że nie przesadzasz? – zapytała łagodnie Britt. – Slater to nie Conrad. Pod jego kierownictwem WomanPower może mieć przed sobą wspaniałą przyszłość. Jest genialnym biznesmenem. A WomenPower budzi w nim wyraźny entuzjazm. Było go słychać w jego głosie.

Liz znacznie trudniej było zbić spokojne argumenty Britt niż złość Ginny.

– Tak, ale co go tak ekscytuje? Nasz image, to wszystko. Myślisz, że cokolwiek go obchodzą kobiety w naszej bazie i to, czy dostaną dobre warunki zatrudnienia? Pewnie ma to gdzieś!

– Coś musimy zrobić, Liz – przypomniała jej cicho Britt. – Nawet jeśli nie zdecydujecie się na sprzedaż, będziecie potrzebować pełnoetatowego dyrektora

generalnego, a wtedy i tak możecie zostać wysiudane, już bez fortuny w zamian.

Liz się skrzywiła. Wiedziała, że Britt ma rację. Ale przecież na pewno uda im się znaleźć kogoś życzliwego i pełnego zrozumienia, kto pokierowałby WomanPower. Nagle olśniła ją myśl tak oczywista, że nie miała pojęcia, dlaczego wcześniej na to nie wpadła.

– Britt, a może ty byś się zdecydowała poprowadzić WomanPower?

Britt uśmiechnęła się delikatnie.

– Przepraszam, Liz, ale mam własną firmę.

Liz popatrzyła na drugą przyjaciółkę.

– A ty, Mel?

Mel wyraźnie się zakłopotowała.

– Bardzo bym chciała, ale myślimy z Garthem o założeniu własnego czasopisma.

Liz zwróciła się do Ginny. Wiedziała, że to na nic, ale musiała zapytać.

– Ginny, a może ty?

– Daj spokój, Liz! Przecież to ty mi powiedziałaś, żebym nie rujnowała swojego małżeństwa, że jest więcej warte niż jakakolwiek firma!

Liz uśmiechnęła się cierpko.

Ginny odpowiedziała jej uśmiechem, lekko nerwowym.

– No, a może ty, Liz, skoro teraz już nie... hm... – Urwała, zbyt skrupowana, żeby dokończyć.

– Skoro teraz nie jestem już w związku, który trzeba by brać pod uwagę?

Wiedziała, co wszystkie myślą. Że prosiła je o poświęcenie, na które sama nie była gotowa. Że z całej ich czwórki to ona była idealnym wyborem. Zwłaszcza teraz. Kiedy straciła Nicka.

W tym momencie wiedziała, że przegrała batalię. Jeśli sama nie była gotowa kierować WomanPower, trudno oczekiwać od pozostałych, że nie sprzedadzą firmy komuś, kto będzie.

Miała jeszcze tylko jedną szansę, by je przekonać do zmiany zdania. Pora, żeby z niej skorzystała.

– Kiedy byłam w Leeds, spotkałam się z Davidem.

– No i? – Ginny już słyszała o oblewaniu rozwodu.

– Opowiedział mi coś o Rossie Slaterze. Jak kupił firmę od starego człowieka, który budował ją przez całe życie. Początkowo starszy nie chciał jej sprzedać, ale Slater go namówił. Jak wiemy, ma dar przekonywania. Jak myślicie, co przesądziło sprawę?

Liz czuła na sobie spojrzenia pozostałych. Wszystkie trzy obserwowały ją niemal z obawą, że to, co powie, może jeszcze zabić kurę znoszącą złote jaja.

– Zaproponował starszemu członkostwo w zarządzie. Powiedział mu, że szaleństwem byłoby kupować firmę i nie zachować tej siły twórczej, która stała za

jej sukcesem. Czyli dokładnie to samo, co nam. A potem, kiedy staruszek mu się sprzeciwiał, został wypchnięty z zarządu. – Urwała na chwilę. Milczenie przyjaciółek wskazywało, że wreszcie dała im do myślenia. – Za rok już nie żył. Z milionem funtów w banku, z którego nie zdążył skorzystać.

Ginny zrobiła buntowniczą minę. Miała najwięcej do stracenia.

– Może staruszek nie był w pełni sił.

– David powiedział, że miał umysł bystry jak u pięćdziesięciolatka.

– Nie wiedziałam, że David jest takim znawcą psychologii.

Liz ją zignorowała.

– Nie wierzę, że był słaby na umyśle. Myślę, że Ross Slater chciał go wykopać. Jeśli sprzedamy Slaterowi naszą firmę, to ją zniszczy, a jeśli będziemy próbowały go powstrzymać, to się nas pozbędzie.

– Rozumiem, że jesteś przeciwna sprzedaży? – zapytała cicho Britt.

Liz nagle przypomniała sobie sformułowanie, którego użył David. Ross Slater potrafiłby sprzedać śnieg Eskimosom. Zaczynał jako sprzedawca i nadal nim był. Tylko że tym razem sprzedawał im ich własną śmierć, a one same kładły mu się na dłoni i czekały, aż je zgniecie!

– Zdecydowanie jestem przeciwna.

Britt zwróciła się do pozostałych.

– Wy dwie macie resztę udziałów. Co, waszym zdaniem, powinniśmy zrobić? Przyjąć ofertę Slatera czy powiedzieć mu, żeby spadał na drzewo?

Rozdział 35

– Nie rozumiem, dlaczego w ogóle o tym dyskutujemy. Oczywiście, że powinniśmy przyjąć ofertę. To idealne rozwiązanie!

Ginny popatrzyła na swoje trzy przyjaciółki ze zdumieniem. Dla niej sprawa była prosta. Potrzebowały kogoś, kto pokierowałby WomanPower, a Ross Slater chciał się tego podjąć, w dodatku miał z nich zrobić bogaczki.

– Jeśli się martwimy, że nie będziemy miały nic do powiedzenia, może po prostu poprosimy o gwarancję w umowie?

– Oczywiście, że możemy poprosić o gwarancję, ale on nigdy się nie zgodzi na taki zapis. Powie, żebyśmy mu zaufały.

– A dlaczego nie powinniśmy?

– Bo jest jak stary zbereźnik z paczką cukierków. Gdyby nie planował czegoś ohydneho, toby nas nimi nie częstował!

Britt odwróciła się do Mel, która nie zabierała głosu, tylko słuchała.

– Jak ty myślisz, Mel? Masz dziesięć procent udziałów. Powinniśmy sprzedać?

– O, Boże, nie wiem! Pod pewnymi względami oferta wydaje się idealna, tak jak mówi Ginny. Ale Ross Slater ma w sobie coś takiego... Trudno mi to sprecyzować... Już wiem!

Wszystkie spojrzały na nią, czekając na rozstrzygający argument.

– Nosi zamszowe buty, a mój ojciec mawiał: „Nigdy nie ufaj mężczyźnie w zamszowych butach!”.

– Na litość boską, Mel – warknęła Ginny – za chwilę powiesz, że ma zbyt wąsko osadzone oczy!

– Skoro już o tym wspomniałaś, to rzeczywiście wydają się trochę za blisko siebie. A pamiętacie uścisk jego dłoni? Spodziewałam się Arnolda Schwarzeneggera, a dostałam Woody’ego Allena!

– Dziękujemy, doktorze Freud! – Ginny z trudem hamowała irytację. – Czy ktoś ma coś sensownego do powiedzenia? Britt, a ty?

Britt wyrównała stosik papierów przed sobą, w pełni świadoma efektu, jaki będą miały jej słowa. Wszędzie wokół niej ziała przepaść, do której w każdej chwili mogły się stoczyć przyjaźń i lojalność, znów wystawiając na próbę jej relacje z tymi trzema kobietami. A zwłaszcza z Liz.

W końcu podniosła wzrok.

– Chyba nie powinnam się wypowiadać. Z przyjemnością doradzę wam w sprawie warunków umowy. Ale nie jestem udziałowcem. To wy trzy jesteście właścicielkami firmy, nie ja. Pasuję.

Spróbowała się bezstronnie uśmiechnąć, ale Liz zdusiła tę próbę w zarodku.

– O nie, Britt. Bez takiego kitu po tym wszystkim, co przeszliśmy. Chcę usłyszeć prawdę. – Bezlitośnie podtrzymała spojrzenie Britt, nie pozwalając jej odwrócić wzroku. – Zasluguję na prawdę. A kto jak kto, ale ty jesteś mi ją winna.

Britt popatrzyła na swoje dłonie. Miała zaskakująco krótkie palce jak na tak szczupłą osobę. Na jednym paznokciu zauważyła maleńką plamkę lakieru. Co, do cholery, miała powiedzieć? Prawda najbardziej zabolizowała Liz. A Liz była akurat tą osobą, której za nic nie chciała zranić.

– Dawaj, Britt. Jakoś to zniosę. Jestem już dużą dziewczynką.

Britt podniosła wzrok, ignorując dwie pozostałe przyjaciółki i patrząc Liz prosto w oczy.

– Przykro mi Liz, naprawdę. Ale już nigdy nie dostaniecie takiej oferty. Uważam, że powinnyście sprzedać firmę.

– A ty, Mel? – Może przynajmniej Mel z jej cudownie irracjonalnymi uprzedzeniami stanie po jej stronie, stworzą sojusz przeciwko pragmatycznej etyce biznesowej, która brała górę.

Mel wyciągnęła rękę do Liz i ujęła jej dłoń.

– Mnie też jest przykro, Lizzie, ale zgadzam się z Britt.

Nagle Liz poczuła się zmęczona, jakby była bardzo stara i słaba, a wszystkie boje, które toczyła, rozstrzygnęły się dawno temu. Powoli wstała i schyliła się, żeby podnieść swoją teczkę; teczkę, która nie będzie jej już potrzebna.

Straciła Davida, potem Nicka, a teraz WomanPower. Przegrała w miłości i w pracy, a teraz straci przyjaciółki, dzięki którym te inne potworne straty jakoś dawało się znieść. Popatrzyła kolejno na ich twarze, jakby chciała je zapamiętać przed długą podróżą.

– No to powodzenia. Mam nadzieję, że nie przekonacie się zbyt prędko, że Ross Slater to rekin ludojad. Pilnujcie się. Jeśli będziecie potrzebować rady, zapytajcie Davida. Zna Slatera lepiej niż ja.

Liz ruszyła do drzwi. Kolejne teatralne wyjście. Ale Mel dotarła tam pierwsza i próbowała ją powstrzymać.

– Lizzie, zostań...

Liz pokręciła głową i szła dalej. Nie było nic więcej do powiedzenia. Nie chciała być częścią WomanPower należącego do Rossa Slatera. Miała ochotę zrobić tylko jedno. Pójść do domu. Pobiec ścieżką do kamiennego domku, przycisnąć zimną twarz do twarzy Jamiego i pocałować miękkie policzki Daisy. Byli teraz wszystkim, co miała. Spojrzała na zegarek. Mogła być z nimi za pół godziny. Otuliła się płaszczem i skierowała w stronę parkingu, wiedząc, że jeśli się nie obejrzy, uda jej się powstrzymać łzy, dopóki nie dotrze do samochodu.

Nie zauważyła więc, że Britt sięgnęła do swojej teczki po organizer i właśnie go kartkowała w poszukiwaniu numeru Davida.

Dopiero kiedy skręciła z drogi z Lewes w kierunku Seamington i domu,

uderzyło ją, że, jak na ironię, pogoda była idealna. Słońce świeciło oślepiającym blaskiem, niebo było tak błękitne i czyste, że aż oczy bolały, a czerwone i złote liście wciąż wisały na gałęziach. Drzewa wyglądały jak te, które Jamie rysował w przedszkolu. Jaskółki zbierały się na drutach telegraficznych, jakby były na castingu u Hitchcocka, czekając na odlot na południe, zanim zaczną się pierwsze mrozy. Wszystko wyglądało cudownie i majestatycznie. Liz była tak zaabsorbowana zerwaniem z Nickiem i sytuacją WomanPower, że nawet nie zauważyła, jak przyroda wymknęła się po cichu na górę i wystroiła do kolacji.

Kiedy zaparkowała przed Crossways, zobaczyła z ulgą, że drzwi domu Ruby są zamknięte. Kilka miesięcy potrwało, zanim nauczyła się niezmiennej od stuleci wioskowej etykiety. Zostawianie przy ładnej pogodzie otwartych na oścież drzwi wejściowych było normą, która nie obowiązywała tylko w środku zimy. Ten zwyczaj zrodził się z praktycznej potrzeby: ciemne kamienne domki z małymi oknami trzeba było doświetlać na wszelkie możliwe sposoby. Ponadto sygnalizowało się w ten sposób sąsiadom, że są mile widziani, pokazywało się, że jest się częścią miejscowej społeczności. Wiązało się to także z brakiem prywatności, który wywołałby panikę u każdego pełnego rezerwy mieszczucha ceniącego anonimowość. Na ogół Liz to otwieranie drzwi bardzo się podobało, ale dziś cieszyła się, że Ruby nie ma ochoty na pogawędkę.

W domu panowała cisza, ale nie pustka. Wszystko jakby czekało, by ożyć, kiedy Jamie i Daisy otworzą z rozmachem drzwi i wpadną z powrotem do środka. Ta ciepła atmosfera przypominała jej babcię drzemiącą przy kominku, którą obudzi mokry buziak w policzek, a ona poczęstuje herbatą i ciepłymi bułeczkami.

Liz chodziła powoli po kuchni i pozwalała, by ta przytulna cisza kołysała jej stres i poczucie krzywdy; poddawała się jej wiecznemu spokojowi. Przy oknie, przez które wpadało słońce, kładąc się pasami na starym fotelu, poczuła zapach dojrzewających owoców. W rzędach na parapecie leżały szare renety i twarde gruszki, a ostatnia osa brzęczała łagodnie, przygotowując się na śmierć ze spokojem mnicha zen.

Zaczęła robić sobie herbatę. Na sosnowym kuchennym stole stygła na kratce szarlotka, jakby żywcem wyjęta z dziecięcej rymowanki. Minty musiała ją upiec na podwieczorek. Dokładnie taką szarlotkę Liz widziała w swoich fantazjach, właśnie taką zawsze chciała zrobić: lekką i złocistą, z ładnie żłobkowanymi brzegami i kwiatkiem z listków z ciasta na środku. Ale nigdy jej nie zrobiła. Zupełnie jak z tym patchworkiem, do którego powycinała kawałki materiałów, a potem je porzuciła, i jak z tą makatką, na której wyszyła ściegiem krzyżykowym słowa: *Wszędzie dobrze, ale...*

Dlaczego tak trudno było jej być taką kobietą, jaką chciała być? Kiedyś kobiety nie miały żadnego wyboru, teraz mogą zostać, kim tylko zapragną. Jednak, dziwna rzecz, gdy miało się wybór, trudniej było być szczęśliwą. Bo kiedy jedno

drzwi się otwierały, jednocześnie inne się zamykały. Jeśli goniłaś za sukcesem, traciłaś drobne, domowe przyjemności, które od stuleci dają kobietom satysfakcję. Tworzenie ciepłego, przytulnego domu, patrzenie, jak rosną twoje dzieci, zapraszanie przyjaciół, czas na pogaduszki przy ogrodowej furtce. Jeśli jednak siedziałaś w domu, wychowywałaś dzieci i piekłaś ciasta, dręczyło cię poczucie, że coś tracisz.

Pomyślała, że tym razem była tak bliska znalezienia złotego środka. Harmonii. Życia w równowadze. Nagle jej umysł wypełnił obraz Nicka leżącego na kanapie, destrukcyjny i żrący jak kwas akumulatorowy na lakierze nowego samochodu. I po raz pierwszy, odkąd otworzyła wtedy tamte drzwi, pozwoliła sobie oprzeć głowę na rękach i płakać w pachnący pszczelim woskiem stół kuchenny.

Za plecami usłyszała chrzęst kroków na żwirze i do środka wpadł Jamie z dziurą w spodniach i zadrapanym kolanem, a za nim dreptała Daisy w jaskraworóżowej parce. Z rękawów dyndały jej rękawiczki na sznurku, które, sądząc po ich wyglądzie, ciągnęła za sobą w błocie przez całą drogę z przedszkola. Minty zajrzała do kuchni i, widząc łyżę Liz, wycofała się cicho, żeby powiesić kurtki na ganku.

– Mamusiu, mamusiu, dlaczego płaczesz? – zapytał Jamie, a jej serce fiknęło koziółka, kiedy usłyszała miłość w jego głosie.

Odwróciła się i go objęła.

– Bo tak bardzo za tobą tęskniłam!

Poklepał ją życzliwie.

– No to już jestem, więc możesz przestać!

– Tak. – Uśmiechnęła się do niego przez łyżę. – Mogę. Prawda?

– Ale głuptas z tej mamy – cmoknął Jamie, kręcąc głową.

– Ja też! Tulić! Mnie też! – zażądała Daisy, wściekła, że omijają ją jakieś buziaki.

Liz spojrzała na córkę i zobaczyła twarz Davida w miniaturze, upartą i zdecydowaną, która uśmiechała się do niej, gdy Daisy walczyła o miejsce na jej kolanach.

Kiedy była w ciąży, spodziewała się, że jej dzieci będą zupełnie takie same, jak drażetki Smarties. Tymczasem od samego początku, gdy tylko pojawiły się na świecie, Jamie był podobny do niej, a Daisy to wykapany David, i ciałem, i duszą.

Gdy podniosła córkę i posadziła ją sobie na drugim kolanie, przemknęło jej przez głowę pytanie, jak by to było, gdyby ułożyło się między nimi inaczej.

Odpędzając tę myśl, sięgnęła po idealną szarlotkę i ukroiła każdemu po nieco za dużym kawałku. Usiedli przy sosnowym stole, jedząc ciasto palcami. Kiedy Jamie zaczął opowiadać z najdrobniejszymi szczegółami, co robił dzisiaj w przedszkolu, poczuła, że może dzisiejszy dzień nie jest aż taką katastrofą, jak się

wydawało.

Kiedy zadzwonił telefon, Liz zrywała chryzantemy. We wczesnej młodości uważała je za kwiaty w złym guście, bo kojarzyły jej się z kiczowatymi miejskimi klombami, ale teraz uwielbiała ich krzykliwe, wyzywające kolory i ten szczególny cierpki, rześki zapach, który obwieszczał przyjście jesieni równie wyraźnie, jak pojawienie się w sklepach koksy pomarańczowej czy młodej brukselki.

W pierwszej chwili chciała go zignorować. Nie było nikogo, z kim chciałyby rozmawiać, a odebranie telefonu oznaczało, że musiałyby zdjąć rękawice ogrodnicze i kalosze, a potem tak zwane arktyczne skarpetki, wymyślone dla armii brytyjskiej. Skarpetki te polecił jej pewien znajomy, zapalony myśliwy; na początku bardzo sceptycznie odniosła się do cienkiej jak siateczka tkaniny i chciała trzymać się starych dobrych wełnianych skarpet, które wyglądały, jakby je zrobiono dla żołnierzy w okopach. Ale skarpety arktyczne okazały się rewelacyjne – a ciepłe stopy, jak się przekonała, zmieniają nastawienie człowieka do życia na wsi.

Ktokolwiek dzwonił, był bardzo wytrwały. Po dziesiątym sygnale poddała się i rzuciła sekator, przekonana, że ten ktoś się rozłączy, zanim ona zdąży zdjąć kalosze.

Zastanawiała się, czy to może być Mel albo Ginny. Ale minęło dziesięć dni, odkąd wyszła z WomanPower i żadna z nich się od tamtej pory nie odezwała. Po co więc dzwoniłyby teraz?

Wciąż jeszcze ściągała drugiego gumiaka, kiedy dotarła do telefonu. Ponieważ już z trudem utrzymywała równowagę, omal się nie przewróciła, gdy usłyszała głos w słuchawce.

– Dzień dobry, Liz. Mówi Mark Rowley. Zostałem doradcą specjalnym prezesa Metro Television. Mamy tu mały kryzys. Nie wiem, czy słyszałaś, ale Conrad Marks został zwolniony. W przyszłym tygodniu wszędzie będzie o tym huczało, więc nie zdradzam tu niczego poufnego.

– Dlaczego? – Liz usiadła ciężko na krześle w przedpokoju. – Co takiego Conrad nawywijał?

Mignęła jej przed oczami wizja Conrada przyłapanego z Claudią na stole w sali posiedzeń. Tyle że za coś takiego z telewizji się nie wylatywało.

– Wyprowadził znaczne środki z funduszu patronackiego Panthera do swoich prywatnych spółek. Około pół miliona funtów.

– Boże! Jak Panther to przyjął?

– Jak dotąd reagują całkiem przyzwoicie. Tyle że chcą odzyskać te pieniądze. I chcą, żeby Metrem kierował ktoś o wysokich standardach etycznych, komu będą mogli zaufać. Inaczej wycofają resztę środków. – Urwał na chwilę. – Liz, sir Derek prosił, żebym zapytał, czy mogłabyś przyjechać w najbliższych dniach do Londynu i z nami porozmawiać.

Liz wstrzymała oddech. Wprawdzie od prawie roku mieszkała na głuchej prowincji, ale wciąż wiedziała, że pytanie: „Czy możesz przyjechać i porozmawiać?” w języku telewizyjnym oznacza: „Chcemy zaproponować ci twoje dawne stanowisko albo jeszcze coś lepszego”.

– Cześć, David. Tu Mel – mówiąc te słowa, zaśmiała się nerwowo. David od razu odłożył raport, który czytał, i poświęcił jej całą uwagę. Chyba jeszcze nigdy nie słyszał zdenerwowanej Mel.

Mel zakłęta w duchu, że to na nią spadło zadanie zadzwonienia do Davida, ale Ginny stanowczo odmówiła, a Britt, od której ten pomysł wyszedł, nie czuła się na siłach z nim rozmawiać. No i w końcu to ona, Mel, w pewien deszczowy czwartkowy wieczór wykręciła numer w Selden Bridge.

– Mel, miło cię słyszeć. Jak ci się podoba życie na wsi?

– Koszmar. Cisza taka, że spać nie mogę i nie ma żadnego porządnego sklepu w promieniu trzydziestu kilometrów.

– Biedna Mel. Nigdy sobie ciebie nie wyobrażałem w impregnowanej kurtce i zielonych kaloszach, podpierającej bar w lokalnym pubie. No, może ewentualnie to ostatnie. Pewnie marzysz o powrocie do The Groucho?

– A jakże. Chociaż znalazłam w Lewes bar, w którym robią wyrąbiste drinki z tequilą. Trzy takie i nie pamiętasz, czy jesteś w Sussex, czy w Suazi.

David się roześmiał.

– A czemu zawdzięczam ten zaszczyt, jakim niewątpliwie jest telefon od ciebie? Chyba nie szukasz zleceń jako wolny strzelec?

– Kochany, nie byłoby cię na mnie stać. – Mel zachichotała. – Właściwie to dzwonię w sprawie WomanPower. Ross Slater zożył nam propozycję, którą wszystkie uważamy za bardzo trudną do odrzucenia. – Zrobiła pauzę. – To znaczy wszystkie oprócz Liz. Jest tak zdeterminowana, żeby ją odrzucić, że odeszła z firmy!

– Ale przecież WomanPower tyle dla niej znaczy!

– No właśnie. Ale nie, jeśli będzie należeć do Rossa Slatera. – W głosie Mel było słycać wzburzenie. – Kazała nam porozmawiać z tobą, gdybyśmy potrzebowały rady. Podobno miałeś z nim jakieś starcie parę lat temu. – Mel nieco się rozpozogdziła. – No i pomyślałyśmy sobie, czy nie mógłbyś trochę pokopać i dowiedzieć się, co Slater kombinuje od tamtej pory.

David uśmiechnął się do siebie. Myślał o Liz. Czyli jednak posłuchała jego rady. Nieważne, jak bardzo był zajęty, na spełnienie tej prośby chętnie wygospodaruje trochę czasu.

– Oczywiście, Mel. Nic mi nie sprawi większej przyjemności. Większość powinno mi się udać załatwić stąd. Kiedy mam zacząć?

Liz stała przed czarno-białą postmodernistyczną świątynią boga telewizji, która służyła za studia Metro TV, i wahała się przez chwilę. Chociaż był to

triumfalny powrót, niespodziewanie poczuła się zdenerwowana. Cały jej okres pracy tutaj wiązał się z napięciem, z ogromnymi emocjami, z ciągłą walką. Zdziwiło ją to uczucie, ale wcale nie miała ochoty wejść do środka. Zmusiła się siłą woli.

Wzięła głęboki wdech i pchnęła chromowane drzwi obrotowe. Miała dziwne wrażenie, jakby wchodziła w swoją przeszłość, przeszłość, którą już zdążyła spakować w karton, podpisać i upchnąć na strychu, nie spodziewając się, że ją jeszcze zobaczy.

Jednak kiedy zapadła się w głębokim fotelu w recepcji, uświadomiła sobie, że coś się zmieniło. W pierwszej chwili nie potrafiła sprecyzować, co takiego. Recepcjonistka, młoda kobieta, której nie poznawała, uśmiechnęła się do niej ciepło. Podobnie jak ochroniarze w swojej dyżurce naprzeciwko. Już wiedziała. Zmieniła się atmosfera. Bez Conrada wymachującego nożem, który w każdej chwili mógł wbić im w plecy, ludzie w Metro TV byli rozluźnieni i zyczliwi.

– Pani Ward. Jestem asystentką prezesa. Zapraszam tędy.

Liz sięgnęła po swoją teczkę, podniosła wzrok i zobaczyła uśmiechniętą twarz Viv, swojej dawnej sekretarki.

– Viv! Jak się masz? – Zerwała się z fotela i objęła dziewczynę. – Asystentka prezesa? Wspaniale! Założę się, że on nie pożyczka od ciebie rajstop! Czy pożyczka?

Viv zachichotała.

– Na razie nie. A jak ty się masz? Czyż to nie zabawne?

– Jeszcze jak! Czy proponują mi to, co myślę, że mi proponują?

– Pani Ward! Rozmawia pani z asystentką prezesa. Nie pisnę ani słówka. Nie pamiętasz, że byłam najdyskretniejszą sekretarką, jaką miałaś? Jak mogłabym ujawniać tak poufne informacje?

Liz sięgnęła potulnie po płaszcz, a Viv pochyliła się w jej stronę, by wziąć od niej teczkę.

– Oczywiście, że proponują! – syknęła Liz do ucha. – Inaczej po diabła ściągaliby cię z Sussex?

Liz poczuła, że kolana się pod nią uginają, kiedy ruszyła za Viv do windy, którą wjechały do luksusowego biura sir Dereka na czwartym piętrze.

Sir Derek i Mark Rowley zerwali się, kiedy tylko weszła do gabinetu. W powietrzu wisiało wyczuwalne napięcie. To ją uspokoiło. Oni też się denerwowali.

– Liz, moja droga, jak się masz? Bardzo dziękuję, że przyjechałaś się z nami spotkać – powitał ją sir Derek. Wskazał jej miejsce na czarnej skórzanej kanapie, z widokiem na rzekę. Pamiętała, że tu siadał Conrad.

– Dzień dobry, Liz, dobrze cię widzieć. – Mark Rowley nieśmiało uściśnął jej dłoń i usiadł na krześle obok. Sir Derek zajął miejsce na drugim końcu kanapy. Obaj się uśmiechnęli, wyraźnie starając się ocenić, czy to już moment na przejście

od uprzejmości do interesów.

– Cóż, moja droga, zapewne się domyślasz, dlaczego cię tu dzisiaj zaprosiliśmy – zagał sir Derek.

– Oczywiście jestem zaintrygowana – odparła Liz.

„Nie mów zbyt wiele – ostrzegła się w myśli – na wypadek, gdybyś się myliła, a oni chcieli tylko zaproponować ci posadę kierownika do spraw spinaczy”.

– Tak. Cóż, jak powiedział ci Mark, Conrad odszedł w nieco krępujących okolicznościach. Claudia Jones, która była pełniącą obowiązki dyrektora programowego, odeszła razem z nim.

Liz się uśmiechnęła. A więc Claudia wiernie stanęła przy swoim mężczyźnie. Może Liz źle ją oceniła. Chyba że Claudia też maczała swoje paluchy o czerwonych szponach w tym finansowym przekręcie.

– Potrzebujemy na to miejsce kogoś o nieposzlakowanej opinii i imponujących osiągnięciach. Kogoś, kto uspokoi władze kontrolujące telewizyjne koncesje oraz City, a przede wszystkim zapewni, że Panther nie wycofa się z patronatu. Bo wtedy zrobiłaby się chryja na całego.

Liz popatrzyła na sir Dereka ze zdziwieniem. Musiał być pod dużą presją, skoro się tak wyrażał.

– Władze mogłyby się domagać śledztwa i Bóg raczy wiedzieć, do czego by się dokopali. – Twarz mu poszarzała. – Conrad chyba myślał, że jest Bogiem i jakieś tam śmieszne prawa obowiązujące śmiertelników jego nie dotyczą. – Podniósł małą podstawkę z laki i zaczął obracać ją w palcach. – Szukaliśmy więc na gwałt takiego wzoru cnót, a dyrektor generalny Panthera zasugerował ciebie.

Liz się uśmiechnęła. A zatem w Pantherze tak dobrze o niej myśleli.

– Otóż, Liz, chcielibyśmy, żebyś wróciła do Metra. Trzyletni kontrakt. Naturalnie z podwyżką pensji, powiedzmy o pięćdziesiąt procent, do tego dziesięć tysięcy akcji Metra i oczywiście samochód, opieka zdrowotna oraz wszystkie normalne świadczenia.

Liz przeprowadziła w głowie szybką kalkulację. Sir Derek proponował, że uczyni ją prawie tak bogatą, jak wcześniej Ross Slater, tyle że to byłaby prawdziwa praca. Poczwała, jak wali jej serce. Mogłaby zrobić ten cykl o bezdomności! Mogłaby rozwinąć Metro w jedną z najlepszych stacji telewizyjnych w Wielkiej Brytanii! Ale czy rzeczywiście? Jej entuzjazm nagle osłabł. Kto zostałby nowym dyrektorem generalnym? Kolejny Conrad, który obcinałby jej budżet za każdym razem, kiedy poszłaby do łazienki?

– To mi bardzo pochlebia, sir. Ale szczerze mówiąc, to nie zachęty finansowe mają dla mnie kluczowe znaczenie.

Sir Derek się uśmiechnął.

– A co ma?

Spojrzała mu prosto w oczy, zmuszając się siłą woli, żeby być twardą. Nie

potrzebowała tej pracy. Aż nazbyt dobrze wiedziała, z jakimi wiązałyby się poświęceniami. Nie miało sensu przyjmować tej posady tylko dlatego, że prawiono jej komplementy.

– Kontrola. Możliwość decydowania nie tylko o tym, jakie Metro robi programy, ale także o wielkości budżetów.

Wstrzymała oddech. Wiedziała, że prosi o coś, czego żaden nowy dyrektor generalny nigdy nie zaakceptuje.

– Nie widzę tu problemu.

Zagapiła się na niego z otwartymi ustami.

– Przedyskutowaliśmy to szczegółowo z zarządem. Uznaliśmy, że napięcie między tobą a Conradem było nieuniknione. Dlatego stanowisko, które ci proponujemy, to nie po prostu dyrektor programowa, ale równocześnie dyrektor generalna. – Uśmiechnął się. – Dlatego wynagrodzenie jest takie wysokie.

Liz usiłowała zachować spokój, ale jej się nie udało.

– Dyrektor generalna i programowa! – wymamrotała. Oferował jej wszystko, o czym marzyła! Mogłaby zrobić każdy program, jaki by chciała! Naprawdę byłaby najpotężniejszą kobietą w telewizji! I, Boże, ależ Conrad będzie wściekły, kiedy się dowie!

Sir Derek uśmiechnął się ponownie, czekając na jej odpowiedź.

Siedziała jak sparaliżowana. Podniosła dłoń do szyi, na wypadek gdyby wyskoczyła jej wysypka, której często dostawała z nerwów. Ale jej skóra była gładka i chłodna w dotyku.

– No cóż, sir Derek. Oczywiście, szalenie mi to pochlebia. – Wiedziała, że tym razem naprawdę jej potrzebują. Mogli chwileczkę poczekać na odpowiedź. – Zakładam, że może mi pan dać dwadzieścia cztery godziny do namysłu?

Rozdział 36

– Na waszym miejscu – David powiódł wzrokiem od Mel do Britt i Ginny, żeby podkreślić wagę tego, o czym mówił – dobrze bym się zastanowił, zanim wszedłbym w konszachty z Rossem Slaterem.

Musiał użyć całej swojej siły przekonywania oraz jednej czy dwóch dżentelmeńskich gróźb, aby wyciągnąć leżące przed nimi informacje od byłego wspólnika Slatera. Zastanawiał się, czy zadałby sobie aż tyle trudu, gdyby miał przygotować raport dla kogoś innego. Zrobił to jednak dla Liz. Nie mógł znieść myśli, że miałyby stracić firmę, w którą włożyła tyle serca i starań, na rzecz takiego sukinsyna jak Slater.

A musiał przyznać, że te zeznania pod przysięgą stanowiły fascynującą lekturę. Wspólnik opisał z najdrobniejszymi szczegółami, jak Slater prowadzi swoje transakcje biznesowe. Jedno było jasne – Ross Slater jest mistrzem olimpijskim w balansowaniu na krawędzi.

– Jezu – mruknęła Mel przewracająca strony z taką niecierpliwością, jakby czytała kryminał. – Nic dziwnego, że facetowi tak idzie w interesach. To hochsztapler!

– Z pewnością przeprowadza przejęcia spółek w bardzo pomysłowy sposób – zgodził się David. – Ale na pewno mógłby was przekonać, że to zbrodnia bez ofiar.

– Bez ofiar! – Ginny rzuciła teczkę z raportem na stół. – A co z tymi ludźmi, którzy stracili oszczędności, kiedy majstrował przy kursie akcji, żeby odrzucić ofertę Nine to Five, kiedy ci chcieli go wykupić?!

– Jestem pewien, że pan Slater stwierdziłby, że ucierpiały tylko instytucje.

– Ale „instytucje” to tylko żargon finansistów oznaczający pensje zwykłych ludzi! – warknęła Ginny.

– Czy dobrze rozumiem, że po przeczytaniu tego fascynującego dokumentu już tak bardzo się nie palicie do sprzedaży firmy panu Slaterowi?

– Bez jaj! – Mel odepchnęła raport z niesmakiem. – Już prędzej oddałabym swoje udziały fiskusowi, niż sprzedała je jakiemuś kanciarzowi, który oszukuje staruszki!

– Nie jestem pewien, czy Slater tak opisałby swoje metody, ale coś w tym jest. A ty, Ginny? Razem z Liz jesteś większościowym udziałowcem. Nadal chcesz sprzedać?

Ginny wstała.

– Jeśli o mnie chodzi, z transakcji nici. Będziemy po prostu musiały znaleźć jakieś inne rozwiązanie naszych problemów.

David w końcu zwrócił się do Britt. Przez całe spotkanie wzajemnie unikali

swojego wzroku. Ale wiedział, że prędzej czy później będzie musiał spojrzeć jej w twarz.

– Jak ty uważasz, Britt?

Britt powoli podniosła wzrok znad raportu i usiłowała mówić spokojnym głosem. To był jej pomysł, żeby zadzwonić do Davida, ale ostatnie pół godziny było najgorszą torturą w jej życiu. Bogu dzięki, lada chwila będzie po wszystkim.

– Myślę, że Liz od początku miała rację. WomanPower powinno się wycofać. Ross Slater to czarujący łajdak. – Uśmiechnęła się blado. – Z tych najgorszych.

David niepewnie odwzajemnił uśmiech. Oboje wiedzieli, że teraz będzie już łatwiej.

– A więc ustalone. Powiemy Slaterowi, żeby się wypchał. – Zastanowił się, jak Slater może na to zareagować. – Nie chciałobyście przypadkiem, żebym to ja mu o tym powiedział? – Wziął raport ze stołu i schował do swojej teczki. Twarz rozjaśnił mu szelmowski uśmiech. – Bo nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności.

Kiedy zebrali się do wyjścia, Ginny odstawiła swoją teczkę i odwróciła się do pozostałych.

– Oczywiście – zawahała się przez chwilę – jeśli odrzucimy ofertę Slatera, co, rzecz jasna, musimy zrobić, zdajecie sobie sprawę, że wrócimy do punktu wyjścia. Nadal potrzebujemy kogoś, kto pokierowałby WomanPower.

David wyczuł, że słuszny gniew im przechodzi i dopada je przygnębienie.

– Może skoczmy do Saracen's Head? – Pomyślał, że drink może im poprawić nastrój. – Wypijemy po whisky macu i wróci wam chęć do walki.

Na myśl o tym, że ktoś mógłby zmarnować dobrą whisky, mieszając ją z winem imbirowym, Mel wróciło nieco jej zwykłego animuszu.

– Po moim trupie. Ewentualnie setkę wódki. – Zaczęła owijać się szalem. – Albo lepiej całą butelkę.

Britt zamarła w połowie zakładania kaszmirowego płaszcza. Przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Szalony i nieprawdopodobny, ale uznała, że warto spróbować. Zaproponowanie go będzie ją dużo kosztowało. Ale gdyby się udało, może się okazać, że to idealne rozwiązanie. Może nawet skłoniłoby Liz do powrotu.

– Jest oczywiście jedna możliwość, której nie wzięliśmy dotąd pod uwagę.

Wszyscy się zatrzymali, zaintrygowani entuzjazmem w głosie Britt.

– Pomyślałam, że zapytam, czysto teoretycznie, oczywiście, czy może ty byś nie chciał zostać dyrektorem generalnym WomanPower, Davidzie?

Davidowi po raz pierwszy zabrakło słów.

– Ale ja nic nie wiem o agencjach zatrudnienia!

– To zupełnie jak Liz i ja rok temu – zauważyła Ginny.

David popatrzył na nie. Był dziennikarzem w każdym calu, w dodatku utopił swoje oszczędności w „Selden Bridge Star”. Czyżby jednak próbowały mu coś powiedzieć? Coś, co mogłoby przeważać nad zdrowym rozsądkiem? Coś, czego Liz nie mogła powiedzieć sama? Że go potrzebowała.

Złapał się na tym, że już się zastanawia, czy Suzan mogłaby przejąć redagowanie gazety, przynajmniej dopóki nie znalazłby kupca.

– A jak waszym zdaniem Liz by zareagowała, gdybym się zgodził? Nie czułaby, że się szarogęszę? W końcu to było jej marzenie.

Mel mrugnęła konspiracyjnie do Britt.

– Nie wiem, David, ale jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać, prawda?

Oszołomiona Liz przeszła przez ruchliwą ulicę obok siedziby Metra i skierowała się w stronę rzeki. Musiała pomyśleć, a kiedy jeszcze pracowała w Metrze, właśnie tutaj przychodziła zawsze, kiedy miała podjąć trudne decyzje.

Zimny wiatr od rzeki smagał jej policzki, aż się zaróżowiły, i sprawił, że szczerzej otuliła się płaszczem. Poczula, że tętno jej przyspiesza, a nastrój wspina się na wyżyny, osiągalne dotąd jedynie dla krążących nad jej głową mew.

Chcieli, żeby wróciła! Wiedzieli, że zależy jej na spędzaniu czasu z dziećmi, a mimo to chcieli ją z powrotem! Nie uważali, że jest marudną babą, która powinna wracać do garów, tak jak sądził Conrad. Ich zdaniem była prawa, uczciwa i cholernie dobra w tej robocie!

Właściwie sir Derek powiedział nawet więcej. Metro jej potrzebowało. Było to cudowne uczucie po mdlącej pustce, która w niej została po awanturze o WomanPower. Utrata firmy oraz przyjaciółek zraniła ją bardziej, niż chciała przyznać. Ani jedna z nich nawet nie zadzwoniła, żeby powiedzieć: „Nie pozwólmy, żeby to zepsuło naszą przyjaźń. Znacysz dla nas więcej niż jakaś głupia firma!”.

No cóż, teraz miałyby coś innego, o co mogłaby walczyć. Może nawet udałoby jej się wykorzystać fakt, że Metro tak jej potrzebuje, by zażądać więcej wolnego czasu, czasu dla rodziny, dla dzieci.

Przechyliła się przez balustradę, spoglądając na szarą rzekę w dole. Ale co z ich domem w Seamington? Co z jej marzeniami o innym życiu?

Zobaczyła za sobą ławkę i usiadła obok mężczyzny czytającego gazetę. Boże, od ilu to już dni nie miała gazety w rękach. Uświadomiła sobie, jak bardzo się odcięła od świata w ciągu tego roku. Nie czytała gazet ani nie oglądała wiadomości, bo złe wieści ją przynębiały. Zmieniała się w jedną z tych osób, którymi gardziła.

Pora spojrzeć prawdzie w oczy. Żyła marzeniem, jak we śnie, bawiła się w Marię Antoninę. Była żalonym mieszcuchem, który tęsknił za zielonymi kaloszami i nawet nie potrafił dolać paliwa do agi. Powinna przyznać się przed samą sobą: marzenie o wiejskiej sielance było dla niej skończone. Umarło tamtego

wieczoru, kiedy przyszła do domu Nicka.

Cała ta zabawa w dom na wsi to jedna wielka porażka. Była okropną matką, ciągle warczała na dzieci, i nawet nie potrafiła zrobić Sussex pond puddingu ani porządnych dekoracji świątecznych. Jeśli jakieś dziecko w przedszkolu nie miało ze sobą drugiego śniadania, to na pewno właśnie jej pociecha.

Może nadszedł czas na zmiany. Jeśli w ogóle czegoś się nauczyła w ciągu tego ostatniego roku, to tego, że życie nie jest opowieścią, która rozwija się gładko i ma początek, rozwinięcie i zakończenie. Jest raczej ciągiem rozdziałów, z których pewne zawierają niespodziewane zwroty akcji, a każdy różni się od poprzedniego i można je czytać w dowolnej kolejności. Kiedy tak patrzyła na rzekę, ogarnęło ją nieodparte poczucie, że otwiera się przed nią zupełnie nowy, nieprzewidziany rozdział.

Wstała i odgarnęła włosy do tyłu, żeby poczuć na twarzy świeży, rześki wiatr. Przyjmie pracę w Metrze. Ale jeszcze im o tym nie powie. Niech czekają. W ten sposób jej pozycja negocjacyjna się wzmocni.

Kiedy dwie godziny później skręciła z głównej szosy w wąską drogę kategorii B prowadzącą do Seamington, z rozczarowaniem zdała sobie sprawę, że nie czuje zwykłej euforii, znajomego drgnięcia serca na myśl o tym, że za dziesięć minut będzie w domu. Ta świadomość zraniła ją jak świeżo naostrzony nóż. Akurat dziś potrzebowała zbawionego, kojącego działania tego miejsca, tego poczucia odwiecznego spokoju, które zawsze pozwalało spojrzeć z dystansu na grę o władzę i sukces. Zamiast tego dręczyły ją wątpliwości. Jeśli przyjmie ofertę pracy, czy postąpi słusznie? Czy tylko oszukiwała samą siebie, bo tak bardzo pragnęła tego stanowiska?

Czy zdecydowanie się na nie będzie oznaczało zdradę tego wszystkiego, co starała się osiągnąć przez ostatni rok? Pożegnanie się na zawsze z marzeniem o harmonii i równowadze?

Kiedy zaparkowała samochód i ruszyła ścieżką w stronę domu, ze zdziwieniem stwierdziła, że frontowe drzwi są otwarte, a do środka wpada jesienne światło, rzucając w przedpokoju długie, skośne cienie. W powietrzu unosił się ostry zapach chryzantem stojących w salonie. Zobaczyła, że przeszkłone drzwi prowadzące do ogrodu też są otwarte. Obok na podłodze stały dwie pary butów. Minty zapewne założyła dzieciakom kalosze i zabrała je na przechadzkę.

Odstawiła teczkę i postanowiła pobiec na górę, żeby się przebrać. Może uda jej się pozbyć wątpliwości razem z miejskimi ciuchami. Zdążyła jednak pokonać tylko dwa stopnie, kiedy usłyszała jakieś głosy. Zatrzymała się i nasłuchiwała. Z ogrodu dobiegał śmiech Jamiego, radosny i tak ekstatyczny, jakiego nie słyszała od miesięcy. Stała tak przez chwilę, pozwalając, by ten czarodziejski dźwięk zmył z niej stres. Uświadomiła sobie, że nie może już czekać ani chwili dłużej, zanim zobaczy syna.

Pobiegła przez trawnik w stronę sadu w zupełnie nieodpowiednich do tego celu butach. Przystanęła na chwilę za pnem jabłoni. I zamarła. Na środku sadu siedzieli na kocu Jamie i Daisy, w kurtkach i szalikach, i jedli jabłka oraz ciasteczka. Lecz to nie Minty była z dziećmi. Tylko David.

Liz stała nieruchomo, w zupełnej ciszy, jak obserwujący ptaki ornitolog. Ból, jaki poczuła, widząc go tutaj tak niespodziewanie, był niemal nie do zniesienia. Tyle razy wyobrażała sobie tę scenę: jej rodzina razem na kocu, roześmiana. Tylko że ona nie była częścią tej radosnej grupki, a kiedy do nich dołączy, wszystko się zmieni.

Zza gałęzi przyglądała się twarzy Davida. Zobaczyła malującą się na niej tak wielką tęsknotę i miłość do Jamiego i Daisy, że serce jej się ścisnęło. Dlaczego ludzie nie mogą kochać się tak, jak kochają swoje dzieci? Wtedy w sądach nie byłoby spraw rozwodowych, a rodziny byłyby całe i szczęśliwe.

Przypatrywała się uważnie całej trójce jeszcze przez dłuższą chwilę, jakby robiła zdjęcie, które później wklei do jakiegoś wiecznego albumu swojej pamięci. Podejrzywała, że David przyjechał porozmawiać o rozwodzie, ale miała to w nosie. Chociaż przez moment widziała swoją rodzinę taką, jaką chciała ją pamiętać.

Zebrała wszystkie siły, wyszła zza pnia jabłoni i ruszyła w ich kierunku. Uderzyło ją, że nigdzie nie było widać śladu Suzan. Może była w kuchni, parzyła herbatę i rozpakowywała łapówki dla Jamiego i Daisy.

Jamie zobaczył ją pierwszy.

– Mamusiu! Mamusiu! Zobacz! Tatuś przyjechał!

Daisy też się podniosła i chwyciła Liz za nogi, omal jej nie przewracając.

– Mamusiu! Tatuś chciał zobaczyć Daisy!

Schyliła się i wzięła córkę na ręce, ciesząc się, że może mieć to drobne ciałko przy sobie, jakby mogło ją ono osłonić przed najgorszym bólem.

– Cześć, David, co cię tu sprowadza?

Nie odpowiedział od razu. Przyglądał się jej miejskiemu kostiumowi i ośmiocentymetrowym obcasom, które wbijały się w trawę.

– I co, dostałaś tę pracę? – zażartował lekkim, obojętnym tonem.

Liz uśmiechnęła się na to pytanie, zadawane zawsze i wszędzie osobom, które ni stąd, ni zowąd pojawiały się gdzieś elegancko ubrane.

– Tak, dostałam.

Wydało jej się, że dostrzegła iskierkę rozczarowania w jego oczach, ale uznała, że musiała to sobie uroić.

– Co to za posada?

– Dyrektor programowa i generalna Metro Television.

David gwizdnął.

– Co się stało z Conradem?

– Przyłapali go na podkradaniu kasy. Claudia też wyleciała.

Jamie popatrzył na nią, wstrząśnięty.

– Wracamy do Londynu, mamó?

Postawiła Daisy z powrotem na ziemi i pogłaskała syna po głowie. Nie patrzyła na Davida. Nie odpowiadała Jamiemu, grała na czas.

– I co, zgodziłaś się? – zapytał David przesadnie swobodnym tonem.

– Powiedziałam, że się zastanowię i dam im odpowiedź jutro

– To wymagająca praca. Na pewno jej chcesz?

– Oczywiście, że chcę! Jak mogłabym nie chcieć? Bez Conrada mogłabym zrobić z Metra coś naprawdę wartościowego. Ale to nie takie proste, prawda?

Liz rozejrzała się dokoła. Suzan nadal się nie pokazała; może siedziała w samochodzie. Może David wreszcie się nauczył, żeby nie chwalić się ostentacyjnie nową laską przed matką-kwoką.

Daisy, zazdrosna o Jamiego, wtuliła się w szyję Davida, a Liz zobaczyła, że jego twarz łagodnieje. Przypomniała sobie, jak Daisy jako małe dziecko często zasypiała na piersi ojca, ukojona biciem jego serca.

Wspomnienie było tak bolesne, że celowo wymazała je z głowy, jak na dziecięcym znikopisie. David znów zaczął coś mówić. Starła się skupić na jego słowach.

– Wiedziałaś, że WomanPower odrzuciło ofertę wykupu?

Nagle cała zamieniła się w słuch.

– Dlaczego? Były zdecydowane, żeby ją przyjąć.

– Tydzień temu zadzwoniła do mnie Mel z pytaniem, czy mógłbym dla nich przeprowadzić małe śledztwo w sprawie Rossa Slatera. Naturalnie, nie trzeba mnie było długo namawiać. Udało mi się namierzyć dawnego współpracownika, który opowiedział parę fascynujących historii o jego metodach prowadzenia biznesu. – Uśmiechnął się na to wspomnienie. – Więc dziewczyny straciły odwagę i się wycofały.

Liz też się uśmiechnęła. A zatem posłuchały jej rady. Na szczęście WomanPower jednak nie zostanie zniszczone.

– A teraz wracasz do domu – stwierdziła.

– A teraz wracam do domu. Ale najpierw chciałem się spotkać z Jamiem i Daisy.

Zapadła niezręczna cisza, której żadne z nich nie było w stanie przerwać. Liz wyobraziła sobie czekającą na niego Suzan, która skraca swoją minispódniczkę.

David nie kwapił się do wyjścia. W końcu to Jamie przerwał milczenie.

– Nie jedź, tato. Nie wracaj tam. Zostań z nami!

Liz odwróciła wzrok, niezdolna słuchać wyważonej, rozsądnej odpowiedzi Davida i patrzeć na rozczarowanie Jamiego.

Uklękła i pogłaskała syna po włosach. David spojrzał na nią.

– Zadały mi wczoraj po naszym spotkaniu interesujące pytanie.

– Naprawdę? Jakie?

– Czy byłbym, czysto teoretycznie, rzecz jasna, zainteresowany stanowiskiem dyrektora generalnego WomanPower.

Liz poczuła, że jej serce zaczyna bić szybciej i odruchowo przygryzła wargę. David byłby znakomitym nabytkiem dla WomanPower, ale, oczywiście, nigdy nie rzuciłby gazety, żeby poprowadzić agencję zatrudnienia. Teraz przyszła jej kolej, by zadać trudne pytanie.

– A byłbyś?

– Nie wiem – odpowiedział powoli. – Przez ostatnie miesiące byłem bardzo szczęśliwy. – Zawahał się. – A gazeta właśnie zaczyna wychodzić na zero.

Liz poczuła irracjonalne ukłucie rozczarowania.

David popatrzył jej w oczy.

– Wróć ze mną, Liz! Moglibyśmy pracować razem w redakcji! Byłoby jak za starych dobrych czasów, kiedy oboje zaczynaliśmy.

Przez chwilę kusił ją entuzjazm w jego głosie. Po chwili jednak przypomniała sobie Suzan. Poza tym, co z propozycją Metra?

– Nie mogę, David. Już się tutaj urządziliśmy. – Urwała na chwilę. – No i jeszcze jest Metro.

Odwrócił wzrok, jakby wreszcie dojrzywał do podjęcia bolesnej decyzji. Gdy znów na nią spojrzał, zobaczyła błysk tego dawnego, znajomego zapału, który kiedyś tak bardzo w nim kochała.

– W takim razie widzę tylko jedno rozwiązanie. – Lekki ton zniknął i głos Davida stał się twardy jak stal. – Zrezygnuję z gazety i przyjmę ofertę WomanPower. Pod dwoma warunkami.

Liz poczuła, że jej serce jeszcze bardziej przyspieszyło, jakby chciało rozsadzić jej piers.

– A mianowicie?

– Po pierwsze, odrzucisz propozycję Metra i będziemy kierować WomanPower razem. – Spojrzał na Jamiego. – Oczywiście, będziemy brali urlop w ferie i wakacje, jeśli zechcesz.

Liz przytrzymała się mocno Daisy. Wprawdzie David był idealnym kandydatem na dyrektora WomanPower, ale czy naprawdę mogliby razem pracować? Czy nie doprowadzaliby się wzajemnie do szału, a przy okazji wszystkich pozostałych?

Milczała. Nagle zdała sobie sprawę, że nie jest pewna, co on jej właściwie proponuje. Układ biznesowy czy coś więcej?

– A drugi warunek?

– Że zamieszkałbym z wami. – Nie odrywał od niej wzroku, domagając się, by na niego spojrzała. – Chcę wrócić, Liz. Chcę być z tobą i moją rodziną, tam, gdzie moje miejsce. To jest dla mnie najważniejsze na świecie. Ważniejsze nawet

niż gazeta.

Popatrzyła mu w oczy. Czy mogło im się udać, gdyby spróbowali jeszcze raz, byli razem w dzień i w nocy? Z pewnością byłoby to jakieś rozwiązanie problemu rzadkiego widywania się zapracowanych małżonków. Poza tym musiała przyznać, że czasami źle go oceniała. Teraz widziała, że ich rozstanie było także jej winą.

– Zgódź się, Lizzie! Wiem, że możemy być szczęśliwi! Mamy teraz ze sobą znacznie więcej wspólnego niż dawniej, w Londynie. I razem możemy uczynić z WomanPower prawdziwą potęgę!

Uśmiechnęła się, słysząc zapał w jego głosie. Zawsze miał dar zarażania entuzjazmem i nagle też poczuła to radosne podniecenie. Może miał rację. Może gdyby byli razem, rzeczywiście wszystko byłoby możliwe. Pewnego dnia, kiedy dzieci będą już starsze, mogliby nawet założyć własną gazetę. „East Sussex Clarion” to żadna konkurencja.

Naraz usłyszała cichy, surowy głos zdrowego rozsądku. Czy David naprawdę się zmienił? Czy rzeczywiście chciał wieść spokojne, zwyczajne życie, wypełnione prostymi przyjemnościami, jakie dają dom i rodzina, zamiast zaciętej rywalizacji, władzy i sukcesu? I czy ona będzie w stanie znów mu zaufać, znów obdarzyć go miłością, którą kiedyś tak pochopnie mu ofiarowała?

Zerknęła na dół i dostrzegła błagalny wyraz oczu Jamiego. Właśnie skończył sześć lat i bardzo dużo rozumiał. Za dużo. Popatrzyła ponownie na Davida, a on spokojnie odwzajemnił jej spojrzenie. W jego wzroku nie było błagania. To nie byłoby w jego stylu. Widziała za to w jego oczach miłość, nie tylko do Jamiego i Daisy, ale także do niej.

Może ludzie się nie zmieniają. Może po prostu trzeba ich lepiej zrozumieć. Może oni po prostu zaczynają rozumieć samych siebie. Może to wystarczy. Żadne małżeństwo nie daje gwarancji szczęścia na całe życie. A ona tak bardzo tęskniła za Davidem.

Przez te ostatnie kilka miesięcy wydawało się, że jej marzenie jest w zasięgu ręki, a potem odpłynęło w dal. Teraz on przychodził do niej i znów je oferował, w dodatku sam chciałby być jego częścią.

Nagle jej wyobraźnię zawładnęła jasna, wyraźna wizja Davida siedzącego w złotym świetle długiego letniego wieczoru, z dziećmi u stóp. I zrozumiała, że właśnie tego zawsze chciała. WomenPower, David, dzieci – razem w tym cudownym miejscu. Wtedy naprawdę miałyby wszystko.

Wyciągnęła rękę i ujęła jego dłoń. Przyciągnął ją do siebie i mocno przytulił. Dotknęła policzkiem jego twarzy i poczuła płynące po niej mokre, słone łzy. Kiedy tak stali objęci, drobne ramiona Jamiego oplotły ich nogi, wiążąc ich węzłem nadziei, optymizmu i miłości. Wreszcie byli prawdziwą rodziną.

Przypisy

[1] Bohater bardzo popularnego w Wielkiej Brytanii od lat 60. do 90. serialu komediowego *Till Death Do Us Part* (i jego dalszych części): Alf to londyńczyk z East Endu w starszym wieku, z klasy robotniczej, o reakcyjnie konserwatywnych poglądach, mizantrop, mizogin, rasista i ksenofob (przyp. tłum.).

[2] *Hiccups* – ang. czkawka (przyp. tłum.).

[3] Kartonowe Miasto (*Cardboard City*) istniało w pobliżu stacji metra Waterloo w Londynie w latach 1983–1998. W połowie lat 80. regularnie spało w nim około 200 osób. Obecnie w tym miejscu znajduje się kino London IMAX (przyp. red.).

[4] Przy Downing Street 10 w Londynie mieści się siedziba premiera Wielkiej Brytanii (przyp. red.).

[5] Carl Bernstein i Bob Woodward byli w latach 70. XX w. dziennikarzami gazety „The Washington Post”. Ich artykuły o aferze Watergate przyczyniły się do dymisji prezydenta USA Richarda Nixona (przyp. red.).

[6] *Ménage à trois* – trójkąt miłosny (przyp. red.).

[7] Aluzja do kampanii Digging for Victory z czasów II wojny światowej, zachęcającej Brytyjczyków do uprawiania warzyw w przydomowych ogródkach, aby odsunąć widmo głodu na wypadek blokady (przyp. tłum.).

[8] Christmas cracker to tradycyjny element Bożego Narodzenia w Wielkiej Brytanii. Przypomina duży cukierek w kolorowym papierku. Przy pociągnięciu za oba końce równocześnie – jak nakazuje tradycja, przez dwie osoby – otwiera się z trzaskiem, a ze środka wypada niespodzianka, np. zabawka lub karteczka z zagadką bądź żartem (przyp. tłum.).

[9] *Remorse*, ang. skrucha, żal, poczucie winy (przyp. red.).

[10] John Donne, *Elegia XIX. Na idącą do łóżka*, tłum. Stanisław Barańczak, w: *Ocalone w tłumaczeniu*, Wydawnictwo a5, Kraków 2004, s. 459.

[11] Gra słów: redaktorka powiedziała *mummies* (ang. mumie), a Mel zrozumiała *dummies* (ang. manekiny) (przyp. red.).

[12] Nawiązanie do poematu *Jerusalem* XVIII-wiecznego angielskiego poety Williama Blake’a. Szatańskie Młyny w wierszu Blake’a prawdopodobnie symbolizują fabryki szpecące krajobraz Anglii (przyp. red.).

